PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK SZESNASTY. — TOM LXII.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1899.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1899.

MAŁŻEŃSTWO
W DAWNYCH CHRZEŚCIJAŃSKICH POMNIKACH.

Studyum dogmatyczno-historyczne.

W mowie z r. 131 przed Chr. cenzor Metellus, acz sam szczęśliwy w pożyciu domowem, nazwał publicznie małżeństwo ciężarem, przed którym jednak nie wolno się usunąć z poczucia obowiązku obywatelskiego [1]. Przekonanie to, że małżeństwo jest złem, do tego stopnia rozwielmożyło się w czasach następnych, że cesarz August musiał karami zniewalać obywateli do zawierania związków ślubnych, przyczem znowu powtórzył uzasadnienie: *civitatem salvam esse sine matrimoniorum frequentia non posse.* Jeszcze skrajniejsze i szkodliwsze były w tej sprawie zapatrywania gnostyków i manichejczyków, stroniących przed małżeństwem jako instytucyą wprost niemoralną i niegodną umysłów wyższych, dążących do ściślejszego zjednoczenia się z Bogiem.

Wobec takich uprzedzeń i herezyj, dotykających samego korzenia małżeństwa, pisarze kościelni epoki przedkonstantyńskiej byliby się daremnie starali bronić nadprzyrodzonego kwiatu tej instytucyi, tj. charakteru sakramentalnego. Wszelki ich w tym względzie wysiłek byłby się snadnie spotkał z odpowiedzią: *qui*

[1] Liwiusz, list 59. „Si sine uxore possemus, Quirites, esse, omnes ea molestia careremus: sed quoniam ita natura tradidit, ut nec cum illis satis commode nec sine illis ullo modo vivi possit, saluti perpetuae potius quam brevi voluptati consulendum est".

nimis probat, nihil probat. Dlatego też ograniczyli się w pismach które nas doszły, tylko do obrony tego, co przeciwnicy zwalczali, a więc do wykazania, że małżeństwo jako instytucya zgodna z prawem natury i z zakonem pozytywnym [1], jest rzeczą godziwą, a nawet świętą i religijną i w następstwie podległą wyłącznie kontroli i juryzdykcyi Kościoła. Z drugiej strony jest jednak rzeczą pewną, że pisarze Kościoła i wierni pierwszych wieków pojęli dokładnie istotę chrześcijańskiego małżeństwa, chociaż ściśle teologiczne wykształcenie i sformułowanie nauki o sakramentalnym jego charakterze dokonało się dopiero w czasach późniejszych. Nie ulega też żadnej wątpliwości, że ówczesni wierni zrealizowali w życiu w całej pełni ideę takiego małżeństwa, jakiem je chciał mieć Zbawiciel i apostoł, obwołujący je „sakramentem wielkim w Chrystusie i w Kościele“ [2] i odblaskiem owego małżeństwa, które Syn Boży zadzierzgnął na krzyżu z swą oblubienicą, Kościołem świętym. Potwierdzą nasze zdanie najważniejsze w tej materyi orzeczenia Ojców, jakoteż pomniki sztuki i epigrafiki.

Z powodu właśnie nadprzyrodzonego charakteru chrześcijańskiego małżeństwa, domaga się św. Ignacy Antyoch. w liście

[1] W Genezie 1, 28, czytamy, że Bóg ustanowił i pobłogosławił w raju małżeństwo jako naturalną, społeczną instytucyę *(officium naturae)*. W Nowym Testamencie dźwignął je z upadku i obwarował niezmiennemi prawami Chrystus, który też praktycznie stwierdził jego świętość, biorąc osobiście udział w godach w Kanie. — Ustępy, zawierające podstawy kościelnego prawa małżeńskiego zob. u Mat. 5, 31, 32; 19, 3—9; Mar. 10, 11, 12; Łuk. 16, 18; 1 l. do Kor. 7, 10—15, 27, 28, 36—39; list do Efez. v, 22—32.

[2] List do Efezyan v. 32: „Sacramentum hoc magnum est; ego autem dico in Christo et in ecclesia“. Dowód, że małżeństwo jest sakramentem, nie urabia się jednak tylko na podstawie nazwania go w tem miejscu przez apostoła sakramentem, ale z całego ustępu od w. 22—32, w którym apostoł się domaga, aby mąż odwzorował w pożyciu małżeńskiem Chrystusa a żona poddana była mężowi, jak Kościół Chrystusowi. Do odtworzenia zaś takiego trwałego, nadprzyrodzonego życia małżonkowie potrzebują koniecznie nadprzyrodzonej sakramentalnej łaski, która najpierw kontrakt ziemski przemienia w niebieski, a następnie go ożywia przez cały czas jego trwania duchowną krwią i siłą płynącą na wszystkie chrześcijańskie związki z tego pierwowzoru małżeństwa chrześcijańskiego tj. związku Chrystusa z Kościołem.

do Polikarpa, aby wierni zawierali małżeństwo przy współudziale i wedle uznania kapłana, bo inaczej małżeństwo nie będzie wedle prawa Bożego, ale podług ludzkich namiętności. Πρέπει δὲ τοῖς γαμοῦσι καὶ ταῖς γαμουμέναις μετὰ γνώμης τοῦ ἐπισκόπου τὴν ἕνωσιν ποιεῖσθαι, ἵνα ὁ γάμος ᾖ κατὰ θεὸν καὶ μὴ κατ' ἐπιθυμίαν [1].

Wprawdzie wyraz πρέπει, wzięty dosłownie oznacza tylko życzenie, aby wierni nie zawierali małżeństwa bez interwencyi biskupa, jednak w tym przypadku życzenie takie starczyło za rozkaz, bo pewnie żaden chrześcijanin nie chciał, aby związek jego nie był w zgodzie z prawem Bożem i pozbawiony błogosławieństwa Kościoła. W słowie zaś γνώμη mieści się najwidoczniej, że biskup przeprowadzał pewnego rodzaju protokół ślubny, aby zbadać, czy między oblubieńcami nie zachodzi przeszkoda małżeńska, i orzekał w tej mierze jako sędzia w imieniu Kościoła.

Drugie świadectwo, późniejsze prawie o cały wiek, jest jednak poniekąd ważniejsze, bo stwierdza, iż praktyka, o której wspomina św. Ignacy, obowiązywała w całym Kościele, a nadto mówi jeszcze całkiem jasno o błogosławieniu związku przez kapłana, czego biskup antyocheński przynajmniej wyraźnie nie powiedział, albowiem pośrednio da się ten szczegół w oświetleniu tradycyi całkiem słusznie wysnuć z omówionego już wyrażenia γνώμη τοῦ ἐπισκόπου. „Skąd dobiorę słów — pisze Tertulian — aby godnie opisać szczęście tego małżeństwa, które Kościół łączy, ofiara zatwierdza, i które błogosławieństwem przypieczętowane ogłaszają aniołowie, a Ojciec niebieski uznaje za prawdziwe". *Unde sufficiam ad enarrandam felicitatem illius matrimonii quod ecclesia conciliat, et confirmat oblatio, et obsignatum angeli renunciant, et pater rato habet* [2]. Z tego tekstu wynika, że

[1] List św. Ignac. do Polik. r. v. Funk, *Opera Patrum apostolicorum.* Tubingae 1887. T. I, str. 250.

[2] Lib. 2. *Ad uxorem,* r. 9. — Migne, *Patrol. lat.,* t. I, kol. 1302. „Quale iugum fidelium duorum unius spei, unius disciplinae, eiusdem servitutis! Ambo fratres, ambo conservi, nulla spiritus carnisque discretio. Atquin vere duo in carne una; ubi caro una, unus est spiritus. Simul orant, simul

oblubieńcy objawiali wolę, iż pobierają się za małżonków wobec biskupa [1], a względnie całego kleru w kościele [2], że po tej deklaracyi, będącej duszą świętego kontraktu, następowała ofiara mszy św., z którą znowu łączyło się błogosławieństwo dla nowożeńców. Że ta benedykcya, wspomniana przy końcu, nie należała do istoty sakramentu czyli że nie była jego formą, wynika z tego, iż tenże zwie się prawomocnym *(conciliatum)* już przed złożeniem ofiary i przed tem błogosławieństwem.

Bardzo ważny jest w tej relacyi Tertuliana szczegół, przez żadnego autora, o ile mi wiadomo, niewyzyskany i nie dość podniesiony, że mianowicie akt zawarcia małżeństwa opierał się bezpośrednio o Najśw. Ofiarę i sakrament ołtarza, bo jest rzeczą chyba całkiem pewną, że nowożeńcy przyjmowali wśród mszy ślubnej w całym ówczesnym Kościele komunię św., a twierdzenie swoje opieram na fakcie, iż w owej epoce wszyscy wierni uczestniczący w liturgii, przyjmowali także zawsze po komunii celebransa Ciało i Krew Pańską. Mamy tu więc zaczerpnięty *ex re liturgica* pierwotnego Kościoła jawny dowód na to, że ówczesne chrześcijaństwo dobrze oceniało nadprzyrodzony czyli sakramentalny charakter małżeństwa, kiedy je tak ściśle łączyło z *Sanctissimum*, jak gdzieindziej grupowało i udzielało razem chrzest z eucharystyą. Po tem, co powiedzieliśmy, nabiera także

---

volutantur, simul jejunia transigunt, alterutro docentes, alterutro hortantes, alterutro sustinentes. In Ecclesia Dei pariter utrique, pariter in convivio Dei" i t. d.

[1] Szczegół ten, że oblubieńcy objawiali konsens małżeński wobec biskupa podaje Tertulian także w księdze *De monogamia*, r. 11.

[2] Że związki ślubne zawierano regularnie w kościele i to widocznie nie w niedzielę i nie w czasie zwyczajnych zebrań liturgicznych, dowodem słowa Tertuliana w jego Księdze „O czystości r. 4", gdzie powiada, iż małżeństwa zawierają się *coram episcopo, presbyteris, diaconis, intervenientibus etiam in ecclesia viduis*. Wzmianka bowiem, iż przy zawieraniu małżeństwa mają także wdowy asystować, byłaby całkiem niepotrzebna, gdyby biskup błogosławił związki przed niedzielną liturgią, bo na tych zebraniach wdowy zawsze były obecne.

Nie potrzebuję dodawać, że w wyjątkowych razach łączył biskup stadła małżeńskie także w domach prywatnych, w więzieniach, słowem, gdzie mógł i gdzie zachodziła potrzeba.

wartości inny ustęp Tertuliana, gdzie pisze [1], że szatan obok sakramentu chrztu, bierzmowania i eucharystyi starał się w kulcie Mithry małpować również pewne przepisy kościelne, odnoszące się do małżeństwa. I tutaj spotykamy więc małżeństwo, zestawione razem z innemi sakramentami, choć wyznaję, że wyciąganie z tej okoliczności apodyktycznego wniosku na nadprzyrodzoną godność chrześcijańskiego małżeństwa byłoby nie całkiem uzasadnione, albowiem tekst dość jest niejasny, a nadto są tu wymienione także inne praktyki religijne, które nie były sakramentami.

Tę samą myśl, co w księdze „O przedawnieniu“, że mianowicie tylko takie małżeństwo, które zostało zawarte w obliczu Kościoła *(in facie ecclesiae)* i umocnione tegoż błogosławieństwem, jest związkiem wedle idei Chrystusa, wypowiada Tertulian jeszcze w księdze „O jednożeństwie“ [2], gdzie taki kontrakt ma miano małżeństwa, skojarzonego w Bogu *(in Domino)*, podczas gdy on związki tajemne kwalifikuje prawie jako konkubinaty [3].

Te są najważniejsze teksty patrystyczne z pierwszych wieków, odsłaniające nam zapatrywania dawnego Kościoła na samą istotę chrześcijańskiego małżeństwa i najważniejsze obrzędy religijne, jakie od początku towarzyszyły głównemu aktowi ślubnemu. Około nich grupowały się różne inne ceremonie i zwyczaje weselne, znachodzące się częścią już w religii żydowskiej, częścią zaś przejęte ze społeczeństwa pogańskiego, z którego większa część wiernych pochodziła.

---

[1] *De praescript.* r. 40. „Sed quaeritur, a quo intellectus intervertatur eorum, quae ad haereses faciant? A diabolo scilicet, cuius sunt partes intervertendi veritatem, qui ipsas quoque res sacramentorum divinorum idolorum mysteriis aemulatur. Tingit et ipse quosdam, utique credentes et fideles suos; expositionem delictorum de lavacro repromittit; et si adhuc memini, Mithra signat illic in frontibus milites suos; celebrat et panis oblationem, et imaginem resurrectionis inducit et sub gladio redimit coronam. Quid? quod et summum pontificem in unius nuptiis statuit? Habet et virgines, habet et continentes“. Migne, *Patr. lat.* t. II, kol. 54.

[2] *De monog.* r. 11. Migne, *Patr. lat.* t. II, kol. 943.

[3] *De pudicitia.* „Penes nos occultae quoque coniunctiones, id est non prius apud ecclesiam professae, iuxta moechiam et fornicationem iudicari periclitantur“.

I tak, poprzedzały akt ślubny zaręczyny i złożenie przez narzeczonego podarków *(arrhae)* dla narzeczonej, wśród których znajdował się pierścień, zdobny często chrześcijańskiemi symbolami kotwicy, gołębia, ryby, okrętu, rybaka, Dobrego Pasterza, monogramu Chrystusa [1]. W wieczór przedślubny składała oblubienica strój dziewczęcy *(toga praetexta)*, a wdziewała tak zwaną *tunica recta* albo *regilla*, która tworzyła też w dzień następny strój ślubny obok czerwonego welonu *(flammeum)*, służącego do osłonięcia głowy *(nubit, obnubit caput*, skąd nazwa *nuptiae)* [2]. Pod zasłoną nosiła oblubienica wieniec z kwiatów, przynajmniej w epoce Konstantyna, bo Tertulian [3] zwalcza ten zwyczaj. Odpadł u chrześcijan, rozumie się, cały rytuał specyficznie pogański, jak badanie woli bogów *(auspicia)*, ofiara owcy, a utrzymała się znowu praktyka spisywania wobec świadków kontraktu ślubnego *(tabulae nuptiales)* [4] i podawania sobie przez oblubieńców dłoni *(dextrarum iunctio, conluctatio manuum)* [5] w chwili, kiedy objawiali wolę zawarcia małżeństwa. Po akcie ślubnym świadkowie i przyjaciele składali młodej parze życzenia słowem: „szczęścia!“, które powtarzali także przy uczcie weselnej, wznosząc toasty puharami, na których wypisano aklamacye: *feliciter! vivatis, vivatis in Deo* i t. p. — Tyle o rytuale ślubnym na podstawie najdawniejszych pomników piśmiennych. Przejdźmy teraz do zabytków starochrześcijańskiej ikonografii i epigrafiki.

---

[1] Zbiór starochrześcijańskich pierścieni, pomiędzy któremi z pewnością jest znaczna część ślubnych, zob. w Krausa *Real-Encyclop. der christl. Alterthümer*, artykul *Ringe*, str. 696 i nast. — Tertulian, (*Apolog.* r. 6) zwie taki pierścień *annulus pronubus*.

[2] Tertul., *De velandis virgin.* r. 11: „Ad desponsationem velantur, quia et corpore et spiritu masculo mixtae sunt per osculum et dextras, per quae primum resignarunt pudorem spiritu“. — Św. Ambroży wspomina, że kapłan poświęcał welon. List 70.

[3] *De corona milit.* r. 13. „Coronant nuptiae sponsos, ideo non nubamus ethnicis, ne nos ad idololatriam usque deducant a qua apud illos nuptiae incipiunt“. Migne, *Patrol. lat.* t II, kol. 96.

[4] Tertul., *Ad uxorem* II, r. 3; *De virginibus velandis* 12. – Migne, *Patrol. lat.* I, kol. 1292.

[5] Tertul., *De virg. vel.* 11; *De orat.* 22. To podanie ręki przy akcie zaślubin spotykamy już w księdze Tobiasza 7. 15. Migne. *Patrol. lat.* t. II, kol. 904.

Pomniki te dają się rozdzielić na trzy działy, z których pierwszy najliczniejszy przedstawia w medalionach lub w muszlach na ścianie frontowej sarkofagów popiersia małżonków, trzymających się za ręce i spoglądających na się z wyrazem smutku i żałoby na znak, że śmierć zerwała łączący ich węzeł małżeński. Takie sceny rozłąki i ostatniego pożegnania można często spotkać w muzeach rzymskich. Najważniejsza dla nas jest kategorya druga, ilustrująca sam akt zaślubin. Trzecia rzuca światło na pożycie małżonków chrześcijańskich. Pomijamy dział pierwszy jako nieprzedstawiający korzyści dla naszego tematu, a podamy nieco dokładniejszej analizie dwa ostatnie.

Na pierwszem miejscu należy położyć frontowy fragment sarkofagu, który znajduje się w willi Albani (dziś Torlonia) w Rzymie i przedstawia pod względem dogmatycznym tyle ważną scenę zaślubin. Wielka szkoda, że z płaskorzeźby sarkofagu doszła nas tylko niewielka część.

Na kawałku pozostałym[1] widzimy mężczyznę, ubranego w tunikę i togę i trzymającego w ręce lewej zwój pisma, podczas gdy prawą obejmuje dłoń drugiej osoby, dziś całkiem odtłuczonej. Pod ich rękami leży na pulpicie *(lectorium)* księga rozwarta. Nad księgą widać zwyczajne w ówczesnej sztuce wyobrażenie chmur, a ponad niemi górną połowę postaci męzkiej, trzymającej wieniec w lewej dłoni nad głową wyżej wspomnianego mężczyzny.

Porównywując tę płaskorzeźbę z analogicznemi scenami na innych sarkofagach i na obrazach mieszczących się na zachowanych dnach starochrześcijańskich szklanek, noszących dziś techniczną nazwę szkieł złotych *(vetri d'oro)*, nie trudno odgadnąć znaczenia tej kompozycyi i uzupełnić części brakującej.

Ilustruje ona, jak już powiedzieliśmy, akt zaślubin, w czasie którego oblubieńcy podają sobie ręce *(dextrarum iunctio)*, podczas gdy nad nimi unosi się Chrystus, koronujący wieńcem oblubieńca, a z pewnością także oblubienicę na części odtłuczo-

[1] Reprodukcyę tego fragmentu ogłosił Horacy Marucchi w monografii, *Il matrimonio cristiano*. Roma 1882.

nej. Wprawdzie postać Zbawiciela jest nieco uszkodzona, przecież łatwo ją poznać, bo przedstawia typ, znachodzący się stale w sztuce chrześcijańskiej z wieku III. i w epoce konstantyńskiej, tj.: o obliczu młodzieńczem bez zarostu, włosach długich, spadających w lokach na ramiona.

Sarkofag pochodzi najprawdopodobniej z pierwszej połowy IV. wieku, na co wskazuje także styl udrapowania togi oblubieńca i konwencyonalny sposób przedstawienia chmur, nad któremi artysta wyrzeźbił rozciągnioną draperyę, będącą w ówczesnej sztuce kościelnej symbolem sklepienia niebieskiego.

Oblubieniec trzyma w lewej ręce znany nam już kontrakt małżeński, który acz nosił urzędową nazwę tablic ślubnych *(tabulae nuptiales)*, jawi się stale we wszystkich ikonograficznych pomnikach chrześcijańskich, podobnie jak na analogicznych zabytkach pogańskich, jako zwój *(volumen)*, a nie jako *diptychon*.

Szczegółem bardzo ważnym na naszej płaskorzeźbie, a którego nie spotykamy na innych pomnikach, jest ta okoliczność, iż oblubieńcy podają sobie ręce nad otwartą księgą, umieszczoną na *lectorium* tj. na pulpicie. Pulpit taki ustawiano w bazylikach chrześcijańskich na podstawie, aby wygodnie można było na nim odczytać ustęp Pisma św. W czasie synodów umieszczano go znowu na katedrze biskupiej, ażeby tamże jako na miejscu honorowem podtrzymywał księgę ewangelii *(lectorio superpositis sacrosanctis evangeliis)* [1]. Księga otwarta albo zwoje pisma, umieszczone w skrzyni obok osób biblijnych na freskach katakumbowych [2], przedstawiają, zdaniem wszystkich archeologów, Pismo św. Rozkładając tę księgę świętą na pulpicie [3] w kom-

[1] Porównaj Marucchi l. c. str. 12.

[2] Na fresku w katakumbie św. Januarego w Neapolu czytamy nad księgą rozwartą imiona ewangelistów. W skrzyni *(scrinium)*, widzimy zwoje Pisma św. w katakumbie św. Piotra i Marcellina w Rzymie w scenie przedstawiającej sąd Chrystusa nad zmarłym (Wilpert, *Ein Cyclus christologischer Gemälde*. Freib. i. Br. 1891, tabl. 1) i w cmentarzu św. Domitylli na fresku z IV. wieku, wyobrażającym wprowadzenie do nieba zmarłej Wenerandy przez pochowaną w jej sąsiedztwie św. Petronillę.

[3] Samo *lectorium*, jako przedmiot liturgiczny zawiera prawdopodobnie aluzyę do ołtarza a tem samem do faktu, poświadczonego przez Tertuliana, że akt ślubu łączył się z ofiarą mszy św.

pozycyi, którą omawiamy, i każąc nad nią i podług niej oblubieńcom zaprzysiądz sobie wiarę małżeńską, czyni rzeźbiarz najwyraźniejszą aluzyę do godności sakramentalnej chrześcijańskiego małżeństwa, do jego bezwzględnej jedności i nierozerwalności, które to przymioty zostały dopiero w ewangelii apodyktycznie i jak najjaśniej sformułowane.

U Rzymian po odmówieniu przez oblubieńców stereotypowej formuły ślubnej, łączyła młodą parę niewiasta zamężna, czyli tak zwana *Pronuba*. To sprowadzenie nowożeńców przez Pronubę znachodzi się stale na klasycznych pomnikach weselnych z tą tylko czasami odmianą, że niekiedy jej miejsce zajmuje Juno lub Afrodyta [1].

Na naszym sarkofagu artysta wprowadził w miejsce Junony Pronuby Chrystusa na oznaczenie, że oblubieńców chrześcijańskich sam Zbawiciel [2], fundator sakramentu małżeństwa i Oblubieniec nad oblubieńcami wiąże węzłami nadprzyrodzonemi.

Jak już wspomniałem, nie pozwalał Tertulian chrześcijanom wieńczyć się kwiatami, jako symbolami zasad i życia epikurejskiego. Mimo to spotykamy wieńce także na weselnych pomnikach chrześcijańskich, ale to dopiero w IV. w., kiedy one straciły już swe dawniejsze znaczenie. Na epitafach katakumbowych widzimy wieńce już wcześniej, ale tu symbolizowały ową nagrodę, którą Pismo św. obiecuje wiernym po ciężkich walkach życia [3]. Nie

[1] Niekiedy występuje na takich pomnikach także bożek Hymenaeus i Charytki jako świadkowie — *sacris dii admittuntur testes.*

[2] Wyjątkowo tylko umieszczano Junonę przy podobnych scenach zaślubin chrześcijańskich jak np. na sarkofagu w willi Ludovisi w Rzymie, gdzie w centrum cyklu kompozycyj chrześcijańskich widać małżonków podających sobie ręce, podczas gdy między nimi stoi Juno Pronuba i kładzie dłonie na ramiona oblubieńców. U stóp oblubienicy jawi się tutaj nadto Psyche, zwracająca się do Erosa. Oblubieniec jest ubrany w tunikę *(laticlavia)* i w togę a trzyma w ręce kontrakt ślubny jako dowód legalnie zawartego małżeństwa; żona zaś dotyka lewą ręką welonu, który ma na głowie. Zob. Schultze W., *Archäologische Studien.* Wien 1880, str. 104 i nast., gdzie tenże autor opisuje jeszcze kilka innych podobnych pomników jak np. sarkofag, znaleziony u św. Kaliksta, a dziś znajdujący się w Muzeum lateraneńskiem. Porówn. także De Rossiego, *Roma sotteranea* t. II, str. 169; Kraus, *Roma sotteranea* str. 352, fig. 58.

[3] 2 list św. Pawła do Tymot. 4, 7.

co innego oznaczają też wieńce, któremi Chrystus wieńczy oblubieńców na naszym sarkofagu i na innych analogicznych pomnikach, tj.: głoszą one, że małżonkowie, dochowawszy sobie wiary, na ewangelię zaprzysiężonej, otrzymali w nagrodę cnót niezwiędły wieniec chwały niebieskiej.

Akt zaślubin wyobraża dalej płaskorzeźba na sarkofagu Katerwiusza i Seweryny [1] w Tolentino. Tutaj mąż trzyma w lewej ręce kontrakt ślubny, u boku ma żonę zawelonowaną. Nad ich głowami ręka Boża trzyma wieniec wawrzynowy, po obu stronach którego znajduje się monogram Chrystusa z literami α ω, a poniżej dwa gołąbki na gałązkach wawrzynu. Napis, umieszczony na nakrywie sarkofagu opowiada o zmarłych małżonkach:

QUOS PARIBUS MERITIS IUNXIT MATRIMONIO DULCI
OMNIPOTENS DOMINUS, TUMULUS CUSTODIT IN AEVUM·
CATERVI SEVERINA TIBI CONIUNCTA LAETATUR·
SURGATIS PARITER CHRISTO PRAESTANTE BEATI,
QUOS DEI SACERDOS PROBIANUS LAVIT ET UNXIT·

Najważniejszem jest tu dla nas wyznanie, że sam Bóg połączył szlachetnego rodu Katerwiusza i Sewerynę w słodkiem małżeństwie [2].

Charakterystyczne podanie rąk przez oblubieńców, znachodzimy także na dwóch szkłach złotych i na złotej monecie cesarza Marcyana (450—457).

Na pierwszem szkle [3] widzimy całe postacie narzeczonych, podających sobie ręce. Oblubieniec ma na sobie szeroką, fałdzistą togę, oblubienica zaś stojąca po jego prawej stronie, tunikę, spadającą do stóp, wysadzaną perłami. Nad dłońmi złączonej pary młodej unosi się monogram Chrystusa na znak, że małżeństwo zawarto wedle przepisu i pod sankcyą Chrystusa —

[1] Zob. u Garrucciego, *Storia dell' arte crist.* tabl. 303, 304; De Rossi, *Bulletino di archeol. crist.* 1869, str. 22.

[2] Scenę zaślubin spotykamy jeszcze na sarkofagu w willi Ludovisi w Rzymie i na sarkofagu w krypcie św. Cyryaka w Rawennie. Porówn. Schultze, *Arch. Studien* str. 106 i nast.

[3] Zob. u Krausa, *Gesch. der christ. Kunst.* Freib. i. Br., 1896, str. 166, fig. 124.

in Domino. Poza oblubienicą mieści się zwój, oznaczający najprawdopodobniej kontrakt ślubny. Dokoła małżonków czytamy napis: MARTVRA · EPECTETE · VIVATIS — Marturo, Epektetusie — żyjcie!

Drugie szkło [1] przedstawia tę samą scenę z tą odmianą, że narzeczeni podają sobie ręce nad wązkim słupem czyli nad ołtarzem, zawierającym najwidoczniej aluzyę do mszy ślubnej. Nad ołtarzem unosi się koło, prawdopodobnie pierścień ślubny, a nad nim jeszcze duży wieniec. Napis głosi: VIVATIS IN DEO — żyjcie w Bogu!

Na monecie z popiersiem Marcyana [2], wybitej z okazyi jego ślubu z Pulcheryą, widzimy na odwrotnej stronie cesarza, okolonego podwójnym nimbem i podającego rękę cesarzowej, której głowę otacza nimb pojedynczy. Między małżonkami stoi Chrystus [3] z nimbem krzyżowym dokoła głowy i kładzie ręce na ramiona nowożeńców. Napis zawiera życzenie: FELICITER NVBTIIS — szczęścia w małżeństwie! [4].

Inne szkła przedstawiają popiersia małżonków, którzy już sobie rąk nie podają, a nad nimi Chrystusa, kładącego wieńce na ich głowy. Napis takiego egzemplarza głosi: IVCVNDE CVRACE ZESES [5] — Jukundusie, Cyryako, żyjcie!

Na podobnem szkle we Florencyi [6] popiersia małżonków Fidelisa i Festy zajmują centrum kompozycyi; nad nimi jest Chrystus, dokoła zaś postacie św. Hipolita, Cypryana, Sykstusa, Wawrzyńca, Pawła i Piotra.

Czasami spotykamy na szkłach wyobrażenia małżonków wraz z dziećmi. Na jednem z nich mąż kładzie prawą rękę na

[1] Garrucci, *Vetri ornati*. Roma 1864, tabl. 26, 11.

[2] Zob. Kraus, *Real-Encycl.* I, *Ehe* str. 384.

[3] Na dawniejszych monetach rzymskich zajmuje miejsce Chrystusa Juno Pronuba, tak np. na monecie Heliogabala i Julii Pauli.

[4] Oprócz tego była scena zaślubin przedstawiona na gemmie Andreaniego z napisem VT FX (*utere felix* — słowa, któremi ojciec oddawał córkę zięciowi), i na starochrześcijańskim pierścieniu wedle relacyi Buonarottiego. Zob. Kraus, *Real-Encycl.* I, str. 383.

[5] Zob. w Krausa, *Geschichte der christl. Kunst* I, str. 167, fig. 126.

[6] Zob. Schultze, *Archäologie der altchristl. Kunst*, str. 309, fig. 96.

ramię żony, oboje zaś lewą na ramię chłopczyka i dziewczynki, którzy stoją przed nimi. Między małżonkami unosi się monogram Chrystusa; nad nimi zaś czytamy napis: POMPEIANE ET TEODORA VIVATIS — Pompejanie i Teodoro, żyjcie![1] Ostatnie szkło, jak i inne podobne, przedstawiające całą rodzinę albo matkę z dzieckiem, zrobiono na pamiątkę szczęśliwego pożycia małżeńskiego, podczas gdy owe ze scenami zaślubin były zapewne podarkami weselnemi, używanemi przy uczcie ślubnej, jak wskazują napisy toastowe: *pie zeses*[2], *vivatis, vivatis feliciter* — żyjcie szczęśliwie!

Na istotę chrześcijańskiego małżeństwa i na wzajemny stosunek małżonków rzucają wreszcie światło także nagrobki.

Z III. wieku jest następujący kamień, który w katakumbie św. Hermesa przy drodze Salaryjskiej Starej zamykał grób podwójny:

M · AUR · AMMIANUS · FECIT ·
SIBI · ET · COIUGI SUAE CORNE
LIAE TRYFERATI BENE CONBE
· NIEN TIBUS
Ryba wyrzeźbiona

Marek Aureliusz Ammianus wygotował (za życia) epitaf dla siebie i dla swej żony Kornelii Tryferaty[3].

Słowo *convenientibus (convenire in matrimonium)* należy łączyć z hieroglifem Ryby *(Ichthys)*, co daje formułę: *convenientibus in Iesu Christo* — „którzy się połączyli w Jezusie Chrystusie", i zawiera aluzyę tak do chwili zawarcia sakramentu małżeństwa, jak i do szczęśliwego pożycia pod wpływem łaski sakramentalnej.

Starszym jeszcze jest napis, który Lupi ogłosił[4]. Czytamy tam:

[1] Zob. Kraus, *Gesch. der christl. Kunst* str. 167, fig. 125.
[2] Toast ten urobiono z greckiego: πίς, ζήσαις.
[3] Zob. reprodukcyę u Wilperta, *Principienfragen* tabl. 1, 2, str. 70.
[4] Lupi, *Epitaf. Severae* str. 145.

CECILIUS · MARITUS · CECILIAE ·
PLACIDINAE · COIUGI · OPTIMAE ·
MEMORIAE · CUM · QUA · VIXI · ANNIS · X ·
BENE · SENE · UL · LA · QUERELLA · ΙΧΘΥΣ

Cecyliusz, mąż, *położyłem napis Cecylii Placydynie*, żonie najlepszej pamięci, z którą żyłem 10 lat bez najmniejszego nieporozumienia. *Ichthys.*

Dodatkiem *Ichthys* wyraził Cecyliusz, że sprawcą tego szczęścia małżeńskiego był Chrystus, od którego spodziewa się też przyjęcia zmarłej Placydyny do nieba.

Na kamieniu niejakiej Albany, znajdującym się w galeryi napisów muzeum lateraneńskiego, powiada mąż, że zmarłą dał *mu sam Bóg* jako święty podarek:

QUOD MIHI SANCTUM DEDERAT DIVINITUS AUTOR [1]

Na napisie z r 362 czytamy:

VISCILIUS · NICENI · COSTAE · SUAE

Wiscylius położył nagrobek Nicenie, żebru swemu [2].

Mamy tu aluzyę do ustępu księgi Genezy [3], gdzie jest opisane stworzenie Ewy, a równocześnie do nierozerwalności chrześcijańskiego małżeństwa.

Wyrazem zgody i szczęśliwego pożycia małżonków są także następujące epitafy:

VENERABILI AC RARI EXEMPLI FEMINAE
PUDICISSIMAE CONIUGI DULCISSIME
ALEXANDER FECIT QUE NUMQUAM
MECUM DISCORDIA QUA FIDELIS HABERE
POTUIT BENEMERENTI [4]. . . . . .

Aleksander położył nagrobek czcigodnej i rzadkiej cnoty niewieście, żonie najsłodszej, która, jako chrześcijanka, nie zdolna była ze mną żyć w niezgodzie i t d.

---

[1] Muz. lat. kl. IX, n. 38.
[2] Zob. De Rossi, *Inscript.* t. I, n. 151.
[3] Gen. 2, 21.
[4] De Rossi, *Inscript.* I, n. 194. Napis pochodzi z r. 367.

Na innym znowu żona podnosi zgodliwość męża:

Volusia Martina Verissimo Coniugi
Benemerenti . . . de quem nullam querellam detuli . . . ab amorem et affectionem erga se.

Woluzya Martina dobrze zasłużonemu mężowi, który mi nigdy nie wyrządził najmniejszej przykrości, kładzie nagrobek, aby się wywdzięczyć za miłość i przywiązanie.

Inne podobne formuły opiewają: *sine alteritrum (sic) animi lesionem* — „bez żadnej obrazy duszy“, *sine ulla iniuria* — „bez wyrządzenia krzywdy“, *sine ulla discordia* — „bez żadnej sprzeczki“, *sine ulla controversia* — „bez cienia nieporozumienia“.

Podczas, gdy świat pogański wstydził się pracy i uważał ją za hańbę, małżonkowie chrześcijańscy chlubią się na nagrobkach tytułem pracowników. W cmentarzu św. Piotra i Marcellina, odkopiowałem następujący napis, sięgający z pewnością III. wieku:

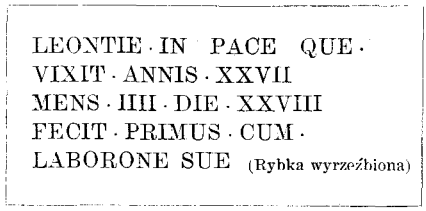
LEONTIE · IN PACE QUE ·
VIXIT · ANNIS · XXVII
MENS · IIII · DIE · XXVIII
FECIT · PRIMUS · CUM ·
LABORONE SUE (Rybka wyrzeźbiona)

Leoncyi, w pokoju! Która żyła 27 lat, 4 miesiące, 28 dni. Primus położył nagrobek swojej współpracownicy *(cumlaboronae = conlaboronae). Ichthys.*

Na drugim sławi mąż pracowitość zmarłej Rufiny:

Rufina quae mecum laboravit.

Na innych czytamy epitety: ἐργοποιῷ — *operarius, laboriosa, operosa* [1].

Na kamieniu z Porto, pochodzącym z III. wieku, czytamy:

PLOTIUS TERTIUS ET FAUSTINA CONSERVI DEI FECERUNT SIBI IN PACE ☧ *(Christi).*

Plocyusz Tercyusz i Faustyna współsłudzy Boży wygotowali sobie grób na spoczynek w Chrystusie.

[1] Porówn. De Rossi, *Inscript.* I, n. 62.

Na epitafie w Katanii nazywa mąż zmarłą żonę: ΣΥΝΔΟΥΛΗ ΕΝ ΧΡΩ — współsługą w Chrystusie.

Tę samą myśl wypowiada nagrobek z końca II. wieku, znaleziony w Rawennie. Opiewa on:

VALERI(*a*)E MARI(*a*)E M(*arcus*) VALERIUS
EPAGATHUS CONSERV(*a*)E SORORI ET CONIUGI
QUA CUA (*cum*) VIXIT AN(*nos*) XXXVIII VV (*vivens* albo *virginius virginiae*) POS(*uit*).

Marek Waleryusz Epagathus Waleryi Maryi współsłużebnicy, siostrze i żonie swojej, z którą żył 38 lat położył nagrobek (jako mąż dziewiczy dziewiczej małżonce).

Wyrażenie *conserva* przychodzi na tych wszystkich nagrobkach w znaczeniu duchownem, o ile wszyscy wierni, wedle słów św. Pawła[1] są sługami Bożymi. W tej myśli także św. Hieronim w liście do swego przyjaciela Paulina pozdrawia jego żonę Terezyę „jako świętą współsługę jego w Bogu“ — *sanctam conservam tuam tecum in Domino*, a jeszcze wcześniej Tertulian nazwał swą żonę: *dilectissima mihi in Domino conserva*[2].

Ale dlaczego na kamieniu z Rawenny mąż zwie żonę jeszcze siostrą swoją? Nazwa ta naprowadziła Rossiego na myśl, że litery „VV“ przy końcu epitafu są skróceniem słów: *virginius virginiae*, coby wskazywało, że oboje zachowali dobrowolnie czystość dziewiczą. Św. Hieronim powiada znowu o Terezyi, która od chwili, gdy mąż został kapłanem, z żony, stała się siostrą Paulina *(de coniuge soror Paulini facta)*.

Rybki po obu bokach monogramu Zbawiciela, mieszczące się nad napisem, oznaczają małżonków, którym w życiu i przy śmierci Chrystus był wzorem i obroną.

Że także wielu innych małżonków poszło za radą apostoła: „to tedy powiadam bracia, czas krótki jest: to zostaje, aby i którzy żony mają, byli jakoby nie mieli“[3], dowodzą następujące pomniki:

---

[1] List do Kolossów 1, 7; 4, 7.
[2] 1 Ks. Do żony 1.
[3] 1 l. do Kor. 7, 29.

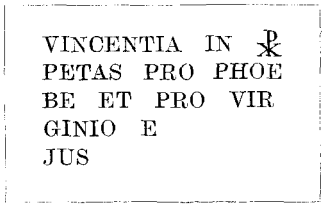

Wincencyo, spoczywaj w Chrystusie! Módl się za Febę i jej męża dziewiczego [1].

Napis pochodzi z cmentarza św. Kaliksta i to z III. wieku. Monogram Chrystusa stoi tu jako *compendium scripturae*. Nazwa *virginius* znaczy w tem miejscu i w napisach następnych tyle co dziewica *(virgo)*.

Z r. 291 pochodzi napis:

Ex Virginio tuo bene meco vixisti libenter conjuga innocentissima Cervonia Silvana · Refrigera cum spirita sancta · Dep(osita) Kal. Apr. Tiberi Ano III et Dioni Coss.

De Rossi parafrazuje: „Bene vixisti mecum, qui fui virginius tuus, id est: coniux a virginitate et virginius mansi“ i tłumaczy:

Niepokalana żono Cerwonio Sylwano, dobrze ze serca żyłaś ze mną, dziewiczym mężem twoim. Odpoczywaj wśród dusz świętych. Pochowana 1 kwietnia w trzecim roku konsulatu Tyberyusza i Diona [2].

Życie dziewicze kapłana żonatego poświadcza bardzo prawdopodobnie napis z Villeneuve przy Awinionie:

IVRA SACERDOTII SERVANS
NOMENQUE IVGALIS [3]

Nagrobek Ampeliusza i Singenii w Aosta [4] głosi, że „życie ich było takie, iż żona nie zaznawszy męża 20 lat, umarła nienaruszona dziewicą:

---

[1] Zob. De Rossi, *Roma sot.* II, str. 304. Por. też *Roma sot.* III, str. 320.

[2] De Rossi, *Inscrip.* I, n. 17. Nie jest jednakże wykluczonem, że wyraz *virginius* i *virginia* przynajmniej czasami oznaczają tylko, że oblubieńcy dziewicami wstąpili w związki małżeńskie.

[3] Le Blant, *Inscr. de la Gaule* n. 597.

[4] Le Blant l. c. n. 391.

QUORUM VITA TALIS (fuit ut lin)
QUENS CONIUX MARITUM XX A(nnos)
EXCEDENS IN CASTITATE PERPE(tua)
PERDURARET . . .

Z r. 349 pochodzi kamień:

CONSTANTIAE BENEMERE
NTI · BIRGINIUS CASTE CON
PARI · CUM · QUA · FECIT · A
☧ NNIS · VIII · QUE VICSIT ANNIS · XVIII ·
MENSES · VIIII · DIES · XVII · IBIT · IN
PACE · VI · KAL · DECENBRES ·
LIMENIO · ET · CATULINO ·
☧ CONSS ·

Konstancyi, dobrze zasłużonej, położył nagrobek mąż dziewiczy, czystej małżonce, z którą żył w małżeństwie 8 lat. Żyła 18 lat, 9 miesięcy, 17 dni. Odeszła w pokoju . . . za konsulatu Limeniusza i Katulina.

W greckich i rzymskich rodzinach pogańskich wydawano dziewczęta za mąż przeciętnie w 15 roku życia, choć prawo pozwalało już na to po skończonym 12 roku. Trafiało się też często, że małżeństwa zawierano już w 11 i 10 roku; ale w takim razie pożycie małżeńskie zaczynało się dopiero po ukończonym 12 roku życia żony. Tego samego normalnego wieku trzymali się też chrześcijanie, choć i tutaj trafiały się małżeństwa wcześniejsze, które dopiero z ukończonym 12 rokiem dziewczyny stawały się prawomocnemi, jak tego dowodzi przytoczony epitaf Konstancyi. W chwili śmierci miała ona bowiem dopiero lat 18, żyła jako małżonka lat 8, z czego wynika, że wyszła za mąż w 10 roku życia [1].

Wszystkie przytoczone napisy dziewiczych małżonków mogą służyć za ilustracyę do słów Athenagorasa, który w swej Apologii pisze, iż między chrześcijanami łatwo znajdziesz wielu mężczyzn i kobiet, którzy zestarzeli się w strzemięźliwości (ἀγάμους) w nadziei, że w ten sposób ściślej zjednoczą się z Bogiem. Z drugiej strony tworzą one dziwny kontrast do małżeństw po-

[1] Zobacz więcej przykładów w Krausa, *Real-Enc.* I, *Ehe* str. 382.

gańskich z epoki cesarskiej, które Tertulian[1] charakteryzuje słowy: *repudium iam et votum est, quasi matrimonii fructus,* tj. wyjść za mąż, znaczy tyle, co rozwieść się, bo rozwód jest naturalnem następstwem tych małżeństw[2].

Wreszcie rzucają napisy światło jeszcze na jedną ciekawą kwestyę prawa małżeńskiego. Według prawa rzymskiego niewolnicy nie byli zdolni do zawarcia prawdziwego małżeństwa i pożycie dwóch osób niewolnych uchodziło zawsze za konkubinat *(contubernium).* Także różnica stanów tworzyła przeszkodę, albowiem, jeśli córka senatora wyszła za wyzwoleńca, to małżeństwo było nieważne, jeśli zaś poślubiła człowieka wolnego ale należącego do niższej klasy społecznej, to traciła swój własny stopień senatorski.

Przepisy te musiały być bardzo przykre, zwłaszcza dla niewiast rodu senatorskiego, które, w większej ilości przyjmowały chrześcijaństwo, niż mężczyźni tego samego stopnia społecznego. Związki bowiem z poganami ganił Kościół, małżeństwa z chrześcijańskim niewolnikiem nie uznawało państwo, gdyby zaś wyszła za chrześcijańskiego wyzwoleńca, traciła swój rodowy stopień społeczny.

---

[1] *Apologeticus,* 6.

[2] Satyrycy rzymscy opowiadają, że niektóre kobiety wychodziły za mąż 8 razy i więcej. Martialis np. pisze (Ks. 6, 7):

Aut minus aut certe non plus tricesima lux est,
Et nubit decimo iam Tesilla viro.

Nagrobek z epoki cesarskiej, przedrukowany przez Henzena w *Bulletino dell' Instituto,* Roma 1865, str. 252, głosi że zmarła rozwiodła się 7 razy:

Imperat ergo viro, sed mox haec regna relinquit
Permutatque domos et flammea conterit, inde
Avolat et spreti repetit vestigia lecti .
Sic crescit numerus, sic fiunt octo mariti
Quinque per automnos, titulo res digna sepulcri.

Znamienne są też słowa Seneki (*De benef.* 1, 9, 3, 4), z których dowiadujemy się, że żony wprost szydziły i obrzucały wyzwiskami mężów, którzy nie łamali wiary małżeńskiej. „Coniugibus alienis ne clam quidem, sed aperte ludibrio aditis, suas aliis permisere. Si quis nulla se amica fecit insignem, nec alienae uxori annuum praestat, hunc matronae humilem et sordidae libidinis et ancillariolum vocant".

Tak stały rzeczy aż do panowania papieża Kaliksta, który wprowadził w tej kwestyi własne kościelne prawo małżeńskie, pozwalające kobietom szlachetnego rodu nie uwzględniać prawa państwowego i zawierać ważne małżeństwa z niewolnikami i wyzwoleńcami. Prawda, że małżeństwa takie nie pociągały za sobą zwyczajnych prawnych skutków wobec władzy świeckiej, ale otrzymywały one sankcyę moralną i pozwalały córkom senatorskim zachować swą rangę społeczną przynajmniej w Kościele [1]. Jako przykład takiego mezaliansu, nieuznanego przez prawo świeckie, a ważnego przed Bogiem i w obliczu Kościoła, niech służy następujący epitaf, znaleziony w katakumbie św. Domitylli, pochodzący z pierwszej połowy III. wieku:

FLABIAE SPERANDAE COIUGI · SANCTISSIMAE
INCOMPARABILI MATRI OMNIUM · QUAE BIXIT
MECU · ANNIS · N · XXVIII · M · VIII · SENE · UL
LA · BILAE · ONESIFORUS · C · F · COIUX · B
ENEMERENTI FECIT

Flawii Sperandzie, żonie najcnotliwszej i niezrównanej, matce wszystkich, która żyła ze mną lat (w ilości — *numero*) 28, miesięcy 8, bez cienia przykrości, położył nagrobek Onesiforus, mąż dobrze zasłużonej niewieście rodu senatorskiego.

Cały interes epitafu mieści się w skróceniach C · F ·, które za Rossim czytają archeologowie powszechnie: *Clarissima Femina.* Prawdopodobnie Flawia Speranda pochodziła z cesarskiej rodziny Flawiuszów. Onesiforus (Pożyteczny), niemający imienia rodowego, był najwidoczniej niewolnikiem albo wyzwoleńcem. Ponieważ małżeństwo było ważne wobec Kościoła *(in foro ecclesiae)*, więc Speranda zatrzymała swój tytuł rodowy [2].

Ks. Józef Bilczewski.

[1] Zob. De Rossi, *Bullet.* 1866, str. 19—22. Porówn. także Neumann, *Der römische Staat und die allgemeine Kirche bis auf Diocletian.* Leipzig 1890, str. 201.

[2] Drugi podobny epitaf podaje de Rossi w swem *Bullettino di arch. crist.* 1866, str. 25. Tam żona Cassia Feretria ma także tytuł *clarissima femina*, podczas gdy mąż nie jest *clarissimus.*

KSIĄŻKA KLACZKI O RENESANSIE.

(Dokończenie).

Spędziwszy dłuższy czas swego życia w Medyolanie, gdzie w architekturze panował „transalpiński gotyk“, zaszczepiony na tle romańskiem, mistrz Donato umiał był utworzyć zeń swój styl osobny *bramantesco,* lekki, strojny i wdzięczny, tem lżejszy, iż brak marmuru zmuszał go do używania cegły, naginającej się do wszelkich kaprysów i figlów artysty. Dopiero przybywszy do Rzymu, zapatrzył się w szczątki przeszłości i również, jak Michelangelo, w nich rozmiłował. Odtąd atoli styl jego zmienił się jakoby różczką czarodziejską tknięty: potęga zastąpiła wdzięk, perspektywa i proporcye kształtów — strojność szczegółów, wspaniała prostota marmurów — drobne, kwieciste ozdoby. Architektura jego stała się surowszą, usposobienie mistrza jednak pozostało czem było wprzódy — wesołe, lekkie, rozkoszne, ale przytem uczciwe i szlachetne. „Cierpliwy syn ubóstwa“, jak go uczeń jego Cesariano nazywa, umiał z równą swobodą znosić złą jak i dobrą dolę. Epikurejczykiem był jako prawy humanista, ale mimo podejrzeń i nienawiści Michała-Anioła, nieszkodzącym nigdy nikomu, pobłażliwym dla siebie i drugich, a bezwzględnym — tylko dla nieklasycznych gmachów. Upoiwszy się duchem starej Romy, począł namiętnie burzyć i równie namiętnie stawiać, pracując z gorączkową szybkością pod niecierpliwem okiem Juliusza II. Już starcem był, gdy rozpoczął nową bazylikę św. Piotra; starcem też był Rovere, więc

że im mało czasu do życia zostało, parli pospiesznie robotę: bywały tygodnie, gdzie praca szła dniem i nocą przy świetle latarni. Na zewnątrz niszcząc i wznosząc pracował tłum rzemieślników; na wewnątrz rój młodych artystów. Tym ostatnim mistrz Donato przeznaczył był wspólne mieszkanie tuż obok, w pałacu Borgo, byłej własności kardynała Dominika della Rovere; nadto opiekował się nimi i często przy stole swoim gromadził, gdzie pono i jadło było wyśmienite i zabawa wyborna. W r. 1508 malarze ci zajęci byli głównie w nowem mieszkaniu papieża. Juliusz II. z trudnością cztery pierwsze lata wytrzymał w „apartamentach Borgia“, gdzie wstrętna mu postać Aleksandra VI. przypominała się na każdym kroku. Radzono mu, aby portret i herby kazał zamazać; odpowiedział, że to nie przystoi, ale że nie chce tu dłużej zamieszkać i że się przeniesie na górę, do dawnych komnat Mikołaja V. Komnaty były mniej wspaniałe niż dolne, wprawdzie ozdobne freskami, ale freski pono już wyblakły, a nadewszystko nie dogadzały najświeższemu smakowi. Trzeba je było zastąpić nowemi; spędzono zatem najlepsze artystyczne siły, jakie się zgromadzić dały. P. Klaczko dziwi się, że między nimi, lub raczej obok nich nie widać nigdzie imienia wielkiego Leonarda, że ten geniusz, jeden z włoskiej tryady (Michelangelo, Rafael, Leonardo da Vinci), niezbyt, jak widzieliśmy, stały w swej służbie, ani przez chwilę nie był w usługach największego z protektorów sztuki. „Jest to jeden z figlów złośliwych, jakie przypadek często logice rzeczy wyrządza; jedna z ironij losu, przypominających zagadkowy a niepokojący uśmiech na ustach Jocondy“... Główną przyczyną, zdaniem autora, była zapewne reputacya kunktatorstwa pięknego Leonarda, „jego pracy powolnej, przerywanej, wiecznie poprawianej a nigdy niezadawalniającej artysty. Byłby ciekawym widok naszego *pontefice terribile*, borykającego się nie już tylko z dzikiem usposobieniem Michała-Anioła, ale i z lenistwem Leonarda“. Da Vinci miał dopiero po śmierci Juliusza II. przybyć do Rzymu.

Z prac, dokonanych tej zimy (1508—1509) na Watykanie, pozostały trzy sufity: Perugina, Sodomy i Bernardina Peruzzi, dwa ostatnie w pełnym stylu Odrodzenia, pierwszy, przedsta-

wiający Trójcę św. wśród apostołów, a obok Chrystusa Pana na puszczy, kuszonego przez szatana o patryarchalnem obliczu — najniefortunniejsze dzieło starego Vanucci. O utworach innych malarzy mało co wiadomo. Zresztą nie mieli oni tu długo zabawić: w Rzymie niedawno zjawił się był 25-letni uczeń Perugina, świeżo z Florencyi przybyły i przedłożył papieżowi próbki swego talentu. Papież zaś zachwycony od razu, zbrzydził sobie freski dokonywane w pałacu, bez namysłu rozpędził bandę artystów, ozdabiających górne komnaty, kazał zamazać, co malowali, i całą robotę powierzył Rafaelowi Santi. Zdziwienie musiało być wielkie, gdyż młodzieniec był jeszcze nawet nad Arnem bardzo mało znany. Świeżo poprosił był swojego księcia Francesco Maria d'Urbino o słówko polecające do Gonfaloniera; książe jednak już snać na nim się poznał, skoro zamiast do Soderiniego posłał go wprost do swego stryja[1], papieża. „Jakaż to data w dziejach ducha ludzkiego, ów dzień, gdzie on młodzieniec o długich, kruczych włosach i smagłem obliczu — taki, jak go widzimy w „Szkole ateńskiej“ obok mistrza jego Vanucci — przyszedł pokazać staremu Rovere swoje obrazki lub szkice. Byliby się mocno zdziwili dyplomaci Wenecyi i Florencyi, rozprawiający u dworu Juliusza II., byłby się mocno zdziwił sam Juliusz II., gdyby mu powiedziano wówczas, iż ta skromna audyencya, udzielona ubogiemu malarzowi z Urbino, więcej w historyi świata zaważy, niż najpoważniejsze konferencye Ligi w Cambrai i najskrytsze umowy w sprawach Florencyi“...

„Nie żywimy już dla Rafaela — pisze dalej Klaczko — bezgranicznego, naiwnego podziwu naszych ojców, poznaliśmy granice jego talentu“. Wiemy, że nie posiada potężnego rysunku, ani patetycznej głębokości wyrazu Michała-Anioła, ani czarownego modelowania Leonarda, ani kolorytu Tycyana, równie jak nie ma dramatycznej siły Giotta i „tak rzewnego i rozrzewniającego nastroju mistycznego Fra Angelica“. Nie sili się na zbadanie natury, „za to jednak posiada niezrównany, cudowny

[1] Francesco Maria della Rovere, urodzony z córki ostatniego z rodu Guid' Ubalda Montefeltre i przez tegoż uznany dziedzicem, jedna z najdzikszych obok wielkiej ogłady natur Odrodzenia.

zmysł piękna i pojęcie kompozycyi niesłychane, jakiem się żaden malarz ówczesny poszczycić nie zdołał: to jego dwa główne przymioty", dwa skrzydła, które go ku nieśmiertelności poniosły. Pomimo tego surowego wstępu nie mamy się czego lękać dla „boskiego" Santi: sąd wydał znawca, a znawcy wogóle groźniejsi są od artystów; człowiek zaś ukochał całem sercem nadziemską prawie harmonię myśli, uczuć, kształtów i światła, płynącą wielką falą z utworów młodego mistrza. Opowiada nam, iż owe „dwa skrzydła", a przynajmniej jedno, nie od razu Rafaelowi wyrosło; z początku właśnie grzeszył wadliwym układem, jak o tem świadczy *La deposizione* galeryi Borghese i *L' Incoronata.* Nagle dopiero w Rzymie, w „górnych komnatach" Juliusza II. przyszło natchnienie. Tu patrząc na „Dysputę o Najśw. Sakramencie", „znajdujemy się naraz wobec przeobrażenia niemal cudownego; to, co dotąd było słabą stroną mistrza z Urbino, stało się jego potęgą i jego niespożytą chwałą... Skomplikowany i oderwany temat dogmatu — i jakiego dogmatu jeszcze! — oddany jest z jasnością, plastycznością i niezrównanym wdziękiem; trudne zadanie akcyi podwójnej, na ziemi i w niebie, rozwiązanem jest z uroczą swobodą, wobec której wzrok nie doznaje chwili wahania lub powątpiewania... Przez jakie wtajemniczenie, jaki wpływ potężny mógł malarz „Złożenia do grobu" przeistoczyć się jednym rzutem w genialnego twórcę „Dysputy"?... Wielekroć zadawałem sobie to pytanie, nie znajdując nigdy odpowiedzi stanowczej... Wśród wykopalisk Rzymu próżno szukałem pomnika, który zdołał Rafaelowi tajemnice kompozycyi wyjawić"...

W rozdziale XII. pod tytułem: *Dans la Camera de la Segnatura,* Klaczko po raz wtóry ustępuje głosu drugiej osobie: tym razem atoli to już nie duch, który do Michelangela przemawiał, ale prałat rzymski, rozmiłowany w stanzach i szczęśliwy, że znalazł bratnią, choć mniej rzymską duszę, w którą może przelać wyniki swych wrażeń i studyów. Zaczyna od przestrogi: „Strzeż się pan nowatorów!", to jest tak licznych obecnie „krytyków i pisarzy, którzy rzekłbyś iż się zmówili, aby wszystko do góry nogami powywracać w naszym biednym *cinquecento*". Następnie wyjaśnia etymologię nazwy *Camera della Segnatura,*

przez co ogół dość naiwnie rozumie salę, gdzie Juliusz II. przychodził podpisywać dekreta, a raczej ułaskawienia. „Po cóżby — pyta słusznie prałat — sędziwy papież umyślnie przenosił się do osobnej komnaty dla czynności, której mógł daleko dogodniej w swoim gabinecie dokonać?“ Genezę nazwy tłumaczy zaś w sposób następujący: Signaturą od niepamiętnych czasów nazywano wielki trybunał duchowny, najwyższy sąd apelacyjny i kasacyjny dla wyroków Roty, Datarya, Kamery apostolskiej i t. p. Pod koniec XV. w., za rządów Innocentego VIII., trybunał ten został podzielony na dwie osobne izby: *Signatura iustitiae* i *Signatura gratiae;* ta ostatnia miała roztrząsać fakta wyjątkowe, skomplikowane, nienadające się dzięki swej anormalności pod prawa sprawiedliwości i mogące jedynie być rozstrzygniętemi najwyższą łaską Ojca św. Obie Signatury mieściły się w pałacu papieskim, jedna zasiadała co wtorek, a druga co czwartek, podczas gdy *Signatura iustitiae* była prezydowaną przez Kardynała Prefekta i stanowiła zupełnie niezawisłe — *Signatura gratiae*, złożona zazwyczaj z tychże samych osób, nie mogła zasiadać jak w obecności papieża i posiadała tylko głos doradczy... „Otóż mój drogi panie, czego byliby się dowiedzieli fabrykanci hipotez, gdyby zechcieli zajrzeć do takich pisarzy, jak Gomesius, Danielli, Kardynał di Lucca, *Pratica della Curia Romana,* lub choćby tylko wyborny słownik Moroniego *Sub voce;* znaleźliby zupełnie naturalnem, że Juliusz II., przenosząc się z „apartamentów Borgia“ do „komnat górnych“, na drugie piętro, przeznaczył jedną stanzę dla tego trybunału, nieodłącznego od osoby papieża“... Juliusz II. również nie mógł, jak wielu mniema, mieć tu swej biblioteki, gdy sala do końca zajętą była przez malarzy, stolarzy i kamieniarzy; Rafael skończył malować w sierpniu 1512 r., posadzka zaś nie była gotową jak za Leona X. Zresztą Watykan tak liczne przechodził zmiany, iż niepodobna nawet oznaczyć, gdzie Juliusz II. na drugiem piętrze zamieszkał, podczas gdy odnawiano pokoje Mikołaja V.

„Trzeba jednak przyznać — mówi nieco dalej autor do swego monsignora — że Segnatura zajmuje miejsce zupełnie osobne i wyjątkowe w sztuce Rafaela. Te freski tu przed nami, tak są

różne od wszystkich innych jego utworów! Przemawiają nietylko już do naszych zmysłów i naszej wyobraźni, ale i do naszych umysłowych zdolności, wyzywają naszą wiedzę historyczną i literacką, zmuszają nas do odgadywania i do kombinacyi. Stoimy wobec malatury naukowej, niemal abstrakcyjnej, pełnej idei, czyż więc nie mamy prawa przypuszczać, że jest poniekąd wynikiem wpływu ludzi uczonych, ludzi pióra i myśli?

„A czemuż raczej — odpowiada prałat — nie widzieć w niej inspiracyi Giotta, Lorenzetta i innych mistrzów XIV. wieku?“ Gdy zaś na to autor nie zdoła ukryć zdziwienia, dodaje jeszcze: „Ależ tak jest, mój panie, nasi mistrze XIV. wieku znali dobrze tę sztukę abstrakcyjną, pełną idei, jak ją pan nazywasz; uprawiali ją szeroko, niekiedy bardzo świetnie. Obok tematów z Biblii, Apokalipsy, z ewangelij apokryficznych i Legendy świętych, mistrze ci szukali nieraz tematów z dziedziny abstrakcyi, religii, polityki lub filozofii i myśl swą usiłowali wprowadzić w czyn, rzec nawet można na scenę... Wielki taki pomysł z *trecento*, przedstawiony z całą szerokością idei i bogactwem środków najpiękniejszych epoki Odrodzenia — to *Segnatura* Rafaela Santi, jego geniuszowi bowiem było przeznaczonem streścić w sobie całą przeszłość naszej włoskiej sztuki, wlewając tej przeszłości natchnienie w wyraz najdoskonalszej i najwznioślejszej harmonii. Owo malarstwo symboliczne i syntetyczne tak drogie pokoleniu Giotta i Lorenzetta ale odrzucone i wzgardzone przez tęgich naturalistów XV. w., zostało przez młodego Santi wskrzeszone w tej stanzy: wskrzesił je, przeobraził, ożywił potężnem tchnieniem swego czasu, przyodział wszystkiemi blaskami chrystyanizmu i starożytności...

„W cyklu tym „Dysputa“ jest freskiem religijnym, freskiem świętym — i po trzykroć świętym, zwłaszcza w swej części górnej, gdzie mistrz umieścił „Kościół tryumfujący“, samego Boga w trzech Osobach; umyślnie tedy i z wielkim rozmysłem użył do przedstawienia tego nadziemskiego świata stylu pierwotnego, uświęconego przez wieki i uznanego niemal za styl h i e r a t y c z n y chrześcijańskiego malarstwa. Inuym zupełnie jest charakter „Kościoła wojującego“ u dołu fresku: te grupy tak oży-

wione, ruchliwe a takie różne, przenoszą nas w sferę współczesną i żywą, w świat Masaccia, Ghirlandaja i Leonarda da Vinci. W swej treści równie jak w formie „Dysputa“ jest utworem dualistycznym, któremu wszakże geniusz Rafaela umiał nadać jednolitość przedziwną: jednolitość dla oka pomimo dwoistości stylu, jednolitość dla myśli pomimo dwoistości światów.

„W części górnej dzieło przypomina dokładnie wyobrażenia Sądu Ostatecznego tak często wychodzące z pod pendzla starych mistrzów“... a więc Trójca święta w zwykłej postaci, po prawej stronie Chrystusa Pana modląca się Matka Boska a naprzeciwko niej św. Jan Chrzciciel, wskazujący palcem tego, którego zwiastował; „nieco poniżej, w półkole cała niebiańska drużyna. Jakaż jednak tu wielka zmiana! Zamiast tradycyonalnych dwunastu apostołów — *povera cosa*, jak mówił raz Buonarroti — widzimy tyluż przedstawicieli Starego i Nowego Przymierza, każdy z innym wyrazem, w misternie odcieniowanej postawie. Adam, Abraham, Mojżesz, Dawid, Jeremiasz i Juda Machabejczyk, a pomiędzy nimi święci: Piotr, Paweł, Jan Ewangelista, Jakób, Szczepan i Wawrzyniec; zjednoczenie wspaniałe, nawiązujące ogniwa wieków i odtwarzające łączny ciąg pokoleń od pierwszego człowieka i patryarchów do pierwszych towarzyszów Chrystusa i pierwszych męczenników Nowego Zakonu. Proszę zauważyć wykwintność smaku, z jakim dokoła Ducha św. symboliczne zwierzęta zastąpione są maleńkiemi a ślicznemi posłannikami, o lekkich skrzydłach, rozwijającymi tryumfalnie cztery Ewangelie. Najoryginalniejsza wszakże i najbardziej poruszająca nowość, to u góry owa olbrzymia droga mleczna, poprzerzynana promieniami złotemi i w mgłę lekką, przejrzystą owita, poza którą miryady dusz ukazują się i nikną, spuszczają się i wznoszą, kołyszą i odlatują... Nie pomnę podobnego motywu u żadnego z poprzedników, ani współczesnych Rafaela“...

Brak nam miejsca niestety na przetłumaczenie całego rozdziału; podajemy tylko pojedyncze ustępy a żal każdego zdania Klaczki o tym, jak sam mówi słowami poety:

poema sacro
Al quale ha posto mano e cielo e terra...

„Niebo i ziemia, świat widomy i niewidzialny, rzadko kiedy artysta zdołał w jednych ramach objąć, bez przedzielenia obrazu lub dysharmonii w kompozycyi dzieła; sam Rafael porękroć o ten szkopuł się rozbił. Tak np. w „Ukoronowaniu“ równie jak i „Przemienieniu Pańskiem“ musimy dostrzedz brak jednolitości; w obu brak nieodzownego a tak trudnego do wynalezienia łącznika pomiędzy wizyą u góry i sceną ziemską u dołu. Ale łącznika tego nie brak w „Dyspucie“! Ów łącznik, ów błysk genialny, nad którego głębokością rozmyślać dość niepodobna — on jest tu w monstrancyi stojącej na ołtarzu z Najśw. Sakramentem. Najwznioślejsza tajemnica naszej wiary ukazuje się w linii prostopadłej jako dalszy ciąg największej tajemnicy Trójcy św., zajmującej górną część fresku; w linii poziomej stanowi punkt atrakcyjny dla oczu i uwagi wiernych: jest istotnie punktem centralnym całego obrazu“.

Czyż można piękniej określić dzieło Rafaela? Owo istotne „świętych obcowanie“, którego łącznikiem i centrum jest Hostya — to już nie teologia, nie chłodny wynik głębokiej wiedzy, ale poryw duszy ku niebu! Słuchajmy jednak dalej:

„Określono „Wieczerzę Pańską“ Leonarda, jako różnorodne działanie jednego słowa na zgromadzenie ludzi; w „Dyspucie“ mamy różnorodne działanie dogmatu na zgromadzenie wiernych. Jest to duchowa, mistyczna symfonia, której główny akord stanowią cztery najbliższe ołtarza postacie czterech wielkich doktorów Kościoła“; poza nimi zaś, w różnem stopniowaniu wrażenia i uczuć, postacie inne, jedne bezimienne, drugie noszące rysy świętych, papieży lub wiernych. Jest tu i Sykstus IV. jako autor dzieła *De sanguine Christi,* jest Fra Angelico, Dante i Savonarola. „Wprowadzenie najbardziej mistycznego z malarzy i najbardziej religijnego z poetów tłumaczy się samo przez się. Warto jednak zaznaczyć przestrogę Danta u rajskich wrót[1]:

---

[1] Voi altri pochi, che drizzaste il collo
Per tempo al pan degli angeli, del quale
Vivesi qui, ma non sen vien satollo,
Metter potete ben per l'alto sale
Vostro navigio, servando mio solco. *Parad.* II, 10—15.

Wy co na ziemi wyciągacie szyje
Po Chleb aniołów, którym tu się żyje
A przecież nigdy nie dozna przesytu,
Jedni możecie ku tej wielkiej wodzie,
Za śladem moim puścić wasze łodzie.

Dziwniej tu oglądać Savonarolę. „Być może, iż przed dziesięciu laty za herezyę na śmierć skazany, zawdzięczał obecną, głośną rehabilitacyę w rezydencyi papieskiej przedewszystkiem zawiści Juliusza II. do poprzednika Borgii; dla artysty jednak pobudką stanowczą było wyjątkowe nabożeństwo męczennika (autor zapisuje ten wyraz bez zastrzeżeń) do Najśw. Sakramentu, okoliczności, która tak ważną odegrała rolę w tragedyi końcowej r. 1498. Jest bowiem widocznem, iż właśnie sława podobnego nabożeństwa stanowiła głównie o wyborze osób umieszczonych w dolnej części „Dysputy“; inaczej trudnoby wytłumaczyć pierwszeństwo dane św. Tomaszowi z Akwinu i św. Bonawenturze nad św. Dominikiem i Franciszkiem z Assyżu.

„Dziwna to była myśl przecież, aby z nadzmysłowego dogmatu stworzyć oś bardzo ożywionej akcyi i wszystkie osobistości dramatu wkoło niezgłębionej tajemnicy zgromadzić!... Ale cóż? Jesteśmy w r. 1509 i ledwie dziesiątek lat oddziela nas od tez wittenberskich. Zanim zejdzie przedwcześnie do grobu Rafael, posłyszy już głuchy huk zawieruchy rozszalałej na Północy przeciw tej bazylice św. Piotra, której on w swoim obrazie zwiastował był przyszłą wspaniałość [1] i przeciw tej monstrancyi z Hostyą, której był winien najpiękniejsze swoje natchnienie. Ten punkt centralny „Dysputy“ stanie się punktem centralnym wszystkich dysput wieku, wszystkich kontrowersyj, walk i nigdy dość odpokutowanych wojen: i wkrótce świat zostanie — i pozostanie niestety! — podzielonym na dwa obozy: przyjmujący i odrzucający tajemnicę Transsubstancyi... Pomimowoli dostrzegam znak czasu w tym pięknym, świętym fresku Signatury; widzę coś opatrznościowego w fakcie, że w przeddzień katastrofy, u progu Reformacyi, sztuka chrześcijańska stwierdziła

[1] Na fresku „Dysputy“ widać w głębi kościół św. Piotra jeszcze wówczas nie istniejący, ale odmalowany według projektu

tak głośno dogmat mający być zagrożonym w najbliższej przyszłości, że mu złożyła *hołd* przez największego ze swoich geniuszów w swoim najwspanialszym przybytku".

Mniej wzruszającym ale też bardzo ciekawym jest opis „Szkoły ateńskiej", cudnym opis „Parnasu" i innych fresków Signatury, niemniej pięknym później, bo w swoim czasie umieszczony opis następnej stanzy a zatem „Wygnanie Heliodora" i „Mszy w Bolsenie". Ta ostatnia, jak wiadomo, przedstawia zaszły w r. 1263 cud dotyczący znów dogmatu „Dysputy": jakiś *sacerdos teutonicus,* ksiądz Niemiec odprawiający mszę św. w Bolsenie, doznał przy konsekracyi chwili zwątpienia, lecz gdy Hostyę podniósł do góry, ujrzał zeń spływającą krew... Scenę tę przedstawił Rafael, zmieniając wszakże skromny bolseński kościółek na wspaniałą katedrę a w otoczeniu umieszczając papieża Urbana IV. z całym dworem kardynałów i sług. I znowu mamy na twarzach stopniowanie wrażenia sprawionego widokiem cudu: „Jest to hymn *Lauda Sion,* wypisany na ludzkich obliczach: zdumienie, zachwyt, porywy duszy wzruszonej do głębi, wszystko to odczytać można w tych ludowych postaciach, przedziwnych wyrazem i ruchem; rzekłbyś scena z *Glossolalii,* o jakich mówią Akta apostolskie, iskra elektryczna porywająca młodych i starych, mężów i niewiasty a zatrzymująca się dopiero w pobliżu papieża. Poważny, skupiony, nad wyraz imponujący Namiestnik Chrystusowy, nie zdradza ani wzruszeń, ani zdziwienia; wzrok jego surowy przeniknął straszne wahanie kapłana i zda mu się mówić: Człowiecze małej wiary, czemużeś zwątpił? Otaczający go dostojnicy zachowują również spokojną powagę. Bo też papież i kardynałowie są tu oficyalnymi przedstawicielami Kościoła, owej instytucyi Boskiej, przywykłej do cudów, gdyż świat nadprzyrodzony jest żywiołem jej życia".

Rafael malował „Mszę w Bolsenie" r. 1512, podczas pobytu w Rzymie Marcina Lutra. Niestety ten nowy *sacerdos teutonicus* nie doznał cudu, nie ujrzał krwi najświętszej, którą grzechy jego miały z ran Chrystusowych wysączyć. Wówczas bowiem, jak sam potem twierdził, najmniejsze powątpiewanie nie było jeszcze tknęło jego duszy — podróż do Rzymu odbył

jako pielgrzymkę. Z tej pielgrzymki jednak niewiele przyniósł dobrego: zgorszył się tylko wspaniałym zbytkiem ludzi Odrodzenia, a nic z duchowego pierwiastku, ani z jego strony artystycznej nie dostrzegł. Arcydzieła architektury, rzeźby i pendzla, świetne lub wdzięczne błyski umysłu — przeoczył wszystko; ani razu później nie wspomniał nazwiska Michała-Anioła, Bramanta, Sadoleta albo Bibbieny — odjechał, uwożąc przeciw „Nowej Babilonii“ straszny zaród nienawiści i żółci...

W Rzymie jednak nikt wtedy o Lutrze nie wiedział. Rafael malował stanze a Bounarroti kończył swoje sklepienie, swoje Dzieje Stworzenia, Upadku człowieka, Potopu, swoje figury proroków i Sybilli. Zanim dzieło dokonanem zostało, Juliusz II. kazał mu raz zdjąć rusztowanie, aby módz całość oglądać, a dzieło było takie potężne, a przytem miejscami tak rzewne, że wszystkich widzów w najgłębsze wprawiło zdumienie. Młody Santi nawet, współzawodnik Michelangela, uczuł się małym, słabym i przez pewien czas usiłował swą pracę do wysokości Tytana dostroić. Juliusz II. pomimo swych wypraw wojennych wciąż postępami sztuki zajęty, parł bezprzestannie ich obu; nadto Michał-Anioł był głęboko zgryziony powrotem, za poparciem papieża, Medyceuszów do władzy we Florencyi, upadkiem republikańskiej wolności. I jemu spieszno było teraz skończyć robotę w kaplicy Sykstyńskiej, więc już malował bez planu, bez zastanowienia, bez sensu nawet, co mu zgorzkniała fantazya do głowy przyniosła — byle pokryć mury farbami. Nie przyszło mu na myśl wziąść pomocnika. Rafael przeciwnie, otoczył się teraz gromadą towarzyszy, którzy według jego rysunków i pod jego kierunkiem malowali zawzięcie. Raz gdy wychodząc z Watykanu ze swą wesołą drużyną spotkał Michała-Anioła, ten ostatni nienawidząc go zawsze, zagadał: „Chodzisz z całym sztabem, *come un capiteno!*“ — „A ty samotny jak kat!“ — odparł bezlitośnie młodzieniec...

Stanze zawierają aż trzy portrety Juliusza II. — wszystkie z ostatnich dwudziestu miesięcy jego życia. Na fresku przedstawiającym nadanie Dekretalii, oblicze jego zastępuje postać Grzegorza IX., w rysach i postawie znać znużenie i smutek —

była to bowiem w jego żywocie chwila pogromu. We „Mszy Bolseńskiej“ on również przedstawia Urbana IV., poważny jeszcze i zamyślony, ale znów w całej pełni sił i majestatu; w „Wypędzeniu Heliodora“ wreszcie ukazuje się na swojej *sedia gestatoria*, niesiony w tryumfie, nie z grozą mściciela, ale z jasnem czołem zwycięscy. Nie dość jednak tych wizerunków, jak słusznie mówi p. Klaczko, nie dość stanz, nie dość bazyliki, ani fresków kaplicy Sykstyńskiej, aby poznać tego papieża, tego starca, w którym pod wieńcem tyary i wieńcem siwizny, kołatała się dusza junaka. Najlepszym jego portretem są jego dzieje: ojcowizna św. Piotra była umniejszona, więc postawił sobie za cel ją odzyskać, że zaś Wenecyanie należeli do przywłaszczycieli i hardemi słowy odmawiali zwrotu, więc rzucił na nich klątwę i zwołał do ligi w Cambrai Ludwika XII., cesarza, Hiszpanię i księstwa włoskie: Ferrarę, Mantuę, Urbino. Gdy zaś Wenecyanie pobici (1510) w bitwie pod Agnadel, przyszli uczynić na klęczkach publiczną pokutę na terasie św. Piotra, a miasta zabrane oddali, Juliusz II. przebaczył im i klątwę odwołał, bo już do niej podstawy nie było. Ale na to powstało oburzenie wczorajszych aliantów; Maksymilian wprawdzie groźnym nie był, bo choć zrazu krzyczał głośno, musiał jak zwykle umilknąć, przypomniawszy pustki w swym skarbie. Za to Ludwik XII. pomścił się zwołaniem do Pizy soboru „dla zreformowania Kościoła w jego Głowie i członkach“; a papież odpowiedział wysłaniem wojska w granice Ferrary i wielkiem, na cały półwysep rozbrzmiewającem hasłem: „Precz z barbarzyńcami!“ Dnia 17 sierpnia 1510 r. opuścił Rzym, aby do Bolonii pospieszyć, gdzie punkt centralny swych działań wojennych założył. Stąd to wśród ciężkiej zimy, wśród niezwykłych we Włoszech śniegów i mrozów, odbyło się ono słynne oblężenie Mirandoli, prowadzone przez samego Rovere. P. Klaczko podaje nam odbicie portretu Juliusza II. z tych właśnie czasów zachowanego w pałacu Bruschi w Corneto. Od stóp do głów zaszyty w futrzaną opończę, zakończoną olbrzymim futrzanym kapturem, z twarzą po świeżo przebytej chorobie strasznie wychudłą i otoczoną niesfornym zarostem, Juliusz II. przedstawia nam się takim, jakim go wi-

dzieli żołnierze jego na wałach, znoszącego nadludzkie trudy, zamieszkującego budę, kędy wiatr świszczał a ludzie przy jego boku padali od kul. Póki twierdzę zdobywał, zarzekał się, że wytnie załogę, a hrabinę Mirandoli Franceskę, broniącą dziedzictwa swych dzieci, jak najgorszą włóczęgę ukarze; gdy zaś twierdza kapitulowała, nie kazał zarznąć nikogo, hrabinę z największą uprzejmością odprowadził do granic jej włości a za to mocno złajał hr. Castiglione (autora słynnego *Cortegiano*) [1], który w imieniu księcia Urbino przybywał mu winszować zwycięstwa. Cały charakter Juliusza II. w tym jednym fakcie się mieści.

We Francyi, w Niemczech i w innych krajach rozległy się krzyki zdumienia na wieść o papieżu pełniącym służbę żołnierską, tłukącym się po śniegu i błocie w trzęsących wozach, lub z młodzieńczą fantazyą przodującego swym hufcom na dziarskim rumaku. To wszystko jednak wydało się dziecińśtwem obok... papieskiej brody! „Dziwnem jest — pisze autor — jak wielką wagę ówcześni ludzie przywiązali do tego szczegółu, jak wiele miejsca broda Juliusza zajmuje w pismach i depeszach tych czasów. Dyplomaci i kronikarze rozprawiają o niej obszernie, powracają do niej co chwila i omawiają na wszystkie tony, rzekłbyś dziejowy wypadek". Widać, że nic gorszego nie mieli do obmawiania... Sprawa takie przybrała rozmiary, że nawet sobór lateraneński w cztery lata potem przypomniał swoim członkom obowiązek golenia. Wprawdzie była to chwila ogólnej mody: w Niemczech za czasów Maksymiliana a we Francyi już znacznie dawniej nikt prawie brody nie nosił; na żadnym z wizerunków królów francuskich nie widać zarostu. Dopiero Franciszek I. pragnący zakryć na twarzy bliznę i Karol V. usiłujący zasłonić „habsburską wargę", pogodzili się z brodą; Klemens VII, również przestał się golić po spustoszeniu Rzymu — na znak żałoby...

Nie broda papieska wszakże, ale dzielność i zaciekłość nowego dowódcy wojsk francuskich, ojca hr. Franceski, Jakóba

---

[1] *Il Cortegiano* hr. Castiglione, było prototypem „Dworzanina" Łukasza Górnickiego.

Trivulzio, sprawiła, iż krótki tryumf pod Mirandolą spełznął na niczem. Z wiosną już zbuntowana Bolonia przywołała swych dawnych władców, hufce papieskie poniosły porażkę, w Pizie schizmatycki sobór jął się gromadzić, a Juliusz II. wrócił do Rzymu bardzo znękany, niemniej pilny jednak w doglądaniu kaplicy Sykstyńskiej i skory do pozowania Rafaelowi na Grzegorza IX.; z tego czasu albowiem pochodzi fresk o „Dekretaliach". Nie tylko o freskach atoli przemyśliwał *il pontefice terribile*. W miesiąc po powrocie do Rzymu ukazała się bulla *Sacrosanctae*, zapowiadająca zebranie powszechnego soboru, a potępiająca zbór samozwańczy, który niemal z samych Francuzów złożony, gdyż biskupi niemieccy układami papieża z Maksymilianem wstrzymani, odmówili przybycia — nie zyskał w świecie katolickim uznania. Nawet we Francyi, pomimo nakazanej z góry uchwały synodu w Tours, „dozwalającej wojować Ojcu św.", wielu bardzo przeciwiło się wojnie: już roku poprzedniego Macchiavel, wysłany w poselstwie do francuskiego dworu, czynił uwagę, że król Ludwik gotów sobie tą wojną wszystkich na kark sprowadzić, „nie masz bowiem lepszej wymówki, gdy się chce zaczepić którego monarchę, jak oświadczyć, że się przeciw niemu broni Kościoła". Ludwik XII. miał tego wkrótce doświadczyć. Tymczasem jednak w Rzymie działo się źle: Juliusz II. zachorzał tak ciężko, iż go na mieście za umarłego miano, a jego nieprzyjaciele — starzy patrycyusze przez nowych ludzi od rządów wyparci — z młodym biskupem Pompeo Colonna na czele, wybrali się na Kapitol, by stąd ogłosić powrót do dawnych wolności. Ale Juliusz II. nie umarł; niecierpliwy jak zawsze, wypędzał od siebie lekarzy, odmawiał pożywienia i jedynie na prośby dziecka, 11-letniego Federica Gonzaga, dał się skłonić nareszcie do wypicia troszki bulionu. Federico ten był jeńcem na Watykanie, a raczej zakładnikiem za podejrzaną wierność ojca, którego Juliusz wydostał był z weneckiej niewoli. Malec jednak zawładnął wkrótce sercem „strasznego" papieża, który dlań cały dwór trzymał, często go do swego stołu przyzywał, zabierał na wycieczki i aż do zbytku zabawiał. Wielki był strach w Rzymie, gdy się dowiedziano, iż Ojciec św. wyzdrowiał, bo-

haterowie z Kapitolu rozbiegli się na cztery wiatry. Nie mieli się czego obawiać, Juliusz II. bowiem okazał się tym razem znów szlachetnym i ani zapytał o winnych. Nawet Pompeo Colonna uszedł bez kary i dopiero w dwa lata później nowem warcholstwem zasłużył na złożenie z urzędu.

Tak więc Juliusz II., zamiast się mścić na poddanych, gotował Świętą Ligę przeciw Francuzom, a przeciw soborowi w Pizie zwoływał wielkie koncylium do Lateranu. Wynik walki wiadomy: po krótkich niepowodzeniach i wielkiem, acz zgonem kwiatu rycerstwa okupionem zwycięstwie Francuzów pod Rawenną, Święta Liga wzięła stanowczo górę. Z pomocą Szwajcarów, nieprzepłaconych tym razem złotem francuskiem, hasło papieża: *Fuori i barbari!* zostało wprowadzone w czyn; Francuzów wygnano za Alpy, a dnia 3 grudniu 1512 r. Juliusz II. śpiewał *Te Deum* wśród zgromadzenia członków soboru, w obecności Mateusza Langa, biskupa gurceńskiego, przybyłego w imieniu cesarza. Maksymilian wszakże niedawno marzył był dla siebie o tyarze w razie zgonu lub złożenia z tronu papieża...

Nie darmo Juliusz II. na fresku o Heliodorze występuje w roli tryumfatora: Rafael przedstawił go tak, „jakoby na swojej *sedia gestatoria* niesionym był na *Te Deum* do św. Jana. Wyzwolił Włochy, „barbarzyńców“ wypędził za góry, odzyskał ojcowiznę św. Piotra, ukarał naprzód a potem uratował — *percussit ac sanavit* — Rzeczpospolitą wenecką, przywrócił Medyceuszów w Toskanie i Sforzów w Medyolanie, jest panem i arbitrem politycznej „gry świata“.

Ale nie dość tych zwycięstw. Juliusz II. odniósł jeszcze większe, bo nad sobą samym zyskane; takiem np. było wystawienie pysznego grobowca dłuta Sansovina w Santa Maria del Popolo, rodzinnym przybytku Roverów, kardynałowi Ascanio Sforza, który przez życie całe był jego najgorętszym rywalem i wrogiem. Zwycięstwem również było solenne rozgrzeszenie od klątwy, udzielone Alfonsowi d'Este, księciu Ferrary, temu samemu, co z bolońskiego posągu papieża kazał był ulać trzy działa i największemu imię Julia nadawszy, strzelał nim przeciw wojskom papieskim. Alfonso sam zły i okrutny, był mężem sławnej

a osławionej niesłusznie Lukrecyi Borgia. Nie wiadomo, czemu tak się złość potomności na tę kobietę uwzięła, gdyż współcześni tylko korzystnie wyrażali się o niej. „Rycerz bez skazy", Bayard nazywał ją „perłą tego świata"; inni pisali, że była „piękna, dobra i uprzejma dla wszystkich"; z zachowanych zaś listów lekarzy, zdających przez czas dłuższy teściowi jej sprawę ze stanu jej zdrowia, wynikałoby, że była nieco kapryśną, jak rozpieszczone dziecko, ale istotnie dobrą, absolutnie niezdolną do zbrodni, których cień padał na nią od strasznego jej brata Cezara.

Jak sławie Lukrecyi zaszkodził brat, tak Juliuszowi II. szkodził przyjaciel kardynał Alidosi, który mu niegdyś pono życie uratował, za co się Rovere przez długie lata dobrodziejstwami odpłacał. Miał to być wszakże człowiek chciwy, zdzierca i kłamca, znienawidzony od wszystkich, po części może, jak przypuszcza p. Klaczko, z powodu zazdrości, jaką wzbudzała jego przewaga u dworu. „Jakże bowiem mógł Rovere o tem wszystkiem złem nie wiedzieć, a jeżeli wiedział, jakże mógł obojętnym pozostać, on, który nie był nigdy okrutnym ani złośliwym, który obok swej porywczości zawsze prawie dawał dowody prawdziwej wielkoduszności?" Śmierć Alidosiego przypadła wśród innych nieszczęść, bo niemal równocześnie z utratą Bolonii i ogłoszeniem schizmatyckiego soboru; była jednak najboleśniejszym z tych ciosów. Alidosi padł zamordowany własną ręką młodego księcia z Urbino, owego Francesca Maria della Rovere, synowca papieża. Juliusz II. bolał niezmiernie, ale i tej krzywdy nie pomścił. Nie dziw więc, że gdy 20 lutego 1513 r. leżał na łożu śmiertelnem, dokoła niego rzewne rozlegały się łkania. Od początku roku już nie opuszczał swego pokoju; z okien nawet nie widział urządzonej na cześć jego owacyi: przepysznego pochodu, złożonego z paru tysięcy ludzi konnych i pieszych, przedstawicieli wszystkich władz i mieszkańców Rzymu, oraz tryumfalnych wozów z alegoryami najważniejszych wypadków ostatnich lat, odniesionych zwycięstw, odzyskanych miast i Italii oswobodzonej od obcej przemocy. Procesyę zamykała kawalkata dwustu pacholąt z najstarszych rodzin Rzymu: „ci nie nosili

masek — pisze współczesny — ale na ramieniu lub piersiach wypisane nazwiska bohaterów, od których ród ich pochodził, nazwiska Fabiuszów, Horacyuszów, Curiacych, Kamillów, Decyuszów, Torquatów. Matki i krewni młodzieńców patrzyli na nich z okien i balkonów, wydając okrzyki radości na widok tego wspaniałego potomstwa, zwiastującego ludowi nadzieję wskrzeszenia chwały praojców, od tylu wieków zaćmionej.

Tryumf ten przychodził dla Juliusza II. za pożno. Dnia 4 lutego wezwał swego ochmistrza dworu, Paris de Grassis, oświadczył mu, że wie, iż umiera, i tylko Bogu dziękuje, że mu pozwala kończyć nie nagłą śmiercią, jak to się paru jego poprzednikom zdarzyło. Wydał rozporządzenie co do pogrzebu, prosząc, aby ciała jego nie opuszczono, ale też oszczędzono honorów i zbytków, na które nie zasłużył, gdyż przez całe życie był wielkim grzesznikiem. Kazał tymczasowo złożyć zwłoki w kaplicy Sykstusa IV. u św. Piotra zanim obstalowany przezeń grobowiec nie będzie skończony, już w chorobie bowiem ponowił był z Michałem Aniołem układy, tym razem jednak pomnik miał być o wiele skromniejszy i tańszy. Do ostatniej chwili nie przestał trudnić się sprawami Kościoła i państwa, przyjmując ambasadorów i układając program posiedzeń soboru, na których już obecnym być nie mógł. Jeszcze 19-go podpisał bullę, ustanawiającą i uposażającą szkołę kościelnego śpiewu, „iżby nabożeństwa u św. Piotra należycie były odprawiane“. Nazajutrz 20-go, po przyjęciu sakramentów św., wezwał do swego łoża wszystkich, obecnych w Rzymie kardynałów, aby się z nimi pożegnać. Upokorzył się, prosił o modlitwy, zaklinał, aby żyli w bojaźni Bożej i według przepisów Kościoła godnego mu następcę obrali, nie przypuszczając do *conclave* wyklętych odszczepieńców pizańskich. Tym jako człowiek przebaczał, ale jako papież zmuszony był prawa kanoniczne utrzymać... Całą tę mowę wypowiedział po łacinie, głośno i silnie, jak gdyby w konsystorzu przemawiał. Wielu z obecnych kardynałów nie lubiło go: ich miękkim a wykwintnym naturom południowym ciężył ten wódz niezmordowany i twardy, który ich narażał na trudy wojenne i na adjutantów zamieniał. A jednak gdy jeden po drugim przy-

stępowali doń, aby mu ucałować ręce i błogosławieństwo odebrać, nie było żadnego z pomiędzy nich, któregoby twarz nie zalała się łzami...

Grób Juliusza II. nigdy wykończonym nie został. „Po dziś dzień spoczywa u św. Piotra, u stóp Sykstusa IV., bez napisu, ni znaku, on, ów *pontefice terribile*, który pierwszy podniósł podwójne, tragiczne zadanie: wolności Włoch i niezawisłości Stolicy św. Po półczwarta wieku zadanie stanęło znów przed nami, wielkie i straszne; lecz tym razem to „barbarzyńcy“ — ci znienawidzeni w r. 1512 Gallowie — oswobodzili Italię, a wolna Italia zniszczyła stworzoną przez Juliusza II. władzę doczesną!... *Il giuoco del mondo*“.

Temi słowy kończy wielki autor swe dzieło, do którego chyba nie godzi się nam słów własnych dorzucać. Dzieło zresztą nie jest skończone; jest to pono pierwsza część tylko, po której ujrzymy dalszy bieg Odrodzenia, jego ostateczny błysk pod Leonem X., a potem przekwit i stopniowy upadek. Dwie były przyczyny, które zabiły Odrodzenie: Reformacya, która zwarzyła jego kwiat poezyi, i reforma katolicka, która jego soki pogańskie przepaliła w swym ogniu. Niemal równocześnie z Lutrem podniósł się wielki bojownik Chrystusów, św. Ignacy Loyola; pomiędzy temi dwoma potęgami, z których jedna niszczyła w niej, co było piękne, a druga, co było złe, biedny Renesans ostać się nie mógł. I on zresztą nie mógł trwać wiecznie; był jakoby ucztą, karnawałem umysłu ludzkiego, a przecież niepodobna, aby karnawał całe wieki zajmował. Było z nim, jak z zabawą: zrazu świeżość i uciecha, potem upojenie, następnie przesyt i — koniec. Nie wiemy, czyśmy trafili w niewypowiedzianą jeszcze myśl p. Klaczki, wiemy jednak, że po studyach o Juliuszu II., Buonarrotim i Rafaelu studyował długo i z wielkiem zajęciem dzieła św. Ignacego Loyoli...

T. W.

OBRAZKI Z NOWEJ POLSKI.

I. W puszczy.

Kogokolwiek losy w głąb puszczy brazylijskiej zapędzą, pożegnać się musi z dokładnym obrachunkiem swego czasu. Przytem jest to rzeczą obojętną zupełnie, czy na mapach widnieją tam białe plamy *terrenos desconhecidos*, czy też plamy te przecinają linie, zwane przez geografów, przy stoliku siedzących, „drogami“, kolejami lub liniami żeglugi parowej. Pojęcia powyższe mają bowiem wartość bardzo względną, o czem dopiero osobiste doświadczenie podróżnika przekonać może.

Ponad wszystkie mapy i środki komunikacyjne najnowszego typu, unosi się w tych stronach czysto brazylijska dewiza: *tem tempo* — „mamy czas!“ Nikt się tutaj nie spieszy, zwłoka kilkudniowa lub nawet kilkutygodniowa na uczęszczanym gościńcu należy tutaj do zjawisk tak pospolitych, że nikogo nie dziwi. *O caminho esta um pouco mao* („droga jest trochę zepsuta“) — mówi sobie brazylijski podróżny i czeka z filozoficznym spokojem aż się sama naprawi, niema bowiem ścieżki niedostępnej dla tutejszych niepozornych koników, o ile błoto wskutek deszczów długotrwałych nie stanie się tak głębokiem, iż w niem utonąć można. *Patiença* — powiada sobie Brazylianin — należy tylko zaczekać aż wyschnie... to takie proste! Dziwno mi tylko, dlaczego tak prostej zasady konserwacyi dróg krajowych u nas nie wprowadzą. Ustałyby utyskiwania na komisyę drogową, a z dewizą: „mamy czas!“ i „cierpliwości!“ ludzieby sobie żyli równie

wygodnie, jak brazylijski *caboco*, nieznający tak wybrednych wymysłów europejskich, jak meble, dach cały nad głową, dobre pożywienie, poczty, telegrafy, koleje i tym podobne dzikie fantazye wydelikaconych i przenerwowanych Europejczyków. Brazylianin swoją filozofię życiową streszcza w jednym wyrazie: *patiença*. Zazwyczaj wymieniają Anglików jako najflegmatyczniejszy naród na świecie; kto tak twierdzi, nie widział nigdy Brazylianina w całej pełni jego flegmy i cierpliwości. Widziałem nieraz karawany, obozujące tygodniami całemi przy wielkiej kałuży, w oczekiwaniu, aż kałuża wyschnie. Brazylianinowi przez myśl nawet nie przejdzie, iż przez ten czas gromada bezczynnie czekających zmiłowania Bożego parobków mogłaby z łatwością dziesięć takich kałuż zasypać. Widziałem materyały do naprawy zepsutego mostku latami gnijące na brzegu z powodu niedołęstwa władz powiatowych, a żadnej karawanie, tracącej czas nad brzegiem wezbranego strumienia, nie przyszło na myśl zabrać się samym do naprawy, nieraz bardzo drobnej, boć przecie mostek sam się nie naprawi, a zanim się coś u władz miejscowych wykołacze, lata minąć mogą. Brazylijski poganiacz zadowolni się jakiem dosadnem przekleństwem pod adresem rządu, a na zapytanie, dlaczego sam sobie drogi nie naprawi, zamiast czekać tygodnie całe w polu, odpowie niemylnie, popijając *hervę mate: nao e meu negocio* („nie moja rzecz“).

Do podobnych refleksyj skłoniła nas nagła przeszkoda w podróży po koloniach polskich nad Iguassu, która najbardziej mego towarzysza, księdza W., przyzwyczajonego do załatwiania po amerykańsku wszelkich spraw telegrafem i koleją, doprowadzała do irytacyi. Ja, stary podróżnik jużem miał czas z tego rodzaju wypadkami się ostrzelać.

Bo proszę sobie wyobrazić kombinacyę taką: w osadzie S. Matheus, dokąd, z powodu przerwy w żegludze parowej, dostaliśmy się łodzią wiosłową po dwudniowej podróży, napróżno czekaliśmy na podniesienie się stanu wody w rzece i wznowienie żeglugi. Wyruszyliśmy więc dalej w dół rzeki konno w nadziei dotarcia na grzbiecie naszych kuców aż do końca kolonij w Jangada. Tymczasem po kilku dniach deszczów przybiera

woda w małym potoku Putinga, któryśmy w bród przebyli, a który teraz ma blizko pół mili szerokości i odcina nam powrót, dalsza zaś droga lądowa do Porto Uniao staje się wskutek deszczów, według krajowego wyrażenia, *um pouco mao* — to znaczy wprost nie do przebycia. Jedyna droga wolna prowadzi z Rio Claro do przystani Barrafeia nad Iguassu, w której też na wznowienie żeglugi parowej czekać z konieczności musimy. O telegrafie nie słyszano jeszcze w tej głuszy, wiadomości wobec przerwy komunikacyi nie dochodzą żadne. Deszcz leje od tygodnia bez przerwy. W gościnnym domu pp. Kamińskich w Rio Claro pozostawać nie możemy, bo stamtąd do przystani przeszło mila drogi, a parowce nie są sygnalizowane zawczasu i trzeba je chwytać w przejeździe. Pozostawiwszy więc nasze Rozynanty na opiece pp. Kamińskiego i Festenburga w Rio Claro, przenosimy nasze tobołki do Barrafeia.

Owo Barra-feia (brzydki próg), brzydko na prawdę się przedstawia: kilka nędznych lepianek z tarcic, służących za składy towarów i sklepiki *(vendas)*, gdzie dostanie wódki, sardynek, cukierków, bez których Brazylianin obejść się nie może, oraz towarów łokciowych, galanteryjnych, gotowej odzieży, obuwia, broni i amunicyi — oto cała osada. Przystań najzupełniej pierwotna, bez jakichkolwiek urządzeń do wyładowania towarów i ludzi. Szeroko rozlana rzeka Iguassu połyskuje u stóp urwistego brzegu, mieniąc się pod wiatru podmuchem niby łuską srebrzystą na ciemnozielonem tle odbitych w jej spokojnych wodach lasów nadbrzeżnych. Po obu jej brzegach nieprzebyta dziewicza puszcza, w której tylko zwierz dziki i dzikszy jeszcze Indyanin *coroado* mają swoje siedliska. Szeroka, prosta jak strzelił droga, urągająca elementarnym pojęciom sztuki inżynierskiej, prowadzi przez mocno falistą okolicę stąd do polskiej kolonii Rio Claro, a koloniści, wzdłuż drogi tej osiedleni, toporem i ogniem wydzierają każdą piędź ziemi bezbrzeżnej puszczy, zazdrośnie okrywającej swemi zielonemi splotami każdy, chociażby na krótko zaniedbany skrawek ziemi.

Na gościńcu tym ruch dość znaczny: kilka furmanek odstawia do Rio Claro przywiezione z miasta towary: mąkę, cu-

kier, wódkę, towary łokciowe; karawany jucznych mułów z wielkiemi wyplatanemi z bambusu koszami na grzbiecie, niosą, pobrzękując dzwonkami, ładunki *herva mate* i skór surowych do przystani; gromadki robotników o płowych słowiańskich czuprynach z najrozmaitszych stron dawnej rzeczypospolitej tu zgromadzonych, pracują pod dozorem portugalskich oberwusów nad karczunkiem lasu i zakładaniem nowego gościńca. Kilkunastu Brazylianów różnej płci i wieku, otulonych w tabaczkowej barwy pasiaste *ponchos*, równie jak my, oczekuje środka wydobycia się z puszczy, flegmatycznie smokcząc *mate* i hałaśliwie rozprawiając o polityce. Jest to jedyny przedmiot rozmowy, zdolny tych flegmatycznych mieszkańców puszczy roznamiętnić tak dalece, iż z żywej gestykulacyi i wymachiwania sobie pięściami pod nosem nieraz do noży się biorą. A polityka tutaj zwłaszcza, nad dolnym biegiem Iguassu, bardzo gorąco się bierze: tutaj bowiem było pole niedawnych krwawych zapasów powstańców pod wodzą dzielnego jenerała Gomercindo Saraiva z tak zwaną armią regularną, której dyscypliny i wyglądu nawet tureccy baszybozuki by się powstydzili... Stronnictwo rządowe, zwane pogardliwie *pica-pau* (dzięcioły), w niedostępnych tych puszczach czuje się słabem wobec nieprzychylnego sobie usposobienia półdzikich i nieznających urzędowego hamulca pastuchów *(gauchos)*, z wielką butą paradujących w niewymownie szerokich, radykalnie czerwonych szarawarach, podług mody powstańczej skrojonych, obnosząc po świecie bardzo srogie miny i równie srogie pistolety i noże za pasem. „Liberalna“ owa opozycya dziwnym zbiegiem okoliczności nosi zarazem miano stronnictwa „federalistów“, jakkolwiek podług konstytucyi, co prawda, istniejącej tylko na papierze, rzeczpospolita brazylijska nosi urzędową nazwę *Estados unidos do Brazil*, więc federalistami powinniby być właściwie rządzący. Ciż sami „liberałowie“ noszą także miano stronnictwa „imperyalistów“, co znowu z mianem „liberałów“ nie bardzo licuje. Trzeba jednak pewnego czasu, aby Europejczyk był w stanie wśród chaosu tutejszych stronnictw politycznych się zoryentować. Do trzech nazw wyżej wymienionych dodać jeszcze należy czwartą, nieurzędową: *maragatos*, jak libera-

łów pogardliwie rządowcy nazywają. Wogóle należy pamiętać o tem, iż tak samo, jak w Ameryce północnej „demokraci“ nie mają nic wspólnego z demokracyą, a nazwę swą przyjęli tylko jako sposób odróżnienia się od „republikanów“, tak też we wszystkich krajach Ameryki południowej istnieją zawsze dwa wrogie, walczące ze sobą o władzę stronnictwa, przybierające nieraz najdziwaczniejsze i najmniej stosowne dla swoich celów nazwy, w gruncie rzeczy bowiem jedyną pomiędzy niemi różnicą jest, iż jedni są u steru i kradną rządowe pieniądze, gdy drudzy czują w sobie talent w tym kierunku równie wielki i chcieliby zająć miejsce tamtych. Jeden z najwybitniejszych brazylijskich powieściopisarzy, Joachim Macedo, w świetnej satyrze swojej *A carteira do meu tio* („Pugilares mego wuja“), określa brazylijską politykę bardzo drastycznie w postaci stada nierogacizny, któremu dano kukurudzę w zbyt ciasnym chlewku: świnki, które są w środku, przy żłobie — to nasyceni „konserwatyści“; te zaś które pozostały na zewnątrz i chciałyby się również do żłobu dostać: „liberałowie“ i malkontenci.

Tymczasem jednak nieustająca słota, przecinająca wszelką komunikacyę ze światem, pogodziła pod dachem paru sklepików, w których krajowym obyczajem sprzedają obok towarów łokciowych także i wódkę, liberałów i konserwatystów, republikanów i imperyalistów, nacyonalistów i zwolenników Europy, którzy wojują nieszkodliwie tylko językiem przy kieliszku *kaszasu* i tykwie *mate*.

Jakkolwiek Barrafeia jest dość ważną przystanią, a w wielu mniejszych nawet osadach istnieją zajazdy, szumnie „hotelami“ zwane, panuje tutaj jeszcze patryarchalny obyczaj korzystania z gościnności pierwszego lepszego, mniej więcej znajomego mieszkańca. Nie mając w tym wielkim grodzie nikogo, a zmuszeni szukać dachu i wiktu na dni kilka, rozpytaliśmy się przedewszystkiem, czy niema przypadkiem jakiego Polaka, a że był taki i miał *wendę* na wzgórku opodal, więc jak w dym do p. Zawadzkiego: „Łaskawco, schowaj nas przed deszczem na czas nieokreślony“.

Ciasno bo ciasno, ale serdeczna gościnność gospodarza to

setnie wynagradza. Izba nieduża, zawalona całkowicie towarami, obok malutka alkowa; umeblowanie całkowite stanowi stół i parę stołków. Przez otwarte drzwi widać w dole rozrzuconą osadę i szeroką wstęgę Iguassu w zielonych ramach odwiecznego lasu.

Śpimy oczywiście na podłodze, za pościel mając kulbaki i burki, stołujemy się „czem chata bogata“, czarną fasolą i suszonem mięsem z nieodłączną *hervą* i zabawiamy się gawędą z polskimi kolonistami, którzy na dziarskich małych konikach, przebrani już z brazylijska w *poncho* i żółte papucze, zaglądają nieustannie na kieliszeczek gorzałki i oględziny „delegatów z Polski“. Niektórzy Rusini galicyjscy są głęboko przekonani, iż jestem przebranym arcyksięciem Rudolfem we własnej osobie, i z pokornemi minami dają mi do zrozumienia, iż umieją uszanować moje *incognito*. Nie pomaga nawet okoliczność, iż jest pomiędzy nimi kilku, którzy mię ze Lwowa znają. Na wszelkie argumenty odpowiadają z tajemniczą miną: *ta my wże znajemo*, tytułując mię JW. panem gubernatorem z nadzwyczajną rewerencyą i dopytując się uporczywie: *koły do nas nasz Najjaśnijszyj Pan pryjide!* Nie było sposobu wytłumaczyć im, że Parana nie jest integralną częścią austro-węgierskiej monarchii, kupioną przez cesarza dla galicyjskich chłopów.

Wszystko jednak ma swój koniec, więc i cierpliwość nasza, nie tak bezdenna, jak Brazylianów, wyczerpała się nareszcie: chcemy za jakąbądź cenę z Barrafeia się wydostać. Łatwiej to jednak powiedzieć, niż wykonać: droga lądowa na wszystkie strony przerwana całkowicie; o parowcach nic nie słychać, a za wynajęcie czółna, wydrążonego z jednej kłody, jakiś stary murzyn ma bezczelność żądać kwoty, za jaką trzy takie czółna w zwykłym czasie kupić można.

Nareszcie nadchodzi zbawienie z najmniej spodziewanej strony. Któregoś wieczora, kiedyśmy się już do snu zabierali, pojawił się w sklepie niepokaźnie wyglądający staruszek, rozpytując się, czy tutaj jest ksiądz. Na twierdzącą odpowiedź, zdziwiony nieco cywilnym strojem mego towarzysza — w Brazylii bowiem duchowni zawsze chodzą w sutannach — z wielką

rewerencyą uchylił kapelusza, zapytując księdza W., czy on potrafi także i dzieci ochrzcić?

— Naturalnie — powiada mój towarzysz.

— A ślub dawać Wasza Wielebność umie?

— I owszem...

— A wieleby Wasza Wielebność żądała za wstąpienie po drodze do mojej ubogiej chatki i ochrzczenie kilkorga dzieci?

Targ w targ, stanęło na tem, iż Dom Daniel zobowiązuje się odstawić nas obu wraz z trzecim przygodnym towarzyszem, handlarzem *herry mate*, do Porto Uniao w jakibądź sposób, za to zaś ksiądz W. ochrzci mu wszystkie dzieci, jakie się po drodze trafią.

Znów elegancki ukłon:

— *Ate amanha, cabalheiros!*

Twarz starca uderzająco wyrazista, o szlachetnych, czysto europejskich rysach, co jest wielką osobliwością wśród rodowitych Brazylianów, zdradzających zawsze pewną domieszkę krwi murzyńskiej. Niewielkiego wzrostu, krzepki i rzeźki, o bujnych kręconych włosach i długiej białej brodzie, zaintrygował nas też bardzo wielką dystynkcyą ruchów i pełnym godności wyrazem, jakie zazwyczaj tylko u rodowitych Hiszpanów spotkać można. Strój Dom Daniela stanowił dziwny kontrast z arystokratyczną powierzchownością hidalga: miał na sobie zmięty i poplamiony filcowy kapelusz nieokreślonej barwy, zniszczoną derkę zamiast opończy, łatane barchanowe spodnie i trepki o drewnianej podeszwie na bosych, niezwykle kształtnych i małych stopach. Zdumienie nasze wzrosło, gdyśmy się dowiedzieli, iż Dom Daniel jest jednym z najbogatszych obywateli okolicznych, posiadającym kilka mil kwadratowych ziemi, oraz niezliczone stada bydła i koni.

Nazajutrz raniutko byliśmy w przystani. Wypogodziło się nieco, deszcz ustał. Woda w rzece przybywała znacznie, nadzieja nadejścia parowca rośnie.

Oczekiwała nas wielka łódź kryta, z czterema tęgimi wioślarzami, i ugrzeczniony, pełen attencyi Dom Daniel, który starał się nam pogawędką czas uprzyjemnić, nieustanie przytem

częstując przeróżnemi specyałami, w jakie się był na drogę na uczczenie tak zacnych gości zaopatrzył: więc nieodłączne sardynki, włoskie salami, konserwy ananasowe, przeplatane cmoktaniem *hervy mate* z obchodzącej kolejno z rąk do rąk tykwy.

Wioślarze, Mazurzy, ochoczo chwycili za ciężkie wiosła i wśród wesołych gwarów i śmiechów ruszyliśmy w drogę. Przygodny nasz towarzysz, handlarz *hervy*, który się pomiędzy nami w niewytłumaczony sposób, wprost bez pytania znalazł, ust nie zamyka na chwilę, a ma o czem opowiadać, bo to nielada bywalec, kawał świata zwiedził. Był nawet w Rio Janeiro, stolicy świata w mniemaniu Brazylianów, widział prawdziwego Anglika, słyszał prawdziwą włoską operę i prawdziwe paryskie szansonistki. Dom Daniel, stojąc przy sterze, słucha go z natężoną uwagą, boć to nielada gratka w tej głuszy podobnego bywalca spotkać.

Stopniowo rozmowa schodzi na nieuniknioną w Brazylii politykę i wymyślanie obecnemu rządowi konserwatywnych republikanów. Zarówno kupiec *hervy*, jak Dom Daniel, należą oczywiście do opozycyi liberalnej czyli cesarskiej i co chwila słyszymy zapewnienia uroczyste: *eu soy liberal*. Co prawda, liberalny imperyalizm w zestawieniu z konserwatywnym republikanizmem brzmi dość dziwnie w uchu Europejczyka, ale tutaj nikogo to nie razi.

Okolica, którą płyniemy, świeżo jeszcze była widownią krwawych zapasów wojennych i ostatecznej porażki powstańców, a dzikie, krwawe epizody tej walki, więcej przypominające mordowanie się dzikich Indyan pomiędzy sobą, aniżeli wojnę ludzi cywilizowanych, żyją tutaj jeszcze w świeżej wszystkich pamięci. Że zaś w epizodach tych Polacy odegrali wybitną, choć nie zawsze zaszczytną rolę, o czem kiedyindziej pomówić zamierzam, rozmowa zeszła stopniowo na kwestyę osadnictwa europejskiego w ogólności, a polskiego w szczególności. Dom Ruiz, ów kupiec *hervy*, jest entuzyastycznym polskiej immigracyi zwolennikiem, w czem daje oczywisty dowód swej politycznej nielojalności wobec republikańskiego rządu nacyonalistów,

usiłującego wszelkiemi siłami prąd immigracyi polskiej powstrzymać.

Ale bo też Dom Ruiz posiada realne powody do wzbudzenia w sobie polskich sympatyj: „Wyobraź pan sobie — mówi do mnie np. z takim wyrazem, jakby nie do Polaka, ale do Eskimosa mówił — co ci Polacy potrafią: mam naprzykład u siebie prostą babę, *una simple baba*, która nawet po portugalsku nie rozumie, a czy dasz pan wiarę, że ta prosta baba umie robić masło! I to nie do uwierzenia — z mleka je przyrządza! A co najważniejsza, to że masło jej jest lepsze, aniżeli prawdziwe angielskie, które tak drogo w sklepach płacimy". Dla wyjaśnienia powiedzieć należy, iż mowa tu o obrzydliwej angielskiej margarynie, przysyłanej w puszkach blaszanych, a uchodzącej za delikates; nadto dodać jeszcze muszę, iż wyraz portugalski *manteiga*, oznacza zarówno masło, jak szmalec wieprzowy, stąd zrozumiałe zdziwienie mego Brazylianina, że szmalec można z mleka wyrabiać. „Mówię szczerze — prawił dalej Dom Ruiz — że Polacy do nas kulturę przynieśli: mieszkaliśmy w chlewach raczej niż w domach, oni nas nauczyli ludzkie domy budować, a ile razy zobaczysz pan u nas porządną, z tarcic wystawioną chałupę, możesz pan być pewnym, iż ją Polacy wystawili. Albo z *hervą!* Myśmy zawsze myśleli, że zbieranie i suszenie tej rośliny jest specyalnym sekretem półdzikich *cabocos* naszych, tymczasem dzisiaj wszyscy nie używamy do tej pracy innego robotnika, jak Polaków, i jako specyalista, towarem tym handlujący, mogę pana zapewnić, że polska *herva* o całego milrejsa na koszu posiada wyższą w handlu cenę. A chleb! Przecieśmy tu przed kilkoma laty ten delikatny przysmak znali zaledwie ze słyszenia, rozumie się nie w Rio, boć w stolicy ludzie żyją na europejski sposób, nie tak, jak my *cabocos* leśni, ale tutaj nikt nawet nie wiedział z początku, co to jest; naigrawano się z Polaków, że nie umieją po naszemu łykać suchej *farinhi* i tyle sobie zadają trudu, aby mąkę wypiekać, zamiast jeść ją naszym zwyczajem na surowo... Dzisiaj znamy już wartość tego pożywienia, ale sami piec go jeszcze nie umiemy; dostarczają nam chleba od wielkiego święta znowu Polacy!

A tartaki, a młyny, a drogi kołowe, kto o takich zbytkach dawniej tutaj słyszał! Wreszcie któż jak nie Polacy wyparli dzikich Bugrów z ich siedzib odwiecznych, których się Włosi i Niemcy ruszyć obawiali. Tak, panie — zakończył uroczystym głosem — polskie osadnictwo dla naszego kraju to postęp, cywilizacya, dobrobyt i rozwój ekonomiczny; czyż nie prawda, Dom Danielu?"

Dom Daniel, któremu Polacy podczas rewolucyi zamordowali krewniaka i wystrzelali połowę bydła, nie zupełnie w duszy podzielał zapał swego interlokutora, ale przez grzeczność potakiwał, od czasu do czasu częstując wódeczką lub tykwą *mate*.

Dom Ruiz upajał się własnem krasomówstwem, na mnie jednak tyrady owe, zbyt przesadne i nieszczere, wywierały wrażenie monotonnego brzęczenia, które mi nie przeszkadzało wcale w kontemplacyi wspaniałej przyrody, jaką mieliśmy nieustannie przed oczyma.

Krajobraz południowo-brazylijskiej puszczy jest bardzo jednostajny, zwłaszcza gdy gęste zarośla nadbrzeżne dalsze zasłaniają widoki. Brzegi rzeki urwiste, wysokie na kilkanaście metrów, aż do samej powierzchni wody pokryte ciemnozielonym gąszczem splecionych ze sobą w nieprzebytą siatkę krzewów i lian przeróżnych. Na wyższych i suchych miejscach wyglądają ciemne sylwetki araukaryj, robiące dziwaczne wrażenie olbrzymiego kwiatu marchwi czy pietruszki: wysoki, równy pień bez gałęzi, zakończony u szczytu koroną świecznikowato ku górze wygiętych, nierozgałęzionych konarów, z pękami długich, ciemnych igieł na samym czubku. Dziwna to roślina — za młodu przypomina mniej lub więcej świerk swym kształtem ogólnym, w średnim wieku włoską pinię, a na starość świecznik wieloramienny. Później i ten ostatni wieniec konarów tak samo jak poprzednie odpada i drzewo umiera jak palmy, stercząc wśród lasu nakształt olbrzymiego, gładkiego słupa.

Araukaryowe lasy cechują, jak u nas sosna, grunta lekkie i przepuszczalne, należące do gorszych w tym kraju. Na lekkich a przytem wilgotnych gruntach miejsce araukaryj zastępują bambusy: pojedyncze kępy tej olbrzymiej trzciny, użyte jako

ozdoba ogrodu, są niezwykle piękne, robiąc wrażenie potężnego bukietu, osłoniętego bladozieloną, cienistą, gęstą koroną wązkich i drobnych listków. Komu jednak bambus wśród puszczy wszedł w drogę, zapomni prędko o jego malowniczości, tak uciążliwym jest gąszcz taki do przebycia. Kępy bambusu rosną tak gęsto przy sobie, że przedrzeć się pomiędzy niemi wprost niepodobna, nie wyrąbawszy sobie uprzednio kordelasem, bez którego nikt, nawet małe dzieci, tutaj nie chodzi, wązkiej ścieżki *(picada)*, przyczem ścięte kilkumetrowe łodygi spadają nam na głowę i tamują przejście, a zawarta wewnątrz cuchnąca woda deszczowa oczy zalewa. Dodajmy jeszcze, że ścięte przy ziemi łodygi latami całemi zachowują twardość swej zewnętrznej powłoki tak wielką, że skrawków bambusu dzicy używają do golenia sobie głowy, a bose stopy przechodniów muszą odbywać niekiedy prawdziwy taniec wśród mieczów na podobnej drodze.

Po monotonii bambusów i araukaryj, oko odpoczywa z przyjemnością na ciemnozielonych płatach gąszczów liściastych, w których botanik miałby co zbierać przez lata całe; tyle tu rozmaitości, tyle barwnego kwiecia i bujnej zieleni. Potężne pnie „imbuyas“ *(Bignonia)*, z kształtu podobne do rozłożystych, starych dębów, pnie, na których topór osadnika się szczerbi, wznoszą dumne swe głowy z pośród splecionych gąszczów akacyj i mirtów, paproci drzewiastych, draceny, palm, kwitnących fijołkowo szalij i rododendronów, splecionych siecią lian, niby pękami grubych, pokręconych postronków i cienką sznurową siatką, przez którą nawet przy pomocy noża przedrzeć się jest sztuką, wymagającą długoletniej wprawy i przyzwyczajenia. Olbrzymie zwały nawpół spróchniałych, pasorzytami obrosłych wywrotów, powiązane z lasem lianami, dochodzącemi nieraz grubości ręki ludzkiej, tamują drogę na każdym kroku. A co tu kwiecia! Fijołkowe i ponsowe *tillandsie*, zielone pióropusze najdziwaczniejszych paproci i aronów; wśród lian potworne sploty wielkolistnych filodendronów. Niektóre pnie starych drzew literalnie okryte żółcącą się lub bielejącą od niezliczonej ilości kwiatów powłoką kwitnących storczyków. Ponad morzem gęstej zieleni, wznosi swe duże, pióropusze wysmukła „palmita“ *(Astracaria)*,

niebotyczne „cedry“ *(Cedrela)*, o korze głęboko, jak u akacyj pooranej bruzdami, i liściach kształtu włoskiego orzecha, poszukiwana w handlu jako gorszy gatunek mahoniu i wyborny budulec. Tu znów olbrzymia *canela* lub *jacaranda* (palisander), upięte festonami pasorzytów od szczytu do podstawy i literalnie otulona w zielony płaszcz żółto kwitnących storczyków.

Nad nami z wrzaskiem piekielnym przelatuje stado wspaniałych ponsowych papug *(ara)*, z głębi lasu dochodzi płaczliwy głos tukanów, na szczycie drzew nadbrzeżnych odbywają swe hałaśliwe sejmiki czarnożółte kacyki *(icterus)* lub poważnie spacerują, wyciągając ciekawie główki szare leśne indyki *(penelope)*. Na wodzie znów świat odmienny: duże, czarnozielone kormorany, nadzwyczaj czujne, zrywają się przed nami na każdym zakręcie rzeki z gałęzi nadbrzeżnych krzaków i kamieni, ciężko, jak kaczki klapiąc po wodzie skrzydłami, aby na następnym zakręcie to samo powtórzyć. Prześliczne, srebrzyste czaple szybują nad nami; duże, siwe zimorodki z powagą patrzą do wody, spuściwszy pionowo swoje długie dzióby, i nie zwracając na nas najmniejszej uwagi. Czasami dostrzegamy z daleka głowę jakiegoś zwierza — sarny, lisa, wydry lub tapira, przepływającego rzekę, aby lekkim susem, strzepnąwszy się tylko po kąpieli, zniknąć w zaroślach. Najcharakterystyczniej wyglądają poważne i ociężałe „kapibary“ *(Hydrochoerus)*, czyli świnki wodne, rodzaj wielkiego gryzonia, które gromadami całemi siedzą nad wodą w zacisznych i cienistych miejscach, lub z rozkoszą tarzają się w błocie. Spłoszone, dają natychmiast nurka do wody. W bardziej zaludnionych okolicach, tępią je jako szkodniki; tutaj jeszcze nie boją się one ludzi i patrzą na przepływającą łódź apatycznie swemi szklanemi, bezmyślnemi ślepiami z tak blizka, że z rewolweru strzelać je można. Niekiedy wśród gąszczu leśnego wyjrzy ciekawie gromadka małp, znikając z błyskawiczną szybkością za dostrzeżeniem nieprzyjaciela.

Na mokrych od deszczu liściach krzewów nadbrzeżnych siedzą senne *Heliconie* o barwnych, przejrzystych skrzydełkach, niekiedy z krzaków wyfrunie olbrzymi *Morpho*, ociężałym i nie-

równym swym lotem przybierający pozór unoszonego wiatrem, mieniącego się pięknie błękitnego papierka.

Życie wre gdzieś ukryte w niedostępnych gąszczach: zwierzęta, ptaki, motyle wiodą tu spokojny żywot, niewidzialne dla ludzkiego oka. Człowieka natomiast rzadkie tylko ślady.

Co kilka godzin zaledwie dostrzedz można zieloną polanę, pełną zwęglonych pni drzewnych, a pośród nich samotne, ubożuchne *ranchos* leśnych osadników, t. zw. *cabocos*, których okazem jest nasz uprzejmy gospodarz — Dom Daniel. Znać, iż rzeka jest tutaj, jak w początkach cywilizacyi europejskiej, jedynym środkiem komunikacyjnym. Na jej brzegu tulą się ubogie szałasy *cabocos*, po jej wodach snują wielkie łodzie z jednej kłody wydrążone, które, pomimo pierwotnej swej formy, zaledwie od lat kilkunastu na Iguassu się pojawiły, Indyanie bowiem tutejsi z plemienia *Coroados (Bugres)* użytku łodzi nie znają wcale, kryjąc się wśród gór i lasów niedostępnych, a biada białemu przybyszowi, któryby się przez pustą ciekawość zanadto do ich siedzib zbliżył. Śmiałka czekają na wszystkich ścieżkach starannie zamaskowane zasadzki, niby wilcze doły, a strzała mordercza z niewidzialnej wypuszczona ręki, przeszyje go, zanim zdoła rozpoznać w gęstwinie obecność nieprzyjaciela.

Ciekawy rys charakteru Bugrów polega na tem, iż jakkolwiek bitni i do rabunku skłonni, żyją we względnej zgodzie sąsiedzkiej z kolonistami polskimi, nie szukając z nimi zaczepki, gdy natomiast z Brazylianami toczą walkę na śmierć i życie — walkę, podsycaną tradycyą dawnych polowań na niewolników i krwawych za nie odwetów na białych osadnikach. Z tem wszystkiem jednak, jeżeli biały osadnik, chociażby Brazylianin, szanuje nietykalność terytoryów, które Indyanie za swoje uznają, tj. ani się na takowych osiedla, ani zbiera *hervę mate* — pozostawiają go w spokoju. O pół mili od fermy Dom Daniela, na wzgórku, który z domu jak na dłoni widać, żyje od dawna całe pokolenie Bugrów, którzy osadnika tego ani jego dobytku nigdy nie tknęli, a w razie spotkania w lesie witali przyjaznem *compadre* (kumie). Raz jeden z synów fermera chciał się osiedlić na wzgórku Bugrów, obfitującym w *hervę mate*, i zbudował sobie

w tym celu barak. Przez dwie noce z kolei Indyanie wyprawiali mu pode drzwiami piekielną wrzawę, a kiedy, usłuchawszy tego przyjaznego ostrzeżenia, barak opuścił, natychmiast go spalili. Gdyby był nie usłuchał, jak to w podobnych wypadkach czynią koloniści na indyjskich terytoryach osiedleni, zamordowaliby go niewątpliwie, jako niedogodnego sobie intruza. W wypadkach podobnych, zdarzających się na koloniach polskich, wsuniętych w terytoryach indyjskich, dość często napad podobny wywołuje oczywiście silne represalia ze strony władz i kolonistów samych, wyprawę przeciwko Indyanom, rzeź całych pokoleń, a w dalszej konsekwencyi krwawą zemstę Indyan na wszystkich białych im dostępnych. W rezultacie koloniści, uzbrojeni w broń palną, zawsze muszą zwyciężyć dzikich, zbrojnych w kamienie, topory i łuki, którzy z głęboką urazą czekają tylko na sposobność krwawego odwetu.

Gdziekolwiek jednak koloniści nie idą zwartą masą, lecz siedzą o kilka mil od siebie, jak to u brazylijskich *rancheros* we zwyczaju, stosunek z Bugrami pozostaje na stopie sąsiedzkiej zgody przez lat dziesiątki, dopóki jaki krewki osadnik nie stworzy jakiegoś *casus belli*, przyczem niejedno *rancho* w perzynę obróconem być może.

Po kilkogodzinnej jeździe ujrzeliśmy przed sobą rozległą łąkę, przy brzegu kilka czółen, a opodal malutką szopę, około której kręciło się kilku ludzi. Pomimo *ponchos* i filcowych kapeluszy nie trudno było w ludziach tych rozpoznać chłopów z nad Wisły i Warty. Jeden parobczak z tobołkiem w ręku, dopytuje się, czy łódź do Barrafeia nie wraca, bo lądem z obawy Bugrów iść za nic w świecie się nie odważy. Okazuje się, iż na przebycie paru mil drogi chłopak czeka „okazyi“ już drugi miesiąc. Bodaj to brazylijska *patiença* i *tem tempo!*

Wielka łąka przed naszemi oczyma, na której pasą się pstre tabuny koni i wołów — to siedziba Dom Daniela, który od razu z uniżonego i ugrzecznionego *cabalheiro* przeistacza się w „pana“, przed którym z wielką attencyą i widocznym szacunkiem chylą głowy jego domownicy i czeladź. Nie poznajemy teraz cichego i pokornie zgarbionego staruszka: wyrósł nam

w oczach; słychać tylko krótkie, lakoniczne rozkazy, suche jak głos komendy przyzwyczajonego do rozkazywania wodza. W jednej chwili barkę uwiązano do drzewa, wysadzono pasażerów i bagaże na ląd, służba chwyciła nasze manatki i wśród rzęsistego deszczu puściliśmy się gęsiego przez mokradła do widniejącego w oddali *rancho*. Rączego konika, którego mu przyprowadzono, gospodarz z wielką kurtuazyą ofiaruje księdzu W., który jednak, nie bardzo mocny w sztuce trzymania się na grzbiecie rumaka, woli iść piechotą. Starzec, boso, z jednym tylko wielkim palcem wsadzonym w malutkie, srebrne strzemiona, dziarsko się trzyma na wesoło parskającym kasztanku, tworząc typ, przenoszący nas mimowoli gdzieś w zamierzchłe czasy naszych wojen kresowych, tyle jest jakiejś iście kozackiej buty i swobody w tym obdartusie o twarzy hiszpańskiego hidalga, na rączym, półdzikim rumaku, przybranym w rzęd wschodni, od srebra kapiący.

Dom Daniel prowadzi karawanę. Wkrótce od strony *rancho*, w pełnym galopie nadjechało dwóch tęgich wyrostków, synów starego Daniela. Przywitali ojca nie uchylając kapeluszy, i poklepawszy się wzajemnie czysto amerykańskim zwyczajem po plecach, złożyli mu raport gospodarski. Snać dobrze wypadł, bo stary, rzuciwszy jeszcze kilka pytań, skinął głową i ze zręcznością cyrkowego jeźdźca obróciwszy konia piruetem w miejscu, uchylił kapelusza, z wyszukaną grzecznością wskazując na widniejący w pobliżu budynek.

— *Aqui esta a minha pobre casa.*

Pobre casa, która w przekonaniu *cabocos* prawdopodobnie musiała uchodzić za wielkopański pałac, robiła w pierwszej chwili wrażenie szopy czy chlewa, a wrażenie to z blizka potęgowało się jeszcze.

W głębi obszernej zagrody, otoczonej ochronną palisadą od Indyan i dzikiego zwierza, przez cuchnące podwórze, brnąc po kostki w mieszaninie rozdeptanego czarnoziemu z gnojówką, dostajemy się nareszcie do „domu“, witani w progu z największemi attencyami przez liczną rodzinę — dzieci i wnuków Dom Daniela. Tak samo, jak u ojca, uderza mię niezwykle czysty typ

hiszpański tych ludzi, bez śladu domieszki krwi murzyńskiej lub indyjskiej: ogorzałe twarze, bujne, czarne włosy, piękne i ogniste oczy południowców, którychby tylko w wykwintny strój dworski przybrać należało, aby mieć złudzenie średniowiecznych grandów. Dumne postawy, swoboda ruchów, jaką tylko człowiek wolny, nieznający nad sobą żadnej władzy miewa, a do tego strój dziwaczny, właściwszy dla bandytów niż dla spokojnych obywateli; czyste, białe koszule krochmalne, przywdziane dla uczczenia dostojnych gości, spodnie z tandety, *poncho* w białe i żółte pasy, drewniane trepki na bosych stopach, wielki, kolorowy fular na szyi, szeroki kapelusz filcowy w ręku, a za pasem szerokim, z wydrowej skóry, wykładanej barwnym safianem, błyszczy kolosalnej długości dwururny pistolet i rękojeść szerokiego tasaka. Niektórzy mają strzelby kapiszonowe i palą co chwila na wiwat.

Pałac naszego amfitryona dalekim był od zadowolenia wymagań europejskich nawet najprostszych. Znać na nim było piętno wybitne krajowe, bez przyłożenia ręki cieśli polskich: obszerny czworobok z ustawionych na sztorc dranic, łupanych siekierą, przykryty śpiczastym dachem z liści palmowych. Deski, tworzące ścianę, stoją krzywo, nie są dopasowane wcale i pozostawiają pomiędzy sobą szpary, przez które wygodnie rękę przesadzić można — jak nas objaśniono — naumyślnie zostawione, aby dym z ogniska miał wolne z izby wyjście. Kominów ani pieców nigdzie tutaj nie znają; koloniści urządzają sobie zazwyczaj kuchnie pod osobną strzechą; Brazylianów jednak dym nie krępuje. Dwoje drzwi, zawieszonych surowemi skórami wołowemi, stanowią jedyne otwory izby. Okna zastępują wspomniane już szpary w ścianach. Na środku izby, otoczone kamykami, płonie ognisko, na którem, na żelaznym ruszcie skwierczą jakieś smakołyki. Dym ściele się po izbie, zasłaniając wszystko i wygryzając oczy (nb. ogień palą tutaj przez dzień cały do późnej nocy). W rogu, na kilku półkach, nagromadzone stosy rondli i żelaznych saganków wraz z innemi przyborami kuchennemi. Na ścianach wiszą suto srebrem ozdobione rzędy końskie, barwne derki, ostrogi potwornych rozmiarów, wędzidła, arkany,

strzelby, noże i dwururne pistolety. W ciemniejszym alkierzyku, służącym za sypialnię dla honoratiorów, nałożony stos cuchnących, surowych skór wołowych. Dalsze umeblowanie, jako przedmioty zbytku, stanowi kilka grubo wyciosanych z mahoniu i palisandru niziutkich zydelków; kilka kloców i przewróconych skrzynek od towarów, zastępują stoły.

Cała rodzina Dom Daniela, bliższa i dalsza, zgromadzona naokoło ogniska, wstaje z wielką rewerencyą na nasze powitatanie i zasiada znów w kuczki, z prawdziwie wschodnią apatyą wpatrując się w ognisko i smokcząc w milczeniu *mate* z kursującej kolejką tykwy.

Wśród licznego grona rodziny zwraca uwagę naszą jasnowłosy chłopak lat około 10 liczący, z butną miną, w żółtych papuczach, filcowym kapeluszu z szerokiemi kresami i z zatkniętym za barwny trzos skórzany, olbrzymim, dwururnym pistoletem, którego lufy sięgają mu niżej kolan; z drugiej strony wisi równie długi kordelas w skórzanej pochwie. Chłopak jest widocznie ulubieńcem starego Daniela, który się z nim pieści i konopiastą czuprynę palcami mu rozczesuje. Typ słowiański chłopca uderza od razu; przyzwyczajony widzieć pośród Brazylianów wiele sierót po emigrantach, zmarłych w barakach, wychowywanych na równi z własnemi dziećmi, zagadnąłem chłopca po polsku. Popatrzył na mnie ze zdumieniem, jakby nie mógł zrozumieć, czego chcę od niego; widocznem było, iż mała jego główka usilnie pracowała, aż wreszcie uchyliwszy kapelusza, w rękę mię pocałował.

— Cóż to chłopcze, nie rozumiesz po polsku?

— *Nao, senhor, eu nao sabe polaco* — odrzekł z zakłopotaniem widocznem, odpowiedzią swoją zdradzając, iż mię wybornie rozumiał, lecz małem dzieckiem dostawszy się do brazylijskiej rodziny, ojczystego języka już zapomniał. Dom Daniel jest ze swego Stasia, którego pompatycznie nazywa „Estanislau", bardzo dumnym, bo też chłopak niezwykle bystry i nad wiek swój rozwinięty — życie w puszczy wcześnie kształci. Rówieśnik Stasia — Ramon, smagły dzieciuch z oczkami jak tarki, również od stóp do głów uzbrojony, przed kilkoma dniami dokonał był

bohaterskiego czynu, w który się wprost wierzyć nie chce wydelikaconemu mieszczuchowi, a który tutaj uchodzi za zwykły, codzienny niemal wypadek. Rzecz się tak miała. Chłopak bawił się przed domem; nikogo ze starszych mężczyzn nie było; wtem rozpaczliwy kwik prosięcia wywabił go w krzaki. Prosię było napadnięte przez sporego jaguara o kilka kroków od domu. Bez chwili namysłu, nieświadomy niebezpieczeństwa, na które się narażał, myśląc tylko o ratowaniu swego dobytku, chłopak skoczył do napastnika i celnym strzałem z pistoletu na miejscu go trupem położył. Że goście tacy, jak jaguar, puma i inne, jak je tu nazywają „robaki“ *(bichos)*, nie należą do rzadkości, świadczą pokiereszowane na wszystkie strony kundle Dom Daniela: z poobrywanemi uszami, poszarpanym pyskiem i mnóstwem blizn na całem ciele. Pośród takich sąsiadów uprawa roli i chów bydła nie należy do zatrudnień zbyt wygodnych, ale życie takie, nieustanna walka z dzikiemi zwierzętami, trwająca od lat najmłodszych, wcześnie wyrabia hart ducha, energię, odwagę i niezwykłą pewność siebie, o jakiej mieszkańcy miast, nieprzywykli do samoobrony, wyobrażenia nie mają. Dodajmy jeszcze, że o kilka staj od siedziby Dom Daniela osiadła od dłuższego czasu horda dzikich Bugrów, niedozwalająca nikomu przekraczać swego terytoryum bezkarnie i mszcząca się krwawo za każde naruszenie praw swoich do zajętej przez siebie puszczy, a będziemy mieli kompletny obraz warunków, w których tacy pionierzy pracować są zmuszeni.

Niebezpieczeństwo jednak pobytu w puszczy dziewiczej, równoważy jeden bardzo ważny czynnik psychologiczny: uczucie nieograniczonej, nieokiełznanej niczem swobody, niezależności zupełnej od ludzi, ich swarów, polityki, praw i ustaw, zdzierstwa i łapownictwa urzędników, formalistyki prawnej w zatargach z sąsiadami, gazet i intryg osobistych. Zatargi sąsiedzkie załatwiają się w razie ostrego konfliktu — strzelbą i nożem, bez obawy najmniejszej, aby się w tę sprawę jakieś władze wtrąciły. Ta dzika, nieokiełznana wolność ma swój urok, który zrozumieć jest w stanie ten tylko, kto choć przez kilka miesięcy żył życiem podobnem, a rozumiem wybornie znajomych moich,

ludzi nawet z wyższem wykształceniem, którzy w warunkach podobnych, bardzo prędko zupełnie niemal zdziczeli, zatraciwszy wszelki interes do wszystkiego, co się poza granicami puszczy na świecie działo. Ludziom takim jak Dom Daniel, w sąsiedztwie osad ludzkich za ciasno; to też w miarę zbliżania się ku nim nowych kolonij europejskich, *cabocos* opuszczają bez żalu swoje siedziby, swoje plantacye *hervy*, pola z mozołem wykarczowane, i sprzedawszy je za bezcen nowym przybyszom, ze stadami swemi i dobytkiem idą dalej w głąb puszczy, pośród Indyan i dzikie zwierzęta, przygotowując grunt pod nową falę europejskich przybyszów, która ich jeszcze dalej w głąb puszczy wciśnie. Taka *fazenda* w lesie tworzy dla siebie świat odrębny, niezrozumiały dla ludzi z innego, szerszego świata; *cabocos* w puszczy rozrzuceni, stanowią niejako lud odrębny, rasę jak Indyanie, wymierającą w zetknięciu z europejską kulturą. A świat to bądź co bądź ciekawy, ten zakątek patryarchalny, gdzie z pietyzmem się przechowują staroświeckie obyczaje pierwszych przybyszów na ląd amerykański, i obyczaje rycerstwa hiszpańskiego z XVI. stulecia, zaprawione lokalnym, indyjskim kolorytem traperów.

Zaledwie się ściemniło, gospodyni przed każdym z nas postawiła z nizkim ukłonem misę ciepłej wody do umycia nóg i parę brazylijskich pantofli. Po spełnieniu tej wschodniej, przechowanej tutaj od dawna ceremonii mycia nóg, podano wieczerzę na przewróconej skrzyni od sucharów, zasłanej czystym obrusem. Za siedzenia służą niziutkie zydelki drewniane lub wołowe czaszki, okręcone szmatem futra. Do stołu zasiada z nami sam tylko patryarcha, przesadzający się w grzeczności dla swoich gości; kobiety i młodzież jedzą osobno, usadowieni w kuczki na ziemi wokoło ogniska.

Nasz towarzysz, handlarz *hervy*, wydobywa z sakwy spleśniałą od wilgoci i starości bułkę i pompatycznie kładzie ją na improwizowanym stole. D. Daniel dziękuje mu uprzejmie i pokrajawszy ów przysmak na cienkie plasterki, przywołuje całą dzieciarnię, rozdając wnukom swoim po plasterku spleśniałego chleba, niby wielki delikates. Przypomniałem sobie, iż posiadam w torbie dwie bułki o wiele świeższe, bo tylko trzy dni w niej

leżały, i pospieszyłem ofiarować dzieciom moje zapasy ku ogólnej uciesze. Mój Boże, jak to niedawno jeszcze temu Brazylianie chleb psom rzucali, twierdząc, iż podobnego paskudztwa żaden porządny człowiek do ust włożyć nie jest w stanie, bo to dobre tylko dla europejskiego bydła! Dzisiaj płacą drogo za ten przysmak, ale sami wciąż jeszcze prastarym obyczajem opychają się prażoną na blasze mąką manjokową lub kukurudzianą, której jedzenie należy ze względu na szczupłą ilość łyżek, do specyalnych umiejętności tutejszych; przyzwoitość bowiem nakazuje jedynej łyżki, służącej wszystkim, do ust nie brać, lecz zawartość takowej zręcznym ruchem w usta sobie wrzucać, od czego człowiek nieprzyzwyczajony do podobnej manipulacyi zadławić się może. Chleb zastępuje im dotąd owa *farinha*, oraz polewka z czarnej fasoli, ulubiona *feijoada*, bez której najparadniejsza kuchnia brazylijska obejść się nie może. Dla wiadomości europejskiego czytelnika dodam, iż owa *feijoada*, obficie przemięszana z *farinhą* i kawałkami gotowanej wieprzowiny, jest wcale smaczną i pożywną potrawą, a jada się łyżką, jedynym sprzętem na stole niezbędnym, noże bowiem każdy nosi za pasem, a użytek widelców tutaj jeszcze nie dotarł.

Po wieczerzy wskazano nam do spania stosy surowych skór wołowych, na których rozesłaliśmy nasze czapraki zamiast pościeli. Cała rodzina śpi pokotem na ziemi naokoło ogniska, bez różnicy płci i wieku, tylko patryarcha posiada kąt własny, rodzaj alkowy, zawalonej skórami. Na dworze deszcz leje jak z cebra, przez źle pokryty dach kapie nam wszystkim na głowy, w izbie potworzyły się liczne kałuże. Ognisko tli się i dymi noc całą. Dodajmy wycie psów pod drzwiami, czujących blizkie sąsiedztwo „robactwa“, a będziemy mieli niejakie pojęcie o wygodach noclegu w „obywatelskim dworze“ brazylijskim.

Nazajutrz od świtu, pomimo ulewnego deszczu, zaroiło się na podwórku i w izbie. Jakiemi drogami, jak i kiedy wiadomość o przejeździe księdza rozeszła się po puszczy, nie rozumiem; dość, że do południa w obszeruej izbie D. Daniela, przy improwizowanym i wcale gustownie przybranym ołtarzyku, tłoczyło się około stu osób, mężczyzn, kobiet i dzieci, przybranych

odświętnie. W zagrodzie widniały kosmate łby kilkudziesięciu małych i szpetnych koników krajowych, przybranych w najrozmaitszego kalibru rzędy. Widocznie „pantoflowa poczta“ funkcyonuje w puszczy nie gorzej, aniżeli u nas onego czasu, kiedy to jeszcze kolei i telegrafów nie znano.

Ksiądz W. znalazł się zrazu w kłopocie: jako Rusin nie znał łacińskiego tekstu obrzędu chrzestnego, a zaledwie kilka słów umiejąc po portugalsku, nie mógł się z rodzicami chrzestnymi kilkunastu mu przywiezionych do chrztu dzieci porozumieć. Prawił więc modlitwy po rusku, tylko kilka frazesów zwykłych zapytań ułożywszy sobie łamaną portugalszczyzną. Ruskie obrzędy chrzestne zaimponowały jednak nadspodziewanie *cabocom*, którzy się dawali głośno z tem słyszeć: że to jakiś bardzo mądry ksiądz, bo daleko „lepiej“ i staranniej chrzci, aniżeli włoski proboszcz, który mieszkał od swoich parafian w bagatelnej odległości... około 300 kilometrów i oczywiście, zbłądziwszy raz na kilkanaście lat do swoich owieczek leśnych, spieszył się bardzo. Większy jeszcze kłopot wypadł z kilkoma parami małżeństw cywilnych, które się po kościelne błogosławieństwo zgłosiły, nie widząc u siebie księdza od lat dziesięciu przeszło. Tym się ruski obrządek również podobał, choć nic ze słowiańskich modlitw i *Hospody pomyłuj* nie rozumieli, ale miny mieli zadowolone, jeden tylko stary bywalec i sceptyk twierdził, że ksiądz W. modli się po a r a b s k u, w czem przypadkowo nie bardzo się omylił, gdyż dość licznie w południowej Brazylii osiedleni Arabowie-katolicy, należą do tegoż samego, co nasi Rusini obrządku, o czem oczywiście stary sceptyk w żółtych papuczach i flanelowym szaliku wiedzieć nie mógł.

Po ukończeniu ceremonij i sutym poczęstunku, goście znikać powoli zaczęli, my zaś zabraliśmy się do poobiedniej drzemki, aby niewyspaną noc sobie powetować. Naraz rozstawione przez D. Daniela wzdłuż rzeki warty podały sygnał: „parowiec idzie!“

Ponieważ do rzeki był spory kawał, w jednej chwili byliśmy wszyscy na koniach i wśród wichru i ulewy popędziliśmy galopem w stronę przystani, po drodze co chwila strzałami karabinowemi dając sygnał parowcowi, aby się zatrzymał.

Dopadliśmy w czas jeszcze, po spadzistym i oślizgłym brzegu przewracając koziołki, zesunęliśmy się do długiej łodzi, z olbrzymiego pnia araukaryowego wydrążonej, wrzucono za nami nasze siodła i derki i wciąż pukając z karabinków na wiwat. przybiliśmy za chwilę do drugiego brzegu, przy którym parowiec ładował opał.

Statek zachęcającym nie był: stary *Visconde*, najstarszy i najbardziej zniszczony z parowców po Iguassu kursujących, który nadto podczas burzy poprzedniej nocy został silnie uszkodzony: wicher zmiótł ze szczętem cały pokład główny, kajuty i dach statku, pozostawiając nietknięte tylko maszynę, łódź z przerdzewiałej blachy, izdebkę kapitana i rodzaj drewnianej klatki przed samym kominem, otwartej na wszystkie strony, zbyt nizkiej, aby człowiek trochę wyższy mógł w niej stanąć, a za całe umeblowanie posiadającej wybłoconą matę, rozesłaną na mokrej, pokrytej błotem węglowem podłodze.

Visconde szedł pusty, z ładunkiem tylko drobnym soli i mąki, nie biorąc pasażerów, do warsztatów w Porto Uniao, gdzie miał być reparowany. Kapitan, mrukliwy Hiszpan, oświadczył wręcz, że za bezpieczeństwo podróżnych nie ręczy i nas na pokład nie przyjmie, a to tem bardziej, iż mamy pomiędzy sobą księdza, a wiadomo, iż ksiądz na okręcie zawsze nieszczęście przynosi. Mokniemy tymczasem na łodzi, dopóki D. Daniel, mający znać wielkie zachowanie w całej okolicy, nie udobruchał przesądnego kapitana, któremu tylko musieliśmy wystawić rewers, iż w razie wypadku zrzekamy się wszelkiej do niego pretensyi.

Pożegnaliśmy naszego sympatycznego gospodarza, wypili strzemiennego, *Visconde* gwizdnął przeraźliwie, zakołysał się ciężko, koła uderzyły po wodzie i ruszyliśmy w dół rzeki.

Przypadek chciał, że zaledwie pół godziny byliśmy na pokładzie, gdy statek nagle uderzył o płynący pień drzewa i po chwili szybko tonąć zaczął. Szczęściem, rzeka była w tem miejscu wązka, a brzegi płytkie tak, iż można było jeszcze bez obawy zatopienia parowiec na mieliźnie osadzić i obejrzeć szkody. Przez otwór w tyle statku, wielkości pięści, leciała woda z szumem: mieliśmy jej już na metr pod pokładem, a worki z mąką

pływały w posolonej wodzie, wskutek złożonej tamże soli. Hiszpan klnąc siarczyście, zabrał się do ratunku: zatkał dziurę olbrzymim pękiem łoju i pakuł, wydobył przy pomocy palacza ładunek z pod pokładu i przez trzy godziny czerpał wiaderkiem blaszanem wodę, zanim można było, z zachowaniem oczywiście pewnych ostrożności, powoli dalej ruszyć.

Można sobie wyobrazić furyę kapitana, przypisującego przygodę niefortunną obecności księdza W., gdy wśród strug ulewnego deszczu zjawił się jakiś obdartus z umierającem dzieckiem na ręku, prosząc o ochrzczenie go na pokładzie. Grad przekleństw sypał się z ust Hiszpana, ale ostatecznie wobec natarczywości biedaka ustąpić musiał, krzycząc tylko, że jeżeli mu z powodu obecności księdza na statku druga dziura się zrobi, to potoniemy wszyscy bez ratunku.

Przedziwny kontrast z irytacyą Hiszpana tworzył nasz brazylijski towarzysz podróży, który, owinąwszy się w *poncho* i skulony w kąciku na zabłoconej podłodze „kajuty", ćmił jedno cygaro za drugiem z największą flegmą, rachując tylko, jak długo jeszcze płynąć w ten sposób będziemy, w warunkach tak niekorzystnych. O dojechaniu tego samego dnia do celu podróży, Porto Uniao, nie było co nawet marzyć, a nie mieliśmy wyobrażenia o istnieniu wśród puszczy na całej pozostającej nam do przebycia przestrzeni jakiejkolwiek ludzkiej siedziby, gdzieby się ogrzać i nieco osuszyć było można.

Ku wieczorowi deszcz cokolwiek ustał, my wszyscy, znużeni i skostniali z zimna, nie mając od rana nic ciepłego w ustach, dzwoniliśmy zębami, medytując o tem, co będzie, jeżeli noc całą w ten sam sposób spędzić wypadnie, gdy nagle na zakręcie rzeki odsłoniła się rozległa łąka, obsadzona szeregiem dzikich wisien i obsypanych żółtem kwieciem drzew *loro*, a w oddali bielił się nowiutki dach gontowy porządnego domku, najwidoczniej przez polskich postawionego cieśli. Towarzysz nasz teraz dopiero wyszedł ze swej apatyi i zwracając się do kapitana, uprzejmie go prosił, aby zechciał do brzegu w tem miejscu przybić, chociaż tam urzędowej nie było przystani, i wskazując na widniejącą w oddali chałupę, dodał:

— Dom mój jest na usługi *cabalheiros* i spodziewam się, że moi Polacy ogrzać i posilić się nam dadzą. Jesteście dzisiaj moimi gośćmi — dodał z eleganckim ruchem, uchylając kapelusza — a choć nie mogę wam dać takich wygód, jak Dom Daniel, zawszeć dach nad głową i łyżka ciepłej strawy się znajdzie.

Czyż potrzebuję mówić, z jaką radością przyjęliśmy to zaproszenie, jak rozkosznem nam się wydało sute ognisko, pod strzechą szopy rozniecone, i nocleg na miękkich, wonnych workach aromatycznej herbaty.

Usnęliśmy wśród gwaru polskich rozmów i śpiewek nocujących razem z nami robotników Dom Ruiza i spaliśmy kamieniem, dokąd nas gwizdawka parowca do dalszej nie zbudziła wędrówki.

Dr. Józef Siemiradzki.

KAZNODZIEJSTWO DRUŻBICKIEGO.

Rzecz oparta na rękopisach.

(Dokończenie).

IV.

Rysował się dotąd przed nami surowy profil kaznodzieiascety. Wolnym jednak od wad epoki Drużbicki nie jest i dają się one więcej niż w kazaniach spostrzegać w mowach przygodnych — owszem tak uderzająca zachodzi między niemi różnica, iż łatwo mogłoby się nasunąć pytanie, czy ten sam kaznodzieja był ich autorem. Drużbicki miewał je nader często na pogrzebach, przy uroczystościach familijnych, ślubach, a nawet chrzcinach, bo chętnie go szlachta słuchała. Byli to zwłaszcza jego penitenci w konfesyonale. Nie wymawiał się Drużbicki od tej usługi i chętnie, jak świadczy współczesny Pawłowski, przyjmował podobne zaprosiny.

Tak r. 1635, 29 października zamknęła w Jarosławiu oczy wojewodzina wołyńska, Anna Kostczanka, małżonka Aleksandra księcia Ostrogskiego. Mnoga była familia rozsiedlona po całej Polsce, to też z obrzędem pogrzebowym czekano z górą dwa miesiące zanim zjechały się koligacye i szlachta. Wreszcie 7 stycznia 1636 r. rozpoczęły się uroczystości żałobne. Przez trzy dni codzień w innej świątyni miasta odprawiano egzekwie. Pierwszego dnia, jak widać z kazania Drużbickiego, obchodziła żałobę familia, przyjaciele i domowa czeladź. Na wtóry dzień, zdaje się, albo zakon, albo miasto uprosiło Drużbickiego, żeby

ich imieniem pożegnał nieboszczkę, a wyraził wdzięczność i szacunek dla pozostałej familii: „A tak, są słowa kaznodziei, że cię wczorajszego dnia opłakała Jaśnie Wielmożna krew twoja i wszystka przyjacielska, i domowej czeladki twojej gromada: dziś cię opłakiwać, dziś cię obżałowywać będą poddane dzieci twoje, poddani, mówię, twoi".

Wkrótce, bo zaledwie już 3 lutego przemawia w Lublinie do nowożeńców: Franciszka z Żurowa Daniłowicza, starosty czerwonogrodzkiego i Elżbiety Katarzyny Sapieżanki, córki Fryderyka, podkomorzego włodzimierskiego i Ewy Kaszewskiej. Tegoż roku kazał jeszcze w Lublinie przy zwłokach dzieweczki, Anny Konopniczanki.

Spora potem następuje przerwa w naszych kazaniach, bo mamy aż dopiero jedno z r. 1650 i późniejsze. Z tegoż właśnie roku zachowała nam się mowa pogrzebowa, którą wygłosił Drużbicki 13 stycznia w farze poznańskiej, na pogrzebie obywatela i rajcy Adama Czechowskiego.

Następnego roku 16 kwietnia uczcił swoją wymową uroczystość familijną u Działyńskich w Chodzieży, chrzest pierworodnego syna starosty pokrzywnickiego, Jana Działyńskiego i Maryanny z Grudzińskich. Roku 1653 dnia 28 lutego przemówił znowu na zamku poznańskim przy ślubie Stanisława Topór Smoszewskiego, kasztelana santockiego z podkomorzanką inowrocławską, Katarzyną hrabianką de Wedel Tuczyńską.

Z roku 1658 przechowały nam się dwie mowy ślubne, powiedziane, jak się zdaje, przy ślubie mieszczan i obywateli poznańskich. Nazwiska ich tak niewyraźnie napisał Drużbicki, iż nie możemy ręczyć za poprawne odczytanie. Pierwszą miał w miejskiej parafii d. 5 marca na ślubie Jana Wiakli z Teresą Żabianką, wtórą zaś 10 listopada na ślubie Mikołaja Chiwurji z Katarzyną Radziejczykońską. (?)

Z końcem następnego roku 22 października 1659 r. zaproszono go z mową na ślubie Zygmunta Grudzińskiego z Katarzyną Przyjemską, córką marszałka i generała artyleryi.

Zostaje wreszcie kilka przemów bez daty roku, jak na ślubie Jana Tolibowskiego i Katarzyny z Tuczny Smoszewskiej,

wdowy, Macieja Niegolewskiego z Urszulą Żegocką i jedna, do której brak bliższych szczegółów, nie wiadomo kiedy i na czyim powiedziana ślubie.

W mowach tych okolicznościowych, jak już zaznaczyliśmy powyżej, ulega Drużbicki duchowi czasu; wyróżnia go jednak jeszcze od współczesnych pewna trzeźwość w obrazowaniu i skromność w wysłowieniu, zwłaszcza pamięć na apostolskie posłannictwo kaznodziejskiego swego urzędu.

Przemawiając do nowożeńców poucza o wielkości sakramentu, obowiązkach tego stanu, wskazuje wyższe jego cele, jak na ślubach Wjakli lub Chiwurji, gdzie wychodzi z tematu: „Sakrament to wielki jest“ (Eph. V, 32); to znowu wystawia im świętość i ciężary życia małżeńskiego, jak na ślubie Tolibowskiego, z tekstu biblijnego: „uczciwe małżeństwo we wszystkiem łoże niepokalane“ (Hebr. 13, 9). Na ślubie Niegolewskiego wziął za tekst słowa z Ekklezyastyka (9, 9): „Zażywaj żywota z żoną, którą miłujesz po wszystkie dni żywota“, i rozwija jako ten sakrament jest obrazem miłości Chrystusa, którą ma ku Kościołowi swemu; inną poczyna od słów Pieśni nad Pieśniami: „W dzień zrękowin jego i w dzień wesela serca“, wykładając czemu ten obrzęd jest weselem. Najdłuższą, ale i najobfitszą w nauki jest przemowa na ślubie Daniłowicza. Rozbiera sposobem homiletycznym tę przestrogę Ekklezyastyka: „Wydaj córkę a wielką rzecz sprawisz, a daj ją za człowieka roztropnego“. Wykłada w niej obowiązki rodziców pod tym względem i schodzi stąd do słuchaczów dając im zachęty i uwagi niektóre na przyszłość.

Jednem z najbardziej zwięzłych przemówień ślubnych Drużbickiego jest mowa na ślubie Jana Wjakli. Poucza w niej Drużbicki o wielkości sakramentu małżeństwa *(sacramentum hoc magnum est)* i mówi najpierw, że jest małżeństwo aktem wielkim w stanie naturalnym, ponieważ jest najważniejszym kontraktem między ludźmi, fundamentalnym społeczeństwa, następnie rozważa go w stanie łaski i mówi:

„Uważając zaś w porządku wyższym, nadprzyrodzonym, Boskim akt ten małżeński, jest z wielu względów ogromnej go-

dności. Już to ze względu na twórcę swojego i założyciela, który pierwszym był sam Bóg stwórca i założyciel całej natury, a w szczególności małżeństwa. Już to ze względu na powód, który, jak sam twórca wyznał, spowodował go do ustanowienia małżeństwa, mówiąc: nie dobrze być człowiekowi samemu, uczyńmy mu pomoc jemu podobną (Gen. 2, 18); już to z powodu wielkiej ścisłości i gwałtowności zobowiązania, które wkłada ścisłości, która wszystkie inne wchłania obowiązki, i znosi, jako powiedział to Adam, ów najpobożniejszy z ludzi i najmędrszy, a Chrystus Pan potwierdził: ‚Przetoż — mówi — opuści człowiek ojca swego i matkę, a przyłączy się do żony swej i będą dwoje w jednem ciele'. Już to wreszcie ze względu na wzór i ideał, wedle którego ten akt i kontrakt wyłącznie między chrześcijanami ustanowił. Znajduje bowiem swój przykład ten kontrakt w samym Chrystusie Panu i jego zaślubinach tak we wcieleniu z naturą ludzką, jak z Kościołem wiernych w onego zaślubieniu. Potwierdza to Apostoł Paweł, gdy mówiąc o czystości małżeństwa, powiada w liście do Efezów (5, 32): ‚Sakrament to wielki jest a ja mówię w Chrystusie i Kościele'. Jakoby mówił, że śluby i małżeństwo między chrześcijanami, jest naśladowaniem i wyobrażeniem zaślubin Chrystusa Pana z Kościołem swoich wiernych. Potwierdza także ów związek ślubny Chrystusa Pana z Kościołem. Jan św. w Apokalipsie (19, 7) mówiąc: ‚Przyszło wesele Barankowe, a małżonka jego zgotowała się'. Jest jeszcze i inny obraz tego kontraktu i uroczystości ślubnej, niemniej godny uwagi, i niemniej przynoszący niniejszemu aktowi godności i blasku. Co pozwólcie, że pokrótce wyłożę"...

Przywodzi tu znowu obraz wiecznych zaślubin, jakie zachodzą między Bogiem a całym wszechświatem, między Stwórcą a stworzeniem, odwołując się na słowa u Ozeasza proroka: poślubię cię sobie na wieki, a poślubię cię sobie w sprawiedliwości i w sądzie i w miłosierdziu a w litościach, i poślubię cię sobie w wierze i poznasz, żem ja Pan (II, 19, 20). Z dwóch jeszcze względów, czerpanych z okoliczności *(ab adiunctis)* mu towarzyszących, widzi ten akt wielkim: z położenia społecznego nowożeńców i z ich otoczenia.

„Uważając zwłaszcza stan ślubujących sobie, to jest ich godność, szlachetność, familię i inną wszelką ozdobę, którą wszyscy widzimy i znamy, których całe to szlachetne miasto jest świadkiem, sam akt niniejszy przez się staje się wielkim i poleca się. Ale nad tem nie chciejmy się dłużej zastanawiać, aby żaden z obecnych oczu w tej nie utkwił chociażby prawdziwej, chociażby najsłuszniejszej pochwale.

„Uważając wreszcie, to wasze, obecni temu aktowi widzowie, ozdobne otoczenie i poważne zgromadzenie, bez żadnej wątpliwości akt ten jest nawet wielkim, nawet godnym, abyśmy najsłuszniej mogli powtórzyć: sakrament to wielki jest"...

Przemówienie to odpowiadałoby jeszcze najlepiej ścisłemu umysłowi Drużbickiego; jest ono po prostu suchem wyliczeniem momentów, mających najbliższy związek z założeniem kazania. Bardziej swobodnym jest Drużbicki w innej mowie, na temat: *Dies desponsationis et laetitiae cordis.* Zachodzi w niej znowu w zamiary przodków, dlaczego ślub nazwali weselem. Wprowadza od razu słuchacza w samą rzecz:

„Nie wjem skąd to naszego Polskiego języka y mowy autorom upodobało się, a zatym y w stary zwyczaj weszło, że uroczystości, które się przy ślubach małżeńskich dzieją, przy spolnych przyjacioł gromadnym ziezdzie nazwane są weselem. Którego nazwiska, ile ja wiem, nasza Polska mowa żadnemu inszemu aktowi, żadny uroczystości ludzki nie daje krom tego samego jednego.....

„Jeżeli się godzi przyczyny domyślać, możeć się wynaleść kilka, ale mem zdaniem, nie będą dostateczne do uspokojenja rozumu bacznego. Dam na przykład:

„Weselą y raduią sie ludzie, gdy przyjaciela znajdą miełego, y po myśli y wjernego, nieodmiennego.

„Weselą y raduią sie ludzie, gdy na skarb jaki bogaty napadną.

„Weselą y radują sie ludzie, gdy im do lepszy fortuny droga y pomoc się pewna otworzy.

„Weselą y radują się ludzie, gdy potrzebny, pożądany, pożyteczny, kochany rzeczy szczęśliwje nabędą.

„Weselą się y radują ludzie, gdy sie w ich dom y familją jaka godność albo urząd, albo intrata, albo jakakolwiek ozdoba dostanie y oną rozjaśnieje.

„Weselą y radują się ludzie lubo w niebezpiecznym razie, lubo w ciężkim ciężarze pewny i bespieczny pomocy dostawszy, ciężarem się s kim podzieliwszy: a folgę sobie y ulgę w noszeniu uczyniwszy.

„Weselą y radują sie ludzie, gdy jaki swy nieuchronny potrzebie y przygodzie, abo tesz y śmiertelny stracie, skutecznym jakim sposobem, y szrodkiem y lekarstwem zastąpią y zabieżą.

„Te y tym podobne rzeczy radośne ludziom bywają y wesołość w sercach ich sprawują.

„Te tesz wszystkie rzeczy nie telko odemnie, ale y od każdego w nowożeńskim akcie niemal każdym znajdzione y ukazane bydź mogą. Nie szukając przykładu daleko"...

Oczywiście teraz owe wszystkie przyczyny wesela i radości wynajduje wśród pary nowożeńców, stosując je do ich obecnego i przyszłego położenia. Niezadowolony jednak owem rozwiązaniem pytania, stara się je innem przypuszczeniem rozwiązać:

„...Zda mi się jednak, ysz niejaki śliad prawdy y przyczyny znajdnię tego nazwiska. A napszód w onych Boga Stworce naszego słowiech: ktore mając w oczach Adama pierwszego od siebie stworzonego: tak sam do siebie rzekł: *non est bonum hominem esse solum; faciamus ei adiutorium simile sibi.* Jeżeli *hominem solum esse* za zdaniem Boga samego *non est bonum*, a tego lekarstwo Bóg wynalazł, *adiutorium*, toć *hominem adiutorium habere, est homini bonum*, bo go *non sinit esse solum, quod illum esse* nie jest mu *bonum*. To *adiutorium* żona jest y gdy od Boga Adam s swego boku stworzoną, sobie przyprowadzoną, y oddaną obaczeł: rzekł zaraz: *hoc nunc os ex ossibus meis et caro de carne mea*, a to wyrzekłszy, zaras jakoś od rzeczy odstąpiwszy: inną mowę zaczoł mówiąc: *Propter hoc relinquet homo patrem et matrem et adhaerebit uxori suae.* Dziwna rzecz. Natenczas Adam nikogo nie znał Ojca, ani matki, nikogo tesz nie widział syna ani córki, męża ani żony, a przecie rokuie, ba y prorokuie, że w mężu przeciw żenje taki będzie affect, y w żenie przeciw mężowi, że

y ten dla ty, y dlatego odstąpi wszystkich affectów, wszystkie związki miełości starga, a do męża do żony nierozdzielnie przystanie y będzie to nie ludzki ale Boski związek. *Quod ergo Deus coniunxit, homo non separet,* mówi nasz Zbawiciel, o tyże materjej y słowach Adamowich mówiąc.

„A tosz Namielsi moj dla tego Boskiego *Adiutorium* człowiekowi przydanego, dla tego tak dalej mile gwałtownego affectu, ktorym Nowoślubni do siebie przystają y sobie ślubują, mniemam ja, że ten Akt weselem *(autonomastikos)* nazywamy y iest, y bydź ma: a sam telko y żaden inny".

Kiedy przemawiał nad trumną zmarłego, starał się na pierwwszem miejscu wystawić słuchaczom z życia nieboszczyka jakiś wzniosły, godny naśladowania przykład. Nie opuścił też nigdy żadnego budującego momentu. Brał więc jakąś cnotę charakterystyczną zmarłego, jak na pogrzebie Czechowskiego, jego pobożną zawsze pamięć na śmierć, przedstawiał, jak się w życiu jego uwydatniła, jakiemi drogami zmarły posuwał się po niej, jak zwyciężył wszelkie trudności, i wyciągał stąd dla słuchacza jakąś naukę. Na pogrzebie Anny Kostczanki, księżnej Ostrogskiej, spotykamy się znowu z innym sposobem obrobienia mowy żałobnej. Pani ta, pełna cnót szeroko znanych, dawała kaznodziei pole obszerne do mowy pogrzebowej. Chciał też kaznodzieja wyzyskać je dla słuchaczy, dając w nich przykład i naukę. Toż opowiada o jej cnotach teologicznych, o wypełnianiu niektórych ewangelicznych rad. Żeby jednak nie wyglądało to opowiadanie na zbiór jakichś historycznych ułamków, łączy je w oratorską całość węzłem pewnej wyższej myśli, która w każdej z tych cnót, w każdym momencie życia przebijała, i na niej osnuwa życie zmarłej. Skąpe było w podobne dane młodziutkie życie dziewicy Konopniczanki. Mowca wybrał więc sobie temat religijny i na tle jego rzuca kilka wspomnień o zmarłej dzieweczce. Zwroty praktyczne robił krótkie, ale kładł je z wielkim naciskiem, niekiedy z siłą namiętności, a wypowiadał je jakby wniosek raczej, niźli zastosowania.

Najbardziej znamienną jest mowa na pogrzebie Anny z Kostków księżnej Ostrogskiej. Znaczą się w niej prawie wszystkie

z wad, jakie Drużbicki zaczerpnął z gustu swojego wieku i jakie w kazaniach jego znajdujemy.

Razi nas od pierwszego rzutu oka sam układ mowy. Za tekst i tło do niej wziął Drużbicki z Ezechiela proroka opis miasta Tyru w 27 rozdziale. Podzielił go na kilka części wedle tego, jak prorok opowiada różne doskonałości i piękności miasta, stosując je do cnót zmarłej księżnej. Mówi Drużbicki najpierw o różnicy śmierci ludzi złych a dobrych. Bo gdy pierwsi umierają, cieszą się wszyscy, „że zasię cnotliwi żyją s pożytkiem wielu innych, dla tego wszyscy ich zejścia z serca żałują, rzewliwo y długo płaczą, pogrzebne obchody nie ras, ale y drugi y części y dorocznie czynją y ponawjają". Opowiada, jak cały naród po śmierci Judyt siedm dni płakał i przechodzi do zmarłej.

„A s tego co się po ten czas przytoczeło, łacno każdy osądzi, jeśli słusznie y jako słusznie, te posługi pogrzebne, lubo wczora na innym mieyscu y w innym kościele odprawione, dzisia znowu tu w tym kościele się ponawjają, ba y jutro ieszcze w trzecim także ponawjać będą. Pojrzawszy bowiem każdy s nas na to, komu się dzieją, wspomnjawszy na to, że dzieją się Pański usłudze, Xiążęcy uczciwości, chrześcjański pomocy, wdzięczny a nigdy nieodwdzieczony pamjątce, Jasnie Oświecony Xiężny Ostroskj: Wielmożny Wojewodziny Wołyński, Dziedziczny na Jarosławju Panj, P. Annie s Sztemberka Kostczance: wspomnjawszy mówię na to, że sie ty osobie dzieje: komu to dzjwno bydz moze, komu nie słuszno, komu nie mieło? Takas beła Jaśnie Oświecona Xiężno mjedzy temi poddanemi i sługami twojemj, takeś sie im przes lat 60 y kielka przysłużała, takeś sobie u nich na miełość, na wdzięczność, na żal, na płacz, na tych ostatnjch usług powtarzanie zarobieła: że się ciebie napłakać nie mogą, że się ciebie nażałować nie chcą, że cię poki ich stawać y miejsca, abo mjasta tego s niemi będzie nieodżałują. Albowiem bełaś mjastu temu tobie kochanemu nie telko dziedziczną Panją, ale oras y miłosciwą Matką y dlatego *moriens reliquisti*, abo raczy, *radicasti dolorem*, tymeś glebj zakorzeniela żałość w sercach ich: imeś dłuży a ustawjcznj panskiemy dobrodzieystwy twemi napoieła serca ich wszystkich"...

W tej pięknej a skromnej apostrofie wyraził kaznodzieja nietylko żal poddanych, ale odmalował stosunek ich wzajemny do pani. Potem wyraża jakby propozycyę, że będzie mówił o przymiotach nieboszczki, „tak z natury, jako i łaski Bożej danych“ i prosi, by go słuchacze „nieteskliwie posłuchali“. Zanim przystąpi do tego, jeszcze opisuje miasto Tyr, jego wygląd, potęgę, wspaniałość i zauważywszy w opisie trafność porównania go z piękną galerą, ustawioną w środku morza, jak gdyby zakłopotany, zastanawia się, czy zdoła znaleźć w tem podobieństwo do człowieka, „iż co Ezechiel miasto z galerą zrównał i nią konterfetował, to uczynił prawie z rzeczy i do rzeczy, idąc za *naturą* i *kształtem* tak miasta Tyru, jako i okrętu budownego. Ale ty nie wiem, jako jednego człowieka osobę, która ani z miastem, ani z okrętem nic podobieństwa niema, porównasz: a tak nie wiem, jako za powodem prorockim pójdziesz?“. Przez długie, niezbyt do mowy nadające się wywody, znajduje na to odpowiedź u Arystotelesa, który mówi, że człowiek jest małym światem. Dowodzi propozycyi z Pytagorasa i Witruwiusza „jako Bóg wszystkiej mądrości źródło, wizerunek architektury ludziom w samych ludziach ukazał wymiary, proporcye, długości, szerokości, miąższości, albo wysokości“ i t. d. Objaśnia to przykładem głowy ludzkiej, którą musi w tym celu anatomizować, z wymiarami świątyni Salomona, Arki Noego i kończy:

„Acz nam co więcej prawie do rzeczy tenże Okręt Noego ukazuie, ysz poniewasz beł w mjare ludzką zbudowany: idzie za tym że człowiek y mjast y okrętów budownych iest wizerunkiem, a dali ieszcze jdzie za tym, że barzo do rzeczy naszy służy ten postępek Ezechielów gdy mjasto pod allegorją okrętu opisuie: ze się nam natenczas znajdzie człowieka iednego to iest Jasnie Oswieconą Xiężne Jej M. zmarłą abo mjasta abo galery Ezechielowy allegorją zalecać: idąc w tropy Ezechielowe. Ezechiel tedy Tyrus mjasto pod okrętowym wizerunkiem maluiąc, miedzy bardzo wielu rzeczy te osobliwie przytacza“.

Cały ten ustęp jest jakby drugim wstępem. W pięciu jakby częściach kreśli teraz Drużbicki żywot zmarłej, jej pochodzenie

wychowanie, życie małżeńskie i później wdowie, cnoty, jakiemi się odznaczała.

Rozpoczyna Ezechiel swój opis od budowy Tyru, onej doskonałej piękności galery, w sercu morza położonej, jak cała z drzewa była zbudowana: maszty jej z cedru libańskiego, wiosła wycinano z dębów z Bazan, a na ławy okrętowe użyto kości słoniowej. Odnosi to Drużbicki do pochodzenia szlachetnego i rodu księżnej. Z wszelką oględnością obszedł się z tą częścią mowy, niemogącą nawet iść w porównanie z niektóremi pochwałami zmarłych z epoki Zygmuntowskiej, a cóż dopiero późniejszych już czasów sobie współczesnych. Przekonajmy się:

„... Temj allegorjami chcjał Prorok wyrazić zacne dawnej conditiej mjasta onego. Gdzie jako każdy snadnie osądzić może opatrznie i wczesnie wichodzi mi Jasnie Oświecony Xiężny nasz wszystka Genealogja tak Oycowska jako macierzyńska, jako y małżeńska abo pokrewna, ale nie moja rzecz genealogję wywodzić, zwłaszcza u tych, ktorzy tego daleko są wiadomszy. Niech na tym dosyć będzie: ysz sie ozywa krew krolów Polskich y Xiązat Mazowjeckich. Ozywa się krew krolow dawnych Ruskich a przy njch y Cesarzów Carogrodzkich a s nich wychodzących krew Xiążąt Ostroskjch. Żywa krew Wielmożnych Odrowążow y Kostków, ktora nie telko na naszym Polskim świecie ozdoby swoie rozsadziela, ale tesz y w niebie ma swoie godne tych starszych młodsze Kościoła powszechnego swjadectwem ogłoszone. A to wspomnjawszy na moję profesyę mniemam ysz dosyć, bo zywych ani obecnych zacności przypomjnać, s ktoremi ten nasz przejasny okręt spojony beł nie należy mym zdaniem...“

Nie miejsce tu dla porównania przytaczać ustępy podobne innych mowców i kaznodziejów. Każdy inny byłby wyliczył trzy razy dłuższą genealogię, ozdobił ją herbami i godnościami i dopiero z wszelką subtelnością wyszukiwałby w nich swego bohatera, albo wprawiał do jakiego dyademu nowy klejnot.

Żeglarze tej nawy: obywatele Sidony i Aradczycy i sternicy, mędrcowie Tyru, przypominają kaznodziei wychowanie zmarłej i pożycie małżeńskie prawdziwie wzorowe. Wystawia w niem

budujący przykład miłości i cierpliwości księżnej na błędy religijne męża, a stałości przy wierze katolickiej, którą zdobyła sobie szacunek jego i nawrócenie:

„...Młodyć a prawie dzieciny odumarli iej Rodzjcy: ale iej Opatrzność boska naprzód, a po tym Braterska miełość nie odumarła: tak wychowana iest, w takie obyczaie wprawjona, które potym serce Jasnie Oświeconego Alexandra na Ostrogu Xiążęcia do niej obowiozały y nierosdzielną nie telko małżeństwa sporą, ale tesz y uprzejmą a nigdzie nie przerwaną miełośćj związką tak związały, ze lubo śmierć w 15 lat pomieszkania rozerwać to mogła. Miełości jednak uprzejmy przeciwko Xiążęciu: ktorego do śmierci jak za żywego miała: y przy innym przystojnym stanowi wspomjnanju Panem swym nazywała, nigdy żadna śmierć, żaden czas, żadna niepamięć nie naruszeła. A lubo za żywota Xjążęcia J. M. Nieboszczyka, cieszkości nieco beło z rożności religjej. Nie beła iednak ta różność occasją do różnjenja abo jątszenia animuszów w pomieszkanju, ale telko zaostrzeniem y zapaleniem serca tak w statecznym nabożeństwa swego catholickiego zachowanja, jako tesz y w przyjacielski powolności y uczcjwości nieodmiennym dotrwanju. Ztąd tesz bes pociech znacznych y pożądanych w tym stanie nie beła. Bo y przystojności ustawiczny s każdy miary doznała, y wychowanie miełego potomstwa pożądane beło, y nabożeństwu swemu ojczystemu wygodzenie skromny statek bes odmiany wymogł. I taką u Xiążęcia Nieboszczyka o statku, w spadku, cnocie, rozumje reputatją sobie sprawieła, że wszystkę opiekę dzjatek swojch, y brata swego rodzonego w tym nieszukając, o nj samy ufale zapisaną zostawieł. Y naostatek przy Xjążęcy śmierci acz gorzki ty iednak pociechę odniosła, że go garnącego się do Kościoła y Nabożeństwa Catholjckiego Rzymskiego, y kapłanow Catholickich pragnącego słyszała; y za uznaniem Clemensa VIII. Stoljce Rzymskj Najwyszszego Biskupa do uczesnictwa modlitew y offiar swiętych koscielnych przyłączonego mjała. Dlatego tesz doroczných w kościele katholickim obchodów za duszę Xjążęcia nigdy nie opuszczała".

Widzi dalej na murach i basztach wojska jakieś z naro-

dów, które ono miasto, ona galera na obronę swoją miało: Persów i Lidyan, Libian, Aradczyków i pigmejskich mężów, którzy tarcze, przyłbice i sajdaki rozwieszali na wieżach dla ozdoby miasta.

„...Czy pono Jaśnie oswiecona nasza Xiężna, nieboszka Bohaterką, Amazonką, Hetmanjcką beła? Nie. Zostawjała to Hetmanom y Hetmańskim Synom, co sie tycze bojów, tych widomych y wjadomych, do jakich zabaw Panie lubo hetmańską krwją nauczone, nie są iednak obwjązane; dosyć na nich abo Hetmany rodzić abo Hetmany krwią swoją zdobjć. Iednak są inne boje y wojny od których y plec subtelna mdlejsza Bialoglowska choć w nawiększych stanach nie iest uwolnjona, nie iest wymowjona. Takie są wojny Duszne y biedzenja, w ktorych y bialyglowy wolno żołd wjeść, wolno poczty stawjać, wolno rotmistszować, wolno pulkownjczyć, wolno hetmanjć y Wojska zbjerać, ba y ścierać. Wolno mię, ale mało mowię, miałem mowić że potrzebno, że powinno, że inaczy bydź nie może: bo zbawienie w tym, y utrata w tym uczcjwego wszystkiego tak doczesnego jako wiecznego, a nawet y Boga samego".

Zwraca więc kaznodzieja uwagę słuchacza na wewnętrzne życie duchowe zmarłej, na obowiązek walczenia przeciw namiętnościom i pokusom szatańskim, od którego usunąć się nie może nikt od najnędzniejszego żebraka do królów i władców najmożniejszych. Kreśli szczegółowo przymioty jej i cnoty, wskazując za wzór rzadki i naśladowania godny: jej wiarę nietylko w profesyi, nietylko na zewnętrzny pozór, ale i w sercu i w uściech i w uczynku i w dzielności; nadzieję w Bogu i ufność w Jego lasce, którą przełamywała wszystkie trudności, prawie pieszczoną bojaźń Bożą; pragnienie pomnożenia chwały Pańskiej, które ją do ofiar wielkich skłaniało, a dbałości o poddane; jej wdowie życie, niemal zakonne; to zdanie się we wszystkiem na wolę Bożą i gorącość nabożeństwa ku Bogu i ćwiczenia się we wszystkich cnotach chrześcijańskich, które ją popychało do najcięższych umartwień ciała, pokornych i nizkich posług po szpitalach. Nie unosi się, ni sypie frazesami, ale przedstawia i opowiada same fakta. Jest to najdłuższa i najważniejsza część mowy, znać

że mowca czuje się w swoim żywiole i swojem oddycha powietrzem. Jak pięknie mówi o pragnieniu księżnej i zabiegach koło pomnożenia chwały Boskiej:

„... Miełość Boża, Szanowanje czcj Boskj, Pragnienie y pomnożenie chwały Boski, ta cnota iako iest innych cnot krolową y Panją y Matką: tak tesz y w Xiężny Jej Mości mieście, to iest w Duszy y w sercu, wielkie wojska znamienjtych a miełołością y chwałą Boską zaprawjonych spraw y uczynków zasadziela. A ze szerzyć nie będę, wszystek po prostu żywot iej z miełości Boży płynął, wszystkie swe sprawy wnętrzne, powierzchne, do dusze, do spolkowania z ludzmi, do spraw domowych należące Bożą miełością y chwałą zaprawiała. Nikt iej przyjacielem, nikt domownikiem mielszym nie beł, jako w kjm miełość y bojaźn Bożą widziała. Na nic nie bolała barzy jako na grzechy ludzkie, na obrazę y wzgardę Bożą. Przykładny żywot iej, jakjm beł wojskiem! Hetmanska to cnota: a nie tak cnota jako cnót zgromadzenie y hufce y woyska, ktorymi ona, ktorego stanu nie podbijała cnocje, pobożności, Xtusowi? Mogłbych zawołać pominąwszy klasztory y zakony iej kosztem przewasznem abo fundowane, abo pomnożone. Mogłbych mowię zawołać z Tertulianem (przytacza tu dość długi ustęp po łacinie z dzieła jego *De cultu feminarum*) .... Mógłbych mowje wyliczyć wielki poczet Panów y osobliwie Pan, Wdów, panienek w powiecie tym osadzonych, ktore niepochybnie abo przykład, abo wychowanie Xiężny dziękj w cnoty wprowadzieło, zaprawieło, zakorzenieło...“

Albo dalej podnosi jej zdanie się we wszystkiem na wolę Boską, jako brała z niego pociechę i pomoc w trudnościach:

„...Nie opuszczę: powzdanja iej zupełnego na wolą y upodobanie Boskie wszelakie, y we wszystkich okoljcznoścjach. We wszystkjch swych trudnoścjach y przykroścjach: ktoremi żywot iej 60 letni nie pomału przepleciony beł od Boga y uderzały podczas rożne ciosy na serce. W ktorych wszystkich iednak *non peccavit labiis suis neque stultum quid locuta est.* Nie żeby nie czuła. Czuła y bolała y szukała y oddalenja przykrości, poniżenia przylerzących się, y niewdzięcznych w ręku y w mocy iako Pani

mjała: iednak nigdy pomście y zemszczenju w sercu miejsca nie dała, Bogu wszystko odlecając, z ręku iego przymuiąc, za wszystko dziękując, zeby y drudzy dziękowali prosząc, za tych, którzy iej brozdzieli serdecznie Bogu prosząc. Stała ta iedna cnota w nij za wszystkie inny bo nją samą iedna we wszystkim nienaruszenie stała. I telko iej wolą Bożą wspomnieć beło: iusz wszystkie pociechy y pomocy w sercu zarazem bely. I rzec to mogę, że jeżelj którą cnotę iam w nj gruntowną a zakorzenjoną upatrzeł, tedy tę jedność z Wolą Bożą..."

Znajduje wreszcie u Ezechiela jedną jeszcze pochwałę dla Tyru, iż ta jego galera miała żagle tkane z egipskiego bisioru, a pokryciem jej był hyacynt i szkarłat z wysp Elisu. To owe natchnienia łaski Bożej niepochybnie zdrowe i ratunki niebieskie, dary słowem nadprzyrodzone i łaski, co księżnę niejako żywiły i prowadziły w ciągu życia.

Tak wszystkiego miał Tyr pod dostatkiem, we wszystko opływał, prawdziwie wielki i wspaniały w sercu morza. Czegóż mu brakowało do szczęścia? Dobitnym ustępem kończy mowca ten opis, przywołując słuchaczom na pamięć koniec wszystkich rzeczy, choćby najdostatniejszych, najwspanialszych. Jest to raczej już strona praktyczna, zastosowanie jakie chciał uczynić przy świeżo zamkniętej trumnie:

„Dziwna rzecz iest barzo Moj Namilsi Catholicy: że Prorok uczynjwszy taką pielność w opisaniu Tyru; wystawjwszy go w obrazie Galery tak dostateczny na wszystko: wyliczywszy wszystkie sprzęty okrętowe, iedny rzeczy czyli zaniedbał, czyli nie nalazł nie wiem, to telko wjem, że iej nie wspomnjał. Domyslawam się tesz, z tego co tam wiecy o Tyrze y ty galerze pisze duchem Prorockim, że iej ta galera tak napszepych wybudowana nie mjała. Wiedzą łaski wasze: jako potrzebna iest morskim okrętom Anchora abo kotwica: wiecie że w okrętach kotwic bywa oras kielka: a od przygody y kielkanaście. Y szaleie szyper każdy, ktory sie bes kotwjce z okrętem by nabudowniejszym puszcza, bo pewnie taki nawie moze sie rzec owo z Poëty: *Ventis ludibrium debes* — abo iako rzekł drugi ktoś: *Pabulum es voraginum* — jesteś potrawą potopu.

„Nie poszło to z niepamięcj Proroku swjętemu: ale ysz upatrował ze ono mjasto lubo tak budowne, tak ludne, tak dostatnie, tak obronne, tak niedobyte, miało jednak koniec swoj wzjąć: a tak wzjąć, ze ono wszytko mjasto, mjało zaginąć *in corde maris* y że mjała pieśń bydź o njm taka żałobna; ..... Ktoreś mjasto iest jako Tyr, ktore zamjlkło y zgjneło w puł morza, ktore wielkością bogactw swojch napełnieło narodow wiele: zbogacieło krole ziemie a teras starte y skruszone iesteś od morza, na głębokościach wodnych dostatki twoie. Iakoż tak się stało po tym niedlugo, bo Nabuchodonozor zburzywszy Jerusalem, y lud Israëlskj do Babylonu zabrawszy, zburzył y Tyr y zrownał nie z ziemią ale z morzem po trzyletnjm obleżeniu go. Dlategoć w opisanju swoim wszytkim tak pielnym, opuścieł prorok święty Anchorę abo kotwjcę, ze iej ono miasto nie miało.

„Takie, Moj Namilsi Catholicy, iest tych wszystkich njniejszych rzeczy splendor. Taka wielkoścj, taka Iasności y Świetnoścj, taka wielmożnoścj tutecznych okazałość. Wszytek wasz warunek, wszytki dostatek, wszytek rozrost y roskwit by nabujnieszy, niema, niema, niema kotwjce. Y owszem *in se magna ruunt,* wielkością swą wielmożnoścj się nasze walą. Pisujcie to Jaśnie Wielmożnj y Mieloścjwj Panowie y Panie na sercach waszych mądrych y uwasznych ze szczęścja wasze, wysokoścj wasze, wielkoścj wasze kotwice nie mają. Wiedzcie to y do wspanjałych animuszów waszych przepuszczajcie, ze kiedy *ad summa votorum,* do nawyszszych szczęśliwości przypędzjcie nawy wasze, że po tym przypędzenju, następuje nie jnny pas, nie jnny krok, nie jnny salt, nie jnny ordo y tryb rzeczy, telko odmjana, telko koniec, telko rujna, telko śmierć, telko *ventis ludibrium,* telko *naufragium,* telko *pabulum voraginum. In se* bowiem *magna ruunt,* sama siebie wielkość wali, kotwice nie masz. Nie dano tym galerom lubo dostatnio opatrzonym anchory żadny: kotwice żadny“...

Czy nie mógłby się pod tym ustępem podpisać jaki makaronista? A ile mimo to w nim siły i zapału, ile prawdy i grozy! Chryzostom za Eutropiuszem każe pisać na drzwiach i ścianach owe wielkie mędrca słowa: marność nad marnościami i wszystko

marność. Drużbicki każe na sercach pisać, że szczęścia i wielmożności kotwicy nie mają. Gdyby był w tym momencie zakończył mowca swoją pochwałę, wrażenie byłoby przetrwało. Osłabiają je niestety niektóre jeszcze opowieści o kotwicy, okazujące skażony smak, rozwałkowywanie myśli aż do wyczerpania i ilustrowania jej przykładami lub fabułami. Mówi więc jeszcze Drużbicki jak Seleucyusz, król Azyi, pieczętował się kotwicą, a jego potomkowie rodzili się z kotwicą wyrażoną na ciele, o posągu Nabuchodonozora, Jowiszu, Terminie, wreszcie dopiero żegna nieboszczkę w imieniu poddanych, wyrażając jej wdzięczność i nadzieję, że cieszy się już chwałą niebieską, i życzy, by była ozdobą u tronu Bożego.

„Takeś y Ty Jaśnie Oświecona Xiężno skończeła. Niemjała Iasność y Wielmożność twoja kotwice y lubo się twoi bogaty y zacny okręt o skałę nie uderzeł, lubo go nawałności nierozerwały, lubo *ventis ludibrium* nie beł, lubo zdawna do spokojnego y pobożnego żywota portu beł przypięty, lubo w pokoju, w szcześcju, w dostatku, w dozorze około zdrowja, przecieś skończeła: przecię kamyczek bes ręki uderzeł w cię: spadł od nikogo nie zrzucony z głowy: zastanowieł się w gardle, zaległ piersi, obcjażeł tchnienie, przebeł do serca y koniec uczynieł.

„Uczynieł koniec żywota śmiertelnego, swemu prawu nieodmiennie podległego. Ale nie uczynieł żywota onego innego nieśmiertelnego z cnoty, z bogobojności, z obyczajów świętych, a xscjańskiego człowieka godnych złożonego: w niebie na kotwicy zasadzonego, tego końca nie uczynieł, tego nie skończeł.

„Symboljste malują nadzieję dwojako z kotwicą: jedni u nóg jej onę stawjają na ziemi, drudzj zaś kotwicę w niebie kładą choć nadzieję na ziemi zostawją. Dają tym znać, że dwojakie są w ludziech nadzieje: iedne dożywotnie tu, ktore tak długo są y stoją u nóg nadzieie, poki kamyczek *sine manibus* w nogę nie uderzy: jak tesz w nogę wymierzy y kotwjca z obrarzom w proch pojdzie. *Commixta sunt pariter aurum, ferrum* . . . : a taka nadzieja pospolita iest złym y dobrym, małym wielkjm. Drugie w ludzjach nadzieje są nie dożywotnie telko, ale y pożywotnie. Nie na ziemi się zwalaiącą, ale w nie-

bie zasadzoną kotew mające. Taka kotwica kamykowy bes rękj nie podległa, nie kruszy iej, ba y nie sięga, owszem do niej prowadzj. I pewnie zaprowadzieł nasze Jaśnie Oświeconą Xiężnę tam gdzie iej nadzieja wlasna, gdzie kotwjca *spes non confundens*, ona *spes nostra Christus*, ona *Anchora spei nostrae Deus:* nadzieją nie zawstydzającą, nadzieja Christus y w Xstusie, kotew nadzieje naszy Bóg.

„Ze iusz to coś ziemskiego y śmiertelnego mjała tuć zostawywszy: duchem nieśmiertelnym ktoryś od Boga mjała, ktory na niebo stworzony beł, ktoryś świątobliwością obyczajów y Xścjańskich cnót doskonałością wieczny chwale przybrała y njmes się (jako się spodziewamy, jako zyczemy, jak Xścijańskiem prosiemy) iusz do nieba przeniosla y bogaty on dusze Twy okręt po Boskj do brzeg morzu niesbrodzonym, iusz przespiecznie, bo wieczność za kotwjcę mający, rozpuściela. Winszujemyć iusz, abo przynamni nabosznie y znadzieją życzemy, tego szczęścia. Wszyscy cję żegnamy ostatniem. Żegnają cię osobliwie dziś poddani twoi y wieczną pamiec na Pańskje dobrodziejstwa twoje obiecują y oddają, dziękując za nie. A ieślję sie kiedy niewdzięcznemi za nie stawieły, odpuszczenja proszą. A na ostatek jakoś tu żyjąc beła *Honorificentia populi nostri* (Iudith. 19, 10), okrasą ludu twoiego. Jakoś tu beła miedzy nami *quasi mater honorificata* — matka uczciwości pełna, żebyś tesz y w onym krolestwie Bożym zasiadszj między Xięstwa y Państwa *inter principatus et Dominationes* niebieskie, beła *honorificentia populi Dei*, uweseleniem y ozdobą ludu świętego, ludu z Bogiem w Trojcy S. iedynym przebywaiącego, któremu cześć y chwała na wieki. Amen".

Mowa cała utrzymana w duchu alegorycznym, trudnoby mogła przetrzymać ścisłą krytykę. Wadliwość jednak widzimy w samej tylko formie, nie w rozwinięciu i przeprowadzeniu materyi. Mimo to znajdują się ustępy bardzo piękne, godne ust najlepszych mowców współczesnych Drużbickiemu. Mowca zawarł w niej ogromny materyał biograficzny, stąd ma jego mowa swoją wartość historyczną. Wiele słabszą jest mowa na pogrzebie Adama Czechowskiego. Już sam tekst: *Quoniam Adam exem-*

plum meum ab adolescentia mea (Zach. 13, 5), źle nas uprzedza do mowy, spodziewamy się zapewne w nim jakiej aluzyi do imienia zmarłego i stąd pochwały upatrzonej od wieków w Piśmie św. Nie jednakże. Drużbicki za zbyt był rozumnym, za zbyt dbał o godność mownicy religijnej, żeby się dopuścić czegoś podobnego. Z całej mowy widać tylko, że kaznodzieja chce pokazać jak zmarłemu jego niebieski patron był w życiu wzorem, zostawić na tem tle słuchaczom naukę. Powiada mowca we wstępie, że nie wie czyli prorok się tłumaczy czy też oskarża. Dwóch bowiem jest Adamów: stary i nowy. Tłumaczy dalej w czem stary Adam jest naszym wzorem, a w czem nowy; gdy pierwszy wszystkim w grzechu, drugi niewielom w pokucie, którą 930 lat czynił, pracując w pocie czoła. W czem był więc Adam prorokowi przykładem długoby się trzeba rozwodzić, dlatego ominąwszy mowca tę kwestyę zwraca się do nieboszczyka i rozmawia z nim:

„Panie Adamie Czechowski: Jakaż to przyczyna, żeś wstąpił dzisiaj w progi tej świątyni, a raczej przyniesiono cię i tu oto martwy w pośrodku leżysz, zamknięty w tem ciasnem miejscu, wystawiony na marach, otoczony pochodniami, w kole przyjaciół i sąsiadów?

„Czemuż, mówi, pytacie i dziwicie się, uczyniłem to, bowiem Adam moim wzorem.

„Panie Adamie Czechowski, czemuś opuścił swój dom, swoje zajęcia, swoje majętności i interesa? zaszczyty swoje i godności w tem senatorskiem mieście? Mogłeś je przecież wygodnie jeszcze piastować!

„Czemuż mnie pytacie, bowiem Adam moim wzorem.

„Panie Adamie Czechowski, dlaczegoś to wszystko opuścił, a opuściłeś nie mając już nigdy powracać: urzęda swoje i dobra. Przyjaciół i swoich sąsiadów, kochaną małżonkę, zięcia miłego, dziatki swoje i młodziutkie i jeszcze twej troski wyglądające?

„Uczyniłem, rzecze, ponieważ Adam moim wzorem.

„Panie Adamie Czechowski, cóż to jest, żeś pozbawił nas swego oblicza, towarzystwa swojego i rozmowy, rady i przyjaźni, łaski swojej i powagi?

„Musiałem to uczynić, bowiem Adam moim wzorem.

„Co się to znaczy, Panie Adamie, że jedną jedyną dajesz nam na wszystko odpowiedź: ‚ponieważ Adam przykładem moim‘. Co znaczą te słowa? albo raczej co chcesz przez to powiedzieć?

„To mówię, to chcę tylko powiedzieć, że cokolwiek uczyniłem, dlategom uczynił, abym zrobił Adama moim wzorem. Adam nauczył mnie tego, Adam mnie przywiódł, abym to uczynił. Adam był mi we wszystkiem przewodnikiem. Adam mi to prawo postanowił, Adam zasiał i dał mi tę naturę. Potwierdził zaś i dał przez swój grzech, przez karę swoją, naturę swoją, wolę swoją czyli moją w swojej, wreszcie doświadczeniem raz uczynionem i przykładem swoim. I w tem wszystkiem jako ów Adam przykładem się moim stał, tak ja sam też stałem się waszym wzorem“. — Następuje teraz jakby druga część mowy obyczajowa, gdzie daje mowca za wzór nieboszczyka; w pobożnej jego pamięci na śmierć, w oderwaniu serca od bogactw ziemi, a rozumnem ich używaniu, wreszcie w przygotowaniu się na śmierć przez spowiedź św. i kilkakrotne przyjmowanie chleba żywota. Kończy mowę bardzo prosto modlitwą kościelną za umarłych.

Gdyby owa nie dość zgrabna, a długa prozopopeja nie zeszpeciła całości, gdyby nie stanowiła przynajmniej wielkiej części mowy, to mowa ta w skromnym zresztą i prostym trzymana tonie, namaszczona jakby wyższem uczuciem i celem, mogłaby stanąć wysoko.

* * *

Tak się więc przedstawia wymowa Drużbickiego. Przytoczyliśmy tyle wyjątków tak z kazań, jak z jego mów, że czytelnik może sam bez trudności utworzyć sobie zdanie o naszym kaznodziei. Język jego prawie czysty, jeszcze nie skażony, forma kaznodziejska dobrze zachowana, jasny i gruntowny wykład prawd wiary św., a myśl przewodnia logicznie przeprowadzona mogłyby stawić Drużbickiego w rzędzie kaznodziejów Zygmuntowskich. Niema w nim wprawdzie już ani język owej jędrności, ani myśl polotu, niema w nim świetnej, okazałej wymowy mi-

nionej epoki, gdzie nieraz każdy wyraz bywał malowidłem, każdy zwrot nową pięknością, niema nawet rzutkości myśli, oryginalności pomysłów, ani cechy narodowej kaznodziejów XVII. stulecia, ale niema też ich bezładu, nieskrępowanej wolności myśli i fantazyi, nie odskakuje od przedmiotu, panuje zawsze nad tematem. Ale mimo to zdradza Drużbicki tu i ówdzie wyraźne już cechy zepsucia smaku: zbytnia czasem kwiecistość, nagromadzenie synonimów i przymiotników około jednego niekiedy przedmiotu, zbytnia erudycya, wywody etymologiczne, zakrój chwilami makaroniczny. Oto błędy główne Drużbickiego. Stąd też Drużbicki należy do kaznodziejów przejściowych.

Nie tak potężny formą i wymową, jak gruntowną siłą przekonywującą, jest głębokim, poważnym kaznodzieją, godnym pod tym względem naśladowania.

Jarosław Rejowicz.

PROMIENIE BECQUERELA I NOWE PIERWIASTKI.

W chwili, kiedy promienie Röntgena tak bardzo zajmują cały świat cywilizowany, gdy nie przeminęło jeszcze potężne wrażenie, niespodziewanem odkryciem tychże wywołane, a rozmaite czasopisma naukowe przynoszą nam coraz to nowe szczegóły, dotyczące tej tyle ciekawej materyi i dające zarazem dowód, jak po różnych dziedzinach pracujący uczeni tym przedmiotem się interesują — wyłania się odkrycie nowe, które dotychczas, można powiedzieć, nie wyszło prawie poza laboratorya fizyczne i łamy czasopism fachowych. Chodzi tu po prostu o nowy rodzaj promieni niewidzialnych, zwanych promieniami Becquerela lub uranowemi. Promienie te nie uderzają może od razu okazałością swych zjawisk, ani też nie robią może tyle nadziei co do korzyści praktycznych, jak promienie Röntgena. Są one jednak więcej ze stanowiska czysto naukowego, powiedzieć można, filozoficznego, niezwykle ciekawe, a doniosłość ich wielka. Chociaż więc rzecz cała niejako dopiero jest w zawiązku, tyle już jednak ciekawych zawiera szczegółów, tyle nasuwa myśli, że postanowiliśmy czytelników naszych bliżej z nią zapoznać, a to tem bardziej, że z temi promieniami ściśle wiąże się odkrycie nowego pierwiastku, który znowu dla swej nazwy *polonium*, szczególne w naszem społeczeństwie zainteresowanie wywołać musi.

Znane są okoliczności, wśród których profesor Röntgen dokonał swego sławnego odkrycia promieni X. Świeżo czynione

badania rozmaitych uczonych, zwłaszcza zaś Hertza i Lenarda, nad promieniami katodowemi, żywo podówczas poruszały wszystkie umysły. Zagadnieniem tem zainteresował się także i profesor Röntgen. Robił on poszukiwania w tym kierunku, używając oczywiście niezbędnej w tym celu rurki Crookesa (tj. rurki szklanej, z której powietrze tak wypompowano, że zostaje zaledwie jedna stutysięczna część ilości pierwotnej, czyli niecały milimetr ciśnienia). Kiedy zaś razu pewnego — było to 8 listopada 1895 r. — przepuścił silny prąd przez taką rurkę, osłonioną czarnym kartonem, spostrzegł, że kawałek papieru, powleczonego platynosinkiem baru, poczyna świecić. Dalsze badania, znane już powszechnie, wykazały, że ściany rurki Crookesa, uderzone promieniami katodowemi, fluoryzując[1] żywem złoto-zielonem światłem, stają się źródłem nowych, nieznanych dotąd promieni, którym Röntgen dał nazwę promieni X.

Z początku nie wiedziano, że źródłem promieni Röntgena mogą się stać ciała, pod wpływem promieni katodowych niefluoryzujące, jak np. platyna. Sądzono, że właśnie ta własność szkła, iż ono w promieniach katodowych silnie fluoryzuje, jest główną przyczyną promieni Röntgena. Z tego jednakże mniemania wnet zrodziło się pytanie, które naprowadziło na ciekawe odkrycia naukowe — mianowicie, czy też i inne ciała, z jakiegokolwiek powodu żywo fluoryzujące, nie wysyłają ze siebie promieni Röntgena, takich, jakie wydają ściany rurki Crookesa pod wpływem promieni ka-

[1] Przypomnieć tu musimy niektóre znane zresztą zjawiska świetlne i ich nazwy. Wiadomo, że atomy niektórych ciał, wystawionych na działanie światła, wydają ze siebie promienie innej barwy niż te, które na nie padają. Gdy światło to nowe gaśnie natychmiast, skoro ustaje działanie promieni pobudzających, zjawisko takie nazywamy fluorescencyą. Inne natomiast ciała, wystawione raz na promienie słońca, świecą potem jeszcze przez długi czas w zupełnej nawet ciemności — i to nazywamy fosforescencyą. Znane są tu przedewszystkiem farby świecące w ciemności, jakiemi powlekają np. zegary. Tak wynalazł niedawno niejaki p. Horne, Anglik, substancyę, która tak silnie fosforyzuje, że każdy cal kwadratowy jej powierzchni świeci z siłą jednej dziesiątej części świecy; wystarczy więc powlec nią karton wielkości pół arkusza papieru, by mieć zimną lampę, o sile ośmiu świec. (Por. Silv. P. Tompson, *Light Visible and Invisible*. London 1897, str. 174 i nast.).

todowych, czyli innemi słowy, czy nie moglibyśmy otrzymać promieni Röntgena bez kosztownych i wiele zachodów wymagających przyrządów, wprost z ciał silnie fluoryzujących.

Na to pytanie starał się między innymi odpowiedzieć członek Akademii francuskiej, Henryk Becquerel, czyniąc w tym celu cały szereg doświadczeń [1].

I.

Wśród ciał, posiadających własność fluorescencyi, jest jedno, które wystawione na działanie promieni słonecznych, żywo bardzo ją objawia; jest to siarkan uranowo-potazowy. Otóż z płytką krystaliczną tego siarkanu robił Becquerel następujące doświadczenia: Płytę fotograficzną obwijał w czarny, gruby papier, dla promieni świetlnych zupełnie nieprzeźroczysty, na nim kładł ową płytkę uranową i wystawiał wszystko na działanie promieni słonecznych. Gdy po pewnym czasie otworzył, przekonał się, że na płycie fotograficznej odbiły się kontury owego kryształu uranowo-potazowego. Pomiędzy substancyą fosforyzującą a papierem, kładł następnie rozmaite cienkie przedmioty, jak monety, blaszki, w których wycięto desenie, przegradzał to wszystko od papieru cienką płytką szkła, by zapobiedz ewentualnemu działaniu chemicznemu wprost, a zawsze otrzymywał ten sam rezultat — na kliszy fotograficznej powstawała wyraźna sylwetka płytki uranowej i przedmiotu pomiędzy nią a papierem leżącego. Z tego wniosek oczywisty, że ten siarkan uranowo-potazowy wydaje ze siebie promienie, które przechodząc przez papier dla światła zwykłego nieprzeźroczysty, działa na sole srebra, jakiemi płyta fotograficzna była pokryta.

Doświadczenia tego rodzaju czynił Becquerel często. Pewnego razu, dnia 26 lutego 1896 r., przyrządził on sobie takie doświadczenie w sposób powyżej opisany. Lecz na nieszczęście,

---

[1] Liczne jego relacye są umieszczane w *Comptes Rendus de l'Académie des Sciences* z r. 1896, str. 420, 501, 589, 689, 762, 1086; r. 1897, str. 438, 800.

a raczej na szczęście, pogoda w dniu tym nie dopisała, słońce pokazywało się tylko przelotnie; zamknął więc wszystko do szuflady. To samo powtórzyło się dni następnych. Tymczasem przyszło mu na myśl zobaczyć, co się też z płytą fotograficzną stało, czy może to zwykłe, rozproszone światło dzienne, na które przez krótki czas całe urządzenie było wystawione, nie wywołało jakiego słabego obrazu na kliszy. I rzeczywiście, na płycie okazały się kontury nadspodziewanie wyraźne. Natychmiast przeto postanowił robić dalsze doświadczenia, ale już w zupełnej ciemności. Wziął trzy płyty fotograficzne: na jednej umieścił płytkę soli uranowej, na drugiej płytę szklaną, a dopiero na niej sól uranową, trzecią zaś przedzielił od soli uranowej płytką aluminium i zamknął to wszystko do szuflady. Po 5 godzinach otworzył, obrazy wywołał. Na płytach fotograficznych okazały się sylwetki płytek soli uranowej, i to na tej płycie, na której sól była bezpośrednio, obraz był bardzo wyraźny, na płycie przykrytej szkłem, obraz był nieco osłabiony, zaś na płycie przykrytej aluminium działanie było najsłabsze, lecz mimo to obraz był bardzo czysty.

Dalszem pytaniem, które narzucić się musiało każdemu, cokolwiek obeznanemu z zasadami fizyki, było, jaki wpływ wywierają te promienie, z uranu wychodzące, na ciała naelektryzowane? Do badań, celem rozwiązania tego pytania podjętych, użyto elektroskopu, mającego podwójną osłonę: jedna, metalowa, chroniła go od wpływu elektryczności zewnętrznej, druga, ze szkła żółtego, nie dopuszczała promieni ultrafioletowych, które, jak naszym czytelnikom już wiadomo, w pewnych wypadkach spowodowują wyładowanie elektryczności ciał naelektryzowanych. To też taki elektroskop, raz naładowany, zachowuje swoją elektryczność przez czas stosunkowo bardzo długi, złote listki jego pozostają rozchylone przez całe miesiące. W osłonie tego elektroskopu zrobił Becquerel otwór i nakrył go płytką aluminium, grubą na 0,12 mm. Gdy naładował elektroskop i zbliżył do tego okienka płytkę uranową, dostrzegł, że rozchylone listki elektroskopu zbliżają się do siebie, co oznaczało, że elektroskop wyładowywał się pod wpływem promieni, wychodzących z uranu. Doświadczenia te powtarzano w rozmaitych warunkach. Tak np.

naładowano elektroskop w ten sposób, że listki rozchylone tworzyły kąt 18°; gdy do okienka aluminiowego zbliżono płytkę siarkanu uranowego, listki poczęły opadać i po upływie 2 godzin i 56 minut zeszły się ze sobą zupełnie.

Naturalnie trzeba było następnie szukać, czy podobnych promieni nie wysyłają także i inne ciała. Bardzo ścisłe badania w tym celu, dokonane szczególnie przez Schmidta i panią Skłodowską-Curie [1], wykazały, że takie promienie wydaje z siebie tylko uran, tor i wszystkie ciała z niemi połączone.

II.

Chodziło teraz o głębsze poznanie tych promieni, a więc przedewszystkiem, czy podlegają one tym samym prawom, co promienie świetlne, a dalej, skąd one właściwie pochodzą i co za tem idzie, jak je można sztucznie osłabiać lub wzmacniać. Nie będziemy czytelników naszych trudzili opisywaniem bardzo ścisłych i żmudnych doświadczeń, jakie uczeni w ciągu dwóch przeszło lat ostatnich nad tym przedmiotem czynili. Ciekawych odsyłamy do cytowanych przez nas rozpraw i oryginalnych sprawozdań, a tutaj przedstawimy tylko wyniki, do jakich fizycy do chwili obecnej doszli.

Otóż pewną jest rzeczą, że uran i tor, jakoteż ciała mające w swym składzie te pierwiastki, wysyłają ze siebie promienie, dla oka niewidzialne, nazwane promieniami uranowemi lub, od ich odkrywcy, promieniami Becquerela [2]. Promienie te, do promieni Röntgena wogóle podobne, mają własność oddziaływania na płytę fotograficzną, wyładowywania elektryczności tak ujemnej, jak dodatniej i przenikania przez ciała dla promieni świetlnych nieprzeźroczyste, jako to papier, aluminium a nawet

---

[1] Skłodowska-Curie, *Les Rayons de Becquerel et le Polonium. — Revue générale des Sciences,* 30 janvier 1899.

[2] Słuszność jednak nakazuje podnieść, że promienie te odkrył także równocześnie z Becquerelem, a od tegoż niezależnie, angielski profesor Silvanus P. Thompson (por. tegoż, *Light Visible and Invisible.* London 1897), o czem jednak dzisiaj mało kto wspomina.

metale — byle te były w bardzo cienkich płytkach. Różne ciała mają oczywiście rozmaitą zdolność absorbowania tychże promieni: w każdym jednak razie można ogólnie powiedzieć, że jakiekolwiek ciało stałe, mające grubość kilku milimetrów, pochłania te promienie prawie zupełnie.

Wątpliwość natomiast, i to poważna, zachodzi co do dalszych własności. Z doświadczeń Becquerela wynika, że promienie uranowe odbijają się od ciał regularnie, że przechodząc przez ciała np. pryzmaty z wosku, aluminium i t. p., doznają załamania, a przechodząc przez skrzyżowane płytki turmalinu, zostają spolaryzowane — czyli jednem słowem, zachowują się tak, jak promienie świetlne. Tymczasem Rutherford [1] utrzymuje, że powtarzał w swojej pracowni wielokrotnie doświadczenia Becquerela, owszem, czynił je w warunkach daleko odpowiedniejszych i z większą ścisłością, a nigdy nie mógł dostrzedz śladu załamania lub spolaryzowania tychże promieni. Schmidt znowu, robiąc też same doświadczenia z torem, miał wykryć załamanie i rozproszone odbicie, lecz polaryzacyi nie znalazł. Kwestya więc ta, chociaż tak ważna, pozostaje dotychczas nie rozstrzygniętą. Zdaje się jednak, że i w tym punkcie promienie uranowe są podobne do promieni Röntgena tj. nie załamują się i nie polaryzują. Rutherford wyciąga dalej ze swych doświadczeń wniosek, że promienie uranowe nie są jednorodne. Rozróżnia on w nich dwa rodzaje promieni: jedne, które nazywa promieniami α (są one także złożone), stanowią większą część promieni, wychodzących z uranu; drugie β, prawdopodobnie dosyć jednorodne, które jednak wynoszą zaledwie kilka procent pierwotnych promieni. Promienie α przenikają przez ciała bardzo trudno, stąd wystarczy promienie wychodzące z uranu przepuścić przez płytkę z aluminium, mającą 0,005 milimetra grubości, ażeby intenzywność ich zmniejszyć więcej niż o połowę. Natomiast promienie tak przesiane, ponieważ zawierają już znacznie większy procent promieni β, mogą przejść przez kilka takich płytek i niewiele utracą ze

[1] E. Rutherford, *Uranium Radiation and the Electrical Conduction produced by it.* — *Philosophical Magazine.* January 1899.

swej siły. Promienie β są prawie tak przenikliwe, jak promienie Röntgena.

Najciekawszą jednak jest tutaj kwestya następująca: uran i tor wysyłają promienie, działające na płytkę fotograficzną — a więc posiadają pewną ilość energii. Co większa, stwierdzono, że tego promieniowania nie można dotychczas niczem widocznie osłabić lub wzmocnić. Raz robiono zdjęcia fotograficzne z uranem, dopiero co wystawionym na działanie słońca, lub działanie światła elektrycznego, bogatego w promienie ultrafioletowe, mające, jak wiadomo, własność pobudzania ciał do fluorescencyi, to znów dokonywano zdjęć z tym samym kawałkiem uranowej soli, zamknąwszy ją wprzód do ciemnicy na dłuższy przeciąg czasu, np. dni kilkunastu. W obu przypadkach otrzymane obrazy były prawie równie wyraziste i jasne. Skłodowska robiła doświadczenia z tym samym materyałem przez 8 miesięcy, zamykając uran w ciemności, to znów wystawiając go na działanie światła i nie mogła dostrzedz znaczniejszych różnic w działaniu promieni. Tak samo i wielkie zmiany temperatury nic tu wskórać nie zdołały. Więc nasuwa się pytanie: Skądże się bierze energia, która się w formie tych promieni objawia i dlaczego ona się nie wyczerpuje w sposób widoczny? Wszak jedna z najgłówniejszych zasad fizyki nowoczesnej, zasada o zachowaniu energii, powiada, że energii ani zniszczyć, ani też wytworzyć z niczego nie można, można tylko w pewnych warunkach przekształcić pewną jej formę, na inną. Możemy np. kazać motorowi elektrycznemu pracować, ale ten motor musimy zasilać prądem, wytworzonym znowu przez pracę (np. wodospadu, pary), albo przez działanie chemiczne (stosy elektryczne). Wiemy więc zawsze, skąd otrzymujemy energię i ile jej dostarczyć musimy, by np. motor nie ustał lub lampa elektryczna nie zgasła. Tymczasem w wypadku promieni uranowych, nie można dostrzedz ani źródła energii, ani też jej ubytku. Jest to więc zagadka dla uczonych niesłychanie ciekawa. Celem jej wyjaśnienia powstały rozmaite tłumaczenia, które jednak dotychczas mają raczej cechę nieśmiałych projektów, aniżeli rzeczy-

wistych, dowodami popartych hipotez. Dosyć są jednak interesujące, dlatego też niektóre podajemy.

III.

I tak Becquerel wystąpił, w początkach zwłaszcza swych badań, ze zdaniem, że te promienie są może niewidzialną dla oka fosforescencyą, tj. dalszym ciągiem fluorescencyi. Tak np. siarkan uranowo-potazowy, jak długo jest pod działaniem promieni słonecznych, żywo fluoryzuje, gdy jednak usuniemy go z pod tego działania, już po jednej setnej części sekundy [1] jego światło fluorescencyjne gaśnie. Zostaje jednak ta fluorescencya w formie niewidzialnej dla oka, dosyć jednak silnej, by wywrzeć wpływ na płytę fotograficzną i na ciała naelektryzowane. Tu jednak zachodzi ta trudność, że środki służące do wzbudzenia fosforescencyi w ciałach, np. wystawienie na działanie promieni ultrafioletowych, podwyższenie temperatury i t. d., powinnyby podwyższyć intenzywność promieni Becquerela w uranie i torze. W każdym zaś razie siła tych promieni powinnaby po pewnym, choćby dłuższym czasie, zmaleć. Nad podobnym przedmiotem robił liczne doświadczenia Le Bon [2] i doszedł wprawdzie do wniosku, że większa część ciał, wystawionych na działanie światła, zachowuje potem własność wydawania ze siebie promieni niewidzialnych, działających na płytę fotograficzną, ale z łatwością dostrzegać, że te promienie ustawicznie i dosyć prędko tracą na intenzywności [3]. Tymczasem z promieniami Becquerela nic takiego zauważyć nie można.

---

[1] Przyrządem wynalezionym przez Becquerela, zwanym fosforoskopem, można z łatwością odkryć fosforescencyę (tj. świecenie w ciemności), nie trwającej dłużej po usunięciu ciała z pod działania promieni słonecznych, nad np. jedną pięćsetną część sekundy.

[2] Gustave Le Bon, *Sur les propriétés optiques de la luminescence résiduelle invisible C. R.*, février 1899.

[3] Tak np. wystawiał ekrany, pokryte siarczkiem wapna, na światło przez kilka sekund, następnie zamykał je do szafy, umieszczonej w ciemnym gabinecie, do którego przez cały czas trwania doświadczenia (2 lata) nie przedostało się żadne światło. W 24 godzin potem, gdy ekrany zupełnie stały się ciemne, położono je na płytkę szklaną, pod którą była płyta foto-

Drugą próbą tłumaczenia, było zdanie wypowiedziane we wspomnianej już rozprawie p. Skłodowskiej, że promienie Becquerela są może poprostu drugorzędnemi promieniami Röntgena. Lecz czytelnicy nasi, nie zajmujący się specyalnie fizyką, nie wiedzą może, co to są drugorzędne promienie Röntgena. Dlatego w kilku słowach rzecz tę wyjaśnimy [1].

Kiedy promienie Röntgena uderzają na jakiekolwiek ciało, zostają przezeń w części zaąbsorbowane. Część tych promieni doznaje zmiany, przekształcenia, we wnętrzu tego ciała i wychodzi na zewnątrz we wszystkich kierunkach. Tak jak ściany rurki Crookesa, uderzane przez promienie katodowe, stają się siedliskiem promieni Röntgena, tak ciało jakiekolwiek pod wpływem promieni Röntgena, staje się siedliskiem i początkiem promieni nowych, do promieni Röntgena podobnych, lecz od nich słabszych. Te promienie nowe nazywają się właśnie promieniami Röntgena drugorzędnemi. Rozmaite badania okazały, że promienie drugorzędne nie są poprostu odbitemi promieniami Röntgena, lecz różnią się od nich swoją naturą. Jeżeli mianowicie zgodzimy się na przypuszczenie, że promienie Röntgena są promieniami ultrafioletowemi, lecz o nadzwyczaj szybkiem drganiu, przynajmniej sto razy szybszem od drgania promieni światła zielonego, to promienie drugorzędne będą miały drganie nieco powolniejsze, więcej zbliżające się w stronę promieni ultrafioletowych krańcowych. Szczególniej ciała o wielkim ciężarze atomowym, jak np. ołów (ciężar atomowy 206), uran (240), tor (232), pochłaniając silnie promienie Röntgena, wydają ze siebie obficie

---

graficzna i spostrzeżono, co następuje: W 3 dni po insolacyi otrzymuje się silne działanie na płytę fotograficzną w ciągu 2 godzin. Po 15 dniach wystawienie płyty fotograficznej na działanie promieni siarczku trwać musi 12 dni, po 25 dniach, 30 dni, po 6 miesiącach 40 dni i teraz promienie siarczku już nie przenikają szkła, lecz tylko płytkę z miki o 0,05 mm. grubości. Po 18 miesiącach otrzymuje się tylko bardzo słabe ślady obrazu i to po wystawieniu trwającem 60 dni.

[1] Sagnac, *Luminescence et les Rayons X.* — *Revue générale de S.*, avril 1898. — Tenże, *La Transformation des Rayons X par les métaux.* — *Séances de la Société Française de Physique*, Année 1894, 4 Fascicule. Nadto, Hurmuzescu, *C. R.*, 1899, str. 422. — Sagnac, *C. R.*, 1899, str. 300.

promienie drugorzędne. Dodać jeszcze wypada, że te promienie drugorzędne są promieniami wielce złożonemi, o różnej, ogółem mniejszej niż pierwotne promienie Röntgena mocy przenikania ciał, dla promieni świetlnych nieprzeźroczystych. Takie promienie drugorzędne padając na ciała naelektryzowane, wyładowują je i to bardzo szybko, działają na płytę fotograficzną, a powierzchnia ekranu, pokrytego np. platyno-sinkiem baru, pod ich wpływem dosyć jasno fluoryzuje. Nawiasowo wspomnimy, że promienie drugorzędne, padając na inne ciała, znowu zostają przekształcone na promienie podobne, lecz słabsze, które nazywamy promieniami Röntgena trzeciorzędnemi. Tak dalej postępując, moglibyśmy otrzymać promienie czwarto-, dziesięcio-, n-rzędne, tylko że wkrótce nie bylibyśmy w stanie ich wykryć, bo po każdej przemianie otrzymujemy promienie coraz słabsze.

Wróćmy teraz do naszego przedmiotu. Jak widzieliśmy, uran należy do metali najcięższych, stąd szczególnie odznacza się własnością przekształcania promieni Röntgena pierwszorzędnych na promienie dalszego rzędu. Otóż nasuwa się myśl, że może przestrzeń cała zapełniona jest jakiemiś promieniami podobnemi do promieni Röntgena, lecz obdarzonemi o wiele większą mocą przenikania przedmiotów nieprzeźroczystych. Tylko ciała o bardzo wielkim ciężarze atomowym, jak uran i tor, mogłyby je absorbować i przekształcać na promienie drugorzędne — promienie Becquerela.

Tłumaczenie to bardzo jest ponętne a i nie wydaje się nieprawdopodobnem. Doświadczenia jednak, chociaż nie zdołały wprost je zaprzeczyć, nie dały przecież rezultatów dodatnich. Źródłem takich promieni, przenikających przestrzeń, powinno być przedewszystkiem słońce. Lecz w takim razie należy oczekiwać, że działanie tych promieni powinno być większe w dzień, aniżeli w nocy, gdzie pomiędzy solą uranową, z którą robimy doświadczenia, a słońcem, staje ziemia. Otóż badania dokonane przez p. Skłodowską w południe i o północy, nie wykazały żadnej dostrzegalnej różnicy. Elster i Geitel [1] czynili znowu z tą samą solą pomiary

[1] I. Elster und H. Geitel, *Versuche an Becquerelstrahlen.— Wiedemann's Annalen.* 1898, 12.

intenzywności promieni Becquerela na powierzchni ziemi i w kopalni, w głębokości 850 metrów, i znowu nie otrzymali różnicy dostrzegalnej. Doświadczenia te jednak kwestyi stanowczo nie rozstrzygają, bo ujemne rezultaty mogą być tylko wynikiem niedoskonałości naszych instrumentów, zwłaszcza jeżeli przypuścimy wielką przenikliwość nieznanych owych promieni.

Pozostaje jeszcze jedno tłumaczenie, podane przez Crookesa [1], niesłychanie interesujące z tego względu, że staje ono w sprzeczności z zasadą fizyczną, uznawaną dotychczas za nienaruszalny pewnik, mianowicie z drugą zasadą termodynamiczną, zasadą Carnota. Zasada ta, jak wiadomo, poucza, że tylko tam można przemienić ciepło na pracę, gdzie zachodzi różnica temperatur; ciepło motorowi dostarczane musi mieć temperaturę wyższą od temperatury otoczenia. Crookes tymczasem występuje z teoryą, że molekuły uranu i toru mają własność taką, iż mogą energię cząstek gazu otaczającego przemieniać na pracę, tj. na promienie Becquerela (które, jak widzieliśmy, rzeczywiście pracę wykonują, działając chemicznie na płytę fotograficzną), chociaż temperatura uranu jest ta sama, co temperatura otoczenia. Według niego uran i tor mają taką budowę, że pozwala im ona odrzucać od siebie cząstki atmosfery, powolniej się poruszające, podczas gdy cząstkom tejże atmosfery, obdarzonym bardzo szybkim ruchem, odbierają część ich energii. Ta to energia dozwalałaby tym ciałom wysyłać ze siebie promienie Becquerela. W ten sposób warstwa powietrza, przytykająca do uranu lub toru, oziębiałaby się nieznacznie, lecz promieniowanie i przewodnictwo otaczającej atmosfery natychmiastby to oziębienie usuwało, kompensowało, tak, iż byłoby ono dla nas prawie niedostrzegalne. A zapas ten energii molekuł gazu otaczającego, który, według Crookesa, miałby być źródłem energii promieni uranowych, jest wcale niemały. Tak np., jak podaje tenże autor, powietrze spokojne, zawarte w pokoju mającym 4 m. wysokości, 8 m. długości, 7 m. szerokości — a więc 224 me-

[1] William Crookes, *Sur la source de l'énergie dans les corps radio-actifs. C. R.* 1899, str. 176.

trów sześciennych, zawiera w sobie tyle energii, że możnaby poruszać nią maszynę parową o sile jednego konia przez 15 godzin. Dodać jeszcze wypada, że i inni fizycy przypuszczają możliwość wyjątku co do owej zasady Carnota. Niekorzystnym dla tego tłumaczenia Crookesa jest tylko wynik doświadczeń, podjętych przez przytoczonych już Elstera i Geitela. Otóż według nich okazało się, że promienie Becquerela miały tę samą intenzywność w najdoskonalszej, jaką otrzymać można próżni, jak i w zwykłem ciśnieniu atmosferycznem.

IV.

Już z tych paru zdań powyżej przytoczonych widać, jakie zainteresowanie się w świecie naukowym wywołały te nowe, tyle zagadkowe promienie. I rzeczywiście, pod względem teoretycznym, ze stanowiska filozofii naturalnej, są one bardzo ciekawe. Ciekawem jednak równie jest i to, że te tak mało jeszcze zbadane promienie Becquerela, stają się środkiem do dalszego zagłębiania się w tajniki przyrody, do wydobycia stamtąd na jaw elementów, o których istnieniu nic dotychczas nie wiedzieliśmy. Mamy tu na myśli odkrycie dwóch nowych pierwiastków, dokonane zapomocą tychże promieni przez panią Skłodowską i towarzyszy. Na samym wstępie zaznaczyć jednak musimy, że istnienie tych pierwiastków, chociaż bardzo prawdopodobne, nie jest jeszcze wszechstronnie stwierdzone. Lecz przystąpmy do rzeczy.

Pani Skłodowska[1] badała, jak już nadmieniliśmy, rozmaite ciała, czy i o ile one wysyłają ze siebie promienie Becquerela. Okazało się, że posiadają tę własność tylko uran i tor, jako też ciała z niemi połączone. Tu jednak spostrzegła pewną anomalię; niektóre minerały, jak uraninit *(pechblende)*, chalkolit, wysyłają ze siebie promienie nieproporcyonalnie silne; i tak promienie uraninitu, zawierającego tlenek uranu, działają 3 razy silniej od

[1] Skłodowska-Curie, *Les Rayons de Becquerel et le Polonium. Revue générale des Sciences* du 30 janvier 1899.

czystego metalicznego uranu. Zjawisko to poddano bliższemu badaniu. Wkrótce okazało się, że z uraninitu otrzymać można przez sublimacyę w próżni ciało, wysyłające promienie 30 razy silniejsze od promieni uranu, jednak tego ciała otrzymano nadzwyczaj mało. Zabrano się więc do uraninitu w inny sposób, działając nań kwasami. Postępowanie to okazało się o wiele korzystniejszem; idąc dalej drogą analizy i oddziaływania chemicznego, przyczem drogowskazem było zawsze to, by otrzymywać substancyę, coraz silniejsze wydającą promienie Becquerela, otrzymali substancyę czterysta razy silniej działającą niż uran. Stąd wyciągnęli wniosek, że zawierać ona musi jakiś pierwiastek dotychczas nieznany, który nazwali *polonium*. Pierwiastek ten byłby podobny w swych chemicznych własnościach do bizmutu.

V.

Tymczasem p. Skłodowska nie ustawała w pracy, a dalsze jej i współpracowników [1] badania, nowym, niespodziewanym zostały uwieńczone skutkiem. Natrafili mianowicie na substancyę przewyższającą znacznie natężeniem swych promieni Becquerelowskich nietylko uran i tor, lecz także i polonium. Substancya ta, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zawierać musi pierwiastek inny, nieznany dotychczas, któremu dano nazwę *radium* (po polsku promień). Radium swemi właściwościami chemicznemi zupełnie różni się od polonium, a zbliżony jest bardzo do baru. W ciągu badań swoich otrzymała p. Curie-Skłodowska i jej towarzysze, drogą oddziaływania chemicznego, substancyę, której to radium było tylko jednym ze składników, a mimo to substancya ta dawała promienie Becquerela dziewięćset razy silniejsze, aniżeli uran metaliczny. Dalej w poszukiwaniach swoich iść nie mogli, gdyż zabrakło im materyału. Obecnie rząd austryacki posłał im za pośrednictwem profesora Suessa z Wiednia 100 kg.

[1] M. P. Curie, M-me P. Curie et M. G. Bémont, *Sur une nouvelle substance fortement radio-active, contenue dans la pechblende. C. R.* 1898, tom CXXVII, str. 1215.

odpadków, pozostałych z otrzymywania uraninitu w Joachimsthal; odpadki te, jak się pokazało, nie zawierają uranu, lecz tylko polonium i radium.

Wypadało teraz sprawdzić istnienie obu nowych pierwiastków także innemi znanemi sposobami. Do tego nadaje się przedewszystkiem analiza spektralna. Substancyę, zawierającą radium, dano do badania spektralnego p. Demarçay [1], który zabrał się do tego z wszelką ścisłością naukową. Substancyę daną rozpuścił w wodzie destylowanej, zakwaszonej nieco kwasem solnym i przepuszczał przez nią silne iskry z cewki indukcyjnej, celem otrzymania widma optycznego. Widmo takie zwykle się fotografuje, nietylko na to, ażeby mieć trwałe dowody w ręku, lecz przedewszystkiem celem wykrycia linij spektralnych ultrafioletowych, które, dla oka niewidzialne, działają właśnie najsilniej na płytę fotograficzną. Otóż wynik był taki, że w spektrum badanej substancyi ujrzano prócz linij baru, ołowiu i platyny (ta ostatnia pochodziła z elektrod) silną linię w polu ultrafioletowem, o długości fali 381,43-milionowej części milimetra. Linia ta, zdaniem p. Demarçay, potwierdza stanowczo istnienie w badanej substancyi nowego, dotąd nieznanego pierwiastku — radium. Czy także substancyę, zawierającą w sobie polonium, poddano analizie spektralnej, dotychczas nie znaleźliśmy nigdzie o tem wzmianki.

Celem porównania uranu i toru z jednej strony, a polonium i radium z drugiej, zaznaczyć wypada, że ażeby otrzymać obraz wyraźny na płycie fotograficznej pod wpływem promieni uranu lub toru, potrzeba wystawienia trwającego wiele godzin; polonium i radium daje taki sam obraz w pół minuty. Jeżeli w zupełnej ciemności wystawimy na działanie promieni polonium lub radium płytkę aluminium, powleczoną platynosinkiem baru, widzimy, że powstaje wyraźne światło fluorescencyjne; z uranem i torem natomiast nic podobnego spostrzedz nie możemy.

Kończąc to krótkie, lecz o ile można wierne streszczenie

[1] Eug. Demarçay, *Sur le spectre d'une substance radio-active. C. R.* 1898, t. CXXVII, str. 1218.

badań dni ostatnich nad tym tyle ciekawym przedmiotem, mogącym rzucić znowu jaśniejsze światło na właściwości materyi i energii, dwóch zasadniczych pojęć filozofii przyrodzonej, wypada wyrazić wdzięczność p. Skłodowskiej za dowód patryotyzmu i pamięci o kraju rodzinnym. Między pierwiastkami istnieje już *galium* (wykryte r. 1875 przez Francuza Lecoq de Boisbaudran), mają Niemcy *germanium* (wykryte w r. 1886 przez Winklera), dobrze więc, że i my imieniem nowego pierwiastka przypominać się będziemy światu. A choć istnienie tego pierwiastka jeszcze ostatecznie stwierdzonem nie zostało, to jednak w każdym razie należy się p. Skłodowskiej od naszego społeczeństwa uznanie za dobre chęci.

Ks. F. Hortyński.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

System filozofii. *Ks. dr. Franciszek Gabryl.* Tom I. Logika formalna. Kraków. Nakładem autora. 1899. (W 8-ce, str. 315).

Dlaczego to nikt ze współczesnych filozofów naszych nie pokusi się o napisanie zwięzłego całokształtu filozofii?

Już tyle razy pytanie to wierciło się nam w mózgu, a nigdy jeszcze nie doczekało się zadowalającej odpowiedzi. Przecież młodzież polska, która zdolności filozoficzne posiada niewątpliwie duże, a czasem nawet i chwilowy przynajmniej zapał do niej, zasługiwałaby z pewnością na to, by dać jej do ręki jakiś dobry, jasny, nie za obszerny podręcznik, od któregoby wykształcenie filozoficzne zacząć i na którymby dalej budować mogła. Cóż dziwnego, że w braku takiego przewodnika w ojczystym języku chwyta się bez wyboru ladajakich dzieł w obcych językach, że rzuca się na rzeczy, których młodzież zrozumieć nie może i, co gorsza, źle zrozumieć musi, że w następstwie tego mamy ludzi młodych, nawet doktorów filozofii, filozoficznie bardzo licho wykształconych, a jednak bez zająknienia wyrokujących o wszelkich kwestyach filozoficznych. Prawda, że przed kilku laty Raciborski zabrał się do systemu filozofii, ale zaczął tylko; Struve napisał niedawno bardzo dobry wstęp krytyczny do filozofii, ale to wstęp tylko; Kozłowski napisał logikę, ale to straszne chuderlactwo; logika i psychologia ks. Pechnika nie są wystarczające, a podręczniki Lindnera czasby już był zaliczyć do paleontologii filozoficznej. O różnych tłumaczeniach możnaby wspomnieć, gdyby nie były w przeważnej części na chybił trafił robione.

Wtem z nowym rokiem wpada nam w ręce pierwszy tom „Systemu filozofii“ ks. prof. Gabryla. Witamy go z zapałem i cieszymy się już z góry, że doczekamy się z początkiem przyszłego stulecia całokształtu filozofii we własnym języku! Przypatrzmy się bliżej pierwszemu tomowi tej filozofii.

Określimy ogólnie dodatnie strony nowego podręcznika, jeżeli powiemy, że jest, jak każdy rozumnie pojęty podręcznik, nieoryginalny. Tłumaczymy się. Jest to zazwyczaj słaba strona wszelkich odcieni filozofów, iż starają się uchodzić za ludzi wystających ponad średni poziom umysłowości ogólnej, za umysły, co tylko korzeniami tkwią w środowisku ogólnoludzkiem, a zresztą są niezależne od jego wpływów, za myślicieli oryginalnych. Co za tem idzie, każdy filozof stara się w swoich rozprawach, dziełach, podręcznikach, o wyższy jakiś a jednocześnie o właściwy sobie tylko punkt widzenia i patrzenia na wszystko. Dalszem następstwem tego jest, że wogóle niełatwą rzeczą jest zrozumieć całkowicie jakiegoś filozofa, trzeba bowiem naprzód wydrapać się na jego wyżynę; innemi słowy: filozofów dzieła, podręczniki oryginalne, są najczęściej niepraktyczne, niejasne, dla szerszych kół zwykłych śmiertelników nieprzystępne. Z tego powodu ks. Gabryl postępuje jak najracyonalniej, kiedy nie marzy wcale o tego rodzaju oryginalnym podręczniku. Chodzi mu w pierwszym rzędzie o to, by dać dorastającej zwłaszcza młodzieży do ręki książkę dla niej zrozumiałą, jasną, praktyczną, przy pomocy której mogłaby się łatwo zapoznać ze zdrową filozofią. Nie chodzi mu o filozofię swoją, jeno o zasady zdrowe, ogólne, na które każdy, co trzeźwo jeszcze patrzeć umie, zgodzić się musi. Dlatego podręcznik swój w ogólnych zarysach wzorować będzie na dziełach wielu neoscholastyków niemieckich i francuskich. W gruncie rzeczy przyjmuje wszystkie zasadnicze prawdy filozofii scholastycznej, nie pogardza atoli żadnem ziarnem dobrem a zdrowem, poza płotami scholastyki dojrzałem; zatrzymuje starą jak świat prawdę, nie przedstawia jej jednak w starych, potarganych łachmanach, ni w zardzewiałej lub śniedzią pokrytej zbroicy. Nie zapomina też o tem, że pisze dla ludzi, co żyć mają w XX. stuleciu, uwzględnia zatem umysłowy dorobek czasów najnowszych i potrzeby a niebezpieczeństwa najświeższe, najbliższe. Więc co tylko dobrego i ze zdrowym rozsądkiem zgodnego znajdzie u najnowszych filozofów, to chętnie przyjmie i umieści w swojej książce, napotka zaś coś zdrożnego a przedewszystkiem zwodniczego w prądach spółczesnych, i na to nie omieszka zwrócić uwagi.

Brak wszelkiej pretensyi myślicielskiej, złote umiarkowanie w stawianiu i ogólnianiu poglądów, niezrywanie z przeszłością, uwzględnianie środowiska współczesnego i potrzeb przyszłości, jasność i przystępność w wykładaniu — oto cechy dodatnie I. tomu nowego podręcznika.

Nieoryginalność jest zazwyczaj zaletą dobrych podręczników, może mieć jednak czasami ujemne swe strony. Tak się rzecz ma i z logiką naszą.

Nie należymy do tych, co w podręcznikach i książkach filozoficznych chcieliby na pierwszem miejscu uprawiać krytykę porównawczą tekstów. Uważamy to i za stratę czasu niemałą i za rzecz nie wielce pożyteczną. Jeżeli jednak już podczas pobieżnego czytania tekst jakiejś książki nasuwa mimowoli dużo reminiscencyj, skądinąd pochodzących, a sam nie podaje wyraźnie punktu zaczepienia i podstawy tych wrażeń, to sumienny krytyk winien się i o tem zjawisku dowodnie przekonać, czy ono jest zwyczajną iluzyą lub jakąś swego rodzaju paramnezyą, czy też opiera się na rzeczywistości konkretnej. Coś podobnego i nam się zdarzyło podczas czytania logiki ks. Gabryla. Zdaje nam się, że wrażenia nasze w znacznej przynajmniej części nie polegały na iluzyi. Ważniejsze więc z nich zaznaczamy.

Cała rzecz o sofizmatach podług Stuarta Milla (str. 280—292), z wyjątkiem wzmianki o Orzeszkowej i krótkiego ustępu o prof. Baudouinie de Courtenay, zgadza się dziwnie dokładnie tak pod względem *pochodu myśli*, jak i pod względem ich słownego przedstawienia, a nawet pod względem ich wyjaśnienia na przykładach, z tym samym przedmiotem w logice prałata Merciera. Chciałoby się nawet ująć wszystkie ustępy na tych stronicach w cudzysłów, a w uwadze zacytować odpowiednie stronice z książki profesora lowańskiego. Moglibyśmy to zrobić sami, mamy atoli pod ręką tylko drugie wydanie tej logiki z roku 1897, gdy tymczasem autor korzystał z wydania pierwszego (r. 1894).

Ten sam stosunek zachodzi między stronicami naszego autora 293 i nast., 297 i nast., a odpowiedniemi u Merciera. „Różne formy dowodzenia dedukcyjnego“ (str. 236—242) przypominają również i w myślach i słowach §§ 104—108 logiki myśliciela belgijskiego. Co prawda jednak, autor nasz na str. 240 powołuje się na Merciera, przytaczając z niego przykład suchotnika. Najbardziej może uderza tego rodzaju podobieństwo lub raczej przystawanie tekstów polskiego i francuskiego w przedstawieniu metod indukcyjnych podług Stuarta Milla (str. 248—253), tem bardziej, że kilka stronic przedtem (str. 244) autor zaznacza,

że nie zgadza się z Mercierem w zapatrywaniu na indukcyę zupełną. Sądziliśmy w pierwszej chwili, że w tem miejscu myśliciel polski i belgijski zapożyczyli się tylko z jednego i tego samego źródła angielskiego. Niestety, po zaglądnięciu do Milla przekonaliśmy się, że profesor lowański zupełnie samodzielnie schemat Milla obrobił i swojemi przeważnie przykładami go objaśnił, profesor zaś krakowski prawie dosłownie Merciera przetłumaczył, opuszczając tylko niektóre dłuższe cytaty z pisarzów francuskich.

Do ustępów, przypominających bardzo tego samego autora, zaliczyć też trzeba §§ o wartości logicznej statystyki i o rachunku prawdopodobieństwa (str. 267—277).

Wielka, lecz inna zależność czuć się też daje w rozdziale ostatnim: o analizie i syntezie (str. 300—312), który prócz kilku zdań początkowych, wywodzących najprawdopodobniej swe pochodzenie od Merciera, jest tylko streszczeniem, nie zawsze dostatecznie jasnem i dokładnem, przejrzystego rozdziału XVI. znanej logiki Rabiera. Zaznaczenie zależności tej nie byłoby wyszło na niesławę książce.

Częściową tylko zależność od Rabiera, lecz również niezaznaczoną, zauważyliśmy w niektórych ustępach rozdziału V. o podziale logicznym, gdzie nadto przytrafił się autorowi na str. 225 dość niefortunny przypadek. Rabier w swej logice (wyd. 3, 1894) na str. 205 wyjaśnia pewien szczegół, tyczący się klasyfikacyi, na sławnem botanicznem dziele *Prodromus systematis naturalis regni vegetabilis*. Rozpoczął to dzieło wydawać znany genewski botanik Augustyn de Candolle. Po śmierci Augustyna (1841) syn jego Alfons de Candolle wraz z wielu botanikami prowadził dalej dzieło ojca swego; w roku zaś 1873 wydał historyę prodromusa p. t. *Prodromi systematis naturalis historia*. Na to dzieło powołuje się Rabier we wspomnianem miejscu, podając i tytuł jego i autora (Alfonsa) zupełnie poprawnie. Nasz autor, nie chcąc się w tej samej rzeczy powołać na Rabiera, powołuje się na de Candolle'a— lecz na starszego tj. Augustyna, a tytuł z Rabiera skutkiem jakiegoś nieporozumienia przemienia na taki dziwoląg: *Prodromus systematis naturalis historia*. Miałażby to być sprawka tylko jakiegoś chochlika drukarskiego?

Pomijamy inne drobniejsze ustępy, które nam zanadto przywoływały na pamięć to *Institutiones logicales* Pescha, to inne łacińskie podręczniki neoscholastyczne. Nie chcielibyśmy i tak z całej tej sprawy robić autorowi strasznie ciężkiego zarzutu. Tłumaczymy bowiem to sobie dosyć naturalnie, a tłumaczenie takie nasuwa nam przedmowa

autora. Ks. Gabryl „ogłasza drukiem swoje wykłady“. Każdy profesor, któremu na pierwszem miejscu o swoich uczniów a na ostatniem o siebie samego chodzi, zaglądnie przed wykładem do różnych dzieł specyalnych i do różnych podręczników obszerniejszych, wybierze niewątpliwie z tego wszystkiego, co uzna za najlepsze, i to następnie swoim uczniom poda. Nikt zaś od takiego profesora wymagać nie będzie, by swoim uczniom na każdej lekcyi zdawał sprawę, skąd wziął to rozprowadzenie, ów sposób dowiedzenia, tamten przykład wyjaśniający. Może się nadto bardzo łatwo zdarzyć takiemu profesorowi, że i w swoich notatkach wykładowych nie zaznaczy dokładnie miejsca i kraju, gdzie myśli danego ustępu swój początek wzięły. Oczywista rzecz, że kiedy nasz profesor wykłady swe drukiem ogłosi, nie zawsze do każdego szczegółu właściwe źródło poda. Sądzimy, że nie inaczej rzecz się ma w naszym przypadku.

To jednak podsuwa nam drugą ogólną uwagę o logice ks. Gabryla. Naszem zdaniem profesor może śmiało powierzyć maszynom drukarskim swoje wykłady, jeżeli ma głębokie przeświadczenie, że materyał wykładowy przeszedł w całości i zupełności proces jego własnej asymilacyi duchowej. Otóż brak tego dokładnego przetrawienia i przyswojenia materyału można zauważyć w niejednem miejscu logiki naszej. Pokazuje się to najpierw w tem, że nie zawsze i wszędzie potrafił autor opanować całkowicie ważniejsze prądy spółczesne w filozofii, że często zahacza tylko o pewne kwestye drobniejsze, wzięte z podręczników gimnazyalnych np. Höflera. O tem samem świadczy i to, że autor uwzględnia tylko logiczne podręczniki najnowsze, a bardzo rzadko zagląda w miejscach i kwestyach odpowiednich do licznych prac i badań specyalnych. Najbardziej ów brak całkowitego opanowania przedmiotu objawia się w tych miejscach, gdzie autor nie znalazł przygotowanych i wypróbowanych zasiłków w zwyczajnych podręcznikach neoscholastycznych, gdzie chce czytelnika wprowadzić w rzecz samą i wyjaśnić mu jej naturę. Określenie myślenia (str. 27 i n.), określenie i istota pojęcia (str. 61 i n.), określenie i natura sądu (str. 101 i n.), podział sądów (str. 110 i n.), istota indukcyi (str. 242 i n.), przekonywają nas o tem. I tak nad pojęciem rozwodzi się autor na kilku kartkach, usiłuje pokazać istotną różnicę między wyobrażeniem a pojęciem, i dochodzi do takiego określenia: „zbiór istotnych znamion jakiegoś przedmiotu“. Czy zgodzi się na to określenie którakolwiek szkoła filozoficzna? Autor wyjaśnia zaraz swoją definicyę: „Warunkiem utworzenia wszelkiego pojęcia jest z jednej strony analiza czyli roz-

biór spólnego obrazu na niedające się już więcej rozłożyć składniki, z drugiej zaś zbiór czyli synteza tychże składników". Czy da się to w istocie powiedzieć o każdem pojęciu logicznem? Na wielu pojęciach, zwłaszcza w ścisłem słowa znaczeniu oderwanych, tj. takich, których treść nie da się żadną miarą przedstawić za pomocą wyobrażenia, nie umielibyśmy tych warunków pokazać. Podobnie rzecz się ma z sądem. Sam autor zaczyna tu mieszać pojęcie z wyobrażeniem, sąd zaś ostatecznie tak określa: „akt psychiczny, w którym oznaczamy treść jednego pojęcia przez inne". Czy określenie takie nie jest jednocześnie i za ciasne i za obszerne? Czy można, ściśle rzecz biorąc, odnieść je do sądów podciągających (subsumujących) lub warunkowych, a z drugiej strony czy nie dałoby się to określenie naciągnąć do bardzo wielu pojęć złożonych? Najważniejszą kwestyę z logiki formalnej o łączniku w sądzie autor traktuje zbyt po macoszemu. Przystępując do podziału sądów, ks. Gabryl zapowiada, że odstępuje od tradycyjnego podziału scholastycznego, a przyjmuje podział sądów Kanta; nie zaznacza atoli, że u Kanta są to tylko wyróżnienia czysto subjektywnych, apryorycznych funkcyj sądzenia, nadto w dalszym ciągu miesza ustawicznie podział Kanta z podziałem scholastycznym, nie we wszystkiem, co było zresztą do przewidzenia, trzyma się Kanta, wstawia w jego tablicę funkcyj sądzenia sądy analityczne i syntetyczne, sądy kategoryczne zalicza do sądów złożonych — i ostatecznie podział sądów nie przedstawia się wcale tak przejrzystym i tak łatwym do spamiętania, jak to autor obiecywał. — W omówieniu indukcyi nie znajdujemy wyraźnego rozgraniczenia roli rozumu i doświadczenia, ani wystarczającego rozbioru ważnej i trudnej kwestyi, na jakich podstawach i zasadach rozumowych opiera się ostatecznie logiczna siła indukcyi.

Inne wątpliwości, jakie się nam nasunęły, pomijamy, w części dlatego, że są zanadto szczegółowe, w części zaś dlatego, że spodziewamy się ich wyświecenia w noetyce, którą autor od logiki formalnej odłączył.

Na uznanie zasługuje staranność autora o poprawność, potoczystość, lekkość języka. Wyrażeń mniej poprawnych jest stosunkowo bardzo mało, nie notowaliśmy ich nawet podczas czytania, więc niektóre tylko utkwiły nam w pamięci. Wyrazów: „pojedyńczy", „pojedyńczość", nawet „najpojedyńczszy" używa autor w znaczeniu prosty i t. d., „zdradzać" w znaczeniu objawiać, „wodoród" zamiast wodór, „rośnienie" zam. wzrost, „kwas węglowy" zam. bezwodnik węglowy, „sześciobok równoramienny" zam. foremny lub równoboczny, „linia"

zam. odcinek (prostej), „dwulistne“ i „jednolistne“ zam. dwu- i jednoliścienne; „przymiotem“ nazywa autor stale *accidens*, chociaż już się utarł u nas wyraz „przypadłość“, *principium contradictionis* tłumaczy stale „zasada przeciwieństwa“, kiedy to jest zasada sprzeczności lub, jak chcą nowsi, niesprzeczności. Z pomiędzy *lapsus calami* zaznaczamy: na str. 88 w. 14 od góry zamiast „sprzeczne“ powinno być „przeciwne“, na str. 117 w zdaniu: „Podług Arystotelesa“... brak jednego członu o konieczności, na str. 172, w. 5 od dołu, zamiast „twierdzącym“ powinno być „ogólnym“.

Pod względem typograficznym dobrzeby było, ażeby autor dla większej przejrzystości i praktyczności używał w następnych tomach częściej *a linea*, uwydatniał osobnym drukiem rzeczy ważniejsze od mniej ważnych, zwłaszcza zaś zaznaczał kursywą lub nawet tłustemi czcionkami definicye głównych pojęć i zasady ogólne.

J. Nuckowski.

Misa brązowa z epoki romańskiej znaleziona w Dąbrowie koło Wielunia. *Prof. dr. Maryan Sokołowski.* Sprawozdania komisyi do badania historyi sztuki w Polsce, tom VI, zeszyt I, str. 1—9, z 3 ilustracyami. W Krakowie 1897.

Pasy metalowe polskie tak zwane lwowskie albo przeworskie. *Prof. dr. Maryan Sokołowski.* Tamże, str. 10—16, z 6 ilustracyami.

W średnich wiekach, gdy użycie widelców zastępowały palce rąk ludzkich, zachodziła konieczna potrzeba, jak dzisiaj jeszcze na Wschodzie, częstego umywania rąk przy jedzeniu. Po każdem daniu służba musiała roznosić wodę i ręczniki.

Na dworach możnych weszły tedy osobne naczynia, ku temu celowi sposobne, w powszechne użycie. Były to misy brązowe, miedziane lub srebrne, ozdobione na powierzchni wewnętrznej dna bogatą ornamentyką: figur Świętych, postaci alegorycznych, rycerzy, tudzież dam z sokołami i na koniach, herbów, w końcu różnych zwierząt i roślin. Złocenie dna brązowego naczynia podnosiło efekty plastyczne grą łamiących się promieni i lśniących światełek w kryształe wody wlewanej do misy. Zaś od XIII. w. barwna emalia limuzyńska tęczą swych kolorów jeszcze więcej podnosiła świetność wyglądu mis wspaniałych.

Równocześnie zjawiają się one w kościele, jako przybory liturgiczne, gdzie przy ablucyach rąk kapłańskich, które pierwotnie odby-

wają się w piscynach, umieszczonych po prawej stronie ołtarza, stanowią nieodzowny sprzęt kościelny, podawany kapłanom przez ministranta.

Taką misę brązową, z grawirowaną na dnie historyą Zuzanny, oraz złoconą, posiada Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie. Znalezioną ona została w Dąbrowie koło Wielunia i pochodzi z XII. w. Muzeum posiada również jeszcze inną misę, tak zwaną bliźnią, brązową, okrytą emalią limuzyńską. Misy bliźnie *(gemelliones)* zwane tak dlatego, że składają parę z dwóch mis, zupełnie równych, stanowiły początkowo w X. stuleciu jeden garnitur z kielichem, pateną i innemi przyborami do Mszy św. We Francyi używano je w kościele do XVII. w.

Obok mis w epoce romańskiej były w powszechnem użyciu nalewki *(urceoli)*, zwane dotąd niewłaściwie *aquamaniliami* tj. dzbanuszki brązowe o fantastycznych formach zwierząt lub głów, bądź ludzkich, bądź też zwierzęcych. Naczynia te, z końca XII. czy z XIII. w., mogły się dostać do Polski lub nawet na Litwę natychmiast po ich zrobieniu. Podobne *urceoli* znajdywane były w grobach pogańskich nadelbiańskiej Słowiańszczyzny, i jak się zdaje, mimo swego chrześcijańskiego pochodzenia, do jakichś obrzędów słowiańskiego kultu służyły.

Powyższe streszczenie rezultatów rozprawy wykazuje nam bardzo poważny przyczynek do znajomości kultury naszego średniowiecza.

Z naszej strony zwrócimy uwagę na jedną okoliczność wielce charakterystyczną, mianowicie, iż jak z wydatków dworu Jadwigi i Jagiełły [1] wynika, *urceoli* były w XIV. w. na dworze polskim jeszcze w użyciu. Ponieważ zapiska dotyczy wyłącznie króla, zatem wnioskowaćby można, że zwyczaj ten używania przy myciu spiżowego konika zachowany był jeszcze wówczas na Litwie. Następnie uzupełnijmy literaturę tyle ciekawego przedmiotu zacytowaniem J. I. Kraszewskiego, „Sztuka u Słowian szczególnie w Polsce i Litwie przedchrześcijańskiej“ [2], gdzie prócz wiadomości o misie Wyszehradskiej, mowa o nalewce Kruchowskiej, Żytomierskiej (z XV. wieku ?) i czeskich. Wreszcie przed kilku laty widziałem takie *urceoli* w zbiorach Eksc. hr. Dzieduszyckiego we Lwowie.

Zacytowaniem powyższych źródeł pragniemy dorzucić drobne choćby ziarno do tak interesującej rozprawy i dodatniego jej wyniku,

---

[1] Dr. Fr. Piekosiński w *Monum. med. aevi hist.*, t. XV, 218, 3/2, 1395: „pro equo ereo ad lauandum dno Regi 1 sexag.“.

[2] Wilno 1860, str. 239—247.

rozprawy przyodzianej w formę wykwintną i napisanej z głęboką i wyczerpującą znajomością epoki i specyalnej literatury.

Niemniej doniosłą dla dziejów kultury polskiego średniowiecza jest następująca praca tego wielce zasłużonego autora.

Pasy przeworskie, to utarta może nie tak oddawna nazwa polskich pasów, których złociste ogniwa miedziane i ozdobnie rytowane, nabijane są na pas rzemienny. Tradycya ich i użytek sięga bardzo dawnych czasów, — pochodzenie ich wyprowadza sz. autor z Rusi.

Niemieccy uczeni pragnęliby pasy takie z ornamentyką płaską uznać za płód niemieckiej ręki, a z wypukłą, polskiej.

Prof. Maryan Sokołowski nie przeczy, że ornament roślinny ogniw ma charakter niemiecki, co jednak nie dowodzi wcale, aby pas był zrobiony w Niemczech, gdyż i u nas kultura niemiecka wielkim cieszyła się wpływem, — ale co właściwsze, sz. autor bierze za kryteryum swego sądu ogólny bieg linij, układ charakterystyczny ogniw pasa, w których przejawiają się dwa motywy rozety i heraldycznej lilii, powtarzających się naprzemian. Pasy zachodnie tego zestawienia nie posiadają.

Owo charakterystyczne zestawienie spotykamy już na złotym naszyjniku wykopanym w mogile Ryżanowskiej w powiecie żwinogrodzkim. Sz. autor rozwija zatem swe poglądy oparte o nowsze badania nad rozwojem ornamentu; odkrywa w tych motywach ornamentalnych starorzymskie i wcześnie bizantyńskie tradycye. Wszędzie służy on z natury rzeczy do pokrycia powierzchni ciągnących się i podłużnych, wązkich i rzędowych, do fryzów, belek, listew i t. d., stąd nadaje się swym charakterem i rodzajem do ornamentacyi pasów, tak że prawdopodobnie już w Bizancyum był do nich zastosowany. Zdaje się, że na fresku florenckiej kaplicy pałacu Medicich, basileos Jan Paleolog przybyły r. 1439 na sławny sobór florencki nosi na sobie pas podobny. Według więc wszelkiego prawdopodobieństwa dostają się nasze pasy z Bizancyum na Ruś, a stąd po zawojowaniu jej przez Kazimierza Wielkiego pod nazwą ruskich do Polski. W Krakowie były one nietylko znane ale i wyrabiane, jak to najwyraźniej wynika z umowy krakowskich rymarzy z paśnikami pod rokiem 1365.

Prof. M. Sokołowski sądzi, że wzmiankę w statutach paśniczych z roku 1529 „rinskj“ pas, złożony z małych sztuczek, należałoby tłumaczyć przez podstawienie wyrazu ruski zamiast rinskj. Nie przemówiło nam to zapatrywanie do przekonania, bo uważamy wyraz „rinskj“ za identyczny z „ryński“ = „reński“ (por. Linde) lub nad-

reński; jednakowoż nie zmienia to fundamentów hipotezy głównej o pochodzeniu naszych polskich pasów z Bizancyum.

Na ornamentyce okazów ilustrowanych w tekscie lub cytowanych, uwydatnia też sz. autor pierwiastki bizantyńskie, które za pośrednictwem kultury cerkiewnej wywierają przeważny wpływ na całą zdobniczą sztukę Rusi, przedostają się do miast polskich, gdzie niemiecki rzemieślnik zastępuje ornament wypukły rytowniczą ozdobą i ożywia geometryczny i suchy wzór bizantyński zachodnim naturalizmem. „W ten sposób oba prądy kultury krzyżujące się na naszej ziemi, wschodni i zachodni, połączone ze sobą, znalazły w tych charakterystycznych wyrobach wyraz i nadały im wybitną cechę produktu swojskiego".

Ale oto na zakończenie nasuwa nam się na myśl mimowolnie jedna uwaga. W rezultacie wywodów prof. Maryana Sokołowskiego wysuwa się na pierwszy plan z całą przygniatającą swą przewagą siła żywiołu rękodzielniczego germańskiego i to do tego stopnia, iż wywołuje wrażenie, jakby żywioł polski, obok niemieckiego, ruskiego i ormiańskiego wcale nie istniał. Słyszy się tylko mowę o ziemi polskiej z punktu widzenia raczej geograficznego, jako miejsca, gdzie ścierały się wpływy Wschodu i Zachodu, a ludność polska pozostawała wobec tej walki kulturnej i jej wyników widzem obojętnym i spokojnym. Tak zaś nie było i być nie mogło, bo rodzime siły znalazły się w obozie zachodnim, ale były, ich egzystencya jest niezbitym faktem. Znaczenie zaś żywiołu polskiego, jak dotąd, pozostało niedostatecznie rozjaśnionem, chociaż jest faktem ważnym, bo według sposobu naszego widzenia, ten właśnie żywioł rodzimy wdycha w siebie oba potężne wpływy cywilizacyjne i stwarza odrębności; jemu zatem, jak to już na innem miejscu twierdziłem, przypada ważna rola pośrednika, który prawicą czerpie ze zdroju zachodniej a lewicą po bizańtyńskiej kultury sięga zdobycze.

Z takiego stanowiska rzecz biorąc, powiedziałbym raczej, że niemieccy paśnicy tu w Krakowie robią pasy nadreńskim wzorem a polskich to rąk wytworem będą owe ruskie, przeworskie i lwowskie pasy metalowe.

Prof. Maryan Sokołowski porusza zawsze kwestye pociągające nieporównanym urokiem swej doniosłości. Budzi on nowe myśli a swą ścisłością i szerokim widnokręgiem, swą dokładną znajomością najświeższych zdobyczy zachodniej nauki, działa na czytelnika niezmiernie pouczająco. Był on pierwszym, który przed laty z górą dwudziestu wprowadził do badań polskich dotyczących historyi sztuki metodę ści-

słości i systemu, i stanął wówczas od razu na najwyższym poziomie tej wiedzy i takim pozostał do dziś dnia.

Leonard Lepszy.

Jan Amos Komeński. Przyczynek do jego działalności w Polsce. Napisał *Dr. Antoni Danysz.* Poznań 1898. (Str. 96).

Kartka z dziejów wychowania w Polsce. Jana Rybińskiego podróż naukowa za granicę w latach 1616—1623. Przez *Tegoż.* Lwów 1898. (Str. 18).

Sławny reformator szkolnictwa, którego wpływ na dydaktykę nowoczesną znany jest powszechnie, — wszakże dziś układa się u nas wszystkie książki do nauki języków obcych według jego zasad, chociaż już nie nazywamy tych podręczników „Komeniuszami", — schronił się w czasie wojny trzydziestoletniej, w r. 1628 do Wielkopolski i zamieszkał w Lesznie, ponieważ jako minister „braci czesko-morawskich" nie mógł pozostać w swojej ojczyźnie. Wielu „braci czeskich", uciekających z cesarstwa niemieckiego, znalazło obrońcę w „najdostojniejszym wojewodzie bełzkim Rafale, hrabi na Lesznie, który na posiadłościach swoich więcej tysiąca łaskawie żywił i od krzywd wrogów bronił" [1]. W Lesznie przebywał Komeński od r. 1628 do 1656 z dłuższemi przerwami; skarżył się zawsze na krzywdę, którą mu uczyniono, wypędzając go z ukochanej ojczyzny, ale to wygnanie „zrobiło go wielkim", jak mówi słusznie autor (str. 9) i „pchnęło na szersze tory, otworzyło przed nim dalsze horyzonty". Pierwsze jego dzieła, napisane po czesku, miały cel ściśle narodowy; w Lesznie zaczął on pisać dla całej Europy i wyrósł na „wielkość europejską". Główne jego myśli streszcza dr. Danysz krótko a dobrze, rozbierając mowę, wypowiedzianą przez nieznanego bakałarza a wielbiciela Komeńskiego, przy otwarciu gimnazyum Opalińskiego (w Sierakowie), które było pierwszą i prócz szarosz-patackiej jedyną szkołą założoną na zasadach nowej dydaktyki (p. s. 63 sqq.). Dziś zdaje się niejednemu, który uderza na „sieczkę filozoficzną", na „formalistykę językową", a żąda natomiast nauki „o rzeczach", o świecie nas otaczającym, że wypowiada coś nowego, że wskazuje drogę, pedagogom nieznaną, a tymczasem już Komeński wypowiedział zasadę, że właściwym celem szkoły ma być zapoznanie młodzieży z rzeczami. Nie chciał on uczyć samego tylko języka łacińskiego, ale jego *Ianua* miała dopomódz uczniom do oryen-

[1] *Liber persecutionum*, pag. 432, cyt. na str. 6.

towania się w świecie. Dr. Danysz wychodzi ze stanowiska katolickiego, ale oddaje zupełną sprawiedliwość zasługom Komeńskiego i nie przestaje być nigdzie objektywnym. Jednemu tylko zdaniu jego muszę się sprzeciwić: oto pisze on na str. 91, że „despekt dla starożytnej literatury dzieli Komeński z pierwszymi Ojcami Kościoła", i że „św. Hieronim i św. Augustyn rzucili kamień potępienia na świecką poezyę i literaturę". Tego nie można powiedzieć tak ogólnikowo. Najwybitniejsi bowiem Ojcowie i pisarze pierwszych wieków, jak św. Bazyli (w często cytowanej mowie p. n. „Do młodzieńców, jak mogą czytać z pożytkiem pisarzy pogańskich"), św. Grzegorz Naz., Klemens Aleks. i Origenes zachęcają wprost do studyowania klasyków pogańskich a św. Hieronim i Augustyn wyrażają się nieraz w tym samym duchu. Pierwszy pisze np. w liście do retora Magnusa: „Quod autem quaeris in calce epistolae, cur in opusculis nostris saecularium litterarum interdum ponamus exempla... responsum breviter habeto. Numquam hoc quaereres, nisi te totum Tullius possideret, si scripturas sanctas legeres" i t. d. A dalej przypomina, że samo Pismo św. cytuje mędrców pogańskich, poczem dodaje: „Quid ergo mirum, si et ego sapientiam saecularem propter eloquii venustatem et membrorum pulchritudinem de ancilla atque captiva Israelitidem facere cupio?" i t. d. A św. Augustyn mówi wyraźnie w II. księdze (c. 32) słynnego dzieła swego *De doctrina christiana*, że chrześcijanin powinien naśladować Żydów, którzy wynieśli z Egiptu na rozkaz Boży naczynia złote i srebrne; podobnie i my powinniśmy poświęcić na służbę Bożą ów szlachetny kruszec, który znajdujemy u pisarzy pogańskich a zwłaszcza u Platona i jego uczniów. Prawda, że ci sami święci potępiają w innych miejscach literaturę świecką, ale te zdania dadzą się pogodzić z przytoczonemi powyżej, jeżeli wyrozumiemy właściwe ich znaczenie [1].

Wysłowienie dr. Danysza jest poprawne; wolałbym tylko, żeby nie używał wyrazu „zdradzać" w tem znaczeniu, jakie mu nadaje za przykładem innych w kilku miejscach (np. na str. 75: „Najlepsze zrozumienie Ianuy zdradza wstęp do wydania królewieckiego"). Rozprawa jego jest niewątpliwie cennym przyczynkiem do dziejów szkolnictwa.

Ten sam autor zapoznaje nas w drugiej swojej broszurce [2] z pol-

---

[1] Por. Willmann'a, *Didaktik als Bildungslehre*. 1882. Tom I, str. 222—231.

[2] „Kartka z dziejów wychowania w Polsce. Jana Rybińskiego podróż naukowa za granicę w latach 1616—1623.

skim pedagogiem, seniorem braci czeskich, który był przez kilka lat rektorem gimnazyum w Lesznie. Biografię jego i opis tej podróży odnalazł autor w rękopisie Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu. Są tu niektóre szczegóły ciekawe, nie można jednak przypisać większego znaczenia Rybińskiemu, który nie okazuje większych zdolności, a umarł mając dopiero lat 44 (w r. 1638) i nie pozostawił po sobie żadnych prac literackich.

Ks. dr. A. Pechnik.

Kronika rewolucyi krakowskiej r. 1846. Spisana przez *Józefa Wawel-Louis.* Kraków 1898.

Dawne kroniki latami wypadki spisywały: tutaj gdy całość dziejów w dziesięciu dniach się zamyka, każdą wypadków godzinę kronikarz opisuje, a każdego, już nie uczestnika, ale statysty w tem smutnem przedstawieniu występującego, opowiada przeszłość i przyszłość z niezmordowaną sumiennością. Szkoda pracy tak sumiennej na wynik tak słaby. Autor zamierzał niezawodnie z jak największą bezstronnością i ścisłością podać jedynie bieg wypadków, ale pióro często figle mu płata i może dlatego, że jak we wstępie przyznaje, sam był bardzo młody, gdy na opisywane patrzał zdarzenia, został mu się w pamięci obraz ich, jaśniejszy niż był w istocie. Historyk późniejszy może znaleźć w tej książce skrzętnie zebrany materyał faktów, ale czytelnik skądinąd z rzeczą nie obznajomiony, fałszywie wiele szczegółów zrozumie. Pierwszy raz zdarza nam się w poważnej książce, widzieć rządy dyktatora Tyssowskiego brane na seryo i traktowane jako związek organizacyi narodowej. Gdy w tym mniemanym rządzie spotyka się nazwiska ludzi poważnych i poważanych, jak Michała Badeniego, Ant. Helcla, to sprawiedliwość żądała, aby dodać, pod jaką to presyą, pod jakiemi groźbami, wciągnięci byli z imienia, nie z czynu, do współudziału w tej parodyi powstania i rządu. Prawda, że takich ludzi było mało, bo pod rządami wolnego miasta społeczeństwo zmalało materyalnie a więcej jeszcze moralnie. Żałować więc trzeba, że po ustąpieniu jen. Collina, nie znalazło się kilku ludzi odważnych i mających na tyle powagi, aby prawny porządek utrzymać i nie dać narzucić miastu rządu Gorzkowskich i Tyssowskich. Autor potępia niesłusznie zamiar kontrrewolucyi Michała Wiśniewskiego: nie powiodło mu się, bo się znalazł sam, ale zamiar był prawy i rozsądny, i przedstawiał, odosobniony niestety protest, zdrowej, ale tchórzliwej ludności miasta. Cała książka, nawet w tem oświetleniu nieco złudnem, o którem wspomnie-

liśmy, robi wrażenie bolesne i upokarzające. Idei moralnej nie wysnuł z niej autor zgoła, nawet tej, która sama się narzucała, w potępieniu tych robót tak zbrodniczo w Wersalu układanych, a które po części rzeź galicyjską, a w każdym razie rewolucyę krakowską i kilkaset jej ofiar mają na sumieniu.

J. R.

Książe Józef Poniatowski, jego życie i działalność. *Franciszek Paszkowski.* Spółka Wydawnicza Polska. Kraków 1898. (W 8-ce, str. 136).

Książeczka zagadkowa, a przynajmniej intrygująca. Wydana wytwornie, z mnóstwem rycin, a nie opatrzona żadną przedmową. Ta właśnie wstrzemięźliwość zaciekawia wobec niepewności autorstwa. Franciszek Paszkowski, tak — ale który? Książka pisana językiem, jakim pisano pomiędzy 1830 a 1850 rokiem. Styl niewprawny, zdania często zawiłe, tak że myśl pisarza, nie zawsze za pierwszem czytaniem pochwycić można. Szczegółów wojskowych tak wiele, i z taką pewnością, dokładnością podanych, że czuć tu tradycyę, żywą, jeśli nie osobistą, z pierwszej ręki. Książka cała formą nie wzorowa, ale pełna treści, pełna w każdem zdaniu miary. Nastrój i moralny i narodowy bardzo wysoki, a wizerunek pięknej postaci księcia Józefa robiony ręką niemal pobożną, która z żalem i dla miłości prawdy naznacza skazy i braki, a z miłością zatrzymuje się nad wszystkiem, co zacne i piękne. Ks. Józef, to przedewszystkiem prosta natura, i w przymiotach i w wadach swoich: aż dziwno, że na schyłku wieku i z rodu przerafinowanego, wyrósł charakter taki pierwotny. Kilka listów ks. Józefa do króla, przytoczonych przez autora, podkreślają tę właśnie jego stronę. Cały przebieg życia opowiedziany z wierną prostotą, ale największy nacisk położył autor na dwie chwile w życiu ks. Józefa ważne, i w których dał dowód odwagi trudniejszej niż na polu bitwy, bo wystawienie się na surowy sąd współczesnej opinii. Jedna, gdy dla zabezpieczenia Pragi i prawego brzegu Wisły, dopuścił arcyks. Ferdynandowi zająć Warszawę. Druga, gdy po pogromie kampanii rosyjskiej, oparł się naleganiom ks. Adama, za którym stał cesarz Aleksander, i jego obietnic, odrzucił propozycye wysłane z Berlina przez ks. Antoniego Radziwiłła. Neutralność dla jego wojska i całego pasa kraju przezeń zajętego, nadzieja, że to wojsko za narodowe będzie uznane, jakaż to pokusa! A książe Józef jej nie uległ, lecz na wezwanie Napoleona do Saksonii pospieszył. W pierwszym wypadku, wbrew krzykom gawiedzi podjudzonej przez Zajączka, oparł się na doświad-

czeniu i względach taktycznych. W drugim, drogowskazem jedynym był mu ten honor wojskowy, któremu nie potrafił przeniewierzyć się nigdy, chociażby, jak w tym wypadku, nie przyświecała mu już żadna nadzieja, a wszystkie uczucia swoje i rodaków stłumić musiał, aby ten jeden głos honoru usłyszeć.

Czasem drobna rozmiarami książka, ma ważność pomnikowego dzieła: taką był przed kilku laty życiorys jenerała Chłapowskiego przez ks. Kalinkę. Życie ks. Józefa nie równa się książce Kalinki, który piętno, nietylko znakomitego umysłu, ale wyrobionego pióra zostawiał na każdem dziele. Równa się z nim miarą, trzeźwością i miłością sądu o bohaterze i sprawie. Czasem też znajdują się pod piórem autora zdania jędrne, które zapisują się w pamięci. „Miał (ks. Józef) tę skromność, że nie przeceniał siebie, ambicyą nie zamącał sumienia, nie prowadził, ani myślał prowadzić sprawy narodowej; tego obowiązku nie znalazł w natchnieniu swego ducha i zdolności do tego nie posiadał: był tem, czem go uczyniły wypadki, i starał się tem być zacnie i uczciwie... ogień miał tylko w boju, rycerski ogień, którego nie osłabiało niebezpieczeństwo, owszem pobudzało jego umysł do świetnej wojskowej zdolności; ogień ten drzemał w pokoju, nie wystarczał do do natężonej, twardej i wielkim celem przejętej pracy".

Nieraz biorąc książkę historyczną do ręki, pyta jej czytelnik: czy mi ty prawdę powiesz? a zamknąwszy ją jeszcze się nie wie, czy nie zamąciła sądu zamiast go rozjaśnić? Szczęściem książki i pisarza, którzy zdołają za pierwszem słowem przekonać, że szukają prawdy i sprawiedliwości dla wszystkich. Ufamy, że książka rozejdzie się i wyjdzie w drugiem wydaniu, dlatego kończymy życzeniem, aby choćby kosztem jednej lub drugiej ryciny, dodać dwie lub trzy mapki, zawsze potrzebne, gdy się kampanie opowiada, zwłaszcza młodym czytelnikom.

J. R.

Święci Pańscy czyli dzieje Kościoła katolickiego w żywotach świętych. I. Psychologia Świętych. Przez *prof. Henryka Joly*. Przekład z francuskiego. Wydał *ks. Maryan Fulman*. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1899.

„Księgarnia wydawnicza Wiktora Lecoffre w Paryżu podjęła bardzo piękną myśl, godną najszerszego zastosowania i rozpowszechnienia. Przedsięwzięła ona wydawnictwo niewielkich, lecz poważnie obrobionych żywotów najwybitniejszych Świętych w historyi Kościoła katolickiego. Do napisania pojedynczych dzieł zaproszono przeszło czter

dziestu najpoważniejszych pisarzy katolickich duchownych i świeckich, na czele których stanął Henryk Joly, były profesor Sorbony i Collège de France“ (str. 1).

Aktualne to wydawnictwo, bardzo rozumnie przytem pojęte, powitała katolicka prasa francuska i innych krajów europejskich z prawdziwym zapałem i pełnem uznaniem, u nas zaś znany zaszczytnie i niestrudzony na niwie religijnej pracownik, ks. Fulman, postanowił je przyswoić rodzimej literaturze. Wdzięczność mu się za to należy.

Pierwszy tomik tego wydawnictwa, a jednocześnie wstęp do następnych żywotów, stanowi bardzo ciekawe i pouczające dziełko Henryka Joly: „Psychologia Świętych“. Chcielibyśmy w kilku słowach zaznajomić z niem czytelników *Przeglądu*.

Psychologia Świętych! Mieliśmy już różne, bardzo różne psychologie, takiej jeszcze nie było. Skoro jednak można mówić o psychologii zwierząt, narodów, ludów, sekt, zbrodniarzy, histeryków, waryatów, artystów, wielkich ludzi, geniuszów — czemużby nie można mówić o psychologii Świętych? Że możliwa jest zresztą psychologia Świętych, najlepszym tego dowodem książeczka Joly'ego.

Jakieś pojęcie świętości znajdujemy u wszystkich niemal ludów, we wszystkich wyznaniach. Z prostego atoli zestawienia tych pojęć wynika, że, jeśli się chce mówić o świętych we właściwem i prawdziwem tego słowa znaczeniu, to można brać na uwagę tylko Świętych w Kościele katolickim. Ma każdy Święty katolicki dużo cech wspólnych z wielkim człowiekiem, ma też sobie tylko właściwe znamiona, które go od wielkiego człowieka zasadniczo wyróżniają, ponad nim stawiają. Wielki człowiek jest zazwyczaj mały dla swego najbliższego otoczenia, niema podług znanego przysłowia wielkiego człowieka w oczach własnego lokaja — człowiek święty jest jeszcze więcej święty dla tych, co się do niego zbliżają. Wolność i swoboda wewnętrzna jest niewątpliwie większa w duszy świętego, niż w duszy człowieka wielkiego. Nadto kiedy u ludzi wielkich zmienność w postępowaniu jest bardzo pospolita, to u ludzi świętych mamy zamiast tego pewnego rodzaju jednostajność albo raczej postęp ciągły i nieustanny, co jest najbardziej znamienną cechą każdego świętego. „Święty, któż tego nie wie, wzrasta w świętości aż do ostatniego dnia“ (str. 43). Nie trzeba też brać za jedno świętości i mistycyzmu, zwłaszcza źle pojętego. Można się nawet zgodzić na zdanie, „że nie wszyscy mistycy są świętymi“ (str. 51). Ostatecznie autor określa Świętego jako człowieka służącego Bogu przez bohaterstwo i miłość.

W następnym rozdziale autor pokazuje dobitnie, że świętość nie jest wcale przywiązana do natur i organizmów słabych, że ona nadto naturalnego przyrodzenia nie niweczy, jeno je przekształca i uszlachetnia, czem się tłumaczy ogromna różnorodność w charakterach Świętych. Mogą nawet czasami u Świętych pozostać do końca życia pewne nawyknienia i zwyczaje, które nie pod każdym względem za przedmiotowo dobre i święte uważać należy. Dlatego przypomina słowa św. Chryzostoma: nie wszystko w życiu Świętych jest święte.

A jednak każdy Święty wyróżnia się wśród współczesnej sobie szarugi życiowej, podnosi się ponad normalny poziom potencyału psychiczno-etycznego ludzkości. Nastała dzisiaj moda tłumaczenia wszystkiego, co odbija od szarej, codziennej zwyczajności życia, newrozą, histeryą. Już niejednemu psychologowi wyrwało się zdanie, jakoby świętość, a zwłaszcza wszelkie rzeczy nadzwyczajne w życiu Świętych dały się wytłumaczyć przez histeryę, polegały na newrozach. Nie dziw zatem, że każdemu badaczowi życia świętych nasuwa się dzisiaj mimowoli pytanie: czy świętość jest histeryą? We Francyi zwłaszcza pytanie to jest bardzo na czasie. Dlatego też autor zajmuje się tą kwestyą obszernie i gruntownie tak, iż rozdział jej poświęcony, największy ze wszystkich, uważamy za najlepiej opracowany. Joly poddaje dokładnej analizie objawy histeryi z jednej strony, idąc w tej mierze za najlepszym obecnie znawcą stanu psychicznego u osób histerycznych, Piotrem Janetem (*État mental des hystériques*, I., 1893, II., 1894), z drugiej zaś strony rozbiera trzeźwo i sumiennie różne nadzwyczajne objawy u Świętych, te zwłaszcza, co na pierwszy rzut oka przynajmniej mają pewne podobieństwo z objawami histeryi, u tych świętych zwłaszcza, których nawet ze strony dobrych katolików o histeryę grubo i na seryo posądzano. Zestawienie obok siebie tych dwu szeregów zjawisk jest najlepszą, żadnych wątpliwości niepozostawiającą odpowiedzią na postawione pytanie. Zasadnicze i charakterystyczne objawy histeryi są: osłabienie uzdolnienia do syntezy psychologicznej, najrozleglejsze i najrozmaitsze abulie, zacieśnienie pola świadomości, objawiające się w szczególniejszy sposób jako dążność do trwałego i całkowitego zdwojenia osobowości. Takiej bezwoli, takiego rozprzężenia umysłowego nie można znaleźć naprawdę u żadnego Świętego; wszystkie objawy u Świętych są w istocie histerycznym dyametralnie przeciwne, tu właśnie wola, by ognisko idealnej, wypukłej soczewki, skupia w sobie, zespala, jednoczy wszystkie czynności psychiczne, jest ich pod-

stawą, dźwignią, sprężyną. Ostatnie dwa rozdziały o rozmaitych uzdolnieniach i właściwościach psychicznych osób świętych, są tylko dalszem rozprowadzeniem i uzasadnieniem tych myśli.

Oto w istotnych zarysach osnowa naszej książeczki. Dodajmy, że napisana jest z lekkością Francuzom właściwą, z miłością i podniosłością przedmiotowi należną, że zawiera raz po raz mnóstwo oryginalnych, głębokich myśli i poglądów, a nie będzie potrzeba dodawać zachęty do czytania i studyowania tego dziełka.

Psycholog-fizyolog dzisiejszy możeby zarzucił tej psychologii, że nie posługuje się metodami najnowszemi, że niema w niej żadnych skrupulatnych pomiarów, statystycznych tablic, rezultatów z ankiet rozmaitych i t. p.; zarzut byłby niesłuszny. Autor naprawdę niczego *a priori* nie wywodzi, wszystkie swoje wnioski opiera na faktach, zaczerpniętych z najlepszych źródeł, bo z życia samych Świętych, z ich zeznań własnych, które nacechowane są zawsze wielką szczerością i pełną dziecięcej niemal naiwności prostotą, więc, jeśli o fakty same idzie, prawdą niewątpliwą. Psycholog-teolog pragnąłby może szerszego uwzględnienia psychologii łaski nadprzyrodzonej w Świętych psychologii, literat większej jedności w uchwyceniu całości przedmiotu.

Być może, że psychologia ta nie jest jeszcze wszechstronnie szeroko, wszechstronnie głęboko pojęta, że w niej może jeszcze zanadto przeważa, w wielu przynajmniej miejscach, ton apologetyczny i polemiczny, pamiętajmy jednak, że to jest pierwsze dzieło tego rodzaju, a dzisiaj budowanie wszelkie od kopania fundamentów zaczynać się musi. Miejmy nadzieję, że praca psychologa francuskiego pobudzi wielu innych do rozległych badań w tym kierunku, że z czasem doczekamy się psychologii Świętych szerokiej, głębokiej, wysokiej — jak dusza, jak serce, jak miłość Świętych.

Przekład polski wogóle wzięty przedstawia się wcale dobrze, miejscami tylko mieliśmy wrażenie, że tłumacz trzymał się zanadto wiernie tekstu francuskiego, przez co może za ciężko i mniej wiernie oddał myśl autora. Nie mając jednak pod ręką samego oryginału, nie możemy osądzić, o ile *traduttore* jest tu *traditore*.

J. Nuckowski.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Un capitolo di storia del vestiario. Tre studii sul vestiario dei tempi poscostantiniani. *Giuseppe Wilpert.* Con 25 illustrazioni in zinco ed una tavola fototipica. Roma 1898. (Folio str. 40).

Zdziwiłem się nie mało, kiedy blizko przed rokiem otrzymałem z Rzymu cztery fotografie gabinetowe, przedstawiające ślicznego chłopczynę w tryumfalnym stroju konzula z epoki pokonstantyńskiej, innego w tunice i płaszczu, zdobnym na kończynach w krzyże, a na czwartej fotografii młodzieńczego „biskupa“ w długiej tunice, płaszczu *(paenula)*, a nadto w paliuszu, trzymającego w lewej ręce bogato oprawną księgę liturgiczną. Ten ostatni przypomniał mi swym strojem postać jednego z świętych (Optata), wymalowanych w katakumbie św. Kaliksta na grobie papieża Korneliusza z III. wieku, podczas gdy poprzedni, trzymający w ręce laskę, naśladuje gestem Chrystusa, spełniającego na freskach cmentarnych cud przemiany wody w wino. Ponieważ do fotografij nie było dołączone żadne objaśnienie, więc nie rozumiałem ich celu, aż rzecz wyjaśniła się dopiero po kilku miesiącach, kiedy ks. Wilpert przesłał mi swoją ostatnią pracę pod tytułem: „Rozdział z historyi szat. Trzy studya o stroju w epoce pokonstantyńskiej“, w której na różnych pomnikach ikonografii, a wreszcie na wspomnianych żywych modelach stara się rozjaśnić i uzmysłowić genezę i formę liturgicznego paliusza biskupiego.

Tym razem, jak widzimy, Wilpert opuścił swe główne pole pracy, aby z całym zapałem i aparatem naukowym rzucić światło na jedną z najciemniejszych kwestyj w historyi szat kościelnych, która uczonych zajmuje już od lat tysiąca, a nawet w ostatnich czasach dostarczyła tematu kilku pisarzom, że wspomnę tylko znakomitego historyka, Henryka Grisara T. J. *(Das römische Pallium.* Rozprawa umieszczona w *Festschrift zum 1100 Jubiläum des deutschen Campo Santo),* a już po Wilpercie Józefowi Braunowi T. J. w dziełku: *Die Pontificalen Gewänder des Abendlandes nach ihrer geschichtlichen Entwicklung.* Freiburg im Br. 1898, str. 132 i nast., a zwłaszcza str. 168—175, gdzie mowa o genezie paliusza.

Przedmiotem pierwszego z wymienionych w tytule studyów jest tryumfalny strój konzulów w epoce pokonstantyńskiej, a więc tunika *(talaris et manicata),* dalmatyka, tj. szata krótsza o szerokich rękawach, noszona nad tuniką, dalej toga purpurowa, naszywana złotem, skąd

nazwa *toga picta*, która różnym zmianom i modyfikacyom uległa jeszcze w wieku III. Tekst tej części ilustruje Wilpert znakomitemi cynkotypiami, reprodukującemi scenę z łuku Konstantyna W., dyptych Probiana z IV. wieku, dyptych konzula Feliksa z r. 428, dwie statuy anonimowych konzulów z IV. w., znajdujące się w muzeum kapitolińskiem i dyptych Boecyusza z r. 487.

W drugiej rozprawie poddaje autor analizie dekret z r. 382, zawarty w kodeksie Teodozyusza (14, 10, I.), a normujący strój senatorów, urzędników *(officiales)* i służby. Pierwsi mieli w życiu publicznem występować zawsze w todze, dla urzędników zaś została przepisana tunika z rękawami, narzutka *(paenula)*, a nadto część ubrania, zwana *pallium*, mająca ich odróżnić od zwykłych obywateli: *ut discoloribus quoque palliis pectora contegentes, conditionis suae necessitatem ex huiusmodi agnitione testentur*. Że to palium nie było zwyczajnym płaszczem, wynika z tego, iż miało nakrywać tylko piersi. Jak tedy wyglądało? Ponieważ nie mamy żadnego pomnika, któryby przedstawiał ówczesnego urzędnika w mundurze oficyalnym, więc musimy uciec się do zabytków analogicznych. I tak znajdujemy w katakumbie św. Kaliksta fresk, wykonany na grobie papieża Korneliusza z rozkazu Jana III. między r. 560—573. Wartość jego artystyczna jest bardzo mała, ale za to jest cenny do rozświecenia kwestyi, którą się zajmujemy. Przedstawia on papieży Sykstusa II., Korneliusza i biskupów Optata i Cypryana (fig. 15), wszystkich ubranych w tunikę, dalmatykę i w narzutkę *(paenula* zwana wówczas *planeta)*, a nad narzutką mających jeszcze szeroką białą szarfę, ozdobioną krzyżami czarnemi, z których jeden widać na kończynach szarfy, a drugi na ramieniu biskupów. Otóż tutaj mamy przed sobą palium nie we formie pierwotnej płaszcza *(himation)*, ale w kształcie lnianego pasa, który biskupi noszą na znak swej godności i urzędu. Podobną szarfę noszą także kapłanki czy prozelitki Izydy na trzech pomnikach, z których dwa znajdują się w muzeum watykańskiem (fig. 18, 21), a trzeci jest w ręku antykwarza (fig. 19). Z tych i jeszcze innych pomników konkluduje autor, że także *pallium* urzędników było szarfą na wzór tej, którą np. dzisiejsi oficerzy sztabowi noszą na piersiach w czasie służby.

Obie dotychczas omówione rozprawki torują autorowi drogę do studyum trzeciego, poświęconego już właściwemu paliuszowi liturgicznemu (str. 24—35), który jedni wywodzili od hebrajskiego *Ephod* albo *Rationale*, to znowu od *chlamys* imperatorów, inni od jakiegoś płaszcza, zostawionego rzekomo w spadku przez św. Piotra Kościołowi rzym-

skiemu, inni wreszcie od sukni wierzchniej czyli tak zwanego *lorum*, używanego przez konzulów w epoce pokonstantyńskiej, a które właściwie nie jest niczem innem, jak dawną togą rzymską. Zdania tego, że papieże otrzymali paliusz jako *distinctorium* od Konstantyna albo któregoś z jego następców, bronił De Marca, arcybiskup paryski, a w naszych czasach podtrzymuje je Duchesne w swych „Początkach kultu chrześcijańskiego“ str. 370 i nast. Wilpert wykazuje, że hipoteza ta opiera się na dokumencie apokryficznym i że wspomniane *lorum* czy toga nie ma żadnego związku z kościelnym paliuszem.

Zostaje tedy, że nasz paliusz był w początkach okryciem świeckiem, tj. kawałkiem sukna czworobocznego, mniej więcej trzy razy dłuższego niż szerokiego, który nosił nazwę płaszcza *(pallium, himation)*. Oto dowody:

Jest rzeczą chyba nie przypadkową, że na freskach w cmentarzach rzymskich zmarli nie noszą nigdy togi, ale za to bardzo często płaszcz *(pallium)*. Wilpert widzi powód tej różnicy stroju w tem, że toga była *par excellence* odznaką obywatela rzymskiego, przeciwnie palium uchodziło za uświęcony strój filozofów, było szatą nauki bez względu na pojęcie narodowości. Znaną jest rzeczą, że Tertulian napisał osobny traktat „O płaszczu“, w którym, wydawszy hasło: *a toga ad pallium!* stara się nakłonić wiernych do przyjęcia tej szaty, a do porzucenia togi. Nie wiedzieć, jaki skutek odniosło jego pismo w Kartaginie; ale w Rzymie płaszcz był u chrześcijan w wielkiem poszanowaniu i tutaj słuszniej niż w Afryce nasz apologeta mógłby był zawołać: *Gaude pallium et exulta, melior iam te philosophia dignata est, ex quo christianum vestire coepisti!* — „Raduj się i wesel się płaszczu, boć już lepsza filozofia wzięła cię w opiekę, odkąd stałeś się strojem chrześcijan!“ (*De pallio*, 6). W katakumbach noszą go od początku II. w. częściej osoby biblijne niż zwyczajni zmarli; w IV. wieku ma go już prawie wyłącznie Chrystus i święci. Także biskupi i kapłani noszą go prawie zawsze przy szafarstwie sakramentów, jak np. biskup, celebrujący mszę św. na słynnym fresku z II. w., znajdującym się w kaplicy greckiej u św. Pryscyli, i kapłani udzielający chrztu w kaplicach sakramentów u św. Kaliksta.

Ale w jaki sposób płaszcz ten zamienił się z czasem w szarfę? Ponieważ był on w użyciu codziennem niedogodny i niepraktyczny, więc w IV. wieku zaczęto używać nowej narzutki zwanej *paenula* a później *planeta* albo *casula*. Z drugiej strony jednak nie godziło się całkiem porzucać sukni, która dotychczas była najbardziej szanowaną

częścią ubrania, i dlatego noszono odtąd płaszcz na penuli i to najpierw kilkakrotnie zwinięty *(contabulatum)*, a następnie jako prostą szarfę na wzór urzędników świeckich. Na pomnikach ówczesnych nie mamy przykładu takiego złożonego płaszcza z tej przyczyny, ponieważ nie doszedł nas żaden taki zabytek z IV. wieku, któryby przedstawiał papieża lub biskupa. Za to znajdujemy je na fresku z IV. w. w katakumbie św. Domityli, gdzie nosi go na tunice św. Petronila, wprowadzająca do nieba pochowaną tamże Wenerandę (fig. 24).

Trudno oznaczyć z całą dokładnością, w jakim czasie nastąpiła zmiana paliusza-płaszcza na paliusz-szarfę. Autor wnosi na podstawie fresku Wenerandy, że zmiana ta dokonała się koło połowy IV. wieku, kiedy to palium przestało być właściwą częścią ubrania, a znalazłszy jako *vestis verae philosophiae* przytułek w Kościele, stało się odznaką władzy arcypasterskiej, którą papież wykonywa nad powierzonymi sobie wiernymi; dokładniej, kiedy paliusz symbolizował już, jak to widać z relacyi św. Izydora Peluzyoty, owieczkę zgubioną, którą biskup na wzór Chrystusa odnosi do owczarni na ramionach skąd też stosowna grecka nazwa *homoforion*.

W formie szarfy spotykamy go już na rzeźbie z kości słoniowej z V. wieku, znajdującej się w Trewirze, a dalej na mozaikach w S. Vitale w Rawennie, u św. Apolinarego w *Classe*, w Rzymie u św. Agnieszki poza murami. W VI. wieku doznał on też już trzeciej przeróbki, bo przybrał formę koła, z którego zwisała jedna długa szarfa na piersi aż po kostki, a druga spadała na plecy. Znacznie później skrócono obie szarfy i w ten sposób otrzymano krój, który się przechował aż do dnia dzisiejszego.

Do takich wyników doszedł Wilpert na podstawie gruntownych badań nad zabytkami piśmiennemi i monumentalnemi, tak klasycznemi jak chrześcijańskiemi. Wyraża on też zdanie, że rezultaty te są definitywne, że rozwiązały kwestyę o początku paliusza na zawsze. Muszę wyznać, że mnie one prawie zupełnie przekonały, a czytałem rozprawę kilkakrotnie z uwagą i przyjemnością. Inna rzecz, czy wszystkich archeologów i liturgików podbił swojemi wywodami. Że nie, dowodem wspomniane już dziełko Brauna, które ukazało się w kilka miesięcy po dysertacyi Wilperta, a gdzie autor podnosi wątpliwości przeciw jego konkluzyi i broni zdania, że paliusz nie wywodzi się od klasycznego płaszcza, ale został na Wschodzie w IV. a w Rzymie w V. wieku wprowadzony przez Kościół wprost jako liturgiczne *distinctivum* w formie szarfy (l. c. str. 174).

W każdym razie praca Wilperta jest najpoważniejszą ze wszystkich, które dotychczas tym przedmiotem się zajmowały. Strona jej zewnętrzna, druk, papier, ilustracye są wprost przepyszne. Zdaje mi się, że między uczonymi, zajmującymi się badaniami nad starożytnością chrześcijańską, jeden tylko Wilpert z takim smakiem i przepychem ogłasza swe pomnikowe publikacye.

Ks. Józef Bilczewski.

Autobiografia di un veterano. Ricordi storici e aneddotici del *g-le Enrico della Rocca.* Tom II.

Niechętnie zabieramy się do zdania sprawy z drugiej części pamiętników jenerała della Rocca. Bolesne są dzieje upadku spraw jednych, a zwłaszcza przewagi i zwycięstwa drugich. Trzeba myśl podnieść nad poziom chwili obecnej i z wysoka przyglądać się pasmu rozwijających się dziejów: wtedy wypadki i epoki jedne stają się niejako komentarzami drugich, a tryumfy najmniej zasłużonych okażą się nieraz przygotowaniem własnego ich upadku. Ale wnioski dalekie, wysnute z historyi, nie zawsze są pociechą dla krótkiego wzroku i krótszego jeszcze życia naszego.

Pierwszy tom pamiętników jen. della Rocca zamknął się na traktacie w Villafranca. Kampania francusko-włosko-austryacka z r. 1859 była niejako prologiem do dzieła zjednoczenia Włoch, wymarzonego przez lat dziesiątki, ale któreby w normalnych warunkach czekać musiało znów dziesiątki lub setki lat na urzeczywistnienie swoje. Kto był budowniczym gmachu jedności włoskiej, Wiktor Emanuel, Cavour, czy lud włoski, a raczej tajne związki, w których myśl zjednoczenia się wyłoniła i dojrzała? Wszystkie te pierwiastki z pewnością w grę weszły, ale chwała czy wina przyjścia do skutku dzieła tego, spaść musi na Napoleona III. Gdyby on i Francya byli mieli najwyższy interes w przeprowadzeniu tej sprawy, gdyby przyszłość państwa lub dynastyi była od niej zawisła, nie mógłby był troskliwiej, wytrwalej i podstępniej nad tem dziełem pracować. Pozycya jego w Europie była zbyt silna, osobistość zbyt wielkim urokiem otoczona, aby wbrew jego woli zjednoczenie Włoch przyjść mogło do skutku — ale udział jego w tej sprawie był nietylko bierny, lecz o ile tylko zdołał, wobec tradycyj katolickich Francyi, był przeważnie i czynny. Czem go tłumaczyć? Gdy się porówna szkody polityczne, które jedność włoska przyniosła Francyi, ze skromnym nabytkiem Nizzy i Sabaudyi, to trudno pojąć grę cesarza. Trzebaby sięgnąć w psychologię i odpowiedzieć wyczerpującą cha-

rakterystyką człowieka i czasów, na którą nie tu miejsce. Ograniczymy się do pobieżnego streszczenia wypadków, opowiedzianych w drugim tomie pamiętnika, wypadków, przynoszących nam więcej bólu, niż autorowi zaszczytu. Nie iżby jen. della Rocca dźwigał w nich odpowiedzialność osobną. Przeciwnie, o ile z opowiadania postać jego występuje, był on wśród tej bandy opryszków jedynym może żołnierzem uczciwym i honorowym. Był przedewszystkiem wiernym sługą i przyjacielem króla Wiktora Emanuela, z którego sprawą i działaniem bezwzględnie się identyfikuje, a jest obok tego żołnierzem, dla którego rozkaz i karność wojskowa jest prawem najwyższem i dyskusyi nieulegającem. W tych granicach był zapewne człowiekiem uczciwym i z delikatniejszem, niż u wielu dworaków, poczuciem honoru. Pisze niezawodnie szczerze i, ze swego kąta widzenia, z dobrą wiarą, dlatego opowiadanie jego może w niejednym względzie oddać historykowi usługi.

Pierwszy tom „Pamiętnika weterana“ zamyka się na seryi niebywałych korzyści, które miecz nie włoski lecz francuski zapewnił Piemontowi. Widzieliśmy jednak, że Cavour uważał Włochy tak dalece za pokrzywdzone przez cesarza Napoleona, że w dzień podpisania preliminaryów pokoju w Villafranca demonstracyjnie zażądał i otrzymał dymisyę. Ministeryum Lamarmora-Ratazzi dostało trudną misyę pogodzenia rozbudzonego apetytu młodych Włoch z zawiłemi punktami programu Napoleona, który niby obiecywał wygnanym książętom powrót w ich dzielnice, niby zakładał federacyę państw włoskich pod prezydencyą papieża, niby bronił Piemontowi nowych aneksyj, a właściwie pomiędzy wierszami traktatu pozwalał wyczytywać treść wręcz przeciwną. Wiktor Emanuel na tyle był domyślny, aby liczyć się z literą i z duchem tego dokumentu, więc deputacyom księstw i Romanii, żądającym aneksyi, głośno poparcia odmawiał, a po cichu obiecywał i z dobrą nadzieją odprawiał.

Czuł wszelako potrzebę oparcia się na silniejszej osobistości dla dokonania tego, co uważał za swoje i Włoch przeznaczenie, więc zapomniawszy uraz niedawnych, powołał wkrótce hr. Cavoura do rządów. Z nim jednym tylko czuł się w sile sprostać wykrętnej polityce cesarza. Cavour umiał to siłą rzeczy imponować, to trafić do ciemnych zaułków tej skomplikowanej natury. Na pierwsze danie wystąpił z gotowością oddania Sabaudyi, którego, choć gwarantował go traktat zurychski, cesarz dotąd nie zażądał, poczuwając się do niedopełnienia obietnic, Włochom danych. Za tę cenę obiecywał Napoleon nie sprzeciwić się aneksyi Parmy, Modeny, Bolonii i Marchii. Trudniej poszło

z Toskanią, bo tu chodziło nie o skrupuł sumienia (od czegóż teorya faktów dokonanych?), lecz o ukryty zamysł, aby idąc tradycyą napoleońską zbudować jako sekundogeniturę w środkowych Włoszech, królestwo Etruryi, które odpadkami od państwa kościelnego dowolnie zaokrąglićby się dało. Układał sobie zapewne, że Wiktor Emanuel wszedłby łatwo w kombinacyę, którąby zięciowi i córce jego panowanie nad częścią Włoch zapewnić mogła, ale się pomylił. Baron Ricasoli, który jako dyktator zarządzał Toskanią, nie dał wspomnieć sobie o tym planie: groził powołaniem napowrót wielkiego księcia do Toskanii raczej, niżby w sam środek Włoch wpuścić Napoleonidów; tutaj przyznać trzeba słuszność patryotycznemu instynktowi. Król i minister zaledwie dyktatora uspokoić zdołali i wstrzymać, aby zbyt głośnemi objawami niechęci sprzymierzeńca nie obraził, ale zarazem czcigodną jego postacią zasłaniali się wobec cesarza, który ustąpił jak zwykle wobec silniejszej decyzyi, ale za to odznaczał do końca barona Ricasoli niełaską i niechęcią swoją. Na aneksyę Toskanii nie zaraz Napoleon przyzwolił, ale po kilku tygodniach opór jego się zużył: ta wola, niby zacięta, okazała się słaba, przed większą energią cofając się zawsze i te plany szerokie a mgliste, które nazwano *idées napoléoniens*, redukowały się w praktyce, jak pisał przyjaciel cesarza Aresc, do polityki z dnia na dzień. Tłumaczono się w Tuleryach gwałtownością Cavoura, który nie pozwalał cesarzowi zrobić tego, co zamierzał, lecz tylko to, co mu było możliwem: prawdziwiej było przyznać, że cesarz robił wszystko, czego Cavour zażądał, i wiernie jego program wypełniał, a minister sądem bystrym stawiał żądania w właściwej chwili i mierze. Pracował też bardzo nad tem, aby stosunek Napoleona do Piemontu nie uległ żadnemu oziębieniu. Czując doskonale, co jeszcze dla Włoch uczynić był w stanie, chciał mieć w nim nietylko sprzymierzeńca, lecz niejako wspólnika, stąd przeprowadził, nie bez trudności i przykrości dla siebie, sprawę oddania Sabaudyi i Nizzy w parlamencie. Ogólną niechęć reprezentantów Włoch, poparło gwałtowne wystąpienie Garibaldiego, który jako Nicejczyk czuł się osobiście i głęboko dotkniętym oderwaniem od włoskiej ojczyzny rodowego swego miasta; zaostrzyło ono stosunek już dość naprężony pomiędzy rządem a condotierem. I tę przepaść w krótkim czasie polityka wyrównać miała, wszelako osobiście ani Cavour, ani Garibaldi urazy sobie nie darowali. Cavour, jako gracz biegły, wiedział doskonale, że stawkę zapłacić trzeba, a wygranej był pewny: parlament zawotował cesyę Nizzy i Sabaudyi, a zarazem aneksyę Toskanii, Emilii i Romanii z 2 milionami

poddanych. Wiktor Emanuel zyskiwał ich w czwórnasób tyle i najpiękniejszą prawie cząstkę Włoch. Wśród tryumfalnego objazdu nowych prowincyj, w którym jen. della Rocca towarzyszył królowi, jak cień żałobny przesuwa się w pamiętniku postać księżnej Lukki i Parmy, żony cynicznego Karola II., matki zamordowanego, równie smutnej pamięci Karola III. Jako do księżnej z domu sabaudzkiego i ciotki swojej posłał Wiktor Emanuel przedstawiciela swego z aktem uszanowania, dość dziwnym wśród wypadków chwili. Ale księżna Lukki już do świata nie należała: dnie całe spędzając w żałobnej kaplicy, oparta czołem na pomniku syna, pogrążona w żalu i modlitwie, stała się jedną z tych, których celem na ziemi jest ekspiacya za winy rodzin i pokoleń. A po tej włoskiej ziemi tyle, jak fal gnanych wiatrami, przeszło rodów i rządów, a tyle pośród nich ciężkich zbrodni i gwałtów spełniono, że potrzeba im było wobec Boga i ludzi tych dusz czystych a pokutnych, któreby winy przodków brały na siebie.

Przyspieszonym biegiem szły tymczasem wypadki. Jeszcze Wiktor Emanuel nie skończył objazdu nabytych miast i krajów, kiedy Garibaldi począł przygotowywać sycylijską wyprawę. Cavour pospieszył za królem, aby się z nim naradzić co do postawy, jaka rządowi przystała wobec zamierzonej napaści na kraj sąsiedni i o pokojowym z Piemontem stosunku. A że uczciwość polityczna była wtedy ze spraw publicznych włoskich wykluczoną, postanowiono więc nie identyfikować się z awanturniczą wyprawą, lecz w danym razie z niej korzystać. Takiemi to zasadami zarobił Wiktor Emanuel na ów tytuł *re galantuomo*, który mu wdzięczne Włochy przyznały. Co prawda, inne, niż prostej uczciwości, miał ten przydomek w ustach ludu znaczenie: wyrażać on miał tę prostoduszność, jaką potomek Amadeuszów i Filibertów, bardzo zręcznie pokrywał politykę w celach zuchwałą, a w środkach ostrożną, poświęcając w danej chwili starą kolebkę rodu, aby zdobyć przewagę, o jakiej przodkowie jego nie śnili. Chodziło jednak o przyzwolenie cesarza na te nowe plany nietylko co do Sycylii, ale co do wkroczenia przez państwo kościelne do Neapolu; liczono tu na dobry humor sprzymierzeńca, który właśnie objeżdżał nowo nabytą Sabaudyę, i w tym celu wyprawiono doń jen. Cialdini z P. Farina, ministrem spraw wewnętrznych.

Cesarz, który przed wyjazdem z Paryża głośno potępiał zachcianki zaboru Sycylii i państwa kościelnego, ze zmianą otoczenia zmienił też i sądy. Wprawdzie nie głośno, ale cicho przyzwolił i obiecał, że francuska załoga w Rzymie nie przeszkodzi okupacyi Neapolu, byle wy-

padki poszły prędko. Pragnął zapewne cesarz nie nosić się długo w sumieniu z odpowiedzialnością za wypadki, którym nie chciał przeszkodzić, i dlatego rad był, aby przeszły jak najprędzej w dziedzinę faktów dokonanych. Zaprzeczono temu słowu Napoleona III. Jenerał della Rocca przecież z naciskiem zaręcza, że tenże je nietylko wypowiedział, ale i napisał w liście do króla, który widział na własne oczy. Hr. Cavour, wiedząc, z kim ma do czynienia, oczekiwał co chwila zwrotu w sądach i postępowaniu gabinetu francuskiego. Jakoż ciągła zmiana frontu była niemal systemem cesarza względem spraw na półwyspie: to chwalił, to groził, wstrzymywał i popychał, lub patrzył przez palce na ruchy sąsiada, a rezultat był niezawodny, rezultat, wobec którego on jeden zdziwienie mógł udawać: że Włochy dokonały wszystkiego, co chciały, czując i okazując Napoleonowi więcej żalu i zawodu, niżeli wdzięczności.

10 września 1860 r. wojska piemonckie przekroczyły granicę państwa kościelnego. Cialdini wkroczył do Marchii, Della Rocca do Umbryi, jen. Fanti był głównodowodzącym obu korpusów. Proklamacya króla do wojska zbyt jest ciekawa, aby jej treści nie przypomnieć. Głosiła ona, „że misyą wojska było przywrócić uciśnionym miastom dobrodziejstwa kultury i pokoju, naprawić błędy najgorszego z rządów, wyrugować z Włoch bandy obcych awanturników, i darować wszystkie krzywdy wyrządzone. Król zaś, daleki od wszelkiej prowokacyi, uszanuje stolicę głowy Kościoła i gotów będzie zawsze udzielić władzy jego wszelkich rękojmi, których daremnie od zaślepionych doradców wygląda. Jeśli mu ambicyę zarzucają, to ma on tylko tę jedną, aby porządek moralny na trwałych podstawach Włochom zapewnić". Dziwić się można, że człowiek wyższy rozumem jak Cavour taki stek fałszów królowi podpisać kazał. Więcej w swoim żywiole byli Cialdini i Fanti, mianujący wojska papieskie bandą opojów, żądnych krwi i łupu. Della Rocca miał nadto taktu i poczucia wojskowego honoru, aby takiemi słowy przemawiać, i on wszakże w pamiętniku nie sroma się Lamoricièra i młodych bohaterów tej krótkiej a tak heroicznej walki nazywać płatnym zastępem. Stary żołnierz, zwłaszcza gdy już był zdala od wrzawy wojennej, która prawdę zwykła przysłaniać, wiedział dobrze, po jakie myto poszła ta młodzież i ten w tylu świetnych bojach posiwiały jenerał. Nagroda bowiem, którą osiągnęli, nie była ani ziemska korzyść, ani ziemska chwała.

Przypatrzmy się jednak wkraczającym do Umbryi pod godłem „pokoju i przebaczenia" zastępom. Wogóle zbyt łatwe niestety tryumfy

święciły w swoim pochodzie wojska piemonckie. Ludność państwa kościelnego była tak przez długoletnie intrygi przygotowana, urok jedności włoskiej tak potężny, że o właściwym oporze mowy nie było. W Perugii wybuchła już była podczas kampanii francusko-austryackiej rewolucya, tylko siłą przez dowodzącego wojskiem papieskiem jen. Schmidta stłumiona. Łatwo wyobrazić sobie, z jakim zapałem powitano włoskie wojska. To też 14 września jen. della Rocca zdobył szturmem miasto niestawiające oporu. Gdy jednak na czele armii wchodził do miasta, z okien domu jednego padł strzał i zabił dobosza wśród szeregu. Natychmiast dom otoczono, a w domu znaleziono proboszcza jednej z parafij miasta i broń świeżo wystrzeloną. Na prędce sąd wojenny zwołano: ksiądz mówił, że jest niewinny, ale sprawcy wymienić odmówił, został więc skazany na rozstrzelanie. Arcybiskup Perugii, a był nim wówczas ks. Joachim Pecci, daremnie chciał w obronie księdza przemówić; jen. della Rocca przyznaje, że odmówił stawić się na jego wezwanie, ale nie zdołał uciec przed widokiem egzekucyi. Spotkał oddział, prowadzący na śmierć skazańca, który nawet pod nieprzyjaznem piórem wyrasta na prostego bohatera. Autor przyznać zmuszony, że ksiądz szedł śmiało i spokojnie, do końca w czytaniu brewiarza zatopiony. Czy mu tam przypadła lekcya na wyznawcę lub męczennika, nie wiemy; w każdym razie ponad niesprawiedliwe sądy ludzkie przeniosły go nieśmiertelne słowa Pisma do tej sfery, gdzie śmierć niewinna liczy się za ofiarę. Nazajutrz król dziękował w krótkiej kartce jenerałowi za zdobycie miasta i „rozgrzeszał go z winy rozstrzelania księdza“. Nie pierwszy to raz usprawiedliwiają się wzajemnie wspólnicy zbrodni lub korzyści, ale wierzymy, że po tych sądach przyjdzie sąd drugi, w którym „staną sprawiedliwi z wielką stałością przeciw tym, którzy ich ucisnęli i korzyść pracy ich odjęli“, a wtedy ci zadziwią się *timore horribili*.

Temi słowy pocieszać nam się trzeba w bólu jeszcze świeżym, choć przeszło nad nim blizko lat czterdzieści, przegranej pod Castel Fidardo i zdobycia Ankony, których w dajszym ciągu pamiętnik dotyka. Jak oprzeć się miała garstka bohaterskiej młodzieży wobec naporu band Garibaldiego od południa, a wojsk piemonckich ze wszystkich stron? Chodziło też nie o niemożliwą obronę państwa kościelnego, ale o zadokumentowanie jego praw protestem krwi katolickiej. Szczęśliwi ci wobec zakonu Bożego, którym złożyć to świadectwo było danem, ale po ludzku mówiąc, szkoda zawsze tych, których sprawa stoi

w rozterce ze sprawą, którą ogół ukochał i choćby niesłusznie uznał za swoją: naprzód już wyrok potępienia zapadł nad nimi

Dla szerszej historyi Lamoricière nie zmalał, lecz przeciwnie, urósł na męża szerszych rozmiarów, oddając szablę swoją sprawie, którą z góry uważać musiał za straconą. Dla Włochów on i wojska jego, zostaną zawsze bandą płatnych siepaczy. Pytanie, czy na bohaterstwie tego rodzaju Włosi wogóle poznać się umieją? Kiedy nazajutrz po bitwie pod Castel Fidardo, jen. della Rocca przybył do Macerato, przypadek chciał, że stanął kwaterą w tym samym domu, gdzie przebywał pułkownik Pimodau. Gospodarz prowadząc go, wskazał w domowej kaplicy miejsce, gdzie dniem pierwej naczelnik sztabu Lamoriciéra, pułkownik Pimodau klęczał i podczas mszy komunikował. Tak zrobił niegdyś w ranek przed wiedeńską wyprawą Sobieski, ale nie zawsze Pan Bóg wiarę wynagradza zwycięstwem, ani powodzeniem nie zawsze mierzyć pozwala sprawiedliwość sprawy.

Wobec sądu ludzkiego, powodzenie tak dalece usprawiedliwia czyny, że podnosić nieprawidłowości w tej kampanii popełnione, nawet wbrew prawu narodów i honorowi wojskowemu, byłoby daremnie. Wszak wiadomo, że do Ankony strzelano już po wywieszeniu z portów białej chorągwi. Gdy załogę zdobytego miasta wsadzono na statki, i obwożono jak w tryumfie wokół Włoch całych, aż do Genui, król wjechał do Ankony i w willi pod miastem spędził kilka tygodni, które uprzyjemniało mu towarzystwo hrabiny Mirafiore. Jen. della Rocca, który znał tę damę przed jej awansem, jeszcze jako córkę pułkowego trębacza, chłodno, i dawniej, i teraz, względem niej się zachowywał. Nam trudno obronić się porównaniu, które samo się nasuwa, i dwie sprawy cechuje: pomiędzy wodzem naczelnym i królem z jednej strony, a tym żołnierzem, który rano posiliwszy się Ciałem Pańskiem, wieczorem, oddawszy już wszystko co miał, życie sprawie Kościoła składa w ofierze.

Może znużylibyśmy czytelnika szczegółowym opisem kampanii neapolitańskiej zaznaczymy więc z niej tylko kilka faktów, w których autor pamiętnika czynny brał udział. Z własnych słów jego wnieść łatwo, że zapał dla Piemontu nie był ogólny, i że okrzyki: *abbasso Garibaldi, abbasso il Piemonte!* — dawały się nieraz słyszeć po drodze, którą odbywał poprzez góry Abruzzów do Aquili. W. Emanuel chciał powierzyć jenerałowi della Rocca dowództwo nad całą armią, ale Cavour od czasu pokoju w Villafranca, w którym, zdawało mu się, że jenerał rękę umaczał, zachował względem niego pewne niedowierzanie, niesłuszne, bo jak wspominaliśmy, wola króla starczyła jenerałowi za

prawo moralne. Król zachował go jednak, wraz z korpusem jego przy sobie i powierzał mu ważne zadanie: takiem było zdobycie Kapuy po bitwie nad Gariglianem, w której wojska króla Neapolu, tył podały. Tam król uczciwy i nieszczęśliwy, już był się schronił na sam cypel graniczny swego państwa, od strony państwa kościelnego, a poparty nieustraszoną odwagą żony, bronił się dzielnie, dopóki flota francuska z jednej przynajmniej strony od morza go zasłaniała. Do jakiego stopnia i w tym wypadku wynik zależał od woli Napoleona, mamy dowód w mętnych zabiegach i rokowaniach, które Cavour prowadził w Tuleryach, a które skończyły się odwołaniem z posterunku dzielnego admirała Le Barbier de Tinan, o którym wspominając w liście do jen. della Rocca, król W. Emanuel piętnuje go mianem przyjaciela Lamoricièra. Gaeta została więc zdobyta, jeden król więcej poszedł na wygnanie, a w rok niemal po wojnie austr.-francuskiej Piemont został, z wyjątkiem jednego Rzymu, panem całego Półwyspu. Krok jeszcze, a program Napoleona, w liście do Laguenoniera sformułowany: „Włochy z Rzymem za stolicę, a dla papieża Watykan z ogródkiem", miało stać się faktem.

Pomijamy, jako mniej dla ogółu ciekawe, rządy wojskowe w Neapolu, które sprawował jen. della Rocca ręką, zdaje się dość ciężką, skoro sam król i Cavour byli zdania, że zbyt wiele rozstrzelano rzekomych brygantów, i że trzeba miarę w surowości zachować. Wiadomo, że we Włoszech, a zwłaszcza w Abruzzach, rozbójnictwo bywa w czasach wojennych, pewną formą partyzantki: wszakże i Wandejczyków republikanie nazywali *les brigands*. I tutaj wiele stronników Bourbonów schroniło się w lasy i góry i bandy ich z pewnością Piemontczykom we znaki się dawały. W. Emanuel radby był choć część tych bandytów ugłaskać i pozyskać, więc mitygował swego przyjaciela; gubernator zaś, na wszystkie strony pasować się musiał, bo w Neapolu i Sycylii bruździli mu to Garibaldi, to Mazzini, i stary Dumas z synem, którym, po awanturniczych romansach, zachciało się rzeczywistych spróbować awantur, i spiski republikańskie na cudzej skórze układać.

Co do Neapolitańczyków, jen. della Rocca sądził, może słusznie, że regiment terroryzmu potrzebny był społeczeństwu, gdzie podstawne zasady od lat wielu były rozluźnione, i że taki rząd grozy był koniecznym wstępem do późniejszej głębszej akcyi moralnej i przerobienia ludu na wskroś zepsutego. Na czem oprzeć chciał taki wpływ moralny, po przewrotach politycznych, które zachwiały sam grunt za-

sad wiary i prawa, trudno odgadnąć, ale ten brak logiki łatwiej wyrozumieć żołnierzowi, skoro pomiędzy duchowieństwem takie anomalie się spotykało. Niejaki mgr. Giacomo, biskup Alisy, sam przyszedł uszanowanie złożyć jenerałowi della Rocca, jeszcze przed zdobyciem Gaety, i zwycięstwo wojskom piemonckim obiecywał, i życzył, wątpił jednak czy potrafią przerobić moralnie lud i... duchowieństwo. Że to ostatnie potrzebowało ujętem być w tryby karności kościelnej, niema wątpienia: dziwniej, że biskup katolicki zadanie to przeznaczał rządom świeckim króla, który już był popadł głęboko w cenzury kościelne.

Przerzucając dalsze karty pamiętnika, jeszcze na paru ważniejszych chwilach zatrzymać nam się wypada. Autor pamiętników żył jeszcze długo, więc spory odłam współczesnej historyi zamknął w swoich wspomnieniach. Jedną z tych chwil jest misya jen. della Rocca w Berlinie i Królewcu, gdzie w r. 1861 reprezentował swego króla na koronacyi Wilhelma I. Misya była trudna z tego powodu, że Prusy nie były uznały nowych aneksyj Piemontu i chciały traktować jenerała, jako wysłannika króla Sardynii, na co ten pozwolić nie mógł. Bardzo zręcznie istotnie, umiał obejść trudności na drodze mu stawiane i przygotował grunt do uznania jedności włoskiej, która też wkrótce nastąpiła. Logika faktów sama o to wołała: po zjednoczeniu Włoch, miało przyjść zjednoczenie Niemiec, i przewidując takowe z właściwą sobie przebiegłością, hr. Cavour słusznie się dziwił skrupułom berlińskiej dyplomacyi. Trzeba było mętnej wyobraźni Napoleona III. i tego fatalizmu, który był jednym ze składników tej sztucznej natury, aby dopuścić do zgnębienia Austryi przez Prusy, a protegować przymierze prusko-włoskie. Dzisiaj wie każde dziecko, że Sadowa przygotowała i umożliwiła Sedan, ale jeśli ci, co stoją wyżej od drugich, nie widzą dalej i lepiej, to słusznie zapytać można po co tam stoją, i jaka ich racya bytu? Zamiast światłem zbawczem, kierującem mądrze nawą swego państwa, Napoleon był raczej błędnym ognikiem, prowadzącym ją na rafy i wiry. Chociaż w Berlinie uznano wkrótce jedność włoską, choć w chwili wojny z Austryą przyjęto rękę skwapliwie do przymierza wyciągniętą, to jednak hr. Bismarck nie traktował z włoskiem królestwem jak równy z równym, i dyplomacya włoska odegrała równie smutną rolę w tej wojnie, jak wojsko w kampanii. Jen. della Rocca brał znowu czynny w tej kampanii udział, więc świadectwo jego ma interes i wagę w tej sprawie. Dotąd, jeszcze przypisywano winę przegranej pod Custozzą nieuwadze jen. della Rocca, który mając znaczne siły, tylko małą ich część odłączył i wysłał z pomocą

Lamarmorze, a z resztą korpusu cały dzień stał bezczynnie. Dopiero pamiętnik jego wyjaśnia, że wszystkiemu był winien bezrząd we Florencyi, gdzie nie było komu odpowiadać na zapytania i telegramy, gdy Lamarmora porzucił ministeryum, aby objąć naczelne dowództwo; winien był brak planu u wodza, szkodliwy podział sił i upór jen. Cialdini, wreszcie całkowity upadek na duchu Lamarmory, który wobec przegranej stracił głowę. Postawę jen. della Rocca dostatecznie usprawiedliwia świadectwo arcyks. Albrechta, który w parę lat później oświadczył w rozmowie z jen. Lamarmorą, że czekał tylko, by korpus jen. della Rocca ruszył z miejsca, aby wpaść na niego i odciąć mu wszelką możność odwrotu. Jak w r. 1866, tak i dziś, z pewną satysfakcyą konstatujemy, że wszędzie, gdzie Włosi sami, nie poparci sprzymierzeńcem spotkali się z wojskiem austryackiem, czy na lądzie, czy na morzu, zostali pobici i że tradycya do dziś się utrzymała, dowodzi choćby bitwa pod Aduą. A jeśli Abisyńczycy istotnie strzelali do Włochów z karabinów zdobytych na francuskich żuawach pod Castel Fidardo, i przez rząd włoski im sprzedanych, to uznać tu musimy to wyjątkowe wdanie się Opatrzności, której podoba się czasami obecność swoją w rządach świata zaznaczyć. Honor włoski wojskowy nie wyszedł cało z kampanii, wsławionej Lissą i Custozzą, ale na pociechę, z rąk wiernego przyjaciela odebrały Włochy Wenecyę, więc i tym razem powiedzieć było można: *rien n'est perdu, hors l'honneur.*

Konwencya w r. 1864 pomiędzy rządem włoskim a francuskim zawarta, warowała na dwa lata okupacyę Rzymu przez załogę francuską i obronę jego przed zachciankami włoskiej rewolucyi. Czemu na dwa lata? Odpowiedzieć tylko można słowy ówczesnego publicysty katolika: „Człowiek, który sam się zamotał w krętych ścieżkach swojej polityki, szuka jakby uniknąć strasznej odpowiedzialności, która kiedyś nad nim zawiśnie. Czy byłby jaką przeszłością związany, nie wiem; to pewna, że dziś widzi z trwogą następstwa, które wywołał". Istotnie, w grudniu 1866 r. nie skończyła się okupacya francuska, czyli że to tajemną klauzulą przy cessyi Wenecyi zawarowane było, czy też *via facti*. Ale Garibaldi, choć raz pobity przez wojska włoskie pod Aspromonte, choć po dwakroć zamykany w fortecy, a później niby strzeżony na Kaprerze, umiał zawsze w właściwej wydostać się chwili. Za ministeryum Ratazzi, we wrześniu 1867 r., przekroczył granicę papieską, wyparł załogę z Monte Rotondo i był prawie pod murami Rzymu. Gdy pogróżki z Paryża nie skutkowały, okręty francuskie wysadziły kilka korpusów w Civita vecchia, i wzięte we dwa ognie, po-

między wojsko regularne i żuawów papieskich, bandy, doznały raz jeszcze porażki. Był to ostatni tryumf doczesnej władzy, ale i ostatnie wojsk francuskich powodzenie. Ten sam katolik, któregośmy wyżej słowa przytoczyli, dowiedziawszy się o wycofaniu francuskiej załogi z Rzymu z początkiem strasznej wojny francusko-pruskiej w r. 1870, powiedział: „teraz już Napoleon wyrok na siebie podpisał, wojna tak rozpoczęta musi jeszcze i Francyi klęskę zgotować".

O zajęciu Rzymu w r. 1870 przez Włochów, pamiętnik już nie wspomina. Autor jego, jak niegdyś Ksenofont, przekuł miecz na lemiesz, i opuściwszy służbę, a zachowując do końca łaskę i przyjaźń swego króla, oddał się z zapałem uprawie roli, wypełniając *otia* gospodarskie, spisywaniem wspomnień, rzeczywiście bogatych i zajmujących. Na wiadomość o ciężkiej chorobie W. Emanuela pospieszył do Rzymu, ale przybył za późno. Raz jeszcze król Humbert zażądał posług jego, i z notyfikacyą o zmianie tronu posłał go do Londynu i Paryża. To było ostatnie jego wystąpienie publiczne. Umarł pełen lat, bo dożył 90 roku życia, w r. 1897.

J. R.

Der Stechlin. Roman. *Theodor Fontane.* Berlin. F. Fontane i Comp. 1899. (W 8-ce. str. 517).

Fontane, jako powieściopisarz cieszy się w Niemczech niemałem powodzeniem. Arcydzieła nie wychodzą z pod jego pióra, ale wybitnego talentu trudno mu nie przyznać.

W powieściach jego zarysowują się wyraźnie dwa kierunki: część jego prac podaje nam wierny i zawsze serdecznem ciepłem owiany, wizerunek rodzinnych stron autora, Brandenburgii i jej ludności; drugi odłam działalności powieściopisarza wypełniają naturalistyczne studya towarzystwa berlińskiego. Autor przecież zdaje się znać je tylko ze stron ciemniejszych, na czem oczywiście cierpieć musi wierność i wiarogodność samychże opisów. W książce, którą mamy pod ręką — jest to ostatnie dzieło jego przedśmiertne — przenosi nas Fontane znowu do swojej ukochanej Brandenburgii, roztaczając przed nami obraz maleńkiego jej zakątka, wsi Stechlin i okolicy. Osnowa opowieści, najzwyczajniejsza w świecie, daje się zamknąć w kilku słowach: Waldemar, syn Dubslawa ze Stechlinu zapoznaje się w mieście stołecznem z hrabiną Armgard Barby i poślubia ją za żonę. Akcyi i zawikłania niema prawie żadnego w powieści. Wątek jej wlecze się tak leniwo i nużąco, że najcierpliwszy czytelnik przed dobiegnięciem do końca kilkakrotnie

przekonywać się będzie, ile jeszcze stronic pozostaje mu do przeglądnięcia. A jednak książka ta posiada i niemałe zalety, choć prawda jak na powieść zalet tych stanowczo za mało. Właściwie też nie jest dzieło to mimo swego tytułu żadną powieścią, ale raczej wizerunkiem obyczajowym, zbiorem pojedynczych scen, szkiców, charakterystyk natury i ludzi, przewlekłych, luźno ze sobą spojonych. Jeżeli istnieje jakiś słaby łącznik tego aglomeratu, to chyba jest nim stary major Dubslaw. Robi to wszystko wrażenie misternej mozaiki, w której każda linia, każdy rysunek pracowicie wykonany, zadziwia sumiennością i dokładnością wykończenia, ale nie czuć tam tego życia i artyzmu, które prawdziwy artysta w martwą formę przelać powinien i musi, jeżeli dzieło jego ma mieć prawo do życia w dziedzinie piękna. Nie można autorowi odmówić ani zmysłu spostrzegawczego, ani wydoskonalonej techniki w oddaniu i zużytkowaniu tego, co widział, ale też opisy jego są tylko dobremi fotografiami i niczem więcej. Postacie jego to nie typy, ale kolekcya oryginałów humorem i lekką ironią autora owianych, choć wyznać należy, że osoby te, ich zalety i słabostki, są wcale nieźle pochwycone. Stanowczo jednak razi czytelnika ten lekki sceptycyzm i sceptyczny liberalizm, z jakim zapatruje się poeta na świat i ludzi, na ich wierzenia i poglądy. Czyż ten duch zatruty wiejący z całej książki miałby być przedśmiertnem bankructwem umysłu pozbawionego żywotnych ideałów chrześcijaństwa — wiadomo przecież, że Fontane należał do pisarzy niewierzących. Również i ze swoim zachwytem i poglądem na tak zwany postęp, kulturę i cywilizacyę obecną, co najmniej o kilkanaście lat się spóźnił nasz autor.

Maksymilian Kohlsdorfer.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

O Amerykanizmie.

W jednym z najpiękniejszych wierszów swoich, rozpoczynającym się słowy:

Ecce viden' crebris micat ignibus aether,

unosi się Leon XIII. w zachwycie na widok licznych oznak, zapowiadających tryumf religii katolickiej. Wiersz ten, napisany kilkadziesiąt lat temu, mógł się wydawać złudzeniem wieszczem; od tego czasu jednak ogólne usposobienie umysłów znacznie się zmieniło. Wielkie obietnice materyalistów nie ziściły się, przesyt dusze opanował i tęsknota za ideałami straconemi. Ponury smutek cięży nad milionami ludzi, którzy w tem życiu widzą tylko cierpienie, a wiarę w tamto życie utracili. Opisał ów smutek znakomicie autor najnowszego dziełka: *La tristesse contemporaine*, a znamiennem jest, że właśnie Francya, ta wesoła Francya skarży się na smutek swych ludów. Tęsknota i smutek ów ogarniają wszystkie stany i ludy przedewszystkiem tam, gdzie wiara zanikła, ale równocześnie też zwracają umysły, indyferentyzmem zarażone ku religii. Kiedy najwyżej 20 lat temu, religię uważano za rzecz zbyteczną, przynajmniej dla ludzi inteligentnych, dzisiaj powszechnie się głosi konieczną potrzebę religii.

Pozytywistyczne czasopisma umieszczają raz po raz artykuły o wierze [1]. Już i socyaliści nie śmieją zaprzeczyć potrzebie religii — tak silny głos za nią się odzywa w szerokich warstwach. A silny ten prąd ku religijnym wierzeniom wogóle, udzielający się literaturze i sztuce i mężom nauki, jest potężnem zbliżeniem się świata do katolicyzmu, zwiastunem nowego tryumfu Kościoła, zapowiedzią nowego rozkwitu jego idei w niebywałym aż dotąd stopniu i rozmiarze. Prawda, że wielu z tych, co teraz o potrzebie religii mówią, ani myśli o powrocie do dawnego historycznego chrystyanizmu — tak przynajmniej piszą — ale ci z nich, którzy prócz teoryi śledzą i faktyczny rozwój umysłów, z trwogą stwierdzają, jak Henry Bérenger we Francyi, że religijny ruch umysłowy nieuchronnie doprowadzić musi do katolicyzmu. A tak jest nietylko we Francyi, ale i w Anglii, gdzie z dnia na dzień Kościół katolicki wzrasta w potęgę wobec bezsilności anglikańskiej schizmy; tak jest w Ameryce, gdzie nawet niekatolicy, jak Brunetière, ze zdziwieniem stwierdzają rosnący wpływ katolicyzmu; tak jest i w Rosyi, której ludy tylko siłą despotyzmu przy schizmie trwają.

Na widok tych znaków otucha i wzniosła radość serce *każdego katolika* napełnia, choć wyznać trzeba, że do kresu jeszcze nie blizko. Jesteśmy w chwilach przełomu; nie brak potężnych partyj, które chciałyby korzystać z krytycznych tych czasów, aby dojść do bezwzględnej hegemonii, zdeptawszy na zawsze Kościół katolicki. Jeżeli kiedy, to dzisiaj, potrzeba ze strony katolików energicznej pracy, aby oświecić ludzi trapionych gorączką religijną i nie pozwolić na to, by dla braku wodzów (Opatrzność Boska sama bez ludzi dzieła nie zwykła dokonywać) zeszli na manowce.

Świat katolicki odczuł, dzięki Bogu, tę potrzebę inicyatywy. Według słusznej zasady, że na różne choroby rozmaitych lekarstw potrzeba, zadano sobie przedewszystkiem w Ameryce pytanie, jakiemi sposobami najprędzej zbliżyćby się można do nowoczesnych pogan. Niełatwą zapewne jest rzeczą oznaczyć

[1] Cfr. *Revue philos.*, marzec 1899.

w teraźniejszych warunkach najodpowiedniejszą taktykę dla propagandy katolickiej, stąd też kwestya ta wywołała żywe spory pomiędzy katolikami. Między innemi poglądami nabrał w ostatnich czasach najwięcej rozgłosu tak zwany Amerykanizm, doktryna albo raczej taktyka, wskazująca drogę i środki, za pomocą których w najkrótszym czasie możnaby pozyskać tłumy niewierzących dla Kościoła. Gorliwy, mistycznie usposobiony ksiądz Hecker (ur. 1819 um. 1888) dał początek całemu temu kierunkowi. Przez tłumaczenie jego życiorysu w r. 1897 idee te zaczęły się szerzyć po Francyi, rozwijać się tak, że je ujęto jakby w jeden system, któremu dopiero później nadano imię Amerykanizmu.

Od dwóch lat rozwinęła się cała literatura koło tego wyrazu. Kwestya Amerykanizmu należała we Francyi i Belgii do najbardziej aktualnych tak, że nawet na zebraniach ludowych pokazać się nie było można, nie będąc dobrze o niej poinformowanym. Przez Francyę nowe teorye zaczęły wchodzić do Niemiec, przedewszystkiem od czasu, kiedy sławny profesor uniwersytetu würzburskiego, Schell, stanął w ich obronie. Także we Włoszech Amerykanizm zjednywał sobie powoli zwolenników.

Śledziliśmy ów ruch od czasu pojawienia się jego w Europie z wielką ciekawością, ale przyznajemy, iż nie mieliśmy dotąd odwagi o nim pisać. Było w nim dla nas zbyt wiele niejasnych punktów, o których nie mogliśmy sobie utworzyć własnego zdania. Zresztą wiedzieliśmy, że o Amerykanizmie u nas mało kto słyszał. Oddźwięki jego spotykaliśmy może jedynie w „Listach“ i „Aforyzmach“ Piasta, który widocznie czytywał broszury Schella i z nich dużo myśli zaczerpnął. Dziś, kiedy list Ojca św. wszystkie wątpliwości w tej mierze usunął, nietylko ksiądz, ale i każdy katolik, który chce pracować dla dobra ogółu, także u nas obznajomić się powinien z tą kwestyą. Rozstrzygnięcie sporów, podniesionych w innych krajach co do taktyki w postępowaniu katolików, jest dla nas dyrektywą pełną światła i mądrości.

Amerykanizm chciał wskazać młodym pokoleniom drogę do nawrócenia świata do prawdziwej wiary, chciał bez naruszenia — rozumie się — dogmatu zbliżyć się jak najbardziej do niewierzących albo herezyą zarażonych umysłów tegoczesnych, by

ich pozyskać dla Chrystusa. W tym celu starał się usunąć wszystko, coby mogło razić innowierców i zasadniczo unikał wzmianki o niektórych drażliwych dla ucha nowoczesnego dogmatach. Widząc dalej powszechną dążność do wolności, zaprowadził nowy podział cnót chrześcijańskich. Aż do czasu soboru watykańskiego — powiada ojciec Amerykanizmu, ks. Hecker — bardziej potrzebne były cnoty pasywne, polegające na poddaniu się pod kierownictwo drugich; po definicyi nieomylności papieża najwyższa powaga Kościoła tak jasno jest określona, że obawy już żadnej niema, aby wierni mogli w tym punkcie błądzić. „Teraz uwaga synów Kościoła może w zupełności skupić się koło wewnętrznej i Boskiej powagi Ducha św. w duszy ludzkiej“ [1]. Nieodłączając się od jedności Kościoła, każdy katolik ma odtąd przedewszystkiem kierować się wewnętrznem natchnieniem Ducha św., skutkiem czego katolicy staną się bardziej samodzielnymi, a mniej dziecinnymi — jak ks. Hecker powiada — niż bywali dawniej. Stąd też Amerykanizm mniej ceni zakony i kongregacye ze ślubami *posłuszeństwa* i *ubóstwa*. Ks. Hecker sam widząc wielkie korzyści wspólnej pracy, założył kongregacyę Paulistów, mającą działać pod natchnieniem Ducha św., bez wszelkich węzłów zewnętrznych. „Myśl przewodnia mego ducha przez długie lata była ta, że stowarzyszenie ludzi wolnych, kochających Boga ze wszystkich swych sił i umiejących pozostać w połączeniu między sobą, zdobyłoby świat nasz nowoczesny“ [2].

W tych poglądach mieści się cała istota Amerykanizmu.

Ks. Hecker, który w swych listach i dziełach zasady te szerzył, był zawsze bez wątpienia szczerym katolikiem [3]. Na-

---

[1] List ks. Heckera z r. 1872.

[2] *Vie du P. Hecker*. Paris. 1897. Str. 298.

[3] Wystarczy przytoczyć reguły postępowania, które ks. Hecker sam dla siebie ułożył, znajdziemy w nich dość wierny obraz całego jego usposobienia:

1) Bezwzględna i niezachwiana wierność względem powagi Kościelnej, gdziebądź i w jakiejbądź formie objawionej, tak jak na to powaga Boga na ziemi i w każdym czasie zasługuje.

3) Zachować umysł i serce wolne od wszelkiego przywiązania do

wrócony z indyferentyzmu i protestantyzmu na wiarę katolicką, pałał pragnieniem pozyskania jak najwięcej swych współziomków do prawdziwej wiary. Mając usposobienie silnie mistyczne a przytem słabe wykształcenie teologiczne, utworzył sobie pewne praktyczne teorye, które, nie mając może bezpośredniego związku z dogmatem, przecież duchowi Kościoła się sprzeciwiają. Amerykaniści postawili sobie za zadanie apoteozować te zasady ks. Heckera, stawiając go za wzór, a sposób jego działania za normę postępowania dla księdza naszych czasów. Mówiono też głośno o jego kanonizacyi. Stąd wywiązały się wielkie spory. Katolicy nieśmiało po największej części przeciwko swym braciom Amerykanistom występowali. Najprzód Amerykaniści zaraz okrzykiwali innych za zacofańców, za wrogów prawdziwego postępu w Kościele; powtóre w rzeczywistości w tych teoryach Amerykanizmu fałsz tak był pomieszany z prawdą, że trudno było jasno oznaczyć linię demarkacyjną. Z obydwóch stron oczekiwano więc z niecierpliwością zdania papieskiego. Gazety sprzyjające Amerykanizmowi przepowiadały jeszcze z pół roku temu, że Ojciec św. wyda dla nich list pochwalny. Tymczasem list przeciw Amerykanizmowi, ogłoszony we wszystkich i naszych gazetach, odznacza się nietylko jasnością ale i stanowczością nadspodziewanie wielką. Zaraz na początku listu Ojciec św. przypomina, że jest stróżem wiary i powiada: „Chcieliśmy obszerniej o całej tej sprawie do ciebie (kard. Gibbonsa) pisać, aby jak tego najwyższy nasz urząd apostolski wymaga, dołożyć starania o zachowanie nieskazitelności wiary i czuwać nad bezpieczeństwem wiernych“. Powoływanie się Ojca św. na swą naj-

---

szkół, partyj lub osób (także Heckera) tak, aby nic we mnie się nie sprzeciwiało przyjęciu światła i kierownictwa Ducha św.

5) Wśród niedoskonałości, nadużyć albo zgorszeń i t. d., ze strony ludzkiego elementu w Kościele, nigdy nie pozwolić sobie na myśl albo słowo, któreby się zdawało wyrażać wątpliwość o jakiejś prawdzie katolickiej albo trąciłoby duchem nieposłuszeństwa.

6) Mając to wszystko na oku, pozostać przyjacielem najbardziej oddanym i najgorliwszym wszelkiego prawdziwego postępu i pracować ze wszystkich sił nad szerzeniem postępu za pomocą wszystkich organizacyj i władz istniejących. *Vie du P. Hecker,* str. 365, 366.

wyższą władzę nauczania nadaje listowi temu bez wątpienia niezwykłe znaczenie.

Ojciec św. przechodzi następnie główne zasady amerykanizmu, jakeśmy je wyżej podali, i potępia je wszystkie bez wyjątku. A najprzód piętnuje, jako błędną, taktykę tajenia albo pomijania pewnych zasad i praktyk katolickich dla pozyskania niewiernych. Wiara jest zastosowana do wszystkich wieków, do wszystkich ludzi; trzeba ją głosić tak, jak ją nam Kościół nieomylny podaje, nie opuszczając niczego. Ktoby inaczej czynił — powiada papież — „ten raczej katolików od Kościoła odłączy, aniżeli niewierzących do niego przyprowadzi". Zdaje nam się, że opinia tajenia pewnych prawd od katolicyzmu nieodłącznych dla pozyskania dusz, wielu bardzo w ostatnich czasach zyskała zwolenników. Można było czuć pewien wstręt do niej, ale nie zawsze miało się pod ręką odpowiedź na subtelne wywody wytoczone na jej obronę. Niezrównanie jasną i głęboką zarazem jest racya, którą Ojciec św. zbija tę taktykę: Wiarę naszą przyniósł nam Syn Boży z łona Ojca; wysyłając Apostołów w świat, kazał im nauczać wszystkiego, co im przykazał, aż do skończenia wieków, więc nie wolno ze względów oportunistycznych ani zmienić tej wiary, ani uronić z niej cząsteczki najmniejszej, ani nawet milczeniem pomijać niektórych prawd, z obawy by nie zraziły niewierzących. Z pewnością że Ojciec św. nie wyklucza stopniowego, roztropnością kierowanego głoszenia zasad wiary; sam Pan Jezus tak czynił. List papieski potępia tylko praktykę systematycznego tajenia przed tymi, których się nawraca, pewnych twardszych prawd naszej wiary, jakiemi są np. wieczność potępienia, obowiązek spowiedzi.

Poglądy ks. Heckera na zmianę w życiu Kościoła, która, według niego, nastąpić miała przez definicyę nieomylności papieża, według Leona XIII., oparte są na fałszywym sposobie rozumowania, a jego naukę o intenzywniejszem, bardziej indywidualnem działaniu Ducha św., papież wprost piętnuje jako niemałe zuchwalstwo. Stanowczo też papież potępia zbytnie wywyższanie cnót naturalnych i obniżanie nadnaturalnej cnoty posłuszeństwa. „Jeżeli niektórzy — powiada — wolą łączyć się w jedno stowarzyszenie bez wszelkich ślubów, niech robią, co się

im lepiej podoba; nie będzie to ani czemś nowem, ani czemś nagannem, niech się jednak strzegą, aby się nie wynosi nad Zakony, owszem, ponieważ teraz ród ludzki skłonniejszy jest do używania rozkoszy, aniżeli przedtem, dlatego o wiele wyżej cenić trzeba tych, którzy opuściwszy wszystko, poszli za Chrystusem". Kończąc, zachęca wszystkich biskupów i arcybiskupów i cały lud wierny do potępienia tych nauk, powołując się znowu, jak z początku listu, na swą najwyższą powagę nauczania słowami św. Ambrożego: „Gdzie Piotr, tam Kościół".

Pierwszym, który na list Ojca św. odpisał, był ten, który w Europie i w Ameryce uchodził za najgorliwszego zwolennika tych zasad, mgr. Ireland. Gorliwy arcybiskup oświadcza najprzód, że z całą energią swej duszy bez wszelkiej restrykcyi wszystko odrzuca i potępia, co papież potępił, ale zaręcza również, iż nigdy tak skrajnych zdań nie utrzymywał. To samo uczynił arcybiskup Keane, oświadczając w obecności Boga, że nigdy się nie trzymał potępionych przez list papieski nauk. Szczególniejszym sposobem dotknięty był listem Ojca św. prof. wolnego fakultetu teologicznego w Paryżu, ks. Feliks Klein, gdyż papież w liście główną winę wzniecenia tych sporów kładzie na tłumaczy i krzewicieli życiorysu ks. Heckera w językach obcych, do których on w pierwszym rzędzie należał. Mimo to i ks. Klein się pospieszył, by w liście pełnym mężnej wiary, wyrazić Ojcu św. swe zupełne poddanie się. „Jeżeli kiedykolwiek — powiada — wpadłem nie chcąc i nie wiedząc o tem w błędy potępione przez Waszą Świątobliwość, to korzystam z pośpiechem i wdzięcznością ze sposobności, która mi się nadarza, aby je wszystkie potępić, tak jak to tu czynię, wielkiem sercem bez żadnego wyjątku, bez żadnej ukrytej myśli albo subtelności, ale w zupełności i w tem samem znaczeniu, w jakiem je potępiła Wasza Świątobliwość". — Także Kongregacya Paulistów, synowie duchowni O. Heckera, złożyła do nóg Ojca św. zapewnienia swej wierności, wskazując na głębokie przywiązanie do Stolicy św., które ich założyciel zawsze w swem sercu żywił, i im jako najdroższą spuściznę zostawił.

Paulistom, jak wogóle Amerykanom, zdaje się, że zasady

potępione nie są zasadami ks. Heckera, ale raczej jego francuskich komentatorów. Porównanie listu papieskiego z tekstem ks. Heckera, zrobiło na nas wrażenie, że Ojciec św. dla oznaczenia błędów tylko streszczał słowa ks. Heckera. Ale mniejsza o to. Faktem jest, że w krajach najbardziej zagrożonych fałszywemi zasadami, tj. w Ameryce i we Francyi, wszyscy, co uchodzili albo byli rzeczywistymi zwolennikami Amerykanizmu, najzupełniej się poddali, i tem samem sprawa skończona. Potrzeba będzie dla umysłów, przedewszystkiem tych, którzy się bardziej w tym kierunku posunęli, nieco czasu, aby się mogli wycofać ze zbyt daleko posuniętych posterunków, ale usunięte są niebezpieczne dla katolików spory, jasno wytknięta jest droga na przyszłość, co z pewnością niemało się przysłuży powszechnemu działaniu Kościoła katolickiego tak we Francyi jak i w Ameryce.

Najpoważniejszy rzecznik Amerykanizmu w Niemczech, dr. Schell, został jeszcze osobiście dotknięty ciężkim ciosem. W krótkim czasie po ogłoszeniu listu do kardynała Gibbonsa, *Osservatore Romano* ogłosił dekret św. Kongregacyi Indeksu, potwierdzony przez Ojca św., który główne dzieła i najgłośniejsze broszury sławnego profesora na indeks położył.

Schell jest bezwątpienia wybitnym uczonym, bystrym teologiem i, jak nam mówiono, gorliwym o zbawienie dusz kapłanem. Ma dar niezwykły porywania uczniów za sobą, ale niestety już nieraz się zdarzało, że jego wykłady doprowadziły kleryków wprost do apostazyi. Umieściliśmy w naszym *Przeglądzie*[1] recenzyę jego Dogmatyki, napisaną przez jednego z jego uczniów, po znacznem przerobieniu i dodaniu zastrzeżeń z naszej strony. Uczony teolog posuwał się nieraz w swych pismach do ostatecznych granic tak, że można było wątpić czy granic prawowierności już nie przekroczył, jak np. w dogmatach o Bogu i piekle.

Tego rodzaju skrajności mniej szkodzą w książkach, przeznaczonych jedynie dla teologów, ale mogą się stać niebezpiecznemi w dziełkach popularnych. Schell w ostatnich trzech latach

[1] Tom XLVI, r. 1895, str. 439.

rzucił się z wielką energią na popularyzowanie swoich poglądów. Aż dotąd wyszły: *Der Katholicismus als Princip des Fortschrittes* i *Der Alte und der neue Glaube*. Autor zapowiedział jeszcze cały szereg tego rodzaju publikacyj. Broszurki Schella cieszyły się niezwykłem powodzeniem; grube nakłady rozeszły się w przeciągu tygodnia, a Schell widział w tem zwycięstwo swych idei. Czytając jego broszurki jeszcze przed wydaniem dekretu, nie przypominamy sobie, abyśmy byli znaleźli w nich coś wprost przeciwnego wierze, ale przykro nas uderzyło jakieś lekceważenie wiary Kościoła w ostatnich wiekach, jakiś niezdrowy duch nowatorski, mało się liczący z kierującą władzą Kościoła.

Gdyby Kościół był li tylko ludzką instytucyą, musielibyśmy uważać potępienie książek tak słynnego i wybitnego uczonego jak Schell, za czyn przynajmniej ryzykowny, ale Kościół Boski żadnych powag ludzkich się nie obawia. Może być, że ów dekret niejednego doprowadzi do odłączenia się od Kościoła, w każdym razie jednak tamę położy dalszemu szerzeniu się trucizny wśród tych, którzy z przekonania są katolikami. Nie zaszkodzi tu przypomnieć, że dekret kongregacyi wcale nie jest nieomylnem orzeczeniem o nauce zawartej w dziełach zakazanych; dekret tylko zabrania wiernym pod grzechem ciężkim czytania tych książek, jako szkodliwych dla dobra dusz.

Gazety protestanckie zachęcają wszelkiemi możliwemi sposobami prof. Schella, aby się nie poddał wyrokowi, który jest tylko owocem intryg jezuickich. Coby mogło pozornie utrudnić poddanie się ks. Schella, jest to, że dekret podpisany jest przez kardynała Steinhubera, Jezuitę, członka tego zakonu, przeciw któremu Schell zawsze występował z wielką zawziętością, któremu wszystko złe, jakie się w ostatnich latach w Kościele stało, przypisywał. *Germania* podała oświadczenie Schella wobec profesorów, iż nauki swe z wymaganiami Kościoła pogodzi. Aż dotąd niema jeszcze żadnego oficyalnego aktu. Oczekujemy go z upragnieniem [1].

Ks. Wł. Ledóchowski.

[1] Odebraliśmy w tej chwili szwajcarską *Liberté* z 24 marca podającą list prof. Schella do biskupa würzburskiego z 28 lutego, w którym zupełnie się poddaje dekretowi Kongregacyi.

Nowiny historyczne.

Czasy nowożytne.

W Kościele anglikańskim przypomina corocznie dnia 5 listopada publiczna modlitwa, że „król i stany państwa były upatrzone przez papistyczną zdradę jakoby owce na rzeź w arcybarbarzyński sposób, jakiego ubiegłe stulecie nie widziało". Wszystkie, nie wyjmując najnowszych, podręczniki historyczne powtarzają, że katolicy angielscy, spodziewający się ulg od syna Maryi Stuart, doznali zawodu, że jedna ich garstka uknuła nawet t. zw. „spisek prochowy" [1], tj. chciała parlament podczas sesyi w powietrze wysadzić. Spisek prochowy posiada swoją literaturę, w miarę jednak pogłębiania badań w tej sprawie, coraz silniej występuje zdanie, że w spisku rzekomym rząd angielski ręce umaczał i że już w początku r. 1605 tj. 10 miesięcy przed odkryciem spisku był najdokładniej o planach spiskowców poinformowany, że urzędowe przedstawianie całej afery jest pełne sprzeczności, że sprawcą moralnym zamachu był znany prowokator wszystkich spisków przeciw Elżbiecie, jej główny doradca Robert Cecil, minister także Jakóba, wyniesiony do godności markiza Salisbury. Że oficyalne przedstawienie sprawy mija się z prawdą, to już twierdził anglikański biskup Goodman z XVII. wieku, a wykazały nowszemi czasy prace Jardina i Gardinera; całą perfidyę i intrygę Roberta Cecila w tej sprawie wykazał dopiero O. John Gerard T. J., główny redaktor katolickiego czasopisma angielskiego *The Month*, jeden z najbystrzejszych nowszych pisarzy angielskich [2]. Spisek istniał niewątpliwie, należało do niego 13 ludzi z Guy Faukes na czele; wśród nich Tomasz Percy, narzędzie ministra Cecila, z którym tenże w swem biurze kilka dni przed odkryciem spisku miał tajne konferencye. Wszyscy spiskowcy byli z wyjątkiem Tomasza Bate, sługi Catesby'ego, katolikami. Czy Cecil sam spisek spowodował, czy też go tylko dla swych celów wyzyskał, nie da się na pewno stwierdzić. Że rząd był w ten spisek wmieszany, że w każdym razie przypadkowe odkrycie spisku było przez Cecila inscenizowane, to dziś nie ulega żadnej wątpliwości. Wobec tego zaś, że wśród spiskowców byli awanturnicy, notoryczni hultaje

[1] Zakrzewski, „Historya nowożytna", str. 140.

[2] *What was the Gunpowder Plot? The traditional Story tested by original Evidence,* by John Gerard S. J. London. 1897. Str. XIV, 248,

i potajemni stronnicy Cecila, niepodobna spiskowców jako przedstawicieli katolików uważać. Co do szczegółów spisku, napotykamy na cały szereg nieprawdopodobieństw. Najpierw spiskowcy podłożyć mieli 36 beczek prochu, tj. taką ilość, jakiej wszystkie królewskie arsenały w r. 1607 dla całego państwa nie wydały. Złożyli te beczki spiskowcy nie do piwnicy pod domem lordów, lecz na parterze pod okiem policyi, pod okiem całej publiczności, wśród najruchliwszej części miasta. Chyba więc cały Londyn miał zamknięte oczy albo, co prawdopodobniejsze, rząd z rozmysłem patrzał przez palce na to przedsięwzięcie. Najciekawsze, że Cecil, który notorycznie wiedział o wszystkiem 10 miesięcy poprzednio, dopuszcza do nagromadzenia takiej ilości palnego materyału i dopiero w samym dniu otwarcia parlamentu spisek odkrywa. A czystą komedyą jest doprawdy list do lorda Monteagla wysłany przez krewniaka z przestrzeżeniem, by się 5 listopada nie pojawił w parlamencie. Faktem jest, że lord Monteagle za doręczenie tego listu Cecilowi otrzymał roczną rentę 700 funtów, że prokurator w toku procesu otrzymał zlecenie od rządu, by zasługi lorda uwydatniał o ile możności. Wreszcie sam Cecil w liście swym prywatnym do swego znajomego zdradza cele swej polityki kościelnej. Chodziło mu o wplątanie katolików angielskich do spisku przeciw królowi i parlamentowi, a tem samem o napiętnowanie ich w oczach narodu. Głównie chodziło mu o świadectwo przeciw katolickim księżom, a zwłaszcza Jezuitom. Mimo jednak najstraszniejszych męczarń na torturach, Faukes obstawał, że podejrzywany o wspólnictwo w spisku O. Gerard T. J., nic o nim nie wiedział. Dlatego też dziś nawet obrońcy oficyalnego sprawozdania o spisku, jak Gardiner, przyznają, że katolicy jako tacy z zamachem prochowym nic nie mieli do czynienia [1].

Z polecenia sztabu jeneralnego wydaje dyrekcya c. k. archiwum wojennego w Wiedniu zbiorowemi siłami studya nad najważniejszemi kampaniami armii austryackiej. Tak powstało cenne dzieło o wyprawach ks. Eugeniusza Sabaudzkiego [2], tak obecnie pierwsze dwa tomy dzieła o wojnie sukcesyjnej austryackiej [3], tem cenniejsze, o ile że po-

---

[1] Bellesheim Alf., *Historisch-politische Blätter,* 121, 8. *Etwas mehr Licht über die Pulververschwörung* vom 5 November 1605, str. 577—586.

[2] *Feldzüge des Prinzen von Savoyen.*

[3] *Oesterreichischer Erbfolgekrieg 1740—1748.* Herausgeg. von der Direction des k. k. Kriegsarchivs, t. I, str. XXVIII, 1125, 8 dodatków; t. II, str. XVI, 705, 7 dodatków. Wiedeń 1896. Cfr. H. J. B., tom 19, zeszyt 2, str. 364—371.

jedyncze partye przez fachowe wybitne siły opracowane zostały, np. sprawy finansowe przez prof. Beera, kwestye konstytucyi węgierskiej przez prof. Marczaliego. Dla nas zasługuje dzieło powyższe o tyle więcej na uwagę, o ile w niem poddany jest gruntownej analizie krytycznej charakter i działalność genialnego twórcy państwa pruskiego i rozbiorów Polski. Postać ta, wedle wydawców, jest przez pruską historyografię, dzieła takiego Rankego, Droysena, Kosera i t. d., otoczona takim nimbem legendy, panegiryzmu i subjektywizmu pruskiego, że historyczne rysy w niej się zatarły. Wydobycie tych historycznych rysów na podstawie własnych pamiętników Fryderyka, jest jedną z zasług wydawnictwa; przynosi ono nadto cały szereg nowych zdobyczy naukowych, wyświetlających wiele spornych kwestyj z ostatnich lat panowania Karola VI., a pierwszych jego córki. Tak np. zarzucano dotąd Karolowi VI., że celem zapewnienia tronu swej córce, zamiast gromadzić armię, starał się zupełnie bez skutku pomimo wielkich ofiar o gwarancyę sankcyi pragmatycznej u potęg ościennych. Otóż Wetzer, jeden z głównych współpracowników rzeczonego dzieła, przyjmuje za Arnethem, biografem Maryi Teresy [1], że te usiłowania Karola VI., czy to wobec stanów krajów habsburskich, czy to wobec państw ościennych, bynajmniej tak bezowocne nie były. Przez 30 lat rządów Karolowych, kraje jego przyzwyczaiły się upatrywać w sankcyi pragmatycznej podstawę prawa publicznego. Ale i wobec ościennych państw ofiary cesarza nie były bezskuteczne. Z zupełnie inną pewnością siebie byliby pretendenci bawarski czy saski wystąpili, gdyby nie byli swych uroczystych obietnic złamali, gdyby sami lub inni byli wierzyli, w ich rzekome prawa do dziedzictwa. Dlatego sympatye wszystkich tych, którzy choćby iskrę poczucia dla prawa i sprawiedliwości mieli, zwróciły się ku młodej monarchini zupełnie bezprawnie zaczepionej. Sympatye te były potężnym sprzymierzeńcem Maryi Teresy. Że ta sympatya przeważała w Europie, do tego głównie przyczynił się Karol VI. Że monarchia Karola VI. miała skomplikowany aparat administracyjny źle fungujący i charakter państwa średniowiecznego, które pół wieku pozostało w tyle za świetnie zorganizowanem państwem pruskiem, o tem wszyscy wiedzieliśmy, w publikacyi omawianej wykazuje Langer, jak te cztery różne kancelarye nadworne jedna drugiej przeszkadza, jak ci kanclerze nadworni starają się reprezentowane przez siebie kraje kosztem drugich faworyzować na niekorzyść całości; wykazuje, jak ta

[1] *Geschichte Maria Theresias.* 10 tomów. 1863—1879.

osławiona powolność austryacka była nie tyle winą Habsburgów, ile winą szlachty uparcie opierającej się woli monarszej. Tak np. niefortunna zrazu kampania w Czechach była winą hr. Józefa Kinsky'ego, który opierał się wzmocnieniu załóg czeskich. — Podobnie było, zdaniem Beera, z finansami państwa i krajów koronnych, które i połowy uchwalonych przez siebie podatków nie dostarczały do kasy cesarskiej i wskutek nieszczęśliwej wojny sukcesyjnej polskiej państwowe długi niepomiernie wzrosły, tak iż kredyt publiczny był zachwiany tem bardziej, że nawet w latach pokoju zwykłe dochody nie pokrywały potrzeb. Jak wojna z Francyą o tron polski zrujnowała finanse, tak wojna z Turkami zdemoralizowała armię, dzięki fatalnemu dowództwu i lichemu zaopatrywaniu armii w żywność i wojenne przybory. Wobec tego nie tyle dziwić się powinno, że austryackie armie, przeważnie z rekrutów złożone, bite były przez wytresowane szeregi pruskie, lecz że armia austryacka tak szybko się zreorganizowała i zdołała zwycięzcom się oprzeć. Patryotyzm austryacki i poczucie jedności wywołał wbrew swej woli wśród niższych i wyższych warstw głównie Fryderyk II. Stała armia austryacka datuje się właściwie z tego okresu. Podczas tej wojny dopiero dokonało się scentralizowanie komendy wojskowej w radzie nadwornej wojennej, wojsko zaczęto uzupełniać poddanymi austryackimi, a obcych przeważnie oficerów zastąpiono austryacką szlachtą. Radzie nadwornej wojennej zwykle robi się zarzut, że ona ograniczała na każdym kroku swobodne ruchy wodzów. Za Maryi Teresy atoli, jak to słusznie za Arnethem [1] podnoszą wydawcy nowego dzieła, ujemny ten wpływ rady wojennej wcale się nie objawia; przeciwnie dawano niejednokrotnie feldmarszałkom Lobkowicowi i Kevenhüllerowi ze strony królowej i rady wojennej do poznania, że z Wiednia stosunków nie można osądzić, że zatem wedle własnego winni działać zdania. Ciekawem również jest twierdzenie, że rozwój sztuki wojennej objawiający się w wojnie sukcesyjnej austryackiej, odbywa się na podstawie doświadczeń z wojen księcia Eugeniusza, że najświetniejszym następcą i naśladowcą Sabaudczyka był nie kto inny, jak Fryderyk II., który nietylko formy tradycyi Eugeniuszowej, ale jego ducha sobie przyswoił.

Najważniejsze są dwa końcowe ustępy tego pomnikowego dzieła, zredagowane przez Wetzera, a traktujące o położeniu państw europejskich i politycznych pobudkach do wojny. Zasługują one tem więcej

[1] L. c., II, 356.

na uwagę, o ile w nich występuje trafna charakterystyka głównego bohatera tej epoki, tj. Fryderyka II. „Dom habsburski — twierdzi na str. 735—736 autor — czuł się tradycyą wiekową uprawnionym, czuł się w prawie i prawo była podstawą jego polityki. Inaczej rzeczy się miały w Prusiech; było to państwo dopiero powstające. Jego dzierżawy nie były zespolone z rodziną panującą prawem od wieków się odbywającej prawowitej elekcyi, nieprzedawnionych traktatów i dziedzictwa. Od czasów sekularyzacyi Prus potęga ta Hohenzollernów brała bez skrupułów to, co się nawinęło, stawała się coraz silniejsza, mając w słuszności i prawie zawsze przeciwnika, nigdy alianta. Aby rosnąć, musiała grabić i grabiła". Pruska historyografia [1] oczywiście jest tym ustępem dotknięta, całkiem jednak niesłusznie. W ten sam prawie sposób, tylko nieco innemi słowy motywuje sam Fryderyk II. zdobycie Ślązka: „Aby wszystko wypowiedzieć, co mogło wzniecić zapał do wojny księcia świeżo na tron wstępującego, trzeba dodać, że Fryderyk I., gdy Prusy wyniósł do godności królestwa, przez tę swoją próżność tworzył dla swoich następców ambicyi zarodek, który prędzej czy później musiał przynieść owoce. Monarchia, jaką następcom pozostawił, była pewnego rodzaju mięszaniną między elektorstwem a królestwem. Można było sławę zyskać przez dokładne określenie tego wątpliwego tworu i z pewnością był to jeden z tych motywów, które króla w wielkich przedsięwzięciach utwierdziły. Wzgląd, że posiadanie ks. Berg zbyt małem było posiadaniem, sprawił, że król swój wzrok zwrócił na dom habsburski, którego dziedzictwo po śmierci cesarza było sporne" [2]. Wobec takiego świadectwa całkiem słusznie dodaje Wetzer, że cały sposób myślenia Fryderyka II. był tego rodzaju, iż gardził podobnie lichemi podpórkami, jakiemi go nowożytni pruscy historycy chcą uzbroić. Występuje on z wielką jak zawsze bezczelnością i nie chce inaczej wyglądać, jakim jest w rzeczywistości. Że polityka pruska zresztą nosi charakter oportunizmu i że ten oportunizm odzwierciedla się w charakterze pruskich książąt, przyznają nawet pruscy historycy austryackim, tylko pierwsi twierdzą, że taka polityka była nieunikniona i dlatego usprawiedliwiona. To samo pismo pruskie, *Militär-Wochenblatt*, które tak ostro wystąpiło przeciw sądowi Wetzera, wyraża się pod tym względem wcale niedwuznacznie, podnosząc oportunizm wielkiego elektora: Umiał

[1] *Militär-Wochenblatt*, n. 64.

[2] *Oeuvres de Frédéric le Grand*, t. II, str. 93.

on, zdaniem krytyka pruskiego, robić użytek z innego również legalnego prawa(!) tj. prawa miecza, aby uzyskać niezawisłość Prus, i dokonał czynu, którego błogie skutki jeszcze dziś w Niemczech dają się odczuwać. Gdyby Hohenzollerzy nie byli stanowczo brali, co się nawinęło — a brali, ponieważ brać musieli — z niemieckim tym krajem byłoby się to samo stało, co się na Zachodzie z krajami niemieckiemi od wieków dzieje. To znaczy, że wobec Polski i Słowian, tak samo jak w średnich wiekach, wszelkie gwałty i bezprawia stają się zasługą. Wobec tego nie dziwi nas bynajmniej surowy sąd o Fryderyku Macaulaya, który twierdzi, iż „na jego sumieniu cięży wszystka krew przelana we wojnie kilkoletniej, w różnych częściach świata toczonej, krew szeregów, atakujących pod Fontenoy, krew Szkotów, wymordowanych pod Culloden". Być może, że jest w tym sądzie nieco przesady, przyznać trzeba, że nietylko Fryderyk grzeszy egoizmem i zaborczością, ale i inni książęta, którzy większe wobec Austryi mieli zobowiązania, niż Fryderyk, to jednak nie przestanie być faktem, iż dopiero brutalne wystąpienie Fryderyka i jego zwycięstwo pod Molwicami innych do gwałtu zachęciło.

Ostateczny sąd o Napoleonie nie jest jeszcze wydany. Po panegiryku Thiersa [1] i t. p. przychodzi nieubłagana krytyka Lanfreya [2] i Tainea [3]. Obecnie znowu wśród Francuzów, łaknących wielkiego człowieka wobec stuletniej rocznicy napoleońskich wojen, zapał ku genialnemu pogromcy sąsiadów wzrasta, czego dowodem omawiane i u nas prace Massona [4]. Przybywa wciąż zresztą materyału pamiętnikarskiego, czego dowodem choćby przed 5 laty publikowane wspomnienia Chaptala, ministra spraw wewnętrznych za Napolena I. [5]. Do poznania charakteru Napoleona właśnie ta literatura pamiętnikarska szczególniejsze ma znaczenie. Sądy te i opinie ludzi współczesnych o genialnym Korsykaninie, przechowane w tych memoirach, zebrał w jedną całość Bailleu [6], a całość ta wypada dla Napoleona fatalnie. Szczególnie ujemny jest sąd pani de Rémusat: „Żadnego szlachetnego rysu — twierdzi ta pani dworu cesarskiego — nic z prawdziwej wielkości nie

---

[1] *Histoire du Consulat et de l'Empire.* 20 tomów. Paris. 1845—1862.

[2] *Hist. de Napoléon.* 5 tomów. Paris. 1867—1875.

[3] *Le régime moderne*, 2 tomy. 1891—1894.

[4] *Napoléon I. et les femmes.* 1893. — *N. chez lui.* Paris. 1894. — *N. inconnu Papiers inédits 1786—1793.* 2 t. Paris. 1895.

[5] *Mes souvenirs sur N.* Paris. 1893.

[6] *Zur Geschichte Napoleons.* S. H. Z. 81. I. H., str. 52 i t. d.

było w Napoleonie. Dusza jego była podła. Nigdy nie podziwiał, ani nawet nie rozumiał szlachetnego czynu. Przy jego stworzeniu widocznie zapomniano o sercu lub mu się udało je do milczenia zmusić. Kochał tylko swą pierwszą żonę, ona jedynie umiała na niego wpływać. Posiadał namiętności i okazywał je, lecz częściej jeszcze umiał je teatralnie udawać, aby przerazić ludzi i uczynić ich powolnymi dla siebie. Nie miał poczucia wstydu ani moralnego, ani cielesnego. Głównym rysem jego charakteru to samolubstwo i żądza panowania; znał tylko siebie, swą wolę, swą politykę, swój system; właściwie polityka była jego charakterem. Dlatego na wewnątrz stworzył system rządowy podniecający i wyzyskujący systematycznie wszystkie w piersi Francuzów drzemiące brzydkie namiętności i przez to ludzi demoralizujący, na zewnątrz wywołał nieskończony łańcuch wojen. Czy był chciwym wojny? Nie, pragnął tylko władzy i gdyby pokój jego władzę mógł rozszerzyć, byłby wolał pokój. Po Sławkowie wojna była wynikiem raczej jego systemu, niż wynikiem jego woli i zamiłowania. Żądza panowania zniszczyła w nim cnoty, a spłodziła zbrodnie. Z tem wszystkiem nie Napoleon sam jest tym pierwiastkiem złego, które dobry świat zepsuło, lecz i społeczeństwo francuskie nosi współwinę. Na jego to gruncie wyrosło upajająco-trujące ziele bonapartyzmu". Mamy przed sobą więc sąd bardzo surowy, podobny do sądu innej głośnej antagonistki Napoleona, p. de Staël, wedle Massona i Levy'ego atoli sąd ten straszny pochodzi z doznanego zawodu miłości p. de Rémusat. Jeden z ulubieńców Napoleona atoli, Molé, twierdzi w swych fragmentarycznych zapiskach coś podobnego, pisząc, że Napoleona ambicyą było pokazywać nieugiętość woli i bezgraniczność swej władzy, więcej myślał sobie wyrobić głośne imię jak Aleksander, niż dynastyę ugruntować. Nie troszczył się tyle o trwałość swych dzieł, jak raczej o własną wielkość i potęgę bez miary, bez granic. Pasquier natomiast, prefekt policyi za Napoleona, później minister za Ludwika XVIII. [1], chwali jego organizatorski talent, zręczność kierowania partyami i łączenia sprzecznych kierunków do celów przez niego pożądanych. Napoleon znosi opór, swobodną opinię, lecz nie rzadko objawia się i despotyczna natura w jego działalności. Więcej u Napoleona obrachowania niż namiętności, ma dar w swym umyśle zrozumienia wszystkiego, lecz w sercu żadnego popędu do szlachetnych czynów, natomiast bezwarunkową wiarę w siebie i swoje szczęście. Administracya jego była znakomita, poli-

[1] *Histoire de mon temps. Mémoires de chancelier Pasquier.* 1893—1895.

tyka kościelna licha. Broglie, zięć pani Staël, twierdzi [1], że Napoleon był lichym mówcą, wypowiadał myśli bez logicznego następstwa, powtarzał niezręcznie te same frazesy. Barante [2] zaś, audytor w radzie państwa Napoleona z r. 1806, przyznaje, że forma mów napoleońskich była licha, treść natomiast znakomita. Napoleon jest nielitościwy mniej z pychy, jak z obrachowania. Nie tyle w Juliuszu Cezarze, ile w Aleksandrze W. upatrywał swój ideał. Mimo niezaprzeczonej praktyczności żywi fantastyczne plany, choć nie wierzył w ich urzeczywistnienie. Wątpił np. w swą wyprawę do Rosyi, wskutek czego nie sypiał przed jej rozpoczęciem. Chaptal [3], minister spraw wewnętrznych za Napoleona, chwali szczególnie bonapartystyczny system administracyjny, choć przyznaje, że ten system właśnie najlepiej torował drogę despotyzmowi. Gani Chaptal gburowatość Napoleona w towarzystwie i despotyzm wobec otoczenia. Mimo pewnych dowodów wdzięczności, okazuje ogółem biorąc brak wszelkiego szlachetnego uczucia, umyślną nieczułość, brak wiary w cnotę i uczciwość. System napoleońskich rządów na podstępie i wiarołomności był zbudowany. Złe przymioty jego rosną w miarę przybywania lat. Pod względem politycznym wierzył tylko w siebie. Tylko siebie uważał za talent, innych tylko za narzędzie, dlatego wszystkiem wedle swego widzimisię kierował. Zawiódł się również na Napoleonie La Revellière Lépeux [4], członek Konwentu i Dyrektoryatu, szczególniejszy wróg szlachty i Kościoła. Spodziewał się on po Napoleonie zniszczenia arystokracyi i Kościoła; że tego nie uczynił, więc potępia Napoleona politykę więcej niż jego osobistość. Przeciw osobistości Napoleona natomiast głównie występuje inny członek Dyrektoryatu, Barras [5], mieniąc go wizerunkiem Marata, szatańskim geniuszem, mistrzem w intrydze i chytrości. Barras, zmuszony ustąpić Bonapartemu, którego właśnie na nogi postawił, nienawidzi wszystkiego, co bonapartyzmem trąci. Dyskredytuje więc rodzinę Napoleona i jego samego. Wykazuje, jak wyrzucona do Francyi rodzina korsykańska szuka szczęścia nie zawsze za pomocą uczciwych środków. Tu się pożenili najpierw Lucyan i Józef, siostry miały kochanków, wszyscy byli Jakobinami. Napoleon stał w blizkich stosunkach z bra-

---

[1] *Souvenirs du feu duc de Broglie 1785—1870.* 4 t. 1886.

[2] *Souvenirs du baron de Barante 1782—1866.* Paris. 1890.

[3] *Mes souvenirs sur Napoléon.*

[4] *Mémoires de La R. L.* 3 tomy. Paryż. 1895.

[5] *Mémoires de Barras* publ. par G. Duruy. 4 t. 1895/96.

tem Robespierra; dopiero Barras go wyniósł na jenerała Dyrektoryatu i ożenił ze swą byłą przyjaciółką, Józefiną Jako wiano otrzymał Napoleon komendę nad włoską armią. Sądy te Napoleonowi chluby nie przynoszą, pochodzą wszakże wszystkie z czasów po upadku Napoleona i w części dlatego może są tak surowe. — Także i legalność małżeństw Napoleona z Józefiną i Maryą Ludwiką jest w obecnej chwili przedmiotem licznych badań. Zajmuje się tą kwestyą między innymi Schnitzer [1], autor katolickiego prawa małżeńskiego. Zdaniem jego, Napoleona ślub cywilny z Józefiną był małżeństwem wobec Kościoła ważnem, albowiem w chwili zawarcia tego związku zachowanie formuły ślubnej, przepisanej przez sobór trydencki, było niemożliwe. Napoleona drugie małżeństwo z Maryą Ludwiką było wobec Kościoła nieważne, albowiem stał mu na przeszkodzie istniejący z Józefiną związek małżeński. Uwzględniając atoli ściśle przepisy trydenckie, a dalej dobrą wiarę w ważność ślubu u oblubienicy, trzeba uznać związek Napoleona z Maryą Luizą za t. zw. *matrimonium putativum*, a syna z tego małżeństwa za potomstwo legalne. Natomiast ślub kościelny Napoleona z Józefiną, dokonany przez kardynała Fescha 1 grudnia 1804 jest tylko prostą ceremonią bez prawnego znaczenia, ponieważ już ślub cywilny Napoleona z Józefiną miał ważność także kościelną.

Dr. K. Krotoski.

---

[1] *Die Ehescheidung Napoleons I.*

Druk ukończono 27 marca 1899 r.

Zasadniczy punkt wyjścia w badaniu filozoficznem.

I.

Que sais-je?
Montaigne.

Ktokolwiek zabiera się na seryo do budowy gmachu jakiego lub chociażby małego domku, musi zacząć robotę swą od założenia trwałych i silnych fundamentów.

O potrzebie fundamentów w budowlach materyalnych nikt nie wątpi; nie mniej jednak oczywistą jest konieczność podwalin i w gmachach umysłowych.

Każda gałąź wiedzy ludzkiej to swego rodzaju gmach umysłowy — ma on też właściwy sobie fundament i własne swe podwaliny. Fachowi uczeni w pewnej gałęzi zaglądają nieraz do podstaw, na których dalsze cegiełki mają dokładać, i starają się przedewszystkiem, by fundamenty same silnie były ugruntowane, niczem niezachwiane. Mamy też istotnie w każdej nauce pewne o granitowej wytrzymałości filary, niezbite pewniki, których naruszać nikt nie śmie i nie może, a których minimalne nadwerężenie pociągnęłoby niechybnie za sobą ruinę gmachu całego.

Rzecz dziwna. Wyniosła królowa nauk wszelkich, najszczytniejsze uwieńczenie myśli ludzkiej, filozofia jedna zda się nie troszczyć wiele o swój kamień węgielny, o niewzruszony punkt oparcia swego i wyjścia zarazem. Że tak, a nie inaczej

rzecz się w istocie przedstawia, nie trudno się o tem przekonać. Wystarczy rzucić okiem na różnorodne systemy filozoficzne, od najdawniejszych Pytagorasa i Konfucyusza począwszy, a skończywszy na najnowszych Spencera i Wundta. Zasadnicza kwestya punktu wyjścia jest u starych myślicieli najczęściej zupełnie pomijana i ignorowana, u nowszych pojawia się wprawdzie sporadycznie coraz częściej, zawsze atoli najsłabiej i najmniej systematycznie bywa przeprowadzona. Naprawdę do dzisiejszego dnia nie posiadamy jeszcze całokształtu filozofii, chociażby tylko w grubych zarysach całkowicie zaokrąglonego, nie mamy jednolitego tumu filozoficznego, któryby fundamenty swe zapuszczał głęboko w ziemię, a iglicami swych wieżyc dosięgał obłoków.

A jednak, jeśli która nauka, to filozofia powinna na samym wstępie niezbicie się upewnić o bezwzględności i niechwiejności swoich podwalin. Co więcej, tej niezachwianej pewności potrzebuje filozofia bardziej, niż którakolwiek inna nauka. Leży to już w samej naturze filozofii. W jakikolwiek bowiem sposób pojmiemy i określimy filozofię, czy za Stagirytą z myślicielami starej i nowej Scholastyki jako „wiedzę rzeczy z najwyższych i ostatecznych przyczyn“ [1], lub ze znanym filozofem francuskim Janetem jako „myśl myśli samej“ [2], czy z Wundtem jako „naukę ogólną, która ma zjednoczyć ostateczne wyniki nauk szczegółowych w system wolny od sprzeczności“ [3], lub ze Straszewskim jako „ostateczną syntezę wiedzy“ [4], czy ze Struvem wreszcie jako „naukę, badającą ogólne zasady wiedzy, podmiotowe i przedmiotowe, w celu wyjaśnienia szczegółowych objawów bytu z punktu widzenia tych zasad ogólnych“ [6] — zawsze filozofia pozostanie nauką κατ' ἐξοχήν krytyczną. Jako taka zaś nie może niczego w swoim całokształcie przyjąć ślepo i na wiarę, nie może

[1] „Scientia rerum per causas ultimas (naturali rationis lumine comparata)“.

[2] *La philosophie est la pensée de la pensée.* L'unité de la philosophie — w *Revue phil.* i w *Principes de métaphysique et de psychologie.* Paris, Delagrave, 1897.

[3] *System der Philosophie.* 2 Aufl., p. 17.

[4] „Dzieję filozofii w zarysie“, tom I. Wstęp.

[5] „Wstęp krytyczny do filozofii“. Warszawa 1896, str. 70.

więc przedewszystkiem zostawić odłogiem kwestyi fundamentów własnych.

Nie dosyć na tem. Gmachy innych nauk to zabudowania, sąsiadujące i należące do olbrzymiej świątnicy filozoficznej, a najrozmaitsze laboratorya naukowe, rozsiane dzisiaj po całym świecie, to, jak dobrze wyraził się Huxley [1], przedsionki jej. Prócz tego podstawy filozofii samej są jakkolwiek nie bezpośredniemi, to jednak dalszemi i ostatecznemi podstawami wszystkich innych gałęzi wiedzy ludzkiej. Filozofia zatem z samego już względu na inne nauki powinna staranniej niż one zająć się zbadaniem swych posad, stwierdzeniem absolutnej niechwiejności i wytrzymałości punktu wyjścia i oparcia swego.

Na czem tedy mam stanąć i oprzeć się? — oto pytanie, które stawiamy na samym progu właściwego filozofowania. Pytanie nie błahe, owszem wysoce doniosłe, prawdziwie zasadnicze w najściślejszem tego słowa znaczeniu, w następstwa poważnie brzemienne. Od tego pytania zawisła wszystkość filozofii — wszystkość zapatrywań naszych: naukowych, praktycznych, moralnych, nawet religijnych. Jeżeli żadnych fundamentów niema, to całe życie nasze z wszelkiemi ideałami najwznioślejszemi i dążeniami najbardziej humanitarnemi, jest tylko najokrutniejszą iluzyą i ironią, a zajmowanie się filozofią, nauką, praca jakakolwiek, życie samo najniedorzeczniejszym absurdem, najbardziej krzyczącą sprzecznością. Jeśli te fundamenty są chwiejne i na jakichś trzęsawiskach bezdennych osadzone — to po cóż pracować, po cóż wytężać siły intellektualne, kiedy to wszystko może każdej chwili runąć i w otchłaniach negacyi na zawsze się pogrążyć?!

Pytanie więc samo aż nadto poważne. Czemuż zatem ogromna większość filozofów traktuje tę kwestyę po macoszemu, lub nawet nie porusza jej wcale? Przyczyna tego zjawiska tkwi po części w naturze umysłu naszego. „Jest to — jak słusznie zauważył Kant — zwyczajny los umysłu ludzkiego w spekulacyi, że spieszy się, jak tylko może, z wykończeniem gmachu swojego i po wszystkiem dopiero zabiera się do zbadania, czy też fun-

[1] „The Laboratory is the forecourt of the temple of Philosophy".

dament dobrze założony został“ [1]. I inna zresztą nasuwa się tu jeszcze racya, która powyższe zjawisko tłumaczy i wyjaśnia, lepiej może nawet od poprzedniej. — Wszystkie poglądy i systemy filozoficzne, i najskrajniej sceptyczne, mają pewne rzeczy podstawowe wspólne ze sobą, przynajmniej te, które wszyscy, chcąc nie chcąc, suponują, bo suponować muszą. I sam akt wątpienia, i akt negacyi, i sąd każdy wogóle, najwłaściwsza forma naszego poznania — opierają się i logicznie i ontologicznie na pewnych faktach i pewnych prawdach ogólnych, których bezwyjątkową niezachwianość i bezwarunkową niewątpliwość samo postawienie onych aktów stwierdza bezpośrednio. W tych to faktach i prawdach tkwi właśnie ów niewzruszony i niespożyty trzon filozofii, o który opierają się nawet ci, co najgłośniej deklamują, że w filozofii żadnych niema fundamentów. Otóż filozofowie czasów dawniejszych, mając na oku rzeczy na razie i bezpośrednio donioślejsze i praktyczniejsze, nie zwracali baczniejszej uwagi na owe kwestye, najsłuszniej uważając je za zupełnie jasne i aż nadto pewne. Natomiast w dobie nowożytnej, kiedy duch jednostronnej krytyki, niszczącej wszystko a niczego nie tworzącej, zaczął podkopywać podwaliny wszystkiego, co tylko dodatnio działa na świecie, a wreszcie nie wahał się targnąć samobójczą ręką i na posady filozofii, zmieniły się przez to samo stosunki, tak, że trzeba było stanąć odważnie na murach twierdzy filozoficznej i pokazać czynnie, że fundamenty jej mimo wszelkich min i pocisków przesadnego krytycyzmu potrafią się ostać cało i niezachwianie. Naturalna rzecz, że w wirze tej walki, pośród gradu pocisków musiało się ciemniej robić w oczach — a kwestya fundamentów dla niejednego nie była już tak jasną, jak w dawniejszych czasach.

Cóż dziwnego, że skutkiem tych dwu przyczyn: jednej psychologicznej, drugiej pochodzącej ze zmienionego środowiska, kwestya, dawniej sama przez się zrozumiała, stała się dzisiaj kwestyą najtrudniejszą, na pierwszy rzut oka nawet najciemniejszą; że filozof nowożytny przejmuje się strachem jakimś i grozą,

---

[1] *Kritik d. r. V.* Einleitung, p. 9 — Adickes p. 44.

kiedy ma wejść bliżej w tajniki i głębie tych pytań, i że często woli pominąć kwestyę fundamentów lub odłożyć ją na sam koniec, a zabrać się natomiast do budowy gzymsu jakiegoś lub wieżyczki małej, co ma uwieńczyć narożnik gmachu.

Nie od rzeczy będzie przytoczyć tu znane i w naszej literaturze filozoficznej [1] słowa hiszpańskiego myśliciela: „Gdy spuszczamy się w głębie, do których te kwestye nas wiodą, mrok jakiś zaciemnia nasz umysł, a serce się wzdryga i przejmuje jakąś grozą religijną. Przed chwilą podziwialiśmy gmach umiejętności ludzkich, a jego olbrzymie rozmiary, wspaniałe kształty, harmonijne a buńczuczne konstrukcye napawały nas dumą prawdziwą; skorośmy jednak weszli w podziemia — prowadzą nas po przepastnych pieczarach; i jakby pod wpływem uroku jakiego zdaje się nam, że fundamenty chwieją się i rozwiewają, że sam ów gmach wyniosły wisi w powietrzu“ [2].

Powyższe słowa nie dosyć w tej materyi uwzględnianego Balmesa i dzisiaj jeszcze wywierają na nas nie mniej silne wrażenie, jak przed dziesięciu laty, kiedyśmy się po raz pierwszy z niemi spotkali. Niech to starczy za dowód, że nie taimy przed sobą piętrzących się trudności, że ich nie lekceważymy, a rzecz całą spokojnie i trzeźwo rozważyć pragniemy.

Słówko jeszcze o stanowisku naszem, zamiarze i celu tych kilku kartek.

Filozof musi zacząć, musi wyjść od czegoś. Najczęściej każą mu — ci zwłaszcza, którzy sami najprawdopodobniej inaczej zaczęli — zaczynać od wątpienia, od skepsis. Czyżby w istocie tak być powinno?

Są różne rodzaje sceptycyzmu [3]. Jest jeden, co pojawia się

---

[1] Ks. M. Morawski, „Filozofia i jej zadanie“.

[2] J. Balmes, *Fundamente der Philosophie.* Uebers. von Lorinser, I, p. 7.

[3] Historyczny przegląd i krytyka filozoficzna sceptycyzmu samego, tak rzeczywistego jak metodycznego, mogłaby wiele światła rzucić na nasz przedmiot. Ponieważ jednak i szaty, w jakie sceptycyzm zwykł się ubierać, są w różnych epokach aż nadto rozmaite, i sprzeczności, jakie się w nim w istocie mieszczą, a na które trzebaby zwrócić uwagę, są nieprzebrane— więc kwestya ta zajęłaby nam wiele czasu i miejsca, a w wyniku ostatecznym pokazałaby nam tylko, od czego na prawdę i na seryo badania filozo-

sporadycznie w filozofii lub raczej poza nią, co na seryo powątpiewa, a przynajmniej twierdzi, że istotnie wątpi o prawdzie, o poznaniu, o rozumie samym — jest to choroba, nieraz zaraźliwa, zawsze w najwyższym stopniu groźna. Tego rodzaju sceptycyzm naprawdę nie do filozofii, lecz do psychiatryi należy.

Jest sceptycyzm drugi, w naszych czasach ogromnie pospolity, bardziej od poprzedniego epidemiczny, który traktuje wątpienie mniej seryo, mniej zasadniczo od poprzedniego; lubuje się w sprzecznościach, w paradoksalności, w paskalizmie, że się tak wyrazimy, na każdym kroku, a wyszczególnia się jakiemś *odi profanum volgus* — jest to pewnego rodzaju sybarytyzm i zmysłowość umysłowa, dyletantyzm raczej, i igraszka na tle subtelności i głębin filozoficznych, niż praca ściśle filozoficzna. Zabawa to niezawsze bezpieczna, bo zawsze przygotowuje substrat odpowiedni, często nawet powoduje chorobę pierwszego sceptycyzmu [1]. I ten sceptycyzm nie licuje z pogodnem i poważnem czołem filozofa, przynajmniej wtedy, kiedy mu chodzi o podstawowy punkt wyjścia w badaniu własnem.

Jest trzeci sceptycyzm, który z poprzedniemi naprawdę nic wspólnego niema, który wobec nich na miano nawet sceptycyzmu nie zasługuje, a polega na stawianiu sobie ciągłych pytań, na przechodzeniu od poznania zwyczajnego do poznania refleksyjnego, filozoficznego. Na takim sceptycyzmie polega naprawdę metoda filozoficzna; on jest dźwignią rozwoju i postępu na wszystkich polach wiedzy ludzkiej. Takim sceptykiem każdy filozof był, jest i będzie. Uzasadnia go już myśliciel ze Stagiry [2], posługują się nim ciągle wszyscy scholastycy z doktorem anielskim na czele [3], Descartes nie tylko, że go nie wpro-

---

ficznego rozpoczynać nie można. A że nam w pierwszym rzędzie idzie o to, od czego filozof zacząć i na czem od razu stanąć powinien, dlatego kwestyę sceptycyzmu wogóle pomijamy z umysłu, a tylko mimochodem tu i ówdzie o nią potrącimy.

[1] Por. np. S. Philipp, *Vier skeptische Thesen.* Leipzig 1898.

[2] *Met.* l. 2, c. 1.

[3] Cfr. *Suma Theol.* i *Summa c. Gent.* w każdej kwestyi.

wadził, owszem wbrew swojej woli zawiódł go na tory mniej dobre [1].

Od czego mam zacząć, na czem mam się oprzeć? Od tego lub podobnego pytania zatem może filozof rozpocząć swoją drogę. Atoli pytanie to samo nie jest jeszcze i nie może być właściwym punktem wyjścia. *Ex nihilo nihil* stosuje się tu bardziej może, niż do jakiejkolwiek innej materyi. I tak pojmując rzecz, nie możemy się zgodzić na powiedzenie A. Skórskiego: „W pierwszych zaczątkach i w pierwotnej genezie filozoficznego badania, nie może być jego punktem wyjścia żaden pewnik, żadna zasada, żadne niewątpliwe poznanie lub niechwiejne pojęcie“ [2]. Owszem filozof musi od razu odpowiedzieć sobie na owo pytanie: „muszę zacząć od czegoś stałego, niewątpliwie pewnego, coby mi starczyło za silniejszy od granitów punkt wyjścia i oparcia“, musi się oglądnąć za tego rodzaju niespożytą ostoją. Inaczej wpadnie się w przepaść skepsis rzeczywistej i powszechnej i dojdzie się do tego, że wbrew naturze, przeciwko rozumowi zadawać się będzie gwałt sobie i będzie się usiłowało wątpić o rzeczach najoczywistszych, a następnie przez niedorzeczne niekonsekwencye lub niedorzeczniejsze jeszcze konsekwencye wystąpi się z zasadami, które samą prawdę niszczą, wszelkiej pewności przeczą, niweczą sam rozum. Dojdzie do tego, że z Hartmannem [3] i realizmem transcedentalnym zrezygnujemy z wszelkiej pewności niezachwianej, a zadowalać się będziemy na wszystkich bez wyjątku polach naszego poznania samemi hipotezami i prawdopodobieństwami; że z Tainem [4] uważać będziemy poznanie nasze za wiązki iluzyj i halucynacyj, że z Bradleyem [5] będziemy widzieli w każdem zjawisku sprzeczność wewnętrzną, że z Remaclem [6] określimy poznanie jako tworze-

---

[1] Cfr. D. Mercier, *Pourquoi le doute méthodique ne peut être universel. Revue Néo-Scolastique.* Mai 1897.

[2] „Filozofia jako nauka akademicka“. Lwów 1893, str. 121.

[3] *Das Grundproblem der Erkenntnisstheorie.* Leipzig, Haacke, str. 125.

[4] *De l'intelligence.* 8 éd. II, p. 6, 10, 25, 65 i t. d.

[5] *Appearance and reality.* 2 ed. 1897. Book I. *Appearance.*

[6] *Essai sur le caractère général de la connaissance. Revue de mét. et de mor.* 1893. — „Ainsi la connaissance peut se definir: la création de l'il-

nie iluzyi, a poznanie przedmiotowe jako iluzyę iluzyi, że z Wahlem[1] zwątpimy o filozofii wogóle i życzyć jej będziemy, by jak najprędzej znikła z powierzchni ziemi i mózgownic ludzkich. *Nihil est tam absurdum, quod non dictum fuerit ab aliquo philosopho,* wysuwa się samo uporczywie z pod pióra.

A jednak mimo wszystkie sceptycyzmy, krytycyzmy, agnostycyzmy i t. p. w modzie dzisiaj będące „izmy“ człowiek pozostanie i nadal, jak dotąd, według dosadnego wyrażenia Schopenhauera, *animal metaphysicum*, a jak dla Pyrrhona było, tak dla wszystkich pyrrhonistów będzie *difficile humanam naturam prorsus exuere.*

Jak długo rodzaj ludzki trzymać się będzie skorupy ziemskiej, tak długo kwiatem myśli ludzkiej będzie filozofia. I filozof musi od razu na pierwsze postawione pytanie dać stanowczą odpowiedź.

Określić i sformułować nieco dokładniej tę odpowiedź, oto nasze zadanie.

A więc nie chodzi nam bynajmniej o punkt wyjścia poznania ludzkiego wogóle, ale o punkt wyjścia filozofowania samego, badań filozoficznych w obecnej dobie.

Nie chodzi nam o wprowadzenie i wstęp do filozofii, jaki wzorowo i wyczerpująco opracowany podał nam Struve — idzie nam o rdzeń podstawowy filozofii samej.

Nie chodzi nam o punkt wyjścia w znaczeniu ontologistów luk transcendentalnych filozofów niemieckich, którzy marzyli i szukali pojęcia lub prawdy fundamentalnej takiej, coby zawierała w sobie jakby w zawiązku, potencyonalnie i wirtualnie całokształt filozoficzny z umiejętnościami wszelkiemi, podobnie jak żołądź zawiera *in potentia* dąb rozłożysty, lub jajo kury kurę samą; nie chodzi nam nawet o prawdy podstawowe,

---

lusion“ (p. 264). — „La connaissance dite objective est donc, si l'on peut dire, une illusion au second degré, l'illusion d'une illusion“ (p. 276).

[1] *Das Ganze der Philosophie und ihr Ende.* 2. Ausg. 1896. — Nie bardzo smaczne i nie bardzo zresztą oryginalne dzieło autor kończy następującym wykrzyknikiem: „Möge die Zeit anbrechen, in der man sagen wird, einst war Philosophie“ (p. 539).

któreby musiały być pierwszemi przesłankami logicznemi wszelkich dalszych rozprowadzeń i wywodów filozoficznych — ale idzie nam o prawdy fundamentalne, zasadnicze, pierwotne w tem znaczeniu i tego rodzaju, iżby one bez dowodu a z pełną refleksyą przez filozofa przyjęte i za niezbite uznane, posłużyły mu rzeczywiście za fundament i podwaliny niewzruszone, na których śmiało mógłby budować gmach filozoficzny, choćby o najbardziej kolosalnych rozmiarach.

Nie chodzi nam również o polemiczne zwalczenie sceptycyzmu, agnostycyzmu, negatywnego dogmatyzmu, ni nowożytnych idealizmów, krytycyzmów i fenomenalizmów sceptycznych, jak też nie chodzi nam wcale o poparcie jakiejkolwiek sekty filozoficznej z grupy dogmatystów — idzie nam tylko o to, by niezależnie od jakichkolwiek szkół filozoficznych, owszem, by naprawdę zgodnie z wszelakiemi, nawet najskrajniejszemi poglądami filozoficznemi oznaczyć ile możności dokładnie owo *minimum* metafizyczne, wolne od wszelkich naleciałości, przesądów odziedziczonych, nabytych i przyswojonych; *minimum*, któreby z jednej strony było zupełnie pewne, niezbite, niewątpliwe, a z drugiej całkowicie wystarczające, by na niem stanąć i silnie oprzeć się można, by na niem mury świątyni mądrości choćby nawet ponad obłoki i gwiazdy ciągnąć się dały.

Pragnęlibyśmy, by odpowiedź nasza taka w istocie była. Czy będzie, czytelnika rzecz wydać sąd o tem. Wprzód jednak zanim przystąpimy do samej odpowiedzi, ażeby stanowisko nasze nikomu dziwnem się nie wydało i przez nikogo opacznie zrozumianem być nie mogło, rzucimy pobieżnie okiem na kwestyę naszą tak, jak ona się ciągnie i rozwija w łańcuchu dziejowym filozoficznej myśli ludzkiej.

II.

Historia testis veritatis.
Cicero.

Na ścianie najsympatyczniejszej, najliczniej odwiedzanej świątyni Apollina w Delfach, widniały między innemi przysło-

wiami napisane słowa: γνῶθι σαυτόν — znaj siebie samego [1]. Każdy przychodzień je czytał, do każdego one uroczyście mówiły, w każdego sercu na krótszy lub dłuższy czas silne zostawiały wrażenie. Między tłumami pątników zwyczajnych można było nieraz napotkać poważne czoła myślicieli Hellady, dla których słowa one były przedewszystkiem ważne, bo wskazywały im i najbardziej zasadniczy i najwłaściwszy punkt wyjścia w dumaniach refleksyjnych, a jednocześnie punkt środkowy i oś główną poglądów i systemów filozoficznych. Jakkolwiek od dawna już i śladu niema po tych słowach wiekopomnych, pozostaną one na zawsze niezatarte na trwalszych od marmuru kartach tak historyi ludzkości, jak rozwoju myślenia ludzkiego.

Na dwu myślicieli starożytnej Grecyi oddziałało w szczególniejszy sposób delfickie zdanie. Jednemu i drugiemu bardzo się podobało, jeden i drugi często się nad niem zastanawiał — każdy je jednak po swojemu tłumaczył. „Ciemny" filozof z Efezu, Heraklit, rozkoszował się niem wtenczas przedewszystkiem, kiedy nie potrzebował zajmować się światem, otoczeniem, innymi ludźmi, a pogrążał się tylko w swej świadomości i jaźni; najlepiej je pojmował i rozumiał, kiedy mógł sobie powiedzieć, że siebie tylko szukał i znalazł [2]. Jakżeż zupełnie inaczej pojmował i rozumiał owo zdanie myśliciel ateński, co każdego po drodze zaczepia, każdego pytaniami pokrzyżowanemi zasypuje, zawsze pogodny, zawsze, choć ironicznie uśmiechnięty Sokrates. I on zaczyna od poznania siebie, od uświadomionej refleksyi nad sobą, od poznania niewiadomości i ignorancyi własnej — ale od ludzi nie stroni; on szuka ludzi, ciśnie się do nich i zmusza do owej refleksyi, co prowadzi do poznania całego wnętrza swego, swojej natury i celu swego, a nawet, nieraz przedewszystkiem, głupoty własnej. On to pierwszy, że słów rzymskiego eklektyka użyjemy [3], z obłoków filozofię na ziemię sprowadził, w gwarnych ją miastach umieścił, nawet przy ogniskach domowych posadził,

---

[1] Xenofont, *Mem.* IV, 2, 24.

[2] Ks. S. Pawlicki, „*Historya filozofii greckiej*", t. I, str. 124.

[3] Cicero, *Tusc. disp.* V, 4.

o tem, jak żyć, jak się zachować, co dobre, co złe, rozprawiać kazał.

O naszą kwestyę mimochodem tylko zahaczyli ci filozofowie; wspomnieć jednak o nich należało, bo to pierwsi miłośnicy mądrości, co w serce i w jaźń samego myśliciela filozofię wprowadzają i stamtąd ją dopiero wywodzą.

Najgłębszy niewątpliwie i najwdzięczniejszy uczeń Sokratesa, myśliciel-poeta, pogrążył się zanadto w swoich niezmiennych, odwiecznych ideach, które od niego platońskiemi zowiemy, by miał czas i sposobność na poświęcenie naszemu przedmiotowi baczniejszej uwagi. Za to najgenialniejszy i najwszechstronniejszy wnuk duchowy brzydkiego filozofa z Aten, Arystoteles, jakkolwiek kwestye do naszych podobne uważa częściowo za błahe i banalne [1], zajmuje się przecież starannie ogólnemi prawdami, przez się zrozumiałemi, bezpośrednio pewnemi [2], zaznacza wyraźnie, że dowieść prawd takich nie można, ani dowodzić potrzeba [3], szuka wreszcie między temi zasadami ogólnemi jednej, najoczywistszej, najpewniejszej, najmniej zawarunkowanej i suponującej, i godność tę zasady zasad wszelkich przyznaje zasadzie niesprzeczności [4].

Po śmierci najsystematyczniejszego filozofa upadającej Hellady potrącali jeszcze jednostronnie o nasze zagadnienie liczni myśliciele szkołę stoików stanowiący, u których podstawowem pytaniem w teoryi poznania było, w czem tkwi i co jest kryteryum prawdy logicznej. Zresztą nastały wkrótce dla filozofii czasy nie bardzo pomyślne, w których najlepszemi pewnikami i najbardziej przekonywującemi prawdami były: *panis et circenses.*

Chrystyanizm dopiero, wyszedłszy w pełni dojrzałości z katakomb i opanowawszy duchowo światowładną Romę, mógł postawić filozofię ponownie na nogi.

Myśliciel o orlim polocie, o szerokiem i gorącem sercu, o głębokim i przenikliwym umyśle, pierwszy prawdziwie nie-

---

[1] *Met.* IV, 6.
[2] *Anal. post.* I, 3.
[3] *Anal. post.* I, 9. *Met.* IV, 4.
[4] *Met.* IV, 3.

pospolity i oryginalny filozof chrystyanizmu, był też naprawdę filozofem, co kwestyę punktu wyjścia w zaciekaniach filozoficznych zrozumiał i postawił, jak nikt jeszcze przed nim, jak nikt po nim przez bardzo długie stulecia, jak rzadko kto w czasach najnowszych. Święty Augustyn bowiem to istotnie naszych czasów filozof; on czuje, myśli, mówi po naszemu. Nie przesadza bynajmniej zaszczytnie znany, amerykański psycholog i myśliciel, kiedy o nim tak się wyraża: „Jako psycholog i filozof wykłada zasadę o bezpośredniej i absolutnej pewności samowiedzy własnej tak, iż wyprzedza w tej mierze Descartesa, owszem przewyższa go. W traktowaniu kwestyj epistemologicznych Augustyn jest nowożytnym człowiekiem, albo raczej on jest myślicielem godnym, by mu wszystkie czasy cześć i hołd składały“ [1]. Posługując się z refleksyą i świadomością wątpieniem filozoficznem, św. Augustyn stwierdza przedewszystkiem, że samo powątpiewanie, błądzenie i mylenie się, suponuje koniecznie istnienie własne, że tej absolutnej, najsilniejszemi atakami sceptycyzmu niezachwianej pewności ostatnią, najsilniejszą pobudką jest przejrzysta, niczem niezamącona oczywistość, równająca się oczywistości zasady niesprzeczności. Zdaje się nam, że nie wiele więcej nadto potrzeba, by określić dostatecznie właściwy punkt wyjścia badań filozoficznych. Biskup z Hipponu przy swojej jasności sądu i górnym polocie myśli nie posiadał owej systematyczności szkolnej, jaką się odznaczał w wysokim stopniu mistrz Aleksandra Wielkiego — nie dziw, iż nie przedstawił swych zapatrywań tak, jakby to był uczynił Arystoteles swoim lapidarnym, podręcznikowym stylem.

Średniowiecze z okrzyczaną swą scholastyką zrobiło niezmiernie wiele dla filozofii, zwłaszcza dla psychologii poznania. Że za mistrza i wodza, za „Filozofa“, za najwyższą powagę swoją myśliciele scholastyczni obrali sobie największego geniusza starej Hellady, do dzisiejszego dnia najbardziej szkolnego autora, tego im na seryo nikt za złe brać nie może. Że wszystkie myśli i zapatrywania Arystotelesa jak najwszechstronniej

[1] G. T. Ladd, *Philosophy of Knowledge.* New York. Scribner 1897, p. 47.

w owych czasach obrobiono, z prawdziwym pietyzmem przedyskutowano, że na wielu punktach filozofię Stagiryty udoskonalono i wciągnięto ją aż w nadświatowe krainy — tego nikt pono, kto zna scholastykę nie z jednostronnych podręczników historyi filozofii, lecz z jej prac własnych, nie zaprzeczy. Wystarczy zaznajomić się nieco z pierwszorzędnymi przedstawicielami szkoły, lub z samym tylko prawdziwym jej Aniołem, najwyższym, niedoścignionym geniuszem chrześcijaństwa, Tomaszem z Akwinu. Prawda, że co się tyczy naszej kwestyi, znajdujemy u mistrzów scholastycznych tylko dobitniej sformułowane, dokładniej przeprowadzone i uzasadnione poglądy perypatetyków — dziwić się jednak temu nie można, a pamiętać należy, że przez długi szereg wieków zajmowała żywo, nieraz całkowicie pochłaniała filozofów średniowiecza kwestya, od naszej może nie mniej doniosła i nie mniej w filozofii fundamentalna, kwestya pojęć ogólnych czyli t. zw. uniwersaliów, zwłaszcza gdy w łonie samej scholastyki wytworzyły się dwa główne, z hufcami najrozmaitszych odcieni obozy: nominalistów i realistów. I nie na wiele się przyda wygadywanie na jałowość i niepłodność owych długich turniejów umysłowych — skoro ta sama walka z nie mniej gorącym zapałem, może tylko zmodyfikowanym nieco sposobem, toczy się naprawdę i po Descartesie [1], i po Kancie, toczy się i w ciągu naszego stulecia aż do Stuarta Milla, Ribota [2], Gomperza [3].

Bardzo praktyczny i bardzo wielki pan, Bacon z Verulamu, co jak odźwierny stoi u wrót filozofii nowożytnej, nie zajmował się naszym zanadto teoretycznym, a za mało praktycznym przedmiotem. Natomiast ojciec nowożytnej filozofii, René Descartes, we wszystkich niemal swych pracach filozoficznych zajmuje się rzeczami, z naszą kwestyą w bezpośrednim zostającemi związku. Jego sposób traktowania kwestyj epistemologicznych przypomina niezmiernie filozofa-teologa z Tegasty,

[1] Locke; assocyacyonizm, pozytywizm angielski.

[2] *L'évolution des idées générales.* Paris, Alcan, 1897.

[3] H. Gomperz, *Zur Psychologie der logischen Grundthatsachen.* Leipzig u. Wien. Deuticke.

św. Augustyna, Descartesa starożytności chrześcijańskiej. I tu i tam wątpienie filozoficzne występuje z pełną siłą refleksyi, atoli u francuskiego filozofa występuje w tak wygórowany i przesadzony sposób, iż chwilami się zdaje, że sięga za daleko i przestaje już być tem, czem być powinno [1]. Na bezbrzeżnem morzu wątpień i niepewności zostawia Kartezyusz jedną tylko malutką wysepkę, ostatnią deskę ratunku: *cogito, ergo sum* — więcej nic. Spostrzega się wkrótce, że ona sama nie wystarcza, i dodaje zaraz drugą, zasadę oczywistości: *illud omne est verum, quod valde clare et distincte percipio,* prawdziwość jej jednak opiera ostatecznie na prawdomówności samego Pana Boga.

Można niewątpliwie bronić myśliciela francuskiego przed zarzutami na każdym punkcie: i że nie wszedł na grzęzawiska skepsis rzeczywistej — przynajmniej nie chciał tego z pewnością — i że w słynnem *cogito, ergo sum,* nie myślał o żadnym wniosku, jeno o zaznaczeniu w oczy bijącej oczywistości tego faktu — i to zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości — i że w swem kryteryum nie miał na myśli pojęć jako takich, tylko oczywistość bezpośrednią faktów i sądów, że nawet w umotywowaniu tego kryteryum nie wpadł w błędne kółko [2] — jednak już ta sama potrzeba obrony dostatecznie dowodzi, że Descartes co najmniej nie dość dokładnie i ściśle rzecz całą przeprowadził. I pod tym względem Descartes XVII. stulecia nie może iść w porównanie z Descartesem IV. i V. wieku. Mimo to wszystko myśliciel francuski w historycznym rozwoju myśli filozoficznej zajmuje w istocie wcale poczesne miejsce i bardzo ważne stanowisko, chociażby dlatego. że wszyscy filozofowie pokartezyańscy znają mniej lub więcej i uwzględniają jego dzieła i zapatrywania, podczas gdy myśliciela afrykańskiego, św. Augustyna, znają najczęściej ledwie z imienia.

Kartezyanizm do ostatniej nitki odchrześcijaniony, w karby i ryzy ateistycznego panteizmu przemocą wtłoczony, z geometryczną rzekomo ścisłością i żelazną konsekwencyą przeprowa-

---

[1] D. Mercier, l. c.

[2] Fonsegrive, *Les prétendues contradictions de Descartes. Revue phil.* t. XV

dzony — to filozofia Barucha Spinozy. Sam tylko punkt wyjścia Descartesa nie nadawał się do tego szablonu; cóż dziwnego, że go Spinoza z drogi usunął.

Oryginalny za to autor monadologii, Leibniz, zajmuje się znowu podstawowemi prawdami, więcej atoli w duchu Arystotelesa niż Augustyna. Wielkiej doniosłości dla nas jest to, że Leibniz pierwszy sprowadza wszystkie prawdy nie do jednej ostatecznie zasady, ale do dwu równorzędnych, i że obok zasady niesprzeczności stawia wyraźnie po raz pierwszy drugą, nie mniej podstawową zasadę racyi dostatecznej.

Uczeń i przyjaciel Leibniza, Chrystyan Wolff, mniej oryginalny, więcej systematyczny myśliciel, zasłużony nie mało na polu dydaktyki filozoficznej przez to, że racyonalizm Leibniza w zwięzłą podręcznikową całość zebrał i ułożył, przyjmuje obie podstawowe zasady mistrza, nie wiesza jednak, jak on, całej metafizyki „na dwu tych zawiasach“ (Kant), jeno na jednej; uważa bowiem samą tylko zasadę niesprzeczności za najwyższą i do niej stara się sprowadzić zasadę racyi, podobnie jak inne pryncypia. Wielu neoscholastyków bieżącego stulecia przejęło po Wolffie nietylko główny podział filozofii i wiele szczegółowych dowodzeń, lecz także owo strasznie naciągane, a wcale nieudane sprowadzenie zasady Leibniza do zasady Arystotelesa.

Na wzmiankę zasługuje również angielski sceptyk i agnostyk, „geograf rozumu ludzkiego“ [1], Dawid Hume, którego głównem zadaniem i postanowieniem było wykarczować doszczętnie pojęcie i zasadę przyczynowości z całego terenu umysłowości ludzkiej. Na złość swojej teoryi przyczynił się on faktycznie niemało do tego, że kwestya przyczynowości i inne pokrewne zaczęły się coraz więcej okrywać jakąś oponą pomroki, spowodował też następnie w części przynajmniej wystąpienie królewieckiego filozofa z „Krytyką czystego rozumu“.

Przeciwko Hume'owi energicznie występowała szkoła szkocka z glasgowskim profesorem Tomaszem Reidem na czele, która za punkt wyjścia badań filozoficznych przyjmowała zasady zdro-

---

[1] Kant, *Kritik d. r. V.*, p. 788. *Adickes* p. 585.

wego rozsądku. Szkoda, że tędzy myśliciele szkoccy pojmowali te zasady jako częściowo wrodzone i ślepo instynktowe.

Ze szkockiej też rodziny Cantów pochodził jeden z najgłębszych i niezaprzeczenie najbardziej wpływowych filozofów niemieckich, twórca krytycyzmu, rodzic wszystkich niemal sekt filozoficznych naszego stulecia, Immanuel Kant. Najważniejszem i najbardziej zasadniczem dziełem myśliciela z Królewca jest „Krytyka czystego rozumu", której pierwsze wydanie wyszło w Rydze 1784 r., drugie nieco zmienione 1787 r. Poddaje w niej Kant rozbiorowi krytycznemu zdolność, treść, warunki i granice poznania apodyktycznego. Prawda, że punkt wyjścia i zasadnicze pytanie krytyki Kanta: „w jaki sposób możliwe są sądy syntetyczne *a priori?*" jest zanadto wielką niespodzianką, do tego jeśli nie z gruntu fałszywą, to co najmniej zgoła nieuzasadnioną; prawda, że kantyzmu z samym kantyzmem pogodzić nie można, że od licznych sprzeczności wewnętrznych, błędnych kółek i innych błędów logicznych uwolnić się on w całości nigdy nie da; prawda, że owe formy apryoryczne, niewytłumaczone, niewyjaśnione szkatułki i kasetoniki w psychicznej strukturze naszej, każdego, coby je wziął na seryo, musiałyby zaprowadzić na tonie całkowitej, rozpaczliwej skepsis lub przynajmniej na fale idealizmu najskrajniejszego — jednak i to prawda, że nikt przed Kantem nie pojął krytycyzmu tak ściśle i tak wszechstronnie; że chociaż punkt wyjścia filozofa północnego jest bez porównania gorszy od punktu wyjścia myślicieli południowych: Augustyna i Descartesa, to przecież krytycyzm kantowski jest radykalniejszy i uniwersalniejszy, tak, że i po Kancie nie mamy jeszcze książki filozoficznej, coby przeprowadziła ścisłą analizę krytyczną umysłowości naszej wyczerpująco pod każdym względem, a nie była powtórzeniem Kanta i jego błędów.

Tem się tłumaczy owo olbrzymie znaczenie Kanta w rozwoju najnowszej filozofii. Wszyscy niemal od Kanta zaczynają, na Kancie budują, na Kancie kończą. Możnaby do pewnego stopnia z małą przesadą o filozofii naszego stulecia powiedzieć: Kant w kółko się obraca. „Kto chce być filozofem w prawdziwem słowa znaczeniu, słusznie uważa ks. Pawlicki, koniecznie

z Kantem i to na seryo policzyć się musi, bo cała tegoczesna filozofia jest jakby komentarzem do niego i bez niego staje się niezrozumiałą“ [1].

Autor trzech Krytyk lubiał rozmyślać o przewrocie, jakiego dokonał Kopernik w astronomii, i marzył o tem, a w „Krytyce czystego“ rozumu zamierzał to samo uskutecznić na polu filozofii [2]. Dotychczas marzenie Kanta w części przynajmniej urzeczywistniało się. Nie sądzimy jednak, by Kanta na prawdę za Kopernika metafizyki uważać można. Zdaje się nam, że już nadchodzi doba, w której do samej Krytyki Kanta zastosują jej własną metodę bezwzględnej, bezlitosnej wiwisekcyi — i że wtenczas pozostaną z niej strzępy pod względem filozoficznym, ważny za to na zawsze dokument historyczny [3].

Jużeśmy na progu naszego, dogasającego stulecia. Prądy filozoficzne i liczniejsze tu i energiczniejsze niż przedtem, i raźniej płynące i przemijające prędzej. Wspominać o wszystkich ani można, ani potrzeba. Pod wpływem Kanta teorya poznania nabiera wszędzie i u wszystkich niemałego szacunku i poważania, często nawet zawraca ona głowy swoim zapaleńcom i miłośnikom do tego stopnia, iż poza nią filozofii nie widzą, czy widzieć nie chcą. Mimo to samym zasadniczym punktem wyjścia filozoficznego dociekania mało się na prawdę myśliciele tegocześni zajmują. Pokantowscy filozofowie niemieccy szukają tego, czego znaleźć nie można, pojęcia jednego lub prawdy, z którejby jak z kłębka dało się rozwinąć i wysnuć wszystko. Podług Fichtego byłaby tem zasada tożsamości, A = A, podług Schellinga jaźń, podług głośnego Heraklita XIX. stulecia, Hegla, czysty byt. Czegoś podobnego chcą zwolennicy ontologizmu, którzy

[1] „Kilka uwag o podstawie i granicach filozofii“. Kraków 1878, str. 31. — Por. również zdanie Maxa Müllera o „Krytyce“ w przedmowie do tłumaczenia angielskiego z r. 1881: „można to dzieło krytykować, ignorować go nie można“.

[2] *Kritik d. r. V. Vorrede zur zweiten Auflage* p. XVI. *Adickes* p. 19.

[3] „Die ganze Aufgabe und Arbeit der Kantschen Vernunftkritik hat daher für uns gar keinen Sinn mehr“. E. Hartmann, *Erkenntnisstheorie und Metaphysik*. Leipzig 1894, p. 93.

w pierwszej połowie bieżącego wieku w wielu krajach, jak Francyi (Brancherau, Hugonin, Fabre), Belgii (Ubaghs), Szwajcaryi (Rotheflue), Włoszech (Giovanni, Rosmini, Gioberti, Mamiani) bardzo są w modzie. Prócz tego najrozmaitsze prądy idealistyczne przesunęły kwestyę filozoficznego punktu wyjścia na inne, dalsze miejsce; zaczęto przedewszystkiem stawiać pytanie, czy nasze wrażenia, wyobrażenia, całe doświadczenie psychiczne mają jakie przedmiotowe znaczenie, czy istnieje świat przedmiotowy, zewnętrzny — za czem poszło, że tę właśnie kwestyę zaczęto uważać za pierwszą w najściślejszem słowa znaczeniu, za najważniejszą, za najbardziej podstawową [1].

W rozlicznych zresztą logikach, teoryach poznania, nawet psychologiach, myśliciele szkół najrozmaitszych, chociaż wprost sobie przeciwnych, podają zazwyczaj dwie podstawowe zasady: jedną Stagiryty, autora monadologii drugą. W ostatnim czasie głośny profesor filozofii na uniwersytecie Yale, Ladd, obrobił wszystkie kwestye podstawowe bardzo gruntownie, bardzo spokojnie i trzeźwo bardzo w swojej filozofii poznania [2].

Wspomnieć jeszcze wypada pokrótce o jednym prądzie, który w ostatnich lat dziesiątkach, zwłaszcza od pamiętnej encykliki Leona XIII. *Aeterni Patris,* zaczyna się rozlewać coraz szerszem korytem i zjednywać sobie coraz liczniejsze grona zwolenników. Mamy na myśli neoscholastycyzm wszelkich zresztą odcieni. — Kanta, rzecz oczywista, neoscholastycy zbijają, znać jednak i na nich wpływ jego. Wprowadzają bowiem w swoje logiki bardzo ważną część, którą nawet krytyką zowią, a przeznaczają jej nie inne ostatecznie zadanie jak to, z którem Kant swoją Krytykę w świat wysłał. Zdaje się nam, iż w tej części filozofii neo-

[1] „Die erste Frage der Erkenntnisstheorie muss also dahin gehen: Was ist das vom Bewusstsein als sein Inhalt Vorgefundene, oder was ist die Erfahrung?... Wir haben also zunächst festzustellen, was der vom philosophirenden Menschen beim Beginn der philosophischen Reflexion vorgefundene Bewusstseinsinhalt sei". E. Hartmann, *Das Grundproblem der Erkenntnisstheorie.* Leipzig. Haacke, p. 1.

[2] *Philosophy of Knowledge.* New York 1897.

scholastycznej kwestya nasza została posunięta o ważny krok naprzód.

Jakób Balmes, jeden z najpierwszych a jednocześnie najwybitniejszych koryfeuszów odrodzenia starej filozofii w XIX. stuleciu, zajął się jak najgruntowniej naszą kwestyą i jej cały pierwszy tom swojej Filozofii fundamentalnej [1] poświęcił. Za prawdy w naszem znaczeniu podstawowe uznaje on najpierw zasadę Augustyna i Kartezyusza, samowiedzę, dalej zasadę niesprzeczności, wreszcie zasadę oczywistości, którą bierze od kartezyanistów, ale formułuje bez porównania lepiej, ściślej i dokładniej od nich wszystkich. Na tym silnym niewątpliwie trójnogu umieszcza i buduje Balmes, podobnie jak u nas za nim ks. M. Morawski [2], cały gmach filozofii. Nawiasowo dodać tu ze względów sprawiedliwości wypada, że wspomniany tom Filozofii fundamentalnej myśliciela hiszpańskiego jest w naszej materyi dziełkiem iście klasycznem, że Medytacye Descartesa i Krytyka Kanta stoją pod tym względem bez porównania niżej, i że dlatego Balmes niewątpliwie przed nimi godzien jest polecenia tym zwłaszcza, co dopiero w te kwestye wejść i po raz pierwszy w oczy im zaglądnąć zamierzają.

Salvator Tongiorgi, profesor filozofii w jezuickiem kolegium rzymskiem, na początku drugiej połowy bieżącego stulecia, zmodyfikował nieco pogląd Balmesa i postawił zwięzłą tezę o trzech prawdach zasadniczych, które każdy filozof na początku pracy filozoficznej przyjąć winien. Są to: pierwszy fakt, pierwsza zasada i pierwszy warunek, czyli: istnienie własne, zasada niesprzeczności i zdolność naszego umysłu do poznania prawdy [3]. W tej formie teorya trzech prawd pierwotnych przyjęła się u bardzo wielu neoscholastyków, zwłaszcza że książka Tongior-

---

[1] Mamy pod ręką tylko tłumaczenie niemieckie tego dzieła przez Lorinsera: *Fundamente der Philosophie.* Regensburg. Manz 1855.

[2] „Filozofia i jej zadanie", Wyd. 2. Lwów 1881. Rozdział XIII.

[3] *Institutiones philosophicae.* Ed. 2. Bruxellis 1862. (Pierwsze wydanie 1861, w Rzymie). Vol. I. *Logica* p. 270. Prop. V:

„Cum multa sint, quae demonstrari nec possunt, nec debent, primi-

giego stała się od razu w owym czasie bardzo ulubionym podręcznikiem w katolickich instytutach filozoficznych, i że wszystkie późniejsze podręczniki w wielkiej części na niej się wzorowały [1].

Mniej więcej od roku 80-go pojawia się u niektórych neoscholastyków pewne, z wielu względów usprawiedliwione nawet zniechęcenie do filozofii spółczesnej, — która, zdawałoby się, chce koniecznie być szukaniem prawdy takiem, iżby jej nie znaleźć, — w parze zaś z tem uwydatnia się radykalny powrót do zasad perypatetycznych Arystotelesa, św. Tomasza z Akwinu lub co najwyżej i to w wyjątkowych tylko razach, Suareza, księcia scholastyki późniejszej.

W pracach tych myślicieli [2] nie znajdujemy już zazwyczaj

---

tivae tamen veritates, quas ante omnem philosophicam inquisitionem fundamenti loco supponere necesse est, sunt tantummodo tres; videlicet

1. Factum primum, quod est existentia propria.

2. Principium primum, quod est contradictionis principium: idem non potest simul esse et non esse.

3. Conditio prima, nempe rationis aptitudo ad veritatem assequendam".

[1] Prawie dosłownie tę samą tezę, co Tongiorgi, stawia jeszcze w ostatnich latach T. Pesch w swojej trójtomowej Logice, należącej do sławnej kolekcyi: *Philosophia Lacensis. Institutiones Logicales.* Pars II, vol. I. Friburgi-Herder 1839, n. 590.

Tak samo najnowszy i dotychczas niewątpliwie najlepszy podręcznik szkolny filozofii neoscholastycznej, wydany przez niemieckich Jezuitów u Herdera p. t. *Cursus philosophicus*, a w którym logikę opracował Karol Frick (I, wyd. w r. 1893), zatrzymuje w całości tezę Tongiorgiego (n. 254 sq.). — Z początkiem bieżącego roku wyszedł u Herdera pierwszy tom zwięzłego ale jasnego podręcznika filozofii neoscholastycznej w języku niemieckim: *Lehrbuch der Philosophie auf aristotelisch-scholastischer Grundlage* von Alfons Lehmen S. I., w którym (s. 154 i n.) teorya Tongiorgiego o trzech prawdach zasadniczych występuje również w pierwotnej, niezmienionej postaci.

[2] Por. np. podręczniki filozoficzne profesorów uniwersytetu gregoryańskiego z lat ostatnich:

S. Schiffini, *Principia philosophica.* Augustae Taurinorum. 1886.

M. de Maria, *Philosophia peripatetico-scholastica.* Vol. I. Romae 1892.

P. de Mandato. *Institutiones philosophicae.* Prati, Giachetti 1895.

V. Remer, *Summa praelectionum philosophiae scholasticae.* Vol. I, Prati 1895.

Tutaj też należą prace neoscholastyków, co do koła ścisłych tomistów należą.

rozprowadzenia i uzasadnienia teoryi Tongiorgiego, a z kwestyami odnoszącemi się do zasadniczego punktu wyjścia filozofii spotykamy się tylko o tyle, o ile niemi zajmowali się starsi perypatetycy. Przyznać atoli potrzeba tym autorom, że po największej części gruntowniej znają, lepiej rozumieją i jaśniej przedstawiają zasady filozofii Stagiryty i Doktora Anielskiego. Mimo to wszyscy ci filozofowie w kwestyi prawd pierwotnych nie występują polemicznie przeciwko zapatrywaniom Tongiorgiego.

W najświeższym dopiero czasie, nowożytnym duchem na wskróś przejęty neoscholastyk, główny redaktor kwartalnika filozoficznego *Revue Néo-Scolastique*, D. Mercier, występuje wprost przeciwko teoryi Tongiorgiego i stara się dowieść, że jest niedostateczna[1]. Zdaje się mianowicie prezesowi Instytutu wyższego filozofii tomistycznej na uniwersytecie lowańskim, że teza Tongiorgiego nie daje właściwie odpowiedzi na postawione pytanie, że nadto, sama w sobie uważana, posiada dwie wady: jedną, iż stawia za mało prawd pierwotnych, druga, iż zalicza do prawd pierwotnych takie, które pierwotnemi nie są i być nie mogą[2]. Zarzuty podniesione przez belgijskiego prałata stara się znowu osłabić francuski Jezuita A. Potvain[3], wykazując, że inaczej trzeba rozumieć stanowisko Tongiorgiego i znaczenie samych prawd pierwotnych, że zatem tezy Tongiorgiego można i nadal bronić w całości. Atoli obrona ta nie przekonywa Merciera. Myśliciel lowański stara się w osobnej replice[4] osłabić wywody Potvaina i wciąga je nawet w skróceniu do swej Kry-

---

[1] *La théorie des trois vérités primitives*, w *Revue Néo-Scolastique*. 1895.

[2] „Nous croyons avoir justifié le double reproche que nous articulé contre cette théorie: elle ne réponde pas au problème qu'elle devrait résoudre; envisagée intrinsèquement, abstraction faite de ses résultats, elle n'est pas défendable, car elle pèche à la fois par défaut et par excès" id. ib. p. 23.

[3] *Les trois vérités primitives et le problème de la certitude.* W *Annales de phil. chrét.* Octobre 1896.

[4] *Discussion de la théorie des trois vérités primitives.* W *Revue Néo-Scol.* 1897. Février.

teryologii [1], przyczem zaznacza [2], że chodzi mu przedewszystkiem o trzecią prawdę Tongiorgiego tj. stwierdzenie zdolności umysłu ludzkiego do poznania prawdy. Sam natomiast pojmuje punkt wyjścia badań filozoficznych w sposób następujący [3].

Nie mamy prawa twierdzić z góry lub sztucznie przypuszczać, że rozum ludzki nie jest zdolny do niewątpliwego poznania prawdy.

Nie mamy również prawa utrzymywać z góry, że rozum ludzki jest zdolny do poznania pewnego prawdy.

Na progu epistemologii, filozof winien się wstrzymać od kategorycznego uznania zdolności lub niezdolności naszych władz poznawczych; pod tym względem powinien nakazać sobie stan pewnej niewiadomości czyli wątpienia negatywnego, aby uniknąć wszystkiego, coby trąciło jakiemś niezadowoleniem lub nierozsądkiem.

Kiedy umysł dalej zastanawia się nad swojemi aktami, rozróżnia w nich bez trudności sądy pośrednie od sądów bezpośrednich. O pierwszych z nich powątpiewa na seryo lub przynajmniej metodycznie, a środek do wyjścia z wątpienia znajduje w dowodzeniu.

Dowodzenie znowu prowadzi z konieczności rzeczy do sądów bezpośrednich. Filozof będzie mógł początkowo zarzucić sieci wątpienia i na te prawdy, przekona się jednak od razu, że rzecz to całkiem niemożliwa. Mamy bowiem w istocie zdania i sądy, których bezpośredniość jest zawsze i ściśle skojarzona z tak jasną i tak koniecznie narzucającą się oczywistością, iż

---

[1] Mercier wydaje w Lowanium *(Institut superieur de philosophie)* i w Paryżu (F. Alcan) bardzo dobry, neoscholastyczny ale w nowożytnym duchu pojęty *Cours de Philosophie.* Do tej pory wyszły.

Vol. I. *Logique.* 2 wyd, 1897.

Vol. II. *Ontologie ou métaphysique générale.* 2 wyd. pod prasą.

Vol. III *Psychologie.* 5 wyd. ma w tych tygodniach wyjść z pod prasy.

Vol. IV. *Critériologie générale.* Zapowiedziana była już przed trzema laty, pojawiła się dopiero z początkiem marca b. r.

[2] *Critériologie générale* n. 52, p. 101.

[3] Ibid. n. 62, p. 118 sq.

od pierwszej chwili, jak stają przed naszym umysłem, zadają kłam podszeptom sceptycyzmu i wprost uniemożliwiają wszelkie wątpienie.

W porządku zatem refleksyi filozof od pierwszej chwili znajduje się świadomie w stanie pewności.

Tak się przedstawia w najgrubszych konturach nasza kwestya na tle rozwojowem filozoficznej myśli ludzkiej. W dalszym ciągu będzie naszem staraniem zebrać to wszystko, co jest na prawdę i w rzeczywistości -- niekoniecznie w słowach i zdaniach — wspólnego wszystkim szkołom i teoryom filozoficznym, w pewną całość, ile możności systematyczną i zaokrągloną.

(C. d. n.)

Ks. Jan Nuckowski.

SZCZERBIEC W ŚWIETLE OSTATNICH BADAŃ.

Ile cię trzeba cenić ten tylko się
dowie, kto cię stracił.

Któż z nas nie jest ciekawy wiedzieć, jak wyglądał ten najstarszy świadek zarania dziejów naszych, obrońca granic, postrach wrogów, ozdoba i chluba naszych monarchów? Z jakiego zrobiony materyału, jaki miał kształt, jakie ozdoby? Wszak te wszystkie pytania nietylko drogie naszemu uczuciu, ale także i z innych względów ważne: w odpowiedzi na nie mieści się jedno świadectwo więcej, na jakim staliśmy stopniu kultury w tym czasie, w którym on u nas po raz pierwszy występuje na widownię dziejową. Jeżeli zrobiony u nas, świadczy o stopniu doskonałości artystycznego u nas rzemiosła — w każdym zaś razie świadczy o estetycznem poczuciu i stopniu cywilizacyi tego, który go kazał zrobić i ozdobić. Stąd wypływa pytanie: kiedy ów miecz po raz pierwszy u nas widzimy? a więc do jakiej epoki odnieść należy jego powstanie? czy wzmianki kronikarskie o nim wytrzymują historyczną krytykę? A dalej co się z nim stało? w czyich znajduje się rękach? czy możemy mieć nadzieję odzyskania napowrót tej nieocenionej pamiątki, tego klejnotu narodowego, obok korony Bolesławowskiej i włóczni św. Maurycego najdroższego dla nas?

Na te właśnie pytania starają się dać odpowiedź dokładną i stanowczą najnowsze prace naukowe, oparte i na dawniejszej literaturze i na samodzielnych poszukiwaniach, mianowicie:

J. N. Sadowskiego [1] i Walerego Eliasza [2]. Do wyjaśnienia niektórych kwestyj mieszczą w sobie przyczynki prace Feliksa Kopery [3]. Wyniki tych prac zestawiamy poniżej dla szerszych kół czytelników, odsyłając zarazem miłośników naszej przeszłości po szczegóły i wywody do prac oryginalnych.

Tradycya narodowa przekazana przez kronikarzy widzi Szczerbiec już to w rękach Bolesława Chrobrego, już to Bolesława Śmiałego i wywodzi jego nazwę od szczerby, jaka w jego głowni miała powstać wskutek cięcia w złotą bramę Kijowa. Obok tych podań na pół legendarnych, mamy już wcześnie, bo około połowy XIII. wieku, historyczne o nim wzmianki, nie ulegające żadnej wątpliwości: Kronika wielkopolska Baszki podaje wyraźnie, iż „ten miecz przechowuje się w skarbcu katedry krakowskiej"; wspomina też o istnieniu w katedrze krakowskiej klejnotów koronnych Żywot św. Stanisława z r. 1261, a chociaż Szczerbca nie wymienia imiennie, nie wynika przecież jeszcze z tego, aby go tam w tym czasie nie było. Na dłuższy czas urywają się o nim rękopiśmienne wiadomości: widzimy go dopiero przy koronacyach Łokietka i Kazimierza W., a o użyciu go przy koronacyi Kazimierza Jagiellończyka pisze naoczny świadek Jan Długosz. Następnie wymieniają go, a częstokroć i opisują wszystkie lustracye skarbca koronnego, z których ostatnia odbyła się dnia 18 kwietnia 1792 r. Wówczas po raz ostatni stwierdzono istnienie Szczerbca i wraz z innemi insygniami wystawiono go na widok publiczny. W dniu 15 czerwca 1794 r., w czasie powstania Kościuszki zajęli Prusacy Kraków i gospodarowali na Zamku aż do 1796 r. dnia 5 stycznia, w którym wyszli, robiąc miejsce dla wojsk austryackich. Deputacya rady miejskiej, wysłana na Zamek dla zobaczenia koron królewskich

---

[1] „Miecz koronacyjny polski Szczerbcem zwany", w Krakowie 1894 (Odbitka z rozpraw Akad. Um. Wydział hist. fil. ser. II, t. V).

[2] „Szczerbiec, miecz Bolesławowski", w Krakowie 1898.

[3] Recenzya o rozprawie Sadowskiego w *Kwartalniku historycznym*, Lwów 1898, str. 101 i nast., tudzież praca p. t. „Tak zwana korona Bolesława Chrobrego", w Krakowie 1898 (Odbitka z *Przeglądu Polskiego* zeszytów z sierpnia i września 1898).

na żądanie austryackiego jenerała Foullona, sprawdziła brak insygniów koronnych, a Krazer, kantor katedralny, opisał w swoich pamiętnikach, w jaki sposób Prusacy dostali się do skarbca i wynieśli z niego opieczętowane puzdro — co w niem jednak było, tego wiedzieć nie mógł.

Wśród ogólnego przygnębienia, jakie ogarnęło cały naród pod brzemieniem tylu i tak strasznych nieszczęść, nie było nikogo, ktoby zajął się zaraz śledzeniem za klejnotami koronnemi. Ich strata musiała się wydać w porównaniu z innemi stratami czemś bardzo małem i nieznacznem. Dopiero przypadek, jaki się wydarzył w lat przeszło dwadzieścia później, kiedy już naród nieco ochłonął po tych strasznych przejściach, zwrócił uwagę w tę stronę. W r. 1819 pokazuje ks. Łabanów jenerałowi Krasińskiemu w Warszawie miecz starożytnej roboty, który według jego opowiadania znaleźć miano podczas kampanii r. 1810 w rowie pod Ruszczukiem. Orzeł polski, umieszczony na pochwie, obudzał domysł, że ten miecz pochodzić może ze skarbca koronnego. Krasiński kazał z niego zrobić kopię w litografii sztabu jeneralnego, a następnie oddał go do zbadania Ciampiemu, profesorowi filologii w uniwersytecie warszawskim. Ciampi w rozprawie p. t.: *Gladius antiqui operis illustratur,* umieszczonej wraz z ilustracyą w *Feriae Varsavienses* z r. 1819, orzekł, że oprócz orzełka na pochwie niema na nim nic takiego, coby świadczyło, że należał do króla polskiego. Po takiem orzeczeniu zwrócił go Krasiński właścicielowi. Przeszło pół wieku później, w r. 1870 ukazuje się w zbiorach Demidowa z San Donato, wystawionych w Paryżu na sprzedaż, miecz prawie taki sam, jaki przedstawia litografia przy rozprawie Ciampiego, lecz w całkiem innej pochwie. Ponownie występuje ten sam miecz na publiczną widownię na wystawie paryskiej 1878 r. jako własność Bazylewskiego, nabyty za 20.000 franków, lecz z niejakiemi zmianami na rękojeści i głowni, tudzież bez pochwy, z której pozostawiono tylko małego orzełka piastowskiego, zawieszonego na głowni za pomocą drucika. Ze zbiorów Bazylewskiego dostaje się pośredniemi drogami do zbiorów carskich w Ermitażu w Petersburgu, gdzie dotąd pozostaje. Uczeni francuscy, którzy go badali i oce-

niali zarówno, kiedy był własnością Demidowa, jak i później na wystawie paryskiej, nie posiadają dość słów, aby podziwiać jego artystyczną i archeologiczną wartość, ubolewają bardzo nad przeróbkami, jakie na nim poczyniono i przypuszczają, że to może być miecz jednego z zakonów rycerskich, najprawdopodobniej Templaryuszów.

Inną hipotezę wywołały u nas sprawozdania o tym mieczu, pisywane z wystawy paryskiej do pism naszych, do *Biblioteki Warszawskiej, Kłosów, Wędrowca* i innych. Już dawniej zauważono podobieństwo ogólne między mieczem reprodukowanym w *Feriae Varsavienses*, a mieczem, który trzyma w ręku Bolesław Chrobry w obrazie malowanym przez Bacciarellego, któremu, jak wiadomo, służył przy malowaniu za model oryginalny Szczerbiec. Czyż więc miecz Bazylewskiego nie jest może właśnie naszym koronacyjnym klejnotem?

Wobec przypuszczenia takiej dla nas doniosłości i wobec tego, że jeżeli nawet nie jest może oryginalnym Szczerbcem, jest, jak zobaczymy, co najmniej jego bardzo wierną kopią, warto mu przypatrzeć się bliżej.

Miecz ma kształt krzyża, którego ramię podłużne stanowi głownia (brzeszczot, klinga) wraz z rękojeścią, zaś ramię poprzeczne stanowią jelce tj. sztaba żelazna poprzeczna, umieszczona popod rękojeścią dla zasłonięcia ręki od ciosu nieprzyjacielskiego. Jelce są zgięte łukowato na dół i ku końcom nieco szersze. Miecz przedstawia się ogólnie jako stosunkowo krótki a szeroki. Długość jego wraz z rękojeścią wynosi 98 cm., samej zaś rękojeści 15 cm. Głownia prosta mająca 5 cm. szerokości, przy nasadzie rękojeści o 2 mm. węższa, zwęża się coraz bardziej ku dołowi aż do 2 cm. i kończy się okrągło, wskutek tego są brzegi miecza środkiem nieco wygięte. Środkiem wzdłuż biegnie szeroki rowek, tak zwana strudzina, który gubi się ku dołowi w płaszczyźnie miecza. Rękojeść jest czworograniastym trzonkiem, szerszym niż grubym, zwężającym się nieco od nasady w górę i zakończonym gałką przypłaszczoną po obu stronach odpowiadających płaszczyznom miecza. Cała rękojeść i jelce pokryte są ornamentyką w stylu romańskim figuralną, roślinną,

tudzież napisami. „Wszystkie ozdoby są czarne, szmelcowane w ogniu na tle bronzowo złocistem". Na płaszczyźnie gałki widzimy z jednej strony tak zwany krzyż egipski (krzyż św. Antoniego), bez górnego ramienia w kształcie litery T, zakończony u dołu wygięciem w kształcie litery G; pod nim mały krzyżyk równoramienny otoczony aureolą; po bokach litery A i Ω, a nad niemi małe krzyżyki równoramienne z ramionami ku końcom rozszerzonemi, czyli t. zw. krzyże aragońskie. Naokoło tych znaków obiega w dwóch rzędach napis: *Haec figura valet ad amorem regum et principum iras iudicum* (Ta figura pobudza do miłości królów i książąt, sędziów sporów). Płaszczyznę drugiej strony gałki wypełnia ornament roślinny. Przednią i tylną płaszczyznę trzonka zdobi po trzy figury, mianowicie po dwa symbole Ewangelistów: z przodu orzeł i człowiek, z tyłu lew i wół. a pod niemi z każdej strony Baranek z chorągiewką, z którego piersi spływa krew do kielicha, a więc tryumfujący i cierpiący zarazem; koło symbolów wypisane na wstędze imiona Ewangelistów. Boczne płaszczyzny rękojeści prawdopodobnie również pokrywały napisy, które usunięto bezpośrednio przedtem, nim miecz wystawiono na widok publiczny, i zastąpiono nowemi ornamentowanemi blaszkami. Końce jelc zdobią również symbole Ewangelistów, po jednym z każdego końca i strony; zaś wzdłuż nich z jednej strony biegnie w dwóch rzędach napis: *Quicumque haec nomina Dei I secum tulerit nullum periculum omnino ei nocebit* (Ktokolwiek te nazwy Boga I. będzie z sobą nosił, temu wogóle nie zaszkodzi żadne niebezpieczeństwo); po drugiej stronie w jednym rzędzie niezrozumiały napis: *concitomon eeve sedelai erebel,* mieszczący w sobie owe nazwy Boga po hebrajsku. Górną część głowni zdobił damaskinowy ornament roślinny i linearny w stylu romańskim, dopóki miecz znajdował się w zbiorach Demidowa; na wystawie paryskiej 1878 r. widzimy ów ornament usunięty, a wzdłuż górnej części strudziny po obu stronach blaszki złote z napisami [1], które nas nie obchodzą, jako nowy dodatek.

---

[1] Hic gladius est fortissimi militis XRI sicut gladius Saulis.
Iste est gladius, quo Iudas castra filiorum Israel protegebat.

Pierwszą myśl, czy miecz wyżej opisany nie jest właśnie naszym Szczerbcem, nasunęło, jak wspomnieliśmy, jego podobieństwo do miecza, który trzyma Bolesław Chrobry w obrazie Bacciarellego. Lecz ten obraz, znany niektórym z tych, co się zajmowali tą kwestyą z ryciny Szeymeclera, znajdującej się w Muzeum ks. Czartoryskich, przedstawia Szczerbiec tylko w ogólnych zarysach, nie wystarczających do ścisłego udowodnienia tożsamości zabytku. Tymczasem, kiedy tą sprawą najżywiej zajmują się uczeni i miłośnicy narodowych pamiątek, zjawia się niesłychanie ważny dokument, dający bardzo dokładne wiadomości o kształcie, ornamentach i napisach Szczerbca. Tym dokumentem jest rysunek górnej części Szczerbca wraz z wszystkiemi napisami, dokonany przez Jacka Przybylskiego podczas ostatniej rewizyi skarbca 28 kwietnia 1792 r. Znalazł go dr. Stanisław Tomkowicz w tej części archiwum Stanisława Augusta, która się dostała rodzinie Popielów. Aczkolwiek rysunek wykonany jest ręką nieumiejącą rysować, przecież daje nam o przedmiocie bardzo jasne wyobrażenie, a w sprawie, o którą chodzi, ma znaczenie rozstrzygające.

Na podstawie tego dokumentu można stwierdzić zupełną zgodność miecza, znajdującego się dziś w Ermitażu ze Szczerbcem, co do ogólnego kształtu, co do ornamentów figuralnych, co do napisów i ich rozmieszczenia. Oprócz napisów, które już poznaliśmy, dowiadujemy się jeszcze, jakie napisy znajdowały się na węższych bokach rękojeści: „Na jednym boku wązkim (pisze Przybylski), którego połowa zepsuta, zasłoniona jest blaszką srebrną, naprawiającą miejsce zepsute, jest napis niedokończony taki:

† ISTE EST GLAD
BOLEZLAI DUC

Na drugim boku wązkim jest napis taki:

CUM QUO EI DN. S. O. S. AUXIL
ETUR ADVS. PARTES. AMEN.

Mógłby to być więc ten napis, który na mieczu Ermitażu, jak wyżej wspomniałem, zniszczono, i który więc przeciw jego tożsamości ze Szczerbcem świadczyć nie może. Również nie

może świadczyć „szczerba w głowni (słowa Przybylskiego) foremnie na wylot wydrelowana, od której nazwisko Szczerbicza“, bo to miejsce na mieczu uległo późniejszym przeróbkom, a dziś zakryte blaszkami. Nie brakuje jednak innych aczkolwiek drobnych i nielicznych różnic między mieczem w Ermitażu a rysunkiem i opisem Przybylskiego: guz na końcu rękojeści nie jest okrągły lecz ośmiokątny; na jego spłaszczonej stronie nie widzimy krzyża w kształcie litery T, tudzież innych znaków, które wyżej opisałem, lecz tylko jeden krzyż równoramienny; na głowni pod jelcami jest „orzeł koronny wypukło kuty na sztuce“.

Jeżeli przed odkryciem tego dokumentu samo ogólne podobieństwo miecza wystawy paryskiej do miecza w obrazie Bacciarellego nie wystarczało na udowodnienie jego tożsamości ze Szczerbcem, to teraz owe aczkolwiek drobne różnice mogły znowu zbijać z tropu tych, którzy tę myśl podjęli. Jednak zgodność wszystkich innych charakterystycznych znamion tego miecza, jego napisów, a nawet przypadkowych usterek w napisach z rysunkiem i opisem Przybylskiego, jego wysoka artystyczna wartość niedopuszczająca prawie przypuszczenia, aby on mógł być tylko kopią jakiego innego miecza, tudzież stylistyczny charakter epoki spowodowały jednego z najbieglejszych naszych archeologów, J. N. Sadowskiego, do wyrzeczenia w przytoczonej powyżej rozprawie stanowczego zdania, że miecz, o którym mowa, nie może być żadnym innym mieczem, jak tylko naszym oryginalnym Szczerbcem, i do przypisania różnic między nim a rysunkiem i opisem Przybylskiego niedokładności obserwacyi, rysunku i opisu tego ostatniego. Mianowicie twierdzi Sadowski, że guz płaskaty z pewnego punktu widzenia mógł się wydać Przybylskiemu ośmiokątnym; brak na rysunku tych znaków płaskiej strony guza, które widzimy na mieczu, przypisuje zaniedbaniu Przybylskiego; orzełka na głowni poniżej jelc „na sztuce“ pomija milczeniem.

Przyjąwszy na tej podstawie za pewnik niezbity, że miecz w Ermitażu nie może być żadnym innym mieczem, jak tylko Szczerbcem, stara się Sadowski oznaczyć bliżej czas i miejsce jego powstania, tudzież wskazać drogi, któremi dostał się do

skarbca królów polskich. Tych ciekawych wiadomości mają mu udzielić stylistyczne i techniczne znamiona miecza, tudzież umieszczone na nim emblemata i napisy.

Ozdoby miecza pod względem rysunku i techniki są zdaniem Sadowskiego wykonane w tym odcieniu stylu romańskiego, który jest właściwym wyrobom niemieckim. Ponieważ początki tego stylu sięgają jeszcze czasów Karola W., a czas właściwego jego rozkwitu przypada na koniec XII. i początek XIII. wieku, przeto celem ściślejszego oznaczenia chwili powstania tego miecza musi szukać innych dokładniejszych wskazówek. Dostarczają mu ich ikonograficzne znamiona obrazów, rytych na rękojeści miecza, i znaki symboliczne, umieszczone na guzie. Z postaci rytych na rękojeści tylko postać Baranka może posłużyć, zdaniem Sadowskiego, do bliższego oznaczenia epoki wyrobu. Przedstawiania Chrystusa cierpiącego pod postacią Baranka, wylewającego krew, które sięga pierwszych wieków chrześcijaństwa, zakazał synod trulański w 692 r., a polecił przedstawiać Chrystusa tryumfującego w postaci baranka z chorągiewką. „Zasada ta nie bywała jednak ściśle zachowywaną, a kiedy pod koniec wieku XII. zaczęła Kurya rzymska bardziej nalegać, aby z zaniechaniem wszelkich dawnych form przedstawiać tylko Baranka tryumfującego nad śmiercią, z dodaniem chorągiewki — zaczęto szczególnie w stronach nieco dalej od Rzymu oddalonych, aby i przywiązaniu do dawnych zwyczajów i wymaganiom Kościoła zadość czynić, łączyć obie postacie (cierpiącego i tryumfującego Baranka). W takiem to skombinowaniu obu postaci, pojawiającem się po raz pierwszy w samym końcu XII., a powtarzającem się jeszcze w pierwszych dziesiątkach lat wieku XIII., widzimy go też na mieczu, którym się zajmujemy". Nie mógł więc i nasz miecz, zdaniem Sadowskiego, ujrzeć pierwej dziennego światła, niż w końcu XII. lub początku XIII. wieku.

Ze znaków symbolicznych, znajdujących się na przedniej płaskiej stronie guza rękojeści, które wymieniliśmy już wyżej, wyprowadza Sadowski wnioski następujące:

Krzyża w kształcie litery T, zwanego krzyżem egipskim lub krzyżem św. Antoniego, używano jako znaku broniącego

od chorób i zarazy; nosili go na sukni bracia zakonu szpitalnego, założonego w r. 1095 w St. Didier la Motte przez Gastona dla pielęgnowania ubogich chorych; z zakonów rycerskich używały go te, które się zajmowały także pielęgnowaniem chorych, a więc Joannici i Krzyżacy. Litera G pod tym krzyżem jest, zdaniem Sadowskiego, monogramem Gastona. Litery A i Ω umieszczone po obu stronach krzyża szpitalnego mają dowodzić, że miecz nie mógł powstać przed końcem XII. w., bo ten symbol Chrystusa jako początku i końca wszech rzeczy pojawia się po raz pierwszy dopiero 1174 r. Krzyż aragoński powtarzający się nad literami A i Ω dowodzi, iż miecz należał do jednego z trzech zakonów rycerskich, które go przyjęły od czasu, kiedy im Alfons I. († 1134) testamentem zapisał królestwo aragońskie. Że zaś tym zakonem nie mógł być żaden inny, tylko krzyżacki, o tem rozstrzyga dopiero krzyż ostatni — krzyż Męki Pańskiej, umieszczony w aureoli pod głoską G, gdyż „krzyża aragońskiego razem z krzyżem Męki Pańskiej używali sami tylko rycerze teutońskiego zakonu“, a ponieważ prawo używania tego krzyża uzyskali dopiero w r. 1199, więc miecz, który go nosi, musi być późniejszym od r. 1199, a wcześniejszym od r. 1219, bo w tym roku otrzymali Krzyżacy prawo używania na krzyżu Męki Pańskiej złotego krzyża jerozolimskiego, którego na mieczu niema. W ten więc sposób znaki, umieszczone na guzie rękojeści, przekonały autora, że miecz w Ermitażu, który on uważa za nasz Szczerbiec, jest mieczem krzyżackim, zrobionym po r. 1199, a przed 1219.

Jednak to oznaczenie czasu autorowi rozprawy o Szczerbcu jeszcze nie wystarcza. Przypuszczając, że napis na guzie: *Haec figura valet ad amorem regum et principum iras iudicum*, odnosić się musi do jakiejś sprawy spornej — a taką sprawę mieli w tym czasie Krzyżacy z Węgrami o pewien obszar ziemi w Siedmiogrodzie około r. 1214 — twierdzi, że miecz wykonano między rokiem 1214 a 1219, najprawdopodobniej koło r. 1215.

Rozstrzygnąwszy w ten sposób pytanie dotyczące wieku i pochodzenia miecza, przystępuje autor do pytania innego:

w jaki mianowicie sposób dostał się on do skarbca królów polskich?

Na to pytanie ma dać odpowiedź napis, częścią zatarty, jaki według zapiski Przybylskiego znajdował się na bocznej ścianie rękojeści:

ISTE EST GLAD . . . .
BOLEZLAI DUC . . .

uzupełniony z innego jeszcze dokumentu. Tym dokumentem jest rękopism biblioteki radziwiłłowskiej w Nieborowie, zawierający oddanie skarbca radziwiłłowskiego w Nieświeżu niejakiemu Marcinowi Wolbe w dniu 10 września 1740 r. Oprócz innych przedmiotów wymienia on i opisuje: „Mieczyk pozłocisty ze skarbu Żółkiewskiego przez królewicza Jakuba J. O. X. Michałowi Radziwiłłowi W. W. Het. W. dany". Według tego opisu zgadza się dziwnie ów „mieczyk" pod względem kształtu, znajdujących się na nim figur i napisów z mieczem opisanym przez Przybylskiego, a tem samem i z mieczem w Ermitażu. Tylko w napisach napotykamy nieznaczne różnice, które stąd mogły wyniknąć, że autor rękopisu nie umiał należycie odczytać pisma romańskiego. W tym opisie miecza radziwiłłowskiego czytamy między innemi następujące słowa: „Na trzeciej stronie (rękojeści) taki napis: *Iste est gladius principis et haeredis Boleslai ducis Poloniae et Masoviae Lanciciae*". Ten napis przyjmuje Sadowski w całości w miejsce uszkodzonego napisu na Szczerbcu, podanego przez Przybylskiego, i na tej podstawie twierdzi, iż pierwszym właścicielem tego miecza musiał być któryś z Bolesławów polskich, będący zarazem księciem Mazowsza i Łęczycy, żyjący po r. 1215 i pozostający w dobrych stosunkach z Krzyżakami, od których zapewne dostał go w darze za jakieś ważne usługi. Tym księciem, zdaniem Sadowskiego, mógł być tylko Bolesław, jeden z synów Konrada Mazowieckiego. Prawdopodobniej jednak otrzymał go już jego ojciec, a następnie wraz z odpowiednim napisem przekazał synowi. Przechodząc dalej z rąk do rąk w rodzinie Konradowiczów, dostał się Władysławowi Łokietkowi, który go pierwszy użył jako miecza koronacyjnego, a potem w skarbcu koronacyjnym złożył. Do niego też przylgnęła le-

genda kronikarska o Szczerbcu, który, zdaniem Sadowskiego, nigdy nie istniał.

Takie wywody i taka konkluzya jednego z najpoważniejszych naszych badaczów. Posłuchajmy, co o tem mówią inni.

Już recenzent pracy Sadowskiego, p. Feliks Kopera, w *Kwartalniku historycznym* r. 1898, str. 104 występuje z całą stanowczością przeciw twierdzeniu, jakoby przed Łokietkiem żaden Szczerbiec w skarbcu polskim nie istniał, a całe o nim podanie było tylko wymysłem kronikarzy, i uzasadnia swe twierdzenie ustępem z Kroniki Wielkopolskiej, pominiętym, czy też przeoczonym przez Sadowskiego, w którym czytamy wyraźnie, że Szczerbiec przechowuje się w skarbcu katedry krakowskiej. Z tym ustępem zgadza się też odpowiednie miejsce w żywocie św. Stanisława z r. 1261, gdzie również mieści się wiadomość o istnieniu insygniów koronacyjnych w skarbcu katedralnym, chociaż nie wymienia ono wyraźnie miecza, podobnie jak i niektórych innych przedmiotów, które się tam niezawodnie znajdowały. Zresztą ze wszystkiemi wywodami i twierdzeniami Sadowskiego zgadza się w zupełności jego recenzent, pomimo że je uważa miejscami za zbyt sztuczne i naciągnięte. Stara się też z nimi pogodzić swoje twierdzenie, przypuszczając, że miecz, który wniósł do skarbca Łokietek, odziedziczył nazwę i tradycyę po oryginalnym i prawdziwym Szczerbcu, który wśród zawichrzeń politycznych bezpowrotnie zaginął, wywieziony prawdopodobnie z Polski przez Wacława lub Henryka Ślązkiego wraz z innemi insygniami koronacyjnemi.

Przy tem zdaniu bez zmiany pozostaje p. Kopera jeszcze w późniejszej swej pracy o koronie Bolesława Chrobrego, pomimo że tymczasem pojawiła się inna rozprawa o Szczerbcu p. Walerego Eliasza, która z całą stanowczością występuje przeciwko wszystkim, tak misternie wyprowadzonym twierdzeniom Sadowskiego.

Zdaniem autora tej rozprawy, miecz znajdujący się obecnie w Ermitażu nie jest mieczem, który przypasywali przy koronacyi nasi ostatni monarchowie, bo ma przy rękojeści guz okrągły, gdy nasz, według relacyi naocznego świadka, ks. Jacka

Przybylskiego, miał guz ośmiokątny; bo na płaskiej stronie guza ma różne inne znaki, gdy nasz miał tylko krzyż; nie jest naszym mieczem koronacyjnym, bo niema na głowni orła, bo niema w strudzinie dziury, o której mówi wyraźnie Przybylski, owszem ma głownię całkiem zdrową [1]. Nasz miecz koronacyjny taki, jakim go opisuje Przybylski, nie pochodzi dopiero od Krzyżaków, nie jest wyrobem dopiero XIII. wieku, bo jak uczą liczne przykłady, które autor przytacza, miecze tej formy były w użyciu już w XI. wieku — miecze, tj. to, co stanowi istotę miecza, a więc głownia: jej bowiem największą przypisywano wartość, ją jako pamiątkę lub talizman przedewszystkiem ceniono i przechowywano. Rękojeść przy częstem używaniu miecza zazwyczaj ulegała zniszczeniu i trzeba było zastąpić ją inną. Przypuszcza autor, że tak się też i z naszym mieczem stać musiało, bo jego rękojeść jest rzeczywiście wyrobem XIII. wieku, być nawet może, że niemieckim, bo pod względem sztuki pozostawaliśmy wówczas pod wpływem naszych zachodnich sąsiadów. Napis: *Iste est gladius principis et haeredis Boleslai ducis Poloniae et Masoviae Lanciciae,* który Sadowski z innego dokumentu chce przenieść na rękojeść Szczerbca, nie jest w stanie pomieścić się na przeznaczonem na to miejscu, a tem samem służyć za dowód, że pierwszym właścicielem Szczerbca był jakiś książe mazowiecki i łęczycki. Zdaniem p. Eliasza, napis mógł mieścić co najwięcej słowa: *Iste est glad(ius) Bolezlai duc(is Poloniae)* i odnosi się prawdopodobnie do Bolesława Krzywoustego.

Nietylko nasz Szczerbiec nie jest mieczem krzyżackim, ale niema najmniejszego dowodu, aby nim był miecz w Ermitażu. Według Sadowskiego mają tego dowodzić symboliczne znaki umieszczone na guzie: krzyż św. Antoniego, litera G, krzyże aragońskie, krzyż w aureoli, w których on dopatruje się herbów i monogramów teutońskich rycerzy. Przeciwnie p. Eliasz nie widzi w krzyżu św. Antoniego nic wyłącznie krzyżackiego, mógł go bowiem jako znak ochrony przed śmiercią umieścić na swym

[1] To ostatnie twierdzenie jest wypowiedziane może zbyt pochopnie wobec tego, że na mieczu petersburskim to miejsce uległo przeróbkom i jest obecnie zakryte blaszkami.

mieczu także każdy inny rycerz. To, co Sadowski uznał za literę G, monogram Gastona, jest tylko ornamentacyjnem zakończeniem krzyża, jak świadczą przykłady innych podobnych krzyżów; nadto pokora i pobożność wieków średnich nie pozwalała na łączenie osobistego monogramu z religijnemi znakami. Również i inne, ogólno-chrześcijańskie znaki nie mogą służyć za dowód pochodzenia tego miecza z rąk krzyżackich.

Jeżeli według autora drugiej o Szczerbcu rozprawy miecz znajdujący się w Ermitażu nie jest ani naszym Szczerbcem, ani mieczem krzyżackim, darowanym jednemu z naszych Bolesławów, to czemże więc jest i skąd się bierze? Jest on właśnie jego zdaniem owym mieczem, który w XVIII. wieku znajdował się w skarbcu ordynackim książąt Radziwiłłów, jest dość wierną kopią Szczerbca. Wprawdzie takiej kopii nie byłby nikt potrafił wykonać za czasów Sobieskiego, ani też około 1819 r., lecz dlaczegoż nie mianoby jej wykonać jeszcze w XIII. w. z temi drobnemi odmianami, jakie wykazuje?

W którąż więc stronę zwracać mamy wzrok za naszym koronacyjnym klejnotem, jeżeli napróżno szukaliśmy go tam, gdzie nam starała się pokazać go rozprawa Sadowskiego? W dwa lata po rozprawie Sadowskiego wyszło w Krakowie w r. 1894 dziełko ks. Wacława Kapucyna p. t. „Kraków w r. 1794“, w którem autor na podstawie Kroniki kapucyńskiej, zaprzeczając kategorycznie rezultaty poszukiwań Sadowskiego, podaje do wiadomości, że ks. Wacław Sierakowski, prałat katedralny, nakłonił swego brata Sebastyana, kustosza koronnego, do uniesienia ze skarbca insygniów koronnych, które on przez O. Tadeusza, gwardyana Kapucynów, 25 kwietnia 1794 r. przesłał do Podkamienia ks. biskupowi Cieciszowskiemu do przechowania. „Wedle dalszych relacyj, dotąd niedrukowanych owej Kroniki kapucyńskiej — pisze p. Eliasz na str. 8 — O. gwardyan Tadeusz z bratem Antonim wywiozłszy z Krakowa owe relikwie narodowe, przybył z niemi do Podkamienia, lecz biskupa Cieciszowskiego tam nie zastał, bo był odjechał do Łucka. Puścili się tedy Kapucyni za nim, lecz i w Łucku go nie zastali, gdyż co dopiero pojechał do Berdyczowa. Nie mogąc już tak daleko zapuszczać

się z powierzonym sobie depozytem, zakręcił ks. gwardyan do Włodzimierza, gdzie był klasztor Kapucynów, i przybywszy tu 8 maja, tego samego dnia z bratem Antonim kufer z insygniami w skrytce klasztornej zamurowali. W Krakowie z tej wyprawy z powrotem stanęli d. 25 maja. Zostawały one w tem ukryciu we Włodzimierzu do r. 1842, skąd je wskutek poszukiwań rządu rosyjskiego musiano przewieść w inne miejsce. W papierach bowiem po śmierci ks. biskupa Cieciszowskiego znaleziono wiadomość o ukryciu koron polskich we Włodzimierzu i zaraz ich tam szukano, lecz nadaremnie.

„Po r. 1870 znowu okazała się potrzeba zmiany miejsca dla tych drogich nam zabytków i kufer z niemi przewieziono w inne strony, przy czem skonstatowano istnienie Szczerbca obok koron i innych klejnotów koronnych".

Oto wyniki, do jakich dochodzą ostatnie prace naukowe, poświęcone badaniom jednej z najcenniejszych naszych narodowych pamiątek. Chociaż sam od siebie nie przynoszę nic nowego, nie wahałem się zestawić je jak najzwięźlej i najbezstronniej, nie przeceniając bynajmniej, po której stronie słuszność.

J. Bryl.

Z ESTETYKI KRAKOWSKIEGO DEKADENTYZMU.

Sztuka nie zawsze jest świetlanym aniołem, co ku ziemi z wiązką promieni spływa.., nie zawsze nawet przypomina potężnego Prometeusza, gdy mu za kradzież świętego płomienia sęp wątrobę szarpał. Bywa ona czasem poczciwą, ale niezgrabną gosposią, która tylko podpłomyk upiec potrafi, a są i chwile, w których przemienia się w ubielonego mąką, cyrkowego kunstmistrza, lub wędrownego prestidigitatora.

Taka nienaturalna i wyszukana sztuczność jest niestety charakterystycznem znamieniem wielu dzisiejszych literackich przejawów. Bo i czemże, jak nie prostą magiczną sztuczką, obrachowaną tylko na senzacyę, są owe, coraz częściej na deskach teatralnych pojawiające się dramatyzowane bajki, gdzie łososie latają w powietrzu, a śpiewają drzewa, lub te farsy nastrojowe, gdzie cały teatr zapuszcza się szaremi płachtami, przyciemnia się światła, a na scenę wypycha się kilku biednych aktorów, którzy pantominą, tragiczną gestykulacyą, ciągłem powtarzaniem tych samych słów zamęczają i siebie i nieszczęśliwe nerwy publiczności? A w artystycznych czasopismach owe czarne kółka, kropki, linie, powykręcane od ośmiu boleści kwiaty, z pośród których, jak garbaty chochlik ze spruchniałego dziupła, wychylają się meandry, rondoletti, rittornelli i inne połamane kształty metryczne, kryjące pod swą pstrokatą szatą przeważnie tylko zgrabność wierszowania — czyż to wszystko nie przypomina owych magicznych sztukmistrzów, którzy w przyćmionej

sali, po tajemniczych gestach, rzucanych w prawo i w lewo, rozpoczynają wyciągać z ust całe kilometry wstążek, lub przebijają się na wylot szpadą bez jakiegokolwiek szwanku na zdrowiu i życiu? Czyż nie jest dalej silnym dowodem na nienaturalną sztuczność nowej literatury ta ustawiczna jej pogoń za tematem niezwykłym i działającym na nerwy, owo obracanie się wyłączne w sferze rozkładających się trupów, rozwichrzonych upiorów, halucynacyj i różnych psychopatycznych stanów? Same nawet głośne, a jak dotychczas, prawie bezowocne zapowiedzi nowych szkół artystycznych, samo wciąganie w literacką służbę dziennikarskiej reklamy, która bez zająknięcia się i zasromania z literackich kunstmistrzów, produkujących nowe łamańce, robi geniuszów, torujących nowe drogi – czyż to nie są sztuczki, obrachowane na senzacyę?

Można być z góry pewnym i głowę własną dać w zakład, że jeżeli kiedyś na Zachodzie rozpoczną ludzie chodzić z futerałami na nosie, to po jakimś czasie na dalekim Wschodzie, w Krakowie, czy w Warszawie ulice będą szarzeć od nosowych pokryw. Tak samo rzecz się ma i z literacką modą. Po „młodej Belgii“ i po „młodej Skandynawii“ zjawiło się na krakowskim rynku literackim nowe hasło... „młoda Polska“.

Ludzie, którzy pierwsi u nas to hasło rzucili, byli zapewne ożywieni najlepszemi intencyami. Literatura po jakimś przeciągu czasu potrzebuje odnowienia, jak każdy przestarzały budynek, i, jak zamarznięta gleba, tęskni za wiosennym podmuchem. Zresztą nowość i wiosna zawsze są czemś uroczem i pociągającem. Ale jak nie każdy prąd wiatru jest zapowiedzią wiosny, tak i nie każdy nowy literacki kierunek ma w sobie świeżość i ożywczą siłę młodości. Rzucona jako przewodnie hasło młodej Polski „naga dusza“, ta naga dusza skurczona, z wytrzeszczonemi na świat oczyma, wyniszczona popędami wszetecznemi i dogorywająca w halucynacyach, najlepszym na to dowodem.

„Młoda Polska“ — młodość i Polska, takie dwa pociągające słowa! — jedno pełne uroku nowości i niezużytej siły, a drugie symbol szlachetności i męczeństwa. Komużby takie hasło nie było miłem i drogiem? I piękne to hasło ma racyę bytu,

tylko odmienną od tej, jaka mu była nadana. Mamy dzisiaj wiele młodych talentów w każdej dziedzinie literatury, na polu poezyi, powieściopisarstwa i dramaturgii, talentów, które idą własną, odrębną drogą i najpiękniejsze rokują nadzieje. Jest to w prawdziwem znaczeniu młoda Polska, bo z polskiej cywilizacyi czerpie swoje soki. Ale pisarze ci z nagą duszą nie mają nic wspólnego i jeżeli niektórych z nich charakteryzuje pewna głęboka zaduma nad własną duszą, jakaś filozoficzna refleksya, często może zanadto egotyczna, to są oni jeszcze o całe niebo wyżsi od nerwowo-umysłowej hipertrofii i rozwierzganej histeryi dekadentycznej nagiej duszy.

A więc hasło to młodej Polski pod znakiem nagiej duszy było tylko krzywdą właściwej młodej Polski, a wobec tego, że jest tylko echem skarłowaciałej zagranicznej kultury, a w naszej kulturze żadnego nie ma gruntu, było przelotną fantazyą, literacką sztuczką, obrachowaną na senzacyę i reklamę.

Że było taką reklamującą sztuczką, potwierdzają dalsze dzieje. Nie wchodzimy w to, czy stało się to rozmyślnie, czy przypadkowo, faktem jest tylko, że ludzie, którzy ten program rzucili, rozpierzchnęli się wkrótce i zniknęli z powierzchni ziemi, a równocześnie zjawił się na polskiej widowni nagle i niespodziewanie człowiek nowy, kilkoletni już propagator nagiej duszy, piszący dotychczas po niemiecku, p. Przybyszewski. Program wrzekomej młodej Polski był oparty w części na jego ideach, a jego samego stawiał jako jednego z przewódców tego kierunku — w rzeczywistości więc był tylko przygotowaniem opinii i sztuczną reklamą na jego korzyść. Puszczono jeszcze nadto w kurs pogłoskę, że Niemcy nazwali p. Przybyszewskiego genialnym Polakiem — no i czegoż więcej trzeba? Stał się więc wielki rumor dokoła i zaczęto już nawet witać nowe światło polskiej sztuki. Pismo tygodniowe, a później dwutygodniowe, przez p. Przybyszewskiego redagowane, było przez jakiś czas bardzo uczęszczaną widownią, na której p. Przybyszewski występował zawsze z boską pewnością siebie, a jeżeli już coś bardzo paradoksalnego chciał zaprodukować, co tylko śmiech lub wzruszenie ramion wywołać mogło, to mówił o mieszczańskim mózgu, który arkanów nowej

sztuki zrozumieć nie potrafi, lub o arystokracyi ducha i o subtelnych nerwach, dla których tylko sztuka jego jest przeznaczoną. Publiczność wobec tych literackich forteli i wobec domniemanej wielkości p. Przybyszewskiego nie wiedziała czas jakiś, co z łamanemi jego sztukami począć. Siedziała więc cicho, jak zarumieniona panna, która chwalić się boi, aby się nie ośmieszyć, a ganić również nie ma odwagi, aby na siebie nie ściągnąć pogardliwej nazwy wstecznika. Tymczasem nad niezdecydowaną jej głową przeciągały, jak porozrywane chmury jesienne, coraz to nowe łamańce i literackie dziwolągi.

Dziś pierwsze wrażenie minęło i fale niezdecydowanego zachwytu przepłynęły. Wielu z adoratorów p. Przybyszewskiego miało czas i sposobność rozpatrzeć się w jego utworach niemieckich i przekonać się jasno, że uznana przez Niemców jego genialność była tylko dziennikarską plotką, puszczoną w świat przez usłużną reklamę. Talentu p. Przybyszewskiemu byłoby trudno odmówić, ale jeżeli o literacki, sharmonizowany talent idzie, to między naszymi młodymi pisarzami mamy talenty większe. Talent p. Przybyszewskiego w tak ciasnem obraca się kółku, pod względem podniosłości idei przedstawia organizacyę tak nizką, pod względem formy, przy pewnej sile stylu tak jest często niesmacznie patetyczny, dziwacznie obrazujący, chaotyczny i tak goni dziecinnie za blaskiem słów, często z pogwałceniem sensu i logiki, że chwilowe postawienie go przez opinię na czele naszego młodego pokolenia uważamy za wielką krzywdę i hańbę, temu pokoleniu wyrządzoną.

Ale opinia ta na szczęście zaczyna już należeć do zabytków archeologicznych. Sztuczki literackie p. Przybyszewskiego, które z początku mogły intrygować i w których rzeczywiście był jeden, drugi ustęp piękny i udatny, teraz zaczynają już nudzić, bo ustawicznie są tą samą manierą robione. Jakiś kochanek woła ustawicznie do swojej lubej: Ja król, ty królowa.. Ty — Ja.. Ja — Ty.. Ty, Ty, odwieczna kochanko moja.. pójdź.. pójdź.. dam ci pałace, pójdź Duchu święty mojej miłości.. otocz mię i t. d. Porywy to przesadne, w których z erotyzmem łączy się rozwierzgany seksualizm, a dwa te przejawy splątane są chaotycz-

nie z wrodzonem każdemu człowiekowi dążeniem do Absolutu tak jakby w nich ostateczny cel ludzkości spoczywał. Zazwyczaj ci kochankowie, przesyceni szczęściem, po jakimś czasie rozstają się, a wtedy kochanka zaczyna dławić żal za dawną lubą, wpada w szały, halucynacye, słyszy wśród ciszy jakieś krzyki, wśród ciemności widzi światła, odczuwa na sobie rozmaite odcienia seksualnych popędów, pada na ziemię, podrywa się, znowu pada, rzuca się w bok, w prawo, w lewo — tych emocyj gimnastycznych tyle, że czytelnik, niemający muszkułów Goliata w rękach i w nogach, czuje doskonale, że już z tego względu nie nadałby się na bohatera utworów p. Przybyszewskiego. Wszystkie te historye przerzucone są naturalnie całym korcem nenufarów, stalaktytów, kosztownych metali, klejnotów i innych bogatych wyrazów. Takim jest p. Przybyszewski w najidealniejszych i najudatniejszych swoich utworach.

Za daleko odwiodłoby nas od zamierzonego celu, gdybyśmy chcieli opisywać dokładnie dotychczasowe dzieje wrzekomej młodej Polski, dzieje p. Przybyszewskiego i kilku jego uczni, z których jednego, drugiego doprawdy aż żal się robi, że prawdziwy talent marnują na fałszywych teoryach i na zepsutej manierze swojego mistrza. Łamane te sztuczki należą zresztą raczej do humorystyki i już wiele z naszych dzienników zaczęło humorystyczną swoją rubrykę utworami tej szkoły zapełniać. Ważniejszy przedstawia dla nas interes przypatrzenie się estetycznym zasadom krakowskiego dekadentyzmu, choćby z tego względu, że teorya jakiegoś kierunku rzuca najjaśniejsze światło na jego wartość. Tych estetycznych zasad byliśmy od dawna bardzo ciekawi. Zaraz za przybyciem do Galicyi, w pierwszym zeszycie swojego pisma począł p. Przybyszewski odgrażać się, że rozpocznie burzyć „chiński mur galicyjskich i wielkopolskich pojęć o sztuce“. Długi czas do burzenia tego muru się nie brał, aż wreszcie w styczniu b. r. ogłosił artykuł pod tytułem: *Confiteor*, w którym chce się wywiązać z danego słowa.

Do rozglądnięcia się w tym artykuliku jesteśmy tem bardziej obowiązani, że stawia on zasady wprost przeciwne tym, na jakich poprzednie nasze studyum przeciw nagiej duszy oparliśmy.

* * *

Kiedy czyta się pierwsze zdania estetycznego *Confiteor* p. Przybyszewskiego, odnosi się wrażenie, iż ma się do czynienia z formalną kwadraturą koła. Sztuka, wedle p. Przybyszewskiego, „nie jest ani piękno“, „ani częścią poznania“, również „nie zna żadnych zasad moralnych“. Logicznie rzecz biorąc, wnosićby z powyższych słów trzeba, że sztuka stoi poza kategoryami dobra, piękna i prawdy, a co za tem idzie, że istnieje jakiś utwór duszy ludzkiej niemający z żadną z tych kategoryj jakiejkolwiek cechy wspólnej. Byłaby to doprawdy kwadratura koła. Na szczęście już po kilku następnych zdaniach, czytelnik oryentuje się w swej sytuacyi, i cały pomysł przedstawia się mu jako rezultat nieoględności autora, który lubuje się w wielkich słowach, bez poprzedniego zdania sobie dokładnej sprawy z ich zawartości.

Jakżeż więc wyobraża sobie sztukę p. Przybyszewski? Sztuka wedle niego jest „odtworzeniem życia duszy we wszystkich jej przejawach, niezależnie od tego, czy są dobre lub złe, brzydkie lub piękne“. Zdaniem autora, „dla artysty są wszelkie przejawy duszy równomierne, nie zapatruje on się na ich wartość przypadkową, nie liczy się z ich przypadkowem złem, lub dobrem oddziaływaniem, czy to na człowieka, lub społeczeństwo, tylko odważa je wedle potęgi, z jaką się przejawiają“. Artysta — pisze w innem miejscu p. Przybyszewski — „nie zna praw i ograniczeń, jakie objawy duszy ludzkiej w to lub owo koryto wpychają, zna on tylko jedynie potęgę tych przejawów, równie silną w cnocie czy zbrodni, w rozpuście, czy w skupieniu modlitwy“.

W słowach tych zawarta jest przewodnia idea autora i zarazem najgłówniejszy moment omawianej rozprawy. Krótko rzecz streszczając, terenem sztuki, wedle niego, jest całe życie duszy, a celem i przedmiotem sztuki nie jest piękno tego duchowego życia, ale potęga objawów życiowych, bez względu na ich dobroć lub złość, piękno lub brzydotę.

To byłaby główna idea. Pominąwszy cały szereg zdań, które mają tylko dekoracyjną wartość, pominąwszy takie poetyczne wyrażenia, jak to, że „sztuka jest najwyższą religią“,

które chyba w jakiemś znaczeniu przenośnem rozumieć trzeba, pominąwszy wreszcie takie niemądre zdania, które samym składem słów się zbijają, jak naprzykład, że artysta to *ipse philosophus, daemon, Deus et omnia* — będziemy mieli z całej rozprawy, już tylko kilka myśli do zanotowania. A najpierw oświadcza się p. Przybyszewski za całkowitą niezależnością sztuki. Sztuka wedle niego jest „celem sama w sobie, jest absolutem", a artysta „stoi ponad życiem, ponad światem, jest panem panów, niekiełznany żadnem prawem, nieograniczony żadną siłą ludzką". Stąd, wskutek tej niezależności sztuki wykluczoną jest z niej wszelka tendencya — „działać na społeczeństwo pouczająco albo moralnie rozbudzać w niem patryotyzm lub społeczne instynkta za pomocą sztuki, znaczy poniżać ją, spychać z wyżyn absolutu do nędznej przypadkowości życia". Bardzo ciekawem jest pojęcie autora o narodowem stanowisku artysty. Przytaczamy ten ustęp w całości, aby nie posądzano nas o trawestyę. „Naród to cząstka wieczności i w nim tkwią korzenie artysty, z niego, z ziemi rodzinnej ciągnie artysta najżywotniejszą swą siłę. W narodzie tkwi artysta, ale nie w jego polityce, nie w jego zewnętrznych przemianach, tylko w tem, co jest w narodzie wiecznem: jego odrębności od wszystkich innych narodów, rzeczy niezmiennej i odwiecznej: r a s i e. Dlatego jest głupią niedorzecznością zarzucać artyście w naszem pojęciu beznarodowość, bo w nim najsilniej przejawia się istotny, wewnętrzny duch narodu"...

To są te idee, którym chcemy przypatrzyć się bliżej. Jak każdy na pierwszy rzut oka zauważyć może, nie określają pomienione zasady samej istoty nowego kierunku, ale tyczą się ogólniejszych pojęć estetycznych, które i innym także szkołom mogą być właściwe. Zasady te nie są stawiane tetycznie, ale w polemicznej formie, widocznie idzie autorowi o to, aby wszystkie możliwe zarzuty, któreby przeciw jego sztuce mogły być podniesione, usunąć. Są to też tylko obronne szańce nagiej duszy.

Najwięcej zasadniczem i najbardziej nasuwającem się pod uwagę jest twierdzenie, że sztuka nie jest pięknem, ale od-

tworzeniem duszy we wszystkich jej przejawach, o ile te przejawy są potężnemi. W dalszym ciągu przekonamy się, czy w takiem postawieniu kwestyi nie tkwi fatalna sprzeczność, na razie poddajmy poszczególne części tego twierdzenia krótkiemu rozbiorowi.

Co do twierdzenia, że „sztuka jest odtworzeniem duszy we wszystkich jej przejawach“ — o ile twierdzenie to jest ogólnem i jako takie nic jeszcze nie mówi o równomierności tych przejawów — niema potrzeby urządzać wielkiej dyskusyi. O ile twierdzenie to jest jakiemś opisaniem sztuki z punktu widzenia sztuki psychologicznej, jest zupełnie słusznem. Jako ścisłe określenie sztuki ogólnie pojętej, byłoby to twierdzenie bardzo niedokładne, bo opisuje tylko, jaką jest czynność sztuki psychologicznej, a nic o istocie sztuki nie mówi, i wskutek tego jest ono za szerokie i za ciasne zarazem. Za szerokie, bo może jeszcze coś więcej jak sztukę oznaczać, — ostatecznie możliwą jest jakaś gałąź nauki, któraby miała za zadanie odtwarzanie zjawisk psychicznych, jakiś rodzaj empirycznej psychologii — z drugiej znowu strony jest za ciasne, bo tylko kierunek psychologiczny sztuki obejmuje. Nie trzeba jednak takich opisywań brać zbyt ściśle. Ostatecznie faktem jest, że każdy motyw sztuki, choćby był tylko refleksem świata zewnętrznego, przez duszę artysty przechodzi i staje się jej przejawem, a stąd sztuka jest odtworzeniem tego psychicznego przejawu. Słusznem zwłaszcza jest w tem określeniu zaznaczenie szerokości sztuki. Sztuka jest jak życie szeroka i pod skrzydła swoje wszechświat zagarnia. Jest to zasada rozumna i ogólnie przyjęta i już w zamierzchłej przeszłości wyraził to samo, choć przedawnionym już dzisiaj sposobem, stary literat francuski:

Il n'est pas de serpent ni de monstre odieux
Qui par l'art imité ne puisse plaire aux yeux...

Tyle co do terenu sztuki. Ale powstaje teraz pytanie, co skłania psychologicznie artystę do wybrania z ogólnego terenu życia tego a nie innego przejawu duszy, jako przedmiotu swojej twórczości, a dalej, co jest celem tej artystycznej twórczości? Wedle luźnie rozrzuconych twierdzeń p. Przybyszewskiego, psy-

chologiczną tą przyczyną jest potęga, z jaką dany przejaw życiowy artyście narzuca się, a celem artystycznej twórczości, innemi słowami, sztuki jest odtworzenie tej potęgi psychicznego przejawu.

Bardzo słusznie. Nasuwają się wprawdzie w tem miejscu wątpliwości, czy pojęcie potęgi wyczerpuje postawioną kwestyę do dna, ale ostatecznie w poszczególnym przypadku przyznać trzeba, że zupełnie w swojem prawie jest ten artysta, który poruszony potęgą jakiegoś przedmiotu, tę potęgę odtwarza. Powstaje teraz pytanie, czem jest ta potęga?

Ująć w ścisłe określenie potęgę artystycznego motywu byłoby trudno, ale ostatecznie każdy może sobie zdać jakąś sprawę z tego silnego wrażenia i uczucia, jakie w nas potężne zjawiska wywołują. Olbrzymi łańcuch gór, rysujący się na błękicie sylwetami ostremi, drgającemi różanym brzaskiem zorzy— zjawiająca się nagle na widnokręgu czarna burza, a w olśniewającem świetle urwanych jej błyskawic wzywający pomsty niebios z rozwianym włosem król Lear — rozhukany ocean, szeroki widnokrąg — słowem, każde zjawisko uderzające wzrok i myśl widza jakąś nadzwyczajną mocą, ogromem, siłą, tamuje nam w piersi oddech, wciska się we wszystkie szczeliny duszy, jak rozrastający się korzeń w skalne rozłamy, opanowuje istotę całą zdumieniem i myśl z ciasnego kółka ziemskich rachunków do idealnej wyżyny podnosi. Jakaś struna, zwykle spokojnie w duszy drzemiąca, w tej chwili drgać w nas poczyna i dzwoni cicho, ledwo dosłyszalnie, a jednak potężnie jakiemiś nieziemskiemi tonami, jakich w wirze i zamęcie codziennego życia w sobie nie słyszymy.

Naturalnie, że zasoby tej potęgi nietylko w świecie zewnętrznym się znajdują, ale także i to głównie przesuwają się olbrzymiem pasmem przez głębiny duszy ludzkiej. Silny i niezłomny charakter, wielki umysł obejmujący szerokie horyzonty, jakieś chwilowe błyski, przerzynające pomrok duszy, owe u natchnionych wieszczów wielkie jaśnienia myśli, wspinającej się nad świat cały, uniesienia i ekstazy świętych, całą siłę duszy w siebie chłonące, nadzwykłe podniesienia i napięcia woli u bo-

haterów — to są majestatyczne kształty tej psychicznej potęgi. Nawet w nerwach, w ich niezwykłem napięciu ta potęga ujawnić się może, choć rzadko. W najsilniejszym występie samych nerwów na arenę, czuje się często tkwiącą wewnątrz bezsilność. Kobieta blada, z roziskrzonemi oczyma, trzęsąca się w uniesieniu wszystkiemi nerwami, rzadko kiedy potężne wrażenie wywoła, bo instynktownie się czuje, iż ta siła rozpłynie się po kilku chwilach w łzy i uśnie w omdleniu.

Głównym takim przejawem psychicznej potęgi, wkraczającej najczęściej w sztukę jest namiętność. Jest w każdej namiętności jakieś olbrzymie igrzysko sił psychicznych, jest to wrząca lawa, jakby fala płomieni, która cały budynek istoty ludzkiej zalewa i wtedy słychać trzaskanie wiązadeł i rozsuwanie się spójni, a w czerwonem tem świetle płomienia zjawiają się nagle przed oczyma obserwatora nieznane w zwyczajnych chwilach skrytki, tajnie i zakamarki ludzkiego budynku. Namiętność jest potęgą i to potęgą w najdodatniejszem tego słowa znaczeniu, nawet pod względem etycznym. Każdy czyn wielki na namiętności się opiera, wkracza ona nawet w to moralne arcydzieło, jakiem jest świętość. Lecz jak rzecz każda, choćby najlepsza, przez przekroczenie złotej miary, przez wyuzdanie staje się złą, tak i namiętność, kiedy targa wszystkie szlachetne węzły, kiedy depce przyrodzone i nadprzyrodzone prawo, kiedy burzy wszystko dokoła, staje się zwyrodniałą i zdrożną. Nawet i w tem złowrogiem burzeniu nie jest namiętność pozbawioną estetycznego interesu, ale to, co się w niej podoba, to nie jest zdrożność i wyuzdanie siły, ale siła sama, która mogła być do dobrego użytą. Wydrożenie to namiętności z dodatniego jej stanowiska w kierunku występku, jest w sobie słabością, a nie siłą, a w skutkach sprowadza zawsze niemoc i bezsilność i rzuca tysiączne ofiary w bezdenną przepaść. Na dnie tej przepaści pozostaje po wspaniałem zjawisku, które jeszcze przed chwilą wzbudzało podziw swą potęgą, tylko garść rozchodzącej się piany i siny rozkład trupa. A niemoc, bezsilność i nicość są zaprzeczeniem potęgi.

Naszkicowaliśmy obraz potęgi artystycznego motywu, aby

w ten sposób umożliwić sobie bliższe jej określenie. Z wyjątkiem chyba ostatniej etycznej uwagi, rozróżniającej w namiętności siłę od niemocy, niema jeszcze dotychczas między nami a p. Przybyszewskim żadnej istotnej różnicy zdań. Dopiero teraz zaczynają rozchodzić się drogi.

Rozumowanie p. Przybyszewskiego, że sztuka nie jest odtworzeniem piękna, lecz odtworzeniem potężnych przejawów życiowych, jest najpierw olbrzymiem skurczeniem i ograniczeniem sztuki. Byłby to zupełnie identyczny z tem rozumowaniem wypadek, gdyby ktoś z rozgałęzionego drzewa odciął jedną gałązkę i ją za samo drzewo chciał podstawić. Porównanie jest dokładne, bo potęga tak, jak ją powyżej opisaliśmy, nie jest czem innem, jak wzniosłością, a wzniosłość znowu jest jedną z gałęzi piękna.

Pojęcie potęgi jako wzniosłości, a wzniosłości, jako odcienia piękna jest najprostszym estetycznym pewnikiem tak jasnym, jak podstawowe pewniki matematyczne, a tak prostym, iż zwykłe doświadczenie życiowe każdego człowieka, odczuwającego piękno, prawdziwość jego stwierdza. Czyż wobec zjawisk potężnych nie doznajemy jakiegoś wzniesienia duszy (stąd wzniosłość), a czyż razem z tem podniosłem uczuciem nie jest złączona nierozdzielnie ta estetyczna rozkosz, jaką piękno daje?

Byłoby jeszcze pół biedy, gdyby teorya taka była tylko ograniczeniem sztuki. Ograniczenie takie, jak wogóle każde skarłowacenie, byłoby widocznym znakiem upadku, ale ostatecznie i w skarłowaciałej sztuce jakiś odcień artyzmu mieścić się może. Gorszem jest to, że hipoteza taka jest w sobie sprzeczną, jest niemożliwą utopią i chimerą, wynikającą tylko z nierozumienia rzeczy. Porównaliśmy poprzednio wzniosłość i piękno z gałęzią i drzewem, — otóż porównanie to pod jednym względem szwankuje. Gałąź można ostatecznie od drzewa odciąć, a wtedy stanowi ona jedną w sobie, niezależną od drzewa całość i zaczyna mieć swoje niezależne od wspólnego pnia prawa i warunki. Tymczasem odcienia wzniosłości od wspólnej zasady piękna żadną miarą odłączyć nie można, bo stanowią one jedną nierozerwalną istotę. Każde wzniosłe zjawisko jest z istoty swojej pięknem samem, przedstawiającem się w formie imponującej

siły. Kiedy więc pan Przybyszewski dwa te pojęcia rozdziela, a nadto po odszczepieniu potęgi od zasadniczego pnia piękna, stawia dla tej potęgi niezależne od piękna prawa, mocą których piękno stoi równorzędnie z brzydotą, to jest to logicznym nonsensem, bo dwa te pojęcia: wzniosłość i piękno, mają tę samą nierozdzielną istotę, a co za tem idzie, mają też jedno, wspólne, to samo prawo.

Krwawa ta a bezowocna operacya, na pojęciu piękna dokonana, miała rozwiązać p. Przybyszewskiemu ręce od wszelkich praw, jakiemi piękno się rządzi. A więc odpadły zaraz w jego opinii zobowiązania artysty względem harmonii fizycznej i moralnej duszy, więc wszystkie przejawy duszy, dobre czy złe, brzydkie czy piękne, są wedle niego dla artysty równomierne. Cały ten niefortunny manewr estetyczny jest psychologicznie bardzo zrozumiały. Każdy dorabia sobie teoryę nietylko wedle swego talentu, ale i wedle swych potrzeb. Pan Przybyszewski chciał na swoje psychiatryczne studya, które z pięknem żadnych, albo przynajmniej bardzo mało wspólnych cech mają, zarzucić purpurowy płaszcz sztuki, trzeba więc było się z tem pięknem uporać, a w jego miejsce jakieś pojęcie *wygodniejsze i szersze, jakiem mu się potęga złudnie zdawała* podstawić...

Pojęcie potęgi ma teoretycznie swoje jasne i określone znaczenie, ale w praktycznem zastosowaniu i ono, jak każda rzecz ludzka, podlega subjektywnym sądom. Wiadomo przecież, że ludzie nieraz upatrują potęgę tam, gdzie powszechne rozumne przekonanie tylko śmieszność albo niemoc widzi. Młody student uważa się za bohatera, kiedy wśród zimy idzie przez ulice z rozpiętym płaszczem, a krakowska przekupka dumna jest ze swego potężnego czynu, kiedy przekrzyczała swoją sąsiadkę. Przypadki takie trafiają się i literatom w ocenie artystycznych motywów. Nie mówimy tu o tej artystycznej wrażliwości, wskutek której pisarz nieraz samą bezsilność i chorobliwą niemoc swego typu bardzo silnie odczuwa i dosadnie ją odtwarza. Wrażliwość taka jest bardzo dodatnim przymiotem i każdy w literackim utworze cenić będzie silne odczuwanie i silne odtwo-

rzenie motywu, jeżeli ta siła jest na swojem miejscu. Idzie tylko o to, aby przy tem silnem odczuciu i odtworzeniu sam motyw zachował tę wartość w sztuce, jaką ma w rzeczywistości, aby bezsilność i niemoc nie była przedstawianą, jako potęga i siła. A takie właśnie przewracanie wszelkich wartości, takie nazywanie białem tego, co jest czarne, przydarza się często p. Przybyszewskiemu, i tak, jak lubieżność nazywa w swoich utworach świętością, tak też skarłowacenie, zwyrodnienie, płaskość i bezsilność moralną i fizyczną, które tylko wstręt lub litość budzić mogą, w takiem przedstawia oświetleniu, jakby w nich jakaś rzeczywista siła i potęga spoczywała. I w zbrodni może być siła, ale silnych zbrodniarzy p. Przybyszewski prawie nie zna. Typy jego są to przeważnie niezdolne do czynu maniaki, histerycy, obłąkani, ludzie nadto w całem tego słowa znaczeniu płascy, obracający się wyłącznie w nędznej atmosferze seksualnej — ludzie, na których ani popatrzeć nie warto, a dość jednego powiewu, aby rozsypali się w nicość. I to jest ta potęga duszy, to są owe potężne psychiczne przejawy, o których p. Przybyszewski mówi w swojem *Confiteor*. Jeżeliby ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości, czy p. Przybyszewski jest w rzeczywistości dekadentem, to już to samo zniżenie potęgi i siły do poziomu zwyrodniałej niemocy, o tym jego charakterze przekonać go powinno.

Hipotezy, dążące do ustawienia sztuki poza pięknem, bywały różne; niedawno jeszcze twierdzono, że wyłącznem zadaniem sztuki jest naśladowanie natury; dziś słyszy się często, iż sztuka jest po to tylko, by odtwarzała prawdę życiową. Twórcy tych i innych hipotez brali zawsze jakiś rys sztuki, najbardziej duchowi danej epoki odpowiadający, i podstawiali go za sztukę całą. Dopóki taka częściowa sztuka była w rękach wielkich artystów, którzy poza niedokładną teoryą mieli prawdziwie artystyczną duszę, tak długo powstawały utwory wielkie, prawdziwe arcydzieła piękna, którym dana teorya dodawała tylko indywidualnego zabarwienia, była jakby charakterystycznem znamieniem, po którem jedną epokę sztuki od drugiej rozróżnić można. Ale w rękach epigonów, którzy zamiast

poczucia piękna mieli tylko teoryę, wadliwość tej teoryi pokazywała się zaraz — sztuka stawała się martwą ilustracyą formułek, ciasnem płótnem, na którem kilka rysów przez teoryę dozwolonych tak długo rozmazywano, aż wreszcie zjawiać się na niem poczęły przerażające bohomazy. Jakiekolwiek jednak były następstwa, teorye takie miały często jakąś cząstkę słuszności, a ta cząstka wnosiła czasem w sztukę nowy powiew życia. Niniejsza natomiast formułka, że sztuka jest odtworzeniem potężnych przejawów życiowych, jest nieużyteczną sofisteryą, pozbawioną jakiejkolwiek wartości i żywotności. Pomijamy już tę racyę, iż p. Przybyszewski rozumie pod potęgą to, co jest zaprzeczeniem potęgi. Bierzemy słowa ściśle tak, jak powszechne ich rozumienie brać je każe, a w tem rozumieniu potęga jest od piękna nierozdzielną, bo jest w istocie swojej pięknem. Stąd twierdzenie, że sztuka nie jest odtworzeniem piękna, ale odtworzeniem potęgi, samo z sobą stoi w otwartej sprzeczności, i to co w jednej połowie zdania zaprzecza, to w drugiej utrzymuje.

A zatem stoimy znowu na gruncie piękna.

Kiedy ta próba wyzwolenia sztuki z pod panowania piękna zawiodła, nic dziwnego, że i inne twierdzenia, które na niej, jak na podstawie wspierać się miały, chwieją się i rozsuwają. A najpierw upada twierdzenie, że wszystkie przejawy duszy, brzydkie czy piękne, dobre lub złe, są wobec sztuki równomierne. Iż są artyści, którzy wszystko równą mierzą miarą, to jest niestety faktem; idzie tylko o to, czy ci artyści są w swojem prawie, czy postępowanie takie nie jest istotnym błędem przeciw sztuce i jej wypaczeniem?

Co do brzydoty, to rzecz chyba sama z siebie bez dalszych wywodów jest oczywistą. Jeżeli celem i przedmiotem sztuki jest piękno, to już na mocy logicznego przeciwieństwa wynika, że nie będzie tym celem i przedmiotem brzydota, że więc brzydota i piękno nie są objawami dla sztuki równomiernemi. A złe i dobro? Pisaliśmy już o tem kiedyindziej, ale pozwolimy tu sobie jeszcze na krótką refleksyę. Jeżeli już p. Przybyszewski mówi o równomierności artystycznych motywów, to mimowoli nasuwa się pytanie, co jest miarą dla artysty, na mocy

której objawy złe i dobre za równomierne uważa? I psychologicznie rzecz biorąc, inna rozumna racya nie da się wymyślić, jak ta, że zarówno objawy złe jak dobre, przypadają mu do upodobania i odpowiadają jego artystycznej naturze. Zachodzi wtedy prawidłowa zgodność motywu z naturą artysty, wskutek której motyw nęci i pociąga ku sobie jego duszę. Miarą więc jest dusza artysty, a sposobem, w jaki się to mierzenie odbywa, jest zgodność lub niezgodność danego przedmiotu z tą duszą. Czy teraz dusza każdego artysty jest miarą odpowiednią do oceny wszystkich artystycznych motywów? Weźmy dla przykładu znakomitego artystę-muzyka, który od pierwszej chwili swego życia jest ociemniałym, a wskutek tego niema najmniejszego pojęcia o kolorach. Gdyby muzyk ten utrzymywał, że tylko motywy przejawiające się w dźwięku mają jedyną racyę bytu w sztuce, a motywy kolorystyczne są jej karykaturą, to każdyby chyba ruszył ramionami, że ślepy prawi o kolorach. Stawmy sobie jeszcze przed oczy inny wypadek. Przypuśćmy, że istnieje jakiś malarz wiejski, noszący w piersi iskrę prawdziwego talentu, któremu jednak brak wszelkiego artystycznego wykształcenia. Artysta ten maluje obrazki, wiszące pod pułapami wiejskiemi, a rojące się od postaci pyzatych, nasrożonych i najniezgrabniej powykręcanych. W rysunku mógłby uderzać jeden, drugi rzut świadczący o talencie, ale całość byłaby bohomazem i mówiłaby o braku wszelkiej faktury. Gdyby teraz ten artysta był z całości swego malowidła zadowolony a nawet lubował się w nienaturalnej niezgrabności rysunku, czyżby upodobanie takie świadczyło o słuszności jego artystycznej miary? Otóż te i inne przykłady, nawet nie urojone ale rzeczywiste, którychby można tysiące przywieść, udowadniają aż nadto jasno, że nie każdy artysta jest zdolny do mierzenia wartości artystycznych motywów, i że często w tej ocenie mylić się może. Wypływa również dalej, że do takiego uzdolnienia, musi artysta posiadać naturę ludzką w pełni swych władz, w pełni rozwoju, doskonale wykształconą. I tu już stoimy w miejscu, gdzie nierównomierność zła i dobra wobec sztuki jest widoczną. Najistotniejszą częścią natury ludzkiej pełnej, rozwiniętej i wy-

kształconej, jest moralne poczucie, które ze wstrętem odwraca się od zła, a z upodobaniem zwraca się ku dobru. Więc złe i dobre wobec pełnej i normalnie rozwiniętej natury ludzkiej, a tem samem wobec doskonałego artysty i prawdziwej sztuki, równomierne nie są. Że najlepsi nawet artyści z tą normą nie zawsze w zgodzie byli, świadczy to tylko, że i oni mieli chwile, w których stali niżej poziomu tej normy.

Dla uzupełnienia tego rozumowania podstawmy pod powyższe wywody równoznaczne im wartości. Zgodność artystycznego motywu z prawidłową naturą ludzką, o której mówiliśmy powyżej, jest tylko swobodnem omówieniem ścisłej definicyi piękna, jak ją u niektórych estetyków czytać można: „Piękno jest to prawidłowość przedmiotu zgodna z wewnętrzną prawidłowością naszej natury". Jeżeli więc prawidłowość ta jest nierozdzielną od dobra, wynika zatem, że dobro i piękno w sferze przynajmniej moralnej zlewają się w jedno. A wobec tego twierdzenie o artystycznej równomierności dobra i piękna z brzydotą i złem uzasadnionem chyba nie jest [1].

Zapewne sztuka prawdziwa jest szeroka jak świat i wszystkie objawy, nawet brzydkie i złe, odtwarza, ale bynajmniej nie równomiernie z pięknemi. Jest to rozszerzenie widnokręgu sztuki, jakie rozsądnemu realizmowi zawdzięczamy. Idealizm, jeżeli kiedy o złe lub brzydotę potknął się, to tylko przez widoczną pomyłkę; czysty i szlachetny wybiegał w wszechświat i nieskończoność, by wszystkie blaski i tęcze gromadzić. Szukał on naokół siebie tylko czystego złota, jakiem jest piękno, a jeśli to złoto znaj-

[1] Twierdzenia tego rodzaju błąkają się jeszcze czasem po łamach naszej literackiej krytyki. Zdziwiło nas bardzo, że nawet taki wybitny pisarz jak p. Porębowicz, teoryom takim hołduje. W ocenie książki p. Zdziechowskiego w ostatnim zeszycie *Kwartalnika historycznego*, streszcza p. Porębowicz swoje estetyczne przekonania w tych słowach: „Dla wyraźnego zaznaczenia własnego stanowiska wyznać musimy, że duchowość i cielesność, piękno i brzydota, złe i dobre, prawda i złuda, słowem wszystkie objawy bytu będące odbiciem nieskończoności i w stosunku do niej sobie równorzędne, posiadają w sztuce zupełne równouprawnienie i wartość estetyczną równą". Ciekawi bardzo jesteśmy, jakby nam p. Porębowicz udowodnił, że brzydota, złuda i złe są odbiciem nieskończoności.

dował w połączeniu z innym poślednim kruszcem, to wytapiał je i oddzielał i do sztuki swojej tylko czyste złote bryłki wnosił. Naturalnie że sztuka taka jest szlachetniejszą od innych kierunków i swojemu celowi, jakim jest odtwarzanie piękna, najbardziej odpowiadającą. Jedna jest tylko przy sztuce tej niedogodność, że wymaga bardziej, niż inne, wielkich talentów. Wymaga ona najpierw olbrzymiego a subtelnego poczucia piękna, ażeby nawet najmniejszy jego pyłek w kurzawie brzydoty zmącony wyróżnić, wymaga wielkiej a pogodnej miłości, którąby świat cały bez samolubstwa ogarniała, wymaga wreszcie niezwykłej twórczości, ażeby przy tem wyróżnianiu piękna z innych objawów nie stanąć w sprzeczności z ogólną harmonią i prawdą życiową. Idealizm w rękach literackich miernot stał się też pustą i czczą fantasmagoryą, oderwaną najzupełniej od życia, a tem samem i od serca ludzkiego. Była to fantasmagorya świetna, ale tylko na pozór, złożona z samych księżyców, gwiazd, marmurów, opali i ametystów, ukrytych galeryj i krużganków, po których snuły się bez wielkiej myśli i celu tajemnicze królewny i w złocistych szyszakach rycerze, otoczeni dokoła całym orszakiem niemożliwych przygód, sytuacyj i nadzwyczajnych zjawisk. W tym stanie rzeczy wystarczało wziąć w rękę słownik, wypisać z niego wszystkie kosztowne i bogate wyrazy, skombinować sobie jakąkolwiek możliwą, czy niemożliwą sytuacyę, w którejby głównym żywiołem były upiory lub tajemnicze jakieś istoty, a potem całą tę bezładną kupę kosztowności, klejnotów i nadzwyczajnych wydarzeń, przy pomocy niekrępującego się żadnym sensem patosu, złączyć pierwszą lepszą, przygodną myślą w jedną całość [1]. — Reagujący przeciw temu niedołęstwu realizm, miał znowu swoje inne złe strony. W imię zgody z rzeczywistością zaczęto zsypywać w sztukę wszystkie gruzy i rumowiska, wszystkie brudy i śmiecia ludzkości. Pod wpływem materyalistycznych doktryn zapomnieli realiści o szlachetnych stronach człowieka i upatrywali w nim, jako jedynie rzeczywiste zjawisko, tylko

[1] Ten kiepski idealizm jest co do zewnętrznej swej formy jedną z cech krakowskiego dekadentyzmu. Mówimy, że tylko co do zewnętrznej formy, bo wewnątrz pod tą patetyczną pstrokacizną siedzi naga dusza.

„ludzkie zwierzę". To zwierzę zaczęli artyści ścigać z notesami do obserwacyjnych zapisek i z aparatem fotograficznym w ręku, rozbijali się za niem po wszystkich norach nędzy, zbrodni i występku, aby jak najwierniejszą zdjąć z niego podobiznę. Akty kryminalne i zapiski psychiatrów stały się głównym kodeksem sztuki. Wytworzył się w końcu formalny cech rzemieślników, ludzi o miernym talencie, bez wielkiego serca artysty i bez artystycznej wyobraźni, niemających najmniejszego pojęcia o twórczości i o pięknie, a zapełniających tomy całe nudnem odtwarzaniem płaskiej rzeczywistości.

Naturalnie, że wszystkie te komedye z ludzkiem zwierzęciem, cała predylekcya do brudów i podłości, niewolnicze wreszcie i martwe kopiowanie rzeczywistego życia, dodatnich przymiotów sztuki nie stanowią. Ale tkwi w realizmie poza temi zboczeniami jedna myśl mądra — ta mianowicie, że jest on rozszerzeniem sztuki co do zgody z rzeczywistością i co do większego uwzględniania prawdy życiowej. Błędem w najidealniejszym nawet realiźmie jest to, że odtworzenie to prawdy życiowej kładzie za wyłączny cel sztuki, podczas gdy odtwarzanie takie może być tylko jednym z jej środków. Artysta prawdziwy tę cząstkę prawdy w realizmie tkwiącą przyjmie na swoją własność nie będzie już wyprowadzał na scenę abstrakcyjnych zasad, przebranych tylko w nazwiska i kostyumy ludzkie, ale ludzi żywych, a tych ludzi żywych nie będzie przedstawiał znowu jako aniołów, w których ani cienia ludzkiej natury niema. Przy uwzględnianiu tem rzeczywistości nie zapomni jednak, że celem jego jest odtwarzanie piękna i że uwzględnianie to prawdy życiowej powinno się w ten sposób odbywać, by nie wykluczało twórczości. Postulat prawdy życiowej będzie mu przypominał w czasie twórczości na dwie rzeczy, najpierw, aby odtwarzanie piękna nie dokonywało się wbrew prawdzie życiowej i jej kosztem, a następnie, aby odbywało się na tle prawdy życiowej. Różnica pomiędzy tak pojętym artystą a idealistą byłaby ta, że kiedy idealista grawituje w kierunku wyłącznego piękna i to piękno troskliwie z wszelkich innych przypadłości izoluje, artysta, pamiętający o prawdzie życiowej, bierze żywiołową rudę,

w której złoty kruszec piękna w połączeniu z innemi kruszcami mieści się, całą, szlifuje ją tylko i kształtuje harmonijnie i tak ją w swojej sztuce ustawia, ażeby na pierwszym planie stało piękno, ażeby blask złotych żyłek najpierw w oczy wpadał, a inne przymieszki służą do tego, by ten efekt świetlny piękna podnosiły. W ten sposób sztuka odtwarza życie całe, wszystkie objawy dobre i złe, brzydkie i piękne, ale bynajmniej nie równomiernie. Wyłącznym celem sztuki pozostaje piękno, a złe, brzydota, płaskość i pospolitość grają tylko rolę pomocniczą i siłę i potęgę piękna uwydatniają. Do dalszej już artystycznej techniki, każdemu artyście indywidualnej, należy, w jaki sposób trzeba te pomocnicze motywy w sztuce ustawić, czy żeby zwiększały blask piękna na mocy kontrastu, czy, żeby wydobywały jego siłę przez ścieranie się z niem i walkę, czy nawet, aby przy pozornym zaniku piękna, przez własną katastrofę, która zawsze jest zła i płaskości udziałem, jego wartość uwydatniały. Zresztą, jeżeli artysta ma duszę wrażliwą i piękno kocha, to tysiące znajdzie środków, by objawy pięknu przeciwne w odpowiedniem przedstawić oświetleniu. Nie będzie przedewszystkiem ich idealizował, a tam, gdzieby mogły wywołać uczucia pięknu przeciwne, w takiej tylko przypuści je mierze i w takiem ustawi oddaleniu, ażeby tego skutku nie osiągnęły.

Sztuka taka, jak ją p. Przybyszewski w swoim *Confiteor* pojmuje, jest straszną kaleką. Ostatecznie każdy artysta, jeżeli tkwi w nim choć kawałek artysty, czy chce, czy nie chce, mimowiednie i mimowoli koło piękna pracować będzie. Psychologicznie nie można pojąć inaczej twórczości artystycznej, jak tylko wynik upodobania artysty w swoim motywie — a to jest już jeden z rysów piękna. Mogą z pod jego ręki wychodzić karykatury piękna lub nawet jego trupy, ale ostatecznie cała ta praca obraca się koło piękna. Tylko, gdy artysta prawdziwy będzie odtwarzał twarz ludzkości w całości, piękną i w szczegółach sharmonizowaną, artysta idący za teoryą, jakiej p. Przybyszewski hołduje, będzie odtwarzał z całą forsą jeden szczegół, nos lub szczęki tej ogólnoludzkiej twarzy i zrobi je tak wydatnemi, że całość zeszpecą. Więcej nawet. Wobec teoryi, utrzymującej równo-

mierność dobra i zła, piękna i brzydoty, będą z tej twórczości często wychodziły twarze, w których jakiś szczegół poboczny będzie wykończony, ale to, co przy harmonii części z całością stanowi istotę pięknego oblicza, harmonijna linia ust i blask oczu, to będzie stoczone rakiem i odrażające.

Wobec tego, że najbliższym celem i przedmiotem sztuki jest piękno, odpada dalej inne twierdzenie autora o całkowitej niezależności sztuki, całkowite wyjęcie sztuki i artysty z pod wszelkich praw i więzów. Więzy te są wprawdzie bardzo miłe, ale są — są niemi prawa piękna. Jeżeli artysta ma duszę artystycznie doskonałą, to tych praw wcale nie czuje i może nawet o nich nie wiedzieć dlatego, że wedle tych praw instynktownie tworzy. Słusznie dlatego p. Przybyszewski w innem miejscu podnosi, że artysta jest „kosmiczną siłą, przez jaką się absolut i wieczność przejawia". Artysta tworzy, bo tworzyć musi, bo przego do tego wewnętrzna siła, która w tej formie szuka wyładowania na zewnątrz. W tej twórczości myśli artysta tylko o wylaniu na zewnątrz swoich myśli i uczuć, o odtworzeniu piękna, które poznaje i odczuwa — o innych celach politycznych, społecznych, czy wogóle o jakichś ubocznych poza pięknem tendencyach, myśleć nie powinien. I z tego względu ma autor słuszność, że potępia sztukę tendencyjną. Ale z tej niezależności od innych poza pięknem celów nie wynika wcale, że sztuka i artysta są i od praw piękna niezależnymi.

Z tego, jakby spontaneicznego sposobu tworzenia sztuki nie można żadną miarą wnioskować, że sztuka jest sama sobie celem. Ileż mamy w życiu czynności, do których ciągnie silnie nieraz mimo wiedzy sama natura, a które mają poza sobą jakiś cel dalszy, czy utrzymanie osobnika, czy nawet cel społeczny. Tak samo i artysta, choć tworzy, bo tworzyć musi, choć może nawet w czasie samego tworzenia o innych celach poza tworzeniem nie myśli, to jednak dzieło jego, idąc w społeczeństwo, ma swoje społeczne zadanie. To samo, co czuje artysta, odtwarzający piękno, to czuje każdy normalny człowiek... jakaś tęsknota za nieskończonem pięknem rozpiera mu od czasu do czasu piersi. Tylko, że zwykły śmiertelnik nie czuje tak silnie,

nie potrafi zdać sobie jasnej z tego uczucia sprawy, nie potrafi zwłaszcza tego uczucia odtworzyć. Kiedy więc nagle to piękno w pełnej formie i blasku się zjawia, to zaraz jak żelazne opiłki do magnesu, przymyka się do dzieła tego tysiące serc, bo dzieło to w większej lub mniejszej mierze, w miarę ideału, jaki przedstawia i w miarę artystycznego wykończenia zaspakaja chwilowo ich aspiracyę do nieskończonego piękna i wskazuje tej aspiracyi drogę, którą powinna podążać. I to uszlachetniające podniesienie serca ku nieskończonemu pięknu jest celem piękna widomego, a tem samem i ostatecznym celem sztuki. A cel ten jest na wskróś społeczny.

Tak samo, jak nie ma racyi chęć ustawienia sztuki poza społecznym celem, tak samo, a nawet o wiele nieracyonalniejszem jest ustawienie jej poza społecznem życiem swego narodu. Naród przecież jest to społeczność artyście najbliższa, tysiącem węzłów z nim zespolona. Wszystkie nadzieje i zawody, wierzenia i ideały są najbezpośredniej nadziejami, zawodami, wierzeniami i ideałami artysty samego. Ta miłość swojej społeczności, współczująca z każdą szlachetną jej dążnością, jest objawem piękna wybitniejszym od wielu innych objawów, a wskutek tego ma większe, niż inne, prawo do uwzględnienia swego w sztuce. Wobec takiego ideału ucieka się p. Przybyszewski do tak elastycznych i tak wymijających samą istotę rzeczy słów, jak rasa. Że mogą być artyści, którzy nie odczuwają w tym kierunku natchnienia, to rozumiemy dobrze i nie robimy z tego zarzutu, ale tacy artyści nie mają prawa na podstawie swego usposobienia kształtować ogólne zasady sztuki. Podstawienie rasy zamiast narodowości byłoby pomysłem śmiesznym, gdyby nie było smutnym objawem.

Zresztą twierdzeń tych p. Przybyszewskiego o całkowitej niezależności sztuki nie można brać poważnie — nie dlatego, że niema do takich twierdzeń wystarczających racyj, bo teorya ta niema wogóle racyonalnego uzasadnienia, ale z tej przyczyny, że w tym względzie stoi sam ze sobą w otwartej sprzeczności. Już po ogłoszeniu artykułu *Confiteor* pisał p. Przybyszewski w innej rozprawie, że sztuką swoją dąży do „doskonalenia się

istoty ludzkiej przez coraz szersze i głębsze uświadomienie się duszy człowieczej". Czyż w tych słowach nie jest wyraźnie zawartą odnośnia sztuki do jakiegoś celu?—Innym razem, przed szeregiem lat, pisał autor w jednej ze swoich rozpraw („Chopin i Nietzsche") o innym celu sztuki. Nie poruszalibyśmy tej burszowskiej teoryi, jako rzeczy dawno minionej, gdyby nie to, że tej teoryi pozostaje autor jeszcze po dziś dzień w swoich pismach wiernym. „Jest usposobienie w ludzkiem życiu duchowem — pisze tam p. Przybyszewski — z którego sztuka do życia powołaną została i do którego wrócić musi, a to jest rausz w swoich rozlicznych przejawach, jako uciecha z drgania ciała, z intenzywnego upustu sił, z przepojenia i przesycenia się dyonizyjskiem pożądaniem rozkoszy, wulkanicznego wyładowania, mocy i wściekłości. Rausz jest sztuką w jej istocie i w jej powstaniu i rausz musi ona wywoływać, inaczej nie jest nam potrzebną".

I wobec takiej teoryi ma jeszcze p. Przybyszewski odwagę twierdzić, że „działać na społeczeństwo pouczająco, albo moralnie za pomocą sztuki", to znaczy „zwlekać sztukę z jej piedestalu, włóczyć ją po wszystkich rynkach i ulicach", że „to rzecz świętokradcza". Czyż może być większe świętokradztwo sztuki, jak to, które jest popełnione w przytoczonym ustępie? Czyż „sztuka-patryotyzm", najbardziej tendencyjna nie jest jeszcze o całe niebo wyższa od tendencyjnej sztuki seksualizmu? W każdym razie jakikolwiek jest ten cel seksualizmu, jest celem, a wobec tego popada p. Przybyszewski w sprzeczność ze samym sobą, gdy twierdzi, że sztuka jest sama sobie celem.

Prawda — na uzasadnienie tej niezależności podaje autor w swojem *Confiteor* dowód, ale tego rodzaju, iż zdaje się nam, że byłoby dużo lepiej dla jego opinii, gdyby takie dowody zachował był w najtajniejszej skrytce swego umysłu. Podajemy ten dowód w całem jego brzmieniu, by tę osobliwość logiczną przekazać potomności:

„Sztuka nie ma żadnego celu, jest celem sama w sobie, jest absolutem, b o j e s t o d b i c i e m a b s o l u t u - d u s z y".

Najpierw ten absolut-dusza nie ma wiele sensu, bo absolut

ma swoje określone pojęcie jako byt bezwzględny, wszelką doskonałość w sobie mieszczący, a wszelką niedoskonałość wykluczający, a takim bytem nie jest ani dusza osobnicza człowieka, ani jakaś wymarzona zbiorowa dusza ludzkości. Ale mniejsza o to. Chcemy tylko zwrócić uwagę na tę logiczną konsekwencyę, że sztuka jest absolutem, bo jest odbiciem absolutu. Zdaje nam się, że malowidło przedstawiające konia nie będzie dlatego rzeczywistym koniem, że jest odbiciem konia. Fotografia przedstawiająca człowieka nie będzie jeszcze człowiekiem samym, choć jest jego odbiciem. Słowo człowieka, przez usta wygłoszone, duszą ludzką nie jest, ani substancyalności duszy nie posiada, choć jest odbiciem duszy; tak samo i słowo pisane i zbiór słów pisanych, który literaturę stanowi. Pan Przybyszewski w logice i w ścisłem rozumowaniu widocznie silnym nie jest, a wobec tego nie powinien brać się do estetycznych rozpraw, które tych przymiotów wymagają.

Na tem zamykamy refleksye nasze nad *Confiteor*.

* * *

W kilka miesięcy po ogłoszeniu *Confiteoru*, już w czasie pisania niniejszej rozprawy, wpadł nam w ręce nowy artykuł estetyczny p. Przybyszewskiego, pod tytułem: „O nową sztukę“. Z pośród wielu mętnych i błędnych zdań, zaczerpniętych z panteizmu, wpadają w oczy te, w których autor swoją sztukę charakteryzuje. Sztuka ta, wedle tej charakterystyki, usiłuje odtworzyć te stany duszy, które stoją poza świadomością, a metodą jej jest „oddawanie i odtwarzanie uczuć, myśli, wrażeń, snów, wizyj, bezpośrednio jak się w duszy przejawiają, bez logicznych związków, we wszystkich ich gwałtownych przeskokach i skojarzeniach“.

Nie jest zupełnie jasnem, czy teorya ta jest zwrotem twórczości p. Przybyszewskiego w kierunku fałszywych teoryj symbolistycznych, czy określa tylko dotychczasową jego działalność literacką. W ostatnim tym wypadku nie mamy nic do nadmienienia, bo działalność tę oceniliśmy już w poprzedniej

naszej rozprawie [1]. Gdyby to była jakaś zmiana frontu, to lepiej z nasuwającemi się wątpliwościami poczekać, aż rozciągłość tej teoryi rozjaśni się w utworach, wedle niej kształtowanych.

Nie możemy jednak oprzeć się krótkiej refleksyi, jaką nam ostatni ustęp tej rozprawy nasunął. Skarży się tam p. Przybyszewski na tych, co przedstawicielom nowego kierunku tamują drogę i obrzucają ich błotem. Zwrot ten nas bardzo zadziwił. Czyżby p. Przybyszewski po całej swojej dotychczasowej działalności mógł się jeszcze skarżyć na to, że ktoś mu stawia zapory? — Czyż jakikolwiek prawdziwy miłośnik sztuki, który w skarbnicy polskiej poezyi ma najśliczniejsze kształty, dźwięki i blaski, może odczuwać zachwyt wobec chaotycznego stylu i pogmatwanego obrazowania? Czyż wobec tej idealnej wyżyny, na jakiej stanęła polska poezya, wobec jej najszczytniejszych ideałów nie musi się każdy, choćby najliberalniejszy człowiek, odwrócić ze wstrętem od tej dusznej, zaczadzonej atmosfery płaskiego seksualizmu i idących za nim psychopatycznych stanów? A cóż mówić o innych produkcyach p. Przybyszewskiego? Te rzucania na wszystkie strony najbłędniejszemi ogólnikami, wyrwanemi z budaizmu i panteizmu, teorye o względnej moral-

[1] Przeciw tej rozprawie postawił p. Przybyszewski kilka zarzutów. Na te zarzuty nie odpowiadaliśmy, bo były tak powiewne, iż każdy, kto czytał naszą rozprawę uważnie, powinien był je sobie sam rozwiązać. Na jeden tylko zarzut uważamy za stosowne odpowiedzieć. Pisze p. Przybyszewski, że niesłusznie napadam na nagą duszę, bo sztuka nagiej duszy obejmuje także i mistyczną poezyę św. Teresy i innych katolickich pisarzy. Zapewne miał p. Przybyszewski to na myśli, że literatura mistyczna i literatura nagiej duszy stoją poza badającą sferą rozumu. Tak, — ale stoją one na dwu krańcach, które nigdy ze sobą zetknąć się nie mogą. Naga dusza wzięła sferę stojącą niżej rozumu, sferę nizkich i rozkiełznanych instynktów, podczas gdy mistyka wzlatuje w te wysokie sfery, których rozum na ziemi o swych siłach dosięgnąć nie może. Przy nagiej duszy mamy do czynienia z naturą zwierzęcą, rozstrojoną i rozbitą, przy mistyce widzimy naturę rozumną, uszlachetnioną nadprzyrodzonym darem. Naga dusza wyklucza rozum i stoi poniżej niego, mistyka wznosi się ponad rozum, ale rozumu nie wyklucza. Co się zaś twórczości artystycznej tyczy, to bez czystości sumienia, bez świętości życia, bez nadprzyrodzonego daru, ani marzyć nie może o stworzeniu prawdziwej mistycznej poezyi Teres i Janów od Krzyża.

ności, stawianie w chwiejnem świetle wolnej woli i odpowiedzialności człowieka, owe mieszania świętości do rzeczy płaskich a więc profanowanie świętości, owe słynne studya o szatanie, w których szatan zjawia się, jako „dobrotliwy ojciec ludzkości", a Kościół katolicki kosztem objektywnej prawdy staje w świetle ponurem i dziwacznem, owe bezmyślne atakowania narodowości i społeczności sztuki — czyż to jeszcze nie dość powodów do podrażnienia umysłów? A wszystkie te produkcye dokonywane są z taką wyzywającą brawurą, z takiem lekceważeniem wszystkiego, co za obrębem sekciarskiej sztuki stoi, nieraz doprawdy w tak brutalny sposób, że aż dziwić się należy pobłażliwości pism niektórych, które albo milczą, albo w oględny sposób o tej działalności wyrażają się. Zapewne oględność ta ze strony pewnych pism, zwłaszcza przez jakąś chwilę „Czasu" miała być rozsądnem przeczekaniem słoty, po której mogłoby się wypogodzić, ale dziś zaszło tak daleko, że dłużej już czekać nie można. Sztukę każdy miłuje, nowość zawsze jest pociągającą, talent każdy ceni i życzy mu z duszy i serca najpiękniejszego rozkwitu, ale kiedy sztuka ta idzie na bezdroża, kiedy nowość ta jest anemiczną i zwyrodniałą starością, kiedy talent ten idzie w wstecznym i przewrotnym kierunku, to społeczeństwo powinno wziąść się do obrony. Byłoby to znakiem najwyższego niedołęstwa, gdyby ktoś, w spokoju pozwolił burzyć sobie to, co jest mu miłe i drogie, a w czem wartość niespożyta spoczywa.

Ks. J. Pawelski.

LUD WESOŁKÓW W DAWNEJ POLSCE.

(Dokończenie).

VIII.

Konik zwierzyniecki jako chwistowska igraszka.

Hipotezy o genezie lajkonika, — Puchery i koniarze wielkanocni. — Translacya lejkonika z misteryum wielkanocnego do dyalogów o Bożem Ciele, rozpowszechnionych w Polsce przez OO. Jezuitów.

W Krakowie istnieje obchód konika zwierzynieckiego, uprawiany corocznie przez spadkobierców bractwa włóczków zwierzynieckich; uważamy go za spadek po naszych średniowiecznych chwistach i dziedzictwo misteryów klasztornych.

Atmosfera romantyczna niedawno minionej przeszłości upstrzyła zwyczaj legendą na tle faktu historycznego, wiążąc go z napadem Tatarów na Kraków. Pomysł opowieści stworzył Konstanty Majeranowski w r. 1820 [1], lecz oddajmy słuszność prawdzie i powiedzmy, że wyznał on przytem zupełnie szczerze istotny stan rzeczy, mówiąc: „dzisiejszy jeździec na koniku liczy około lat 60, pełen żywości i zapału młodzieńca, nazywa się Kulisiewicz i jest jednym z przedniejszych włóczków. Rozmawiałem z nim kilkakrotnie, dopytując się skwapliwie o źródło tego obchodu, lecz tyle tylko był w stanie mnie nauczyć, że zwyczaj ten jest bardzo dawny, podobno jeszcze od najazdów tatarskich istniejący“.

[1] *Pszczółka krakowska,* t. II, str. 195 i nast.

Wyznanie Majeranowskiego nie uprawniało jednak tych, co o koniku zwierzynieckim pisali, brać liczmany fantazyi za brzęczącą monetę. Odtąd to we wszystkich dotyczących pracach, zacząwszy od Ł. Gołębiowskiego [1] a skończywszy na najświeższej książeczce, wydanej staraniem Towarzystwa miłośników historyi i zabytków Krakowa i napisanej przez p. Walerego Eljasza Radzikowskiego [2], tuła się nieporadnie owa legenda, aczkolwiek niepotrzebny to, bo nieprawdziwy i zupełnie fantastyczny przydatek.

Józefa Szujskiego, który nie wierzy w tradycyę historyczną, zastanawia okoliczność, że lajkonik schodzi się z uroczystością Światowita, objeżdżającego świat konno [3]. Jakkolwiek za taką hipotezą przemawiałyby niektóre zabobonne zwyczaje, zachowane dotąd u ludu krakowskiego, jak zwyczaj zatykania czaszek końskich na kołkach płotów, kładzenia ich pod żłoby dla ochrony zwierząt domowych od chorób i czarów, jazda parobków na kiju lub drewnianym koniu i t. p. [4], to jednak pogański obyczaj nie mógłby się utrzymać, gdyby mu Kościół nie nadał innego znaczenia w duchu katolickim, nie przetopił na inny kruszec.

Z innemi hipotezami, jak z dosyć wesołą prof. M., który w *Öster. Monarchie in Wort und Bild*, dawnym Germanom krakowskim każe jeździć na „Leibpferdach“ po Zwierzyńcu, chyba że nam liczyć się nie potrzeba, ale ponieważ wytłumaczenie obchodu krakowskiego przedstawiało się, jako kwestya sporna i zawiła, usiłować będziemy zapatrywanie nasze poprzeć rozbiorem i bliższem nieco jego rozpatrzeniem:

Co do samej postaci jeźdźca na koniku zwierzynieckim i jego czynności wiemy, że przybiera strój wschodni, dzwoneczkami obszyty, turban wdziewa na głowę, do ręki bierze

---

[1] „Gry i zabawy“, str. 98. — J. Łepkowski, „Przegląd krak. tradycyj, legend, nabożeństw i t. d.“. Kraków 1866 i inne.

[2] „Konik zwierzyniecki“ w „Bibliotece krakowskiej“, nr. 7.

[3] Dzieła, tom dod., str. 36.

[4] Kolberg, „Lud“, ser. v, 276.

buławę sierścią wypchaną[1], że błaznowaniem, harcem i tańcem na drewnianym koniu, bawi tłumy, które nieobrażone jego nierzadko dotkliwemi razami, cieszą się jego igrą i sztuczkami. Nie dowcipkuje, nie szermuje językiem, ale mimiką, ruchami ciała wywołuje szczery śmiech ludu krakowskiego. Jest to zatem w pojęciu średniowiecznem m i m u s czyli c h w i s t. Zbiera też jałmużnę po drodze od ludu, aby włóczkowie po igrach jego kończyli obrzęd ucztą i zabawą.

Jazda chłopa na struganym koniu, tak zwanym koniku, nie jest wcale odosobnionem zjawiskiem. Otóż w dalekim Tyflisie w Georgii, obchodzony bywa podobny zwyczaj konika w drugie święto wielkanocne[2]. Ale co więcej w samem Krakowskiem istnieje po wsiach w kwietnią niedzielę zwyczaj objazdu parobka na drewnianym koniu[3]. Usmolony chłopak, przepasany powrósłem, z długim ogonem słomianym, śpiewa, recytując. Siedząc na lasce z wystruganym koniem objeżdża chaty i prawi wiersze o zaprzedaniu Chrystusa przez Judasza i śpiewa o swym koniku, że:

Z kija brzozowego,
Siodełko do tego
Z wiechcia grochowego,
Uzdeczkę do tego
Z łyka wierzbowego.

Okres czasu obchodu to właśnie okres misteryów wielkanocnych, a dalej wskazuje także na pochodzenie nazwa obchodu: p u c h e r y *(pueri)*, to znaczy, że obchód nie jest utworem ludu, ale, jak powiada Kolberg, „przeszedł on od żaków szkolnych i upowszechnił się wśród wiejskich zagród".

Zresztą i komedye zapustne pozostawiły w podobnej zabawie ludowej swe ślady. Mianowicie w Ropczyckiem chłopak wiejski siada w zapusty na drewnianego rumaka, dmie co się

[1] W najnowszym czasie zaczął używać buławy drewnianej.
[2] O. Kolberg, „Lud", ser. v, 303.
[3] Tamże, v, 302, 275.

zowie w trąbę i hasa po drogach wiejskich, zbierając datki u progu chaty [1].

Istnienie konika zwierzynieckiego jest związane przedewszystkiem z klasztorem Panien Norbertanek na Zwierzyńcu. Jedyny i w tym względzie mający dosadne znaczenie dokument z 27 marca 1816 r., powiada w zeznaniu włóczków zwierzynieckich: „a nawet odbywanie konika zwierzynieckiego następuje przez jednego z naszych członków za wynagrodzeniem, z łaski ksieni zwierzynieckiego klasztoru pobieranem“ [2]. Ustęp ów wskazuje na ścisły związek i wyłączną zależność obchodu od klasztoru, co jeszcze objaśnia i rozszerza Oskar Kolberg wiadomością, „że konik zwierzyniecki przez włóczków dawniej jedynie w obrębie dziedzińca i okolicy klasztoru PP. Norbertanek się popisywał, skąd panna ksieni wysyłała go na uczczenie do biskupa [3].

Obchód odbywa się w oktawę Bożego Ciała, to drugi fakt i dowód jego początku w religijnym obrzędzie.

Uroczystość Bożego Ciała, do której impuls dała zakonnica Julianna w Liège w XIII. wieku przez objawienie otrzymane we śnie, wprowadził dopiero Klemens V. na synodzie w Vienne roku 1311.

Że u nas uroczystość Bożego Ciała przyjętą została z żywem zainteresowaniem się ludności, posłużą za dowód pieśni polskie znane już z połowy XV. stulecia i śpiewane podczas tego święta [4].

W rękopisie insbruckim z roku 1391 przechował się dyalog niemiecki, związany z uroczystością Bożego Ciała; w nim występują postacie Adama i Ewy, dziękując Zbawicielowi za wybawienie z czyśca, następnie prorocy i apostołowie, potem

---

[1] Seweryn Udziela, „Lud polski w Ropczyckiem“ (Zbiór wiad. do antrop. kraj., XIV, 67).

[2] „Bibl. krak.“, nr. 7.

[3] „Lud“, v, 305, przyp. 1.

[4] Por. dr. Nehring, *Altpolnische Sprachdenkmäler*. Berlin 1886, rozdz. VI. *Frohnleichnamsfeste,* str. 189.

św. Jan Chrzciciel i trzej królowie, z których Melchior wypowiada te słowa:

Ich bin Melchior genannt
Und bin von Saba her gerannt
Auf meinem Dromedario.

Wreszcie występuje w dyalogu papież i ma do ludu przemowę o tajemnicy Transsubstancyacyi [1].

Owe widowiska kościelne bywały również przedstawiane przez nieme postacie, a więc w żywych obrazach [2].

Jeżeli teraz uprzytomnimy sobie postać znaną konika zwierzynieckiego w jego oryentalnym stroju i przedstawionego w misteryach króla Melchiora czy Kaspra, przybywającego na rumaku [3] z dalekiego Wschodu w obrębie murów klasztornych, to musimy przyjść do przekonania, że jest to jedna i ta sama postać. Konik zwierzyniecki nie jest przeto niczem innem, jak przeżytkiem średniowiecznego misteryum, jest chwistem przebranym za wschodniego maga, a że nie mógł on łatwo wjeżdżać między licznie zgromadzony lud w kościele na prawdziwym koniu, używał przeto drewnianej lalki do tego. Owa to lalka nasunęła prof. Łepkowskiemu myśl etymologicznego wywodu lajkonika od lalka-konik. My jednak inaczej o tem sądzimy i wiedząc, że wyraz *lei* oznacza w niektórych okolicach Polski drugie święto Wielkanocne [4], wyprowadzamy stąd wniosek, że zachodzi tutaj przypadek translacyi, mianowicie, że pierwotna kreacya przedstawienia kościelnego: wielkanocnego konika czyli lej-konika przeniesioną zostaje do misteryum oktawy Bożego Ciała.

Misterya wielkanocne późniejszego średniowiecza obejmowały częstokroć nietylko grę pasyjną, ale całość dziejów Zba-

[1] Prof. Creizenach, j. w., str. 227 i 164.

[2] J. w., str. 228.

[3] Księga malarska z góry Atos przepisuje w przedstawieniu trzech królów trzy konie, późniejsze ikonograficzne przedstawienia od czasów Giotta używają na przemian koni lub wielbłądów.

[4] „Wisła", IV, 594.

wienia [1], dlatego wyznaczenie lej-konikowi właściwej roli pozostawiamy odłogiem; nam wystarcza fakt, już przedtem udowodniony, że zwyczaje ludowe okresu wielkanocnego potwierdzają nam jego tutaj dawniejsze istnienie.

Pozostaje nam teraz wyjaśnić stosunek bractwa włóczków do misteryów, jego związek z lej-konikiem. Za przykładem duchowieństwa szukały zabawy w murach kościelnych i odrębnych gospodach bractwa i cechy rzemieślnicze, a niejednokrotnie duchowieństwo należało do bractwa. Kompilacya statutów synodalnych włocławska z roku 1402, wznowiona z początkiem z XVI. wieku postanawiała, żeby duchowni nie brali udziału w zgromadzeniach bractw cechowych, na których dawnym obyczajem bawiono się w większe święta tańcami, lub, jeśliby się tam znajdowali z ważnej jakiej przyczyny, nie powinni dozwalać członkom towarzystwa na tego rodzaju wybryki.

Użala się też współczesny kaznodzieja na owe schadzki cechowe i gani tych, co w bractwa ziemskie, nie Chrystusowe, wierząc, mówią: „Wstąpię do bractwa szewców albo krawców, bo mnie dobrze opatrzą, chowając po śmierci“ i tacy mają się za potępionych, jeżeli za nimi licznych świec nie poniosą [2].

Bractwa średniowieczne podjęły się następnie zadania urządzania widowisk religijnych, spełniały rolę, którą pierwotnie dzierżyło wyłącznie duchowieństwo i żacy szkolni [3].

Z tych powodów bractwo włóczków zwierzynieckich za sprawą zakonnic podjęło wówczas, jak przypuszczamy, zadanie wykonania jednej z ról nieznanych nam bliżej klasztornych misteryów. Z biegiem czasu główny temat poszedł w zapomnienie, ale pierwiastek komiczny, łamane sztuki i figle chwistowskie, zawsze popytne i popłatne, utrzymały się w głównej części aż do naszych czasów. Dyalogi Bożego Ciała mogły ustać zupełnie dopiero z końcem XVIII. stulecia (około 1780) [4], i to będzie

---

[1] W. Creizenach, j. w., str. 91 i nast.

[2] Ks. Jan Fijałek, „Średniowieczne ustawodawstwo synodalne bisk. polskich“. Rozpr. wydz. hist.-filoz. Akad. Umiej. w Krakowie, t. XXX, str. 211.

[3] Prof. W. Creizenach, j. w., str. 138 i i. — Julleville, j. w., str. 4.

[4] Por. rozdz. „Misterya“.

prawdopodobnie okresem usamoistnienia obchodu konika zwierzynieckiego.

Główna zasługa zaprowadzenia dyalogów Bożego Ciała u nas w Polsce należy się OO. Jezuitom i to nie wcześniej jak w drugiej połowie XVI. wieku. Być może, że „Dyalog o najświętszym Sakramencie Ciała i Krwie Pańskiej“, grany r. 1571 przed biskupem i kanonikami krakowskimi, stanowi pierwszy ich początek, potem następują po sobie to dyalog Jezuity Marcina Łaskiego († 1618 r.), dawany r. 1578 wśród ośmiodniowej uroczystości Bożego Ciała, lub znów inny z r. 1580 grywany w Pułtusku na zakończenie nabożeństw Bożego Ciała i t. p. Nawet mimo zakazu biskupa Bernarda Maciejowskiego z r. 1603 grywania dyalogów po kościołach, dyalogi Bożego Ciała potrafiły się utrzymać w dyecezyi krakowskiej, a OO. Jezuici coraz to nowe piszą na tę uroczystość dyalogi [1]. Konik zwierzyniecki mógłby zatem w swej primogenetycznej postaci sięgać nawet pogańskiej epoki, ale przechodzi fazy przemian, wchodzi w skład widowiska wielkanocnego w średnich wiekach, przechodzi w dyalog w XVI. stuleciu i sekularyzuje się w zupełności z końcem zeszłego wieku.

IX.

Błazny.

Pochodzenie i znaczenie nazw błazna, trefnisia, guzmana. — Ubiór i żart błazeński — Stańczyka rodowód i krotochwile. — Koszyrski. — Gąska. — Nadworni panów polskich trefnisie. — Rialto i Winnicki.

Najbardziej rozpowszechnioną, najzrozumialszą i najbardziej charakteryzującą nazwą zawodowych wesołków, tak średniowiecznych jak i późniejszych czasów, jest wyraz błazen lub blazgon greckiego pochodzenia [2], a wspólny wszystkim językom słowiańskim. Znają go czeskie kroniki już w drugiej połowie XIV. wieku [3], znany i u nas w dawnych pomnikach

[1] M. Wiszniewski, „Hist. lit. pol.“, VII, 285—300.

[2] Linde: βλάζω = *stultus sum* — βλὰξ = *stultus*.

[3] Por. *Kronika Dalimilova podle rukopisu cambridgeskeho k tisku upravil dr. V. E. Mourek.* V Praze. Nakładem Czeskiej Akademii. 1892. Str. 63, w. 5

polszczyzny[1]; Knapski łac. wyraz *scurra* tłumaczy błazen i blazgoń, także szyderz lub śmieszek. Między dwoma pierwszemi nazwami istnieje wybitna różnica, bo pierwotny wyraz blazgoń, stoi bliżej głębi średniowiecza i określa sprośnego w mowie głupiego i plugawego wesołka, blazgonić to pleść, co ślina przyniesie, głupio a sprośno gadać.

Wyraz błazen mieści w sobie pierwotne znaczenie głupca i bawi on też istotnie udaną głupowatością, gadaniem bezmyślnem, albo z głupia frant, przy przedrzeźniającej grze wyrazu, nieprzystojnej mimice, a później dopiero zjawia się cel w jego zabawnej gadatliwości, dowcip wyraża już myśl, która utrafia w sedno rzeczy, jeśli skierowana ku osobie ostrą strzałą satyry godzi w najsłabszą jej stronę i okrywa śmiesznością, — stąd „jeden błazen tysiąc błaznów urobi“. Dowcipna owa żartobliwość rodzi dalej wyrazy: trefność, trefnowanie, trefnować tj. dowcipnie przedrwiwać, aż urasta, o ile się zdaje, dopiero w XVI. wieku nazwa trefniarz, trefniś i trefniczek, związana już ściśle z urzędem nadwornego błazna, u którego żart słowny wysuwa się na plan pierwszy, zaś mimika schodzi na podrzędne stanowisko.

Synonimem błazna staje się więc trefniś pomyślany już w postaci uszlachetnionej, ożywionej duchem renesansu. Niemal równocześnie pojawia się nazwa guzman. Linde kładzie nazwę guzman na równi z guślarzem, kuglarzem czarnoksięskim. Według naszego widzenia rzeczy jest wyraz złożony z rzeczownika guz, równoznacznego z karłem (por. Linde) i wyrazu man jako = człek. Stąd widzi nam się prawdopodobniejszem, tłumaczyć ten wyraz nazwą karła trefnisia, który na dworach pańskich był bardzo częstem zjawiskiem.

Pisarz XVI. stulecia, Józef Wereszczyński, powiada w Regule króla chrześcijańskiego: Ilekroć się pysznisz, tylekroć się stawasz błaznem i guzmanem u Boga. Zatem istnieje pokrewieństwo, ale i znaczna różnica w znaczeniu słów obu.

---

[1] A. Kryński, „Glossy w dziele Baltazara Opecia z r. 1522“: „stał się jako błazno jaki“. Prace filolog., II, 670.

Górnicki w „Dworzaninie“ [1] tak charakteryzuje guzmana: „Albowiem ktoby chciał tak skonterfetować ludzie, jako guzman z rozdzieraniem gęby, z wyszczerzaniem języka, nie uszedłby też za innego, jeno za guzmana a bodaj nie gorzej. Bo wżdy guzmanowi, iż to jest jego rzemięsło, i takowy sposób trefnowania przystoi“.

Na trzech miniaturach krakowskiego Kodeksu Baltazara Behema, pochodzącego z pierwszych lat XVI. wieku, zjawia się barwna i wesoła postać błazna; przypatrzmyż się jej bliżej. Ubiór błazna składa się najprzód z kaptura zwanego kuklą, bez dzwonków, z czubem zaokrąglonym i dwoma jakby sarniemi uszami lub z kaptura, suto obszytego dzwonkami, kształtu kulek czy bąbelków metalowych, z czubem śpiczastym i dwoma nadętemi uszami. Kukla błazeńska to widoczny ślad, pozostałość średniowieczna maski czy skóry zwierzęcej, którą chwist nakrywał niegdyś głowę. Suknia błazna na plecach dość obcisła, na piersiach opatrzona klapami wielkiemi, od pasa więcej lub mniej wolna, w biodrach ujęta pasem skórzanym, nabijanym sprzączkami, z torbą włosistą [2]. Rękawy u sukni odmienne, jeden obciślejszy od drugiego, który się rozszerza nadmiernie.

Użycie dzwonków w ubraniu męskiem zwłaszcza u pasa, było już z początkiem XIV. stulecia w zastosowaniu, a ich rozwielmożnieniu musiały w Niemczech położyć tamę ustawy stosowne [3]. Kształt dzwonków był różnorodnym, były bowiem dzwonki kuliste, jak na miniaturach naszych, gruszkowate, jajowate, walcowate lub wreszcie zwykłe dzwonki otwarte z sercem. Czepiano je do pasów rzemiennych, do szarf na ukos przez piersi i plecy przewiązanych, jak i naokoło szyi [4].

Przy rękopisie historyi Szydłowieckich, na miniaturze z wyobrażeniem Szydłowieckiego odbierającego herb z rąk króla, wy-

---

[1] Wyd. Turowskiego, str. 122.

[2] Bruno Bucher w swej publikacyi o kodeksie Behema mylnie widzi perukę zamiast torby.

[3] H. Weiss, *Kostümkunde*, t. I, str. 219. — Alvin Schulz, *Das höfische Leben*, I, 317.

[4] H. Weiss, j. w., I, 222.

malowany jest błazen z psem igrający w szacie długiej, różnobarwnej z kapturem na głowie, u którego również dodane także uszy [1].

Suknia tych postaci błazeńskich jest żółta [2], w kolorze zatem najmniej lubianym, wzgardzonym, bo uważanym za kolor niewiernych Żydów, którzy aż do Zygmunta Augusta żółte czapki nosili dla odróżnienia od chrześcijan [3] lub wyklętych. Wszak *Penitenciados* przyodzianych w żółte *sanbenito* prowadzono na *autodafe*. Jan Kochanowski i Klonowicz [4] dają im suknię szachowaną, jest to widoczna zmiana mody XVI. stulecia.

Nogi ich gołe bez nogawic a u niejednego z nich i bez obuwia, jeno pod pachą kobza, ten dzisiaj szczerze ludowy instrument muzyczny, choć niegdyś ceniony na królewskim dworze a używany jeszcze przez minnesängerów średniowiecznych [5]. Przypominamy zarazem, cośmy już przedtem powiedzieli o dudach i dudziarzach, bo z porównania wynika, iż to niemal jeden i ten sam lud. Dudkować znaczy żarty, śmieszki stroić i błaznować (Linde).

Twarz każdego z owych błaznów na miniaturach Kodeksu Behema ogorzała, głowa ogolona, ciało spalone od wichrów i słońca [6]. Żywo nam też staje przed oczyma ów lud wesoły, na poły żebraczy i na poły rzemieślniczy, z pewnem Dyoge-

---

[1] K. W. Wójcicki, „Obrazy starodawne". Warszawa 1843. II, 163.

[2] W XIII i XIV. wieku „ze wszystkich kolorów najmodniejszy był żółty, ulubiona barwa możnych panien i mężatek, które lubiły zwłaszcza zawoje żółte. Kolor żółty był poczytywany za kolor pański. Na ten kolor powstawali surowo moraliści, poczytując go za oznakę podejrzanej elegancyi. Doszło do tego, że władze kobietom złego prowadzenia nakazywały nosić szaty i obuwie z żółtemi rąbkami, jako publiczną oznakę ich niezaszczytnego stanu". „Wisła", VII, 204, podług dr. Z. Winter i dr. Č. Zirbt *Dějiny, kroje v zemich českých*, ks. III. — Por. również Julleville, j. w., str 147. Kolory, żółty i zielony były kolorami głupców i błaznów.

[3] Aleks. Maciejowski, „Polska", t. II, 147.

[4] „Worek Judaszów" (Wójcicki, 163, 167).

[5] Alvin Schultz, *Das höfische Leben*, wyd. 2, t. I, 560.

[6] Do nich to stosuje się wyraz gołota, używany już w połowie XV. w., określający ich nędzotę w ubraniu (Por. W. Nehring, *Altpolnische Sprachd.*, str. 215).

nesowskiem zaparciem się potrzeb tego życia bez troski, bez jutra.

Nietylko miniatury, ale i literatura polska przynosi nam wiadomości o stroju błaznów. Rej z Nagłowic w „Wizerunku własnym żywota człowieka poczciwego“, maluje strój błazna temi słowy:

Błazenek w kulili z cepami,
Zowią go *stultitia*, a pas okowany,
Uszy jako u sarny, u nich wiszą dzwonki,
A cepy na pstrym kiju z lisiemi ogonki.

Opis to zatem wierny z naszemi miniaturami, tylko zamiast kobzy dzierży w ręku cepy, przezwane z włoskiego *ceppo*, które gdy błazna lud otoczył na ulicy, podnosił w górę i w lewo i w prawo rozdzielał wesoło razy, jak dzisiaj lajkonik zwierzyniecki, a tłum rozbiegał się na wszystkie strony [1].

Również przysłowia przechowały nam częściowo obraz błazna: „Choć w kapturku błazen chodzi, przecie czasem swe wywodzi“, lub: „Poznać błazna i bez dzwonków“, wreszcie: „W błazna kogo postrzec“ [2].

Według tego, cośmy powiedzieli o charakterystycznych cechach ubioru błazeńskiego, przypuszczać się godzi, że wytworzenie ubioru odrębnego trefnisia przypadnie nie wcześniej, jak na koniec XIV. lub początek XV. wieku, tj. kiedy mija doba dzwonków i żółtej materyi na suknię, gdy moda ta staje się śmieszną, i idzie w pogardę. Takiego błazna z dudami, jakiego przedstawiają nam ilustracye polskie, widzimy na starej niemieckiej rycinie z roku 1464 [3].

Czem bawił trefniś królów i panów, w jaki sposób rozweselał ich umysł? — Oto pytanie, na które nam w końcu odpowiedzieć wypada.

Niewątpliwie, że obok sztuk łamanych i kuglarskich, które przejął od dawnych żonglerów, dął na kobzie lub grał na in-

---

[1] Por. również A. Schulz, *Das höfische Leben*, wyd. 2, t. I, 208.
[2] S. Adalberg, „Księga przysłów“, str. 24.
[3] *Jahrbuch der königlichen preus. Kunstsammlungen*, t. VII, 73.

nym instrumencie przyśpiewując sobie wesołe, najczęściej rubaszne piosenki, to znów porzuciwszy muzykę, siadał za stołem wśród grona biesiadników, robił uszczypliwe uwagi o obecnych, trząsł jak z rękawa przypowieściami i przysłowiami lub moralizująco, jak w kazaniu średniowiecznem, opowiadał fraszki lub bajki, dawał zagadki, a chór śmiechu odpowiadał mu od godowego stołu.

Długo świat posługiwał się jedynie starożytnemi bajkami Ezopa, pełno ich u słynniejszych kaznodziei, jak i poważnych rocznikarzy i historyków. We Włoszech już Petrarka rozpoczyna zbierać nowe zasoby dowcipów na modłę Plutarcha, a Franco Sacchetti uczy odpowiedzi dowcipnej błaznów nadwornych i frantów, ale dopiero wiek XV. odradza się w tym względzie i zasila nowemi pomysłami; rodzą się facecye, figliki, anegdotki, fraszki i bajki, jak grzyby po deszczu. Poggio Bracciolini (1380—1459) sekretarz i ulubieniec papieża Mikołaja V. otwiera w piśmiennictwie europejskiem epokę facecyi, która odbija się głośnem, choć późnem, echem w Polsce w anegdotach, sławnego w Polsce facecyonisty Korybuta Koszyrskiego następnie Mikołaja Reja [1], w *Apophtegmatach* Jana Kochanowskiego, lub w facecyach Górnickiego, przepolszczonych z Castigliona.

Ulubionym bohaterem fraszek był we Włoszech Gonella, błazen nadworny książąt Ferrary, był on mistrzem w rodzaju buffoneryi, a dalej słynny facecyonista duchowny Arlotto Mainardi, Florentyjczyk. Jak satyra średnich wieków przybrała charakter ogólnikowy, odnosiła się do stanów i zawodów, tak znów dowcip Odrodzenia staje się samodzielnym czynnikiem i nie zadowalnia się słowem, lecz staje się czynem, stroi figle i odgrywa psoty tak zwane *burle* i *buffe*. Burli zadaniem jest wydobycie jaskrawych kontrastów prawdziwej lub udanej naiwności wobec utartych pojęć; dla podwyższenia komizmu naśladuje mowę gminu, a zamiast istotnego dowcipu używa niekiedy

[1] Por. Jakób Burckhardt, „Kultura Odrodzenia we Włoszech“ (wyd. polskie), t. I, 185 i nast. — Ignacy Chrzanowski, „Facecye Mikołaja Reja“ w Rozpr. wydz. filol. Akad. Umiej., ser. II, t. VIII, 321 i nast.

bezczelnej zuchwałości, ociężałego oszustwa a nawet bluźnierstwa. Były to żarty nielitościwe, które nieubłaganie ścigały i ośmieszały swe ofiary. To też jak już Knapski[1] powiada:

Błazna wszyscy słuchają,
Lecz go za przyjaciela nie mają.

Stańczyk.

Czasy Odrodzenia są już ostatniemi chwilami rozkwitu zawodu błazna; jeszcze świat uważa go za tak potrzebnego do krotochwili, jak doktora dla zdrowia[2] ale zmiana pewna i niezawodna da się już dostrzedz w ich zapotrzebowaniu; mianowicie dawnych kuglarzy i wesołków liczna rzesza ogranicza się do jednego osobnika, tak że przestroga z roku 1504 mówi już wyraźnie: „Dość na jednym błaźnie w domu“[3]. Natomiast sztuki łamane usuwają się na plan drugi, postaci błazna nie wystarczy już zwinność akrobaty i śmieszne wykrzywienie ciała, bo ma uweselić myśli i pracy ująć[4], zatem potrzebny umysł światły a dowcipny, a ten rzadszy, więc droższy. Nic więc dziwnego, że liczba błaznów coraz bardziej maleje, aż póki nie ograniczy się na dworze królewskim, by i tutaj wreszcie w XVIII. wieku zupełnie zaniknąć.

Dwa rodzaje ludzi stały się w czasach renesansu niezbędnymi: ten, który dowcipy tworzył, i ten, który je opowiadał, rzadziej łączyły się oba talenta w jednej osobistości.

Żarty Gonelli nie mają już za cel osiągnięcie zysku, ale są same w sobie celem, dążą do tryumfu, do zadowolnienia miłości własnej autora.

Takim wyobrażamy sobie Stańczyka, który rozwesela dwór Olbrachta, śmieszy za Aleksandra, a potem rzuca w oczy aforyzmy, tchnące duchem proroczym, orszakowi Zygmunta I.

Stańczyk jest dzieckiem krakowskiego ludu, tu kształcił się w szkołach, jak twierdzi znawca wyśmienity źródeł rękopiśmiennych, dr. Władysław Wisłocki, — a więc należy, nie wątpić,

[1] *Adagia Polonica.* W Krakowie 1632 r. (Wójcicki, t. I, 157).
[2] Trzyptycki, „Co nowego abo dwór“ (Wójcicki, j. w., I, 157).
[3] Wójcicki, I, 156.
[4] „Sowizrzał krotochwilny i śmieszny z XVII. w.“ (Wójcicki, I, 157).

do tej rzeszy żaków-dowcipnisiów, którzy piosnką i wierszem, żartem lub nawet sztuką kuglarską zarabiają poza szkołą na chleb i strawę. To zarazem szkoła jego dowcipu.

Idąc za wywodem d-ra M. Bobrzyńskiego, który w pięknej monografii „Stańczyk", skreślił nam żywot i ocenił trafnie znaczenie królewskiego błazna, możemy tylko domyślać się o jego rodowem nazwisku i miejscu, a mianowicie, że urodził się około r. 1470, zwał się Wysotą i pochodził z Sułkowa pod Krakowem, zjawia się w aktach grodzkich w r. 1490 i w r. 1491, dowodzi jako rotmagister pocztem zaciężnym podczas wyprawy na Węgry, boć w obozie wesołe życie:

Nigdy się nie frasują, zawsze się weselą
. . . . . .
Skoro rano to w kobzę, dumy sobie grają,
Jedzą, piją, a drudzy zaś bąki strzelają [1].

Następnie zmienił rzemiosło wojenne na urząd błazna nadwornego, na którym pozostał do końca swego sędziwego wieku, zmarł, zda się, po roku 1566 [2].

„Jakoż to Stańczyk był błazen o s o b l i w y", mówi Marcin Bielski [3], a postać jego, czytając Reja „Zwierzyniec" [4], „z każdym wierszem rośnie i potężnieje w naszej wyobraźni, aż staje przed oczyma duszy w postaci rycerza prawdy" [5].

W obrazku poetycznym, nasz narodowy i wskroś szlachecki pisarz Mikołaj z Nagłowic, wyprowadza na scenę skarżącą się o niesprawiedliwość, opuszczenie i zaniedbanie Rzeczpospolitą, i prywata, jako uosobienie szlachcica polskiego, będącego dobrej myśli o losy królestwa, a z którego oczu wobec skarg Rzeczypospolitej nagle schodzi bielmo zaślepienia, tak że pragnie on

---

[1] W. A. Maciejowski, „Polska", II, 391. Wedle broszury „Zwroczenie Matyasza z Podola". Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że na wyprawy wojenne plebani wysyłali swoich klechów (tamże, 387).

[2] M. Bobrzyński, „Stańczyk". W Krakowie 1883. W 8-ce, str. 8, 15, 10.

[3] „Kronika polska". Wyd. warsz. 1832, t. XVII, 30.

[4] „Biblioteka pisarzów polskich". Wyd. Akad. Um., t. XXX, str. 12.

[5] M. Bobrzyński, j. w., str. 18.

upominać i nawoływać do poprawy. W tej chwili otrzeźwienia zjawia się Stańczyk i odzywa się doń w te słowa:

Wierz mi i ty, Prywacie, iż się próżno wspinasz,
I tę piosnkę, co słyszę, snadź darmo zaczynasz.
Dawno się ta nowinka o uszy otarła,
Byś ty najbardziej wołał, byś miał i trzy gardła.
Wołałciem ja też dosyć, a ledwe kamienie
Iż nie woła; cóż potym, gdy twarde sumienie;
Tak nas bardzo łakomstwo marne poślepiło,
A z nim ono pochlebstwo bodaj się nie zbyło.

Na te słowa Rejowskiego Stańczyka odzywa się Prywat z podziwem:

Nie rozumiem, kto to jest z postawą szaloną,
Ale widzę, iż ma rzecz własną i przestroną;
I zda mi się, że trudno płynąć przeciw wodzie,
Bo widzę, iż nie w jednej ten bywał przygodzie,
I znać, iż świadom ludzi i czasem rozumie,
Choć w szalonej postawie, przedsię mówić umie.
A małobych nie wołał z prawdą szalonego,
Niż z omylną postawą wierę namędrszego.

Po refleksyi „prywata“ objaśnia wtedy „Rzeczypospolita“, jakby wyrazić streszczenie jego działalności i życiowej pracy:

Stańczykci był, lecz mogli Stanisławem go prawie
Przezwać, przypatrując się dziwnej świeckiej sprawie,
Bo się prawdy namówił w szalonej postawie,
Gdyż ci, co im należy, milczą o niej prawie.

A gdzież takich Stańczyków było jeszcze wiele,
Coby plewli obłudność, to wszeteczne ziele,
A prawdę świętą ludziom przed oczy miotali,
A snadź niźli z pochlebstwa więcejby wygrali.

Wreszcie „Prywat“ jeszcze dodaje:

Słychałciem ja gdzieś dawno tak o tym rycerzu,
Iż ten nigdy z nieprawdą nie chciał być w przymierzu.
. . . . . .

Stańczyk nie mówił tylko żart dla żartu, ale w jego dowcipie dostrzegać się daje podkład moralizujący. w treści widzimy

ukryty zamiar wyśmiania złego, tkwi w niej nieraz śmiała satyra, która naraża go osobom najbardziej wpływowym na dworze. Z tradycyi powtarza Jan Kochanowski w *Apophtegmatach* koncept następujący: „Stańczyk powiadał, że niemasz większych łgarzów w Polsce, jeno arcybiskup Gamrat, a Maciejowski, biskup krakowski; bo ów powiadał: ‚wszytko wiem‘, a nie wiedział nic, ten zaś mówił: ‚wiele nie wiem‘, a wszytko wiedział“.

Jeśli sobie przypomnimy wpływową osobę Gamrata, jak wybitne znaczenie posiadał na dworze, a naczelne zajmował miejsce w hierarchii Kościoła polskiego, przyznać się godzi, iż potrzeba było niesłychanej śmiałości, by z tak dosadną i nieubłaganą odezwać się satyrą.

Choć głęboko przywiązany do osoby królewskiej, Stańczyk nie darował i samemu Zygmuntowi, gdy czuł jaką zdrożność lub błąd pańskiego postępku; ot tak opowiada Bielski:

„Z Krakowa ruszył się król do Niepołomic z królową Boną i ze wszystkim dworem, na krotofile: gdzie tam miał niedźwiedzia nad obyczaj wielkiego, którego z Litwy przywieziono w skrzyni: gdy wypuszczono w gaju blizko Wisły, poszczwano go wielkiemi psami najpierwej, które on połamał i pobił i poranił ich o sto. Chłopów było o trzysta z oszczepy, którzy mu nie dali do Wisły. Z przodku był niemężny, ale potem, gdy się rozgniewał oślep bieżał na ludzie. Ożarowskiego herbu Rawicz, podkomorzego królewskiego przewrócił z koniem. Tarło krajczy pieszo chciał do niego z oszczepem, ale mu wydarł oszczep niedźwiedź, iż padł, ledwie go chłopi z oszczepy przypadwszy ratowali, i psy go w nogi w ten czas pokąsali. Puścił się potem tam gdzie królowa stała, która uciekając przed nim, potknął się koń pod nią, spadła i uraziła się, bo była brzemienna. Tamże porodziła bez czasu syna, który pochowan zarazem w Niepołomicach. Stańczyka też błazna przewrócił z koniem w ten czas. A tak by byli nie chłopy z oszczepy ratowali, wieleby był ludzi pomordował.

Król się śmiał z Stańczyka i rzekł mu:

„Począłeś sobie nie jako rycerz, ale jako błazen, żeś przed niedźwiedziem uciekał“.

Na to odparł Stańczyk:

„Większy to błazen, co mając niedźwiedzia w skrzyni, puszcza go na swoją szkodę“ [1].

Była to odpowiedź cięta i ostro strofująca króla za nieoględne i nieprzezorne przypuszczenie królowej do tak niebezpiecznej zabawy.

Gdy Stańczyka raz chłopięta opadły i z niego suknie zdarły, aż uciekł do króla i opowiedział mu swoją przygodę, król go żałował, a on na to: „Bardziej królu ciebie drą, aniż mnie — anoć wydarto Smoleńsk, a przecię milczysz“ [2].

Taka odpowiedź wyjść mogła z ust człowieka niepospolitego, co nietylko miał żart na celu, ale gorącem sercem miłował ojczyznę, a światłym umysłem widział jasno błędy królów i paniąt. Matejko i Szujski dwaj nasi myśliciele i politycy o genialnym pokroju odczuli, jak nikt inny, tę postać Stańczyka-patryoty w sukni błazeńskiej.

Matejko namalował obraz niewielki i zatytułował „Stańczyk“: W komnacie królewskiej, w ubiorze błazna siedzi on w posępnej zadumie, ręce splótł, załamał i wpatrzył się w otchłań przyszłości. Na stole leżą listy z wieścią o klęsce: o wzięciu Smoleńska przez Moskwę.

W głębi rozwarte na oścież podwoje, a tam widać wesołe pląsy dworzan, pań i rycerzy, dwór to królewski w wirze uciech przy dźwiękach upajającej słodyczą tonów muzyki znalazł zapomnienie, w użyciu pełnemi usty kielicha rozkoszy utopił pamięć klęski, zniweczył i zatarł wyrzuty sumienia.

Przez otwarte okno noc jasna wlewa strugi księżycowego światła i oświeca tę zadumaną postać trefnisia. On jeden wyrwał się z wiru zabawy, zbiera myśli, by w ciszy ukoić swe bóle, uciszyć rosnące rozgoryczenie duszne i jasną myślą przeniknąć tajniki przyszłości, a potem by zebrać nowe siły do piekącej, nieustraszonej niczem satyry, któraby wpiła się w serca tych rozbawionych ludzi, żarła i paliła ich wyrzutem głosu sumienia

---

[1] M. Bielski, „Kronika polska“, str. 30.

[2] M. Bielski, j. w., str. 30.

a nawoływała do zawrotu z drogi swywoli przekleństwem przyszłości.

„Monologowa to postać — mówi Siemieński — godna Hamletowej sceny; patrząc na nią, niby cię nie raziło, gdybyś z tych ust słyszał wychodzące słowa: ‚Być albo nie być'[1]. Ma on w sobie — dodaje hr. St. Tarnowski — „te wszystkie złe przeczucia, które dręczyły mądrych w XVI. w., wszystko, czego się bali, przed czem truchleli, nie mogąc jasno widzieć, co to będzie, wszystko skupiło się w jego duszy, w jego wyrazie twarzy"[2].

Nie poprzestał wielki artysta na tym obrazie, ale jeszcze powtórzył postać Stańczyka w „Dzwonie Zygmuntowskim" i w „Rzeczypospolitej babińskiej", w końcu malując go w „Hołdzie pruskim" i dając mu twarz własną.

Stańczyk był bez wątpienia politykiem jasno patrzącym na sprawy krajowe lub królewskiej rodziny i przykładał swą satyrą starania ku temu, by odwrócić dwór od powziętego niewcześnie zamiaru.

Górnicki, Bielski i Orzechowski opowiadają[3], jak Stańczyk królowi, gdy ten córkę swą Izabelę dawał do Węgier Zapolyi w małżeństwo, rzekł słowa wieszcze: Królu, po cóż ty tam tę córkę twą dajesz? Wróci zaś do ciebie, a przeto zbuduj wczas jej kamienicę tu w Krakowie, żeby miała gdzie mieszkać.

Miał jeszcze Stańczyk jedną cnotę, mianowicie, oczy otwarte na błędy ogólno-narodowe. Bawiąc w gościnie u poety Janickiego, w czasie uczty tak trafnie określił szczególniejszą chęć i zamiłowanie szlachty małpowania cudzoziemczyzny: „Polacy jak tablica z wosku, na niej Niemiec, Francuz, Włoch, Hiszpan a Czech najwięcej malują, co się im żywnie podoba, a nawet swoje języki w gębę im kładą"[4].

Stańczyk zżył się postacią swoją z królewskim dworem Jagiellonów i stał się tak osobą popularną, iż imię jego było na ustach wszystkich, każdy dowcip jego, jak się domyślać na-

---

[1] L. Siemieński, *Czas,* nr. 114 z r. 1863.
[2] Stanisław Tarnowski, „Matejko". Kraków 1897. Str. 64.
[3] M. Bobrzyński, str. 8.
[4] K. W. Wójcicki, j. w., I, 174.

leży, obiegał niewątpliwie ulice stolicy, odbijał się echem o odległe dwory pańskie i szlacheckie, a nawet z kazalnicy imię jego padało [1], i jak mówi Malcher Pudłowski we „Fraszkach“ (1586 r.), błaznów z rzemiosła, czy chwilowo przybierających tę postawę zwano odtąd Stańczyki. Słuchano go uważnie, albowiem „każdy żart okrągłemi powiedziawszy słowy, pobudzał niemal zawsze do serdecznego śmiechu“ [2].

Wszyscy wybitni pisarze ówcześni poświęcają naszemu trefnisiowi swoją uwagę i podziwiają rozumny dowcip, a postać jego przechodzi na karty historyi. Znamy go więc z dziejów, ale nie słyszymy żywego słowa, nie widzimy mistrzowskiego ruchu ciała, towarzyszącego wypowiedzianemu żartowi, gry fizyognomii, całej wymownej mimiki, która głęboko wpijała się w pamięć współczesnych i czyniła go świetnym interpretatorem opowieści, które obok własnych pomysłów i fraszek czerpał, nie wątpić, ze źródeł piśmiennych. Wszak na półkach księgarzów krakowskich, Macieja Szarfenberga († 1547) lub Floryana Unglera († 1551) widnieją wtedy tomy facecyj obcych, Poggia, Bebela i Gasta, lub takie dziełka, bajki Ezopowe lub Sowizdrzał polski i t. p. [3].

Reja figliki zabarwia pierwiastek satyryczny, szydzi on z łatwowierności i prostactwa chłopów, niekiedy z głupoty mieszczan lub zwraca ostrze dowcipu przeciw rozluźnieniu obyczajowemu duchowieństwa, chciwości i żądzy zaszczytów. Oszczędzaniem szlachty schlebia jej w swych facecyach, a natomiast drwi z Litwinów, żartuje z Niemców i Czechów. Zresztą treść figlików Rejowych wypełniają zwykłe farsy i dykteryjki, w których główną odgrywają rolę „rozmaite psoty i figle, wyrządzane sobie wzajemnie przez młodych swawolników, różne nieporozu-

[1] K. W. Wójcicki (I, 173) powtarza za kaznodzieją ks. Łosiewskim następującą anegdotę o Stańczyku: „Znajdując się w Warszawie spostrzegł, iż ledwie nie za każdą niewiastą niesiono poduszki do kościoła, jakby o niczem nie wiedział, spyta: ‚Alboż to panie spać będziecie w kościele?‘ Były to poduszki do wygodnego klęczenia“.

[2] K. W. Wójcicki, j. w., I, 177.

[3] Art. Benis, „Materyały do historyi drukarstwa i księgarstwa w Polsce“ (Archiw. do dziej, ośw., t. VII, 1—71).

mienia, niekiedy na dwuznacznikach oparte, cięte i uszczypliwe odpowiedzi dziewczyn i kobiet na niewczesne zaloty mężczyzn, niewierność i niezgodę małżeńską, rozmaite koncepty błaznów, pisanie dowcipnych i złośliwych rymów na ścianach, przebiegłe sztuczki niewiast, wreszcie pornografia“ [1].

Poggio, Bebel, Gast, Erazm z Roterdamu, Ezop, Abstemius i Hulsbusch, oto autorzy, z których Rej zdaje się głównie czerpać materyał do swych figlików, ale opowiada prócz tego facecye, które są niemieckiego lub włoskiego, wreszcie i rodzimego pochodzenia, zasłyszane z opowiadania ludzkiego.

P. Ignacy Chrzanowski, z którego rozprawy te poglądy na genezę facecyj Rejowych bierzemy, zaznacza, że wśród figlików znajdzie się sporo takich, dla których nie da się wykazać analogii w literaturze obcej, które noszą na sobie piętno iście Rejowskiego humoru, lub zdają się być podsłuchane na wsi — wśród ludu polskiego.

Łatwość przyswajania pomysłów obcych u Reja, a brak większej siły własnej inwencyi jest może znamienną właściwością tego wybitnego pisarza XVI. w.; czuje on sam te braki i zaciera ślad anonimowem (co prawda powszechnem) przedstawieniem tematu i aż nadto jawnem antykatolickiem zabarwieniem przy równocześnie szlacheckiej stronniczości. W jego folklorystyczne poszukiwania, wyznajemy otwarcie, nie wierzymy, ale sądzimy, że spora część Rejowych facecyj była zasłyszaną, czy za stołem biesiadnym, czy w gospodzie od braci szlachty, lub na dworach pańskich, gdzie krążyły żywo powtarzane Stańczykowskie żarty i opowieści.

Ślad tego znajdujemy w Rejowej anegdocie: „Dwa biskupi, chytry a głupi“, w której zapożyczył od Stańczyka jego dowcipnego i niezmiernie trafnego określenia różnicy między uczonym i milczącym biskupem krak., Maciejowskim a wesołym dworakiem, jakim był arcybiskup gnieźn. Gamrat, wyrzucił jednak z anegdoty nazwiska, nadał jej antyklerykalną barwę i stworzył rubaszną, wierszem opowiedzianą, anonimową facecyę. Gdyby

[1] I. Chrzanowski, j. w., str. 330, 331, 332.

nam Kochanowski nie był wyjawił istotnego pochodzenia anegdoty, bylibyśmy dzisiaj przypisali ją fantazyi Rejowskiej.

Stańczyk jest dzieckiem ludu, wszystko, co dotąd mówiono o jego pochodzeniu szlacheckiem, nie zostało poparte żadnem świadectwem poważniejszem, tymczasem przeciwnie wszystko przemawia za jego gminnem urodzeniem, a zwłaszcza jego przezwisko Stańczykiem zamiast Stanisławem, zupełne pominięcie przez pisarzy ówczesnych jego rodowego nazwiska i klejnotu, o którymby niewątpliwie coś wiedzieli Bielski, Orzechowski, Rej lub Górnicki i nie zaniedbali choćby słówkiem napomknąć. Humor Stańczykowski jest też czysto rodzimy, pomyślany z filozoficzną głębią i owiany ciepłem miłości kraju.

„Lubił go szczególniej Zygmunt Stary, poważał i August, lubo wrażliwszy często się nań gniewał; i trefniś wiele stracił na wesołości, gdy pochowano starego króla. Często przychodził do grobowca dawnego pana i łzami zalany modlił się Bogu o wieczny pokój dla jego duszy. Nazywano go odtąd: ‚Błazen starego króla'. A Stańczyk nieraz na to odpowiadał: ‚Dałby Bóg żebym był starego króla błaznem'.

„Nie cierpiał Bony, nazywając ją ‚gadziną włoską'. Gdy do Włoch odjeżdżała, wyrzucił czapeczkę w górę i jakby z wróżbą zaśpiewał jej: *Requiescat in pace.*

„Tak tęsknił za starym królem, że go rzadko wesołego widziano“ [1].

Takim był pierwszy satyryk polski.

Obok Stańczyka godzien stanąć również za czasów Zygmunta Starego żyjący w Polsce dowcipniś, Korybut Koszyrski, szlachcic z ziemi Sochaczewskiej, „człowiek słynący niepospolitym dowcipem i cieszący się niesłychaną wśród szlachty popularnością, który sypał dowcipami i konceptami; gdyby — powiada St. Górski, biograf Andrzeja Krzyckiego — godziło się spisać wszystkie jego fraszki, całość urosłaby do kilku tomów“ [2].

---

[1] K. W. Wójcicki, j. w., str. 177.

[2] Ign. Chrzanowski, „Facecye Mikołaja Reja“. Rozpr. wydz. filol., t. XXIII, 325,

Współczesny był również Gąska, lecz jakżeż różny, a choć mu epitaf Jan Kochanowski, podobnie jak nagrobek „kotowi“ lub „koniowi“, pisze, to jednak i sądzi go ostro i drwi z nieboszczyka:

Już nam Gąska nieboże! nie będziesz błaznował,
Już pod Operiaszem nie będziesz harcował,
Ani glotów [1] z rękawa sypał na chłopięta,
Kiedy cię więc opadną jakoby szczenięta.
Jużeś leciał za morze Gąsko! jużeś w dole,
A czarnej Persefonie szpaczkujesz przy stole,
A duszyce się śmieją, że ten, coby g'rzeczy,
Słowa wyrzec nie umie nowy cień człowieczy.
Więc my też pamiętając na jego zabawki,
Nowej mu nie żałujmy usypać rękawki,
Nad nim miasto proporca [2] suknię szachowaną
Zawieśmy, i na grobie gęś twardo kowaną [3] —
A to żeby mógł każdy, kto tędy pobieży,
Domyślić się zarazem, że tu Gąska leży.

Nie dość na tem, Kochanowski po raz wtóry uchwycił za pióro i gryzącą, nieubłaganą satyrą przedstawił całą nicość Gąski tak, że budzi podejrzenie, jakoby jakowaś głęboka uraza ku temu błaznowi tkwiła w duszy naszego poety:

Ośmdziesiąt lat (a to jest prawy wiek człowieczy)
Czekała śmierć, żeby był Gąska mówił grzeczy —
Nie mogła się doczekać, błaznem go tak wzięła
I tąż drogą, gdzie mądre zajmuje, pojęła.
Gąska! błaznuj ty przedsię, imię twe nie zginie,
Póki dzika i swojska gęś na świecie słynie.

Jeślić prawdą jest, co pisze K. W. Wójcicki (I, 167), że Gąska jest nadwornym Zygmunta Augusta, to wątpliwość w szczerość i rzetelność słów Kochanowskiego tem więcej rośnie, gdy pomnimy, jak umysł Zygmuntów był przesiąknięty wyrafino-

[1] Por. Linde, gdzie glot objaśniony kulą, tudzież Zbiór wiad. do antrop. kraj., II, 114, nr. 193, gdzie glutowi nadane inne znaczenie.

[2] Średniowieczny zwyczaj nakazywał nad grobowcem rycerza zawiesić jego proporzec lub tarczę herbową. Por. *Kwart. hist.*, VII, 310.

[3] Rozumieć należy grobowiec z kamienia, na którymby gęś była wyrzeźbioną.

waną do subtelności kulturą włoską, gdzie gruby żart już nie starczył, ni zadowolnił, co najwięcej uśmiech politowania mógł obudzić, a słowo potępienia na usta wywołać. Więc mogło się powtórzyć u poety to samo, co u Stanisława Orzechowskiego, który, gdy mu przyszło mówić o Stańczyku, tylko słowa cierpkie ironii znalazł dla niego [1], jako zadośćuczynienie obrażonej miłości własnej.

W czasach zygmuntowskich chowają błaznów również po dworach pańskich:

Błaznów zacnie bogatych przemożnych kuglarzów.
Cześć nieoszacowana ukraśnionych łgarzów,
Karłów trzody przepyszne i drogich psów roje,
Głaszczouchów radosnych pełniuchne pokoje,
Krzywonogich pigmeów, długowięzych drabów,
Śmiechorodnych szalbierzów, piszczków, darmojadów,
Cić miejsca osiągnęli mędrzejszych muz wszędy,
Przyjdzie mędrzec do dworu z zacnemi mowami
Tam stanie jako małpa wnet między wieprzami,
Wnet mu wara ty duda, ty miauczysz po skolsku,
Łaciną tylko mądry, a błazen po polsku [2].

Krzysztof Szydłowiecki, kasztelan i starosta krakowski, a kanclerz wielki koronny miał u siebie trefnisia imieniem Bieńka czyli Bieniasza (* 1516), człeka wielce żartobliwego. Nabożny, miłosierny dla biednych, wielomówny, nie obrażał nikogo, lecz „samą postacią ułożoną ku temu, do śmiechu pobudzał", wierny sługa domu, dowcipkował, by odpędzić frasunek z czoła pana swego. Dla charakterystyki jego dowcipu przytoczymy dwie o nim anegdoty.

„Razu jednego wchodząc wprzód niźli kasztelan do izby spadł mu na głowę drążek, na którym ciężka opona zawieszona była. Chwytając się za głowę, rzecze do pana krakowskiego, za nim idącego: Zobaczcie, miłościwy panie, wam się ten guz należał, a onby do razu wybił z głowy kłopoty wasze".

Już potem iść naprzód nie chciał, mówiąc: Pierwsze miejsce,

[1] M. Bobrzyński, „Stańczyk", str. 10.

[2] W. A. Maciejowski, „Polska", II, 245. Poselstwo Dzikich pól od Sowiźrzała.

korzystne jest przy jedzeniu, bo siadając, ostatni za stół, powszechnie mały mi się kęs, a niekiedy i nic wcale na misie nie zostaje".

„Gdy raz wielu przytomnych szlachty bawiło się, szydząc z Bieńka, nadął się trefniś i poważnym odezwał głosem:

„Znajcież waszność, iż nie lada pan ze mnie, i większy od kanclerza; on ma jednego błazna do zabawy, ja zaś mam tylu, ilu tu was jeno" [1].

Trzymali i inni panowie polscy trefnisiów przy sobie, miał Piotr Kmita na Wiśniczu błazna Jaśka, który za poradę bezczelną, daną Bonie, odebrany policzek oddaje Kmicie po śmierci; posiadał błazna Janusz Kościelecki, któremu każe przedrzeźniać sektę „braci czeskich", chowa go i Jan Zamojski, a w czasie wesela z Gryzeldą Batorówną idzie on za maskaradami, „czyniąc igrzysko i szyderstwo dla zabawy ludu" [2].

Byli wreszcie trefnisie w XVI. i XVII. wieku, którzy znani tylko z nazwiska widocznie nie przynależeli do żadnego dworu, ale średniowiecznym zwyczajem luźnie szukali zarobku z okazyi wesel lub biesiad po domach mieszczańskich i szlacheckich. Do takich zaliczyć nam może należy błazna Słobikowskiego (z XVI. w.), który gdy kazano portret jego namalować, poleca malarzowi posadzić się między dzbanami i wielkiemi kuflami, bo jak rzekł: „Będę miał się czem wymówić, żem błazen, to rzeknę, żem pijanica, gdyż i drudzy mędrsi kuflem się zasłaniają, wymawiając tem zbrodnie swoje: ‚żem był pijany'".

Namalowali tedy tak błazna, jako sobie obrał i ten pod nim napis dano:

> Błazen między kuflami uczy wszystkie stany,
> Trzeźwi raz, a dwa razy błazen jest pijany [3].

Prócz Słobikowskiego wspomina Wójcicki trefnisiów Ziębę i Wojtaszka, zda się z XVII. wieku, bo z owego okresu po-

---

[1] K. W. Wójcicki, j. w., I, 164 i nast. — W. A. Maciejowski, „Polska", tom. II, 263.

[2] K. W. Wójcicki, j. w., I, 166, 167, 168. — Maciejowski, III, 216.

[3] K. W. Wójcicki, „Obrazy starodawne", I, 181.

chodzą „Facecye polskie abo żartowne“, z których bierze o nich wiadomość.

Powróciwszy jeszcze do tematu błaznów nadwornych, stajemy przed panowaniem Henryka Walezego, z którego czasów znajdujemy krótką wzmiankę, naszej pracy dotyczącą, mianowicie: Wenecyanin Faustino Tasso opowiada między innemi rzeczami o bankiecie pokoronacyjnym na zamku krakowskim, w czasie którego „król siedział w środku sali przy stoliku pod baldachimem z srebrogłowu, z frendzlami kręconemi ze złota. Ubrany był w suknię białą, złotem przetykaną, na głowie miał koronę. Przy królu czterech głównych panów francuskich, Conte di Caune, Monsignori Touannes, di Clermont i di Bellauille. Po bokach stały długie stoły, przy których jedli ambasadorowie, biskupi i senatorowie. Zabawę i ucztę uprzyjemniał buffon nadworny. Po uczcie znakomici muzycy odśpiewali kilka kantat w języku francuskim i odegrali“ [1].

Buffo włoski, to każdy śpiewak, który w operze komicznej lub intermezzo w karykaturze przedstawia ludzkie słabości. Jego nazwa pochodzi z średniowiecznej łaciny, oznaczała błaznów, szukających wszelakich sposobów do rozśmieszenia widzów w teatrze. *Buffo cantante* śpiewa komiczne piosenki, zwykły zaś buffo śpiewającym głosem opowiada żartobliwe burleski i zabawia karykaturą postaci [2].

Za Batorego, który błaznów nie cierpi [3], znika z dworu polskiego postać trefnisia. Niezadługo jednak, bo już za Zygmunta III., pojawia się na jego dworze z Bononii przybyły Antoni Rialto, artysta dramatyczny, który pełni rolę błazna, zapewne jako buffo włoski. Była to postać ciekawa, ruchliwa, w ciągłych podróżach, z łatwością uczy się języków obcych, mówi prócz włoskiego językiem niemieckim i polskim, rosyjskim i kroackim, gdy potrzeba, jest dyplomatą lub astronomem,

---

[1] Żegota Pauli. Mskrp. bibl. Jagiell., nr. 5402. Z dzieła *Le Historie de' succesi de' nostri tempi del R. P. Faustino Tasso Vinitiano de' Minori osseruanti.* Venetia 1583. W 4-ce.

[2] Encykl. Mayera. — Por. także *Script. rer. pol.*, XIII, 458.

[3] Wójcicki, I, 164.

bakałarzem lub amantem, śpiewakiem lub sztukmistrzem. Dworak jakich mało, poufnik Dymitra Samozwańca, po jego zamordowaniu Iwan Szujski rządcą go swoim czyni; nie zagrzawszy tu miejsca, jest nauczycielem wojewodzica poznańskiego, Mikołaja Ostroroga, a następnie trefnisiem lat kilka u dworu polskiego. Osiadł następnie w Poznaniu, gdzie zadarł z młodzieżą szkolną, która w komedyi trefnisia Rialta ośmieszyła, czego mszcząc żaka-aktora kijem oćwiczył, ale zaledwo też z życiem z Poznania umknąć potrafił przed zemstą młodzieży [1].

Za panowania Zygmunta III. wychodzi z pod prasy w Krakowie

Statut Jana Dzwonowskiego, to jest artykuły prawne,
Jako sądzić łotry i kuglarze jawne.
Roku sucho-mokrego, na końcu miesiąca,
Gdy ząb zęba nie doszedł z wielkiego gorąca:
Wtenczas następowały gwałtowne powodzi,
A żaden nie utonął, co się wisieć godzi;
Pisano go przy szynkwasie,
Tak rok jakoś o tym czasie.

W owym tedy statucie pisarz-humorysta daje rady trefnisiom, jako się mają zachować, by nie narazić na szwank własnego grzbietu, były to już bowiem czasy, kiedy wszelka satyra wymierzona przeciw jednostce, stawała się niebezpieczną dla jej autora, przy rozbujałej wolności osobistej i bezkarności:

Z księżą trzeba ostrożnie, z szlachtą według czasu,
Abyś miasto korzyści nie odniósł niewczasu.
Z pana swego nie błaznuj, zwłaszcza gdy są goście,
Pamiętaj, żeć stąd kłopot niemały urośnie.

wreszcie przestrzegał Dzwonowski:

W cudzą się rzecz nie wdawaj, ani jej przerywaj.

Dowcip, który się musiał liczyć z tak wieloma względami musiał obracać się w samych ogólnikach i dwuznacznikach albo zadowalniać się anegdotyczną opowieścią:

---

[1] Wójcicki, I, 180.

Jak możesz, ukontentuj ten naród człowieczy.

mówi Dzwonowski i każe błaznowi dalej nadrabiać „sztukami“, z panien tajemnie przeszydzać i niewybrednym żartem mimicznym weselić, a potem naśmiewać rubachów, wyjadaczy i strojnych hołyszów.

Owo łatwo figlować, kto ma swe sposoby.

I tak kończy swe nauki:

A tak moja czeladko, towarzysze mili,
Chcę żebyście ostrożnie i porządnie żyli;
Jedno zełgać, a drugie frantostwo powiedzieć,
Żeby było nie tęskno panom cicho siedzieć;
A kędy się weselą weselić się z niemi,
Niechaj będzie wesołość w naszej polskiej ziemi [1].

I coraz więcej gubią się w dziejach ślady o wesołkach, których już nie trzyma się jowialny dowcip ani myśl głębsza. Jako jej żywszy odblask, to zdarzenie w chwili, gdy Jan Kazimierz wypuszcza wśród zamętów wewnętrznych Rzeczypospolitej ster państwa z ręki i składa koronę; zjawia się wtedy przed nim błazen nadworny i zdejmując swoją czapeczkę z dzwonkami rzecze doń śmiało:

„Kiedyś złożył koronę nic ci lepiej nie przystanie, jak moja czapeczka“ [2].

Pisze wreszcie Jan Gawiński w „Dworzankach“ (r. 1664) czterowiersz błaznowi Makaremu, ale tak niesmaczny, iż lepiej go nie powtórzyć [3].

Pełen szczerego humoru, a niekiedy wykwintnej w nim elegancyi zmieszanej z ciętą przytomnością dowcipu, był nadworny trefniś króla Jana Sobieskiego. Winnicki, mówiący podobno „expedite kilkoma językami“, który jeszcze na potrzebie chocimskiej bywał z hetmanem, nigdy go nie opuszczał. Dowcip swój ostrzył szczególniej na Francuzach, których rój osiadł z królową u dworu. Znanym jest powszechnie żart jego, jak

[1] Por. Wójcicki, I, 158—161.

[2] Wójcicki, I, 182 wedle rękopisu ks. Jabłonowskiego z r. 1715, pisanego w Königssteinie.

[3] Archiwum do dziejów lit. i ośw., t. II, 139.

osadził Francuza na jajach, nie będziemy go więc powtarzali, a przytoczymy jedynie wyborną jego dysputę z przybyłym na audyencyę jednym z panów polskich. Otóż nieświadome jeszcze stosunków paniątko zapytuje Winnickiego w przedpokoju:

— Kto waszeć?

— Krawiec nadworny — powiada mu.

— Jakto, więc ty robisz szaty królowi jegomości?

— Nie! — odpowiedział — ja umiem tylko łatkę przypiąć, gdzie dziurawa, a niekrólewskim ichmościom umiem i kurtę skroić!

— Co ty, drwisz widzę? — rzekł pan rozgniewany.

— Bez urazy, miłościwy panie — powiada błazen — ale muszę go poznać z obyczajem tutejszym. Na tym dworze dwóch tylko jest ludzi, którym wszystko wolno: król i błazen; ale królowi tylko wolno się gniewać, a tylko błaznowi wolno się błaźnić, a że nikt z sobą prawa nie przynosi, ale do prawa przychodzi, więc tutaj nie służą nikomu prawa królewskie; co do mnie wszakże zawsze gotów jestem odstąpić praw moich.

— I mnie nie było się domyślić, że to błazen? — rzekł przybyły do swego towarzysza, miarkując swój gniew.

— Zapewne grzech wielki — rzekł błazen — jam był domyślniejszy [1].

W pierwszej połowie XVII. stulecia żywo jeszcze społeczeństwo szlacheckie odczuwało potrzebę błazna, gdy go nie było pod ręką „niejeden sto płatów (różnych kolorów materye — w szachownicę) brał na siebie, albo błazna udawał, z lutnią w ręku tańcując w towarzyskiem kole“ [2].

Leonard Lepszy.

---

[1] K. W. Wójcicki, I, 187 powtarza z „Rozmaitości lwowskich“ z r. 1839.

[2] Maciejowski, „Polska“, III, 210.

Z za kulisów schizmatyckiej propagandy.

Rosya, zamierzając zniszczyć Unię w dyecezyi chełmskiej, postanowiła ją równocześnie zrusyfikować. W tym celu mianował rząd rosyjski w styczniu 1865 roku Teofana Hawryłowicza Łebedyńcewa, profesora kijowskiej duchownej akademii, dyrektorem świeżo założonej naukowej dyrekcyi w Chełmie. Na takie same stanowisko w dyrekcyi naukowej siedleckiej powołano w tym samym czasie bakałarza kijowskiej duchownej akademii, Efima M. Krzyżanowskiego. Oba te mianowania były powzięte, jak czytamy w *Kijewskoj Starynie,* dlatego, że „ludzie z wyższem teologicznem wykształceniem, stojąc na czele naukowych zakładów dwóch gubernij z r u s k i e m (?) zaludnieniem, które przemocą (!) polskiego rządu zostały oderwane od prawosławnej cerkwi do rzymskiej Unii, będą więcej odpowiadać zamiarom rządu w podtrzymaniu r u s k i e j narodowości w tym kraju i w ochronie jej od wpływu rzymsko-katolickiego duchowieństwa". (Marzec 1898, str. 318).

O działalności Łebedyńcewa na tem nowem stanowisku nie mielibyśmy żadnych wiadomości, gdyby nie to, że zachowały się jego listy, pisane w latach 1865—1867 do brata, Piotra Łebedyńcewa, człowieka nadzwyczaj wpływowego, niedawno zmarłego protojereja archikatedralnego w Kijowie.

Listy te, ogłoszone w zeszytach *Kijewskoj Staryny* za miesiące: marzec, kwiecień i maj 1898 r., wywołały ogromną sen-

zacyę. Oprócz nadzwyczaj ciekawych danych o pracy samego Łebedyńcewa, znajdujemy tutaj interesujące szczegóły o unickiem duchowieństwie w chełmskiej dyecezyi, o jego stosunku do władz, dalej niezmiernie ważne wiadomości o unitach w Galicyi, z którymi Łebedyńcew stał w blizkich, poniekąd nawet osobistych stosunkach. Listy, pisane szczerze, otwarcie, bez ogródek, z podaniem pełnych imion i nazwisk, z wyliczaniem sum, które Łebedyńcew z ramienia Rosyi wysyłał galicyjskim Rusinom, by ich demoralizować i kupować dla Rosyi, — musiały wywołać niepospolite wrażenie. Dano też temu silny wyraz w publicystycznych artykułach ruskich i rosyjskich. Na podstawie tych listów stwierdzono w *Ruslanie,* w fejletonach jednego z najwybitniejszych ukraińskich pisarzy, że nikt tyle nie przyczynił się do rusyfikacyi chełmskiej Rusi, ile Ukrainiec Łebedyńcew i jego pomocnik, ukraiński pisarz, Kulisz; wykazywano w *Pietierburgskich Wiedomostiach,* w artykule pióra wybitnego halicko-ruskiego publicysty i pisarza, p. Makoweja, jak sztucznie wytworzyła Rosya w Galicyi stronnictwo moskalofiskie, kupując tutaj ludzi i ich polityczne przekonania, wytwarzając zdrajców swego własnego ludu. Artykuł p. Makoweja, przeciwko któremu wystąpiła moskalofilska prasa w Galicyi, znalazł oddźwięk także w prasie polskiej, prawie we wszystkich politycznych dziennikach, tak lwowskich jak i krakowskich.

Nie zwrócono jednak dotychczas dostatecznej uwagi na obraz walki duchowieństwa unickiego w chełmskiej dyecezyi, które opierało się wszelką siłą zamiarom rządu, dążącym do zniszczenia Unii. A obraz tej walki, chociaż opisany w listach Łebedyńcewa tendencyjnie, mimo to dość ciekawy. Nie zwrócono także uwagi na smutną rolę, jaką część duchowieństwa unickiego w Galicyi odegrała w tej ciężkiej i strasznej walce, wydanej przez prawosławie rosyjskie odłamowi Kościoła katolickiego w chełmskiej dyecezyi. Ze smutkiem i bolem dowiadujemy się z listów Łebedyńcewa, że między unickiem duchowieństwem w Galicyi było więcej kandydatów na apostatów religijnych, aniżelibyśmy się spodziewali. Oprócz Popielów, Diaczanów, Krynickich, którzy przygotowali tory dla zniszczenia Unii, znajdziemy więcej na-

zwisk takich ludzi, którzy już w r. 1866 chcieli zerwać ze Stolicą Apostolską, a pobudki do tego kroku były w całem tego słowa znaczeniu nizkie.

Na obraz walki duchowieństwa unickiego w chełmskiej dyecezyi chcemy zwrócić uwagę w pierwszej części naszego artykułu; o roli duchowieństwa unickiego w Galicyi pomówimy w części drugiej.

I.

Łebedyńcew wyjechał z Kijowa do Królestwa Polskiego dnia 17 stycznia 1865 roku. Podążył on najprzód do Warszawy, skąd pisze pierwszy list z datą dnia 24 stycznia. „Wybrano mnie — donosi on między innemi — do Chełmu dlatego, że tam znajduje się rezydencya unickiego biskupa, tam unickie seminaryum, diakowska a zarazem nauczycielska unicka szkoła i tam chcą urządzić pełne rosyjskie gimnazyum... Wczoraj byliśmy z Krzyżanowskim na posiedzeniu Komisyi ludowej oświaty. Przeczytano nam papiery o naszem mianowaniu, poczem przywitali nas pocałunkiem wszyscy obecni członkowie, r u s c y — od serca, a Polacy bodaj czy szczerze. To nazywa się instalacyą, czyli wprowadzeniem w obowiązki... W komisyi zaznajomiliśmy się z chełmskim, unickim biskupem-nominatem, ks. Kalińskim. Staruszek jak zwyczajnie i na oko niepokaźny“. (Marzec, str. 319—320).

Z listu tego widzimy dokładnie, że miejscem pracy Łebedyńcewa obrano dlatego Chełm, gdyż tam mógł najlepiej paraliżować działalność unitów. Pierwszym krokiem takiego paraliżowania miało być założenie gimnazyum rosyjskiego, na co Łebedyńcew kładzie wielką wagę. „Chwała Bogu — pisze on w trzy dni później — nasze nadzieje rozjaśniają się. Postanowiono w Chełmie założyć gimnazyum, a mnie polecono zająć się tem dziełem... Po założeniu gimnazyum pojawią się prawdopodobnie także inne naukowe zakłady. Wybór nauczycieli oddał główny dyrektor komisyi ludowej oświaty, Witte, wyłącznie mnie... Tam w Chełmie chcemy utworzyć *russkij centr*, mówił do mnie książe Czerkawski (główny dyrektor komisyi wewnętrznych i duchownych spraw),

a na moje pytanie, ‚czy wkrótce to ma nastąpić?' — odpowiedział: ‚chociażby nawet jutro; pana oczekuje wielka praca, jednak możesz pan po sobie zostawić dzieło pamiątkowe'". (Marzec, str. 320—321).

Profesorom proponowanego gimnazyum postanowiono dać wyższą płacę, niż w innych rosyjskich zakładach. Dla nauczycieli wyznaczono 1000—1200 rubli, dla inspektora 2750 i pomieszkanie, dla głównego nauczyciela pedagogicznej szkoły 1500 rubli i pomieszkanie. (Marzec, str. 322).

Do Chełmu przybył Łebedyńcew dnia 15 (27) lutego 1865 r. Tegoż dnia pisze on do brata list a w nim wspomina, że „po obiedzie zjawił się u niego z wizytą ks. Ziniewicz, profesor tutejszego seminaryum a w ślad za nim jeszcze trzech profesorów a między nimi znany Wójcicki. Przyjemni ludzie, jednak strzegę się ich, o ile mogę. Nie wiem, dlaczego radzili mi oni, bym zajął pomieszkanie w bazyliańskim klasztorze, gdzie mieszkają niektórzy z nich i gdzie można znaleźć pomieszkanie, złożone z czterech pokoi. Niewygodnie i niebezpiecznie może być z nimi; jednak i u Pijarów, gdzie mam zamieszkać, sąsiadami będą — ksiądz i wielkie mnóstwo sołdatów". (Marzec, str. 324). Łebedyńcew obiecuje w tym samym liście pisać bratu o unitach, jeśli ich bliżej pozna. O biskupie-nominacie donosi, że on jeszcze w Warszawie i że Czerkawski „wydusza z niego ostatnie soki". „Biskup rzeczywiście człowiek chytry, a jeśli pisałem o nim, że to zwyczajny człowiek, to rozumiałem to o braku wykształcenia u niego. Nim kieruje Szymański (rzymsko-katolicki biskup w Podlasiu); unici klną, rozumie się, ci, którzy daleko stoją od łaciństwa". (Marzec, str. 326).

O Janie Kalińskim wiemy, że mianowany został biskupem bełzkim z prawem następstwa w Chełmie w roku 1863. Po powstaniu polskiem podejrzywał rosyjski rząd i zarzucał Kalińskiemu, że brał w niem czynny udział, przechowywał u siebie powstańców, kazał odprawiać msze za poległych, wspierał powstanie wszelkiemi sposobami. Wiadomości te czerpał rząd rosyjski z bardzo mętnego źródła, gdyż z innej strony dochodzi nas wiadomość, że Kaliński udzielił nagany Bazylianom w Warszawie,

którzy na znak żałoby zamknęli cerkwie i nakazał je natychmiast otworzyć [1]. Rzecz pewna, że rząd rosyjski szukał pretekstu, by zniszczyć Unię, a pretekst ten mógł łatwo znaleźć, rzucając podejrzenie na biskupa unickiego o udział w powstaniu. Trudno nawet przypuścić, by rząd rosyjski trzymał na wolnej stopie człowieka, o którym miałby pewność, że brał udział czynny w powstaniu. Na wszelki sposób rząd postanowił niedopuścić do tego, by Kalińskiego wyświęcono na biskupa.

Że rząd carski wojował nie przeciw samemu Kalińskiemu, o tem przekonuje nas ukaz carski, wydany w dniu 18 (30) czerwca 1864 r., w którym władzę unickiego biskupa zupełnie zniesiono. Duchowieństwo unickie uczyniono zależnem od komisyi spraw wewnętrznych i duchownych. Na podstawie tego ukazu nie śmiał żaden duchowny bez zgody komisyi być oddalonym ze swego urzędu, choćby nawet dopuścił się zbrodni; żaden duchowny nie mógł otrzymać miejsca bez pozwolenia komisyi i t. d. [2]. Na podstawie tego ukazu mogła komisya rządzić w unickiej cerkwi według swego upodobania, usuwać niemiłe jej osobistości z pomiędzy duchowieństwa a ustanawiać takie, któreby były jej zupełnie na rękę. Komisya też korzystała z tego ukazu w całej pełni.

Przejdźmy jednak do dalszego opowiadania Łebedyńcewa o Kalińskim, unitach i unickiej cerkwi.

W kilka dni po przyjeździe Łebedyńcewa do Chełmu wrócił z Warszawy biskup-nominat, Kaliński. W liście z dnia 4 (16) marca donosi Łebedyńcew bratu, że był na wizycie u biskupa. „Wielka szelma, jednak tak prosty i przystępny, że nie wierzysz swoim oczom, jakobyś miał przed sobą biskupa. Odźwierciedla się w nim szczególnie przykre położenie Unii. Otrzymuje płacy sześć tysięcy rubli, jednak dochodów niema żadnych a dzieci 12-cioro a było 20. ‚Ja już podziękuję a pan dyrektor niech będzie już na mojem miejscu' — mówił on do mnie. Ale kłamie" — dodaje Lebedyńcew.

---

[1] Pełesch, *Geschichte der Union*, t. II, str. 850.

[2] Pełesch, j. w., str. 850 i nast.

W tym samym liście charakteryzuje nam Łebedyńcew unitów i unicką cerkiew. „Unici — pisze on — ci sami, którzy starają się o wskrzeszenie swej narodowości i nie baliby się prawosławia, naród to bardzo słaby i drobny. Czerkawski rozumie to i chce wzmocnić tutejszych unitów przez powołanie ludzi z Rosyi a szczególnie z Galicyi, a w Galicyi na takie zaproszenia zapytują zwykle: a kiedy przyjąć prawosławie, zaraz, czy trochę później?... Jednego z galicyjskich Rusinów, mianowicie protojereja(?) Krynickiego, człowieka rozumnego, rzutkiego i wykształconego powołują do Chełmu na rektora seminaryum. Dzisiejszy rektor to starzec, który przeżył już swój wiek, a zarazem zagorzały łacinnik. Byłem w tutejszej katedralnej cerkwi. Odprawiano mszę cichą, podczas której dwóch włościan i trzy baby, siedząc w ławkach, śpiewały różaniec. Śmiech i żal! Długo chodziłem po cerkwi, rozpatrywałem się w obrazach, w ośmiu bocznych ołtarzach, urządzonych zupełnie po katolicku i omal, że nie rozpłakałem się w samej cerkwi, a potem tak ciężko było mi przez cały dzień, że nie wiedziałem, co robić z sobą. Co za dziwna mieszanina! Przemiany i szpetności widzisz w każdej drobnostce. A ile kosztowała ta mikstura krwi, potoków łez i ciężkich mąk? Prawosławie wygląda tutaj zupełnie tak, jak śpiewamy w pogrzebowej pieśni: i widzę w grobie leżącą, według obrazu Bożego stworzoną naszą piękność, szpetną i haniebną, niemającą kształtu, a nad nią, jak całun pogrzebowy, unia — na boku katolicyzm, jak straszne widmo wszystko pożerającej śmierci! Smutno!“ (Marzec, str. 329—330).

Mając takie wyobrażenie o jednej części galicyjskich unitów, „że oni tylko pytają, kiedy przyjąć prawosławie, zaraz, czy trochę później“, równocześnie wyraża swój sąd Łebedyńcew o drugiej części galicyjskich Rusinów, o t. zw. partyi narodowców ruskich, która poczęła rozwijać się w roku 1860 pod wpływem poezyi Szewczenki: „Haliczanie dalecy od prawosławia, a od wielkoruskiej narodowości stoją jeszcze dalej. Tam powstała niedawno partya „czerwonych“; hańbią, na czem świat stoi, moskiewszczyznę w prozie i wierszach. Tak nazwana „chachłomania“ (Moskale przedrwiwają Ukraińców *chachłami*) jest tam

wielką siłą i rozwija się z niepospolitą szybkością. Nauka przyjmuje tam kierunek popularny". (Marzec, str. 329).

Rzecz pewna, że takie same informacye o galicyjskich Rusinach, jakie czytamy w listach Łebedyńcewa, miał także rząd rosyjski. Do tych, którzy tylko zapytywali, kiedy przyjąć prawosławie, zaraz, czy później, należał wyżej wspomniany Krynicki, proponowany na rektora. O ile sądzić możemy z późniejszego powołania na biskupa chełmskiego, Kuziemskiego (1868) i jego dotychczas niewyświetlonego tamże stanowiska oraz powrotu do Galicyi (1871), Rosyi już wcześniej zależeć musiało na tem, by z Galicyi sprowadzić na biskupa człowieka „odpowiedniego", by nim „wzmocnić chełmskich unitów, ale takich, którzy niedalecy od prawosławia" — że użyjemy słów Łebedyńcewa. Rosya też udawała się już w r. 1864 za biskupem do Galicyi. (Kwiecień str. 67). Ponawiała Rosya swe starania także w r. 1865, gdyż w liście Łebedyńcewa z dnia 7 (15) maja czytamy: „Z Galicyi nie dają ani biskupa, ani rektora dla chełmskiego seminaryum. Wszystko to intrygi Kalińskiego i Szymańskiego. Pisali aż do Rzymu a papież do Wiednia. Cel ten, by wymusić konsekracyę Kalińskiego. Ale figa!" (Marzec, str. 334). W innym liście (z dnia 18 (30) czerwca 1865 r.) pisze Łebedyńcew, że „Kaliński silnie pracuje w Austryi; znowu nie dano rektora ani innych a tym razem zabronił sam nuncyusz". (Marzec, str. 345).

Na podstawie ukazu carskiego, który pozwalał komisyi dla spraw duchownych mieszać się w sprawy unickiej cerkwi, rozporządził ks. Czerkawski, by kazania w *unickich cerkwiach* odbywały się w języku ruskim. (Marzec, str. 332). W czerwcu zaś (24 (7) lipca) pisze między innemi Łebedyńcew: „Czerkawski bardzo niezadowolony z tego, że w katedrze chełmskiej grają na organach. Powróciwszy z Warszawy do Chełmu, dowiedziałem się, że grają na nich uczniowie szkoły diaków, a że dzieje się to w czasie nauki, więc zabroniłem. Chcieli grać seminarzyści, jednak oświadczyłem im to samo. Od tej pory organy milczą. Organisty niema i pensyi *mu nie wyznaczono i prosić* o to nie będą śmieli. Słyszałem, że chcą sprzedać organy. Tędy im droga!... Lecz oto nowość! z bieżącym lub następnym rokiem

dostaną uniccy księża płace 300—500 rubli. Parafie dzielą się na 3 klasy: w I. klasie — 500 rubli, w II. — 400, w III. — 300 rub., z zatrzymaniem ziemi i dochodów. Otóż jak! nie tak, jak u nas! (*w jugo-zapadnom kraju* pobierali prawosławni duchowni: I. kl. — 160 rubli, II. — 150, III. i IV. — 140, V. — 120, VI. — 100, VII. — 80 rubli). Nasi pozazdroszczą! Jednak Czerkawski upełnomocnił nas, by głosić wszędzie, że płaca ta będzie dawaną tylko tym, którzy będą mówić kazania po rosyjsku lub po rusku. My też ogłaszamy: marszczą się księża, jednak niektórzy już teraz przystają na rosyjski język". (Marzec, str. 341—342).

Dnia 15 (27) października 1865 r. obchodziła urzędowa Rosya w Chełmie wielkie święto. W tym dniu otworzono gimnazyum i pedagogiczne kursy. Łebedyńcew pisze, że z otworzeniem gimnazyum element rosyjski wziął jeszcze większą przewagę, a gdy gimnazyum uzupełni się i będzie założone gimnazyum żeńskie, wtenczas Chełm przyjmie zupełnie rosyjską fizyognomię. Dom poświęcił Kaliński, którego trzeba było zmusić do tej sprawy. Na poświęcenie przybył z Warszawy, na rozkaz cara, Witte. „Kalińskiego — mówi Łebedyńcew — nie chciałem ruszać aż do przyjazdu Wittego, gdyż nie spodziewałem się, by on chciał przyjąć udział w „schizmatyckiem święcie". O 5 g. udaliśmy się obaj do Kalińskiego, Witte począł od tego, że car polecił mu osobiście przyjechać do Chełmu i obchodzić otworzenie gimnazyum jak najwspanialej. Przyparty tak niespodzianie, Kaliński zmiękł tak dalece, że na wszystko przystał i nawet przemówił po rosyjsku, jak umiał. Uroczystość wypadła świetnie. Jednak były niektóre „niepowodzenia", o których nie mogłem wspomnieć w opisie, wysłanym do kijowskich *Eparchialnych Wiedomostiej*. Na uroczystość zaproszony był również naczelnik piechoty, jenerał Kostanda. Ten rozgniewał się na unickich nauczycieli religii, którzy nie przybyli na ceremonię i odjechali do swych parafij, i najbliższego z nich, Szełemetkę kazał z odległości 15 wiorst przystawić przez żandarmów, co też stało się. Chociaż to wszystko zasłużenie, jednak należałoby działać ostrożniej. Starałem się uspokoić i Kostandę i Wittego; widać, że nie znają oni jeszcze unitów. Na ceremonii poświę-

cenia gimnazyum przemawiał Witte, jednak wygłaszając mowę, tracił wątek i powtarzał się. Moja mowa była bardzo ostra, dlatego wieczorem czytałem ją Wittemu w obecności kilku osób, prosząc ich o radę, co należałoby złagodzić a co zupełnie wyrzucić. Wszyscy jednak twierdzili, że mowa moja i tak za delikatna[1]. Obiad odbywał się jak się należy, i pierwsze toasty przeszły spokojnie; jednak po odejściu Wittego pozostała kompania zaszumiała szalenie, wygłaszając toasty za toastami. Kostandę podchwycono na hurra i zaledwie go opuszczono, już on zakomenderował, by mnie podniesiono i obecni poszli, jakby do szturmu... Oficerowie krzyczeli na całe gardło i uderzali szablami"...

Uroczystością i rozmowami z Wittem, który wrócił niedawno z Petersburga i wzmocnił tam swe stanowisko a oprócz tego wyjednał dla Łebedyńcewa i innych rusyfikatorów chełmskiej Rusi różne przywileje i nadzieję orderu (otrzymany rzeczywiście w roku 1866), był Łebedyńcew tak rozentuzyazmowany, że pisze dalej do brata: „Daj Boże tylko żyć w dobrem zdrowiu! Śni mi się i zdaje się, że mogę na własne oczy ujrzeć tutaj prawosławie, jeśli dłużej żyć będę. Nie mówię o wypadkach w rodzaju tych, że gdy po odbytej ceremonii wróciliśmy do domu, nauczyciel niemieckiego języka, Chomin (emigrant z Galicyi), rzucił się mi na szyję i wzruszonym głosem przemówił: po tem wszystkiem, co obecnie słyszałem, czuję, że wstyd mi zostać unitą, — lub znowu, że jeden uczeń pedagogicznej szkoły na drugi dzień podał mi prośbę o przyłączenie do prawosławia. Lecz oto wypadek, godny uwagi! Przeszłego tygodnia przyjęły dwie wielkie wsi na austryackiej granicy, Obsza i Zamch, prawosławie bez jakiegokolwiek hałasu i formalności. W sąsiednich wsiach: Różance, Chmielku i innych, widać również silny ruch. Zdaje się, że i one nie ustoją się. Tutaj należałoby tylko podkładać ogień a paliłoby się pięknie. Wprost rozniósłby się pożar po całej Chełmszczyźnie. I daj to

[1] Ta „delikatna" mowa nie podobała się księciu Czerkawskiemu, skoro tenże Łebedyńcewowi robił wymówki i zarzucał, że chce nawracać wszystkich na prawosławie (Kwiecień, str. 52).

Boże! Żal narodu tego, przekształconego przez barbarzyńców propagandystów". (Marzec, str. 353—358).

Sprawa z kazaniami w języku rosyjskim nie szła pomyślnie. Chociaż rząd wyznaczył większą płacę dla tych księży unickich, którzy zdecydują się mieć rosyjskie lub ruskie kazania, duchowni opierali się. Łebedyńcew pisze bratu w liście z dnia 27 stycznia (8 lutego) 1866 r.: „Tutaj w żaden sposób nie dojdą do skutku kazania w rosyjskim języku. Niedawno zwoływali wojskowi, okrężni naczelnicy unickich księży dla upomnienia. Cóż wyszło? Ci uporczywie wzbraniali się...". — Mówiąc o miejscowych zdarzeniach, pisze Łebedyńcew: „Niedawno umarł rektor chełmskiego seminaryum, Szokalski. Posadziliby na jego miejscu Krynickiego, doktora teologii (?), który przybył w czasie świąt (Bożego Narodzenia) z Galicyi przez Warszawę i którego tymczasowo naznaczono nauczycielem religii w gimnazyum; jednak Kaliński przy pierwszem jego zjawieniu się formalnie zaprotestował i wymagał odemnie, by go nie dopuścić do udzielania lekcyj, z tej przyczyny, że on nie ma uwalniających listów od lwowskiego metropolity, ani też żadnych dowodów, że jest księdzem. Nie wiem, co powie Czerkawski".

„Na święto Jordanu — pisze dalej Łebedyńcew — święciliśmy uroczyście wodę przy wystrzałach z broni, poczem pokropiono gimnazyum. Skoro zasiedliśmy w mojej kwaterze do przekąski, wleciał nagle ksiądz unicki i z szałem począł kropić wszystkie kąty. Przyjąłem go z należnem uszanowaniem dla ominięcia skandalu. Wogóle księża bardzo podrażnieni, osobliwie na Podlasiu. To zresztą nie przeszkodziło w Białej zdjąć z ołtarza obraz zamordowania Kuncewicza. Obraz ten gości obecnie w gabinecie Czerkawskiego". (Kwiecień, str. 53—54).

O Kalińskim pisze Łebedyńcew w miesiąc później, że już od roku nie dostaje pensyi, i że Kaliński wobec tego wysprzedaje swoje ruchomości, gdyż w literalnem tego słowa znaczeniu nie ma co jeść. (Kwiecień, 57).

Dalsze kroki rządu rosyjskiego względem Unii charakteryzuje nam Łebedyńcew w liście z dnia 6 (18) maja 1866 r.: „Przed chwilą otrzymano rozporządzenie o wprowadzeniu do

unickich cerkwi ksiąg moskiewskiego wydania. Najprzód polecono wojskowym naczelnikom porozumieć się w tej sprawie z unickimi księżmi. Trzeba oczekiwać strasznej burzy. Sądząc po tem, jak przyjęli oni propozycyę o kazaniach w rosyjskim języku, za które pieniądze dawano, można silnie wątpić o powodzeniu tego nowego rozporządzenia. Kalińskiego wyszlą do Krasnostawu, gdzie nie zostało prawie ani jednej unickiej duszy. Jak się zdaje, dzieje się to w tym celu, by posadzić w Chełmie sufragana z godnością biskupią, rozumie się, człowieka podatnego, a Kalińskiego w honorowy sposób usunąć od spraw. Polityka Czerkawskiego w tym razie zagadkowa, a zresztą on jej przed nikim nie odkrywa". (Kwiecień, str. 60). „Nie pamiętam — pisze Łebedyńcew w innym liście — czy wspominałem wam o tem, że unitów, którzy przeszli na łaciński obrządek, nawracają a za nawrócenie nałożono karę na księży po 100 rubli, na łacińskiego i unickiego". (Kwiecień, str 64).

We wrześniu 1866 r. wyjechał Łebedyńcew do Warszawy na całe trzy tygodnie. Wpada w oczy, że zaraz po jego powrocie, dnia 11 (23) września przybył z Warszawy do Chełmu o północy Sidorski, a z nim pułkownik żandarmeryi Drozdow i wojenny naczelnik z żandarmami. W godzinę później Kaliński jechał już do Warszawy w towarzystwie dwóch żandarmów. Nakazano mu żyć w Wiatce. „Powiozą go tam — pisze Łebedyńcew — bez przestanku. Sam Kaliński wysłuchał tej decyzyi dość spokojnie, jednak córki strasznie krzyczały i sypały przekleństwami na wszystkich. Dano im po 100 rubli jednorazowo, a ojcu zostawiono pensyę 1.500 rubli. Chełmscy unici silnie wzburzeni i rozgoryczeni, nawet ci, którzy byli przeciw niemu. Teraz dopiero odkryły się ich rzeczywiste uczucia. Wójcicki bierze w zarząd dyecezyę, a Sidorski oddaje mu ją. Posłyszymy, co powie dyecezya. Dzieje się zupełnie to samo, co z bogusławskim konsystorzem (założonym na Ukrainie przez polski rząd dla zarządu prawosławnemi cerkwiami z powodu aresztowania i wzięcia do Warszawy w r. 1789 prawosławnego biskupa, Sadkowskiego). Sprawa mianowania biskupa znowu odłożona... *Interregnum* otwiera możliwość wielu reform. Krynickiego

naznaczano już rektorem unickiego seminaryum; pójdą dalej. Wprowadzą Haliczanów; dobrze, że Czerkawski stracił wiarę w miejscowych unitów, wskutek czego i mnie lżej". (Kwiecień, str. 68—69).

W kilka dni po wywiezieniu biskupa-nominata Kalińskiego, wywieziono także 18 (30) września wicerektora seminaryum, Harasowskiego, za to, że miał powiedzieć: „car nawraca nas do schizmy i żąda, byśmy go uznali za papieża". Tego samego dnia, w czasie mszy zrobił wzmiankę prof. Ziniewicz (ksiądz) o Kalińskim. „I jego powiozą, zdaje się, tej nocy w ślad za Harasowskim. Wogóle teraz nie robią ceremonij z unitami..." Łebedyńcew tak tem ucieszony, że prosi brata, by doniósł kijowskiemu metropolicie, że w Chełmie już całkowite prawosławie. (Kwiecień, str. 72).

Jakby na postrach dla unitów Sidorski i pułkownik żandarmeryi, Drozdow, zostali jeszcze w Chełmie przez dziesięć dni, a na odjezdnem wydali bal dla chełmskiej inteligencyi. Za Harasowskim wywieziono także Ziniewicza, przetrzymano ich w Lublinie, a następnie wysłano na wieś, na parafię. „Unici nasi — pisze Łebedyńcew — bardzo przestraszeni i nietylko milczą, ale nawet Łazarza śpiewają. Oni teraz na wszystko gotowi. Należałoby tak dawno zrobić z nimi! Rosyjskie kazania, prowadzenie spraw w rosyjskim języku już zaczęły się, jednak do rosyjskiego ducha, jak rozumie się, jeszcze daleko". (Kwiecień, 73).

Przyszedł, jak mówi Łebedyńcew, z powodu *interregnum* czas reform. Więc reformowano. W duchownem chełmskiem seminaryum nakazano odbywać wykłady w języku rosyjskim, zamiast w łacińskim. Wobec tego nakazu podnieśli alumni protest przed nowym rektorem, Krynickim; przestali chodzić na wykłady i oświadczyli, że pójdą raczej w sołdaty, jeśli im nie zaczną wykładać po łacinie: „gdyż my tam, gdzie katolicy, a wszyscy katolicy słuchają wykładów w łacińskim języku". (Kwiecień, str. 75).

„Bunt" ten skończył się dla alumnów nieszczęśliwie. Właśnie w tym czasie przyjechał do Chełmu na poświęcenie żeńskiego gimnazyum ks. Czerkawski i puścił się na sztuczki. Oso-

biście przeprowadził on egzamin z alumnami i dowiódł im i profesorom jasno jak na dłoni, że łacińskiego języka zupełnie (!) nie umieją, że więc ich żądanie, by im wykładano po łacinie, nie ma najmniejszej podstawy i polega jedynie na intrydze propagatorów katolicyzmu, którzy chcą Unię zlatynizować. Dwunastu alumnów wydalono z seminaryum i wywieziono natychmiast do domów rodzicielskich pod nadzór policyi. Profesorom udzielił Czerkawski silnej nagany, a nawet chciał wszystkich rozpędzić, a na ich miejsce wziąć Galicyan i Moskali. O Wójcickim zaś pisze Łebedyńcew, że ks. Czerkawski wyszczególnia go, sadza na sofie, a równocześnie robi taką minę: „Słuchajno! ja ciebie wywyższam, umiej więc prowadzić się pięknie, a nie to oberwiesz po czapce!“ Wójcicki rzeczywiście innej polityki nie wart! (Kwiecień, str. 76 i 78).

Na ceremonii poświęcenia żeńskiego gimnazyum, pisze Łebedyńcew, wygłosił mowę Wójcicki, którą, jak się zdaje, napisał mu Sidorski. Wygłaszał ją tak, jakby odgrywał komedyę: trząsł się, padał, płakał, opierał się na Ławrowskim i t. p. Rozumie się, wszystko to było udane. Wójcicki może płakać i śmiać się na obstalunek. Czerkawski był z tego zadowolony, gdyż to podnosiło ceremonię... W czasie mszy była straszna burza tak, że można było obawiać się o samą cerkiew... Czerkawski modlił się gorąco, a Wójcicki skompromitował się przez to, że nie umiał czytać po słowiańsku. (Kwiecień, str. 77).

Z powodu objęcia zarządu dyecezyi wydaje Wójcicki do duchowieństwa unickiego cyrkularz, ułożony pod wpływem Łebedyńcewa. Cyrkularz ten wydał się w Kijowie słabym. „Ja nie winię Wójcickiego za ten cyrkularz — odpowiada Łebedyńcew bratu. — By wydać stanowcze zarządzenia, trzeba mieć dostateczną siłę, zmusić duchowieństwo do ich wypełniania, a Wójcicki tej siły nie posiada. Chełmski konsystorz — nie kijowski, przed którym drżą błagoczynni (dziekani), a nawet protojereje. Gdy u nas nie spełni czego duchowny, to go zrzucimy albo poszlemy na gorsze miejsce, a tutaj prawo nie dopuszcza zmiany i niema kim zmienić. Tu rozkaże Wójcicki księdzu, by zjawił się w konsystorzu, a ten odpowiada mu: „Jeżeli ksiądz Wój-

cicki żąda rozmowy ze mną, niech do mnie przyjedzie'. To rzeczywisty wypadek! Dlatego też, choć sprawiedliwy wasz pogląd o sądzie nad podlaskimi księżmi, to jednak nadziei uskutecznienia go niema. Jeden z księży, zapłaciwszy kary sto rubli, znękany więzieniem i zagrożony wygnaniem, twierdzi jednak, że Wójcickiego słuchać nie będzie". (maj, str. 178).

Brak charakteru u Wójcickiego nie podobał się wkrótce samemu rządowi rosyjskiemu. W listopadzie 1867 r. wezwano Łebedyńcewa do Warszawy, dokąd przybył minister Tołstoj. W rozmowie z Łebedyńcewem i Krzyżanowskim poruszył Tołstoj sprawę Unii, którą chciał wyłącznie wziąść w swe ręce. Przed warszawskim prawosławnym arcybiskupem, Joannikijem żalił się na brak ludzi na wyższych stanowiskach, którzyby podtrzymywali interesy prawosławia i rosyjskiej narodowości. Sidorskiemu oświadczył, że dla spraw unickich może być założony 5-ty departament w kancelaryi cara, pod zarządem jego — Tołstoja. Łebedyńcewowi powiedział, że trudno biskupa wyświęcić dla unitów, jednak Wójcickiego zmienić trzeba. „Tołstoj — mówi Łebedyńcew — człowiek poważny i rozumny, a główna rzecz, że jest tego przekonania, iż do unitów trzeba zabrać się stanowczo, by ich stopniowo prowadzić do prawosławia, i że ich cerkiewne sprawy należy koniecznie związać z ludową ich oświatą w jednym głównym zarządzie. Ostatnią myśl ja podałem, a on przyjął ją za swoją. Dlatego można spodziewać się, że i nasza sprawa (rusyfikacyi) i wogóle sprawa Unii pójdzie raźniej, jeśli tą ostatnią pocznie kierować Tołstoj". (Maj, str. 189– 190).

Na tem urywają się w listach Łebedyńcewa wiadomości o unitach w chełmskiej dyecezyi. Pozwoliliśmy mówić samemu Łebedyńcewowi, by każdy nasz czytelnik mógł sobie wyrobić jasny pogląd na jego zapatrywania, na intencye rosyjskiego rządu wobec Unii i na straszny ucisk, jakiego doświadczało w chełmskiej dyecezyi unickie duchowieństwo.

Wiele z zarzutów Łebedyńcewa poważnie traktować nie

można; nie zawadzi jednak przypatrzeć się słuszności niektórych z nich.

Między innemi żali się Łebedyńcew na plotki unitów. Ale „plotki“ między unitami istnieć musiały. Każdy z nich oczekiwał niespodzianki. Przypominano sobie dawne lata (1839 rok) i teraz lepszych nadziei nie miano. Czego obawiano się, o tem szeroko rozprawiano. Że Łebedyńcewa podejrzywano, nie dziw; wszakże przyjechał po to, „by unitów wzmocnić, ale takich, którzy niedalecy od prawosławia“. Obawiano się, że w tej ostatniej dyecezyi, zostającej pod berłem Rosyi, Unia będzie zniszczoną, a sam Łebedyńcew w parę miesięcy po swym przyjeździe wyraża już nadzieję, że swemi oczyma zobaczy w Chełmie prawosławie.

Łebedyńcew przyjechał zakładać gwałtem *russkij centr*. Czyż miano go witać z otwartemi ramionami?

Sam Łebedyńcew już na wstępie podejrzywa unitów, całuje się z nimi po judaszowsku sześć razy, a poza oczyma szyje im buty. Czyż dziwne więc, że unici przyjęli go z niedowierzaniem i plotkami? Wszakże na co innego Łebedyńcew nie powinien był być przygotowanym. Dlatego też zarzut „podły naród“ jest wprost śmieszny. Przeciwnie! Przekonujemy się z listów Łebedyńcewa, że u tych ludzi można było znaleźć energię i przywiązanie do Unii, przed którem chyba każdy człowiek czoło skłonić musi.

Kaliński nie był Wójcickim, nie chciał więc dopuścić gwałtu na Unii. Dlatego nienawidzi go rząd rosyjski, odejmuje mu płacę, wysyła na wygnanie. Kaliński sprzeciwia się, by ludzie niepowołani i prawosławni i świeccy cenzorowali kazania; protestuje przeciw Krynickiemu, który, jak zobaczymy dalej, odegrał jako unita wstrętną rolę; on nie daje „wyssać z siebie ostatnich soków“, wyżej ceni Unię, jak swoje własne, osobiste interesy.

A duchowieństwo unickie? Za biskupem Pełeszem, za złe musimy wziąć temu duchowieństwu, że w kazaniach nie chciało przemawiać do powierzonego mu ludu w jego rodzinnym, ukraińsko-ruskim języku (Pełesz, op. cit., II, 854), ale z drugiej strony

zaznaczyć musimy, że Rosyi o kazania ukraińskie bynajmniej nie chodziło, gdy stawiano alternatywę mówienia kazań w rosyjskim lub ukraińskim języku, chociaż dla ludu pierwszy język był i jest po dziś dzień zupełnie obcym. Oddane duszą i sercem Rzymowi, nie chce unickie duchowieństwo słuchać wyrzutka katolickiej cerkwi, Wójcickiego, i mimo gróźb, kar pieniężnych i więzienia nie chce aprobować tego gwałtu, jakiego dopuścił się rząd wobec unickiej cerkwi, wysyłając prawnego, przez Rzym ustanowionego biskupa-nominata Kalińskiego na wygnanie i ustanawiając nowy „bogusławski konsystorz“ z Wójcickim na czele. Czy nie zasługują ci ludzie raczej na szacunek chociażby nawet od prawosławnego? A ich późniejsza działalność, ich gorące przywiązanie do Unii, które kazało im raczej porzucić kraj i iść na niepewną, często gorzką dolę, niż zadać gwałt sumieniu i przyjąć prawosławie — czyż nie musi wzbudzić u każdego uczciwego człowieka uszanowania? Prawda, nie brak było między nimi Wójcickich i jemu podobnych, ale takich ludzi każdy, chociażby najzdrowszy organizm mieścić w sobie może. Nawet ludzie świeccy z pomiędzy unitów, którzy chcieli wskrzesić swą narodowość i którzy przez to wydali się Łebedyńcewowi skłonnymi do prawosławia, występują przeciw wywiezieniu Kalińskiego, odkrywają „swe właściwe uczucia“, bo gwałt ten otwiera im oczy na działalność rządu wobec Unii i ruskiej narodowości. Czyż wszystkich razem można nazwać za to „podłym i obmierzłym narodem“?

Oprócz Unitów dostało się w listach Łebedyńcewa także parę batów polskiej, galicyjskiej prasie, a mianowicie *Czasowi* i *Ojczyźnie*. Nazywa te gazety kłamliwemi, gdyż odkrywały one plany rządu rosyjskiego, zwracały uwagę na jego brutalność, kiedy postanowił w Rosyi dokonać zniszczenia Unii, a z Chełmu uczynić *russkij centr*. Gdyby chodziło tym gazetom o satysfakcyę, to z pewnością znalazłyby one już ją w tych danych, które wyjęliśmy z listów Łebedyńcewa. Przytoczymy jednak z nich jeszcze jeden ciekawy fakt, który wskazuje, jak sztucznie, gwałtownie i nienaturalnie trzeba było przeprowadzać rusyfikacyę kraju. Oto co pisze Łebedyńcew: „W twierdzy Zamościu zało-

żyli w r. 1864 garnizonowi oficerowie rosyjską szkołę. Prawosławni uczniowie byli po większej części nieprawego łoża, synami niższych wojskowych i oficerów. Było tu niewielu unitów, a jeszcze mniej katolików. W przeszłym roku z opróżnieniem twierdzy szkoła miała upaść z powodu braku pieniędzy i umieszczenia. Wystarałem się o 200 rubli rocznie na utrzymanie od rządu, wyprosiłem tymczasowe umieszczenie i kamienny dom twierdzy na zawsze, mianowałem nauczyciela, naznaczyłem prawosławnego duchownego na nauczyciela religii i nadzorcę i postarałem się dla niego o pensyę. Nie zważając na to, oddawna tam istniejąca polska szkoła przeszkadzała ‚ruskiemu dziełu'; postanowiłem więc ją utrącić, jednak tak, żeby nadać sprawie zupełnie prawną formę i nie wzbudzić narzekań Polaków. Tych ostatnich było bardzo mało, a sami bez Żydów nie byli w stanie utrzymać szkoły, więc namówiłem Żydów, by przeszli do rosyjskiej szkoły i przekształciłem ją na dwuklasową. Szkoła polska upadła, jednak zdaje się, że i rosyjskiej grozi to samo.

„Arcybiskup Joannikij ni stąd ni z owąd oświadczył, że ta szkoła cerkiewno-parafialna powinna znajdować się pod zarządem konsystorza, a nie dyrekcyi, której on przesyła swe arcypasterskie uznanie za pomoc w działaniu. Komisya potwierdziła postanowienie konsystorza, a mnie zobowiązano na żądanie arcybiskupa, bym wysyłał o niej swe spostrzeżenia dwa razy do roku, a nawet częściej. Pokorny sługa! Jak ubliżająca i niesprawiedliwa dla mnie ta sprawa. Odrzekłbym się jednak chętnie szkoły w Zamościu, gdyby ona mogła istnieć pod zarządem konsystorza. Jednak teraz właśnie grozi jej upadek. Żydzi odstąpią i przystaną znowu do szkoły polskiej, a tymczasem w rosyjskiej szkole właściwych Moskali-uczniów bardzo mało, gdyż garnizon zupełnie wybrał się stąd. Próbowałem donieść o tem prywatnie do wiadomości Wittego i Joannikija, jednak oni oparli się rękami i nogami. Postanowiłem milczeć..." (Kwiecien, 59—60).

O tymże Joannikiju opowiada Łebedyńcew, że w r. 1865 przybył do Chełmu i miał kazanie, w czasie którego rozpłakał się zupełnie niespodzianie, gdy począł mówić o tem, jakby on chętnie powitał tę chwilę, w którejby między tutejszymi różno-

wiercami nastąpiła zgoda i spokój. „Zapłakało przytem kilka dam, pułkownik żandarmeryi i wojskowy okręgowy naczelnik...“ — kończy Łebedyńcew. (Marzec, str. 355).

Już z początkiem 1866 r. chciał Joannikij zmusić unitów do prawosławia. Sprzeciwiał się temu Czerkawski, a usłużny Łebedyńcew przyznaje Czerkawskiemu słuszność. „I Repnin pisał niegdyś — czytamy w liście Łebedyńcewa — że sprawy wiary są bardzo delikatne, a Joannikij chciałby wprost chwytać za gardło. Joannikij łatwowierny do naiwności. W siedleckiej dyrekcyi żandarmi i kozacy na rozkaz wojskowych naczelników wypędzali lud naprzeciw Joannikija, a on przyjął to za dobrą monetę. Mnie osobiście opowiadał arcypobożny pułkownik żandarmeryi, jak we wsi Luchowie dla braku prawosławnych podsunięto gromadkę Polaków, by cerkiew nie była próżną w czasie archierejskiej służby“. (Kwiecień, str. 54).

Fakt ten ciekawy, jak mieli się unici do prawosławnej cerkwi. Swoją drogą nie przeszkadzało to zupełnie Rosyi w kilka lat później ogłosić światu, że unici „dobrowolnie“ przeszli na prawosławie...

Przejdźmy teraz do bardzo ciekawych zapisków o Galicyi.

(Dok. nast.).

Dr. Cyryl Studziński.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

W starym dworze. Powieść. *Artur Gruszecki.* Petersburg. 1899.

Autor „Tuzów", „Rugiwojskich", „Kretów", „Szachrajów" i „Szarańczy" przed rozpoczęciem powieściopisarskiej działalności kreślił w rozprawach literackich swoje estetyczne przekonania. W przekonaniach tych był pod wpływem realistycznej szkoły, ale wpływ ten był umiarkowany. Pisał wtedy, że „najfantastyczniejsza postać, najnieprawdopodobniejsze zdarzenia stają się pięknemi pod ręką arysty, gdyż on je robi prawdziwemi". Autor najwidoczniej w świecie nie chce dwu tych pojęć prawdy i piękna utożsamiać, lecz tylko stawia zupełnie słuszne twierdzenie, że prawda jest jednym z najniezbędniejszych środków artystycznej faktury. Ten kierunek p. Gruszeckiego, aby obrany za temat kawał życia odtworzyć z całą siłą prawdy, aby wszystkie postaci były drgające krwią i życiem rzeczywistem, przejawia się wybitnie w powieści p. t.: „W starym dworze".

Powieść ta przenosi nas w świat nowy, a bardzo ciekawy. Stoimy w starym dworcu, w którym jednak brak dawnych panów, magnatów z krwi i kości. Dwór ze wsią Babinem przeszedł w ręce dorobkiewicza, Macieja Maluka, który w młodości był usługującym przy stole kozaczkiem, później czumakował, handlował, dorabiał się, aż wreszcie wyszedł na właściciela ziemskiego. Spotykamy się z Malukiem już w czwartym roku jego gospodarskich rządów. Przyzwyczajony od młodości do pracy i oszczędzania pozostał takim i nadal. Nowe stanowisko nic nie zmieniło w jego usposobieniu — wniosło chyba tylko

chęć skoligacenia się ze szlachtą — żadnej ogłady, żadnych przymiotów dworskiemu życiu właściwych w Maluku i w jego rodzinie nie widzimy. Jest tam tylko uporczywa praca zapobiegliwych gospodarzy i gorączkowe zbijanie pieniędzy. Obraz takiego przesadnie zapobiegliwego życia, z najobjektywniejszą wiernością szkicowany, stanowi całą treść niniejszej powieści. Powieściopisarz kryje się cały poza działające osoby, ani jednem subjektywnem słowem nie mąci nam złudzenia rzeczywistości. Widzimy ludzi żywych, względem których z wydaniem sądu w ciągu czytania spieszyć się nie można. W toku powieści widzi się w nich dobre i złe strony, ale każda następna kartka przynosi jakieś nowe cieniowanie tych stron i dopiero ostatni ustęp podaje rys stanowczy, rzucający jaskrawe światło na ich charakter.

Oryginalny widok przedstawiają ci dorobkiewicze. Najpierw cała spuścizna wykwintna po dawnych panach, wszystko co stanowić może ozdobę dworu, rozsypuje się pod ich rządami w proch. Złote ramy portretów poczerniały i zaczęły odsłaniać stoczone przez robactwo drzewo, ściany odarte z tapetów świecą wilgocią, zniszczone gipsowe ozdoby drzwi i okien, popękana posadzka przedstawiają widok całkowitej ruiny. Pewną ilość salonów zamknięto i pozwolono im niszczeć w chłodzie i stęchliźnie, w innych leżały kupy zboża i inne gospodarskie statki. Wśród tego niszczejącego domostwa krząta się rodzina gorączkowo koło gospodarskiej pracy na równi ze służbą i z parobkami, dwór wprawdzie rozpada się, ale rosną stodoły i spichrze. Byłaby ta praca bardzo ładną, gdyby na każdym kroku nie przeglądało sknerstwo. Nieszczęśliwą waryatkę, żonę Malukowego syna, Łukasza, który za starego już ojca prowadzi gospodarstwo, trzymają dlatego tylko w domu, aby nie potrzeba za nią płacić w szpitalu. Podobnych objawów pełno. Czarna strona takiego usposobienia pokazuje się w całej sile przy końcu powieści. Stary Maluk złożony chorobą dogorywa, a trzej jego dorośli synowie, nie myśląc zupełnie o ojcu, pilnują się z całą zawziętością skąpców nawzajem, aby jeden drugiego nie podbiegł w ostatniej woli umierającego. Ten widok trzech braci, kłócących się i zabierających do bitki, gdy ojciec w agonii chrapliwie oddycha, jest wprost potworny. Jeszcze nie zastygło ciało, a już zaczęła się szarpanina o futra i przeszukiwanie kątów. Wtem najstarszy z nich dowiaduje się, iż istnieje testament, mocą którego on jest panem dworu i włości, uderza więc tryumfująco w stół i krzyczy na braci: „Won psubraty! Ja tu pan!“ Temi słowami kończy się powieść.

Faktura realistyczna służyła autorowi w tej powieści bardzo dobrze. Szare życie Maluków i ciche pracowite życie wiejskie rysują się wyraziście. Jeden, drugi epizod jest wprost świetny. Taki obraz zimowego ranku w izbie czeladnej, kiedy gospodyni budzi służbę, a żółtawo-czerwone płomienie palonej w piecu słomy odbijają się o czarne sagany, jak zaczynają furczeć wrzeciona i warczeć kołowrotki, obraz ten pozostaje w pamięci i w sercu na długo.

Szkoda tylko, że jedną śliczną stronę swego pomysłu autor nie dość jasno przeprowadził. Autor chciał przedstawić dwa światy. Jeden żyjący, gorączkowo ruchliwy, nieokrzesany i pierwotne jeszcze instynkty w swojej piersi noszący, świat jakichś ludzi nowych, jakby amerykańskich plantatorów i brazylijskich fermerów, istot jakichś pośrednich między stanowiskiem naszego wieśniaka a naszego wiejskiego szlachcica. Drugi świat przedstawia dworzec martwy teraz, milczący ponuro, chylący się ku upadkowi, mieszczący jednak w sobie pamiątki szlacheckiego pokolenia. Nowi ci fermerzy potykają się co krok o minioną przeszłość. Patrzą na nich ze ścian zapylone portrety kniaziów, otaczają ich mahoniowe oddrzwi zasnute pajęczyną i staroświeckie komody z połamanemi bronzowemi ozdobami. Odnajdują nawet Malukowie w murze jakąś skrytkę, gdzie w hebanowej szkatułce leżą pożółkłe akta urzędowe z mnóstwem pieczęci i podpisów, i jakiś pakiecik listów, związany wstążeczką. Są to papiery rodzinne po mieszkającej w tym dworcu kniahini, a w szeregu listów rozwija się przed oczyma czytających je Maluków śliczny sielankowy romans między owdowiałą kniahinią a jej wielbicielem. To zetknięcie się pod jednym dachem nieokrzesanych rolników ze światem szlacheckim, żmudnej i krwawej pracy przy pługu z idealną sielanką, za pośrednictwem pamiątek mieszczących się w dworcu, jest pomysłem bardzo ładnym, ale w powieści nieodtworzonym z finezyą. Autor był zanadto objektywnym rysownikiem i wskutek tego jak ludzi żyjących naszkicował żywo, tak i rzeczy w sobie martwe, zamarłą tę przeszłość, trochę martwo oddał. Tymczasem, jeżeli te martwe kryształy miały przypominać życie, a ruch i życie są w sztuce nieodzownie potrzebne, to trzeba było koniecznie przelśnić je promieniem uczucia. Dla tej martwoty cały ten długi epizod z odczytywaniem listów robi nawet wrażenie niepotrzebnego wtrętu.

Powieść jako odtworzenie życia wybitna, tylko życie to jest w niektórych miejscach za szare, a w niektórych za ciemne. Więcej światła i serca!

Ks. J. Pawelski.

Dary z Polski dla Erazma z Rotterdamu w historycznem muzeum bazylejskiem. *Dr. Feliks Kopera.* Sprawozdanie komisyi do badania historyi sztuki w Polsce. (W 4-ce, t. VI, zesz. II i III. str. 110—138).

W nadreńskiem mieście Bazylei, słynnem już w XV. wieku z handlu, przemysłu, sztuki i nauk, sławnem wielkim soborem, osiadł w XVI. wieku wielki uczony Erazm z Rotterdamu i powiększył koło humanistów, którzy tutaj utworzyli ognisko nauki. Do Bazylei przybywają także Polacy, by zetknąć się z tymi ludźmi dla intelektualnej korzyści, a zwłaszcza z niepospolitym człowiekiem, Erazmem z Rotterdamu, na którego zwrócone były oczy całego ówczesnego świata uczonego.

Erazm myśl trzeźwą i ścisłą przyoblekał w formę wyrobioną przez świat klasyczny, którą uważał za skończoną i doskonałą, zaś między literaturą a dążeniem sztuki renesansu w jej stosunku do natury a antyku, istnieje ścisły związek; dr. Kopera przypomina, że i artystów pozyskuje ten wódz humanistów. Entuzyazm dla niego i rozległe stosunki coraz większe zataczają kręgi. Zygmunt I., król polski, robi pilne, acz bezskuteczne starania, by go sprowadzić do Polski. Wśród wielkiej liczby wielbicieli Polacy zajmują jedno z miejsc pierwszorzędnych. Zawiązują z nim ściślejsze stosunki i korespondują: Jan i Jarosław Łascy, Szydłowiecki i Krzycki, arcybiskup Łaski, a dalej Tomicki i Andrzej Zebrzydowski. Justus Decyusz liczy się do jego najlepszych przyjaciół, a potem po roku 1530 Dantyszek, Bonerowie i Piotr Kmita utrzymują z nim stosunki i to nie konwencyonalne, ale raczej przyjaźni; wielom z nich dedykuje Erazm swe dzieła Polacy jadąc do Włoch odwiedzają go, czytają i rozprawiają nad jego książkami, lub nawet mieszkają z nim razem, jak Jan Łaski, który za życia kupuje jego bibliotekę, prowadzą z nim pogawędki o literackim ruchu, o nowych prądach, urządzają amatorskie przedstawienia komedyi Terencyuszowych (Bonerowie), obdarzają podarunkami i przesyłają z Polski. Między darzącymi czytamy nazwiska króla Zygmunta I., Szydłowieckiego, Krzyckiego, Tomickiego, Dantyszka, arcyb. Łaskiego, Seweryna Bonera, Decyusza, lekarza krakowskiego Jana Antoniego z Koszyc i Erazma opata mogilskiego.

W muzeum historycznem bazylejskiem znalazł dr. Kopera trzy z tych drogocennych pamiątek epoki Odrodzenia.

Dar najprzód Bonera, złoty medal Zygmuntowski, lany, cenny swą znamienitą techniką, niewiadomego artysty. Szanowny autor szuka przeto za nim i rozważa nad właściwościami jego dłuta. Ku temu celowi zestawia szereg medali tej epoki i wysnuwa wnioski.

Całe rozumowanie d-ra Kopery dotyczy jednego z najciekawszych okresów w dziejach sztuki naszej, wyjaśnienia przyczynowego rozmaitych objawów formy, hipotez dotyczących jej twórców a to z chwili walki Odrodzenia z Gotycyzmem, gdzie mnóstwo szczegółów wykryć zdoła tylko wszechstronne rzeczy roztrząsanie. Stąd zrozumiałą będzie sprawą, że w interesie nauki nie wolno nam zbyć rozprawy czysto sprawozdawczo, wyśpiewawszy dytyramby pochwał, na które rozprawa w całej pełni zasługuje, ale równocześnie uszanowawszy zapatrywania autora podnieść nam należy argumenty, które do odmiennych prowadzą wyników i dlatego czytelnik wybaczy, że w sprawozdaniu naszem wkroczyć musimy w specyalny rozbiór tematu, poruszonego w omawianej dysertacyi.

Za ten sam typ medalu, co wspomniany medalion bazylejski, lecz przerobionego stempla przez tegoż samego artystę, uważa dr. Kopera okazały medal Zygmunta I. z r. 1527, jaki się znajduje w zbiorach wiedeńskiego muzeum nadwornego. Na tej przesłance oparłszy swój wywód powiada, że pierwotnie tylko jedna strona wchodziła w zakres planu artysty, który początkowo miałby wykonać tylko stronę główną, zatem jako medalion, a następnie dopiero plan się artysty rozszerzył i urósł stąd, jako przeróbka poprzedniego, wielki medal zbioru wiedeńskiego.

Słuszność tego zapatrywania ma sz. autorowi potwierdzać podwójne, bo na awersie i rewersie, użycie tytułu *rex* i ba co więcej, na medalach innych, mianowicie ze zbiorów hr. Czapskiego i kolekcyi hr. A. Potockiego, jest również rok 1527, wreszcie medalion bez daty, złoty, ze zbiorów ks. Czartoryskich podobny jest do Bonerowskiego. Rzecz przeto zdaje się być jasną, że medalion z daru Bonera ma być studyum do wielkiego, inne zaś powyżej przytoczone medale waryantami owego studyum.

A jednak, wprost nie dajemy temu wiary, by studyum swem artystycznem poczuciem, miękkością dłuta, zrozumieniem modelunku, tak wielce różniło się od następnego *capo d'opera,* które tylko powierzchownie do niego zbliżone, bo swem naśladownictwem profilu i biegiem ogólnikowych zarysów spokrewnione, lecz pod względem artyzmu rzeźby, jakżeż dalece na niższym znajduje się poziomie. My więc do innego tutaj dochodzimy wyniku, dla nas medalion bazylejski, to mistrzowski wzór, do którego daremnie sięgał, by mu dorównać, talent medalierów następnych. Są istotne różnice w wymiarach i stosunkach głowy, ale co ważniejsza to ta głęboka różnica w artystycznym rzucie,

w narysowaniu i pojęciu formy. Aby jeden i ten sam artysta mógł obrysować nos jak na figurze 1 i 3, lub tak różnić się w rysunku muszli ucha jak na figurach 3 i 4, albo oka jak 1 i 2, to wydaje nam się nieprawdopodobnem i trudno nam uwierzyć, by to mogły być wszystko waryanty jednej ręki i wystudyowane z natury.

Jak tu, w tym razie, pogodzić niewolnicze może, realistyczne traktowanie konturów i szczegółów (fig. 3) ze swobodą i pięknem linij (fig. 1). Za takiem wyjaśnieniem napróżnobyśmy chyba szukali, bo według widzenia naszego nie są one wszystkie waryantami jednej ręki, ale waryantami jednego tematu, może nawet sformułowanego po woli portretowanego króla. Sz. autor tłumaczy te różnice w rysach twarzy królewskiej przecyzelowaniem (str. 121, szp. 1) a to za mało, dla nas nie wystarczy wobec różnic, na któreśmy wskazali.

Nie przeczymy, są jeszcze powody, które sz. autora zawiodły do tej hipotezy, to jest łączność pewna w napisach. Czy jednak treść napisów jest zawsze dziełem medaliera? — czy też może przeciwnie będzie życzeniem i wolą właściciela medalu, którego wizerunek przedstawia, zwłaszcza, gdy o królewską chodzi osobę. Przemawia zupełnie do przekonania tłumaczenie sz. autora o praktykowanych przez medaliera obcięciach medalu, jak na egzemplarzu ze zbiorów ks. Czartoryskich (str. 121), na którym część odwrotna została zapożyczoną z medalu Pomadella, ale ten szczegół właśnie nam tłumaczy, jak wiek ten zapożyczenie części jakowejś, fragmentu, pomysłu z innego medalu nie uważa za rzecz zdrożną, lecz jak wiemy skądinąd jest powszechnie praktykowaną. Wszystkie waryanty, jak je nazywa dr. Kopera, należy według jego zdania przypisać medalierowi włoskiemu, jest to logiczny i naturalny wynik przyjętej poprzednio tezy.

Wobec przypisania wielkiego medalu Zygmunta I. przez muzeum wiedeńskie artyście niemieckiemu, powiada dr. Kopera, że jego zestawienie z jednej strony portretu, po drugiej herbów świadczy wprawdzie o tem, że bez wpływu sztuki niemieckiej nasz zabytek nie jest, lecz tarcze herbów inaczej się tutaj przedstawiają. Niemieckie herby odznaczają się malowniczością i pełno w nich fantastycznie rozwianych strzępów, wstęg lub zasłon, a tego medal wiedeński niema. To skłania sz. autora do przypuszczenia, iż medalier był Włochem z Italii północnej, podobnie jak Padovano lub Caraglio. Żeby był Niemcem przejętym już wpływem renesansu włoskiego, w to sz. autor nie wierzy. Do dzieł medalierskich tegoż artysty zalicza jeszcze medalion Krzysztofa Szydłowieckiego z r. 1526 i powiada, że ów nieznany medalier

Włoch anonim r. 1526 był w służbie Szydłowieckiego, zaś w następnym króla.

Co do tej całej grupy medalów, przypisywanej jednemu włoskiemu artyście, pozwoli sobie sprawozdawca, wypowiedzieć zdanie odmienne. Mianowicie sądzę, że mały medal Zygmunta I. (str. 121, fig. 5) jest z nich najstarszy, a to ze względu nietylko młodszej niż na innych twarzy królewskiej, ale głównie z powodu okoliczności, że na piersiach króla nie zawisnął jeszcze łańcuch złotego runa. Przypomnijmy sobie, że dnia 26 lutego 1525 r. podpisał cesarz Karol V. dyplom w Madrycie, mocą którego nadał królowi polskiemu Zygmuntowi I. order złotego runa. W październiku dopiero przybyli do Krakowa wysłańcy cesarscy, Karol Filip z Burgundyi, baron na Bredzie i Loffirgii i herold Jan Glanet Tusi; 22-go tegoż miesiąca odbyło się w katedrze krakowskiej uroczyste nabożeństwo, poczem król wykonał przysięgę na zachowanie wierne statutów rycerstwa złotego runa i posłowie wręczyli teraz łańcuch ze znakami orderu, z 22 ogniw złożony. Akt to był wielkiego znaczenia, głośny na całą Europę, dekoracya zbyt zaszczytna i okazała, by medalier mógł ją pominąć, a król na to się godzić.

Zatem medal ten mógłby należeć co najpóźniej do pierwszych miesięcy roku 1525, ale może i prawdopodobnie o cały lat dziesiątek jest wcześniejszy.

Następne miejsce zająłby według recenzenta medalion Krzysztofa Szydłowieckiego z r. 1525 (str. 125, fig. 6), wreszcie medalion bazylejski z portretem króla Zygmunta z roku około 1527 (str. 118, fig. 1). Te trzy sztuki, a zwłaszcza pierwszą i drugą przyznałby jednej ręce medaliera-rzeźbiarza włoskiego.

Do drugiej grupy zaliczyłbym medal Zygmunta (str. 119, fig.) z muzeum wiedeńskiego z r. 1527 i medalion z muzeum ks. Czartoryskich (str. 120, fig. 4), dłuta Włocha, ale medaliera-mincerza lub złotnika. Do podobnej supozycyi skłania nas niezaprzeczona drobiazgowość dłuta, brak szerokiego i śmiałego traktowania rzeźby, jak w poprzednich.

Sam dla siebie pozostanie z całą pedanteryą i naturalizmem konturu przez niemieckiego medaliera sporządzony medalion Zygmunta I. (str. 120, fig. 3) z r. 1527, który wzoru szukał na włoskim egzemplarzu, ale duchem i dłutem Niemcem pozostał lub do sfery niemieckiej kultury należy.

Po omówieniu medalów poprzednich, dr. Kopera przysądza medal przesłany w darze Erazmowi, z popiersiem Seweryna Bonera, artyście niemieckiemu, który, jak tego szan. autor dowiódł, wyszedł ze szkoły norymberskiej Piotra Flötnera.

Równej miary interes obudza w nas sztuciec srebrny w muzeum bazylejskiem, złożony z noża i widelca, w pięknej oprawie, na której rytowane sceny z Genesis, cztery żywioły i temperamenty. Mistrzowsko wykonane przez artystę, może krakowskiego, wykształconego w Norymberdze lub na jej wzorach. Przybory te stołu jadalnego są pierwszorzędnej wartości artystycznej, przysłał je Rotterdamczykowi opat mogilski Erazm, przyjaciel uczonego bazylejskiego, przed r. 1534.

Dodać nam trzeba ze swej strony, że ów opat Erazm Ciołek posiadał krewnego złotnika, Stanisława, mieszczanina płockiego i hojną przykładał rękę ku sprawieniu przyborów kościelnych dla klasztoru mogilskiego, a dalej, że łączyły opata już r. 1522 bliższe stosunki z Bartłomiejem Bereccim, a więc z Włochem o potężnym indywidualizmie artystycznym.

To były dary, które Polska niosła znakomitemu humaniście; są one produktem prawdziwego artyzmu i „mają piętno Odrodzenia u jego szczytu. Zabytki te świadczą nietylko o wysokiem i wielostronnem umysłowem i humanistycznem wykształceniu ofiarodawców, ale także o rozwiniętej wysoce sztuce i artystycznym smaku w Polsce".

Prócz tego jest jeszcze w muzeum historycznem bazylejskiem drzeworyt z popiersiem króla Zygmunta I. z wydrukowanym szkicem historycznym osoby królewskiej. Drzeworyt, odbity r. 1526 na pergaminie i kolorowany, przesłany został przez Jana Łaskiego jun. w darze przyjacielowi Erazma z Rotterdamu, Bonifacemu Amerbachowi. Rycina znana skądinąd (Statut Zygmunta I., druk Victora 1524) nie przedstawia żywszego interesu, ale pozostanie zawsze ciekawym przyczynkiem do ożywionych stosunków polskich z humanistami bazylejskimi.

Rozprawa d-ra Kopery przynosi do świetnej epoki renesansu polskiego świeże i ciekawe wiadomości, a charakteryzuje ją ten punkt widzenia szan autora, jaki zdobywa się pilnem rozpatrzeniem zabytków kultury Zachodu i ich dokładna znajomość, a jeżeliśmy tu i ówdzie odmienny wyrazili pogląd, lub rozświecili nowym momentem, to działo się to nie dlatego, by obniżyć jej wartość, ale ze względu na doniosłość poruszonych rozprawą kwestyj.

Leonard Lepszy.

Kodeń Sapiehów. Z dawnych i nowych źródeł napisał *P. I. K. Podlasiak.* W Krakowie 1898. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. (W 8-ce).

Historya cudownego obrazu Matki Boskiej w Leśny. Napisał *Tenże.* W Krakowie 1897. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i Sp. (W 8-ce, str. 146).

Autor nieoszacowanej monografii Biskupiego Janowa, z której na tem miejscu zdawaliśmy sprawę, prowadzi dalej swe zasłużone poszukiwania, obiega główne stacye życia katolickiego na Podlasiu, na zgliszczach tylu ruin sporządza inwentarz dostatków, w które wiara naszych przodków uposażyła zniszczone dziś ołtarze Pańskie, ołtarze Maryi. O dwóch takich cudownych rozpisując się miejscach, bezimienny autor darzy nas ponownie dwoma cennemi nabytkami historycznemi, z któremi dziejopis Kościoła polskiego w XIX. wieku rachować się będzie musiał, a które każdy polski czytelnik z najżywszem zajęciem przewertuje.

Pielgrzymi częstochowscy od lat dwudziestu kilku, złożywszy hołd przynależny Królowej Korony polskiej, nad Jasną Górą panującej, zwykli zwiedzać i kościół OO. Paulinów, kaplicę po kaplicy obiegając pobożnie. Jedna z nich uderza napływem cichych, milczących a modlących się jakoś rzewniej i goręcej pątników. Ta szara włościańska rzesza na pytanie odpowiada wymijająco, nie mówi, skąd tu przyszła, nie podaje nazwy wsi i okolic rodzinnych. Ale sama jej obecność w tem miejscu, jej tkliwe nabożeństwo i niema skarga wskazuje, że to unici, przybyli z Podlasia, aby się użalić przed wygnaną swą opiekunką, Matką Boskę kodeńską, zesłaną do Częstochowy, podczas gdy Jej przybytek, niegdyś przez Sapiehów wzniesiony, przez prawosławie zagarnięty został. Zanadto się tu skupiała tradycya katolicka, zanadto ogrzewała ojców wiara, aby schizma nie spróbowała wygasić to ognisko życia pobożnego. Sam kształt kodeńskiej bazyliki, przypominający kościół św. Piotra, świadczył o łączności z Rzymem, stwierdzał węzeł Podlasia z Piotrową Stolicą. Dziś przerobiona do niepoznania świątynia, zatraciła pierwotną wspaniałość, ale choć udało się mury przerobić na cerkiewne kształty, usiłowania schizmy rozbiły się o silniejszy mur dusz unickich, które nie dały się na prawosławie przerobić; wszakże po ćwierćwiekowym ucisku, przy ostatnim spisie ludności kodeńscy włościanie i mieszczanie zarówno się podawali za katolików i Polaków, protestując przeciw samodzielczemu zarejestrowaniu ich w poczet prawosławnych.

Niniejsza monografia obejmuje zarazem i historyę cudownego obrazu i dzieje potężnego Sapiehów domu, zrosłego mieczem i radą z losami Rzeczypospolitej. Przedewszystkiem autor wykazuje prawowierność tego domu, tak silnie przywiązanego do Kościoła katolickiego od czasów Wielkiego Sapiehy, owego Jana z przydomkiem *Magnus*, właściwego protoplasty i wielkości i pobożności rodu, przyjaciela Zygmunta Starego, który szerzył Unię, córkę poświęcił Bogu w klasztorze Bazylianek i zbudował w Kodniu pierwszy kościół łaciński. Znamiennym jest rysem, że Sapiehowie w umiłowanej przez się miejscowości ufundowali tu równolegle, prawie jednocześnie dwa kościoły, obudwóch obrządków, pod jednakiem wezwaniem św. Ducha, jakby dla stwierdzenia jednomyślności w wierze, na tym właśnie punkcie, na którym dysunia swe odszczepieństwo oparła.

Dziwne są dzieje cudownego obrazu kodeńskiego. Ciężko chory Mikołaj Sapieha, spiesząc do miejsc cudownych dla odzyskania zdrowia nad inne świętości upatrzył sobie kopię hiszpańskiego posągu Matki Boskiej Gwadalupeńskiej, słynącą w Rzymie łaskami, a umieszczoną w prywatnej kaplicy Urbana VIII. Mimo łaskawości papieża, nie spodziewał się Sapieha otrzymać dla siebie daru tak zacnego, postanowił tedy wykraść z Watykanu drogocenny zabytek, i przekupiwszy sługę papieskiego, wywiózł nocą obraz cudowny, folgując zarazem właściwej owym ludziom i czasom pobożności i samowładnym zakusom królewiąt polskich. Mimo gróźb i kar rzymskich, skarbu nie oddał, obraz umiłowany umieścił w kodeńskiej świątyni, żarliwą a długoletnią pokutą i pobożnością, oraz wierną służbą Kościołowi okupując winę i zdobywając z czasem przebaczenie Urbana VIII. Niezadowolniony dawnemi fundacyami swych poprzedników, zbudował wówczas ową wspaniałą bazylikę św. Anny, w której w osobnej kaplicy umieścił uwiezioną z Rzymu Matkę Boską Watykańską czyli Gregoryańską, od papieża Grzegorza, który kopię hiszpańskiego pierwowzoru sporządzić kazał. Samo więc pochodzenie tego świętego obrazu stanowiło węzeł z Rzymem, z Watykanem, ze Stolicą Piotrową.

Odtąd jęły się tu sypać wota, zapisy, dary i ofiary, nie z samych tylko rąk sapieżyńskich. Wyproszone tu łaski ściągały coraz to liczniejsze pielgrzymów tłumy, chwała Boża rosła i rozbrzmiewała się na całą okolicę. Sapiehowie nie sprzeniewierzali się swemu *Palladium*, ciągłemi legatami powiększając opatrzenie Kościoła, kędy za życia się modlili, a po śmierci spocząć pragnęli. Jedno tylko pozostaje dla nas niepojętem. Wspomnieliśmy już w sprawozdaniu z monografii Janowa,

jak często fundusze kościelne powierzanemi u nas bywały Żydom, przepadając z czasem niepowrotnie. I tu ten opaczny a zgubny obyczaj stwierdza się wielokrotnie. Znaczna część legatów poczynionych kościołowi św. Anny opartą była na kahale brzeskim lub kodeńskim, na synagogach tychże miejscowości. Wprawdzie ściągany procent bywał znaczniejszy, dochodząc do stopy ośmio-procentowej w XVII w., atoli jest coś wstrętnego w pobieraniu od Żydów dochodu przeznaczonego na utrzymanie lamp wieczystych przed Przenajśw. Sakramentem. Przy rozbiorze zaś kraju większa część owych zapisów, przez rząd rosyjski zagarniętych lub nieuznanych bezpowrotnie przepadła.

Przeszedłszy drogą spadku na Branickich i Krasińskich, Kodeń doznał najtroskliwszej opieki ze strony hr. Elizy, małżonki Zygmunta Krasińskiego. Jakby przygotowanie na idące próby, pobożna ta pani zarządziła misyę Kapucynów. Niebawem jęły się walić coraz nowe klęski na Sapieżyńską stolicę. Po roku 1863 zagarnięto dochody, rozpędzono wikaryuszów, infułata i proboszcza kodeńskiego skazano do ciężkich robót w Syberyi. Książe Czerkawski rwał się do zniesienia tej katolickiej twierdzy. Tymczasem zajęcie jej o parę lat się miało opóźnić. Odtąd niniejsza praca opiera się na dokumentach zaborczych, wskazujących postęp zamiarów rządu wobec kodeńskiej świątyni. Zaczyna się apostolstwo schizmy, nahajką przeprowadzane. Połowa ludności okolicznej dostaje się do więzienia, kontrybucye niszczą dobrobyt ludu, przepędzani księża nie są w stanie osieroconej ludności zapewnić religijnej posługi, nareszcie pada grom ostatni; reskryptem z 6 maja 1875 r., zwiastującym, iż kościół rzymsko-katolicki w Kodniu oddany został na własność duchowieństwa prawosławnego. Bądź że uwzględniono pobożne zabiegi hr. Krasińskich, aby usunąć od profanacyi schizmatyckiej katolicką świętość, bądź że się lękano poruszenia kwestyi spornej, ponieważ obraz nie przestał być moralną własnością Watykanu, dość że Matka Boska Kodeńska skazaną została na zesłanie do Częstochowy. Sam osławiony Gromeka przewodniczył egzekucyi. A gdy nikt nie chciał podnieść ręki na cudowny obraz i dokonać gwałtu wyrwania go z ołtarza, polecił to zadanie strażnikom, którzy spełnili zamach i obraz w prostą na drogę zapakowali skrzynię. Autor ubolewa nad słabością ówczesnego biskupa lubelskiego ks. Baranowskiego, w którego piersiach nie tkwił duch Gutkowskiego, i który zbyt powolnie ulegał groźbom rządu. Zapewne, nie byłby obronił posterunków skazanych na zagładę przez zazdrosne prawosławie, lecz

przynajmniej byłby chwalebnie zwiódł o nie ostatnią walkę, zamiast kapitulować bez oporu i honoru.

Drugie dzieło, monografia Leśny, w ciaśniejszych zmieściła się ramach, aniżeli dzieje Kodnia książęcego lub biskupiego Janowa. Miejsce to wsławione cudownem zjawieniem się obrazu Najświętszej Panny w XVII. wieku, związane jest z krakowską rodziną Michałowskich, którzy jako dziedzice Leśny, pierwsi zajęli się zbudowaniem świątyni dla niebiańskiego gościa i erygowali przybytek Maryi, niebawem łaskami szeroko wsławiony. Cudowny obraz zjawił się był na pustkowiu, w roku odsieczy wiedeńskiej. Niebawem skarbnik orszański, Paweł Kazimierz na Michałowie Michałowski, oraz syn ich Władysław, miecznik mielnicki, otoczyli pobożną pieczą i czcią głęboką wizerunek Najśw. Panny, który z biegiem lat, w 1727 r. oddanym został pod straż Ojców Paulinów, wprowadzonych tu uroczyście przez Konstantego Pocieja, w. hetmana litewskiego, oraz biskupa łuckiego Rupniewskiego. I Radziwiłłowie przyczyniali się do ozdoby przybytku Maryi, a ustronna miejscowość. o nielicznej parafii a ogromnym napływie wiernych obu obrządków podczas dorocznych odpustów, stanowiła rodzaj pieczęci, stwierdzającej świętą Unię i jedność wiary przy różnicy obrządku. Solą też w oku prawosławia były te objawy pobożności. Po usunięciu Paulinów, postanowiono i kapłanów świeckich stąd usunąć a wywiózłszy ostatniego żarliwego sługę Bożego, wygasić i tę lampę życia katolickiego, znieść ten wysunięty posterunek rzymskiej jedności. W tym samym roku 1875, tak krwawym i ciężkim dla Unii, w jednym nawet miesiącu zagarnięto dla schizmy i kodeńską i leśneńskę świątynię, z tą tylko różnicą, iż gdy z pierwszej wygnano najświętszą Pannę, w drugiej ją zatrzymano i uwięziono, w mniemaniu, iż tem lud unicki prędzej da się zwabić w progi przerobionego na cerkiew kościoła. Lecz i tu zawiodły rachuby, lud stronił od sprofanowanego przybytku, co najwyżej przed bramą klękał i modlił się do ukochanej Matki w cudownym obrazie, za nic zaś nie chciał przekroczyć progów zagarniętej przez schizmę świątyni. Gdy tu ściągnięto nawet samego archireja Joannicyusza, dla święcenia rzekomego nad Unią tryumfu, nieproszonego gościa lud miejscowy obrzucił błotem, po dawnemu stroniąc od zbezczeszczonych murów i ołtarzy. Pustki kościoła wypełniono monastyrem schizmatyckim ruskim, mniszkami i garstką sług kościelnych. Spróbowano nawet zgalwanizować obojętność powszechną, sprowadzeniem mniemanych relikwij niejakiego Afanasija, rozstrzelanego niegdyś za uczestnictwo w buncie Chmielnickiego. Lecz wszystkie środki za-

wiodły, a święty obraz w Leśny pozostaje dotąd osamotniony w pustym sprofanowanym i zabranym kościele.

Poszczególne te monografie, napisane sumiennie, bez żadnej doprawy literackiej, lecz z gorącem uczuciem, okrom historycznej doniosłości, mają i serdeczne i rzewne znaczenie dla każdego miłującego Kościół i kraj. Stacye to męczeńskie tego Podlasia, które przyspieszą ofiarę krwi, godzinę zmiłowania.

M.

Słownik języka polskiego pod redakcyą *Jana Karłowicza, Adama Kryńskiego* i *Władysława Niedźwiedzkiego*. Warszawa 1898. Zeszyt 1 i 2.

Z wielką radością witamy ukazanie się w handlu księgarskim początkowych zeszytów, od kilku już lat z niecierpliwością oczekiwanego „Słownika języka polskiego". Potrzeba podobnego dzieła, wobec postępu nauki, sztuk i przemysłu, stała się nader naglącą, a to tak ze względów teoretycznych, jak też i ze względów praktycznych.

Dziś szczególniej, kiedy w trzech dzielnicach dawnego państwa polskiego, szpecimy w każdej z nich w sposób odmienny mowę naszą wyrazami cudzoziemskiemi i dziwolągami gramatycznemi, słownik taki okazać może i powinien pomoc wielką, stając na strażnicy języka naszego, który się nam „Lechów rodowi, z posad ziemskich strąconemu" został po „matce skarbem ocalonym" (K. Brodziński).

Szczególniej terminologia nasza naukowa i techniczna pozostawia obecnie wiele do życzenia. Jeśli i posiadamy swoją własną terminologię, to ukrywa się ona w dziełach specyalnych, niedostępnych szerszemu ogółowi; natomiast dzienniki i pisma peryodyczne przepełnione są terminologią cudzoziemską, której się używa nawet najczęściej w zupełnie mylnem znaczeniu.

Do ostatniej chwili do podręcznego użytku korzystamy zwykle ze słowników, które z jednej strony pozostały już daleko za postępem, z drugiej zaś strony są w handlu księgarskim zupełnie wyczerpane. Do nich należą słowniki: Lindego, Wileński i Rykaczewskiego.

„Słownik języka polskiego", opracowany przez Lindego, dyrektora Liceum warszawskiego, owoc długoletniej i trudnej do uwierzenia pracy, w którym autor porównuje leksykograficznie wyrazy polskie z innemi słowiańskiemi wyrazami i objaśnia je przykładami z autorów, słowników, a który ks. Malinowski dość trafnie nazywa słowiańsko-polskim, wydanym został w sześciu ogromnych tomach w latach 1807—1814 w Warszawie.

Wkrótce nakład ów został wyczerpany. Już w rok po wydaniu Słownika tego żalono się w pismach peryodycznych, że dzieło to, tak pożyteczne, zostało odbite w nader ograniczonej ilości egzemplarzy. Potrzeba podobnego rodzaju dzieła skłoniła ks. Aloizego Osińskiego do zajęcia się pracą nad ułożeniem nowego słownika języka polskiego. Pracował on usilnie nad tym słownikiem długie lata i wyjątek z niego wydał w Wilnie w r. 1835 (wyrazy: *łza* i *nadzieja*). Praca ta jednak pod tytułem „Bogactwa mowy polskiej“ w 14 wielkich tomach na widok publiczny się nie pokazała z powodu śmierci ks. A. Osińskiego w roku 1842, — potrzeba zaś nowego słownika coraz się wzmagała, i oto „około roku 1844 — jak pisał w *Kronice Rodzinnej* z r. 1873 Feliks Wrotnowski — zabierało się tu w Paryżu między nami na robotę słownika polskiego, który miał być skróceniem Lindego z potrzebnemi zmianami i dodatkami“.

Wydawcą tego słownika miał być Eustachy Januszkiewicz, ruchliwy właściciel księgarni polskiej w Paryżu, który też zwrócił się z radą do wielkiego wieszcza naszego, Adama Mickiewicza. Ostatni jednak, nie będąc specyalistą w tym kierunku, w dalszym ciągu zwrócił się do Feliksa Wrotnowskiego i po naradzie z nim skreślił dorywczo próbkę przyszłego słownika, a mianowicie opracował wyraz *cnota* [1].

Projekt ów jednak do skutku nie przyszedł, a ponieważ potrzeba nowego słownika ustawicznie wzrastała, więc też zadanie to wziął na siebie Zakład narodowy imienia Ossolińskich“ we Lwowie. Staraniem tego Zakładu, pod głównem kierownictwem Augusta Bielowskiego w latach 1854—1860 ponownie został wydany Słownik Lindego (również w sześciu tomach). Drugie to wydanie, oprócz poprawek, zostało powiększone pozostałemi po śmierci Lindego materyałami do Słownika porównawczego wszystkich dyalektów słowiańskich. Dla podręcznego jednak użytku nie można powiedzieć, aby Słownik Lindego był odpowiednim, z jednej bowiem strony był on „zbyt naukowym“ dla zwykłych śmiertelników, z drugiej zaś strony zniechęcał swoją objętością, swym ogromem — sześć wielkich woluminów *in quarto*.

Skorzystał z tej okoliczności znany księgarz-wydawca Maurycy Orgelbrand i powziął zamiar wydania nowego słownika języka polskiego. W ten sposób został w r. 1861 wydany nowy Słownik, znany pod nazwą Wileńskiego lub Orgelbranda. Zawierał on w sobie oprócz wy-

[1] Patrz Gabryel Korbut, „Mickiewicz jako leksykograf“. Prace filologiczne, tom v.

razów właściwie polskich, też i wyrazy obce, przyswojone językowi polskiemu, również dość obfitą terminologię, tak dawną jak i nowszą, naukową i techniczną, nazwy mitologiczne, geograficzne i t. p. Dołączoną do niego została tablica słów polskich nieforemnych wraz z ich odmianą. Nad słownikiem tym pracowali: A. Zdanowicz, M. Bohusz Szyszko, J. Filipowicz, W. Tomaszewicz, F. Czepieliński i W. Korotyński. Brał też udział i znany filozof polski Bronisław Trentowski.

Dowodem ciągłej, nieustającej potrzeby dokładnego słownika języka polskiego, odpowiadającego wymaganiom najszerszego ogółu, jest prędkie wyczerpanie się jednotomowego Słownika Wileńskiego, pomimo jego stosunkowo dość wysokiej ceny (15 rubli za jeden tom w dwu częściach), a pojawienie się w niespełna już lat pięć po wyjściu z druku ostatniego tomu drugiego wydania Słownika Lindego, — a mianowicie w roku 1866, w Berlinie, dwutomowego Słownika języka polskiego, ułożonego podług Lindego i innych źródeł przez Rykaczewskiego. W roku 1873 wyszło drugie, tanie wydanie tego Słownika również w Berlinie, w dwu tomach.

Od tego czasu nie powstał już żaden ogólny słownik języka polskiego. Do ostatniej chwili korzystamy z owych trzech wymienionych słowników i to z wielką trudnością z powodu wyczerpania ich w handlu księgarskim, nie mówiąc już nawet o nieodpowiedniości ich wobec współczesnego wzrostu i wzbogacenia się języka polskiego.

Linde uczynił wszystko, co tylko w jego czasach uczynić można było, a więc, pomijając już tę okoliczność, iż obecnie pozostał Słownik jego daleko za postępem, potrzeba jeszcze zwrócić uwagę na to, iż zawiera on zbyt mało, jak na czasy obecne, wyrazów, bo tylko 58.739, gdy Słownik Wileński zawiera już 108.513 (według obliczeń Sławińskiego), licząc w to, rozumie się, i wyrazy przyswojone, techniczne i t. p. Ta jednak okoliczność, iż Słownik Wileński został opracowany nie przez specyalistów językoznawców, — że wymienimy tu chociażby zasłużonego skądinąd filozofa Bronisława Trentowskiego, zbyt imponującego swoją „twórczością językową i delikatnem poczuciem rodowodu wyrazów“, — otóż ta okoliczność znaczną czyni wartości jego ujmę. Słownik zaś Rykaczewskiego nie czyni zadość potrzebom ogółu chociażby już z tego jednego powodu, iż jest zbyt szczupłym, zawiera bowiem wyrazów mniej niż Słownik Lindego, a mianowicie tylko 49.545.

Widzimy więc, iż żaden z wymienionych trzech Słowników nie zaspokaja współczesnych potrzeb ogółu, i że jeśli się uciekamy do nich, to tylko z konieczności.

Językoznawstwo z każdym rokiem czyni tak szybkie postępy, iż częstokroć książka napisana jaki dziesiątek lat temu ze stanowiska możliwych wymagań najnowszej wiedzy, po upływie tego czasu jest już przestarzałą. Już wydawcy Słownika Lindego przy powtórnem wydaniu zaznaczają w swej przedmowie, że „Linde ujął filologię w tym punkcie, na którym umiejętność ta przed pół wiekiem zostawała. Posunął ją naprzód swemi pracami i wpłynął na jej rozwój późniejszy, ale w zasadach swoich ma jeszcze nie mało tego, co w żaden sposób pogodzić się nie da z dzisiejszem stanowiskiem“ (str. 7), a następnie twierdzą, że „Słownik Lindego (tj. pierwsze wydanie) co do dyalektów słowiańskich, według dzisiejszego pojmowania (tj. w połowie bieżącego stulecia) bardzo jest ograniczonego użytku“ (str. 9). Cóż dopiero, gdy od owego czasu, tj. od r. 1807, upłynęło nie 54 lat, jak to ma miejsce między pierwszem a drugiem wydaniem, lecz 91 od pierwszego, a 44 od drugiego wydania, dodając nawiasem, iż to drugie wydanie, rzekomo poprawne, pod względem wartości naukowej ustępuje pierwszemu.

Nadmienić tu jeszcze wypada, iż od dłuższego już czasu p. Jan Karłowicz zajmował się opracowaniem słownika wyrazów obcych, językowi polskiemu przyswojonych, i że za część tej pracy, mianowicie za rękopis p. t.: „Słownik wyrazów cudzoziemskich w języku polskim używanych, ze szczególnym względem na ich słoworód“, zawierający wyrazy od *A* do *Chwat* włącznie, na początku r. 1879 krakowska Akademia Umiejętności przyznała mu nagrodę konkursową im. Lindego. Dopiero jednak pod tytułem zmienionym, a mianowicie: „Słownik wyrazów obcego a mniej jasnego pochodzenia używanych w języku polskim“ w r. 1894 wyszedł z druku pierwszy, a w r. 1897 drugi zeszyt tego słownika, z odpowiedniemi gruntownemi przeróbkami skutkiem pojawienia się po r. 1879 licznych prac etymologicznych, które koniecznie wypadało uwzględnić. Że jednak słownik ów zawiera tylko (zesz. 1 i 2 od *A* do *K* włącznie) wyrazy „obcego a mniej jasnego pochodzenia“, a więc tylko bardzo szczupłą ich liczbę i że z drugiej znów strony, wskutek ściśle naukowego przedstawienia obficie nagromadzonego materyału, nie odpowiada on wymaganiom szerszych mas — potrzeba więc w ostatnich czasach nowego słownika polskiego, zawierającego jak największą ilość słów rdzennie polskich, jak też i cudzoziemskich, przyswojonych — stała się rzeczą po prostu konieczną.

Otóż, by uczynić zadość tej potrzebie, kilku uczonych, miłujących naukę, pracowitych a bezinteresownych, postanowiło spełnić usługę społeczeństwu przez wydanie nowego słownika. „Przed laty dziewię-

ciu — jak głosi zapowiedź owego słownika — w kółku językoznawców i literatów tutejszych (tj. warszawskich) powstała myśl ułożenia nowego, obszernego i ile można odpowiedniego wymaganiom dzisiejszym skarbca mowy ojczystej; obecnie, po skrzętnem a mozolnem zgromadzeniu materyałów, przy współudziale kilkudziesięciu zaproszonych do tego współpracowników, przystępujemy do rozpoczęcia druku wielkiego czterotomowego dzieła, licząc na poparcie i życzliwość ogółu, którego pilnej a długo niezaspakajanej potrzebie staramy się zadośćuczynić“ [1].

Zapowiedziany słownik języka polskiego — nazwijmy go np. „warszawskim“ — zawierać będzie możliwie wszystkie wyrazy polskie, a więc obok wyrazów powszechnie używanych w języku żywym i literackim, szeroko uwzględnione zostaną wyrazy dawniejsze i gwarowe. Wyrazy techniczne, wogóle terminologia, opracowaną zostanie nader starannie i bogato. Imiona własne, nazwy herbów, bóstw pogańskich i t. p. natomiast usunięte zostaną, dla nich bowiem daleko odpowiedniejszym miejscem są encyklopedye i specyalne dzieła. Co się zaś tyczy wyrazów tak polskich, jak i przyswojonych, to oprócz najzwięźlejszych określeń będą one objaśniane za pomocą licznych synonimów czyli wyrazów blizkoznacznych, oraz za pomocą odpowiednich wyjątków z autorów i przysłów.

Wielką zasługą redaktorów wymienionego słownika jest wprowadzenie do niego żywiołu słoworodowego czyli etymologicznego, przez podawanie przy wyrazach pni (pierwiastków), od których pochodzą odpowiednie wyrazy, jeśli one są słowiańskiemi, i przytaczanie wyrazów obcych, od których się wywodzą wyrazy zapożyczone.

Co się tyczy osób, przyjmujących udział w pracy nad tym słownikiem, to są to osoby znane na polu naukowem, jako przedstawiciele najrozmaitszych specyalności naukowych i technicznych. Oto jest szereg nazwisk współpracowników, wymienionych w prospekcie, a które w największym stopniu przyczyniły się do ułożenia i opracowania słownika.

Do części głównej, do wyrazów rodzimych i ich objaśnienia: profesor Antoni Kalina, pp. Wacław Taczanowski, Ludwik Korotyński,

---

[1] Jeszcze w r. 1895 wyszedł był próbny arkusz tego słownika z przedmową i wyrazami od *B* do *Bakiera*. W tytule w liczbie redaktorów oprócz J. Karłowicza, A. Kryńskiego i W. Niedźwiedzkiego był jeszcze wymieniony i ś. p. Józef Przyborowski. *P. A.*

a najwięcej i przeważnie Władysław Niedźwiedzki. Zasobów rękopiśmiennych i wyciągów z autorów dostarczyli: pp. Józef Bojasiński, Floryan Czepieliński, Kazimierz Król i Wacław Taczanowski, a najwięcej ś. p. Józef Bliziński[1], p. Józef Wojno i Władysław Niedźwiedzki".

„Część staropolską zgromadził i opracował Adam Antoni Kryński. Zbioru i objaśnienia wyrazów gwarowych dostarczył Jan Karłowicz. Słoworód wyrazów rodzimych i porównawczy spis pni, podany na końcu słownika, obrobił profesor Jan Baudouin de Courtenay; słoworód wyrazów zapożyczonych podał Jan Karłowicz. Wyrazy zoologiczne opracował ś. p. prof. August Wrześniowski, botaniczne p. Karol Drymmer, mineralogiczne prof. Jan Trejdosiewicz, chemiczne p. Bronisław Znatowicz, matematyczne prof. Samuel Dickstein, fizyczne i astronomiczne p. Stanisław Kramsztyk; do wyrazów filozoficznych dostarczył materyału p. Adam Mahrburg; lekarskie opracował dr. Józef Peszke; weterynaryjne p. Henryk Kołtubaj; aptekarskie p. Władysław Wiorogórski; wojskowe ś. p. pułkownik Konstanty Górski; prawnicze p. Leopold Meyet; muzyczne p. Jan Karłowicz; ekonomiczne pp. Władysław Wścieklica i prof. Stosław Łaguna; rybackie p. Zygmunt Fiszer; ogrodnicze p. Edmund Jankowski. Do słowozbioru z dziedziny technologii, handlu rzemiosł i przemysłu przyczyniło się kilkadziesiąt osób dobrze obeznanych z odpowiedniemi specyalnościami".

Jak obszernym jest ów słownik, świadczą następujące cyfry: wyrazów na literę *A* słownik Lindego zawiera 865, wileński 1633, a obecny nowy — „warszawski" — 3.540; na literę *B* słownik Lindego posiada wyrazów 2.984, wileński 4.299, „warszawski" — 8.650 [2]

---

[1] W r. 1874 została utworzona w łonie Wydziału filozoficznego Akademii Umiejętności w Krakowie specyalna Komisya językowa i zaraz też podczas pierwszego posiedzenia tej komisyi postanowiono przystąpić do zbierania materyałów do słownika polskiego. Kiedy wiadomość o tem postanowieniu doszła do Blizińskiego, to ten ostatni w końcu tegoż roku podał do wiadomości Komisyi językowej, że posiada u siebie wielki zbiór prowincyonalizmów kujawskich i że pragnie go oddać na użytek Akademii do słownika. Wkrótce jednak postanowiono się zająć zbieraniem materyałów wyłącznie do słownika staropolskiego, korzystanie więc z materyałów, zebranych przez Blizińskiego, stało się zbytecznem i dopiero obecnie weszły w skład omawianego przez nas słownika. *P. A.*

[2] Dotychczas wyszło z druku dwa zeszyty: zeszyt I. (od *A* do *Blacha*) i zeszyt II. (do *Cibić się*). Warszawa 1898. Str. 320.

Dla społeczeństwa myślącego i mówiącego po polsku dzieło to powinno mieć wielkie znaczenie. Potrzeba, aby to społeczeństwo zrozumiało swój obowiązek i wydawnictwem tem zainteresowało się.

H. Ułaszyn.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Die Agrarfrage. Eine Uebersicht über die Tendenzen der modernen Landwirthschaft und die Agrarpolitik der Socialdemokratie. *Karl Kautsky.* Stuttgart, Dietz Nachf. 1899. (VIII, 451, w 8-ce).

Kwestya agrarna jest dla socyalnej demokracyi niemal kwestyą życia lub śmierci. Socyaliści sądzili z razu, że chłop to wiejski proletaryusz, który z czasem będzie musiał przed naciskiem wielkich gospodarstw rolnych schronić się w szeregi socyalnej demokracyi. Lecz dotąd się na to nie zanosi jeszcze, owszem chłop zajmuje wrogie socyalizmowi stanowisko, a bez pozyskania go dla swego programu socyalna demokracya nie może osiągnąć politycznej przewagi w społeczeństwie dla przeprowadzenia swych zamiarów. A więc trzeba socyalnej demokracyi osobnego programu agrarnego dla ludności rolnej. Za przykładem Francyi, Belgii i t. d. musiało więc i potężne stronnictwo socyalno-demokratyczne w Niemczech pomyśleć o swoim agrarnym programie. Na wiecu partyjnym we Frankfurcie n. M. 1894 r. polecono osobnej komisyi wypracowanie programu agrarnego. Rezolucyę Vollmara, która ten krok spowodowała, charakteryzują takie zdania: Upadek wielkich gospodarstw junkrów załabskich jest już zapieczętowany. Chłop się proletaryzuje. Przeciwieństwo klasowe między przedsiębiorcą a klasą robotników wiejskich staje się wyraźnem. Należy (stosując się do warunków miejscowych) dążyć do ochrony chłopa oraz do ochrony robotnika wiejskiego.

Już podczas układania programu przez komisyę wszczęła się wśród partyi namiętna i ostra dyskusya nad sprawą agrarną. Program komisyi zgodny w zasadzie z rezolucyą frankfurtską, był wcale niezdecydowany, żądał przeważnie rozszerzenia publicznej własności ziemskiej, zwłaszcza gminnej, oraz serwitutów leśnych i pastwiskowych w gminach, upaństwowienia hipotek i ubezpieczeń, komunikacyj i t. p. Na wiecu we Wrocławiu 1895 r. młodzi socyaliści odrzucili go po 3-dniowych bardzo namiętnych rozprawach bardzo znaczną większością (158

przeciw 63). Okazało się przytem, że zapatrywania na kierunek rozwoju rolnictwa są wielce różne, że wielka część członków partyi niema należytego pojęcia o kwestyach agrarnych. A jednak program jest niezbędny dla utrzymania jednolitości i konsekwencyi w polityce agrarnej socyalnych demokratów w ciałach publicznych oraz w agitacyi między ludnością wiejską. Przyjęto tedy rezolucyę Kautsky'ego, by zarząd stronnictwa postarał się o należyte zbadanie agrarnych stosunków niemieckich i wyniki tych badań ogłosił. Na ich podstawie dopiero będzie można wyrobić sobie zdanie o właściwych rolnictwu prawach rozwoju, które są odmienne niż w przemyśle".

Nowa komisya prowadzi swe studya; tymczasem Kautsky wydał na własną rękę swoją *Agrarfrage*. W przedmowie przedstawia on swój „dowód uzdatnienia", wykazując, że od początku swej działalności zajmował się kwestyami agrarnemi. Rzeczywiście książka, napisana jasno i przystępnie ze sporą ścisłością naukową, acz oczywiście nie bez zjadliwych wycieczek przeciw politycznym przeciwnikom — świadczy o wcale gruntownem zaznajomieniu się z literaturą odnośną oraz opiera się na najnowszych danych statystycznych, dostarczonych przez spisy i ankiety agrarne Anglii, Stanów Zjednoczonych, Francyi i Niemiec. Głównym celem autora, jak to na porządnego marxistę przystało, jest „wykrycie czerwonej nici, ciągnącej się przez cały nawał faktów" czyli wyświetlenie zasadniczego kierunku rozwoju rolnictwa w dzisiejszem gospodarstwie społecznem. Kwestya agrarna, której twórcy socyalizmu „naukowego" dokładniej nie badali, budzi i wśród socyalistów samych wątpliwości co do prawdziwości „dogmatu Marxowskiego". Otóż wykazanie, że formułka ta i z rolnictwa rozwojem jest zgodna, byłoby w oczach Kautsky'ego także i wzmocnieniem gmachu socyalizmu. A następnie posłuży jako podstawa racyonalnej polityki socyalistycznej w kwestyach agrarnych.

Ma więc książka Kautsky'ego być niejako podręcznikiem spraw agrarnych dla socyalnych demokratów. Stosownie do takiego założenia dzieli się na 2 części: teoretyczną i praktyczną.

Pierwsza część znaczniejsza — obejmuje $^2/_3$ książki — ma przedstawić rozwój rolnictwa w kapitalistycznem społeczeństwie; przedewszystkiem więc, czy i jak kapitał opanowywuje rolnictwo, jak stare formy produkcyi i własności obala i „konieczność" nowych form powoduje.

Kapitalistyczny sposób produkcyi rozwija się najpierw w miastach; w przemyśle. Gospodarstwo wiejskie, które z początku two-

rzy ściśle zamknięty obieg produkcyi wyłącznie na własne potrzeby, ulega z czasem oddziaływaniu rozwoju przemysłowego; staje się produkcyą płodów rolnych na sprzedaż, dostaje się w zależność od handlu. Punktem zaczepienia jest potrzeba pieniędzy na podatki. Przemysł domowy wiejski upada (rozdz. II).

Z czasem i kapitał wkracza w dziedzinę rolnictwa. Drogę toruje mu wytworzenie się wielkich gospodarstw pańszczyźnianych, które ścieśniają dawny ustrój gminny i spychają chłopa na niższy stopień dobrobytu i kultury. Ten rozdział (III) jest u Kautsky'ego trochę za schematyczny i oparty na stosunkach północno-niemieckich, bez głębszego uwzględnienia odmiennego rozwoju Niemiec południowych i zachodnich. System trójpolowego gospodarstwa staje się zaporą postępu rolnictwa. Skutkiem rozwoju społecznego warstw miejskich następuje skruszenie systemu feudalnego i oswobodzenie rolnictwa z jego więzów. Z ustanowieniem pełnego prawa prywatnej własności ziemi otwiera się pole dla kapitalistycznego rolnictwa.

Barwnemu scharakteryzowaniu nowożytnego gospodarstwa rolnego poświęca Kautsky rozdział IV. Wskazuje postępy osiągnięte przez system płodozmienny, przez podział pracy, użycie maszyn, rozwój bakteryologii oraz wiedzy rolniczej.

Rozdział V. ma przedstawić kapitalistyczny charakter nowożytnego gospodarstwa rolnego. Do tego potrzebuje Kautsky całego aparatu formułek socyalistycznych: rozwija więc Marxowskie pojęcia wartości, nadwartości, profitu (zysku) i renty gruntowej różniczkowej (wskutek rozmaitej urodzajności ziemi lub odległości od rynku zbytu) i absolutnej (wskutek wzrostu kultury społecznej a monopolu ziemi). Tej renty, co prawda, z przychodu z gospodarstwa rolnego wyodrębnić nie można, jednak kapitalizując rentę gruntową, jaką przypuszczalnie można uzyskać, wymierza się cenę ziemi. Cena majątku składa się oprócz ceny ziemi jeszcze z nakładu kapitału obrotowego. Jako sposób złączenia ziemi i kapitału w rękach gospodarza — przedstawia Kautsky system dzierżawny i system hipotecznego obdłużenia. Trzeci wypadek możliwy — by właściciel ziemi sam był właścicielem kapitału, zdaniem Kautsky'ego jest wyjątkiem, co jest oczywiście przesadzone. Wypadek taki ma miejsce u bardzo wielu drobnych gospodarzy, aczkolwiek z powodu nieznacznych rozmiarów takich gospodarstw niema większego znaczenia. Otóż w systemie dzierżawnym jak i hipotecznym renta gruntowa przechodzi w ręce (zbytecznych zresztą — dla rolnictwa) właścicieli ziemi lub wierzycieli, gospodarz zaś ma tylko zysk

przedsiębiorcy. Przy znacznem zadłużeniu hipotecznem, które dziś jest nieuniknione, właściciele ziemi są nimi tylko nominalnie, prawdziwymi właścicielami są wierzyciele, rolnicy zaś są tylko kapitalistycznymi przedsiębiorcami. Że tak może być i często jest, to prawda, i dobrzeby było o tem pamiętać — ale żeby taki stan miał być regułą, to jest już co najmniej „muzyką przyszłości". Albowiem Kautsky wywodzi, iż system dzierżawny sprzyja skupieniu się ziemi w jednych rękach, długi zaś gromadzą się w wielkich instytutach hipotecznych, a więc co do własności ziemskiej marxowski dogmat koncentracyi kapitału znajduje zastosowanie. Czy jednak dotyczy on gospodarstwa rolnego? Na to pytanie odpowiada rozdz. VI.: Wielkie i małe gospodarstwa. Otóż większe gospodarstwa górują bezsprzecznie oszczędnością martwej powierzchni (granic, dróg, ogrodzeń i t. p.), większą możebnością użycia maszyn, oraz zastosowania podziału pracy, korzystniejszem stanowiskiem w stosunkach handlowych i kredytowych, wreszcie możliwością postawienia na czele naukowo wykształconego kierownika, który jest w stanie zastosować umiejętnie wszystkie zdobycze nowożytnej wiedzy rolniczej. Taki oczywiście na małem gospodarstwie utrzymać się nie może (choćby tylko dla wyższych wymogów życiowych). Szkoły rolnicze niewiele w tym względzie pomogą, nie dostarczając gruntownych podstaw. Nie uwzględnia tu jednak Kautsky ożywczego wpływu stacyj doświadczalnych, towarzystw i konferencyj rolniczych, które mogą chłopom wiele zdobyczy naukowych i praktycznych dostatecznie uprzystępnić. Siłę małych gospodarstw stanowią podług Kautsky'ego nadmierna praca, zapracowywanie się gospodarza i jego rodziny oraz nadzwyczaj małe życiowe potrzeby, nizki stopień kultury, wprost barbarzyństwo (np. w porównaniu z robotnikiem miejskim). W tej acz wielce przesadzonej charakterystyce jest moment, na który należałoby zwrócić większą uwagę. Że jednak polepszenie jest możliwe, z tem się Kautsky zupełnie nie liczy. Do uprzystępnienia chłopom korzyści wielkich gospodarstw służą spółki rolnicze, rozwijające swą działalność głównie w dziedzinie handlu i kredytu wiejskiego. Jednak i wielkie gospodarstwa niemi posłużyć się mogą, tak że o wyrównaniu warunków konkurencyjnych nie może być mowy. Natomiast właściwej produkcyi rolnej spółki się nie podejmują — to będzie możebnem tylko w państwie przyszłości. Tymczasem w rzeczywistości wbrew mniemaniu Kautsky'ego pojawiają się i w tej dziedzinie z wolna zaczątki współdzielczości (spółki drenarskie, maszynowe, które Kautsky zanadto lekceważy, pastwiskowe, hodowlane i t. p.). Nadto

nie uwzględnia Kautsky, że w hodowli zwierząt gospodarskich drobni gospodarze większą troskliwością a wspólną organizacyą mogą przewyższyć większe gospodarstwa, muszące powierzyć tę hodowlę rękom najemnym. Przyznaje im Kautsky specyalne uprawy, którym jednak za nadto mało znaczenia przypisuje.

Wynika więc dla Kautsky'ego, że wielkie gospodarstwa górują także i w rolnictwie nad małemi, choć nie w tym stopniu, co w przemyśle. Natrafiają bowiem na przeszkody (rozdz. VII.).

Mniemanie, że drobne gospodarstwa nietylko dorównują, ale nawet i górują nad większemi, opiera się – zdaniem Kautsky'ego — na danych statystyki, które atoli różnie mogą być tłumaczone. Bada jednak te dane i przychodzi do wniosku, że w Niemczech i w Anglii raczej średnie gospodarstwa trochę się wzmogły — we Francyi zaś nieco ustąpiły wielkim i drobnym. Zauważyć jednak trzeba, że we francuskiej statystyce „wielkie“ gospodarstwa zaczynają się już od 40 ha (!) oraz że odnoszą się do całkowitej powierzchni (a więc z lasami, nieużytkami i t. d.) nie można ich więc porównywać np. z niemieckiemi obejmującemi tylko powierzchnię ściśle rolniczą. Dane zaś ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej wykazujące, że w Stanach o gęściejszem zaludnieniu ilość wielkich farm się potężnie zmniejszyła w ostatnich 10 latach — przekręca w ten sposób, że rolnictwo racyonalne tam upada w walce z zacofaną chłopską gospodarką, trzymającą się w pozycyi bez widoków na przyszłość (!). Przyrost większych ferm w Stanach słabo zaludnionych (dzięki ekstenzywnej gospodarce), przypisywać postępom nowożytnego rolnictwa, jest — delikatnie mówiąc — grubą omyłką. Ogółem jednak przyznaje Kautsky, że o pochłonięciu małych gospodarstw przez wielkie, nie może dotąd być mowy. Przyznaje również, że upadek przemysłu drobnego w walce z wielkim, nie jest tak szybki, jak Marx przepowiadał. Warto porównać ten ustęp z „Objaśnieniami do programu Erfurtskiego“ (1892), w których Kautsky twierdzi: „dni rzemiosła są policzone“ (str. 21). Prywatna własność ziemi nie dozwala na dowolne utworzenie zaokrąglonej a nieprzerwanej powierzchni, bez której większe gospodarstwo nie jest możebne, której to przeszkody przemysł nie zna; dalej z rosnącym obszarem gospodarstwa, rosną jeszcze szybciej koszta gospodarowania a przez to zmniejsza się rentowność. To też postacią wielkiej gospodarki w rolnictwie ma być niewielki folwark, lecz kompleks folwarków — latyfundyum. To jest forma najwyższej produktywności; tu jest zarząd zcentralizowany, całość zorganizowana podług jednolitego

planu i wzajemnie się uzupełniająca, oraz rozkwit techniki, niedostępny dla mniejszych gospodarstw [1]. Za przykład stawia domeny magnatów austryackich. Wiadomo jednak, że dominia te stoją głównie przychodem z gospodarstwa lasowego i z przedsiębiorstw przemysłowych oraz samym faktem olbrzymiego majątku właścicieli. Rolne zaś gospodarstwo tych domen bywa nibyto „wzorowe“ — ale przychodu mało zwykle przynosi, nie zawsze zdoła pokryć koszta zarządu. To też pruskie domeny państwowe są wydzierżawione a nie we własnym zarządzie.

Jednak i ta „forma przyszłości“ spotyka w rozroście swym zaporę nieznaną w przemyśle: brak robotnika. Dostarczają go głównie drobne gospodarstwa, przeto gospodarstwa wielkie muszą istnienie ich uszanować. Jedne obok drugich muszą istnieć, choć raz jedne raz drugie mają przewagę (Marxa: Obieg koncentracyi i rozdrobnienia ziemi). Tak tedy drobny rolnik wobec wielkiego staje jak proletaryusz wobec kapitalisty. (Gdzie się tu podzieli średni chłopi, niewiadomo!) Trzeba więc przedstawić proletaryzacyę chłopa (rozd. VIII.).

Każdy chłop dąży usilnie do posiadania ziemi, płacąc za nią nadmierne ceny. To prowadzi do rozdrobnienia własności ziemskiej, (kosztem średnich gospodarstw), tak iż o racyonalnem gospodarowaniu mowy być nie może; takie karłowate gospodarstwa nie produkują towarów na zbyt, żywią tylko nędznie właściciela, który potrzebując pieniędzy musi rzucić na targ swą siłę roboczą, więc staje się proletaryuszem. Uboczny zarobek znajduje on: w sąsiednich wielkich gospodarstwach rolnych, przez co popada w zawisłość od nich; w przemyśle domowym, co w krótkim czasie wtrąca go w nędzę wskutek konkurencyi z wielkim przemysłem; albo w przemyśle wielkim (jeżeli jest w bliskości), który odciąga najtęższe siły i powoduje upadek (?) gospodarstwa prowadzonego przez kobiety, dzieci i starców; albo wreszcie idzie w świat za robotą, przy czem jednak budzą się w nim nowe potrzeby społeczne, których małe gospodarstwo zaspokoić nie może. Tak więc drobny chłop nie zostaje wprawdzie wydzierżawiony przez wielkie gospodarstwa, ale jego interesa zbliżają się do interesów nieposiadającego proletaryatu (por. niżej gdzie Kautsky wykazuje sprzeczność interesów chłopstwa z proletaryatem).

Ale trudności kapitalistycznego rolnictwa rosną dalej (r. IX.).

---

[1] Warto zauważyć, że np. założone przez Niem. Tow. Rolnicze biuro budownictwa wiejskiego, oraz buchalteryi gospodarskiej i te korzyści średnim gospodarstwom uprzystępnia.

Wzrost renty gruntowej zmniejsza przychody z gospodarstwa (zadłużonego lub drogo nabytego); prawo spadkowe prowadzi do rozdrobnienia gruntów albo do zadłużenia. Nadziały ratują wprawdzie chłopa średniego, ale proletaryzują jego rodzeństwo (co znowu jest przesadą, bo zwykle otrzymuje ono spłaty za życia ojca), oraz sąsiadów (?). Wielkie majoraty podobny mają skutek, ale przygotowują „najwyższy stopień rolnictwa: latyfundyum". Z rozwojem kapitalizmu wzrasta wyzysk wsi przez miasta; one pochłaniają czynsze dzierżawne, odsetki hipoteczne, podatki obracane na pokrycie potrzeb rządowych i t. d. Tam także idą płody rolne, zubożając ziemię. Z rozwoju kultury korzystają tylko miasta; wsie są prawie wydziedziczone. Wieś się wyludnia; niemożebność założenia rodziny na wsi bez posiadania gruntu (jakby to nie było czeladzi żonatej lub t. zw. komorników bezrolnych); brak zarobku w zimie; służba wojskowa, zaznajamiająca młodych ludzi z ponętami miasta; lepsze płace w przemyśle przynęcają co tęższe żywioły do miast; na wsi zaś nadmierna praca i liche odżywianie degenerują ludność. Jest to bez wątpienia za bardzo czarny obraz [1], ale powinien zwrócić uwagę na naglącą potrzebę podniesienia kultury na wsi, dotąd po macoszemu traktowanej.

Skąd więc wziąć robotnika? Zobowiązać się do roboty w zamian za kawałek gruntu nikt nie zechce, bo w przemyśle znajdzie swobodny zarobek; obieżysasi nie nadają się do lepszych robót (?); maszyny, potrzebują znowu inteligentnych sił do obsługi; podwyższenie płac musieliby sobie robotnicy wiejscy wywalczyć, lecz brak im organizacyi. Utrudnienie przesiedlania się nie da się przeprowadzić. W kapitalistycznem społeczeństwie „nie wyrosło żadne ziele przeciw tej chorobie". W tej opresyi najlepiej wychodzą średnio-małe gospodarstwa, od 4—20 ha, oparte przeważnie na własnej pracy; „lecz kwiat ten w bagnie wyrósł". Gdyby brak robotnika ustał, to wielkie znowu wezmą nad niemi górę. Zresztą cierpią one najbardziej od handlu pośredniczącego i lichwy i są siedzibą barbarzyństwa chłopskiego; podporą społeczeństwa istniejącego nie będą. To prawda, jeżeli ich społeczeństwo z tego barbarzyństwa nie podniesie, a to chyba będzie możebne!

Kapitalizm więc oswobodził rolnictwo z więzów feudalnych, ale wnet poddał je w zawisłość od siebie. Przemysł wielki zgnębił pro-

---

[1] Słusznie podnosi to David z wielkim naciskiem w *Socialist. Monatshefte,* 1899, str. 62.

dukcyę domową, a szukając masowego zbytu dla swoich wyrobów, otworzył sobie rynki światowe, dokonał przewrotu środków komunikacyjnych, co spowodowało dowóz płodów rolniczych z krajów, mających niższe koszta produkcyi. Teraz rolnicy nie mogą ciężarów swoich zepchnąć na barki spożywców, jak to dotąd robili, podnosząc ceny, muszą je sami ponosić i to jest istotą dzisiejszego przesilenia rolniczego (rozdz. X.). Współzawodniczą w dowozie środków żywności: kraje oryentalnego despotyzmu (wraz z Rosyą); w nich rozwijające się kapitalistyczne państwo, potrzebując pieniędzy, musi je czerpać z rolnictwa i zmusza chłopa do sprzedaży płodów ziemi bez względu na koszta produkcyi; oraz kolonie: tam niema militaryzmu ani renty gruntowej, ziemia dziewicza, gospodarstwo ekstenzywne pod względem pracy. Wnet jednak i tam warunki staną się podobne jak w starej Europie, lecz wtedy nowe obszary wystąpią do współzawodnictwa, później zaś przemysł dostarczy surogatów z okolic podzwrotnikowych: niema widoków ustania przesilenia rolnego, owszem rozszerzy się ono dalej, bo i ono też należy do „spiżowych składników kapitalistycznego społeczeństwa".

Ale rolnictwo szuka ratunku: w cłach; te nie pomagają nic (?), wolny handel Anglii (dzięki potędze zorganizowanych robotników) nie dozwala dość wysoko ich napiąć; w innych gałęziach gospodarstwa wiejskiego, lecz i tu konkurencya obca coraz bardziej dociera; w przemyśle rolniczym; atoli to jest właśnie wielka produkcya kapitalistyczna ze wszystkiemi jej stronami ujemnemi. Tę kwestyę traktuje Kautsky obszernie, ale bałamutnie. Cukrownictwo i gorzelnictwo, według niego, dostępne są tylko dla wielkich gospodarstw. Olbrzymie młyny kapitalistyczne wyzyskują tylko rolników (mogłyby się przecież dostać w ręce spółek!). Mleczarstwo uszczupla odżywianie się chłopa, który mleko sprzedaje, zamiast je spożyć; tu zapomina Kautsky, że przecież z rozwojem hodowli może on mieć dość mleka dla siebie i na sprzedaż!

Każdy jednak przemysł rolniczy krępuje (?) gospodarstwo chłopskie regulaminami (właśnie przez to podnosi jego produktywność i racyonalność), robi je „przyczepkiem fabryki kapitalistycznej" (?). Wszystkie zaś te przemysły prowadzą do nadprodukcyi i rujnują tych, którzy w nich ratunku szukali. Z przesilenia wychodzą górą nieliczni wielcy kapitaliści, którzy dawnych spólników w zawisłość od siebie biorą. Zapomina znowu Kautsky, że spółka, rozkładając ciężar katastrofy na

liczne barki, zmniejsza znacznie jego złe skutki — zaś związki spółek przyczyniają się do utrzymania ich żywotności.

Ale „industrya“ wogóle wypiera rolnictwo. Dostarczając mu swoich odpadków jako nawozów i pasz, podaje je w zależność od siebie, a wytwarzając surogaty (margaryna, sztuczne wina, elektryczne koleje, rowery i t. d.), gnębi rolnictwo i hodowlę. Nie musi z tego wyniknąć zaraz upadek rolnictwa, ale traci ono swój konserwatywny charakter, rewolucyonizuje się, rzuca się w złowieszczy wyścig kapitalistycznej gospodarki. I na jego łonie wyrasta wielki kapitalista!

Oto, o co Kautsky'emu chodziło! Dlatego wszystkie fakta na ten wynik wskazujące, zgrabnie zestawiał, inne pomijał, a czego mu na pewnych faktach zabrakło, muzyką przyszłości „ekonomicznego rozwoju“, tej delfickiej Pityi marxistów, dośpiewywał, aby wykazać, że przemysł w dzisiejszem społeczeństwie rządzi, że jemu rolnictwo coraz bardziej staje się podległem i niema obawy, by mu stanęło zaporą, a w przemyśle, no, to marxiści już są pewni zwycięstwa!

Teraz jeszcze rzut oka na przyszłość (rozdz. XI.). Rolnictwo więc nie ma zachowawczego charakteru, jak to ekonomiści burżoazyjni twierdzą. Ale i popularne zapatrywanie socyalistów, że lichwa i zadłużenie zrewolucyonizują chłopa, jest mylne. Owszem te momenty powstrzymują rozwój kapitalistycznej racyonalnej gospodarki rolnej. Jako bodziec rozwoju działa tylko przemysł. Jak chłopa zamienił na rolnika sprzedającego towary, tak doprowadzi z czasem do zaniku różnicy między rolnictwem a sobą. Kierunek rozwoju przemysłowego będzie miarodajny dla rozwoju rolniczego.

Gdy proletaryat osiągnie władzę polityczną i dokona uspołecznienia przemysłu, to tymczasem industryalizacya rolnictwa postąpi tak dalece, że najpierw rentę gruntową, tj. wielką własność ziemską wydzierżawioną i hipoteki, a potem i wielkie gospodarstwa można będzie uspołecznić. Tymczasem nauka i technika postąpią o tyle, iż dozwolą urzeczywistnić najwyższą formę produkcyi rolnej: latyfundyum (jak widzieliśmy, ta forma przyszłości nasuwa pewne wątpliwości!). Zniesienie militaryzmu dostarczy wolnych, chętnych inteligentnych sił roboczych. Drobne gospodarstwa stracą wtedy racyę bytu, a chłopi drobni z chęcią porzucą swoją barbarzyńską egzystencyę, wybawieni będą ze swego piekła, stworzonego przez prywatną własność. Tak zwycięży wielka produkcya!

Kautsky sprowadza tedy rozwój rolnictwa na tory, nakreślone społeczeństwu kapitalistycznemu przez „naukowy“ socyalizm. Rolnictwo

niedawno dopiero weszło na tory gospodarki kapitalistycznej· dziś nie można jeszcze ściśle określić kierunku, w jakim się rozwinie. Czy zresztą rozwój społeczny ogólny taki będzie, jakim go sobie marxiści wyobrażają lub do niedawna wyobrażali, o tem reszta społeczeństwa może słusznie mieć inne zapatrywanie. Obliczyć on się nie da. Ale dla Kautsky'ego wykazanie zależności rolnictwa od przemysłu (w jego mniemaniu) wystarcza, by dogmat marxowski wesprzeć. Wszak o to mu tylko chodziło!

Jakie praktyczne wynikają wnioski ze skreślonych tendencyj rozwoju? To przedmiot drugiej części. Czy socyalna demokracya potrzebuje programu agrarnego? (rozdz. I.) Właściwie nie, bo przemysł dominuje nad całem społeczeństwem, a on zapewnia socyalnej demokracyi zwycięstwo. Ale ona, spadkobierczyni dzisiejszego społeczeństwa ma interes w tem, by siła produkcyjna ziemi, ta podstawa bytu, nie była narażona na szwank i by środki żywności były tanie. Chodzić jej też powinno o rozwój cywilizacyjny ludności wiejskiej. Stronnictwa dzisiejszego porządku ratują rolnictwo z politycznych powodów jako podporę państwa. Żeby w tyle nie zostać i socyalna demokracya głosi ochronę chłopa, tego proletaryusza wiejskiego. Czy jednak chłop jest proletaryuszem? Żyje co prawda nieraz gorzej niż proletaryusz, ale nim nie jest. Tu Kautsky daje dokładną definicyę proletaryusza: 1) Jest on ważnym czynnikiem produkcyi kapitalistycznej; 2) nie posiada środków produkcyi; 3) jest zajęty przy takich środkach produkcyi, któremi tylko wielkie grona robotników (a nie pojedynczy) posługiwać się mogą; 4) wreszcie nie ma styczności z gospodarstwem domowem przedsiębiorcy, poza pracą jest człowiekiem wolnym i równym. Otóż do chłopa żadnej z tych oznak zastosować nie można. Jest on posiadaczem środków produkcyi i przedsiębiorcą oraz sprzedawcą towarów, których nabywcą jest robotnik. Istnieje tedy między chłopem a proletaryuszem przeciwieństwo interesów — kupca i nabywcy.

Ale nie jest ono groźne dla proletaryatu, bo dziś stanowi ludność rolna mniejszość w społeczeństwie (np. w Niemczech 35%), proletaryat zaś góruje nietylko liczbą, ale i organizacyą oraz inteligencyą. Każdy drobny włościanin żyje nadzieją uzyskania kawałka ziemi i samoistności. To jego dusza chłopska, którą podniecają partye konserwatywne, lecz ma on drugą duszę: proletarską, tę powinna w nim ożywić socyalna demokracya, podnosząc go jako człowieka. Socyalna demokracya jest stronnictwem walki klasowej proletaryatu, przez którą

społeczność na wyższy ma się wznieść stopień rozwoju. Od walki tej odstąpić nie może: ochrona robotnika jest ochroną człowieka — ochrona chłopa byłaby ochroną jego stanowiska, jako posiadacza, i to kosztem proletaryatu, a więc ze szkodą dla rozwoju społecznego. Zresztą rolnictwo można poświęcić, *vide* Anglia[1]. Potępiwszy więc obronę chłopa, oświadcza się Kautsky przeciw upaństwowieniu ziemi i hipotek, boby to państwu za wielką moc dało, natomiast za upaństwowieniem lasów i wód ze stanowiska ogólno-społecznego. W gminie wiejskiej socyalni demokraci nie mają pola do rozwoju polityki socyalnej; pastwiska gminne przyczyniają się do wzmożenia drobnego chłopstwa, więc nie ma się co do tej formy „komunizmu" zapalać.

Kautsky tedy rozwija swój program tylko w formie przykładu, że socyalna demokracya może pozytywne zająć stanowisko i w kwestyach agrarnych. — Najpierw więc ochrona proletaryatu wiejskiego (II.). Przedewszystkiem domaga się swobody stowarzyszania i zniesienia przestarzałych ustaw czeladzkich. Następnie szeroko uzasadnia potrzebę skutecznej ochrony cielesnych, moralnych i intelektualnych interesów tego proletaryatu przed złowieszczemi skutkami kapitalizmu: a więc ochrona dzieci przed nadmiernem a zawczesnem używaniem do ciężkich robót, rozszerzenie i pogłębienie nauki szkolnej i uzupełniającej (uwagi godny ustęp zwłaszcza dla przeciwników oświaty ludowej), ochrona kobiet, a zwłaszcza obieżysasów, zaprowadzenie normalnego dnia roboczego (?). poprawa stosunków mieszkaniowych (budowa mieszkań do najęcia dla robotników kosztem publicznym), wreszcie (sądowe) normowanie czynszu dzierżawnego (jak w Irlandyi). Charakterystyczną jest rzeczą, że socyalista wskazuje na tę zaniedbaną niwę. Czasby więc był innym stronnictwom jąć się energicznie pracy, a nie dać się wyprzedzić.

Ochrona rolnictwa (III.) nie jest zadaniem socyalnych demokratów, bo o to troszczy się już państwo dostatecznie, atoli mogą oni popierać komasacye, wielkie melioracye, walkę z zarazami bydlęcemi i roślinnemi, rozwój ubezpieczeń (państwowych od gradu, od padania bydła), usuwać przeszkody rozwoju spółek rolniczych, oraz (czem zawstydziliby nasze ministerya i rządy) nie żałować środków na rozwój wiedzy rolniczej, na szkoły, stacye i gospodarstwa doświadczalne i t. d., i na szerzenie oświaty tej jak najskuteczniej. Z wyjątkiem tego

[1] Anglia ma wyjątkowe położenie, czy dobrze na tem wyjdzie, to kwestya jeszcze

ostatniego punktu, oświadcza się jednak Kautsky przeciw wszelkim subwencyom dla rolnictwa, bo one wychodzą na pożytek tylko pobieraczom renty gruntowej, w czem znowu przesadza, bo tak może, ale nie musi być.

Wreszcie ochrona ludności wiejskiej (rozdz. IV.). Dziś ona jest wyzyskiwana na rzecz miast, bo teraźniejsze państwo jest instytucyą rządzenia, a nie instytucyą kultury. Zadania kulturne spycha ono na gminę, która nie ma sił im podołać. Walka proletaryatu o władzę państwową znaczy zamianę państwa policyjno-wojskowego na państwo kulturne. Oświadcza się więc za samorządem, za zastąpieniem wojsk stałych przez wojska ludowe, coby głównie rolnictwu wyszło na pożytek, za objęciem kosztów szkolnictwa, opieki na ubogimi, spraw zdrowotnych i komunikacyj na koszt państwa; wreszcie za otwarciem bezpłatnych biur porady prawnej dla ludu, aby zapobiedz proceśnictwu, a dozwolić i najuboższemu obronić się od krzywdy. To wszystko wymaga olbrzymich kosztów. Krytykuje tedy burżoazyjną politykę podatkową, która za wiele obciąża robotnika, a za mało zysk przedsiębiorcy — domaga się większego rozwinięcia podatków dochodowych i spadkowych, oraz stopy postępowej. Atoli prawdziwie skutecznym środkiem byłoby zagarnięcie przez państwo „nadwartości“ (zysku) przez stopniowe upaństwowienie monopolów prywatnych, wreszcie zaprzestanie gospodarki, opartej na długach publicznych. Oto punkta wytyczne skarbowej polityki proletaryatu, w czem ona zresztą znajduje się dość w zgodzie z najnowszemi dążnościami nauki skarbowej.

Temi to środkami (które wcale nie stanowią programu agrarnego, lecz tylko dowód, że socyalizm na tem polu nie jest skazany na nihilizm socyalno-polityczny) spodziewa się Kautsky unieszkodliwić, „zneutralizować“ chłopstwo, „jeżeli — jak zaznacza — nakreślony przezeń bieg rozwoju rolnictwa jest trafny“.

Na zakończenie wywodzi, że zaprowadzenie socyalistycznego gospodarstwa rolnego bynajmniej nie potrzebuje naruszać stanu posiadania drobnych chłopów, że wcale im nie jest wrogie, że owszem w tym razie byliby oni bardzo pożądani, jako fachowe siły robocze w rolnictwie, w czemby ich nie łatwo można zastąpić. A nawet z uspołecznieniem produkcyi rolnej dom (siedziba) chłopski zostałby nietknięty, obawa zaś o niego, która u chłopa ma być — według Kautsky'ego — główną zaporą przed socyalizmem, byłaby tedy bezpodstawną.

Staraliśmy się przedstawić wiernie główne myśli Kautsky'ego. Obraz przez niego kreślony za bardzo jest ciemny i tendencyjnie pesymistyczny,

co już mu nawet socyaliści, jak David, Bernstein zarzucają. Możności naprawy stosunków nie przypuszcza on prawie nigdzie (z wyjątkiem oczywiście tam, gdzie socyalizm w grę wchodzi). Pewnej zależności rolnictwa od przemysłu nie można mu zaprzeczyć. W gruncie rzeczy przyznaje, że rolnictwo nie sprzyja, lecz owszem zaporą jest socyalizmu. Trafnych spostrzeżeń ma dość, z jego krytyki istniejących stosunków należałoby gorliwie skorzystać. *Fas et ab hoste doceri!*

Praktyczne jego wnioski nie zawierają nic takiego, coby na istniejący porządek rzeczy szkodliwy wpływ wywrzeć mogło. Wiele z nich będzie trzeba koniecznie choćby w innej postaci uwzględnić.

Czy one z jego stanowiska są konsekwentne, to można zostawić samym socyalistom do osądzenia. Już np. David, niezły znawca południowo-niemieckich stosunków agrarnych, wykazuje mu (*Vorwärts* z 11 marca 1898), że normalny dzień roboczy zaszkodziłby wielkim gospodarstwom, które są ideałem Kautsky'ego; że neutralizacya chłopstwa osięgnąć się nie da, że socyalna demokracya musi je koniecznie dla siebie pozyskać i to czynnem poparciem jego interesów.

Tak można tedy sądzić, iż książka Kautsky'ego pobudzi socyalistów do głębszego badania kwestyi agrarnej, a trudy tego badania oraz zapoznanie się z powolnym biegiem rzeczy w rolnictwie, podziałają miarkująco na ich zbyt niecierpliwą chęć przyspieszenia rozwoju społecznego i skłonią ich do szczerszego podjęcia pracy praktycznej na dzisiejszym gruncie społecznym. Tak więc nawet książka tak zakamieniałego marxisty, jak Kautsky, jest wyrazem przeistoczenia, dokonywającego się zwolna w łonie niemieckiej socyalnej demokracyi.

Dr. Tadeusz Kudelka.

Lebrecht Dreves. Ein Lebensbild. Als Beitrag zur Literatur- u. Kirchengeschichte nach dem handschriftlichen Nachlass u. den gedruckten Quellen entworfen von *Wilhelm Kreiten S. I.* Mit Dreves Bildniss. Freiburg. Herder. (W 8-ce, str. VIII., str. 432).

Dreves należy do tych romantyków, których okres twórczości przypadł w czasie, kiedy poezya romantyczna niezrozumiana i zapomniana popadła w pogardę u współczesnych. Moda i smak estetyczny zwłaszcza w poezyi prędko się zmieniają. Nic więc dziwnego, że pisma jego szczupłej tylko garstce są znane. A przecież imię chlubne, na które sobie zasłużył, nie powinno być w historyi literatury pomijane. Talentem bowiem chyba nie stoi Dreves o wiele niżej od takich poetów, jak Chamisso i Eichendorff, z którymi łączył go stosunek przy-

jacielski. W dziejach literatury wspomina się zwyczajnie o nim jako o naśladowcy Eichendorffa, ale sąd podobny krzywdzi poetę, gdyż stanowisko jego pomiędzy romantykami jest wyraźnie samodzielne a nawet w pewnym stopniu odrębne. Będąc romantykiem rozeznaje on przecież doskonale błędy tej szkoły i umie ich się ustrzedz, jak to sam Eichendorff w przedmowie do dzieł Drevesa podnosi. Wolne od mglistych mrzonek i bezbarwnej miękości, odznaczają się pieśni jego szczerością i głębokością uczucia i artystycznem wykończeniem oraz nacechowane są zdrowym i poczciwym sądem. Duch religijny i katolicki jego utworów, nie jest zwyczajną tylko zabawką romantycznej fantazyi, ale płynie on zawsze z głębokości przekonań i serca przepełnionego żywą wiarą.

Rzadkie te zalety poety potrafił ks. Kreiten umiejętnie ocenić i pięknie przedstawić. Równocześnie pokazuje biograf na przytoczonych wyjątkach z jego utworów, jak wysoko wykształconem było u poety poczucie i rozumienie piękna, jak mistrzowsko władał językiem. Zupełnie słusznie też zalicza go autor do najzręczniejszych tłumaczów hymnów. Do zrozumienia twórczej działalności Drevesa, przyczyniają się niemało dzieje jego życia. Poeta, jak wiadomo, był konwertytą. Zmienił wyznanie nie dla chwilowej fantazyi, lecz z przekonania, o czem dowodnie świadczy życie jego późniejsze. Ta charakterystyka jego życia jest nader zajmująca. Przyglądamy się, jak wodzie przeźroczystej, tej duszy jasnej i szczerej, patrzymy na jej wewnętrzne zapasy z fałszem i ułudą, podziwiamy jej hart w niepowodzeniach i pragnienie gorące prawdy i sumienność w szukaniu jej i wewnętrzne ukojenie i błogi spokój, który odczuwa każdy, co targany długoletnią burzą wewnęrzną dobije się w końcu do źródła prawdziwej wiary. Człowiek tak pojęty, tak skreślony, wymusza szacunek i miłość. Cały ten rozwój psychologiczny wewnętrznego życia poety osnuł autor nietylko na listach jego, ale i na podstawie poezyj, które z życiem jego ściśle się splatają. Oby ta praca z tem ciepłem i talentem napisana, potrafiła zjednać poecie takie uznanie, na jakie życiem i pismami aż nadto zasłużył.

Ks. Maksymilian Kohlsdorfer.

Z pism czasowych.

Nowa Biblioteka Uniwersalna. Spółka Wydawnicza. Kraków.

Najtańsze to ilustrowane wydawnictwo polskie rozpoczęło już trzynasty rok swego istnienia. W tym czasie wydało cały szereg dzieł z dziedziny literatury, historyi, filozofii, estetyki, pamiętników i powieści. Pomiędzy pisarzami spotykamy wiele pierwszorzędnych nazwisk naszych i zagranicznych.

Mamy przed sobą komplet ostatniego rocznika. Ten sam dobór i rozmaitość, jaka pociągała czytającego w poprzednich latach, jest i w tym roczniku zachowaną. Różne działy wiedzy i literatury składają się na zajmującą całość. Nie miejsce po temu, by poszczególne dzieła poddawać ocenie, możemy tylko zaznaczyć tu wrażenie ogólne. A ogólne to wrażenie jest korzystne. Znać troskliwość, aby, o ile możności, podawać publiczności dzieła wyborowe, znać zdrowy i czerstwy kierunek, aby budować, a *nie burzyć i oświecać światłem rzetelnem*, a nie latarką lub błędnemi ognikami. Takie dzieła, jak p. M. Sokołowskiego: „Studya i szkice z dziejów sztuki i cywilizacyi", ks. Chotkowskiego; „Dzieje zniweczenia św. Unii", p. Kallenbacha: „Wybór listów Adama Mickiewicza" — Wspomnienia jenerała Kołaczkowskiego, lub życiorys księcia Józefa, o których to dwu ostatnich rzeczach podaliśmy już w naszem piśmie szczegółowe sprawozdanie, świadczą o dodatnim kierunku tego wydawnictwa.

Wydawnictwo *Nowej Biblioteki Uniwersalnej* rozwija się z każdym rokiem, myślimy więc, że z czasem *Biblioteka* dojdzie do tego stopnia, że będzie podawała tylko wyborowe rzeczy. Pod tym względem ma *Biblioteka* pole przed sobą szerokie. Mamy wiele wydawnictw, ale przeważnie takich, którym albo idzie tylko o zapełnienie papieru, albo goniących tylko za senzacyą i odtłaczających wszystkie głośne chwilowo farsy, zużyte już na Zachodzie. Konkurentów więc *Biblioteka* wielu nie ma, a wzorowe takie zebranie w jedną całość najszlachetniejszych utworów myśli ludzkiej, polskiej i zagranicznej, dzisiejszej i wczorajszej, byłoby rzeczą nadzwyczaj doniosłą. Taki szlachetny całokształt jest dążeniem *Biblioteki* i myślimy, że do tego celu uda się jej niezadługo dojść.

Za tą dążnością, żeby podawać rzeczy nie takie, które mogą obchodzić wykształconego człowieka, ale takie, które muszą go obchodzić, pójdzie w ślad i większa systematyczność w układzie wydaw-

nictwa. Rozumiemy doskonale, że w smutnych naszych stosunkach wydawniczych musi być czasem pewna luźność, że niepodobna zawsze tak ustroić harmonijnie całość wydawnictwa, żeby każda dziedzina nauki i literatury w odpowiedniej sobie występowała mierze. W *Bibliotece* naprzykład uderzyła nas pewna przewaga rzeczy historycznych lub mających z historyą najbliższy związek. Filozofia, estetyka, zagraniczna literatura, nie przedstawiają się bardzo silnie.

Robimy te uwagi z najżyczliwszego serca, bo widzimy w tem wydawnictwie nieustanną dążność do coraz doskonalszej formy istnienia. Życzyć tylko wypada, żeby ta forma w jak najkrótszym czasie została osiągniętą i, żeby cenne to wydawnictwo znalazło wielu przyjaciół, na co w zupełności zasługuje.

Ks. Jan Pawelski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Los von Rom.

Pod hasłem *Los von Rom* powstał w Austryi ruch religijny, który coraz większego nabiera rozgłosu. Prawie w każdym numerze większych gazet europejskich spotykamy jakąś wzmiankę o nim. Z dziennikarskich wszelako wiadomości trudno utworzyć sobie jakikolwiek o tym ruchu sąd, zwłaszcza że wiadomości te są raz po raz sprzeczne ze sobą i podszyte namiętnością polityczną. Pastorowie protestanccy rozgłaszają w całych Niemczech, że Austrya przechodzi na łono protestantyzmu, bają o „wielkich rzeczach, które się w niemieckiej Austryi dokonują, o cudach Bożych, które opiewać będą przyszłe wieki". Gazety protestanckie piszą o tysiącach katolików przechodzących codzień w Austryi na protestantyzm. Organa zaś pp. Schönerera i Wolfa, *Ostdeutsche Rundschau* z całą plejadą mniejszych gazetek lokalnych w północnych Czechach i w Styryi, wprawdzie skromniejsze podają cyfry nowonawróconych, ale za to bawią się w proroctwa, zapowiadają jakieś wielkie i tłumne przejścia na protestantyzm, *Massenübertritt,* do którego się teraz dopiero grunt przygotowuje. Katolicka prasa w Austryi prostuje według urzędowych wykazów liczby odszczepieńców w pojedynczych mia-

stach i krajach, odsłania niegodne środki, któremi protestancka posługuje się agitacya, oraz dowodzi — co zresztą jasne jak na dłoni — że cały ruch ten w swej istocie nie jest religijnym, ale raczej politycznym. Z tem wszystkiem przecież ma się wrażenie, że i prasa katolicka sama nie wie dobrze, co z tym fantem zrobić, czy się śmiać, czy oburzać, czy nawoływać do skupienia sił katolickich i energicznej walki przeciwko nowemu wrogowi.

Krótkie poglądowe zestawienie rozwoju tej agitacyi *Los von Rom,* od jej początku aż do dni ostatnich, dopomoże nam może do lepszego zrozumienia jej istoty, jej znaczenia i doniosłości na przyszłość.

Liberalizm, który zawsze we wszystkich krajach dla Rzymu wrogo był usposobiony, miał w Austryi głównych swych przedstawicieli wśród inteligencyi niemieckiej ludności. Profesorowie uniwersytetów i gimnazyów byli i są po największej części liberałami, a celem pozyskania dla liberalizmu nauczycieli ludowych, sprowadzono kilkanaście lat temu umyślnie na dyrektora seminaryum nauczycielskiego do Wiednia, człowieka, który jako pierwszy warunek przyjęcia posady domagał się od rządu, aby noga księdza nie stanęła w seminaryum nauczycielskiem. Rządy austryackie od r. 1848 były zawsze albo wprost liberalne albo tak słabe, że z bojaźni sprzyjały niemieckim liberałom i nigdy niestety odwagi nie miały, by zupełnie zerwać z tą wstrętną koteryą. Niemieckim liberałom wtórowali raz po raz niestety na nasze upokorzenie ci, o których w parlamencie wiedeńskim złośliwie i z pewnego rodzaju szyderstwem mówiono: *Sie sind für jede Majorität zu haben.* Pod skrzydłami takich rządów oczywiście niemiecki liberalizm najkorzystniejsze znalazł warunki rozwoju i to w pierwszym rzędzie wśród sfer urzędniczych i mieszczańskich. Duchowni jego przewódcy od samego początku nie taili się ze swojemi sympatyami dla niemieckiego państwa podówczas w Bismarcku wcielonego. Bławatki były od dawna ulubionym kwiatem tych panów. Pod względem politycznym liberali zawsze dążyli do niemieckiej hegemonii nad całą Austryą, pod względem kościelnym do Józefinizmu. W tych dążnościach doznawali w ostatnich latach coraz liczniejszych zawodów. Inne

narody zaczęły domagać się z siłą i stanowczością należącego im się według zasadniczych ustaw państwowych równouprawnienia, a Austrya, która każdemu natarczywemu naleganiu ustępuje, zaczynała uwzględniać ich żądania. Niezadowolenie i obawa zupełnej utraty długoletniej hegemonii wzrastały w obozie liberałów niemieckich, aż z okazyi rozporządzeń językowych hr. Badeniego dawno tłumiona nienawiść ku „Słowianom i klerykałom“ jasnym płomieniem wybuchła. Rozpoczyna się niesłychane teroryzowanie rządu. Nawet w parlamencie głoszono coraz śmielej i otwarciej zdradę stanu, jeżeliby Austrya nie uznawała Niemców za naród uprzywilejowany. Niemiecko-pruskie gazety trzymały się wobec tego ruchu antidynastycznego i antiaustryackiego w roztropnej rezerwie. Trudno było, by państwo sprzymierzone popierało otwarty bunt. Niegodne cywilizowanych ludzi wybryki parlamentarne powszechnie surowo w Niemczech potępiono. Ale równocześnie obmyśliwano i w Niemczech i w kołach austryackich przewódców liberalnych zupełnie nowy środek propagandy niemiecko-liberalnej, niemiecko-pruskiej. W gazetach i czasopismach protestanckich zaczęły się pojawiać coraz częściej artykuły udowadniające ściśle naukowo, „na podstawie niezaprzeczonych faktów historycznych“, że każdy prawdziwy Niemiec powinien być lutrem. Organa Wolfa wtórowały wiernie tym wywodom; Wolf sam zaczął grozić w parlamencie przejściem niemieckich katolików na protestantyzm, aż nareszcie rzucono otwarcie hasło *Los von Rom,* wśród niemieckich liberałów całej Austryi i rozwinięto energiczną w tym kierunku agitacyę. Z końcem stycznia wywiesił pastor May na czarnej tablicy uniwersytetu wiedeńskiego odezwę do studentów niemieckich, wzywającą ich na zgromadzenie, celem omówienia sprawy przejścia na protestantyzm. Na odezwie było umieszczone *vidi* rektora uniwersytetu. Dla każdej prowincyi zawiązały się komitety mężów zaufania celem ułatwienia i rozszerzenia tego ruchu. Pisma poufne, rozesłane do obywateli niemieckich, odkrywają nam jasno cele i taktykę nowych reformatorów. „Od czasów reformacyi — czytamy w odezwie styryjskich mężów zaufania — nie przedsięwzięto dzieła donioślejszego dla wewnętrznego wzmocnienia

i zewnętrznego zabezpieczenia niemieckiego ludu w Styryi, nad to, do jakiego się teraz zabieramy. Trzeba na nowo nawiązać spójnie, które Jezuici i dragoni Lichtensteina 300 lat temu potargali, i rzucić trwałe mosty do protestanckiego państwa niemieckiego. Nie chodzi tu o osiągnięcie błyszczącego chwilowego powodzenia, ale o utorowanie długoletniej skutecznej działalności... Na najbliższe czasy wystarczy zebrać i pozyskać dla przejścia ludzi pewnych i stanowczych. Ci stanowić będą punkt zborny, z którego powoli rozszerzać się będzie propaganda. Środki potrzebne już są zapewnione. Ofiar pieniężnych się nie wymaga, pisma ulotne stoją do dyspozycyi, odpowiedni mowcy i kaznodzieje przybędą — jak tylko potrzeba się okaże".

Najsilniejszą agitacyę rozwinięto w północnych częściach Czech. Liczni agitatorzy z wioski do wioski, z miasta do miasta przechodzą, rozrzucając drukowane blankiety z oświadczeniem przejścia na protestantyzm. Liczni pastorowie przyjeżdżają z Niemiec, aby kazaniami i przemowami dusze dla protestantyzmu zyskiwać.

Kiedy liberalni Niemcy wprost o zdradzie stanu mówili, ich bracia pruscy otwarcie im pomagać nie mogli. Do dzieła luterskiej ewangelizacyi nietylko otwarcie dopomagają, ale najmniejszej niema wątpliwości, że oni są główną sprężyną całego ruchu. W południowych Niemczech pastorowie formalne misye urządzają, głoszą nawrócenie się Austryi, zachęcają do obfitych datków i napadają najohydniej na papieża i wiarę katolicką. W Saksonii urządzają się również publiczne składki na ten cel przeznaczone. Główny organ protestantów niemieckich, *Reichsbote*, ogłosił odezwę pomocniczego wydziału berlińskiego dla ruchu ewangelizacyi w Austryi z prośbą o czynne wsparcie. Do wydziału tego należą wysocy urzędnicy państwowi, pierwszy superintendent protestancki Faber, prof. Harnack i inne wybitne osobistości. 1 marca odbyło się w Berlinie publiczne posiedzenie tego wydziału, któremu przewodniczył radca sądu von Oettingen. Przewodniczący prosił, aby nie mieszano w dyskusyę polityki i nie mówiono o rządzie austryackim. „Róbmy tak, jak gdyby go nie było, to jest najlepsza polityka" (oklaski).

Pod hasłem religijnem omawiano tam z wielkim zapałem sprawę połączenia austryackich Niemców z pruskimi; tej sprawie też służyć ma nowe czasopismo *Odin*, wychodzące od 1 kwietnia w Monachium. Tak przedstawia się ów ruch w głównych swych rysach.

Rzućmy teraz okiem na realne skutki aż dotąd przez agitacyę protestancką osiągnięte. Najprzód jest rzeczą pewną, że w Niemczech zebrano już znaczne fundusze na tę agitacyę. Pojedyncze datki prywatnych osób wynoszą do 20.000 mk., a choć o ogólnej sumie nic pewnego nie wiemy, to przecież z liczby wysłanych agitatorów, ze setek tysięcy broszur, rozrzucanych przedewszystkiem w Czechach, i ze stanowczej obietnicy natychmiastowej pomocy pieniężnej, gdziekolwiekby taka okazała się potrzebną, wnioskować można o wielkości sum zebranych.

Co się tyczy liczby nowych protestantów, nie jest ona dotąd zbyt pokaźną. Przeszli posłowie Wolf, Iro, Kittel, Hofer. Liczba wszystkich nawróconych doszła może do 2.000; sami protestanccy pastorowie czuli się zobowiązani sprostować liczby wobec przesadnych wieści niemieckiej prasy. Środki, któremi propaganda protestancka się posługuje w owych nawróceniach, nie są też zawsze zbyt szlachetne. Jak w misyach zagranicznych, tak i tutaj protestanci ofiarują pieniądze za przejście; w północnych Czechach apostata otrzymuje 1 złr., w Styryi aż do 25 złr. Od prostych ludzi wyłudza się podpisy w karczmie przy kieliszku wina, kiedy już nie są zupełnie panami siebie. Czyż dlatego jednak należy sobie lekceważyć ten ruch? Sądzimy, że nie.

Niema co wątpić, że cały ten ruch rozwinął się na tle politycznem i do celów politycznych dąży. Jest to rzeczą zbyt oczywistą, której też nikt ani w protestanckich kołach niemieckich, ani w liberalnych austryackich kołach nie przeczy. Ale przecież nie można temu ruchowi odmówić religijnego charakteru i niepomiernej religijnej doniosłości. Za czasów reformacyi polityka odgrywała również wielką rolę przy zmianie religii.

Przejścia większej liczby osób, całych gmin do innej religii były — jak statystyka wykazuje — w tym wieku w Europie zjawiskiem prawie nieznanem. Liczebna siła wyznań zmieniła się skutkiem napływu obcokrajowców, skutkiem małżeństw mieszanych, ale nie skutkiem osobistej zmiany wyznania. Dopiero w ostatnich czasach spostrzegamy w całej Europie, jako też na całym świecie, tak ożywiony ruch religijny, jakiego od kilku wieków nie było. W Syryi i w Egipcie całe szczepy przechodzą na wiarę katolicką, a gdzieniegdzie do rosyjskiej cerkwi. W Anglii walka religijna wielkich stronnictw wywołała takie napięcie w całym kraju, że spodziewać się można doniosłych religijnych wypadków. Mówiliśmy już nieraz o żywym ruchu religijnym we Francyi. Z Węgier dochodzą nas coraz częstsze wieści o przejściu całych wsi schizmatyckich do Unii lub o liczniejszem odstępstwie unitów. We Francyi i Anglii nowe prądy powstały głównie z pobudek religijnych, w Niemczech, Węgrzech i Austryi polityka jest na pierwszem miejscu. Ale już to samo, że takie hasło *Los von Rom* mogło rozniecić tak silną agitacyę, jest niezbitym w naszych oczach dowodem, że i religijne usposobienie umysłów wchodzi w tej walce w grę. Religia lekceważona do niedawna zaczyna na nowo potężniej wpływać na życie narodów, we wszystkich warstwach i społeczeństwach odczuwa się silniej potrzebę religii i dlatego Niemcy bardzo mądrze, korzystając z ogólnego usposobienia, przenieśli walkę na teren religijny. Grunt dla prusofilskich agitacyj jest już od dawna długoletnią, systematyczną pracą przygotowany. Hasło: *Los von Rom* jest wprawdzie tylko dalszym ciągiem tej agitacyi, ale nabiera ono siły przez dołączenie się religijnego elementu i nawzajem religijne hasło staje się niebezpieczniejszem przez połączenie się z dążnościami narodowemi i politycznemi, które głębokie w umysły zapuściły korzenie. Stąd to, co wiedeński pastor Zimmermann zaznaczył, że ruch ten, aczkolwiek z politycznych pobudek powstał, przecież począł się i pod względem „religijnym już pogłębiać“, nie jest czczym frazesem, jak to niektórym austryackim katolikom się zdaje. Przy obecnem usposobieniu umysłów jest prawie niepodobieństwem, aby ruch taki przeszedł

bez religijnych skutków, nie można go więc lekceważyć ze stanowiska religii, ale trzeba się nim poważnie zająć, a już teraz energicznie przeciw niemu działać.

Rzym nie zabrał jeszcze głosu w tej sprawie, tylko biskupi austryaccy, zebrani w Wiedniu, nią się zajęli, a kard. Gruscha w ich imieniu wystosował list do wszystkich wiernych.

Równocześnie zwołał kardynał konferencyę celem zawiązania katolickiego komitetu pod prezydenturą barona Vittinghoff-Schella. Z odezwy, jaką komitet opublikował d. 14 kwietnia, widać też, że i austryaccy katolicy nareszcie na seryo do rzeczy się biorą. Katolicki związek chłopski, przed kilku tygodniami zawiązany, liczy już 10.000 członków; w Gracu i w Wiedniu urządzono szereg kazań dla mężczyzn na temat: *Los von Rom;* w Wiedniu największy po św. Szczepanie kościół Augustyanów był nabity mężczyznami, a usiłowania Wolfa, by rozbudzić niepokoje w kościele, zgoła się nie udały. Najlepszym dowodem, jak niemiłemi są podobne religijne manifestacye liberalnym Niemcom, jest to, że *Ostdeutsche Rundschau* domagała się policyjnego zakazu tych kazań. Dzięki Bogu rząd tym razem krzykaczom nie ustąpił. Także z północnych Czech donoszą, że życie religijne tam na nowo się budzi, a katolickie kościoły bardziej są uczęszczane, niż przedtem. Oprócz tego urządzają się w stolicy i po prowincyi tłumnie uczęszczane zgromadzenia, mające na celu wyrażenie protestu z powodu polityczno-religijnych agitacyj, trącących zdradą stanu. Ale w tem wszystkiem — zdaje nam się — brakuje jeszcze tęgiej organizacyi, która w tego rodzaju walkach jest pierwszorzędnym czynnikiem. Rząd zdobył się na rozwiązanie kilku stowarzyszeń, mianowicie: *Verein ewangelischer Glaubensgenossen, Deutscher Bezirksverein Wieden, Deutscher Ausflugspunct des Bundes der Germanen* i *Verein der deutschnationalen in Oesterreich.* Ostatnie stowarzyszenie już na nowo się zorganizowało pod nieco zmienionem nazwiskiem: *Deutschnationaler Verein für Oesterreich.* Zresztą akcya rządowa równa się zeru. Pastorowie zaburzają spokój religijny, obrzucają błotem papieża, księży katolickich, drwią sobie publicznie z religii katolickiej, a rząd tak ciężkie ze stanowiska prawnego wykro-

czenia tylko ledwie gdzieniegdzie karci. Prawdopodobnie, aby okazać, jak zwykle, swe bezstronne w tej mierze stanowisko i neutralność, zakazał właśnie w tym czasie radzie gminnej wiedeńskiej udzielić wsparcia dla budowy kościoła w jednem z przedmieści wiedeńskich, dlatego jedynie, że według zdania radnego, Żyda Brunnera, kościoły nie mają na celu dobra ogółu *(kein gemeinnütziger Zweck)*. Gdyby katolicy w ten sposób zaczęli agitować przeciwko Żydom lub protestantom, toby już dawno setki agitatorów katolickich siedziały po więzieniach. Ze słusznem też oburzeniem *Reichsbote* interpeluje rząd za to, że żadnych kroków nie poczynił przeciw mieszaniu się niemieckich protestantów do agitacyi najwidoczniej antiaustryackiej i antihabsburskiej. Czyżby rządowi zabrakło odwagi?

Bardziej patryotyczną od rządu jest władza protestancka w Austryi. Przy poświęceniu ewangelickiego kościoła jubileuszowego 2 grudnia z. r. najwyższa rada ewangelicka uchwaliła, że „kościół ewangelicki nie może mieć nic wspólnego z dążnościami, które pod hasłem *Los von Rom* propagują przejście do protestantyzmu, jako polityczną demonstracyę“. Superintendent w Egerze miał denuncyować na policyi zebranie w celach agitacyjnych protestanckich, pastor dr. Johanny umieścił w *Wiener Allgemeine Zeitung* ostrą krytykę tego ruchu, a wogóle austryaccy pastorowie nie pokazują zbytniej gorliwości w przyjmowaniu nowonawróconych owieczek. Sądzimy jednak, że ich zachowanie się agitacyi protestanckiej nie zaszkodzi. Nie z idealnych pobudek, które sami przytaczają, ale z pobudek bardzo materyalnych pastorowie nie chcą przynajmniej otwarcie przyłączyć się do tego ruchu. Wytłumaczył to najlepiej referent na protestanckim wiecu w Berlinie: „Władza kościelna — mówił on — jest cesarsko-królewskim urzędem, i dlatego nie może przychylnie patrzeć na tego rodzaju agitacye“.

Ks. Wł. Ledóchowski.

Nowiny historyczne.

Dzieje Polski.

Kiedy przed 3 laty niedawno zgasły historyk Maks. Gumplowicz napisał życiorys[1] pierwszego kronikarza Polski, piszący w recenzyi tej pracy[2] stwierdził, że życiorys powyższy wysnuty jest z fantazyi autora, a nie z faktów rzeczywistych. Potwierdza sąd ten świeża praca młodego historyka Stanisława Kętrzyńskiego, której rezultaty ojciec jego tyle zasłużony na niwie historycznej, Wojciech Kętrzyński, przedstawił niedawno[3] na posiedzeniu wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności w Krakowie. Zdaniem młodego autora, Gall-anonim był Francuzem, zakonnikiem w St. Gilles we Francyi, skąd około r. 1109 przybył do Polski na wezwanie jednego z polskich biskupów, Franka. Niedługo po przybyciu kronikarza zmarł Franko, nie zapewniwszy anonimowi żadnego stanowiska. Do bajek należy przypuszczenie, że Gall uzyskał godność kapelana Bolesława Krzywoustego lub opata lubińskiego, albo nawet biskupa kujawskiego. Zawiedziony w nadziejach protekcyi biskupa Franka zaczął nasz *exul* i *peregrinus* pisać dzieje Bolesława ze wstępem o jego poprzednikach. Pierwsze dwie księgi pisane r. 1112 dedykował Gall-anonim biskupom polskim z prośbą o wstawienie się o łaskę u księcia. Ponieważ w księgach tych było wiele ustępów drażliwych dla episkopatu, jak o zabójstwie św. Stanisława, biskupa, i otruciu Mieszka, syna Śmiałego, dlatego pisze apologię we wstępie do trzeciej księgi, pisanej r 1113, apologię odwołującą się od biskupów do ogółu duchowieństwa. Tak skąpe tylko wiadomości wydobył najnowszy badacz Kroniki Galla o jej autorze. Czy wszystkie zwłaszcza ostatnie zasługują na zupełną wiarę, nie chcemy twierdzić. W każdym razie nieco ryzykowny jest wniosek wysnuty na podstawie zdania: *Oportet enim Dei ministros in hiis, quae Dei sunt Deo spiritualiter obedire; in hiis quae sunt Caesaris, honorem et servitium mundi principibus exhibere.* Temi słowy, zdaniem p. St. Kętrzyńskiego, oświadcza się Gall za wyższością władzy świeckiej nad duchowną. Słowa te, zdaniem naszem, oznaczają tylko biblijne a roztropne: „Oddajcie, co jest Boskiego Bogu, a co cesarskiego cesarzowi".

---

[1] *Bischof Baldwin Gallus v. Kruszwica.*

[2] *Kwart. hist.* X, str. 871.

[3] 21 marca 1898. Sprawozdanie z czynności i posiedzeń Akad. Umiej. w Krakowie. Marzec 1898.

W jaki sposób Polska przetworzyła się z monarchii dziedzicznej w elekcyjną, kwestyę tę rozwiązać postanowił od kilku lat prof. Balzer. Płodem badań w tym celu podjętych jest najpierw pomnikowa „Genealogia Piastów", a obecnie równie umiejętnie omówiona „Sprawa następstwa po Kazimierzu W." [1]. Zagadnienie to omawia autor na tle dawniejszego prawa dziedziczenia w rodzie Piastów. Co do dziedziczenia krewnych męskich, po mieczu, to zdaniem autora, o niem mowa być może dopiero od chwili, gdy w rodzie Piastów upadła starożytna zasada wspólnej własności krajów polskich, której ślady widzimy za czasów Mieszka I., rządzącego wraz z braćmi państwem polskiem. Już od drugiego pokolenia Piastów historycznych wyosobnienie dzielnicowe książąt staje się regułą. Przy dziedziczeniu właściwem rozróżnić należy dziedziczenie w obrębie rodziny, tj. synów po ojcu, i dziedziczenie w obrębie rodu, tj. wszystkich krewnych bocznych płci męskiej, poczynając od braci zmarłego. Syn, a jeżeli jest ich więcej, wszyscy mają niewzruszalne prawo następstwa po ojcu, tylko sam podział kraju lub dzielnicy zależy od rozporządzenia ojcowskiego. Przyrodzone prawo zatem i wola naczelnika rodziny, dwa te czynniki kształtują następstwo synów. — Co do sprawy dziedziczenia w rodzie w razie braku synów u naczelnika rodziny, to prawidłowo dziedziczy tylko jeden z bocznych krewnych i to niekoniecznie najbliższy krewny i najstarszy krewny. Wśród krewnych bocznych niema zatem ustalonego porządku następstwa. Mają oni tylko hipotetyczne prawo dziedziczenia t. zn., że każdy z nich może uzyskać dziedzictwo; kto je ma uzyskać, o tem rozstrzyga każdorazowa wola poprzednika. Ponieważ tylko stosunek ojcowsko-synowski stwarzał właściwie nieusuwalne prawo dziedziczenia, dlatego też w wielu wypadkach, kiedy powoływano do spadku krewnych bocznych, przedsiębrano co do nich akt adoptacyj. W braku rozporządzenia ze strony bezdzietnego księcia, sprawę dziedzictwa zrazu załatwiali sami członkowie książęcego rodu jako sprawę wewnętrzną, wyłącznie ich obchodzącą. Z biegiem czasu zaczynają tu sobie zdobywać wpływ przedniejsze warstwy społeczne, które obsadzają tron przez elekcyę. — Elekcya ta za Piastów powstała na gruncie senioratu lub pryncypatu, a powołała ją do życia rewolucya. Przeważną część zmian na tronie wielkoksiążęcym w Krakowie dokonała rewolucya, a także i kilkanaście wypadków elekcyi, zaszłych w XIII. wieku w innych dzielnicach, noszą wszystkie na sobie piętno rewolucyjne. Nie prze-

[1] Tamże, lipiec r. 1897, str. 13—21.

sądzając zatem w niczem o obowiązujących podówczas zasadach prawnych, przygotowały one jednak grunt do innego rodzaju elekcyi, dokonywanych czy to przez szlachtę czy mieszczaństwo w tym wypadku, kiedy bezdzietny książe nie pozostawił rozporządzenia co do następstwa po sobie. Takie elekcye pojawiają się już z końcem XIII. wieku i są tylko surrogatem rozporządzeń poprzednika co do następstwa i jako takie nie mają nic wspólnego z ideą wolnej elekcyi, trzymając się tylko rodu panującego i nie krępując się żadnym stopniem i bliższością pokrewieństwa wśród tego rodu. Kobiety wedle zasad pierwotnego prawa piastowskiego dziedziczyć nie mogą, nie z powodu niezdolności do sprawowania rządów — liczne przykłady sprawowania opieki przez księżne-wdowy za nieletności ich synów sprzeciwiają się temu — lecz z powodu uznanej zasadniczo ich niezdolności dziedziczenia, skąd wynika, że także krewni męscy Piastów po kądzieli żadnego nawet hipotetycznego prawa dziedziczenia w Polsce pierwotnie mieć nie mogli. Dopiero od ostatniej ćwierci wieku XIII. pod wpływem Zachodu, a przedewszystkiem Czech zaczyna się w Polsce przyjmować zasada dziedziczenia kobiet i przez kobiety, naprzód w liniach Piastów najbardziej wpływom Zachodu poddanych, tj. w linii śląskiej i wielkopolskiej. Tutaj dostaje się kilkakrotnie tron bądź to małżonkowi córki zmarłego bez synów poprzednika, bądź to przedstawicielom obcych dynastyj, pochodzącym od kobiet z rodu Piastów. W ten sposób zyskują kobiety nic więcej nad hipotetyczne prawo dziedziczenia, właściwe krewnym bocznym po mieczu. A ponieważ możność wyznaczania dziedzica nie podlega tu żadnym ograniczeniom, zatem dalszy krewny po kądzieli mógł uzyskać pierwszeństwo przed bliższym krewnym po mieczu. Kazimierz W., nie mając synów ślubnych, miał prawo wyznaczyć na następcę krewnego po mieczu czy po kądzieli. Przez to że jego wybór padł na siostrzeńca Ludwika Andegaweńskiego, uznaną została zasada dziedziczenia przez kobiety także i w linii kujawskiej Piastów. Zarządzenie to nie było pierwszym wypadkiem w historyi polskiej. Już Przemyślida Wacław II. zyskał z ręką córki Przemysława II. tron wielkopolski i tylko wygaśnięciu rychłemu Przemyślidów zawdzięczać mamy fakt, że panowanie obcych dynastyj w Polsce rozpoczynamy nie r. 1300, lecz 1370. Przeciw mianowaniu Ludwika następcą tronu nie protestuje żaden z Piastów po mieczu, żadna z córek Kazimierzowych. Natomiast przeciw rozporządzeniom Kazimierzowym częściowo protestują panowie polscy i to ze skutkiem, tj. przeciw wyznaczeniu Kaśkowi szczecińskiemu, wnukowi Kazimierzowemu, ziemi

łęczyckiej i sieradzkiej oraz kilku grodów kujawskich i wielkopolskich. Zważywszy, że ze śmiercią Kazimierza zrywał się związek lenny między Mazowszem a Polską, grozi Polakom w r. 1370 podział nowy na trzy odrębne dzielnice pod rządami trzech osobnych dynastyj, andegaweńskiej, pomorskiej i piastowskiej. Niebezpieczeństwo to zrozumieli dokładnie panowie polscy i oni to głównie podnieśli i poparli u króla Ludwika myśl unieważnienia zapisu ze względów politycznych, którym ustąpić musiały względy prawne. Zastanawiając się w końcu autor nad przyczynami, jakie skłoniły Kazimierza W. do przekazania następstwa Andegawenom z wykluczeniem bliższych krewnych, przychodzi do przekonania, że niewątpliwie sprawa krzyżacka niezałatwiona jasno i obrona Rusi Czerwonej zniewoliły króla do tego kroku, lecz głównie przyczyniła się do tego polityka terrytoryalna książąt, rozwijająca się w drugiej połowie średnich wieków. Wszyscy władcy dążą do skupienia największej ilości krajów, gotując w ten sposób genezę wielkich państw nowożytnych. Ponieważ podboje orężne były środkiem niedostatecznym, przeto szukano ten cel osiągnąć za pomocą układów spadkowych, wzajemne związki rodów przez małżeństwa. Kazimierz działał w duchu swego czasu i na podstawie pokrewieństwa Piastów i Andegaweńczyków przeprowadził połączenie Polski i Węgier. Związek ten ze względu na odrębny podkład etniczny nie przeszedł w połączenie organiczne. W najbliższym czasie potem wszakże za pośrednictwem faktów, które Kazimierz W. częściowo sam wywołał na widownię dziejową, przychodzi do skutku unia Polski z Litwą, zawarta na warunkach o wiele korzystniejszych, tak że mogła się zamienić w unię organiczną. Środkiem do tego ważnego wypadku stało się znowu uznanie zasady dziedziczenia kobiet i przez kobiety.

Potwierdza to poniekąd i rozprawa prof. Piekosińskiego pod tytułem: „Czy Władysław Jagiełło był za życia królowej Jadwigi rzeczywistym królem polskim, czy też tylko mężem królowej?“ [1] W niej oświadcza się autor za drugą ewentualnością, a to dlatego, że królowa Jadwiga była prawowitą dziedziczką królestwa polskiego i jako „król polski“ ukoronowaną. Dopóki ona żyła, drugiego prawowitego króla obok niej być nie mogło. Dlatego Władysław Jagiełło, jakkolwiek koronowany królem polskim, w przywileju praw, nadanym stanom królestwa polskiego w dniu 18 lutego 1386 r., nie królem polskim, lecz

[1] Sprawozdanie z czynności i posiedzeń Akad. Umiej. w Krakowie, listopad 1897, str. 4.

tylko *dominus et tutor regni Poloniae* się tytułuje; dlatego też po śmierci Jadwigi chce powrócić na Litwę, gdyż ze śmiercią prawej dziedziczki korony polskiej upadały i jego prawa do tronu. Stąd też panowie podsunęli mu myśl poślubienia drugiej prawej dziedziczki królestwa polskiego, Anny Cylejskiej, na co Jagiełło się zgodziwszy, w Polsce pozostał. Przemawia za tem także i fakt, że Władysław starał się u stanów koronnych o przyrzeczenie, że po jego śmierci jednego z jego synów królem obiorą, co przy dziedziczności tronu w Polsce byłoby niezrozumiałe, gdyby Władysław Jagiełło był prawowitym królem polskim.

Podczas gdy za granicą w badaniach historycznych sprawy ekonomiczno-społeczne główną odgrywają już rolę, a najnowsza historyografia uważa właśnie zwrócenie uwagi na te sprawy i położenie głównego nacisku na nie za swą zdobycz i za postęp w badaniach, u nas w tej mierze nie tyle się jeszcze zrobiło, głównie z powodu szczupłości źródeł, w tym kierunku wydanych. Stąd też każdą publikacyę, na tem polu dokonaną, należy powitać jako pożądany i konieczny przyczynek do pogłębienia naszej wiedzy historycznej. Takim przyczynkiem jest bez wątpienia niedawna publikacya prof. Ulanowskiego [1], zawierająca kilka taryf czyli cenników artykułów handlu i przemysłu, zarówno krajowego, jak zagranicznego z w. XVI. i XVII., ogółem 18 dokumentów, mających dla dziejów handlu w Polsce znaczenie pierwszorzędne. We wstępie, wyprzedzającym publikacyę, omawia autor w ogólnym zarysie dzieje handlu, o ile tenże ulegał ograniczeniom ze strony władz rządowych i szlachty. Już w wieku XIV. regulowanie miar, wag i cen towarów i płodów, na targach sprzedawanych, należało do kompetencyi wojewody. Obok tego i król mógł przez ustanowionych przez siebie delegatów taką regulacyą się zająć. W wieku XV. szlachta, zdobywając sobie coraz większy wpływ, domaga się ustawicznie, by wojewodowie wraz z dygnitarzami ziemskimi i reprezentacyą miejskiego stanu oznaczali ceny artykułów handlu i przemysłu polskiego, oraz płodów rolniczych. Taksa zboża miała zapobiedz temu, by mieszczanie zmuszeni sprzedawać towar swój podług taksy, nie odbijali sobie tego na płodach rolniczych, obniżając dowolnie ich cenę. Ceny handlu za-

[1] „Kilka zabytków ustawodawstwa królewskiego i wojewodzińskiego w przedmiocie handlu i ustanawianiu cen". (Archiwum komisyi prawniczej, t. I. Kraków. Nakładem Akad. Umiej. 1895. Str. 37—144). Cfr. *Kwart. hist.*, t. XII, zesz. I, str. 144—149.

granicznego oznaczał sam monarcha do r. 1505, w którym to roku konstytucyą radomską polecono wojewodom uwzględniać w taryfach swoich także artykuły handlu zagranicznego. Ponieważ atoli wojewodowie nie mogli mieć należytego poglądu na stosunki handlu zagranicznego, więc uchwała ta okazała się niepraktyczną, a w r. 1522 i 1525 musi Zygmunt I. wydać cenniki towarów, obowiązujące w całem królestwie. Mimo to w r. 1565 konstytucya sejmu piotrkowskiego przekazuje znowu wojewodom oznaczenie towarów zagranicznych w porozumieniu z rajcami, ławnikami i starszymi cechów, oczywiście bez skutku, gdyż ceny towarów wciąż wzrastały, a szlachta chyba nie bez podstaw posądzała wojewodów o przekupstwo. Nie darmo powiada Rej w swoim „Zwierzyńcu“ o wojewodzie, że za przekupstwo „będzie pomiar u czarta snadź i z naszym panem“. Taksy więc i taryfy wojewodzińskie zdyskredytowały się do tego stopnia, że r. 1621 konstytucya sejmowa przekazała prawo ustanawiania taryfy na całą Polskę komisyi, z łona sejmu wybranej. Ponieważ jednolita taksa towarów w tak rozległem państwie nie mogła być sprawiedliwą, więc w r. 1633 sejm uchwalił, by taksę towarów cudzoziemskich ustanawiały 4 komisye, co rok z łona sejmu wybrane w Lublinie, Lwowie, Krakowie, Poznaniu, a wojewodowie mieli na podstawie tych taryf specyalne taryfy opracować. Uchwała ta wszakże nie miała również praktycznych i pożądanych dla szlachty rezultatów, gdyż w r. 1643 zbiera się znowu komisya, mająca zaradzić zbytniej drożyźnie towarów. Komisya ta uznała, że niepodobna oznaczyć ceny na towary zagraniczne i dlatego postanowiła, by każdy kupiec przysięgę złożył, że towar zagraniczny sprzedaje z pewnym oznaczonym zyskiem. Zysk ten wynosić miał dla kupca krajowego netto 7%, zagranicznego 5%, Żyda 3%. Uchwała ta, apelująca do etyki kupieckiej, musiała zrobić kompletne fiasko. Taksy wyznaczali po dawnemu wojewodowie, posługując się w tej mierze podwojewodami; szlachta, jak dawniej, sarka na podrożenie towarów i uchwala ustawicznie nowe konstytucye przeciw temu, jednakże celu nie osiągnęła nigdy. Mściła się na niej jej własna polityka ekonomiczna egoistyczna, nierozumna zarazem, która zrujnowała stan mieszczański, nie poprawiła bytu szlachty, a wzbogaciła tylko kupców zagranicznych.

Autor „Sejmu czteroletniego“ odumarł swe pomnikowe dzieło, skreśliwszy obraz konstytucyi 3 maja. Aby niedokończone dzieło uzupełnić w sposób mistrzowski Kalinki, na to trzeba być mistrzem. Tej

pretensyi niema Smoleński, kontynuator dzieła Kalinki [1], pragnie on tylko, bez przyswojenia sobie zapatrywań ks. Kalinki, bez naśladowania jego metody, dać wyczerpujący obraz ostatnich chwil Rzeczypospolitej aż do sejmu grodzieńskiego. W pierwszej połowie tej pracy p. t. „Ostatni rok Sejmu wielkiego“ sięgnął autor do połowy r. 1792 i przedstawił, w jaki sposób nasi prawodawcy sejmowi wypełniali szkic konstytucyi z 3 maja. Oceniając ich pracę twierdzi, że ona była odstępstwem od wytycznej ustawy. Dawne prawo króla mianowania senatorów przyznawano tylko teraźniejszemu królowi. Senat, złożony z kandydatów, wybranych na sejmikach i wobec nich odpowiedzialnych, miał być i później także wyrazem wszechwładztwa narodowego. Pozostawienie nominacyi ministrów królowi wynagradzali sobie prawodawcy możnością usuwania ich większością dwóch trzecich w wotowaniu tajemnem. Pojęcie większości zostało w tym samym duchu określone. Projekty do spraw cywilnych miały być decydowane prostą większością, projekty do spraw konstytucyjnych i kryminalnych $^2/_3$ głosów, do podatków wieczystych $^3/_4$ głosów. Wymaganie takiej przewagi głosów jest zdaniem autora niczem innem, jak złagodzeniem *liberi veto*. Tego rodzaju praca sejmowa musi być nazwana ułomną, paczyła ona i łamała niewzruszone zasady ustaw, wyzyskując naturalną ogólnikowość ich określeń wykrętnemi dodatkami. Pracodawców ogarnęła idea wszechwładztwa narodowego i wykrzywiła główną dążność konstytucyi 3 maja zbudowania silnej władzy wykonawczej w celu wytworzenia w organizmie państwowym ładu i siły. Ci, którzy zdobyli się na zamach z dnia 3 maja, zaczynali się cofać i chwiać, chcieli zapobiedz mniemaniu, jakoby konstytucya nasza mogła dążyć do despotyzmu. Stronnicy konstytucyi lękali się silnej władzy monarchicznej tak samo, jak zagorzali republikanie. Wprawdzie ci psuli, ile mogli, ale nie byłoby się im powiodło popsuć konstytucyi, gdyby zwolennicy jej i obrońcy sami nie byli się sprzeniewierzyli przewodnim jej myślom i nie skłaniali się ku dawnym republikańskim lub nowym francuskim pojęciom. Jedni z nich dezerterowali, żeby nie narazić swej popularności; drudzy, żeby nie powiększać rozmiarów malkontentyzmu. Było to tedy połowiczne działanie, pozbawione stanowczości i dojrzałości politycznej. Nie mówi nam wszakże autor, ile w tem systematycznem ograniczaniu idei monarchicznej było starych przesądów, a ile

[1] „Ostatni rok Sejmu wielkiego“. Kraków. 1896. Cfr. recenzyę Br. Dembińskiego. *Kwart. hist.*, t. XII, zesz. I, str. 164—168.

nowych, obcych wpływów, czy *liberum veto* i *pacta conventa*, czy też prawa człowieka i kontrakt społeczny burzyły zarys budowy z dnia 3 maja. Malkontenci i posłowie mocarstw, zwłaszcza pruski i rosyjski wszędzie rozsiewali opinię o rewolucyonizowaniu się Rzeczypospolitej; o ile zarzuty są uzasadnione, tego zdaniem recenzenta, prof. Dembińskiego, nie wykonał autor. Wogóle kwestya, jakim wpływom i w jakim stopniu ulegali prawodawcy sejmu czteroletniego, musi być jeszcze raz podjęta, także uwzględnione być muszą stosunki zagraniczne. Studya do tego potrzebne w obcych archiwach poczynił już prof. Dembiński, a rezultatem ich będzie zapowiedziana praca o sejmie czteroletnim.

Dr. K. Krotoski.

Korespondencya Redakcyi.

Od ks. prof. d-ra Fr. Gabryla otrzymujemy następującą:

Odpowiedź na krytykę książki: »System filozofii. T. I. Logika«.

Aby nie dopuścić do tego, iżby ujemny sąd mego krytyka co do wartości pierwszego tomu mego „Systemu filozofii“ miał wywołać uprzedzenie w Czytelnikach *Przeglądu Powszechnego* i co do wartości dalszych tomów, zmuszony jestem odpowiedzieć na krytykę O. Nuckowskiego T. J.[1] i dlatego proszę Szanowną Redakcyę o udzielenie mi gościny w łamach *Przeglądu Powszechnego*.

Na wstępie kilka słów o genezie mej Logiki. Po objęciu wykładów filozofii przekonywałem się z każdym dniem lepiej, iż wykłady łacińskie filozofii nie przynoszą pożądanych owoców. Dlatego w trzecim roku wykładania już po polsku miewałem odczyty z logiki; ale że miałem za wiele godzin wykładowych, nie zawsze przeto miałem czas samodzielnie opracować wszystkie kwestye w skład logiki wchodzące. To wiem, że słuchacze z tej zamiany języka wykładowego byli niezmiernie zadowoleni; nasunęła się atoli nowa trudność: nie mieli się z czego przygotować do egzaminu. Chciałem i tej niedogodności zaradzić i zabrałem się w czasie zeszłorocznych feryj do napisania podręcznika. Miałem atoli tyle zaledwo czasu, by obrobić większą połowę materyału: kiedy więc rozpoczynały się wykłady a podręcznik nie był gotowy, zamierzałem dać słuchaczom litografowane wykłady. Wobec faktu, że wszystkich słuchaczów logiki było zaledwo 8 a później 10, musiałyby litografie, a tem więcej jeszcze notatki, jako manuskrypt drukowane, wypaść bardzo drogo; ulegając więc prośbom słuchaczów, postanowiłem mimo niewykończenia oddać manuskrypt do druku, a zaznaczyć w przedmowie, że drukuję swoje wykłady. Trzecia więc część Logiki wzięta została z dawniejszych notatek, a że kończyłem ją wtedy, gdy wskutek zastępstwa chorego profesora dogmatyki miałem 15 godzin wykładów — co jak na uniwersyteckie stosunki jest stanowczo za wiele — więc nie było czasu dla sprawdzania pochodzenia, a tem mniej opracowania samodzielnie niektórych paragrafów. O tem wszystkiem krytyk nie miał obowiązku wiedzieć, ale pragnę, by wiedzieli Czytelnicy *Przeglądu*

[1] *Przegl. Powszech.* 1899. Zeszyt z kwietnia, str. 97.

Powszechnego. Jestem więc szczerze zobowiązany krytykowi, że tak skwapliwie pozaznaczał paragrafy, które przy drugiem wydaniu mają być opracowane samodzielnie. Swoją drogą i krótsza wzmianka ze strony szanownego krytyka byłaby wywarła ten sam skutek, mianowicie, że wyżej cenić należy honor profesorski, aniżeli korzyść i wygodę uczniów.

W swym zapale wyszukiwania tekstów przystających zrobił mi O. Nuckowski zarzut i co do § 2 str. 236 mimo najwyraźniejszego zaznaczenia w tekście ich źródła. Przecież niepodobieństwem jest pod każdym wyrazem zaznaczać autora zapożyczonej myśli, zwłaszcza jeżeli ustęp jest dłuższy. Niedawno czytałem w *Przeglądzie Powszechnym* bardzo dobry artykuł o wątpliwości w wierze; autor tego artykułu obficie czerpał swe myśli z książki Schmida: *Erkenntnislehre*, ale najzupełniej mu wystarczyło zaznaczyć źródło raz czy dwa razy. W przepysznych „Wieczorach nad Lemanem“ rozbiera zasłużony autor zarzut, iż kraje, wyznające katolicką wiarę, są w upadku, a zaś protestanckie posiadają potęgę i dobrobyt; ten sam zarzut i podobną odpowiedź znaleźć można w książce Bougauda wcześniej wydanej; a czyż myśli ktoś o robieniu zarzutów nieoryginalności autorowi „Wieczorów nad Lemanem“, dlatego, iż tu i tam się znajduje podobną odpowiedź na podobne zarzuty? Tę ostatnią uwagę robię dlatego, by osłabić zarzut O. Nuckowskiego co do zależności od Rabiera w V. rozdz. Logiki. Wytknięty tamże błąd: *prodromus systematis naturalis historia* — jest sobie zwykłym błędem drukarskim, jakich kilka szanowny krytyk wyszukał, gdyż w notatkach mam zupełnie poprawnie napisane źródło, na które się powołuję. Owym chochlikiem, o którym przy tej sposobności wspomina krytyk, to student, który notatki moje przepisywał. Nie chcę też przypuszczać, że O. Nuckowski rozwodnił ten zarzut jedynie dlatego, żeby się popisać ze znajomością literatury botaniki.

Natomiast z całą stanowczością odeprzeć muszę zarzut, zawarty w słowach O. Nuckowskiego: „najbardziej ów brak całkowitego opanowania przedmiotu objawia się w tych miejscach, gdzie autor nie znalazł przygotowanych i wypróbowanych zasilków w zwyczajnych podręcznikach neoscholastycznych, gdzie chce czytelnika wprowadzić w rzecz samą i wyjaśnić mu jej naturę“. To, nad czem już od długiego czasu przemyśliwałem, by możliwie jak najjaśniej wyrazić, a zarazem pogłębić naukę scholastyczną o pojęciach, sądach, indukcyi, już ma być nic niewartające, bo to nie zostało oparte na wypróbowanych podręcznikach neoscholastycznych! Wejdźmy bliżej w szczegóły.

Krytykowi nie podoba się przedewszystkiem określenie pojęcia jako zbioru istotnych znamion jakiegoś przedmiotu i pyta się: „czy zgodzi się na to określenie którakolwiek szkoła filozoficzna?“ Czemuż też krytyk nie był łaskaw wskazać lepszego określenia istoty pojęć? Chętnie poszedłbym za niem. Na pytanie zaś, która ze szkół filozoficznych zgodziłaby się na podane przezemnie określenie pojęcia, muszę i ja zapytać się szan. krytyka, co też scholastycy zwykli zawierać w swych *quidditates?*

Stąd zaś, że szan. krytyk „nie umie pokazać“ warunków przezemnie dla pojęć żądanych na „wielu pojęciach, zwłaszcza w ścisłem znaczeniu słowa oderwanych“, jeszcze chyba nie wynika, że moje określenie pojęcia jest godne, mówiąc językiem krytyka, „paleontologii filozoficznej“. Zarzut krytyka, jakobym przy omówieniu istoty sądów mieszał pojęcia z wyobrażeniami, pochodzi najwidoczniej z pobieżnego przeczytania odnośnego paragrafu, bo sfera jednych i drugich, jak np. str. 104, jest chyba nadto jasno rozgraniczona Pyta się dalej krytyk, czy określenie sądów jako aktu psychicznego, w którym oznaczamy treść jednego pojęcia przez inne, da się odnieść do sądów podciągających i warunkowych? Ależ właśnie dlatego, aby i wspomniane kategorye sądów mogły być podciągnione pod ogólne określenie sądu, rozszerzyłem zaakceptowaną przezemnie definicyę sądu podług Überwega. Lecz choćby nawet podane na str. 108 określenie sądu było jedynem mem określeniem sądu, jeszcze byłoby ono lepsze, aniżeli

scholastyczne *operatio intellectus, secundum quam componit et dividit affirmando et negando,* bo to dopiero określenie jest równocześnie i za ciasne i za obszerne i „da się naciągnąć do bardzo wielu pojęć złożonych".

Pozwolę sobie także grubo wątpić, czy kwestya o łączniku w sądzie jest, jak twierdzi szan. krytyk, najważniejszą kwestyą z logiki formalnej; o ile mój krytyk chciał przez to zaznaczyć swe zapatrywanie, spierać się z nim nie mam racyi; podług mnie, a nie mylę się twierdząc, że i podług największej części logików, jest w logice mnóstwo ważniejszych, bo dla nauki żywotniejszych kwestyj, wobec których rzecz o łączniku w sądzie dość podrzędne zająć musi miejsce. Została ona zresztą, choć pobieżnie, ale dostatecznie i jasno wyłożona.

Przejdźmy do podziału w sądach. Przyjąłem podział sądów, wprowadzony przez Kanta. Krytyk robi mi zarzut, żem nie wspomniał, iż „u Kanta są to tylko wyróżnienia czysto subjektywnych, apryorycznych funkcyj sądzenia". Czyż na wzmiankę o Kancie zaraz miałem *per longum et latum* wyjeżdżać z krytyką jego teoryi poznania? Czyż nie dość czasu na to w noetyce? Czyż zresztą i podział scholastyczny sądów nie zawiera wcale „wyróżnień czysto subjektywnych"? Że jest ten ostatni podział mniej przejrzysty, aniżeli podział sądów według Kanta, na to wiele słów tracić nie potrzebuję; wykazałbym to graficznie, gdybym się nie bał nadużyć gościnności w *Przeglądzie.* Obok podziału sądów według ilości, jakości, stosunku i modalności musiałem umieścić i sądy analityczne wraz ze syntetycznemi, skoro raz przyjąłem podział według Kanta.

Dalej O. Nuckowski zarzuca mi, że sądy kategoryczne wliczyłem między sądy złożone; otóż twierdzę, że ten zarzut jest bezpodstawny, bo na str. 124 pod paragrafem zatytułowanym: „O sądach złożonych" najwyraźniej w świecie powiadam: „Sąd zawarty w p o j e d y n c z e m zdaniu orzekającem, zwie się sądem kategorycznym". Gdyby szan. krytyk mniej pobieżnie był ten paragraf przeczytał, nie byłby, sądzę, podniósł tego zarzutu. Lecz choćbym nawet i był zaliczył sądy kategoryczne do złożonych, jeszcze obowiązkiem krytyka było wykazać, że moje racye są fałszywe, bo ktoś, co przeczyta zarzut, a nie zna się na logice, gotów pomyśleć, że Bóg nie wie jak straszne palnąłem głupstwo.

Omawiając indukcyę, nie rozgraniczałem wyraźnie roli rozumu i doświadczenia, ani też nie rozebrałem wystarczająco ważnej kwestyi, na jakich podstawach opiera się siła indukcyi; uczyniłem to dlatego, że pytania te należą do noetyki, która badać ma wartość poznania i jego źródeł. Zaznaczyłem to wyraźnie, krytyk wszelako przeoczył uwagę. Wiem w końcu doskonale, że pierwszy tom „Systemu filozofii" nie jest arcydziełem, bo wśród bardzo niekorzystnych warunków ujrzał światło dzienne, ale jednakże wolałbym już był, iżby szan. krytyk żadnej z „wątpliwości, jakie się mu nasunęły", nie był pominął, a wszystkie jasno przedłożył.

Byłoby to zawsze lepsze, aniżeli kazać się czytelnikowi krytyki domyślać Bóg miły wie jak strasznych zarzutów i przez to szkodzić zarówno książce, jak i autorowi. O to, czy lepiej oddawać łaciński wyraz: *accidens* przez: przymiot, czy też przypadłość, nie warto sporu prowadzić, gotów jestem nawet pójść za radą krytyka; przyznaję także, że *principium contradictionis* winno być, ściśle biorąc, tłumaczone przez: zasada sprzeczności: jednakże bardzo często spotykałem także w polskich pismach i zasadę: przeciwieństwa. Czy wreszcie lepiej jest mówić: jednoliścienny, dwuliścienny, jak chce szan. krytyk, czy też: jednolistny, dwulistny, jak to ja uczyniłem, o tem sąd muszę zostawić kompetentniejszym sędziom od mego krytyka. To mogę zaręczyć, że ś. p. Lucyan Malinowski niesłychanie się gniewał na sposób pisania: „dwu- i jednoliścienny", jakiego użył krytyk, a kazywał pisać osobno: dwuliścienny, i osobno: jednoliścienny.

Ks. Franciszek Gabryl.

Druk ukończono 28 kwietnia 1899 r.

U STÓP SFINKSA.

Zdarzyło mi się, zbiegiem okoliczności niespodzianym, stanąć u stóp piramid.

W punkcie stanowiącym poniekąd węzeł Egiptu, gdzie kraj ten przestaje się wić zielonym wężem wśród pustyni i rozgałęzia się w szeroką Deltę, stanęło kilka najwyższych piramid. Szczyty ich szczerbate wybijają się z wyżyn piasku namiecionego z puszczy libijskiej, i opowiadają następującym po sobie ludom i cywilizacyom potęgę tych Faraonów, których dzieła ni lat tysiące, ni chciwość ludzka zwyciężyć nie zdołały — i opowiadają ogromną ich aspiracyę do nieśmiertelności, wyrażoną naiwnie i brutalnie tym szalonym wysiłkiem, by zwłoki swe nieskażone zachować.

Piramidy przemawiają do widza silnie, tym językiem rzeczowym, którego siła nie da się w oderwanem opowiadaniu przetłumaczyć. Ale jeszcze coś więcej jest poza piramidami.

Jedziemy jeden za drugim, na wielbłądach, kołyszących się jak łodzie. Sylwetki nasze, w świetle księżycowem, podobne są do tych, które przed tysiącami lat tędy się przesuwały. Jesteśmy gdzieś ponad czasem. Wtem wychyla się przed nami z piasku jakaś bezkształtna skała, w której się niczego nie domyślamy. To sfinks, widziany z tyłu. Objeżdżamy powoli, dokoła, coraz niżej. Dopiero zjawia się nam, wprost oświecona księżycem, twarz sfinksowa. Twarz ta, na którą dziś patrzą przez lornetki

bezmyślni turyści, dziwny czar wywierała na ludzkość od niepamiętnych czasów. Greków intrygowała tajemnicza badawczość jej wejrzenia, tak dalece, że ze sfinksa zrobili symbol najgłębszych zagadnień. A i dla samych Egipcyan sfinks miał, jak się zdaje, coś tajemniczego. Czcili go oni z pewną bojaźnią; zdrobniałe, a w późniejszych czasach i zniewieściałe jego podobizny odtwarzali, by niemi obwarować wejścia do swych świątyń i grobów. Ale, kiedy to wielki sfinks powstał? kto go zrobił? o tem podobno sami pamięć zatracili. W każdym razie, kiedy piramida Cheopsa, tuż obok stojąca, się budowała, temu pięćdziesiąt wieków, wtedy już sfinks był. Najdawniejsze pomniki egipskie — a więc najstarsze ludzkości pomniki — zapisują istnienie sfinksa, żaden z dotąd znanych o jego początku nie wspomina.

Patrzymy na tę twarz z uwagą rosnącą. Widzimy ją w świetle księżyca bardzo dobrze, lepiej nawet niż w blasku dziennym — nie dla tego, jakby się może komuś zdawało, że noc puszcza wodze wyobraźni, ale dla tego, że słońce afrykańskie tak ostro uwydatnia fatalne otłuczenia tej twarzy, że przeszkadza rozeznać prawdziwe jej linie i kształty; w łagodnem zaś świetle wielkiej lampy pustyni dobrze się te prawdziwe linie widzi i łatwo się całość uzupełnia. Szyja i broda, najmniej uszkodzone, są prześlicznie modelowane. Policzki, czoło, przypominają znany typ memfickich Faraonów; ale jest to postać szlachetniejsza od nich, bardziej myśląca; nie znać w niej tej twardości kolosów starego państwa; niema też śladu tego uśmiechu konwencyonalnego, który widać na posągach późnych dynastyj; jest raczej wyraz smutku i tęsknoty.

Mimo swej nadzwyczajnej starości, nie jest to jednak, jak słusznie uważa Maspero, dzieło sztuki poczynającej. Póki się nie zna sztuki egipskiej inaczej, jak z zabawek poustawianych w europejskich muzeach, jest się skłonnym całą tę sztukę uważać za poczynającą i brać niezgrabność i błędy perspektywy za charakterystyczne jej cechy. Ale kiedy się trochę obcowało z jej właściwemi utworami po świątyniach, po hipogeach, widzi się, że to jest sztuka, daleka wprawdzie bardzo od naszych nawyknień, ale swoją drogą pełna życia, realizmu, silnej indywi-

dualności, łącząca te przymioty z szczególną szlachetnością form, a często z wdziękiem i delikatnością. Widzi się punkt kulminacyjny tej sztuki, przypadający na czasy, które były też, jak się zdaje, zenitem politycznego rozwoju tego państwa, na czasy Setiego I. i Ramzesa II. Widzi się potem jej powolny upadek, zmanierowanie, zatracenie indywidualności i prawdy. Kiedy wreszcie duch grecki przyszedł wlać w nią swój boski rytm, w epoce aleksandryjskiej, to już była ona od wieków pogrążona w rutynie i banalności — i podźwignąć się nie dała. Ale, rzecz szczególna, peryodu poczynającej sztuki egipskiej nie znamy wcale. Tych prób niezgrabnych i naiwnych, zdradzających nieznajomość kształtów natury i środków sztuki, których tyle pozostało z wieków średnich, których dużo dziś wykopuje się w Peloponezie, z archaicznej epoki greckiej — tych prób Egipt nam nie zostawił — chyba, że takie twory, które przecież istnieć musiały, jeszcze kryją się pod piaskami; albo może sam Egipt, ucywilizowany, wstydził się ich i wyniszczył je do szczętu [1]. W każdym razie sfinks, najstarszy ze znanych nam dzieł, nie zdradza nic z tych cech archaizmu i niepewności dłuta. Owszem okazuje on sztukę pewną siebie, która bez wahania i bez błędu, mimo niezmiernej trudności leżącej w naturze takiego przedsięwzięcia [2], wykuła ze skały ten kolos, na który z podziwem patrzą pokolenia...

Ale jakaż myśl tkwi w tym sfinksie? Że myśl w nim tkwi, o tem kto go widział wątpić nie może — podobnie jak kto widział florenckiego *Pensieroso* Michała Anioła, wątpić nie może, że on myśli — tylko dręczyła się, jak już wspomniałem, od niepamiętnych czasów ludzkość pytaniem: jaka jest ta myśl sfinksa? Może być, że dla starożytnej ludzkości to pytanie było bardziej nierozwiązalne, niż dla dzisiejszej. W niej tkwiły wielkie nieuświadomione aspiracye — my widzimy początkowe przynaj-

[1] Mamy dowody, że w pewnych razach późniejsi Faraonowie kładli swoje napisy na zatartych pomnikach przeszłości.

[2] Jeżeli kto sobie wystawia, że aby zrobić kolosalny posąg, wystarcza pomnożyć rozmiary małego, ten się grubo myli. Obserwacya arcydzieł egipskich może go o tem przekonać.

mniej tych aspiracyj zrealizowanie. Sfinks, lwiem ciałem swojem z głową ludzką, wyraża doskonale ludzkość z dwoistością jej natury: zwierzęcą siłą, leżącą na ziemi, dzierżącą ziemię drapieżnemi łapami — i potęgą duchową, myślącą, patrzącą w górę. Głowa tej postaci nie tylko jest wyprostowana, ale pochylona jest trochę w tył; patrzy ona wyraźnie ponad miastami, które się u jej stóp ścielą, ponad światem, na nieboskłon. Patrzy prosto na wschód, gdzie słońce wejdzie — to słońce, które symbolizowało zawsze i wszędzie, zwłaszcza zaś u starych Egipcyan, duchowe światło wiedzy, a raczej źródło tego światła. Wejrzenie to jest, jak mówiłem, myślące, ale jest też i smutne, i tęskne, chwilami się zdaje, że jest błagalne, do modlitwy podobne. Wobec tego wejrzenia wątpić nie można, że sfinks nie myśli o tem, o co się spierają ludzie w pobliżu, nie myśli o pytaniach, jakie mu stawia egipski władca, lub sofista grecki; ale myśli o tem, o czem myśli od początku ludzkość w myślącej części swojej, w głowie swojej: o najważniejszych zagadnieniach, od których ona i świat zawisły. A będąc mędrszym, głębszym od greckiej Pallady, nie czuje się sfinks pewnym siebie, jak Pallada, nie znajduje w tem myśleniu pogody, uspokojenia, szuka poza sobą, na nieboskłonie, wzywa światła z nieba... zdaje mi się powtarzać korne Platona westchnienie: Chyba ktoś z nieba przyjdzie nauczyć nas!...

I otóż ten oczekiwany *Oriens* przyszedł i oświecił planetę naszą. Wszystkie zagadnienia, najwyższe przynajmniej i najżywotniejsze, o których myślisz sfinksie, są już rozwiązane. Czemuż jeszcze patrzysz w dal tem samem badawczem i tęsknem wejrzeniem?... Prawda, ty jesteś ze skały, ty wyrazu jaki ci nadała starożytność, zmienić nie możesz; ale czemuż tak wielka część dzisiejszej ludzkości, patrzy dalej tym samym sfinksowym wzrokiem — jak gdyby była od dwóch tysięcy lat skamieniałą...? Ocknijże się! i otwórz oczy, nowożytny sfinksie!

Ks. M. Morawski.

MICKIEWICZ I PUSZKIN JAKO BAJRONIŚCI.

Dwaj najwięksi poeci Słowiańszczyzny, o kilka miesięcy ledwie różniący się wiekiem, żyli i rozwijali się wśród tych samych prądów, które w owym czasie przenikały z Zachodu na Wschód Europy. Nie każda jednak fala umysłowa, płynąca z Zachodu, jednakowo silnie potrącała dusze obu poetów. Tak np. wpływ Goethego z równą prawie siłą występuje w poezyi polskiego i rosyjskiego poety, ale poezya Schillera, która tak silnie oddziaływała na Mickiewicza, dla Puszkina pozostała niemal zupełnie obojętną; i na odwrót Andrzej Chénier, którego poezya opiewająca wolność i miłość zmysłową w taki zachwyt wprawiała Puszkina, którego on naśladował i nazywał swoim mistrzem, najmniejszego śladu wpływu nie zostawiła w poezyi Mickiewicza.

Falą, która najsilniej zatrząsła duszami tych dwóch genialnych poetów, była poezya Bajrona. Ale choć siła wstrząśnienia była prawie równa, rodzaj wstrząśnienia był inny, inne struny zagrały pod uderzeniem tej fali, a różnica zachodząca w tym względzie między dwoma najznakomitszymi poetami Słowiańszczyzny, jest może najbardziej charakterystyczną; poznanie jej pozwala sięgnąć głęboko w duchowy nastrój tych poetów, a pośrednio i w duchowy nastrój społeczeństw, które ich wydały.

I.

Rzecz to wiadoma, że poezya Bajrona daleko potężniejszy wywierała wpływ za granicami Anglii, niż we własnej ojczyźnie

poety. Daleko bardziej rodzimym, angielskim, wielkobrytańskim, był Walter Scott, i jego poezya i powieść daleko większy budziła zapał w jego ziomkach, niż poezya Bajrona. Walterskotyzm był jedną z gałęzi romantycznego prądu, którego główne źródło biło w Anglii; jak wogóle w romantyzmie, tak i w walterskotyzmie w szczególności, był zwrot od filozoficznej literatury XVIII. w., ku rycersko-chrześcijańskim ideałom wieków średnich. W walterskotyzmie była miłość dla tej przeszłości średniowiecznej, którą wyśmiał i potępił wiek oświecony, a w szczególności główny jego przedstawiciel Wolter, i walterskotyzm, jak wogóle romantyzm, zwracając narody europejskie do ich przeszłości, budził w nich zarazem miłość ku niej.

Bajronizm a raczej sam Bajron, miał z romantycznym kierunkiem jedną cechę wspólną, bardzo wybitną, mianowicie ducha rycerskiego. Podczas gdy Walter Scott malował rycerzy średniowiecznych z miłością epika, Bajron sam we własnej osobie przedstawiał skończony typ rycerski. Możnaby powiedzieć, że to był błędny rycerz średniowieczny, szukający po świecie wrażeń, przygód i walki w obronie swoich ideałów, ale błędny rycerz nic a nic niepodobny do tego typu, który unieśmiertelnił Cervantes w swoim „Don Kichocie“, ani do tych błędnych rycerzy, których poezya romantyczna wskrzeszała z grobów. „Don Kichot“ był zakochany w przeszłości, która mu się przez pryzmat romansów rycerskich przedstawiała, i nie widział wcale teraźniejszości. Bajron nie był zakochany w przeszłości i nie miał ochoty wpatrywać się w nią, jej ideały nie wystarczały jego bujnemu indywidualizmowi. Teraźniejszość, i owszem, dobrze widział, ale na to tylko, aby nią pogardzać i z nią walczyć; tylko przyszłość mogła go nęcić, jako sfera mglista, niejasna, pozwalająca na swojem tle zarysowywać niewcielone jeszcze ideały, niezisziczone marzenia. Kiedy zatem Walter Scott, przedstawiciel czystego romantyzmu, prowadził w wieki średnie i odświeżał ich ideały, Bajron rwał się i porywał za sobą w daleką, niejasną sferę przyszłości.

Któż był Bajron? Skąd pochodziła różnica między bajronizmem a romantyzmem? Romantyzm był przedewszystkiem

reakcyą przeciw francuskiemu klasycyzmowi i przeciw duchowi XVIII. w., przeciwko jego kultowi rozumu; bajronizm zaś nie był bezwzględną negacyą wieku XVIII., był raczej jego spadkobiercą. Bajron, podobnie jak Goethe, wziął spadek po dwu pisarzach filozoficznych, którzy największy wpływ wywarli na literatury europejskie wieku XVIII., a reprezentowali kierunki wręcz sobie przeciwne: po Wolterze i Rousseau. Tylko spadek ten, dostając się w ręce ludzi tak mało do siebie podobnych, użyty został w zupełnie różny sposób. Goethe nas tu nie obchodzi, więc go pomijam; co się tyczy Bajrona, w nim wpływy Woltera i Russa, są bardzo wyraźne. Bajron wykształcił się na Wolterze, przejęty był uszanowaniem dla wszechstronności jego umysłu, wciągnął w siebie jego sceptycyzm, a wolterowski cynizm, musiał mu się podobać, skoro odezwał się tak głośno w „Don Juanie". W „Pielgrzymce Childe-Harolda", nazywał go uosobieniem niestałości i ognia, kapryśnem dziecięciem, ale to nie była nagana, i owszem Bajron wielbił zmienność, zwinność i ruchliwość genialnego Proteusza, naraz historyka, poety, filozofa, z kolei wesołego i poważnego, mądrze rozumującego i szalonego, wielbił jego broń ulubioną, śmieszność, której nic oprzeć się nie mogło i przypisywał mu nawet to, co zostawało w rażącej niezgodzie z charakterem największego z dworaków między poetami, chęć zachwiewania tronów [1].

Ale z temperamentu, z wrodzonych usposobień, uczeń nie był wcale podobny do swego nauczyciela; to też nie mógł poprzestać na płytkiej filozofii mistrza, która zalecała drwić ze świata i prowadzić wygodne, epikurejskie życie. O ile w krytyce, w sceptycyzmie szedł Bajron za swoim mistrzem, o tyle w ideałach stanowczo różnił się od niego. W Wolterze nie było ani krzty rycerskiego, bohaterskiego ducha, pomimo iż w ciągu długoletniego swego zawodu pisarskiego, toczył nieustanną walkę; motywem walki była zwykle próżność, szukanie rozgłosu, popu-

[1] but his own
Breathed most in ridicule, — which as the wind
Blew where it listed, laying all things prone —
Now to o'erthrow a fool, and now to shake a throne.

larności, czasem chęć zysku lub zemsty osobistej. Wolter jako człowiek jest niesłychanie brzydki. W Bajronie była naturalnie chęć sławy, granicząca z próżnością, ale obok tego tęsknota do nieokreślonych, przeczuwanych tylko, ale wyższych ideałów, wyższych od wolterowskiego epikureizmu, i wewnętrzna żądza walki w imię tych ideałów, żądza, kierowana tą tęsknotą, a źródło mająca w niesłychanie bujnym indywidualizmie poety, tem bujniejszym, że warunki zewnętrzne — bogactwo, uroda, arystokratyczność pochodzenia — sprzyjały jego rozwinięciu się.

Sam Bajron spostrzegał po części tę różnicę pomiędzy sobą a Wolterem, gdy pisał w „Don Juanie“ (Canto V. strofa 30—32):

„Kiedy obiad cięży na żołądku, sądzę, że to jest najsmutniejsza godzina, ze wszystkich dwudziestu czterech godzin, z których się składa smutny dzień człowieka. Voltaire utrzymuje, że nie; on powiada, że Candide znajdował życie znośniejsze po jedzeniu, ale myli się. Jeżeli człowiek nie ma się stać wieprzem, pełność żołądka przyczynia mu jeszcze smutku; jeżeli jest pijany, to co innego, bo nie czuje ciążenia głowy, dopóki mu się w niej kręci. Pod względem jedzenia jestem tego zdania, co syn Filipa, albo raczej Ammona... Myślę, zgodnie z Aleksandrem, że akt jedzenia wraz z dwoma czy trzema innemi aktami daje nam uczuwać podwójnie naszą naturę śmiertelną“.

Jeżeli pod niejednym względem Bajron był o wiele podobniejszy do syna Ammona, niż do autora Kandyda, to znów były inne różnice między nim a Wolterem, które go zbliżały do Russa. Przedewszystkiem posiadał Bajron bogatą uczuciowość, to jest to, co było główną siłą Russa, a czego Wolter był prawie zupełnie pozbawiony. Ta uczuciowość pociągała go ku autorowi „Nowej Heloizy“. W tej samej trzeciej pieśni „Childe-Harolda“, gdzie złożył hołd Wolterowi, poświęcił kilka strof pełnych uniesienia jego wielkiemu przeciwnikowi, nazywając go apostołem melancholii, który potrafił malowanej przez siebie namiętności nadać czarodziejski urok, a którego serce płonęło ogniem miłości dla ideału kobiecego, nie znalezionego w życiu, a tylko wyobraźnią wcielonego w postać Julii. W nim też przedewszystkiem widział herolda wolności, który zbudził drzemiący lud fran-

cuski. Z Russa zaczerpnął Bajron pogardę dla cywilizacyi, której Wolter był najgorliwszym wyznawcą, dla obłudy stosunków ludzkich, w której Wolter był mistrzem nad mistrzami; zaczerpnął wynoszenie stanu, zbliżonego do natury, z którego Wolter dowcipnie się wyśmiewał, wreszcie zamiłowanie w piękności przyrody, dla której Wolter nie miał ani na włos zmysłu. Krótko mówiąc, z Woltera wziął Bajron sceptycyzm religijny, ironię i cynizm, z Russa zwrot do natury, i do szczerości uczucia, a te dwa prądy zlały się w nim na tle jego indywidualizmu, którego główną cechą była żądza walki. Stądto poezya Bajrona jest niezmiernie bogatą, to jest posiada wielką rozmaitość tonów, stądto, kojarząc w sobie prądy tak przeciwne, jest niezmiernie burzliwą, niespokojną, wreszcie ta okoliczność, że Bajron był spadkobiercą dwóch wielkich pisarzy francuskich, których dzieła znane były w całej Europie, objaśnia nam to pytanie, dlaczego Bajron tak wielki i tak rozmaity wpływ wywarł na lądzie europejskim, podczas gdy w samej Anglii poezya jego daleko mniej zostawiła śladów.

O jednej jeszcze rzeczy trzeba koniecznie pamiętać, mówiąc o bajronizmie. U Bajrona życie było dalszym ciągiem, dopełnieniem jego poezyi; przez bajronizm należy rozumieć nietylko poezyę, ale i tradycyę bajrońską, szczególnie tradycyę ostatnich lat życia poety, w której występował on w dwojakim charakterze: jako rycerz walczący za wolność ludów i jako bohater awantur miłosnych. Ta tradycya działała zarówno silnie, jak i poezya jego, potęgowała wpływ tej ostatniej i służyła dla niej komentarzem.

Powiedziałem, że poezya bajrońska posiada wielką rozmaitość tonów. Wprawdzie poeta we wszystkich swoich utworach siebie tylko maluje, pod względem objektywizmu jest przeciwległym biegunem Szekspira — ale za to jego własne uczucia mają niezmiernie szeroką skalę. Melancholia, poczucie znikomości życia, przesyt, pogarda dla świata, objawiająca się w ironii lub cynizmie, miłość natury, miłość wolności, wreszcie żądza walki, która to przybiera cechy demonizmu, kiedy zdaje się nie mieć innych celów, prócz niszczenia; to znów staje się tytanizmem,

prometeizmem, gdy poeta w poczuciu nieszczęśliwego stanu ludzkości wyższym potęgom rzuca rękawicę: oto jaka obfitość i rozmaitość tonów w poezyi Bajrona. I jeszcze jeden ton można wymienić, bardzo ważny, pod względem echa, jakie znalazł w obcych poezyach, ton, który możnaby nazwać donjuanizmem. Jest to pewnego rodzaju jeżeli nie apoteoza, to przynajmniej apologia zmysłowości, która zbliża Bajrona do Woltera i wogóle do poezyi francuskiej XVIII. wieku; różnicę stanowi to, że ta apologia u Bajrona łączy się z uczuciem przesytu, którego w poezyi francuskiej nie znaleźć.

Autor najnowszej książki polskiej o Bajronie [1], bierze go w obronę, utrzymuje, że poeta w „Don Juanie“ najściślej odgraniczał siebie od bohatera, że występował tylko w roli jego pobłażliwego biografa i ubolewa, że na tym przedmiotowym stosunku poety do bohatera nie poznali się ani czytelnicy, ani naśladowcy, i że upatrywano w „Don Juanie“ mylnie apoteozę zmysłowości. — Otóż ta obrona nie jest przekonywająca. Bajron wprawdzie nie zrobił z Don Juana tytanicznego bohatera, ale ostatecznie przedstawił go na tle powszechnego zepsucia w taki sposób, że zjednywał dlań sympatye czytelnika i że poemat jego stawał się niejako apologią rozwiązłego życia. Wreszcie, że pomiędzy Don Juanem a poetą zachodził nie czysto przedmiotowy stosunek, to wskazuje już ta okoliczność, że „Don Juan“ urodził się w czasach największego nurzania się Bajrona w rozwiązłych stosunkach i że Don Juana obdarzył poeta wielu własnemi przymiotami [2].

II.

Puszkin wrażliwy był na różne tony bajronizmu (choć nie na wszystkie), ale ze wszystkich najgłośniej odezwał się w duszy

[1] Maryan Zdziechowski, „Byron i jego wiek“. 2 tomy. Kraków 1894 i 1897 r.

[2] Porównaj moją recenzyę książki p. Zdziechowskiego w *Kwartalniku Historycznym* 1898, t. IV, p. t.: „Bajronizm w literaturach słowiańskich“, str. 800—817. Na tem miejscu zaznaczam, że niektóre ustępy tej recenzyi przeszły do niniejszej rozprawy po części ze zmianami, po części bez zmiany.

i poezyi jego ton, który nazwałem donjuanizmem. Całe jego wychowanie domowe i szkolne, wszystko to, w co wczytywał się w bibliotece ojcowskiej i licealnej i co naśladował w pierwszych próbach poetyckich, i Molier i Wolter i Parny, jego marzenia szkolne o błyszczącej karyerze huzara z cygarem w zębach, jego udział w hulankach towarzystwa „Zielonej lampy", jego poemat młodzieńczy „Rusłan i Ludmiła", wszystko to wymownie świadczy, że młodzieńcze ideały Puszkina były pokrewne postaci bajrońskiego Don Juana. W poezyi Bajrona znajdował Puszkin swój dawny ideał, tylko przeobrażony i nowym urokiem odziany, w nowem oświetleniu, na tle gryzącej satyry, a przedewszystkiem na tle przesytu i pogardy dla świata,— i właśnie taki donjuanizm to był najsilniejszy węzeł, łączący Puszkina z Bajronem, to był pomost między dwiema naturami mało do siebie podobnemi.

Puszkin zaczął podlegać wpływowi Bajrona jeszcze wtedy, kiedy Mickiewicz głęboko był pogrążony w germanomanii. Znamy dokładnie okoliczności, wśród których Puszkin spotkał się po raz pierwszy oko w oko z poezyą twórcy „Childe-Harolda". Było to w r. 1820, w parę miesięcy po wyroku skazującym Puszkina za wolnodumne wiersze na wygnanie ze stolic, a bezpośrednio po ciężkiej chorobie, na którą zapadł był już na wygnaniu. Było to na Kaukazie, wśród widoków dzikiej i wspaniałej przyrody, która nowemi, a szlachetnemi wrażeniami orzeźwiła duszę młodego poety, w otoczeniu przyjacielskiej rodziny Rajewskich, której zawdzięczał tę wycieczkę na Kaukaz, a która odznaczała się wielką niezależnością poglądów i wysokiem stosunkowo wykształceniem. Właśnie dzięki tej rodzinie zaznajomił się wówczas Puszkin z poezyą Bajrona. Były dwie panny w rodzinie, z których jedna przez jakiś czas stała się celem westchnień miłosnych Puszkina, i one to uczyły go angielskiego języka na utworach Bajrona. Pierwszym śladem bajronizmu w poezyi Puszkina jest wiersz „Zagasło dzienne światło", który napisał w jesieni tegoż roku na okręcie, gdy po raz pierwszy i ostatni w swojem życiu odbywał podróż morzem z Teodozyi do Krymu. Widać tu wyraźne naśladownictwo „Childe-Harolda", mianowicie

pieśni *Good night my native land* tak pięknie nieco później przełożonej przez Mickiewicza. Niewątpliwie pierwszym utworem Bajrona, z którym się Puszkin zaznajomił, była „Pielgrzymka Childe-Harolda“, i już tutaj, zaraz w pierwszych strofach pierwszej pieśni, znajdował Puszkin to, co go zbliżało do Bajrona, znajdował obraz młodzieńca, „dla którego ścieżki cnoty nie miały powabu, ale który dni przepędzał w grubej rozpuście, a hałaśliwą wesołością dręczył znużone ucho nocy“. W tym obrazie mógł się Puszkin przejrzeć, jak w zwierciedle; była tu jakby jego własna, świeża przeszłość odmalowana. Ale za obrazem przeszłości Childe-Harolda następował obraz późniejszego stanu jego duszy, i to była rzecz zupełnie nowa dla Puszkina, której nie spotykał dotychczas u żadnego ze swoich ulubionych poetów: Woltera, Parny'ego, Chénier'a, ani nie uczuwał we własnej duszy — obraz przesytu zmysłowemi uciechami i melancholii, tęsknoty do czegoś lepszego i wyższego nad to, co świat daje. — Ten nowy rys w obrazie, w którym poeta znajdował tyle podobieństwa do siebie, uderzał go, podobał mu się, otwierał nowe horyzonty, i pobudzał do naśladownictwa. W wierszu „Zagasło dzienne światło“ odzywa się ton melancholii bajrońskiej, ale niema tu jeszcze nic samodzielnego, jest to tylko waryacya na temat pierwszych strof Childe-Harolda i nic więcej.

Mało samodzielności ma także inny wiersz Puszkina z tegoż roku, zaliczany również do prądu bajrońskiego, wiersz p. t. „Czarny szal“. Puszkin nazwał go pieśnią mołdawską, bo było to nie co innego, jak opracowanie rosyjskie pewnej pieśni mołdawskiej, którą słyszał śpiewaną przez młodą Mołdawiankę, Mariulę, w jednej z restauracyj Kiszyniowa podczas dłuższego pobytu w tem mieście. Znajomość z Bajronem mogła tu odegrać tylko taką rolę, że zwróciła uwagę poety na wschodni koloryt tej pieśni i zachęciła do jej przebrania w rosyjskie dźwięki. Zresztą „Czarny szal“ jest drobiazgiem poetyckim, godnym uwagi tylko z tego względu, że jej motyw, krwawa zemsta miłosna, był jakby zapowiedzią w trzy lata później napisanych „Cyganów“.

Daleko ważniejsze znaczenie w historyi bajronizmu Pu-

szkina mają dwa poematy epickie, zupełnie na wzór powieści bajrońskich zbudowane: „Jeniec kaukaski“ i „Fontana Bagczyseraju“. Pomysł do „Jeńca“ powziął poeta jeszcze będąc na Kaukazie 1820 r., ukończył poemat na początku 1821 r. W pomyśle jego trzeba odróżniać to, co przyniosło Puszkinowi życie, od tego, co mu podała lektura Bajrona, „Jeńca kaukaskiego“ bowiem stworzył Bajron i podróż kaukaska. Ta ostatnia dała obrazy wspaniałej przyrody kaukaskiej, i nawpół dzikiego, nawpół rycerskiego życia górali kaukaskich; Bajron dał charakter bohatera i bohaterki. Bohater, jeniec, jest to blada i bezduszna kopia rozmaitych bohaterów Bajrona, w szczególności Childe-Harolda, człowiek zrażony i przesycony życiem, a szukający natury i wolności, — ale cała ta charakterystyka pozbawiona uzasadnienia psychologicznego, bo Puszkin nie znajdował w sobie jak Bajron, tych uczuć, które malował, ale tylko stroił się w nie, jako w coś, co mu się podobało, o czem sądził, że mu było do twarzy. Bohater — jak to nieraz Puszkinowi wytykała krytyka — szukając wolności, którą jedynie wielbił na świecie, jedzie na Kaukaz, to jest tam właśnie, gdzie nowi zdobywcy przynosili niewolę pierwotnym, swobodnym mieszkańcom gór. Zaskoczony przez jakiegoś Czerkiesa i na arkanie przyciągnięty do aułu, dostaje się w niewolę i w kajdanach musi pędzić życie jeńca. Niewolę znosi obojętnie, przypatrując się górom i życiu górali i wzbudza uczucie silnej miłości w sercu córki tego, czyim był jeńcem. Ale miłość Czerkieski nie znajduje echa w sercu jeńca, bo to serce zajęte już jakąś inną beznadziejną miłością i niezdolne nikogo więcej kochać! Kiedy Czerkieska oświadcza swoją miłość, jeniec poczuwa się do obowiązku wdzięczności odpowiadać jej pieszczotami, ale czyni to na zimno, z przymusem i wreszcie wyjawia jej, że kochać jej nie może, bo kocha inną, że nawet kiedy ją trzyma w objęciach, to myśli o tamtej! Sam tedy jeniec jest prawdziwą karykaturą bajrońskich bohaterów, a to, co mówi o swoich uczuciach skamieniałych, jest frazesem pożyczonym z „Childe-Harolda“, a nie wyrazem własnych uczuć poety, który jednej, silnej, stałej miłości nie zaznał. W końcu bohater pociesza Czerkieskę tem, że jej miłość dla niego prze-

minie, że znajdzie ona kogoś innego, kogo pokocha. Ale miłość Czerkieski silna i głęboka; korzystając z wycieczki Czerkiesów, uwalnia kochanka z kajdan, daje mu wolność i kindżał; jeniec przez wdzięczność chce ją zabrać z sobą, ale ona wiedząc, że nie jest kochaną, nie chce mu towarzyszyć, i każe mu uchodzić samemu, aby mógł szukać tamtej, szczęśliwej. Kiedy zaś jeniec pożegnawszy się z nią, puszcza się wpław przez rzekę na drugą stronę, Czerkieska rzuca się w wodę i tonie.

I bohaterka stworzona jest także na wzór bajroński, ale daleko szczęśliwiej niż bohater. Sytuacyą i energią swoją przypomina Gulnarę, jedną z bohaterek „Korsarza“, która choć dowiaduje się od swego ukochanego, że on kocha inną, przecież wytęża wszystkie siły, ażeby go ocalić. Zresztą, jakkolwiek naśladowanie Bajrona, mianowicie w postaci bohatera, objawiło się jeszcze bardzo niedołężnie, to przecież dodatni wpływ poezyi bajrońskiej objawia się już i w tym poemacie wyraźnie. Puszkin znajdował wprawdzie w Bajronie tony pokrewne swoim młodzieńczym ideałom, tej zmysłowej miłości, którą opiewał w „Rusłanie“ i wielu drobnych utworach młodzieńczych, i te tony najwięcej go pociągały, ale obok nich znajdował wiele innych, które uszlachetniająco działać musiały. Miłość, która przedtem występuje u Puszkina tylko jako zmysłowość i lubieżność, już w „Jeńcu kaukaskim“ w postaci bohatera, a daleko więcej w postaci bohaterki nabiera cech silnej namiętności. Wogóle atmosfera uczuć poety staje się czystszą, myśl jego wyżej się podnosi, poczucie piękna przyrody, które jeszcze niewyraźnie zarysowuje się w „Rusłanie“, tu rozbudzone poezyą Bajrona, a znajdując obfity pokarm dla siebie we wspaniałych krajobrazach Kaukazu, występuje już w całej sile. Ale jeden z najwybitniejszych tonów poezyi bajrońskiej, miłość wolności, cześć dla niej, nie znajduje wyrazu w tym poemacie — pomimo że temat nastręczał sposobność ku temu — albo raczej znajduje wyraz w sposób niedorzeczny. Wspominałem już, jak niedorzecznie wygląda bohater, który wielbiąc swobodę i szukając jej, jedzie na Kaukaz przypatrywać się spokojnie, jak ją zabierają Czerkiesom. Ale jeszcze więcej przeczy liberalnemu kie-

runkowi Bajrona epilog „Jeńca“, gdzie poeta nastraja się niemal na ton Dierżawina i zapowiada, że muza jego opiewać będzie sławne czyny zdobywców Kaukazu, i gdzie wzywa tę twierdzę dzikiej wolności, aby się poddała: „Ukórz się Kaukazie — Jermołow idzie“.

W tym samym roku co „Jeńca“ napisał Puszkin epicki urywek poetycki p. t.: „Bracia rozbójnicy“. Temat do tego utworu podał mu wypadek, który zdarzył się w r. 1820 w Ekaterynosławiu, podczas przebywania jego w tem mieście — mianowicie ucieczka dwóch rozbójników, którzy przykuci do siebie kajdanami, zdołali przez Dniepr przepłynąć. Być może, że Puszkin zwrócił się do tego tematu pod wpływem poezyi bajrońskiej, przedewszystkiem „Więźnia z Chillonu“, ale prócz pewnego podobieństwa w wyobrażeniu cierpień więziennych, niema nic bajronicznego w tym utworze. Inaczej rzecz się ma z następnym z kolei utworem epickim Puszkina. „Fontana Bagczyseraju“ napisana w r. 1822, była podobnie jak „Jeniec“ owocem wrażeń z podróży i wpływu Bajrona i tyleż co „Jeniec“, a może jeszcze więcej, niedołężnem naśladownictwem angielskiego poety. Zwiedzanie Bagczyseraju w Krymie dało Puszkinowi materyał etnograficzny do obrazów i dało mu temat. Jest to ten sam temat, który w trzy lata potem pobudził Mickiewicza do napisania sonetu: „Grób Potockiej“. Było podanie między pospólstwem w Krymie — jak to wiemy od Mickiewicza — że grobowiec zbudowany w guście wschodnim, z okrągłą kopułą, koło pałacu chanów, był wystawiony przez chana Kerim-Giraja dla ukochanej niewolnicy. Tą niewolnicą miała być Polka, jakaś Potocka. Puszkinowi jeszcze zanim zwiedził Bagczyseraj, powtórzyła to podanie Katarzyna Rajewska (ta, do której wzdychał) i opisywała pomnik, nazywając go *la fontaine des larmes*. Zdaje się, że Rajewska zmyliła Puszkina. Wistocie była wówczas (nie wiem czy jest dotychczas) w pałacu chanów i fontanna, z której się jeszcze wówczas sączyła woda, (mowa jest o niej w sonecie Mickiewicza „Bagczyseraj“), ale nie ona była pomnikiem wystawionym dla ukochanej niewolnicy. Puszkin, kiedy zwiedzał pałac chanów, był chory, nie rozpytał się dobrze i stąd

poszło, że wziął fontannę za pomnik wystawiony przez chana i dał taką nazwę swemu poematowi.

Fabuła poematu bardzo krótka. W haremie chana pierwsze miejsce zajmowała Gruzinka Zarema, namiętnie zazdrosna o swoje pierwszeństwo w sercu chana. Tymczasem Tatarzy przywożą chanowi nową zdobycz z wyprawy na Polskę — piękną księżniczkę Maryę — i serce chana ku niej się zwraca. Chan jest tak dla niej łaskaw, że pozwala jej mieszkać w odosobnieniu od haremu, że nie śmie jej dotknąć, choć ciągle myśli o niej. Zarema spostrzega miłość chana, w nocy wkrada się do pokoju Maryi i wzywa ją, aby jej wróciła serce chana, w przeciwnym razie kindżałem ją przebije. Groźba się spełnia i naraz zabrakło w haremie i Maryi i Zaremy; pierwsza zabita, druga obyczajem wschodnim utopiona, a na cześć pierwszej chan każe wystawić fontannę. — Wpływ Bajrona objawia się tu nietylko w samej formie powieści, krótkiej, liryzmem przejętej, gdzie tylko na niewielu osobach i scenach skupione jest światło, nietylko w obrazie haremu, (prawdopodobnie nawet poemat nie jest wcale echem „Don Juana“) ale przedewszystkiem w postaci chana, skrojonej na wzór bajrońskich giaurów, korsarzy, ale skrojonej jeszcze niezręczniej niż „Jeniec“. W charakterystyce chana jest nawet jeden ustęp zupełnie komiczny — na czem się poznawali niektórzy zaraz po ukazaniu się poematu, przedstawiający chana, jak nieraz w zamęcie bitwy podniesie szablę do cięcia, gdy wtem zaskoczy go myśl o Maryi, i chan jakby kamienieje z ręką i szablą wzniesioną nad głową. Zresztą poemat powszechnie się podobał i sprawiał wielkie wrażenie. Co się tyczy samego Puszkina, to ten już w rok po napisaniu „Fontanny Bagczyseraju“ nazywał ten poemat w liście do przyjaciela[1] „lichotą“ *(driań)*, a i w osiem lat potem bardzo krytycznie zapatrywał się na ten swój utwór, stawiał go niżej od „Jeńca“ i z powodu postaci bohatera poematu, takie kreślił uwagi. „Młodzi pisarze wogóle nie umieją przedstawiać fizycznych ruchów namiętności. Ich bohaterowie zawsze wzdrygają się, śmieją się

[1] *Soczinienja A. S. Puszkina.* Petersb. 1887. T. VII, str. 54.

dziko, zgrzytają zębami i t. d. Wszystko to śmieszne, jak melodramat“ [1].

Taki był plon poetyczny z pierwszego okresu bajronizmu Puszkina, kiedy poeta całkowicie opanowany był urokiem poezyi bajrońskiej (*schadił s uma ot Bajrona* — jak sam o sobie powiada [2]), bezkrytycznie ją wielbił, ale nie umiał wnikać w jej głębie, i dążąc za mistrzem swoim, naśladował go li zewnętrznie, powtarzał zewnętrzne cechy jego bohaterów. W drugim okresie, obejmującym dwa lub trzy lata następne, już jest inaczej. Wprawdzie i teraz nie ogarnął on mistrza w całości, niektóre tony Bajrona pozostały dlań obce na zawsze, ale to, co ogarnął, umiał przeniknąć i przyswoić sobie, jako swoją własność duchową. A co ważniejsza, nietylko nie był już ślepym naśladowcą Bajrona, ale nawet gdy w rozwoju swoich utworów z tego okresu spostrzegał przed sobą drogi, które się rozchodziły z drogami mistrza, nie wahał się wstąpić na nie i rozstać się z mistrzem, i stawał się odtąd zupełnie samodzielnym w utworach, poczętych z natchnienia poezyi bajrońskiej.

Takiemi utworami z drugiego bajronicznego okresu poezyi Puszkina są: „Eugeniusz Oniegin“ i „Cyganie“. Początek pierwszego z tych poematów przypada na maj 1822 r., drugiego zaś na grudzień 1823 r., kiedy już były napisane pierwsze dwie księgi „Oniegina“; należałoby więc naprzód mówić o „Onieginie“, potem o „Cyganach“. Ale pisanie „Cyganów“ trwało około dziesięciu miesięcy (do października 1824), pisanie zaś „Oniegina“ przeciągnęło się aż do jesieni 1831 r., tak, że „Oniegin“, jako całość, o siedm lat jest późniejszy od „Cyganów“. To jest powód, dla którego zwrócę się naprzód do tego ostatniego poematu.

Jest to poemat dziwny i silne sprawiający wrażenie. Już samą formą, nawpół epicką, nawpół dramatyczną, różni się od innych powieści poetyckich Puszkina; różni się też i swoją zwartością, skupieniem uczucia, i pod tym względem zbliża się do

[1] Tamże, tom v, str. 121.
[2] Tamże.

jednego z późniejszych utworów Puszkina, do „Miedzianego jeźdźca“, któremu i skądinąd jest pokrewny. Z poprzedniemi powieściami z pierwszego okresu bajrońskiego, z „Jeńcem“, z „Fontanną“, ma wspólny żywioł etnograficzny; jak w „Jeńcu“ są obrazy życia górali, w „Fontannie“ Tatarów krymskich, tak w „Cyganach“ bardzo malowniczo występuje życie cygańskie. Ale poza tem różnica ogromna. Profesor Zdziechowski we wspomnianem już dziele o Bajronie i bajronizmie nazwał ten poemat „ostatnim i najświetniejszym owocem byronowskich zapałów rosyjskiego poety“ i wyraził przekonanie, że tu dopiero Puszkin naprawdę zrozumiał Bajrona i „stworzył bohatera rzeczywiście przerastającego ogół, i pokłóconego z nim, bo oddanego marzeniom, o przyszłem szczęściu ludzkości, wolnej od wstrząśnień, męczeństw i kajdan walki o byt“ [1]. Na to zgodzić się nie można. Prawda, że „Cyganie“ są utworem wyższym, znakomitszym od wszystkich poprzednich utworów Puszkina, i od niejednego z późniejszych, ale tę wyższość nadaje poematowi nie jego bajronizm, nie to, co w poemacie pod zakres tego kierunku wciągnąć można; a w dodatku bohater poematu wcale nie jest takim, jak go autor wspomnianego dzieła charakteryzuje, nie jest człowiekiem marzącym „o przyszłem szczęściu ludzkości wolnej od wstrząśnień“ i t. d.

Ażeby zrozumieć tę postać i to, na czem polega siła tego poematu, jaki jego stosunek do bajronizmu, potrzeba choćby w ogólnych rysach poznać treść jego. Do cygańskiego taboru czarnooka Zemfira przyprowadza jakiegoś człowieka z wyższej sfery, któremu się ona podobała, który się jej podobał i który chce połączyć się z taborem i razem z nim wieść życie cygańskie. To, co ów człowiek mówi na początku o życiu stołecznem, które porzucił, o „niewoli dusznych miast“, to wszystko ma charakter bajronizmu czajdharoldowskiego:

Czegóż żałować? O gdybyś ty znała,
Gdybyś ty sobie wyobrazić mogła,
Dusznego życia miejskiego niewolę.
Tam żyją ludzie ściśnieni śród murów,

[1] „Byron i jego wiek“, II, 186.

Nie oddychają świeżością poranka,
Ni łąk zapachem wiosennym,
Miłości wstydzą się, myśl prześladują,
Handlują wolnością własną,
Przed bożyszczami biją pokłony,
I proszą złota i kajdan.

Ale ton, który słyszymy w tym ustępie, nie jest głównym tonem w poemacie, nie góruje nad nim; nie on stanowi główny rys bohatera i to rys, nadający mu nadzwyczajną siłę prawdy. Tym rysem jest to, że spokojny, leniwy, szukający tylko zupełnej wolności Aleko (bohater poematu) skłonny jest do wybuchów szalonej namiętności.

Ale, o Boże, jakże igrały namiętności
Jego posłuszną duszą.
I jakiem wzburzeniem kipiały
W jego zmęczonej piersi!
Czy dawno i na długo się uspokoiły?
Poczekaj: one się przebudzą!

I przebudzają się niebawem. Aleko dla Zemfiry stał się z obyczaju cyganem, włóczył się z cyganami, wodził nawet niedźwiedzia (co się niepodobało współczesnym krytykom), ale Zemfira kochała go cygańską miłością, to jest przez jakiś niedługi czas tylko. Po dwu latach sprzykrzył się jej i zwróciła swoją dziką miłość do kogo innego, młodszego i tym razem prawdziwego cygana. Aleko łatwo to spostrzegł, zwłaszcza że Zemfira nie ukrywała swej niechęci ku niemu, i drażniła go nawet dziką pieśnią o dzikiej miłości cygańskiej. Daremnie ojciec Zemfiry tłumaczy zięciowi, że to jest obyczaj cygański, że taki jest zwyczajny los cygańskich małżeństw, daremnie mu opowiada, że i jego Mariula rok go tylko kochała, a potem porzuciła, i on się z tem pogodził. „Nie, ja nie taki — odpowiada Aleko — i bez walki — Od praw ja moich nie odstąpię — Przynajmniej zemstą się nasycę — O nie! chociażbym nad przepaścią — Śpiącego wroga mego znalazł — Przysięgam! i tu noga moja — Nie oszczędziłaby złoczyńcy — I w fale morskie nie bledniejąc — Jabym go strącił bezbronnego — A nagły przestrach przebudzenia — W mym dzikim śmiechu miałby echo — I łoskot jego upadania — Długo mi byłby śmieszny, słodki".

Ogromna siła namiętności jest w tym ustępie i oto gdzie trzeba szukać istotnego Aleka. Jego przesyt cywilizacyą miast, to tylko suknia, zarówno jak i jego cygańskie życie, i wodzenie niedźwiedzia, to tylko maskarada, a jego rzekomych marzeń o przyszłem szczęściu ludzkości, tych wcale znaleźć nie można. Pod tą suknią, pod tą maską jest żywy człowiek i to człowiek niepodobny do bohaterów bajrońskich. Wprawdzie i „Korsarz“ i „Giaur“ dyszą zemstą i miłością, ale to są błędni rycerze, możnaby ich, jak Don Kiszota, nazwać rycerzami smutnej postaci, ludzie naładowani energią samego poety, odwagą, duchem wojowniczym i rycerskością, ale teatralni. Aleko nie jest teatralny, pomimo całej maskarady, nie jest błędnym rycerzem, nie ma nic w sobie energii giaurów i korsarzy, ani ich rycerskości, ale jest wybuchowo-namiętnym człowiekiem, to jest takim, w którym namiętność wybucha, jak pożar, i szaleje z siłą żywiołową, odejmując wszelką rozwagę, tłumiąc wszelkie inne uczucia, dopóki nie strawi się sama w sobie i nie opadnie. Wybuchła ona w Aleku, gdy się przekonał, że Zemfira go zdradza; w nocy spostrzegłszy, że wyszła z namiotu, spieszy za nią, znajduje na schadzce z cyganem, zabija nowego kochanka, a gdy Zemfira przeklina go za to, wtedy i ją przebija, a sam, ze skrwawionym nożem, ze straszną, nieprzytomną twarzą siada na kamieniu nad dwoma trupami, jak skamieniała zemsta. Cyganie nie mszczą się na nim, tylko mu powiadają, że on nie stworzony dla nich, dla ich swobody i miłości cygańskiej, nie chcą dłużej żyć razem z nim, i zostawiają go samego w polu. Wymownym jest krótki epilog poematu, wymownie wskazuje, pomimo pewnej, tającej się w nim niekonsekwencyi, to, co jest głównym motywem „Cyganów“. Poeta mianowicie kładzie nacisk na to, że nawet w swobodnem życiu cyganów, nawet pod ich obdartemi namiotami „żyją męczące sny — I wszędzie fatalna siła namiętności — I nigdzie od losu obrony niema“. Stawiąc te wiersze, Puszkin wskazywał, że główną rzeczą w poemacie jest temperament namiętny Aleka, popełniał zaś niekonsekwencyę, przypisując w epilogu cyganom to, co było właściwością niecygana, Aleka, w nim to bowiem, nie w cyganach, wy-

stępuje fatalna siła namiętności. Zdaje mi się zatem, że i Spasowicz nie dotarł do głównej idei poematu, i właściwego znaczenia epilogu, gdy widział w nim tylko „uchylenie wszelkiej nadziei szczęścia ludzkiego nawet w stanie przedcywilizacyjnym“ [1].

Aleko tedy nie jest owocem „bajronowskich zapałów“, w Aleku Puszkin — jak to już dawniej wskazywano [2] — wyłuszczał się z bajronizmu, stawał się niezmiernie oryginalnym, choć naturalnie do tej oryginalności dochodził dzięki szkole bajronizmu, którą przebył. W Aleka Puszkin wcielał siebie, swój temperament, mianowicie tę jego stronę, która przypominała więcej Otella, niż bohaterów Bajrona, tę namiętność zazdrości, która nad nim zapanowywała wszechwładnie, i która, jak świadczą wiarogodne wspomnienia o nim, pędziła go raz w Odessie, bez czapki na głowie, przez pięć wiorst przy 35 stopniach gorąca, tę namiętność, która była fatalnem dziedzictwem krwi afrykańskiej i która zgotowała poecie śmierć przedwczesną. W Aleku skrystalizował poeta ten fatalny nastrój swej duszy, nic z bajronizmem niemający wspólnego, i ta bezpośredniość materyału poetyckiego, to że czerpał przedewszystkiem z głębin natury własnej, a nie z wrażeń nawianych poezyą obcą, to nadaje tak wielką siłę poematowi.

Można przypuszczać, że to miłość dla pani Riznicz, pięknej Włoszki odeskiej, która będąc czułą dla poety, umiała być taką i dla innych, i która wywoływała w poecie napady szalonej zazdrości, że ta miłość, a raczej wrażenia, które po jej przejściu pozostały w pamięci poety, były głównem źródłem pomysłu. Niedarmo poeta pisał potem w elegii na śmierć tej pani („Pod błękitnem niebem ojczyzny dalekiej“), o „szaleństwie i męczarniach“ miłości dla niej. Gdy ta namiętność przeszła, gdy poeta uspokoił się i objął ją wspomnieniem, stanęła przed nim, jak sen straszny i złowróżbny. W istocie była wróżbą: wszakże to

---

[1] Włodzimierz Spasowicz, „Pisma“, t. v. Petersb. 1892, str. 266.

[2] Np. Spasowicz, który l. c. str. 267, powiada: „Dramat ten zaznacza wyjście Puszkina ze sfery wpływów Bajrona“.

namiętność pokrewna tamtej podprowadziła go pod szpadę Dantesa i śmierć mu przyniosła w trzydziestym siódmym roku życia, w pełni sił i wieku. Jest też jakiś przeczuciowy nastrój w poemacie, który mu nadaje wiele uroku, jakaś melancholia przeczuciowa, streszczająca się w dwu ostatnich wierszach poematu, jakaś skarga na fatalizm, podobna do tej, jaka brzmi w „Miedzianym jeźdcu“, lub w wierszu „26 maja 1828“:

Jakaż to złowroga siła,
Wywołała mnie z nicości,
Myśl zwątpieniem napełniła,
Duszę ogniem namiętności?

W „Cyganach“ tedy bajronizm odgrywa podrzędną rolę, objawia się w wyborze tła, dekoracyi, w obrazie dzikiej wolności cygańskiej, którą zresztą Puszkin malował z natury, wreszcie w nastroju bohatera, w jakim się ukazuje na wstępie poematu. Ten nastrój sztuczny, nieodpowiadający duchowi poety, który — jak słusznie zauważył Spasowicz — „nie brał sobie za ideał cygańskiego sposobu życia“, ten nastrój znika potem, aby odsłonić szczery grunt duszy Aleka, fatalną potęgę namiętności i owa to potęga wybija się na stanowisko zasadniczej idei, którą najrozmaiciej tłumaczono, niemiłosiernie naciągając poemat w różne strony.

Jak w „Aleku wcielił Puszkin jedną stronę swojej natury, ów ogień namiętności, tak w „Onieginie“ zawarł drugą, sceptycyzm, nurtujący duszę poety, tak, że te dwie postacie uzupełniają się wzajem. Są to dwie strony jednego medalu. Ale jeżeli w „Cyganach“ bajronizm odgrywa podrzędną rolę, inaczej jest w „Onieginie“. W poemacie tym, pisanym jak wiemy w ciągu lat dziewięciu, występuje on z początku z wielką siłą, potem słabnie, wkońcu zdaje się znikać, a przecież choć niewidzialny, jest on do samego końca przytomny.

„Oniegin“ zostaje w ścisłym związku z kilku lirykami Puszkina, pisanemi w czasach powstania pierwszych dwu ksiąg Oniegina. Rzucają one światło na genezę poematu i dlatego trzeba je naprzód rozważyć. Najważniejszym z nich w tym względzie jest wiersz p. t. „Demon“. W tym wierszu powiada

poeta, że w czasach, gdy wszystkie wrażenia były dlań jeszcze świeże i nowe, gdy wolność, sława i miłość krew mu silnie wzburzały, w tych czasach rozkoszy i nadziei, zaczął go potajemnie nawiedzać jakiś złośliwy geniusz. „Smutne były nasze spotkania. — Jego uśmiech, wzrok dziwny. — Jego słowa jadowite — Wlewały chłodną truciznę do duszy. — Niewyczerpanem oszczerstwem — Urągał on opatrzności. — Piękno nazywał mrzonką — I pogardzał natchnieniem. — Nie wierzył miłości, swobodzie. — Szyderczo na życie spoglądał — I nie widział w całym świecie — Nic godnego błogosławieństw". W postaci demona upatrywano postać żyjącą, jednego z przyjaciół poety, Aleksandra Rajewskiego, syna generała, sławnego z wojny 1812 r, a brata tych panien, które pierwsze wtajemniczały Puszkina w poezyę Bajrona. Mniemanie to było tak rozpowszechnione, że Puszkin chcąc je sprostować, przygotował był notatkę, którą chciał bezimiennie umieścić w dziennikach, jako pochodzącą nie od niego. W tej notatce, w formie przypuszczenia, tak objaśniał znaczenie „Demona". „Czy nie chciał w nim poeta uosobić wątpienia? W lepszej dobie życia, serce nieochłodzone doświadczeniem, dostępne jest dla wszystkiego, co piękne, łatwowierne jest i czułe. Zwolna wieczne przeciwieństwa rzeczywistości, budzą w nim wątpienie; uczucie męczące ale niedługotrwałe... Znika ono, zniszczywszy nasze lepsze poetyczne przesądy... Niedaremnie wielki Goethe nazywa wiecznego wroga ludzkości, duchem przeczenia... Czy też i Puszkin nie chciał w swoim „Demonie" uosobić tego ducha przeczenia albo wątpienia, i nakreślić w przyjemnym obrazie smutnego wpływu jego na moralność naszego wieku?" [1]

Wiemy tedy od samego Puszkina, co chciał przedstawić w swoim „Demonie", a przynajmniej co chciał, aby ludzie w nim widzieli. Z tego, co wiemy o Aleksandrze Rajewskim i o stosunku jego do Puszkina, moglibyśmy wnioskować, że i w tem mniemaniu, które poeta chciał rozprószyć, była część prawdy;

[1] Notatkę znalazł p. Annienkow i podał w swojej książce: „*A. S. Puszkin, w aleksandrowskuju epochu*" Petersb. 1874. 152—153.

ale niewątpliwie poecie chodziło tu o symbol, nie zaś o portret żywej osoby, a symbol oznaczał nowy, pessymistyczny prąd w poglądach i uczuciach poety. Ale pod czyim wpływem zbudził się ten prąd, czyjem imieniem może ochrzcić symbolicznego demona?

Spasowicz stanowczo przeczy temu, ażeby mu można było dać imię Bajrona. „W każdym razie, powiada on (V. 238), nie był to Bajron, bo naprzód do ognistej poezyi Bajrona nie stosują się wyrazy: zimny jad, szyderca, potwarca Opatrzności, niewierzący w wolność“, powtóre, że demon nawiedzać począł Puszkina w dziecięcych jego latach, poprzedzających znajomość z Bajronem: „gdy dla mnie były całkiem nowe wrażenia wszelkie życiowe, dziewicze oczy, lasów szum“... I dalej utrzymuje Spasowicz, że jeśli kogo upatrywać w Demonie, to tylko Fernejskiego starca, w którego utwory z zamiłowaniem i uwielbieniem wczytywał się Puszkin jeszcze w bibliotece ojcowskiej, a potem licealnej. Otóż zdaje mi się, że Spasowicz zanadto się trzyma litery „Demona“, a z drugiej strony niedokładnie cytuje wyrażenia poety, niema tam bowiem mowy o „całkiem nowych wrażeniach życiowych“, ale tylko o „nowych“, co pozwala szukać ich niekoniecznie w czasach szkolnych. Do czasów szkolnych nie można zastosować tego, co mówi poeta o swoim zapale dla wolności, bo ten przypada już na czasy późniejsze, i szkolna lektura Woltera tego zapału nie powstrzymała. Niewątpliwie obraz demona, nakreślony przez Puszkina, nie odpowiada syntezie poezyi bajrońskiej, nie odzwierciedla rzeczywistego Bajrona, ale odzwierciedla, mojem zdaniem, wpływ jego na Puszkina w pewnym okresie. Wiadomo, jak są różne zwierciadła i jak różnie pokazują; dusza Puszkina była wówczas takiem zwierciadłem, w której się Bajron pokazał w postaci demona. Wzmianka o „beznadziejnym egoizmie“, który Bajron przyoblekał w „ponury romantyzm“, w trzeciej księdzie Oniegina (strofa 12) pisana w r. 1824, popiera to przypuszczenie. Z Wolterem, z jego szyderstwami z dogmatów i moralności chrześcijańskiej, Puszkin znał się od dzieciństwa, znał to lepiej niż katechizm, zrósł się i oswoił z tem tak, że ten jad przestał w nim działać, nie zatruwał mu życia. Wolteryanizm nic w nim nie burzył,

bo niestety, dzięki otoczeniu domowemu, (z wyjątkiem może niańki Aryny) nie było tam prawie nic do burzenia, a filozofię mistrza płytką, zalecającą drwić z religii, wierzyć w potęgę rozumu i używać życia, z lekkiem sercem dźwigał uczeń na barkach młodzieńczych. Wszakże Wolter nie był pessymistą; do życia był niezmiernie przywiązany, przyjemności jego cenił wysoko, i do niego w żadnym razie nie mogą się odnosić ostatnie wiersze „Demona:“ „I nie widział w całym świecie — Nic godnego błogosławieństw“. Wolter zadziwiał, bawił, podniecał zmysłowość, ostrzył rozum młodzieńca, ale nie miał nic w sobie, czemby mógł trafić do jego serca i to serce poruszyć. W młodym wielbicielu swoim nie budził nawet uszanowania; piętnastoletni Puszkin w jednym z wierszów swoich (Miasteczko), nie przestając go wielbić, nazywa pieszczotliwie złym krzykaczem, i siwym swawolnikiem.

Zupełnie inny był stosunek Puszkina do Bajrona. Bajron miał czem poruszyć serce Puszkina i poruszył je tak, że młody poeta, jak wiemy, „szalał za Bajronem“. Otwierał przed nim zupełnie nowe horyzonty, pełne mgieł melancholicznych, nadawał myślom polot, którego dotychczas nie miały, otwierał oczy na piękno przyrody, czarował dziką energią swoich bohaterów, a przytem pociągał ku sobie pewnem pokrewieństwem burzliwej młodości, w „Childzie Haroldzie“ zarysowanej. Ale, i to jest bardzo ważny wzgląd, na który nacisk kładę szczególny, Bajron nie odsłonił się odrazu cały Puszkinowi, Puszkin w pierwszych czasach swego „szalenia za Bajronem“, nie poznał całego mistrza, tylko pewne jego strony; znał niewątpliwie Bajrona z „Childe-Harolda“, „Korsarza“, „Giaura“, ale nie znał Bajrona z „Don Juana“, a zapewne i z „Beppa“. Przypuszczenie swoje opieram na tym fakcie, że pierwsze dwie pieśni „Don Juana“, ukazały się dopiero w lipcu 1819 i ukazały się bezimiennie, nie pod głośną firmą Bajrona, trudno więc myśleć, aby w przeciągu roku mogły dotrzeć na Kaukaz, lub do Kiszyniowa. Te dwie pierwsze księgi, Puszkin poznał nie później jak na wiosnę 1822 r. to jest przed rozpoczęciem „Oniegina“, inaczej by nie mówił o sobie w liście do Wiaziemskiego (4 listopada 1823, VII, 56), że

pisze romans w rodzaju „Don Juana“. Nawiasem dodam, że aż do marca 1825, nie znał więcej nad pięć pierwszych ksiąg „Don Juana (list do Bestużewa 21 marca 1825, VII. 117) i że dwie pierwsze uważał za daleko wyższe od trzech dalszych (list do Wiaziemskiego, VII. 80).

Jakież wrażenie te dwie pierwsze księgi „Don Juana“ wywarły na Puszkinie? Bajron stanął tu przed nim w zupełnie innej, niż dotychczas, postaci. Miejsce melancholii i innych tonów, których pełne były „Wędrówki Childe Harolda“, „Giaur“, „Korsarz“, wogóle wszystkie znane mu dotychczas utwory Bajrona, zajęło gorzkie szyderstwo i nieukrócony cynizm. Stawał przed nim Kandyd wolterowski, przebrany w oktawę bajrońską, i zaprawiony goryczą bajrońską. Ale Kandyd w ustach Woltera, wiecznego żartownisia, tracił połowę swego jadu, w ustach tego, który tyle nowych, uszlachetniających uczuć zbudził w duszy Puszkina, przybierał cechy demonizmu. Gdyby Puszkin poznał był odrazu wszystkie pieśni „Don Juana“ odniósłby zapewne inne wrażenie z całości, jaskrawość pierwszych pieśni zatarłaby się nieco, ale on znał czas jakiś tylko dwie pierwsze, a w tych pieśniach, mianowicie w pierwszej, znajdował takie np. strofy:

CCXV.

Nigdy, już nigdy, o moje serce, nie będziesz dla mnie całym światem. Ongi, byłoś dla mnie jedynem dobrem; wszystkoś pochłaniało.. Odtąd nie możesz mię ani uszczęśliwić, ani być źródłem mych boleści. Złudzenie pierzchło na zawsze; stałoś się nieczułem .. ale nie jesteś przeto gorszem; zamiast złudzenia nabyłem odrobinę rozumu... Bóg wie, jak ona pomieścić się mogła w mojej głowie.

CCXVIII.

Do czegóż prowadzi sława? Do zapełnienia pewnej ilości papieru. Niektórzy ją przyrównywają do wspinania się na wzgórze, którego szczyt, jak wszystkie szczyty, gubi się we mgle. Po co ludzie piszą, mówią, nauczają? Po co bohaterowie zabijają, po co poeci palą długo w noc swoje lampy? Po to, aby osiągnąć, kiedy będą już prochem, imię, lichy portret, jeszcze lichsze popiersie.

CCXX.

Co do mnie, lubiąc prawdziwą filozofię, powtarzam sobie często: „Niestety, wszystko, co się rodzi, rodzi się na to, aby umrzeć, i człowiek, ścięty kosą śmierci, zamienia się w trawę. Spędziłeś młodość przyjemnie i gdyby ci ją wrócono, spędziłbyś tak samo. Dziękuj więc swojej gwieździe, że ci nie było gorzej na świecie; czytaj biblię mój przyjacielu, a pilnuj swego worka“.

Jeżeli porównamy te strofy z podanym wyżej obrazem Demona, („Jego uśmiech, wzrok dziwny — Jego słowa jadowite — Wlewały chłodną truciznę do duszy“ — i t. d.) to podobieństwo okaże się bliskie. Że Puszkina uderzyła silnie różnica w tonie między „Don Juanem“ a „Childe Haroldem“, na to mamy świadectwo w liście do Wiaziemskiego z 14 czerwca 1824 (VII. 80) „On (Bajron) stworzony był całkiem na wywrót. Stopniowania w nim nie było; nagle dojrzał i zmężniał, zaśpiewał i zamilkł, i pierwsze dźwięki już nigdy doń nie wróciły. Po czwartej pieśni „Childe-Harolda“, jużeśmy nie słyszeli Bajrona, tylko śpiewał jakiś inny poeta, wysokim talentem obdarzony“. W tym samym liście nazywał Puszkin Bajrona, jako autora „Childe-Harolda“ i „Giaura“, płomiennym demonem. (Geniusz Bajrona bladł z jego młodością. W swoich tragedyach, nie wyłączając Kaina, już on nie jest tym płomiennym demonem, który stworzył „Giaura“ i „Childe-Harolda“). Otóż w dwu pierwszych pieśniach „Don Juana“ ukazał mu się Bajron już nie jako płomienny, ale jako szyderczy demon, zrywający ze wszystkiego maskę złudzenia, niszczący swym oddechem te wszystkie kwiaty uczuć, które sam przedtem zaszczepiał w sercu jego. Wrażenie było silne i jego echem jest, sądzę wiersz „Demon“.

Wiersz „Demon“ jest poetycznem echem, ale jest inny nie rymowany dokument, wcześniejszy nieco od „Demona“, w którym owo wrażenie występuje także z wielką siłą i w bardziej konkretnych kształtach. Jest to list, który Puszkin pisał do młodszego brata, Lwa, dając mu, jako wstępującemu w świat, różne braterskie napomnienia i nauki. Są tam niektóre uwagi zaczerpnięte li z doświadczenia poety, nie mające związku ani z „Don Juanem“, ani z „Demonem“, ale przeważnie treść listu jest nauką „beznadziejnego egoizmu“, który, jak wiemy, przypisywał Puszkin Bajronowi. Ta nauka, którą podawał Puszkin bratu była świeżo zaczerpniętą z pierwszych pieśni „Don Juana“ [1].

[1] Oto wyjątek z tego listu: „Vous aurez affaire aux hommes, que vous ne connaissez pas encore. Commencez toujours par en penser tout le mal imaginable, vous n'en rabattrez pas de beaucoup. Ne les jugez pas par votre coeur, que je crois noble et bon et qui de plus est encore jeune;

Z tego samego roku co „Demon“ pochodzą dwa wiersze pokrewne mu tonem: „Telega życia“ i „Siewca“. Ale pessymizm tych wierszy jest jakiś szczerszy, głębszy; widać, że jest już owocem własnych spostrzeżeń i doświadczeń poety, poczynionych w świetle wrażenia, jakie na nim wywarł „Don Juan“. „Telega życia“ jest ogólnym obrazem stygnięcia zapałów młodzieńczych, wystawionym w postaci podróżującego, który z rana siadłszy na wózek pocztowy, woła ciągle na woźnicę, aby smagał batem trójkę, w południe już strzęsiony, lękając się gór i wybojów krzyczy: zwolna bałwanie! a wieczorem drzemie jadąc na nocleg i nie widzi nawet jak woźnica popędza konie. W „Siewcy“ wyraziło się, jak przypuszczam, rozczarowanie, jakiego doznał Puszkin wskutek zetknięcia się na ulicach Kiszyniowa i Odessy z powstańcami greckimi. Na parę lat przedtem, na wiosnę 1821, zachwycał się ruchem greckim, ofiarnością Greków (w liście do A. Rajewskiego, VII. 18—20), teraz nazywał ich rzezimieszkami, włóczęgami bez odwagi, i drwił z Europy, która wyobraża sobie, że dzisiejsi zbóje i sklepikarze greccy są prawymi potomkami Temistoklów i Peryklesów. (VII. 80). Trzeba jednak zaznaczyć, że taka opinia o Grekach, nie przeszkadzała mu w jednym z urywków spółczesnych wzywać Grecyi do powstania. (Powstań, o Grecyo, powstań).

(Dok. nast.).

Dr. Józef Tretiak.

---

méprisez les le plus poliment, qu'il vous sera possible. C'est le moyen de se tenir en garde contre les petits préjugés et les petites passions, qui vont vous froisser à votre entrée dans le monde. Soyez froid avec tout le mond: la familiarité nuit toujours... Point de petits soins, défiez-vous de la bienveillance, dont vous pouvez être susceptible: les hommes ne la comprennent pas et la prennent volontiers pour de la bassesse. N'acceptez jamais de bienfaits. Un bienfait pour la plupart de tous est une perfidie... J aurais voulu vous prémunir contre les séductions de l'amitié, mais je n'ai pas le courage de vous endurcir l'âme dans l'âge de ses plus douces illusions. Ce que j'ai à vous dire à l'égard des femmes, serait parfaitement inutile. Je vous observerai seulement, que moins on aime une femme et plus on est sûr de l'avoir. Mais cette jouissance est digne d'un vieux sapajou du XVIII. siècle. A l'égard de celle, que vous aimerez, je souhaite de tout mon coeur que vous l'ayez“. (VII, 43—44).

Zasadniczy punkt wyjścia w badaniu filozoficznem.

(Ciąg dalszy).

III.

Si enim fallor, sum.
S. Augustinus.

„Od najbliższych i najoczywistszych rzeczy wychodził Sokrates każdym razem w swoich badaniach, uważając tę drogę za najpewniejszą“, opowiada o ukochanym mistrzu swoim przywiązany uczeń Xenofont[1]. I któżby się nie zgodził na tę metodę „ojca filozofii“, przynajmniej w oderwaniu uważaną? Cóż zaś posiadamy bliższego od siebie samych, od jaźni własnej, konkretnie, empirycznie pojętej?

I Sokratesa powaga i „znaj siebie samego“ delfickie radzą nam zacząć od siebie samych.

Pójdźmy za tą wskazówką.

Zwróćmy więc przedewszystkiem baczną uwagę na wnętrze naszej umysłowości, wejdźmy w głębie i tajniki świadomości własnej, a starajmy się wyśledzić wszystko z krytyczną, filozoficzną refleksyą. Cóż się nam przedstawia? Malutki wszechświat, mikrokosm w najprawdziwszem tego słowa znaczeniu, owa psyche Arystotelesa, co wszystkiem jest i wszystkiem do pewnego stopnia stawać się może[2]. Więc czucia rozmaite, przyjemne, nie-

[1] *Mem.* IV, 6, 15.

[2] Ἡ ψυχὴ τὰ ὄντα πώς ἐστι πάντα. *De Anima* III, 8.

przyjemne; więc wrażenia a wyobrażenia przeróżne niezliczonych przedmiotów: to gwiazdy, słońca, komety, planety, to głazy, skały, rudy, drogie i użyteczne kamienie; to fantastyczne i swobodne kształty, postaci glonów, paproci, drzew, kłodzin, pnączy, z przecudną grą i rozmaitością barw, z odurzającą i mile drażniącą wonią kwiatów; to niezliczone szeregi zwierząt, od drobniutkich, mikroskopicznych wymoczków aż do wodnych kolosów oceanów lodowatych; to typy, społeczeństwa, kasty, warstwy rodzaju ludzkiego w zgodzie lub niezgodzie przez całą historyę się ciągnące; więc pojęcia ogólne, oderwane, najoderwańsze; więc prawdy nieskończenie liczne, jedne koniecznością i oczywistością same się narzucające, prawdopodobne tylko drugie, podejrzane, wątpliwe inne; więc kojarzenia, łączenia pojęć różnorodnych, analizy i syntezy przeróżne, wyprowadzania jednych prawd z drugich; więc wątpienia rozpaczliwe, więc uciążliwe prawdy szukania, więc poszukiwanie trwałego punktu oparcia dla dalszej roboty filozoficznej... więc bóle i cierpienia przeróżne, i radości a wesela liczne, i dzikie szały jakieś i szalone zawieje wewnętrzne, i namiętności straszliwe, i idealne zachwyty... — to wszystko tłoczy się i ciśnie olbrzymio spiętrzoną nawałnicą poprzed refleksyjną uwagą naszą, krajobraz zmienia się kalejdoskopicznie raz po raz, horyzont to zacieśnia się, to rośnie potężnie i rozciąga się w dal niedościgłą, jedna fala pogrąża się w toniach podświadomości, druga spokojnie na jej barkach się wzdyma, jeszcze tej toń nie pochłonęła, a już ją jakaś inna gwałtowniejsza pod próg świadomości spycha i sama na chwilę jej miejsce zajmuje. Azali jest gdzie na ziemi szmat skorupy taki, iżby był świadkiem tylu przemian, zawikłań, czynności, co moje forum wewnętrzne?!

A w ciągu tych wszystkich zmian panoramy, wśród wszystkich tych wirów, burz, walk mózgu i serca, w czasie tych wysiłków i kłopotów umysłowych, namiętności i chuci łomotów — mogę bez przerwy z całą świadomością, z pełną samowiedzą, powtarzać sobie: ja czuję, ja się trudzę, ja boleję, ja się raduję, ja pragnę, ja chcę, ja doznaję wrażeń, ja wyobrażam, ja tworzę sądy, ja poznaję, ja wątpię, ja myślę.

Więc nasamprzód stwierdzić muszę niewątpliwą rzeczywi-

stość tych stanów świadomych. O tem, że je mam, że je posiadam, że ich doznaję, żadną miarą ani na chwilę wątpić nie mogę. Najgwałtowniejsza nawalność zwątpienia, najzacieklejszy sceptycyzmu szał, tej pewności we mnie ni zniszczyć, ni zburzyć, ni nawet zachwiać nie jest w stanie. Być może absolutnie, że ból, którego w małym palcu lewej ręki doznaję, wcale tam nie posiada swego siedliska, najzupełniej pewną i niezbitą jest rzeczą, że w tej chwili ból uczuwam; być może absolutnie, że uśmiechająca się do mnie przez okno okolica, w świeżą wiośnianą szatę ubrana, jest wistocie pochmurna i smutna, że nagie, opalone czoła jej wzgórz, umajone pstrą zielenią lasów liściastych i mieszanych zbocza i przyczoła, ciągnąca się wężykowatemi zagonami ruń szmaragdowa, nie są takiemi faktycznie, że kłębiące się wieczorem ponad tą okolicą obłoki w dziwaczne malowidła i sfinksy potworne a mieniące się tysiącem złotych, pomarańczowych, różowych, to znowu purpurowych, wiśniowych, fijołkowych kolorów, tej rozmaitości kolorytu nie posiadają, ba nawet kolorowemi nie są — o tem, że takiego w tej chwili doznaję wrażenia, że się tem zjawiskiem zachwycam, posiadam pewność, której mi nikt wydrzeć nie potrafi. Być może absolutnie, że w tworzeniu sądów, w analizie i syntezie pojęć, w wyciąganiu konkluzyi błądzę i mylę się, że nawet grubo się mylę — o tem, iż w tej chwili sąd wydaję, wniosek wyciągam, o tem, że wątpię, wątpić absolutnie nie mogę. Moje gorące pragnienia, moje najdroższe ideały mogą być czasem marzeniem i majaczeniem, moje spostrzeżenia mogą być przywidzeniem, ogromna część mego poznania illuzyą lub hallucynacyą — illuzyą, hallucynacyą dla mnie absolutnie być nie może fakt, iż te wrażenia, wyobrażenia, uczucia występują silnie i jasno w mojej świadomości.

Nie dosyć na tem. Chociażby mię opadły najniedorzeczniejsze widziadła senne, chociażby w głębie i zaulki umysłu mego wtargnął i wdarł się obłędu szał — jeszczebym w najzupełniejszej z prawdą zgodzie, z niezbitą pewnością twierdzić mógł i musiał, że takie a nie inne w danej chwili posiadam wrażenia i uczucia.

I to uważamy za pierwszy krok w naszem badaniu. Fala życia mego przynosi i unosi z sobą niezliczone mnóstwo najróżnorodniejszych przemian i przeobrażeń psychologicznych — a ja z krytyczną refleksyą, z bezwzględną pewnością, z całkowitem o prawdzie przekonaniem, świadom jestem tego wszystkiego.

„Sądy: czuję ból; widzę światło; chcę tego a tego — są, jak słusznie uważa wielce zasłużony autor najbardziej poważanego i cenionego podręcznika logiki, tak absolutnie pewne, a ich ważność w takim stopniu zrozumiała przez się, iż zdaje się, jakoby nie nastręczały nawet punktu zaczepienia dla poszukiwania logicznego za ich uprawnieniem i racyą ich konieczności. W istocie żaden człowiek, co już doszedł do jasnej samowiedzy i dokładnie a wyraźnie pojmuje to, co się w orzeczeniu zawiera, nie może wątpić o ich bezpośredniej prawdzie“ [1].

Cofnijmy się atoli znowu do głębi własnego mikrokosmu wewnętrznego i starajmy się objąć, o ile to możliwe, jednym krytycznym rzutem oka wszystkie te rozliczne szczegóły, jakie nam świadomość bezpośrednio podaje. Cóż zauważymy? Oto, iż we wszystkich nawet najdrobniejszych zjawiskach psychicznych jest coś, co się ustawicznie powtarza, coś, co się wszędzie zjawia, co ponad wszystkiem góruje, co wszystkiemu przyświeca, co wszystko niejako na wskróś przenika, i dlatego zawsze na pierwszem miejscu, przed wszystkiem innem, najuporczywiej w oczy się narzuca. Na firmamencie samowiedzy naszej lub raczej w samem centrum tego uniwersum, promienieje dziwnym

---

[1] Ch. Sigwart, *Logik* 1, Band 2, Aufl. 1889, p. 391. — Podobnie się wyraża drugi niemniej wysoko stawiany, niemiecki epistemolog. „Kann jemand den Gedanken fassen, es wäre nur sein subjektiver Irrtum, dass er sich seiner bewusst zu sein glaube, während er in Wirklichkeit gar kein Bewusstsein hätte? Kann jemand den Gedanken fassen, es wäre nur ein in der Menschennatur liegender Schein, der jeden glaube lasse, sich seiner bewusst zu sein, obgleich es ein solches Sichseinerbewusstsein (d. i. ein wirkliches) gar nicht gebe? Was ist hier das Wirkliche? Läugnung und Zweifel schlagen sich selbst, indem sie das Geläugnete oder Bezweifelte durch sich selbst voraussetzen“. W. Schuppe, *Grundriss der Erkentnisstheorie und Logik*. Berlin 1894, p. 16.

blaskiem jaśniejące słońce, które wszystko oświeca, ogrzewa, energią zasila, bez którego nic się tam nie dzieje i dziać nie może.

To moje ja, to moja jaźń własna.

Ja istnieję!

Po każdem wrażeniu, spostrzeżeniu, uczuciu, po każdym stanie psychicznym, mogę śmiało i z pewnością absolutną powiedzieć: jestem; to samo, co naprawdę w każdej czynności świadomej raz po raz stwierdzam: istnienie czyli byt rzeczywisty własnego ja, to co Augustyn króciutko wyraził: *fallor, ergo sum;* co Descartes na początku swojej filozofii postawił: *cogito, ergo sum;* co Fouillée po swojemu tłumaczy: *volo, ergo sum.*

A nie chodzi nam tu bynajmniej o kwestyę, którą następnie metafizyka roztrząsnąć i zbadać dokładnie powinna: czem jest właściwie to moje ja; czy to monada jakowaś, czy byt duchowy, czy substancya złożona, czy wogóle substancya — chodzi znowu tylko o niezachwiane stwierdzenie faktu, że ów podmiot wszystkich stanów psychicznych, owa jaźń konkretna i empiryczna, czemkolwiek zresztą i jakakolwiek onaby była, istnieje w istocie, najniewątpliwiej byt rzeczywisty posiada. Wszelkie zatem przypuszczenia metafizyczne i poglądy: na duszę, na osobowość, na substancyalność nie dotykają na prawdę naszej rzeczy wcale, mącić też jej kryształowo przejrzystych toni nie potrzebują i nie powinny.

Zatrzymajmy się chwilkę przy tym fakcie, chociaż aż nadto banalnym, i przypatrzmy mu się nieco dokładniej. Wszak tylu wielkich geniuszów i myślicieli od niego zaczynało filozofię swoją, a neoscholastycy spółcześni wysoką mu godność pierwszego faktu przyznali.

Fakt, że jestem; twierdzenie: wiem, że istnieję, jest w istocie dla filozofa najpowszechniejszą, najpierwszą, najpewniejszą i najoczywistszą prawdą, najbardziej fundamentalnym pewnikiem w ścisłem i właściwem tego słowa znaczeniu.

We wszystkich stanach psychicznych świadomych, we wszystkich warunkach i okolicznościach przestrzeni i czasu afirmacya i to bezwzględna tej prawdy nierozłącznie i nierozdziel-

nie nam towarzyszy. Gdziekolwiek jestem, Jam jest; kiedykolwiek jestem, znowu Ja jestem.

A powszechność i bezwzględność tej samowiedzy, tej świadomości jaźni własnej jest tak rdzennie wielka i potężna, iż żadną miarą pozbyć się jej lub uniknąć nie można.

Można uciec z pod rodzinnej strzechy, z ziemi ojczystej, z granic największego państwa, z jednej części świata do drugiej — ale tylko z swoim mikrokosmem, z samowiedzą własną i jaźnią.

Można wyprzeć się narodowości, krewnych, przyjaciół, stanu, wyznania, Boga samego wyprzeć się można — siebie samego, swojego ja niepodobna.

Można podeptać zaszczyty i bogactwa, porzucić uciechy i zgiełk świata, kłopoty i troski społecznego życia, na odludne cofnąć się pustynie — ze swojem ja zawsze i wszędzie trzeba pozostać. I choćbym się wryć potrafił w najgłębsze wnętrzności ziemi, chociażbym zdołał wznieść się w jakieś zagwiazdne, zaświatowe, zaprzestrzenne krainy — swojej jaźni nie pozbędę się nigdy i nigdzie.

Można zabić w sobie poczucie honoru i moralności, można wytępić i zgładzić w sobie wszelkie szlachetne porywy i idealne zapały, można zniszczyć w sobie i zmiażdżyć doszczętnie wszystkie niemal przekonania, religijne i metafizyczne — z tem przekonaniem metafizycznem, że jestem, koniecznie i nieodzownie pozostać trzeba. Ktoby zaś usiłował targnąć się samobójczą dłonią na jaźń własną, ten tylko bardziej upewniłby się o niej. Jak mityczny Prometeusz przez szamotanie się powiększał swe bole, tak człowiek stroniący od siebie, pragnący zgnębić i zdusić ja własne, zgłębia tylko bezdenne tonie samowiedzy swojej a samą świadomość jaźni swojej do coraz to wyższej potęgi podnosi. „Kiedy człowiek — są słowa Balmesa — wszystko zamąci, wszystko zburzy, wszystko zniweczy, siebie samego — zniweczyć nie zdoła, siebie samego ciągle odnajduje, siebie samego, tego właśnie, który mąci, burzy, niweczy. I kiedy doszedł do tego, że zwątpił o Bogu, o świecie, o innych ludziach, o ciele własnem, znajduje w samym środku tej nieskończonej samo-

tności znowu siebie samego... Wysilenie całe, które napręża, by siebie samego zmieść z oczu własnych, obraca się na to tylko, by jaźń własną tem widoczniejszą uczynić“ [1].

Inaczej też być nie może. Świadomość egzystencyi jaźni własnej to trzon, to rdzeń całego życia psychicznego, samej psychy naszej.

W każdym akcie psychicznie świadomym fakt, że jestem, skonstatowanie, że istnieję, zawiera się wyraźnie i zawierać się musi; bez tego nie byłby aktem świadomym.

Żaden sąd wydanym być nie może, coby tej prawdy nie suponował. Kto bowiem o czemś sąd wydaje, twierdzi jednocześnie, iż on sam tę pewność posiada, iż jemu samemu to się wydaje.

Zaprzeczyć tej prawdy nie można bez jednoczesnego stwierdzenia jej. I zaprzeczenie jest sądem, do tego pewnym.

Wątpić o tej prawdzie nie można bez jednoczesnej pewności o niej. Kto twierdzi, że wątpi, ten niewątpliwie istnieje, a samem wątpieniem stwierdza niezbicie własne istnienie [2].

Bez *petitio principii* dowieść tej prawdy nie można. Czemkolwiekby były przesłanki tego dowodzenia, będą już afirmacyę tej prawdy w sobie zawierały.

Nawet sprowadzić się ta prawda do innej nie da; nie do prawdy oderwanej, ogólnej, bo to fakt konkretny, nie do faktów innych, bo to fakt między faktami dla filozofa najpierwszy i pierwszy najniezbiciej z refleksyą poznany.

Atoli ani dowodzić tej prawdy, ani sprowadzać jej do innych nie trzeba. Mamy tu bowiem od wszelkich dowodów pewniejszą i silniej przekonywającą, od wszystkich sprowadzań ja-

---

[1] *Fundamente der Philosophie*, I, p. 143.

[2] „Nulla in his veris Academicorum argumenta formido, dicentium: quid si falleris? Si enim fallor, sum. Nam qui non est, utique nec falli potest: ac per hoc sum, si fallor. Quia ergo sum si fallor, quomodo me esse fallor, quando certum est me esse, si fallor? Quia igitur essem qui fallerer, etiamsi fallerer; procul dubio in eo quod me novi esse, non fallor“. S. Augustinus, *De civ. Dei*, XI. 26.

śniejszą i zrozumialszą: prawdziwą bezpośredniość i bezpośrednią oczywistość poznania.

Na czem polega bowiem skonstatowanie własnej egzystencyi? Jakeśmy już zauważyli, w każdej czynności świadomej występuje zawsze z konieczności rzeczy sama jaźń nasza i ona stanowi w naszym wszechświecie psychicznym owo jaśniejące słońce środkowe, zlewające na wszystko strugi światła swego i przenikające wszystko energią promieni swych [1]. Proste zatem zwrócenie uwagi, zwyczajna refleksya na jakikolwiek objaw psychiczny jest już poznaniem i stwierdzeniem własnego istnienia. W każdej takiej refleksyi poznanie nasze dotyka niejako bezpośrednio rzeczywistości samej, przenika ją do pewnego stopnia i widzi ją najniewątpliwiej. A to zetknięcie się bezpośrednie z rzeczywistością, to bezpośrednie uchwycenie bytu rzeczywistego ma naprawdę miejsce w każdym akcie psychicznym, w każdym stanie świadomym, i powtarza się w ciągu naszego życia umysłowego bezprzerwnie, nieustannie; cóż dziwnego, że i oczywistość tej prawdy nie tylko jest najzupełniej bezpośrednia, ale także siłą swoją tak potężna i kategorycznie rozkazująca, a jasnością swoją tak promieniejąca i olśniewająca, iż i najbrutalniejszy krytycyzmu atak, i najgrubsza agnostycyzmu kotara, i najczarniejsza sceptycyzmu pomroka — tej prawdy i jej oczywistości ni nadwerężyć, ni zaciemnić nie są w stanie. To też jeśli kiedy i gdzie, to tu, w poznaniu rzeczywistości jaźni własnej, można mówić o intuicyi bezpośredniej w najprawdziwszem tego słowa znaczeniu; jeśli kiedy i gdzie szukamy prawdy absolutnej i absolutnie niezaprzeczalnej, to tu, w stwierdzeniu tej prawdy: wiem, że istnieję, osiągamy ją w najpełniejszem

[1] Kiedy Balmes mówi, że jaźń nie jest punktem świecącym (l. c. p. 53), lub że świadomość nie jest latarnią morską jeno kotwicą (ib. p. 52), to widocznie ma na uwadze metafizyczną kwestyę istoty samowiedzy, nie zaś istnienie konkretnej jaźni. Jaźń bowiem z tej strony widziana przedstawia się nam niewątpliwie jako punkt najjaśniejszy w całem życiu umysłowem, w całym świecie naszego poznania. A może być punkt jasnym o istocie ciemnej. Astrofizycy długo jeszcze debatować będą nad wewnętrzną konstytucyą słońca, chociaż prawdopodobnie żaden z nich nie wątpi o jego jasności i egzystencyi.

i najszerszem tego wyrazu rozumieniu. Afirmacya ta, „poznanie to jest w istocie, że słów amerykańskiego epistemologa użyjemy, zrealizowanym ideałem poznania. I kiedy przez inne stopnie wiedzy przechodzimy, posługujemy się tym ideałem jako własnym sztandarem“ [1].

Oczywista zatem rzecz, że prawda i pewność o własnem istnieniu, narzucająca się bezpośrednio a spoczywająca na dnie każdej czynności świadomej, jest i absolutna i fundamentalna, że ten iście pierwotny fakt, to nieodzowny i podstawowy warunek wszelkiego myślenia mego, wszystkiego poznania mego, mojej pewności wszelkiej [2]. A ta podstawowa zasadniczość tej prawdy uwydatnia się jasno nie tylko pod względem ontologicznym, bo bez podmiotu poznania niemożliwe jest samo poznanie, lecz także pod względem logicznym, chodzi bowiem ostatecznie o pewność, o osiągniętą prawdę logiczną, która z właściwej sobie natury powinna być poznana, więc jak najściślej z poznaniem egzystencyi podmiotu sprzężona i skojarzona, więc na poznanym rzeczywistym bycie jaźni wsparta i wzniesiona [3].

Nie trudno nam po tem wszystkiem zrozumieć, dlaczego od tej prawdy zaczynają swoje dociekania i roztrząsania metafizyczne wszyscy myśliciele, dlaczego zawsze do niej zawracają, jako do twierdzy niezdobytej, ile razy wystawieni są na atak

---

[1] „The completed act of self-consciousness, ending in the judgment which affirms my own here-and-now being, for myself, is such an absolute cognition.. this immediate knowledge of the Self by itself is, in actuality, the realized ideal of knowledge. In grading other degrees of cognition we employ this ideal as our standard“. Ladd, *Philosophy of Knowledge*, p. 243.

[2] „Die Gewissheit, dass Ich bin und denke, ist die absolut letzte und fundamentale, die Bedingung alles Denkens und aller Gewissheit überhaupt; hier kann nur von der unmittelbaren Evidenz die Rede sein, man kann nicht einmal sagen, dass dieser Gedanke nothwendig ist, sondern er ist vor aller Nothwendigkeit“. Sigwart, *Logik*, I, p. 310 sq.

[3] Mercier w zacytowanym już artykule o teoryi trzech prawd pierwotnych (p. 17) i w swojej „Kryteryologii“ (n. 54) twierdzi, że pewność o własnem istnieniu nie może być uważana za prawdziwie pierwotną i podstawową. Przyjmuje on mianowicie, że egzystencya podmiotu jest tylko *conditio sine qua non* poznania w porządku ontologicznym, natomiast w porządku logicznym stwierdzenie własnej rzeczywistości może być tylko pod-

silniejszy, dlaczego na nią zwracają oczy umysłu swego jako na centrum wszystko oświecające, ile razy znajdą się na bezdrożnych manowcach lub w zgubnych ciemnościach [1].

Wszyscy niemal autorowie, zajmujący się naszą kwestyą, poprzestają w tym pierwszym punkcie na skonstatowanie własnej egzystencyi. Zdaje się nam atoli, że niezbite stwierdzenie istnienia własnej jaźni to tylko jedna strona medalu, że prócz niej istnieje równolegle druga, może nie mniej ważna, a którą jednocześnie z pierwszą w każdym akcie poznawczym, równie niewątpliwie stwierdzamy. Słówko więc jeszcze o tej drugiej stronie pierwszego faktu zasadniczego. Wróćmy w tym celu jeszcze raz na nasze forum wewnętrzne i urządźmy ponownie refleksyjną introspekcyę ogólnej treści jego.

Prócz owego punktu środkowego, jaźni własnej, znajdujemy tam niezliczone mnóstwo punktów innych, w swojem mnóstwie najrozmaitszych. Weźmy niektóre z nich pod uwagę baczniejszą.

Czuję — ale czuję coś: ból, przyjemność, ciepło, zimno; coś, co nie jest mną. Widzę — ale widzę coś: papier, pióro, atrament, ściany mego pokoju, Krytykę Kanta, obiedwie Sumy Tomasza, Psychologię Wundta, drzewa, kwiatki, ludzi; coś, co nie jest to samo, co ja. Słyszę — coś: żab rechkotanie, słowików trele, muzykę orkiestry, wykład idealisty, uczniów odpowiedzi; coś, co nie jest mą jaźnią. Poznaję — coś: systemy filozoficzne, analizy matematyczne, nowe teorye rozwojowe, odkrycia podróżników i przyrodników; coś, co nie jest ja. Wątpię — to o czemś: o prawdziwości idealizmu, fenomenalizmu, jednostronnego krytycyzmu, sztucznie skonstruowanych realizmów; o czemś, co nie jest mą jaźnią. Nie wiem — to znowu

---

stawą pewności odnoszącej się do świata zewnętrznego, nie zaś prawd ogólnych, koniecznych porządku idealnego. Zdaje się nam, że owo wyróżnienie na tem miejscu jest i niepotrzebne i niedostatecznie uzasadnione, że nadto stosunek pewności pierwotnej o własnej samowiedzy do prawd porządku realnego i do prawd porządku idealnego jest w istocie swej tego samego rodzaju.

Cfr. Ladd, o. c. p. 350.

czegoś: co się obecnie na Marsie dzieje, co w tej chwili robią w Pekinie, jaka jest istota wewnętrzna ciał, jak sobie chrabąszcz lub pająk wystawia świat; czegoś, co nie jest mną. Myślę — o czemś, spostrzegam — coś, wyobrażam sobie — coś, pojmuję — coś, sąd wydaję — o czemś, chcę — czegoś, pragnę — czegoś, pożądam czegoś; zawsze coś, czegoś — co nie jest mą jaźnią. Więc znowu na każdym kroku spotykam w treści samowiedzy swojej obok własnego ja nierozłącznie z niem coś, co nie jest ja, natrafiam nieustannie na niejaźń.

A więc, prócz mego ja jest jeszcze coś, co nie jest ja, co jest niejaźnią. — Nie jest to nic innego, tylko stwierdzenie przedmiotowości mojego poznania, czyli, że moje akty poznawcze nie odnoszą się bezpośrednio do modyfikacyi czysto podmiotowych jaźni samej, jeno do najrozmaitszych przedmiotów, czyto porządku idealnego, czy też porządku rzeczywistego.

A nie chodzi nam tu znowu o skonstatowanie, że istnieją np. kamienie, drzewa, konie, ludzie, ani o to, czy coś istnieje w taki sam sposób, w jaki się mojej jaźni przedstawia; nie chodzi nam też o psychologiczne wytłumaczenie całego procesu poznania, ani o metafizyczną kwestyę istoty niejaźni — chodzi tylko o krytyczne, refleksyjne zdanie sobie sprawy, że przedmiot mego poznania wogóle jest niejaźń, coś, co mną samym nie jest i zazwyczaj absolutnie być nie może.

I zdaje się nam, że kwestya niejaźni, przedmiotu poznania, w ten sposób pojęta, jest nie mniej jasna i oczywista, nie mniej pewna i niewątpliwa od kwestyi jaźni samej, podmiotu poznania. W każdym akcie świadomym, przedewszystkiem w każdym akcie poznania, więc w każdym sądzie na pierwszem miejscu, ów przedmiot bywa od podmiotu najoczywiściej wyróżniony, owa niejaźń jaźni się samej przeciwstawiająca, zostaje bezpośrednio przez jaźń uchwyconą niejako i z bezwzględną pewnością afirmowaną [1]. I moglibyśmy tu o niejaźni to samo powtórzyć, cośmy wyżej o jaźni powiedzieli i pokazali: że żaden akt po-

[1] „Kein Wissen von anderem ohne Wissen von sich, kein Wissen von sich ohne Wissen von anderem". Schuppe, l. c. p. 21.

znawczy bez tej przedmiotowości nie jest możliwy, że każdy akt, samo postawienie pytania, samo wątpienie i negacya sama, najoczywiściej ową przedmiotowość stwierdza i najnieodzowniej suponuje. Do tego zaś stopnia owa niejaźń z jaźnią ściśle jest sprzężona, iż kiedy siebie samą poznaje, to tylko na sposób niejaźni, a nicość samą czyli niebyt tylko pod formą bytu pojmuje.

I na tym punkcie zatem oczywistość nic nie pozostawia do życzenia. Tylko przesiąknięta licznemi i rozpowszechnionemi idealizmami atmosfera mogła sprawić, iż kwestya ta dzisiaj u wielu myślicieli nie cieszy się taką jasnością i pewnością, jaką w istocie posiada. Stąd pochodzi, że ktoby chciał obecnie rzecz tę obrobić dokładnie i wszechstronnie, musiałby obszerne, może nawet kilkutomowe dzieło o tej materyi napisać, bo trzebaby mu koniecznie uwzględnić wszystkie najrozmaitszych odcieni subjektywizmy i idealizmy, fenomenalizmy, krytycyzmy i solipsyzmy, trzebaby mu z drugiej strony poddać gruntownej i trzeźwej krytyce wszelkiego rodzaju realizmy, i naiwny i transcendentalny i idealny i krytyczny. Krom tego zadanie to nie jest tak łatwe, jakby się to komu na pierwszy rzut oka wydawać mogło. Każdy idealista stara się pojąć rzecz po swojemu, oryginalnie, stosownie do tego, jaki zapas wiedzy nagromadził przedtem w swojej jaźni, opierając się na realizmie naiwnym; każdy znowu realista wychodzi w swoich zapatrywaniach z innego punktu widzenia — a jedni i drudzy sadzą się formalnie na to, ażeby kwestyę jak najniefilozoficzniej tj. jak najtrudniej i jak najsztuczniej, w jak najbardziej skomplikowany sposób postawić. Za czem idzie, że jedni i drudzy z rzeczy zupełnie prostej i oczywistej robią jakieś mysteryum bezdenne, niezgłębione [1]. Uprzątnąć z naszej kwestyi owe ogromne sterty rumowisk i rupieci, jakiemi ją w ciągu wieków, a zwłaszcza w naszem stuleciu najrozmaitsze systemy zawaliły — byłoby bardzo żmudne, lecz i wdzięczne bardzo zadanie. Zostałaby na spodzie rzecz sama — prosta i jasna, bezpośrednio pewna i zrozumiała.

---

[1] „D'une chose toute simple ils font un mystère insondable". A. Fouillée, *La psychologie des idées-forces*. Paris 1893, t. II, p. 13.

Ni czasu, ni miejsca, ni siły nie mamy na tego rodzaju robotę. Pozwolimy sobie na jedną tylko uwagę o podstawnej zasadzie wszelkich idealistycznych systemów.

Punktem wyjścia i celem ostatecznym wszelkich sekt idealistycznych jest, że poznajemy jedynie i wyłącznie modyfikacye jaźni własnej, że niczego, co jest poza jaźnią naszą, poznać nie jesteśmy w stanie. Oczywista rzecz, że w tem przypuszczeniu nic nie możemy wiedzieć o świecie zewnętrznym, o innych ludziach, nawet nic o świecie prawd ogólnych, idealnych, bo żadne spostrzeżenie, żadne wyobrażenie, żadne pojęcie nie będzie miało wartości przedmiotowej, żaden sąd nie będzie wypowiadał prawdy przedmiotowej; wszystko to będą tylko zmiany czysto subjektywne, jakieś dreszcze, drżączki, kurcze i wzdęcia, lub kombinacye tych objawów samotnej jaźni. Rozumie się samo przez się, że zasady tego rodzaju, w tak wysokim stopniu sprzeciwiającej się naturze poznania, zadającej gwałt formalny rozumowi samemu, żaden filozof bez racyj przekonywających przyjąć za punkt wyjścia nie może. A jakżeż się to dzieje, skoro tylu filozofów tę zasadę, zdaje się całkiem seryo, głosi i przyjmuje? Zobaczmy genezę tego poglądu, gdyż ona wyjaśni nam w części przynajmniej i to zjawisko wcale ciekawe, i jeszcze nadto rzuci obfity pęk światła na samą rzecz naszą.

Spółcześni idealiści dochodzą najczęściej do owej zasady z rozważania tego, co nam fizyologia i psychologia o sposobie poznawania ludzkiego podaje.

Biorą np. zmysł wzroku na uwagę. Z fizyologii, która — wartoby to raz po raz zaznaczać — na każdym kroku przyjmuje przedmiotowość zjawisk badanych, i cała buduje się właśnie na t. zw. doświadczeniu zewnętrznem, dowiadują się, że proces widzenia jest w wysokim stopniu skomplikowany; że od przedmiotu, który ma być widziany, muszą wychodzić promienie świetlne i przechodzić następnie w gałce ocznej przez cały szereg ciał, światło łamiących (rogówka, ciecz wodnista, soczewka, ciałko szkliste), że tak załamane promienie wytwarzają na tapetum nigrum, znajdującem się tuż pod siatkówką, obraz przedmiotu,

który czerwień wzrokowa chemicznie chwyta i na chwilę utrwala; obrazek ten chemiczny działa najpierw na czopki i laseczki neuronów obwodowych wzrokowych, te przenoszą odebrane pobudzenia zapomocą prądu nerwowego i przez kontakt dendrytów nerwowych na neurony dwubiegunowe, dalej na neurony zwojowe siatkówki, a następnie wzdłuż neurytów nerwu wzrokowego do neuronów ośrodkowych, których komórki znajdują się w pewnych częściach śródmóżdża (corpora geniculata) skąd dopiero neuryty niosą podrażnienia do najważniejszej części mózgowia, kory mózgowej w płacie potylicznym; tu wytwarza się znowu prawdopodobnie jakiś obraz przedmiotu, o który może się zaczepić i po którym dopiero może wystąpić właściwa czynność psychiczna, świadoma: widzenie przedmiotu.

Analogiczne szeregi procesów fizyologicznych znajdujemy też w spostrzeżeniach innych zmysłów. Psychologia zaś nie od dziś wykazuje, że wszelkie poznanie odbywa się przy pomocy pewnego rodzaju obrazów fizycznopsychicznych, które stara Szkoła mianem rozmaitych *species* ochrzciła.

Mając ten rezultat, osiągnięty jedynie na mocy przedmiotowości poznania naszego, potrzeba tylko mieć sporą dozę wątpienia na seryo i nie mieć za wiele konsekwencyi logicznej, a owa zasada idealistyczna wyłoni się zaraz jako dogmatyczne twierdzenie: więc my nie poznajemy przedmiotów samych, jeno owe *species* tj. subjektywne modyfikacye jaźni własnej.

Tak więc nawet sam subjektywizm jako subjektywizm bez objektywizmu obejść się nie może, a przy upozorowaniu podstawnej zasady swojej koniecznie na objektywizmie stanąć musi, wreszcie w samej tej zasadzie objektywizm suponuje i afirmuje. Jeżeli zaś przejdziemy na pole życia praktycznego, to tam i najbardziej radykalny idealista bywa zazwyczaj najbardziej dogmatycznym realistą. Stąd niektórzy myśliciele, aby uniknąć zgrzytnego rozdźwięku i rażącej sprzeczności między teoryą a praktyką, próbują wszelkiemi siłami z zatrzymaniem jednoczesnem podstawnego dogmatu idealistów uratować przedmiotowość i rzeczywistość, i uciekają się w tym celu do jedynej, ostatniej de-

ski ratunkowej — postulatu przedmiotowości i rzeczywistości [1], który ślepo, bez racyi, ale koniecznie przyjąć należy. Straszny to atoli ratunek dla umysłu ludzkiego: wyciągnąć go z dusznej kazamaty idealizmu, by go rzucić w bezdenną otchłań sceptyzmu.

Nie od rzeczy też będzie zwrócić na tem miejscu uwagę na to właśnie, że kto raz wszedł na seryo w to zaklęte kółko idealizmu, ten absolutnie z niego wydostać się nie może. Dantejskie: *Lasciate ogni speranza, voi che intrate,* stosuje się tu w całej pełni i sile. Kto raz pozrywał wszystkie kable, mosty, wszystkie możliwe połączenia z niejaźnią, a do tego wszelkie materyały na tego rodzaju połączenia pożogą zniweczył — ten nie może nigdy ani iskierki nadziei posiadać, by mu się kiedykolwiek udało z własnej kompletnie izolowanej jaźni coś, coby jaźnią nie było, wydobyć. „Zburzona rzeczywistość, słusznie uważa w podobnej materyi lipski myśliciel Wundt, nie da się przy pomocy samego, czystego myślenia odbudować. Jedynym wynikiem tego rodzaju usiłowań pozostanie przeto bezowocny subjektywizm“ [2]. Jest to zresztą spólna cecha wszystkich naprawdę niefilozoficznych systemów filozofii: chcą zaczynać swe dzieło od burzenia, niszczenia, niweczenia wszystkiego, a następnie niczego na tych gruzach nie budują, bo niczego zbudować nie mogą. Jest to psota wandalska, nie praca filozoficzna. Filozof winien swój przedmiot badać i w ten sposób do budowy świątyni mądrości pozytywnie rękę przykładać, „do tego atoli, jak dobrze wyraził się Balmes [3], ażeby badać, nie potrzeba niweczyć, tak samo jak na to, by zostać filozofem, nie potrzeba stawać się głupcem“. I sam Wundt [4] zaznacza, jako jedyne zadanie epistemologii, zachowanie bytu realnego tam, gdzie rzeczywiście istnieje, rozstrzygnięcie o jego istnieniu tam, gdzie to jest wątpliwe. Jakieby były logiczne następstwa subjektywizmu dla życia społecznego, moralnego, estetycznego, religijnego —

---

[1] Por. np. Sigwarta, *Logik*², I, str. 418.
[2] *System der Philosophie*, p. 99.
[3] l. c. p. 285.
[4] l. c. ib.

tego pokazywać i dowodzić może nie potrzeba [1]. Idealista, co na seryo i konsekwentnie swój idealizm lub solipsyzm pojmuje, jest wyrodkiem i wyrzutkiem społeczeństwa, i jako taki winien być stanowczo z niego usunięty i w odpowiednim zakładzie umieszczony [2].

A więc idealizm jako taki nie posiada za sobą i najsłabszych racyj, przeciwko zaś sobie ma tyle tylko, że jest sprzeczny sam w sobie, sprzeczny z naturą wszelkiego poznania, sprzeczny z naturą moralną i społeczną człowieka. To niech wystarczy na to, iżby oczywistość przedmiotowości w lepszem wystąpiła oświetleniu.

Ostatecznie całą tę rzecz pojmujemy w następujący sposób: Gdyby chodziło nie o początek poznania i badania filozoficznego, jeno o początek indywidualnego poznania ludzkiego wogóle, to oświadczylibyśmy się bez wahania za tem, że pierwszym aktem poznania jest spostrzeżenie jakiegoś przedmiotu zewnętrznego, niejaźni jakiejś; po takim dopiero akcie lub raczej w tym akcie samym następuje zwrócenie uwagi na siebie, jakaś introspekcya pierwsza, pierwotna, poznanie jaźni własnej. Od tej chwili zaczyna się w życiu wyróżnianie jaźni i niejaźni. Mielibyśmy w ten sposób dwie prawdy pierwsze: jedną, że istnieje rzeczywiście nieja, drugą, że ja sam istnieję [3]. Podobnie rzecz się ma z filozofem zaczynającym filozofować, z tą różnicą, że tu chodzi o same prawdy z pełną refleksyą poznane, i że tu konsekwentnie pierwszą filozoficznie taką prawdą będzie istnie-

---

[1] Nawet pruski myśliciel, E Hartmann, który w gruncie rzeczy przyjmuje podstawną zasadę idealizmu, zwraca raz po raz uwagę na jego niedorzeczne konsekwencye i sprowadza je ostatecznie do dziewięciu rażących sprzeczności. Dziwna rzecz, że z tego wszystkiego nie wyciąga wniosku, jako sama zasada idealistów jest z gruntu fałszywa, jeno że koniecznym postulatem naszego poznania jest: realizm transcendentalny. Por. *Das Grundproblem der Erkentnisstheorie,* zwłaszcza str. 125 i n.

[2] Por. Ladd, o. c. p. 367.

[3] Por. w tej mierze wielce suggestywny, jakkolwiek pod niektóremi względami do opozycyi wyzywający artykuł znanego neoscholastyka francuskiego hr. Domet de Vorgesa: *Les certitudes de l'experience.* W *Annales de phil. chrét.* Decembre 1897 i Janvier 1898.

nie jaźni samej, podmiotu, drugą zaś dopiero uznanie niejaźni, przedmiotu. W rzeczywistości zaś obie te prawdy widzimy jednocześnie w introspekcyi każdego aktu poznania.

Na tem kończymy ten ustęp. Pełna, refleksyjna introspekcya świadomości własnej wykazuje jak najdosadniej i najjaśniej: okropną niedorzeczność sceptycyzmu, niezmierną płytkość agnostycyzmu, straszliwą ciasnotę subjektywizmu; jednocześnie zaś stawia niewątpliwą rzeczywistość jaźni i niezbitą przedmiotowość niejaźni jako niespożyty i niewzruszony punkt oparcia rozmyślań filozoficznych. To nam tłumaczy, dlaczego nieraz filozofowie uważali ten jeden kamień węgielny za wystarczający w fundamentach świątyni filozoficznej [1].

IV.

Knowledge, ultimately considered, validates itself.
Ladd.

Kto na seryo i przez czas dłuższy zastanawiał się nad podstawami pewności, nad warunkami poznania prawdy, ten musiał nieraz przechodzić strasznie ciężkie chwile i śmiertelnie czarne godziny, ten musiał doznać na sobie licznych nagabywań nieznośnych przez wdzierające się przemocą do duszy pytania: cierpkie, dławiące, najskrajniej sceptyczne, ten też odczuć musiał potężnie, jak silne jest szamotanie się umysłu naszego, jak gwałtowny nieprzezwyciężony pęd natury naszej w kierunku prawdy, pewności.

Poznaję coś; to rzecz niewątpliwa — lecz czy ja na pewno prawdę poznaję? Posiadam nieraz pewność o jakiejś prawdzie, i to prawda — lecz czy ta pewność nie jest czczem złudzeniem tylko, przemijającem połechtaniem umysłowości mojej? Czy jest kto, coby mi zaręczył, że ja w jakimś przypadku nie mylę się, nie błądzę, jeno dotykam prawdy samej, tego ideału, do którego rwę się, za którym tęsknię i gonię, który jednak zawsze z pod rąk mi się wymyka i pierzcha z przed oczu moich, by mgiełka

[1] Z naszych filozofów ks, Pawlicki broni tego poglądu w rozprawie: „Kilka uwag o podstawie i granicach filozofii".

wichurą pognana? A zdaje się w onych chwilach człekowi najczęściej, że w istocie nikogo niema, że nic takiego niema, — że zostaje sam tylko zawieszony w jakiejś nieskończonej atmosferze zwątpienia, owszem, że zewsząd tylko dolatują mię jakieś głosy i powiewy, które mię w głębszą jeszcze przepaść i w noc jeszcze ciemniejszą wpędzają.

Do czegóż bowiem doszedł umysł ludzki, który przez tyle wieków wysilał się i targał, by dojść do prawdy, by posiąść pewność niezłudną? Zostawmy ogromną większość ludzkości, co pracą umysłową mało się zajmuje, na uboczu; idźmy do tej elity rodzaju ludzkiego, która dźwiga się wysoko ponad tłumy ze sztandarem nauki i filozofii. Cóż nam powie wiedza ludzka, co powiedzą ci mędrcy poważni, uczeni, myśliciele? Za ateńskim filozofem powtarzać nam będą, że nic nie wiedzą. A owa ignorancya zastąpi nam drogę wszędzie, gdzie tylko są ludzie, zawsze, odkąd tylko człowiek był na świecie. Zaprawdę jeśli czem i w czem jest człowiek ogromnie wielkim — to ogromem i w ogromie ignoracyi własnej.

A jednak wszyscy ci ludzie nie ustają ani na chwilę w szukaniu prawdy — biedzą się i mozolą coraz więcej na tem, by mylić się jak najczęściej, by błądzić jak najwięcej. Czyż nie miał słuszności Eklezyastes,[1] kiedy to zajęcie nazwał najnędzniejszem ze wszystkich?

Na zmysłach ma się budować poznanie moje, od przeświadczenia ma wychodzić wszelkie naukowe badanie. Tak wielu przynajmniej twierdzi. A przecież sama właśnie nauka pokazuje, że oczy moje widzą inaczej, jak jest w istocie, że widzą to, czego niema wcale, że uszy moje słyszą głosy i tony, które po za mną nie istnieją, że mię naprawdę wszystko myli i zwodzi. Więc oczy mię mylą, uszy mię mylą, powonienie mię łudzi, zwodzi mię fantazya, serce i uczucie mię zaślepia, sam rozum mię w błędy raz po raz wprowadza. Kiedyż ja się nie mylę, kiedy nie błądzę?

Co mi się wczoraj białem zdawało, dzisiaj za czarne uwa-

[1] „Et proposui in animo meo quaerere et investigare sapienter de omnibus, quae fiunt sub sole. Hanc occupationem pessimam dedit Deus filiis hominum, ut occuparentur in ea". 1, 13.

żam; co mię najwięcej bawiło w latach dziecięcych, to mię dziś smutkiem napawa; do czego się paliłem, o czem dniem i nocą marzyłem w latach młodzieńczych, przed tem dziś wzdrygam się, samo wspomnienie na to wstrętem mię przejmuje. Mój zapał dawniejszy, dziś mi się szaleństwem wydaje, moja prawda dawniejsza — fałszem, moja pewność — niemocą umysłową, szczęście moje — nędzą okrutną. Czy jest więc prawda na świecie? a jeśli jest, któż ją posiada? Ileż to sekt filozoficznych roiło się już na świecie, prawdy szukało — a któraż znalazła? Wszystkie dziś spoczywają w kośnicy błędów, omyłek, zboczeń ludzkich, którą eufemicznie historyą dziejów ludzkich zowiemy. Ile dzisiaj jest szkół filozoficznych, kół i koteryj naukowych — a czy znajdziemy chociażby dwu filozofów wybitniejszych, którzyby przynajmniej w rzeczach najbardziej zasadniczych tak samo sądzili i mówili? Każdy po swojemu sądzi, swoje oryginalne stawia twierdzenia; na co jeden: niewątpliwie tak, odpowiada, na to samo drugi: z pewnością nie tak, trzeci: tak i nie. Po której stronie prawda? Któryż sędzia zdobędzie się na stanowcze rozstrzygnięcie tego sporu? Zresztą po dzisiejszym sędzi przyjdzie jutrzejszy z innym wyrokiem, po jutrzejszym następny i tak w nieskończoność, a każdy następny będzie wykazywał błędy i fałsze swego poprzednika. A przecież jeżeli jest prawda, to chyba tylko jedna!

Czy więc poznaję ja prawdę, czy nie łudzę się ustawicznie? czy nie uważam za pewność tego, co jest marzeniem tylko i illuzyą? czy nie chodzę za błędnymi ognikami, mniemając, że mię ognisty słup prowadzi? czy nie myślę ja, że żyję, poznaję, badam w rzeczywistości, kiedy ja śnię tylko? Czyż mogłoby życie prawdziwie rzeczywiste składać się z samych sprzeczności: sprzeczności ze sobą, z uczuciami, z dążeniami swojemi, sprzeczności z otoczeniem, środowiskiem, ludźmi innymi? Czyżby świat cały nie był niczem innem, jeno ogromnym kopcem sprzeczności, które rodzaj ludzki w ciągu długich stuleci nagromadził, a do których każda nowa fala czasu nowe przynosi absurda?

Czy opłaci się zatem marzyć o prawdzie, o pewności, o wydzieraniu wewnętrznych tajemnic rzeczywistości? „Trawi nas

i pali pragnienie zgłębienia wszystkiego, wzniesienia wieży, coby do samej nieskończoności sięgała. Atoli każdy gmach nasz trzeszczy a ziemia otwiera się aż do samych otchłani“ [1].

Że ja jestem, że poznaję, że waham się i wątpię, że mylę się i błądzę — wszak o tem wątpić nie mogę, wszak tu prawdziwość mego poznania bezpośrednio widzę i stwierdzam niezbicie. Że A jest A, że dwa a dwa cztery, że mogę stawiać i zadawać sobie pytania, że mogę zastanawiać się nad tem, czym zbłądził, że nieraz poznaję, żem się pomylił i że w błędzie byłem, że mogę wątpić, kiedy nie mam przekonywających racyj o poznanej prawdzie, że mogę wydać niewątpliwe sądy, takie przynajmniej jak: ja istnieję, poznaję niejaźń, byt jest bytem, niebyt nie jest i nie może być bytem — to wszystko również jest mi zupełnie pewnem, niezbitem, niezaprzeczonem, nawet podczas najciemniejszej i najwywrotniejszej zawieruchy umysłowej.

A ileżto prawd, na pewno poznanych, suponuje, zawiera w sobie i stwierdza bez ogródki i wahania sam akt wątpienia! Najpierw wątpić o niczem jest rzeczą niemożliwą, mogę tylko o czemś wątpić; więc wątpienie samo musi się budować na jakichś niewątpliwych danych, na aktach poprzednich, pozytywnych, które prawdy dosięgły a pewność osiągnęły. Kiedy już dużo rzeczy poznałem, kiedy już przekonałem się o chwiejności wielu prawd namacalnie, wtenczas dopiero może wystąpić we mnie refleksya krytyczna i co do niektórych faktów i prawd wątpienie. Krom tego sama zdolność wątpienia to oznaka wysoce już rozwiniętej inteligencyi, to najlepsze stwierdzenie zdolności w sobie do poznania prawdy jako takiej. Jeden człowiek na ziemi jest w stanie wątpić o wielu rzeczach, on jeden jest prawdziwie animal scepticum — wszelkie bestye nie wiedzą i wiedzieć nie mogą, co to wątpienie.

A ten, co raz poznał, że się pomylił, że zbłądził, czyż nie stwierdza najwymowniej, że niema natury z gruntu wadliwej, na ustawiczne i zasadnicze błądzenie skazanej? Kto zaś swoje pomyłki i błędy raz po raz poznać i poprawić może, ten chyba

[1] Pascal, *Pensées*, l. 1 a. 4.

raczej posiada naturę w zasadzie na poznawanie i badanie prawdy przedmiotowej skazaną i przeznaczoną. — Zwierzęta wszystkie mają niewątpliwie jakieś wyobrażenie o świecie, może w części i do naszego podobne, różniące się w każdym razie na bardzo wielu punktach od rzeczywistości. A które zwierzę poznało kiedy choćby jeden błąd swój i choć raz jeden z refleksyą poprawiło się z niego? Żadne i nigdy dotychczas tego nie pokazało, nigdy też w przyszłości żadne czegoś podobnego nie dokaże, chyba, że któremuś uda się szczęśliwie *per absurdum* przeskoczyć ze zwierzęcia na człowieka! Atoli i wtenczas jeszcze błąd swój pozna i poprawi człowiek rozumny — nie zwierzę w zmysłowości łonie całe zanurzone.

A ileż to prawd niewątpliwych suponuje i zawiera w sobie jedno z refleksyą postawione pytanie! Kto stawia pytanie, ten szuka przynajmniej odpowiedzi: tak lub nie, szuka zatem stwierdzenia lub zaprzeczenia, czyli sądu pewnego; znać więc już musi doświadczalnie, co pewność i jej osiągnięcie [1]. Każde zaś pytanie o szczegółową cechę odnoszącą się do któregokolwiek elementu sądu suponuje z natury swej jakąś zasadę ogólniejszą jako pewną. I jak słusznie Sigwart zaznacza, bez przyjęcia czegoś ogólnego żadne pytanie nie jest wogóle możliwe [2].

A ileżto niezbitych prawd przedmiotowych zamyka w sobie i stwierdza z wszelką pewnością jeden sąd niewątpliwy!

Więc ja nie błądzę ustawicznie, więc nie ulegam ciągłej i wiecznej ułudzie, więc w niektórych, w kilku przynajmniej razach, poznaję prawdę przedmiotową niewątpliwie, niezawodnie, bezwzględnie.

Zatrzymajmy się na chwilkę przy niektórych z tych właśnie prawd niezbitych, niezachwianych. Dalsze bowiem niespożyte kamienie węgielne naszych posad filozoficznych same się nam tutaj pokażą i przedstawią.

Prawdy owe, jak: istnieję, $a = a$, $2 + 2 = 4$, są tego rodzaju i z tego powodu wielce charakterystyczne, iż kiedy je

---

[1] Cfr. Sigwart, *Logik*, I, p. 146 sq.

[2] Id. ib. II, 2 Aufl. 1893, p. 303.

poznajemy, to jednocześnie widzimy bezpośrednio, że rzecz tak się ma w istocie i że inaczej mieć się nie może. Poznanie takie, w którem rzecz jaką poznajemy z taką pewnością i z taką dokładnością, iż jednocześnie doskonale widzimy, że inaczej być nie może, zowiemy pospolicie i w mowie potocznej i w języku filozoficznym poznaniem oczywistem. Poznanie oczywiste a zwłaszcza oczywiste w najściślejszem tego słowa znaczeniu, to nic innego jeno owa bezpośrednia, doskonała intuicya umysłowa, mocą której nasz rozum poznaje jak najdoskonalej, jak najjaśniej i jak najwyraźniej, że rzecz tak się ma przedmiotowo, a inaczej absolutnie mieć się nie może.

Oczywistość można brać na uwagę w oderwaniu i konkretnie. Oczywistość konkretnie uważana — to nic innego jeno poznanie oczywiste konkretnie pojęte; oczywistość w oderwaniu — to owa świadoma doskonałość i intuicyjność takiego poznania.

Rozumie się samo przez się, że poznanie oczywiste lub oczywistość poznania, konkretnie pod uwagę wzięta, zawiera w sobie i sam akt poznania podmiotowy i przedmiot tegoż aktu poznania. Stąd pochodzi, że bardzo wielu filozofów, zwłaszcza neoscholastycznych, wyróżnia oczywistość podmiotową i oczywistość przedmiotową. Niektórzy (Tongiorgi, Liberatore, Palmieri, T. Pesch, Schmid, Frick, i i.) posuwają się nawet w tym względzie może nieco za daleko, gdyż ile razy mówią lub słyszą „oczywistość“ bez przydawki, to rozumieją przez to samą tylko oczywistość przedmiotu, zaś oczywistość podmiotową uważają za przenośnię wziętą z oczywistości przedmiotowej. Nie myślimy zapuszczać się w szczegółową dyskusyę tej kwestyi, bądź co bądź z natury swej dyalektycznej, zaznaczamy tylko, że przez ewidencyę, przez oczywistość rozumiemy zazwyczaj prawdziwą intuicyę umysłową jakiegoś przedmiotu posiadającego odpowiednie warunki po temu, a więc poznanie oczywiste, lub jeśli ktoś woli, oczywistość poznania (nie chcemy w tem znaczeniu używać wcale wyrażenia: „oczywistość podmiotowa lub subjektywna“), zawierającą zawsze i oczywistość samego aktu subjektywnie tylko uważanego (ewidencya subjektywna) i oczywistość przedmiotu owym aktem uchwyconego (ewidencya objektywna),

tak iż oczywistość nasza obejmowałaby według powyższego rozróżnienia obie oczywistości jednocześnie, na prawdę zawsze ściśle z sobą skojarzone, konkretnie nawet nierozłączne. W rzeczywistości bowiem przedmiot może być dla mnie wtenczas dopiero oczywistym, kiedy poznam go z oczywistością, skoro zaś tylko poznanie jakiegoś przedmiotu zaczyna tracić oczywistość i przedmiot, który dotychczas mógł być dla mnie oczywistym, przestaje dla mnie nadal być takim. — Że suma kątów wewnętrznych w trójkącie płaskim równa się dwu kątom prostym, jest dla mnie prawdą oczywistą. Kiedy jednak prawdę tę chcę po raz pierwszy uzasadnić uczniom pierwszej klasy gimnazyalnej, to ta sama prawda na początku godziny prawdopodobnie dla żadnego ucznia oczywistą nie będzie, a dla wszystkich uczniów może nawet nie będzie taką jeszcze i na końcu godziny. A chociaż nawet pod koniec czerwca suma kątów w trójkącie będzie oczywistą dla wszystkich uczniów pierwszej klasy, to z początkiem września w klasie drugiej będzie się można przekonać, że prawie dla połowy tych samych uczniów owa prawda znowu oczywista nie jest. Dlatego zdaje się nam, że i racyonalniej i mniej bałamutnie jest pojmować oczywistość w pierwszym rzędzie jako oczywistość poznania, rozumie się poznania jakiegoś przedmiotu i to w tym przypadku oczywistego, a dopiero następnie stosownie do potrzeby wyróżniać oczywistość podmiotową od przedmiotowej.

Oczywistość może być bezpośrednia lub pośrednia. Jeśli prawdę jaką chwytam bezpośrednio, stwierdzam ją niewątpliwie wprost intuicyą umysłową, np. że ja istnieję, że a = a; to oczywistość w tym przypadku będzie bezpośrednia. Jeżeli natomiast prawdę jakąś wysnuwam dopiero z innej prawdy bezpośrednio oczywistej lub z całego łańcucha prawd innych, albo też jeżeli dowiadują się o jakiejś prawdzie z wszelką pewnością od innych ludzi, to będziemy mieli do czynienia z oczywistością pośrednią. Np.: okrąg koła = 2 rπ, istnieje Australia (nigdy tam nie byłem). Dwa te przykłady tłumaczą jednocześnie znany podział oczywistości pośredniej na wewnętrzną i zewnętrzną.

Oczywistość wszelka, w pierwszym zaś rzędzie oczywistość

bezpośrednia, rodzi w nas ów stan wewnętrznego zadowolenia i ukojenia intelektualnego, który wszyscy pewnością nazywamy, a jednocześnie wywołuje w nas ową konieczność nieodzowną, objawiającą się nierozłącznie w każdym oczywistym sądzie.

Konieczność owa atoli, jak trafnie zaznacza myśliciel z Tybingi [1], może występować w naszej świadomości rozmaicie. Wydajemy bowiem całe mnóstwo sądów z niekłamaną, jakkolwiek nie pod każdym względem uświadomioną pewnością, która w takich razach nie myśli wcale o możliwości błędu, lub o tem, że rzecz w tej chwili inaczej absolutnie mieć się nie może. Tak się rzecz ma, ilekroć wypowiadamy cokolwiek o stanach własnej świadomości. I tutaj jednak, a nawet tu przedewszystkiem, mamy do czynienia z bezpośrednią oczywistością, z najwłaściwszą intuicyą umysłową. Zresztą wystarczy najzwyczajniejszy akt refleksyi, ażeby uświadomić sobie ową konieczność wydanego sądu i ową niemożliwość, iżby rzecz mogła się mieć inaczej, jak to sądem stwierdzamy.

Natomiast w prawdach oczywistych ogólnych dzieje się pospolicie tak, że kiedy taki sąd pewny wydajemy, to nietylko czujemy pewność zupełną i uspokojenie wewnętrzne, ale jednocześnie mamy od razu świadomość i konieczności owej i owej niemożliwości jakiegokolwiek przeciwieństwa.

Tem się tłumaczy, dlaczego niektórzy autorowie zacieśniają pojęcie oczywistości i odnoszą ją jedynie do prawd oderwanych, ogólnych. W taki sposób postępuje np. Balmes, który wprost twierdzi, że świadomość nie ma nic wspólnego z oczywistością [2], a za konieczny warunek sądu oczywistego stawia, iżby był i konieczny i ogólny [3].

Nie znajdujemy ni u Balmesa ni u innego znanego nam autora żadnej racyi przemawiającej za tego rodzaju, co najmniej niepotrzebnem, zacieśnieniem i ograniczeniem oczywistości, tem bardziej, że każdy filozof i człowiek każdy powołuje się i powoływać się będzie na oczywistość wtenczas przede-

[1] Sigwart, l. c. I, p. 241 sq.
[2] l. c. p. 51.
[3] ib. p. 119 sq.

wszystkiem, kiedy idzie mu bezpośrednio o stany psychiczne własnej samowiedzy [1].

Tyle o samem pojęciu oczywistości i oczywistego poznania.

Weźmy teraz na uwagę jedno takie poznanie oczywiste — dajmy na to: poznaję, że byt nie jest niebytem. Oczywista rzecz, że kiedy oczywiście poznaję tę prawdę, to jednocześnie nie mniej oczywiście poznaję, że to, co poznaję, jest w istocie prawdziwe; czyli poznaję tem samem z oczywistością, że moje oczywiste poznanie prawdy owej jest poznaniem prawdy przedmiotowej. I ile razy poznaję z bezpośrednią oczywistością czy tę samą prawdę, czy coś innego, tyle razy jednocześnie z taką samą bezpośrednią oczywistością widzę i poznaję, że to, co w taki sposób poznaję, zgadza się z prawdą przedmiotową — innemi słowy: każdym razem niezbicie stwierdzam, że to, co w danym razie z bezpośrednią oczywistością za prawdziwe uznaję, jest w istocie przedmiotowo prawdziwe. Ostatecznie zatem: w każdem bezpośrednio oczywistem poznaniu konstatuję jednocześnie z taką samą oczywistością powtarzający się zawsze ten sam fakt — poznania każdym razem prawdy przedmiotowej. Fakt ten można stosownie i wygodnie nazwać faktem oczywistości.

Jeżeli teraz fakt ten, z oczywistością niezachmurzoną i niczem niezamąconą stwierdzony, wypowiemy jako zdanie ogólne, mieć będziemy sąd również bezpośrednio oczywisty: co z bezpośre-

---

[1] Wundt (*Logik*, 2 Aufl. 1893. I B. d. p. 81 sqq.), omawiając logiczną ewidencyę, wyraża się dosyć niejasno: z jednej bowiem strony sprowadza oczywistość do poglądowości *(Anschauung)*, na co się nam stosowniejsza nazwa intuicyi wydaje, z drugiej zaś zdaje się przyznawać charakter oczywistości, podobnie jak to Balmes robi, samemu tylko poznaniu prawd ogólnych.

Mimochodem zauważyć tu nie zawadzi, że spółcześni logicy i epistemolodzy, z wyjątkiem filozofów neoscholastycznych, traktują niewątpliwie bardzo ważną i zasadniczą kwestyę oczywistości zbytnio po macoszemu. W grubych, nieraz kilkutomowych logikach Wundta, Sigwarta, Schuppego, Hobhousea, Bradleya, nawet w gruntownej epistemologii Ladda, nie spotykamy prawie nic albo bardzo mało uwag o oczywistości — jakkolwiek ci sami autorowie w ciągu dzieł swoich raz po raz do oczywistości się odwołują i odwoływać muszą, stwierdzając tem samem jej prawdziwą doniosłość i zasadniczość.

dnią oczywistością poznaję, jest przedmiotowo prawdziwe, lub krócej: oczywistość jest kryteryum prawdy. A to nie jest nic innego tylko znana zasada oczywistości.

Tak pojmujemy fakt i zasadę oczywistości a jednocześnie i oczywistość ich [1].

Ta zasada oczywistości nie różni się na prawdę zasadniczo od znanej zasady Descartesa i Kartezyanistów późniejszych. Nie trzeba jednak zapominać, że i sformułowanie i umotywowanie owej zasady jest u tych myślicieli po największej części niejasne i bałamutne, a niekiedy nawet z gruntu fałszywe. — Balmes znowu stawia zasadę oczywistości prawie w tych samych, co my, słowach, występuje atoli na samym wstępie z bardzo ciężkim zarzutem, stawiając iście paradoksalną tezę: zasada oczywistości nie jest oczywista [2]. W rzeczywistości trudność to dla Balmesa bardzo poważna, prawie nawet nierozwiązalna. U Balmesa bowiem, jakeśmy to już po części zaznaczyli, oczywistem może być tylko sąd tego rodzaju, w którego idei podmiotu można widzieć bezpośrednio orzeczenie. Fakt i najbardziej oczywisty, podobnie zatem i uogólnienie takiego faktu, w pojęciu Balmesa oczywistym być nie może. Oczywista rzecz, że w tej supozycyi nie trudno jest Balmesowi wykazać nieoczywistość zasady oczywistości. Dlatego też Balmes trudności rozwiązać nie mógł i nie rozwiązał, owszem za tezę swoją ją przyjął — a w uzasadnieniu zasady oczywistości musiał, chcąc nie chcąc, przynajmniej mały palec podać sceptycyzmowi i uciec się do „nieprzezwyciężonego instynktu natury“ [3]. Nam się zdaje, że wystarczy zrozumieć zarzut Balmesa, by jednocześnie zrozumieć prawdziwą nieprawdziwość jego tezy. Dlatego też dalsza dyskusya byłaby chyba zbyteczna.

Niektórzy autorowie [4] omijają trudność Balmesa w ten sposób, iż zupełnie inaczej i od Balmesa i od nas pojmują zasadę

---

[1] Podobnie pojmuje oczywistość zasady oczywistości ks. M. Morawski w wyżej cyt. dziele na str. 336.

[2] l. c. p. 178.

[3] l. c. p. 180.

[4] Cfr. Pesch l. c. n. 792 ad 6, Frick l. c. i w. i.

oczywistości. Według nich brzmi ona co do słów tak samo: co jest oczywiste, to jest prawdziwe; trzeba jednak rozumieć przez to zupełnie co innego, mianowicie: co jest oczywiste przedmiotowo, to jest prawdziwe, czyli: co jest oczywiście przedmiotowo prawdziwe, to jest przedmiotowo prawdziwe. Zasada oczywistości tak zrozumiana i pojęta, jest niewątpliwie dla każdego oczywista, ale może dodawać zato nie potrzeba, że to już nie jest zasada oczywistości, jeno tożsamości!

Uprzytomniliśmy sobie oczywistość samą, fakt jej i zasadę, jako też niezbitą oczywistość i faktu samego i zasady oczywistości. Chwilkę jeszcze uwagi, iżby unaocznić sobie, czem oczywistość jest dla każdego człowieka, w pierwszym rzędzie dla filozofa każdego, ażeby jasno uświadomić sobie, jak ważny, zasadniczy, podstawowy to czynnik w każdem poznaniu i wszelkiem badaniu. Długich zresztą rozmyślań na to już nie będzie potrzeba.

Wszelkie poznanie nasze, czy ono odnosi się do jakichkolwiek prawd ogólnych, idealnych, czy też do prawd i faktów szczegółowych, rzeczywistych, buduje się na oczywistości poznania; na fakcie oczywistości, jeżeli wprost poznajemy cokolwiek z pewnością, na zasadzie oczywistości, kiedy poznanie jest refleksyjne. Wszędzie i zawsze przyjmujemy coś za prawdę, stwierdzamy coś jako fakt, ostatecznie dlatego, że z oczywistością to poznajemy. I tak cały obszar wiedzy ludzkiej, chociażby poręcze jego w samą nieskończoność zachodzić miały, i to zarówno poznania naturalnego, jak naukowego i filozoficznego, spoczywa i opiera się ostatecznie na oczywistości. W tem znaczeniu oczywistość stanowi najwalniejszy i najwszechstronniejszy fundament wszelkiego poznania, tak dobrze krytycznego, jak niekrytycznego.

To też w całem poznaniu naszem, dążymy nieustannie wszystkiemi siłami, całym pędem natury do owej oczywistości. Wszystkie nasze rozmyślania i rozstrząsania, indukcye i dedukcye, argumentacye i tłumaczenia, cała i najbardziej wytężona refleksya nad poznaniem własnem, ciągła krytyka i ścisła kontrola naszych sposobów i środków poznawczych, wszelkie prze-

strogi i prawidła logiczne, wszystkie uwagi i wskazówki metodyczne, wszystkie kryterya szczegółowe, same nawet powątpiewania i zaprzeczenia — nic innego nie chcą, nie inny cel mają, jak tylko, ażeby tem łatwiej i tem pewniej można było dojść do owej oczywistości poznania[1]. A kiedy pragniemy przekonać kogo o prawdzie jakiej i nakłonić go do uznania jej, to znowu wszystkie dowody i wyjaśnienia nasze, jakie mu podajemy i przywodzimy, zmierzają do tego jedynie, by on sam rzecz zrozumiał, czyli ażeby wywołać w nim ową oczywistość poznania. Skoro zaś po wyczerpaniu całego zapasu racyi nie możemy antagonisty swego żadną miarą zniewolić do przyznania nam słuszności, to i wtenczas nawet nie dziwimy się temu, iż on prawdy przez nas bronionej uznać nie chce, jeno raczej temu, iż on nie zrozumiał jeszcze rzeczy samej, że nie zdołał poznać jej oczywiście. — Lub kiedy znowu zaczyna nas kto do muru przyciskać, atakować natarczywie, dlaczego uznajemy coś za prawdę, to prędzej czy później dochodzimy niewątpliwie do prawdy jakiejś, o której mówimy po prostu, to mi jest bezpośrednio i najzupełniej oczywistem. Oczywistość to ostatnia racya, to nieprzekraczalna baryera w uzasadnieniu wszelkiem — po za nią umysł nie idzie dalej, iść nie może dalej, ani też iść nie potrzebuje dalej, bo oczywistość to nie tylko ostatnia racya, ale jednocześnie i najlepsza, najsilniej przekonywająca racya. Trzeba nierozumu, dużego nierozumu trzeba na to, by ową baryerę choćby czczemi słowami przekroczyć.

A zatem, skądkolwiek refleksyę naszą zaczniemy, z jakiegokolwiek punktu widzenia rzecz uchwycimy, z którejkolwiek strony do kwestyi przystąpimy; wszędzie i zawsze: spód sam, trzon sam, rdzeń sam — więc najwłaściwszą podwalę i posadę całej naszej pracy umysłowej stanowi oczywistość poznania.

Poznanie oczywiste dopiero jest w stanie zrodzić w nas ową konieczność, która w istocie zawiera się i ujawnia w ka-

[1] Z tego powodu nie wydaje się nam bardzo poważnym zarzut Rabiera (*Leçons de philosophie*, II, *Logique* 3éd. 1894, p. 378), że gdyby ewidencya była zawsze niewątpliwym znakiem prawdy, toby zgoła niepotrzebna była cała logika.

żdym pewnym sądzie. Oczywistość dopiero sprowadza nas w owo znane zadowolenie wewnętrzne, zaspokaja całkowicie wszystkie wymagania i potrzeby naszej umysłowości, wywołuje najwłaściwszą pewność, niewątpliwą a pogodną, bezwzględną a spokojną — ona jest prawdziwie ostateczną racyą, ostatnią bezpieczną kotwicą wszelkiej pewności naszej.

Oczywistość również dopiero zniewala nas w sposób nie ubliżający naszej godności do uznania za prawdziwe tego, co poznajemy, będąc ostatecznie jedyną rękojmią i gwarancyą poznanej prawdy — to też jest ona najwłaściwszem i najpowszechniejszem kryteryum prawdy logicznej. Jest to prawdziwie najwyższy trybunał nasz w dziedzinie poznania, od którego niemasz i nie może być apellacyi [1].

Oczywistość też uświadamia, wzmacnia, gwarantuje nam ową ufność niezachwianą i wiarę rozumną w siebie, we własne siły umysłowe, na których polegać możemy bezpieczniej i silniej, niż na czemkolwiek innem. I tej ufności w siebie, tej wiary w rozum własny nikt nam na świecie ni z piersi ni z głowy ni z duszy wydrzeć nie zdoła. Ktoby zaś stracił owo zaufanie sobie, ten wszystko stracił, ten już nie może polegać na żadnej

---

[1] Dla naszego szkicu tyle najzupełniej wystarczy o oczywistości jako o kryteryum prawdy. Rozumie się samo przez się, że nie możemy tu zapuszczać się w dyskusyę licznych innych kryteryów, występujących często w rozmaitych systemach filozoficznych, jak również wdawać się nie możemy w sporne szczegóły neoscholastyków, między którymi wielu, bojąc się nieco Kartezyusza, chce koniecznie widzieć kryteryum prawdy w samej oczywistości przedmiotowej. Naszem zdaniem możnaby ująć całą rzecz o oczywistości i o kryteryum prawdy sposobem neoscholastycznym w następującą tezę: Podmiotową cechą prawdy logicznej czyli właściwem i powszechnem kryteryum poznania ludzkiego a jednocześnie ostateczną racyą pewności naszej jest oczywistość poznania czyli prawdziwa intuicya samego przedmiotu. Właściwą miarą prawdy logicznej i kryteryum w tem znaczeniu jest oczywistość samego przedmiotu (konkretnie uważana) czyli sam przedmiot poznany. Wreszcie kryteryum w znaczeniu modły idealnej lub wzoru normalnego, z którymby można zestawiać i porównywać każde szczegółowe poznanie, jest poznanie jaźni własnej dla prawd porządku rzeczywistego, zasada tożsamości czyli niesprzeczności dla prawd porządku idealnego.

choćby najtrwalszej podwali, na żadnym drugim człowieku, ten Bogu samemu zaufać nie może.

Z tem się łączy pewna, jakkolwiek w ciasnych tylko granicach się obracająca, bezwzględność i nieomylność poznania ludzkiego i każdej filozofii rozumnej. Wszystkie filozofie względności, czy pesymizm hartmannowski, czy neokrytycyzm renouvierowskiej szkoły, czy neokantyzm wielu niemieckich myślicieli, które zrezygnowały z absolutnej, nieomylnej pewności, nie mogą się naprawdę żadną miarą uchronić przed najstraszniejszym, najbardziej tyrańskim, najnierozumniejszym absolutyzmem — rzeczywistej skepsis powszechnej. Jedyna tylko furtka niekonsekwencyi, może te filozofie stamtąd odwodzić, jak w istocie ciągle odwodzi.

A zatem oczywistość: i dlatego, że jest w każdym sądzie niezbędna, że jest sama najoczywistsza, że będąc w swojej dziedzinie zawsze ostatnią i wszędzie się znajdując, do niczego się sama sprowadzić, przez nic się dowieść nie da, i jako podwalina ostateczna całego poznania, i jako racya ostatnia wszelkiej pewności, i jako właściwe powszechne kryteryum prawdy — jest niewątpliwie spleciona jak najściślej z właściwemi fundamentami filozofii i zajmuje tam bezsprzecznie miejsce pierwszorzędne.

W taki sposób fakt oczywistości przedstawia się nam jako jeden z owych niespożytych kamieni węgielnych, na których dźwigają się niezłomne filary filozoficznej świątyni. Rzecz prosta, że absolutnie można tę samą prawdę sformułować z Tongiorgim[1] i innymi filozofami, jako zdolność umysłu naszego do poznania prawdy przedmiotowej; zdaje się nam jednak, że przez takie postawienie i może przez nie bardzo potrzebną ogólnikowość sama rzecz z mniejszą występuje oczywistością, a przez to na większe naraża się trudności — jak zresztą najlepiej dowodzi tego, wystąpienie filozofa belgijskiego. Myli się atoli naszem zdaniem, D. Mercier,[2] kiedy twierdzi, że prawda ta jest

---

[1] l. c.

[2] *La théorie des trois vérités primitives. Revue Néo-Scol.* 1895, p. 18 sqq. *Critériologie générale* 1899, n. 56.

tylko koniecznym warunkiem ontologicznym poznania, nie zaś pierwotną zasadą i fundamentem logicznym. W każdym bowiem sądzie pewnym sama prawda logiczna jest zawsze stwierdzona i poznana, a tem samem każdy sąd suponuje zdolność poznania prawdy, lub raczej fakt oczywistości nie tylko jako warunek ontologiczny, lecz także jako ostateczny fundament logiczny.

(C. d. n.)

Ks. Jan Nuckowski.

Z za kulisów schizmatyckiej propagandy.

(Dokończenie).

II.

Nie trzeba myśleć, że galicyjskich Rusinów-emigrantów witano w Rosyi z otwartemi ramionami. Pogardzano nimi i obawiano się ich. W jednym ze swych listów pisze Łebedyńcew: „Żal, że Czerkawski patrzy z nieufnością na Galicyan a wszystkie słowiańskie narody nazywa oszustami i żebrakami". (Kwiecień, strona 51). Postanowiono też z początku wezwać z Galicyi do gimnazyum nie więcej, jak 2—3 nauczycieli, i to tylko wtenczas, gdy wyczerpią się wszelkie środki do wyszukania nauczycieli rosyjskich, dla ludowych zaś szkół nie więcej, jak 10—15 nauczycieli na dwie dyrekcye, jednak z jak największą oględnością i ostrożnością ze względu na ich polityczne zapatrywania. „Witte — pisze Łebedyńcew — nazywa to wązkim poglądem i formalizmem a obawy na karb separatyzmu omal że nie głupotą. Oto co znaczy — uczciwy Niemiec!" (Marzec, str. 350).

Jak widzimy więc, gardzono Galicyanami, jak wogóle wszystkimi słowiańskimi narodami, obawiano się zaś ich dlatego, by do Rosyi nie wnieśli separatyzmu. A separatystami nazywano w Rosyi wszystkich Ukraińców, którzy śmieli marzyć o rozwoju ukraińskiego narodu i wierzyć w samoistność swego języka.

Z Kijowa również zapytuje Łebedyńcewa brat, czy nie zachwyca się on halickimi Rusinami? Na to odpowiada Łebe-

dyńcew, że w braku sił nauczycielskich on zachwyciłby się nawet Tatarami. „A zresztą jestem sam przekonany, że skupienie Haliczanów (będzie ich około 6) w Chełmie nie może być korzystnem i zawczasu prosiłem Wittego, by ich r o z s o r t o w a ł z przekształceniem szkoły w Grubieszowie, bielskiego gimnazyum i siedleckiego progimnazyum. Że Witte zgodzi się na to, o tem nie wątpię. Nie piszcie jednak o tem Krzyżanowskiemu, gdyż on nie cierpi Haliczanów, a jemu trzeba będzie narzucić chociażby tylko jednego". (Kwiecień, str. 56).

A jednak Rosya musiała zbliżyć się do Galicyan. Było jej trzeba duchowieństwa, które wzmocniłoby miejscowych unitów, lecz takich, „którzy niedalecy od prawosławia", a przy przekształceniu chełmskiego okręgu na *russkij centr* przez zakładanie szkół brakowało jej odpowiednich sił nauczycielskich. I jednych i drugich spodziewała się Rosya znaleźć w Galicyi. Wprawdzie rząd rosyjski mógł w razie konieczności zaopatrzyć się w siły nauczycielskie, sprowadzone z głębi kraju, jednak sam Łebedyńcew przyznaje, że z 64 ludzi, Rosyan, którzy wnieśli podania o posady nauczycieli, prosi się po większej części sama hołota: „puścić ich, znaczyłoby okryć hańbą Rosyę i zepsuć sprawę" (Marzec, str. 338).

W tym czasie żaden porządny Moskal nie poszedłby nawet na służbę do Królestwa Polskiego. Rusin galicyjski, malarz i poeta, Kornel Ustyanowicz, zwiedzając Rosyę w r. 1867, poznał tam Moskala, biednego czynownika, który dlatego był biednym, że nie chciał kraść i upadlać się. Gdy mu Ustyanowicz radził, by dla większej płacy i prędszej emerytury przeniósł się na służbę do Królestwa, on odpowiedział: „Mam iść do Polski? U nas porządny człowiek nie pójdzie na służbę do Polski. Jak można nieszczęśliwy naród deptać nogami?" (K. Ustyanowicz, *Rajewskij i rosyjskyj panslawizm.* Lwów 1884, str. 32—33).

Mogła Rosya znaleźć niemało nauczycieli pomiędzy miejscowymi unickimi księżmi, za czem był nawet Czerkawski, jednak Łebedyńcew boi się tego, przeciwdziała temu i woła: „przepadniemy, jeśli przysadzą do nas tych chytrych ludzi i oszczerców". (Marzec, str. 351).

Zresztą Galicyanie sami wpraszali się na posady nauczycielskie w Chełmie. Czerkawski i Witte zadecydowali więc, by Łebedyńcew pojechał do Lwowa, przypatrzył się tym unitom, którzy chcą emigrować do Chełmu, by jednak przytem „nie mówił im nic stanowczego“. (Marzec, str. 349).

W listopadzie 1865 r. wybrał się też Łebedyńcew do Lwowa, skąd powrócił do Chełmu dnia 2 grudnia. Pobyt swój i wrażenie opisuje on bratu w dłuższym liście. Wyjmujemy z niego rzeczy najciekawsze:

„Byłem więc w centrum Unii, w środku „chachłomanii“. Wiele osobliwego i ciekawego, jednak wszystko nie da się opowiedzieć. By nie powtarzać się, będę pisał po porządku. Bałem się austryackiej komory, gdyż wiozłem ze sobą książki. Niepokoiło mnie także to, jak będę z Niemcami rozmawiać, nie umiejąc po niemiecku. Zaszła jednak niespodzianka. Naczelnik rosyjskiej komory, Szeweljow, napisał list do naczelnika austryackiej komory z prośbą, by okazano mi wszelkie możliwe względy. Ten mówi po polsku, a przeczytawszy list, puścił mnie bez najmniejszej rewizyi. Smutne wrażenie zrobiła na mnie z początku Galicya, może być dla tego, że jechałem w złą pogodę, lecz niemniej dla tego, że smutno było patrzeć na nasz rodzinny kącik, zeszpecony pod podwójną władzą Polaków i Niemców... Po drodze zatrzymywałem się z wielkiem zainteresowaniem przy spotkaniu z wieśniakami i rozmawiałem z nimi. Wszystko to samo, co i u nas: chaty, stodoły, chlewy, odzież, język, chód, pogląd, rysy twarzy — i nienawiść do Lachów. Tylko słupy wszędzie austryackie i napisy niemiecko-polskie. To osobliwie mnie gniewało. Cerkwie takie same, jak w Chełmszczyznie i jakie u nas były jeszcze nie bardzo dawno, np. w Sygedyńcach, w Żurawce. Widać, że architektura była niegdyś wszędzie wspólna, na całej przestrzeni małoruskiej ziemi. W miasteczku Rawie zaszedłem do ks. Pasławskiego i tutaj po raz pierwszy usłyszałem naturalny język małoruski, używany nie dla grymasu, z ust samego księdza, jego żony i córki-panny. Przyjechałem do Lwowa wieczorem i poszedłem do teatru ruskiego. Grano moralizującą sztukę: *Pidhiriany* (Podgórzanie), której temat wzięty z życia

karpackich Rusinów. Sztukę ułożył ksiądz (Huszalewicz), muzykę podłożył ksiądz (Wierzbicki), w teatrze widać było wszędzie księży. Przyszedłem przed początkiem przedstawienia: grała wspaniała wojskowa muzyka, złożona z Czechów. Wtem otwierają się drzwi, wchodzi jakiś ksiądz w piusce; wszyscy obecni wstali z miejsc, kłaniając się. Za nim idzie drugi ksiądz, bardzo stary, ledwie stąpa nogami, zgarbiony, opiera się o laskę. Pytam sąsiadów: co za ludzie? — odpowiadają: metropolita Litwinowicz i przemyski biskup, Polański. Podniosła się kurtyna a na scenie pojawiła się bogato ubrana i bardzo piękna dziewczyna. Co powiedzianoby u nas? A tutaj nic; wszystko w należytym porządku, nikogo nie dziwi obecność biskupów w teatrze. Na scenie grają po małorusku, cała publiczność mówi po małorusku, kawalerowie z damami szepcą i darzą się komplementami również po małorusku i nikt nie może posądzać ich o separatyzm, kaprys, lub dziwactwo. Tutaj rzeczywiście czujesz, że język małoruski nie jest zabawką, lub dziwactwem, lecz jedyną naturalną rozmową, gdyż byłoby rzeczywiście dziwnem, gdyby mówiono po niemiecku lub po polsku. Siedząc w teatrze sam jeden, niemając żadnego znajomego, wgłębiałem się długo w to wyjątkowe tutaj położenie małoruskiego języka, który zatrzymał pełne prawo obywatelstwa w jednym tylko niewielkim kącie obszernej małoruskiej ziemi i dziwnem mnie wydało się, że we wszystkich innych kątach tejże i nawet więcej rdzennej małoruskiej ziemi ten sam język bywa uważany za prosty i gruby i śmieszny a nawet przestępny... Tak dalece przewróciły się pojęcia u ludzi! O sobie zauważam, że mówiąc po małorusku z Kuliszem i Biłozerskim, czułem się skrępowanym, nienaturalnym, a we Lwowie nie zauważyłem nic podobnego od początku do końca, a teraz — znowu dla mnie dziwnem wydaje się, przemówić do kogo po małorusku. Dziwne rzeczy!"

„Na drugi dzień byłem u metropolity Litwinowicza. Mieszkanie jego niewielkie, jednak pięknie urządzone; ekwipaż jego, jak mówią, pierwszy w Galicyi, służba mówi po małorusku. Człowiek z niego rozumny, rzutki i obrotny. Na mnie popatrzył z wielką nieufnością, chociaż przyjął delikatnie i z szacunkiem.

Gdy byłem u niego po raz drugi, był względem mnie zupełnie inny, przyjął mnie z taką serdecznością, z taką czułością, że dotąd nie mogę zapomnieć jego pożegnania ze mną, gdy on, wziąwszy mnie za głowę obiema rękami i błogosławiąc, przemawiał: „Niech was Bóg błogosławi, którędykolwiek obrócicie się, na wszelkie dobre dzieło! Niech wam Bóg wynagrodzi, że i na nas biednych nie zapominacie (przed pożegnaniem była mowa o kupowaniu u nich ksiąg, co dałoby znaczną zapomogę dla Stauropigii, o prenumerowaniu *Nedili* (tygodnika), która bez tego musiałaby upaść), i dla moich ziomków trudźcie się i wyrywajcie ich z zębów tych przeklętych Lachów!“ Sejm zrobił w nim stanowczą przemianę; dotąd posądzali go Rusini o skłonność do polonizmu [1] i katolicyzmu (!), teraz okazał się on zupełnie innym. Rusini zachwycają się, i ja wierzę, że nie nadarmo. Wobec niebezpieczeństwa, Litwinowicz stanął na czele Rusinów i wstąpił w rozpaczliwą walkę z Polakami, których przedemną także hańbił na czem świat stoi“.

„Byłem potem u kanonika Petruszewicza, bardzo uczonego

---

[1] O ile wnosić możemy, Litwinowicz nigdy nie był polonofilem. Gdy powstanie polskie z r. 1830—1831 znajdowało między młodzieżą w seminaryum ruskiem we Lwowie i Wiedniu gorących stronników, Spir. Litwinowicz, podówczas alumn wiedeńskiego seminaryum, miał denuncyować przed policyą tych swoich kolegów, o których wiedział, że sprzyjają powstaniu. Wkrótce zaś po powstaniu napisał wiersz, zdradzający nietylko nienawiść do Polaków, ale nawet radość z powodu stłumienia powstania. Podajemy ten wiersz w całości:

Aryia.

Kto Lach, ma strach;
Car zdrayców żwawo przypiera,
Wolność zmyśloną wydziera,
Obrońcom praw — łby pustych paw,
Wyniszcza dumy szczęt.
Paszkiewicz niech żyje!
Na zgubę — na czyję?
Lachów, Lachów, Lachów, Lachów!
Hop, hop! Hop, hop! Hop!

Lach drżał, by strzał
Pierś mu nie skruszył spodloną,
Krzywą przysięgą złożoną,

męża, który wiele lat trudzi się nad ułożeniem porównawczego słownika wszystkich słowiańskich narzeczy; u Hołowackiego — bardzo dobry staruszek; i u Didyckiego, redaktora *Słowa* — bardzo żywy i energiczny człowiek. Petruszewicz mieszka w 2 malutkich pokojach, literalnie założonych książkami; Hołowacki, bardzo pojedynczo a nawet ubogo, a Didycki, prosto po burłacku, w jednym pokoju razem z redakcyą. Bieda i prostota — to charakterystyczne rysy halickich Rusinów".

„Byłem kilka razy w kasynie, mieszczącym się w Narodnym Domu. Od rana do wieczora zobaczysz tutaj Rusinów. Czytają gazety, grają w bilard i karty, rozprawiają o wszelkich możliwych sprawach i rozstrzygają różne pytania".

„Byłem także 5 razy w sejmie. Ogromna sala, z galeryami po trzech stronach. Ławki dla posłów wspaniałe, z jasionowego drzewa, z miękkiemi, bogato obitemi poduszkami, na których zasiada 20 prostych włościan w siermięgach i kożuchach. W jednym rzędzie z Kowbasiukiem siedzi hr. Adam Potocki. Dla marszałka urządzona bardzo bogata estrada; siedzi na pięknem złoconem krześle i uroczystem uderzeniem buławy wzywa do

---

Zmykając w tył, Moskala bił
Wysłanem pismem w świat.
Paszkiewicz niech żyje i t. d.

Więc znay: twóy kray
Zdradą okropną znękany,
Przyjdzie pod wszech Rossii pany!
A próżny plan w zapale dan
Ochłodzi Sibir w czas.
Paszkiewicz niech żyje i t. d.

(Porównaj: *Żytie i Słowo,* t. III, str. 112—114).

Można wnosić także, że Litwinowicz nie był przychylnie usposobiony dla Polaków po roku 1860. Za jego inicyatywą stało się, że Rusini złamali umowę z Polakami i w r. 1861 wysłali posłów do Wiednia, by iść ręka w rękę z Niemcami. Oddany Austryi całą duszą, był Litwinowicz mianowany w czerwcu 1863 r. metropolitą lwowskim. Niema wątpliwości, że i on (podobnie jak rząd austryacki) uważał podówczas Polaków za element rewolucyjny i przychylnym im nie był. Że współcześni mu ludzie posądzali go o polonofilstwo, da się wytłumaczyć tem, że Litwinowicza, człowieka hardego, strasznego despotę nawet względem swych kanoników, których haniebnie poniewierał, nie lubiano.

porządku. To Sapieha, który uciekł z Rosyi w roku 1831, człowiek rozumny i okazały, jednak z wielkim honorem. Odziany w kontusz".

„Polacy zachowują się w sejmie, jakby w karczmie, trochę rozwięźle. Położenie włościan dość niewygodne, chociaż także zachowują się swobodnie. Górnolotne mowy dla nich niezrozumiałe, puste dysputy powodują nudy i byłem świadkiem, jak jeden „chachoł" pośród kwiecistej mowy jakiegoś Lacha, rozziewał się na całą gębę. Zapytano raz jednego z tej szanownej kompanii, co znaczy paragraf? — „E! to brzydka sztuka! o, tak, dwa haczki, z jednego końca haczek i z drugiego końca haczek, czy na jednym, czy na drugim zawsze zaczepisz się". Co będą robić ci posłowie w Wiedniu, w parlamencie, gdzie wszystkie debaty odbywają się w języku niemieckim? W 1848, czy w którym innym roku, chłop Rusin dostał się do parlamentu i ziewał, rozumie się, ile tylko mu się chciało, chociaż nie spał, co bardzo dziwiło Niemców. Wtem jeden z ministrów, wyjaśniając wolę cesarza, przemówił: *erliess...* Chłop podniósł głowę a zwróciwszy się do siedzącego obok niego księdza, zapytał: *Czy to może win za nasz lis howoryt?* Jeszcze parę słów o stosunku Niemców do Rusinów. Byłego gubernatora Lwowa, hr. Stadyona, wybrali włościanie posłem na sejm w r. 1848. Trzeba było im podziękować pisemnie. Powiedziano mu, że trzeba napisać i podpisać się po rusku, a on ani słowa nie rozumie. Znaleziono jakiegoś mistrza, który list dziękczynny napisał a samego Stadyona wyuczono podpisać się. Gdy już zabierał się do podpisu, zażądał, by mu odczytano pismo. Przeczytano a on nie rozumiał ani słowa; przetłumaczono mu po niemiecku. Czy rzeczywiście tak napisano? — zapytał on i nie mogąc długo zdecydować się, by położyć swój podpis, zauważył: teraz rozumiem, dlaczego chłop nie chce podpisać żadnego papieru, chociaż zupełnie zgadza się na słowa".

„Na mszy metropolity nie byłem dlatego, że metropolita tylko w wielkie święta odprawia uroczystą mszę, w zwykłe zaś i świąteczne dnie odbywa mszę szeptaną (cichą). W halickiem nabożeństwie to, zdaje się, jedyny ostatek latynizmu, we wszyst-

kiem innem oni zgodni z nami. Zmarły metropolita, Jachimowicz ułożył był projekt oczyszczenia obrządku i zwołał synod w celu rozpatrzenia i potwierdzenia go; jednak naraz, przed samym synodem, umarł nagle, jak twierdzi jego sekretarz, od trucizny, podobno danej mu przez sługę, podkupionego przez Polaków. Projekt ten zachowany u tegoż sekretarza. Jachimowicz dochodził do tego, że chciał odziać księży w nasze *riasy* (prawosławne sutanny) i zapuścić brody. Skrycie noszą i teraz niektórzy księża *riasy*, przynajmniej mówili mi, że mają je. Wszyscy otwarcie mówią, że schizmy nie boją się, równie jak i moskiewszczyzny, a z Unii i papieża drwią sobie. Nienawiść do Polaków nie do uwierzenia wielka. W sztukach teatralnych napadają na nich, że oni zniszczyli Ruś. Takie ustępy budzą szalony zachwyt. W jednej sztuce występuje ksiądz, dobroczyńca sierot, który na zakończenie śpiewa narzeczonej parze naukę, kończącą się słowy: *Swojeji matery Rusy ta ne zabuwajte.* Nie możecie sobie przedstawić, do czego dochodzi zachwyt publiczności przy tych słowach. Wielu płakało. Nie na darmo nazywa się ruski teatr na wszystkich afiszach „narodowym".

„Nauczycieli dla gimnazyum i szkół ludowych znalazło się dosyć. Nauka stoi tutaj wysoko; ruskie duchowieństwo więcej wykształcone, jak katolickie, co przyznają sami Polacy. Zewnętrzna religijność i dyscyplina w upadku. W klubie wieczorem, przed świętem *Wwedenija* księża spokojnie grali w karty". (Marzec, str. 359—365).

List ten pisany wkrótce po powrocie ze Lwowa (13 (25) grudnia, 1865 r.) dopełnia Łebedyńcew krótkiemi wiadomościami w późniejszych listach. Tak donosi on, że w czasie jego pobytu we Lwowie zjawiło się u niego więcej, jak 200 młodych Rusinów. Wpraszali się na wszelkie możliwe miejsca, między innemi na uniwersytety i akademie rosyjskie. (Kwiecień, str. 66—67). Przychodzili również do Łebedyńcewa bursacy i prosili prosto o pieniądze na chleb... (Maj, str. 177).

Z wrażeń, jakie Łebedyńcew wyniósł z Galicyi, dla nas najciekawsze są te: Spostrzegł on, że Galicya, to jeden kącik ukraińsko-ruskiej ziemi, gdzie ukraiński język ma pełne prawo

obywatelstwa. Dalej zobaczył on, że Unia w Galicyi nie była zlatynizowaną i że duchowieństwo ruskie było wogóle bardzo wykształcone.

Gdyby w Łebedyńcewie odezwało się było ukraińskie serce, to z pewnością nie werbowałby za sobą ludzi do Rosyi, gdzie ukraiński język uważany był za prosty, gruby, śmieszny a nawet przestępny, a raczej kazałby halickim Rusinom pracować nad samymi sobą, spuszczać się tylko na swe własne siły. Jednak ukraińskie serce Łebedyńcewa milczało...

Gdyby Łebedyńcew był mniej oddany swemu rządowi, który chciał jak najprędzej zgnieść doszczętnie Unię, to z pewnością zastanowiłby się nad tem, że Unia przysporzyła ruskiemu ludowi w Galicyi wykształconych duchownych, na jakich nie mogło zdobyć się prawosławie w Rosyi, że więc katolicyzm nie był tutaj dla Unii „widmem, wszystko pożerającej śmierci", lecz raczej jej ożywczą siłą. Spostrzegłby także, że Unii dano tutaj pełne prawo rozwoju, i że Rzym nie miał zupełnie nic przeciw kwestyi t. zw. *obriadowszczyna*, podniesionej na nowo przez Jachimowicza, a dążącej do oczyszczenia obrządku ruskiego.

Łebedyńcew nie wpadł na te myśli między innemi dlatego, gdyż Rusini, z którymi on stykał się,... łgali bez miary. Łgali, gdy chwalili się, że Jachimowicz chciał wprowadzić sutanny prawosławne i zapuścić duchownym brody, łgali, gdy mówili o skrytym używaniu *rias*, przez część unickich duchownych, łgali, gdy c a ł e duchowieństwo unickie przedstawiali jako chętne do prawosławia i moskiewszczyzny. Rusini łgali, a Łebedyńcew przyjmował ich kłamstwa za dobrą monetę, wierzył nawet w takie bzdurstwa, jakoby żołnierz Rusin publicznie deptał austryacki order i mówił, że nie chce służyć cesarzowi, gdyż u niego jest biały car... lub, że inteligencya ruska chciała wysyłać posłów do cara, by pokarał Lachów... (Maj, str. 172). Łgarze ci przedstawiali mu więc także, że cała Ruś halicka wyczekuje zbawienia od jednego cara...

Po powrocie ze Lwowa do Chełmu Łebedyńcew został wezwany do Warszawy, dokąd przybył Milutyn, sekretarz państwowy dla spraw Królestwa Polskiego. Milutynowi przedstawił

Łebedyńcew położenie spraw unickich w chełmskiej dyecezyi i w Galicyi. (Marzec, str. 356 i kwiecień, str. 51). Pisemne relacye, które Łebedyńcew oddał Wittemu, Milutyn zabrał ze sobą do Petersburga i przedłożył do odczytania carowi. Car odczytał je i podpisał na nich słowa: bardzo ciekawe. (Kwiecień, str. 57).

Na podstawie relacyj Łebedyńcewa postanowił rząd rosyjski zawiązać stosunki z Galicyą. Do Galicyi miano wysyłać obrazy, książki i pieniądze. O tych ostatnich pomówimy na końcu artykułu. Oprócz tego sam car wyznaczył stypendya dla tych halickich Rusinów, którzy szukali w Rosyi świeckiego wykształcenia. Co jednak zrobić z tymi halickimi Rusinami, którzy chcieliby się poświęcić duchownemu stanowi? Łebedyńcew radzi bratu, by prosił kijowskiego metropolitę, Arseniusza o wyjednanie w Synodzie 5—10 stypendyj dla halickich Rusinów.

„Duszą i ciałem oddani Rosyi, młodzi Haliczanie, otrzymawszy wykształcenie duchowne w kołysce prawosławia, roznieśliby po Galicyi wierne wiadomości o prawosławiu i sympatye do niego. Co dalej stałoby się? w tem Boża wola, a postarać się o to jest naszym obowiązkiem. O przyjęcie Serbów, Bułgarów i t. d. do kijowskiej akademii piszą zazwyczaj ich metropolici do Synodu; jednak od Litwinowicza tego żądać nie można. To jednak nie znaczy, by Litwinowicz przeciwdziałał takiej sprawie; w sercu on sam byłby rad temu, gdyby to stało się bez jego udziału i wiadomości. Taką jest jego polityka pośród partyi rządowej, społeczno-niemieckiej, polskiej i halicko-ruskiej. Gdyby metropolita Arseniusz urządził to dzieło, ja zobowiązuję się dostarczyć mu tylu kandydatów, ilu będzie potrzeba. Niektórzy u mnie zapisani. Są to młodzi ludzie, którzy ukończyli gimnazyum i słuchają wykładów teologicznych w lwowskim uniwersytecie“. (Kwiecień, str. 67).

Jak widzimy z tego listu, plany Łebedyńcewa były szerokie. Chciał przygotować drogę dla szerzenia prawosławia w Galicyi, przez kształcenie ruskich alumnów w rosyjskich duchownych akademiach. Plan ten nie ziścił się. W każdym razie jest on bardzo interesujący. Nie mniej ciekawe zapatrywanie Łebe-

dyńcewa na ewentualną rolę Litwinowicza w tej sprawie. Co dało powód Łebedyńcewowi do tak niepochlebnego sądu o unickim metropolicie, trudno zgadnąć. Może to serdeczne przyjęcie u Litwinowicza i błogosławieństwo, a może i informacye halickich Rusinów, z którymi Łebedyńcew znosił się. W każdym razie podobne zapatrywanie na działalność unickiego metropolity może tylko uwłaczać jego pamięci. Tem bardziej temu wiary dać nie można, że przy końcu 1866 r., lub z początkiem 1867, Malinowski (późniejszy archidyakon lwowskiej kapituły, spensyonowany po sprawie hnilickiej) przesłał Łebedyńcewowi punkta, ułożone razem z Litwinowiczem, a proponujące, jak należy ułożyć sprawy chełmskie. Z punktów tych Łebedyńcew nie bardzo był zadowolony, skoro pisze: „Widać, że Litwinowiczowi zachciewa się wsunąć tutaj swój nos, a mówią, że w tej sprawie miał on pisać do Petersburga". (Maj, str. 172).

Wspominaliśmy, że ks. Czerkawski, chciał już w r. 1864 dostać z Galicyi biskupa i księży unickich. Porozumienie jednak nie nastąpiło. Łebedyńcew zwalał winę na Kalińskiego, którego starania w Austryi miały podówczas nie dopuścić do tego. Czy słuszne było to przypuszczenie Łebedyńcewa względem Kalińskiego, zadecydować trudno. Były jednak także i inne powody, że do porozumienia nie przyszło. W liście Łebedyńcewa, pisanym dnia 14 (26) lipca 1866 r., a więc na dwa miesiące przed wywiezieniem Kalińskiego z Chełmu, czytamy, że „sprawa wysyłki biskupa i księży z Galicyi nie doszła do skutku, gdyż partya narodowa (Didycki, Hołowacki, Petruszewicz i inni) rekomendowała jednych ludzi a Litwinowicz drugich. Czerkawski chciał kandydatów narodowej partyi, między nimi Ginilewicza na biskupstwo, a Litwinowicz ich nie puścił. Pokazało się, że Litwinowicz miał racyę, bo Ginilewicz to człowiek zamieszany w wiele skandalicznych historyj. Kandydat Litwinowicza, Jużyczyński, znacznie lepszy i bardziej bez zarzutu, jak to obecnie przyznaje sama narodowa partya. Litwinowicz, porozumiawszy się z tą partyą, sam zwrócił się do Czerkawskiego i teraz rokowania idą raźnie. Proszono także o moje poparcie"... (Kwiecień, str. 67 – 68).

Niema wątpliwości, że podróż Łebedyńcewa do Lwowa, informacye, jakie on przywiózł halickim Rusinom i relacye, jakie on ze swych wrażeń, odniesionych w Galicyi, podał rosyjskiemu rządowi, przyczyniły się nie mało do podobnych rokowań. Swoją drogą i bez rokowań z Litwinowiczem napływali ruscy duchowni z Galicyi do Chełmu. Przypatrzmy się ich zachowaniu!

Słyszeliśmy już tylekrotnie o nazwisku Hipolita Krynickiego. Łebedyńcew nazywa go doktorem teologii i kanonikiem. Ani jednym, ani drugim on nie był. Dwa pierwsze lata studyów teologicznych ukończył we Lwowie, dwa następne w duchownem seminaryum we Wiedniu, poczem został przyjęty na polecenie Litwinowicza (podówczas jeszcze rektora wiedeńskiego seminaryum) jako doktorand w tymże zakładzie. Tutaj przebył dziewięć lat i w przeciągu tego czasu złożył zaledwie dwa rygoroza. Z tego powodu wydalono go z wiedeńskiego seminaryum w r. 1862 i nadano mu kapelanię, Polany surowiczne w przemyskiej dyecezyi. Jako długoletni doktorand zajmował się on więcej polityką jak nauką. Bywał w domu protojereja rosyjskiej ambasady Rajewskiego, a ta znajomość utorowała mu drogę do Rosyi. (Pełesz, *Op. cit.* str. 851).

Krynicki, jak wspominaliśmy, przybył do Chełmu na święta Bożego narodzenia 1865 roku. (Kwiecień, str. 54). Ustyanowicz w swych wspomnieniach o Rajewskim i ludziach, którzy u niego gromadzili się, nazywa Krynickiego „panrossem“ z przekonania. *(Op. cit.* str. 24). Może być, że z powodu tych „panrusskich“ przekonań przyjęli go prawosławni w Chełmie tak szczerze, mianowali mimo protestu Kalińskiego nauczycielem religii w gimnazyum, a po wywiezieniu Kalińskiego rektorem unickiego seminaryum. Jednak pewna rzecz, że sympatye Łebedyńcewa i rosyjskiego rządu musiał Krynicki zaskarbić sobie jeszcze w inny sposób. Łebedyńcew podaje nam też jeden dotąd zupełnie nieznany fakt, świadczący nam, jak mało przychylności do Unii znaleźć można było u tego człowieka, który wziął na siebie haniebną rolę pośrednika między oficyalną Rosyą a ruskimi duchownymi w Galicyi, wpraszającymi się na prawosławnych

duchownych do Rosyi. Oto, co czytamy w liście z 10 (22) lipca 1866 roku:

„Już zapieczętowałem list i nakleiłem markę, gdy przyszedł do mnie nasz unicki nauczyciel religii, dr. teologii Krynicki, z prośbą o wstawienie się przed metropolitą kijowskim, by tenże przyjął do swojej dyecezyi i w liczbę prawosławnych duchownych jednego halickiego księdza, Antoniego Mogilnickiego, z równoczesnem, jak rozumie się, naznaczeniem parafii. Mogilnicki nie młody, lat wyżej 40, skończył teologiczny wydział na lwowskim uniwersytecie, pisał artykuły w różnych duchownych i świeckich wydawnictwach. W r. 1848 on jeden z pierwszych wystąpił za wskrzeszeniem ruskiej narodowości i wschodniego obrządku. Energiczny i otwarty, zyskał on sobie przez to wrogów w dyecezyalnej duchownej administracyi, którzy go prześladowali na różne sposoby. Będąc ojcem licznej rodziny (6 synów i 4 córki) zbiedniał bardzo z powodu bezustannych wydalań się z parafii, w czasie 6 czy 10-letnim, gdyż jest posłem sejmu i rady państwa. Na ostatnim sejmie, podobnie, jak i inni, wystąpił on przeciw Litwinowiczowi za jego obojętność i chwianie się w ruskiej sprawie czy w walce przeciw Polakom. Teraz Litwinowicz począł go prześladować i dał parafię biedniejszą, gdzieś tam w karpackich górach. Przybity rodziną i biedą, postanowił przyjąć prawosławie, od którego zawsze nie był dalekim, mniej jak drudzy duchowni haliccy. Rozumie się, że w tym jego postępku, kieruje nim nadzieja poprawienia swych osobistych stosunków, jednak to nie może być zarzutem, jeśli z przekonania i wcześniej należał więcej do prawosławia, jak do Unii. Poznałem go osobiście i wydał mi się człowiekiem porządnym i rozumnym. W takim samym sensie mówili o nim drudzy a Krynicki, który go zna od dawna, stanowczo go chwali. Zajmijcie się dolą tego prześladowanego! Mówi on po małorusku znakomicie a pisze po części po wielkorusku, tj. w zbliżeniu do literackiego języka. Zbawiając go, zbawicie 10 dusz unickich, nie licząc jego i żony. Odpowiedź wyszlijcie prędko, gdyż prosi o rychłą wiadomość. Gdy metropolita Arseniusz zgodzi się, Mogilnicki przyszle mu swą prośbę i swój akt wyświęcenia. Byłaby to bardzo dobra

sztuka! W Galicyi wielu takich, którzyby nawet dzisiaj przeszli na prawosławie. Przyjechał do nas na nauczyciela greckiego języka, ks. Filip Diaczan (dziś jeszcze żyjący protojerej i profesor greckiego języka w warszawskim uniwersytecie). Chciał przejść do wileńskiego gimnazyum i przyjąć prawosławie a przecież był on we czci i łasce u Litwinowicza i otrzymywał 1375 guldenów płacy". (Kwiecień, str. 75—66).

O sprawie Mogilnickiego mamy jeszcze wiadomości w dwóch listach. W dniu 18 (30) września 1866 r. pisze Łebedyńcew: „Równocześnie wysyłam prośbę księdza Mogilnickiego. Proszę dokończyć rozpoczęte dzieło. Zawieźcie prośbę do metropolity i proście o odpowiedź i pozwolenie. Użyjcie także waszego wpływu, by proszący był umieszczony w kijowskiej dyecezyi. Mogilnicki przysłał prośbę w języku niemieckim na brulionie, a przytem blankiet ze swym podpisem. Tłumaczył ją nowy rektor seminaryum Krynicki, a ja poprawiłem w tych miejscach, gdzie były niejasności, jednak zostawiłem wiele właściwości halickich. Odpowiedź i pozwolenie proszę przysłać do mnie, a ja wyślę ją przy sposobności, by papier nie dostał się w ręce władz austryackich i nie narobił kłopotu proboszczowi w Babczce, tj. księdzu Mogilnickiemu. Zawczasu proszę dać przytułek temu pasterzowi i okazać mu pomoc w ubezpieczeniu losu jego dzieci, łaknących nauki. Faktowi temu przypisuję wielkie znaczenie, nie dlatego, że przechodzi na prawosławie Mogilnicki, lecz że do nas idzie halicki Unita. Dwa, trzy, lub kilka takich faktów, a myśl o prawosławiu z coraz to większą siłą będzie krążyć po Galicyi. Zdaje się, pisałem wam, że Joannikij prosił mnie, bym dostał Galicyanina dla prawosławnej cerkwi w Tarnogrodzie. Obiecałem i słowa dotrzymam bez trudu". (Kwiecień, str. 71).

W sześć dni jednak później pisze Łebedyńcew: „Sprawę Mogilnickiego wstrzymajcie i zaniechajcie, a jego świadectwa wyszlijcie do mnie. Na szczęście otrzymałem pewną wiadomość, że on i po dziś dzień, podpada nałogowi opilstwa, peryodycznie odnawiającemu się. Chroń Boże! Tylko nie mówcie o tem metropolicie! Okazało się, że Krynicki znał Mogilnickiego tylko w lepszych czasach jego życia, znał osobiście i z tych świetnych

mów, które on wygłaszał w parlamencie. Kazałem już Krynickiemu, by napisał do Mogilnickiego, że sprawa jego z różnych przyczyn nie może być załatwioną. Żal, bo człowiek, jak mówią, genialny i bardzo wykształcony". (Kwiecień, str. 73).

I rzeczywiście, Mogilnicki, jeden z najlepszych poetów współczesnej Galicyjskiej Rusi (ur. 1811 † 1873), autor poematu *Skit Maniawski* i pomniejszych balad, znakomity parlamentarny mowca, który nie mógł pogodzić się z Litwinowiczem, głównie dlatego, że nie chciał iść za jego despotyczną wolą i łączyć się z Niemcami centralistami, człowiek, na którego cześć składano na Rusi poetyczne hymny, (patrz o nim: Ohonowskij, *Istoryja ruskoji literatury,* t. II (1), str. 274 i dalsze), mógł być smacznym kąskiem dla Rosyi. Nałóg jego dopomógł mu, że za życia nie został prawosławnym duchownym. Czy zyskała jednak na tem Unia? Bynajmniej! Tak samo nie zyskała pamięć jego po opublikowaniu listu Łebedyńcewa. Materyalne stosunki, omal że nie zawiodły go do apostazyi i do sprzeniewierzenia się tym ideałom, które napełniały jego serce w młodszych jego latach. Silnym charakterem Mogilnicki nie był!

Po otrzymaniu odmownej odpowiedzi, Mogilnicki pisze jeszcze list do Łebedyńcewa w łacińskim języku, gdzie wyraża mu swój żal, że zawierzył słuchom, dziękuje za naukę i prosi o zwrot dokumentów, jeśli jego prośba nie może być spełnioną. (Kwiecień, str. 81).

Czy Krynicki załatwiał więcej takich spraw, nie wiemy. Ten jeden fakt wystarczy, by jego wstrętną rolę ocenić należycie. Oceniła też godnie działalność Krynickiego sama Rosya. W r. 1878 nie widzimy go już w spisie dygnitarzy nowej prawosławnej dyecezyi chełmskiej. Zastosowano, jak zdaje się, względem niego przysłowie o murzynie, który spełnił swą powinność i może odejść... (Pełesz, *Op. cit.*, str. 855). Dalsze dzieje jego życia nieznane nam i dla nas nieciekawe.

Przejdźmy do innych unickich księży i ich roli w chełmskiej dyecezyi! Łebedyńcew daje nam pod tym względem jeszcze jeden ciekawy obrazek. Wspomnieliśmy już, że po wywiezieniu Kalińskiego, zostali w Chełmie przez dni dziesięć dyrektor

grecko-unickich spraw przy ks. Czerkawskim, Sidorski, i pułkownik żandarmeryi, Drozdow, a na odjezdnem wydali bal dla chełmskiej inteligencyi. „Po toaście na cześć cara, pisze Łebedyńcew, obecni wpadli w nieopisany patos a nawet Polacy z zapałem *(nolens volens)* śpiewali: *Boże caria chrani!* Wyszedłem zaraz po kolacyi, odbywały się jednak tutaj sceny nie do opisania, gdy rozrzewnili się Galicyanie, a w osobliwości trzej uniccy księża, którzy przybyli tu dla zdobycia posad: ks. Wasyl Teodorowicz Jasiński, Reszytyłowicz i Łysiak. Jeden drwił z rewerendy, drugi z Unii wogóle, trzeci zapytywał, czy dobre parafie za Bugiem... Nie myślcie jednak, że tutaj grał rolę Bacchus lub lekkomyślność... Nie! tak już ułożył się ten wspaniały naród i takie jego przekonania w duszy. Na drugi dzień wszyscy ci trzej Ojcowie byli u mnie na pożegnaniu. Rozmowa prędko stała się patetyczną; łzy błyszczały w oczach tych męczenników, gdy poczęto rozprawiać o postępowaniu Gołuchowskiego i podłej szlachty. Co mamy robić, co począć? Jedna nadzieja u białego cara! Stary Jasiński opowiadał następujący fakt (?) ze swej wsi. Żyje tam bardzo stary człowiek, prosty wieśniak, mający wnuków i prawnuków: Zapytał go ktoś: „Jak długo starcze Boży będziesz nudzić się światem? Czasby tobie spocząć!“ — „Nie umrę — odpowiedział starzec — i chociaż ciężko żyć, jednak muszę żyć, dopóki nie przyjdzie biały car i nie weźmie nas od Lachów do swej rodziny. Wtenczas tylko dwie chwilki będę żyć i powiem Bogu: dziś puszczasz sługę twego w spokoju!...“ Rozmowa przedłużała się. Ja mówiłem między innemi (po ukraińsku): Historya nasza, jak na dłoni; cały świat wie o tem, że wszystko to było niegdyś jednym duchem, jednem ciałem, a tymczasem źli ludzie rozerwali to ciało na kawałki i porozrzucali psom i gryzą oni — gryzą, tu i owdzie tylko kostki zostały, jeszcze chwila — a dogryzą...“ Ojcowie zapłakali. „Nie dogryzą — krzyknął jeden — my wszyscy idziemy na prawosławie...“ — „Ja pierwszy!“ — odezwał się ks. Wasyl i skoczył z miejsca. — „I ja!“ — z zapałem przemówił Łysiak. „Dziesięciu ludzi prosiło mnie o to u ciebie wielmożny panie! ja ci spis przyszlę!“ — ciągnął Reszytyłowicz. — „I mnie weźcie! dokąd chcecie, pisz-

cie; co chcecie, róbcie z nami, bo na was teraz nadzieja! Cała Galicya zna was i za was Boga błaga! Wy nam drugi Jachimowicz! Wy odkryli nam kordon i cała Galicya pójdzie do was!...“ Przerwałem tę niezasłużoną przezemnie pochwałę i przez łzy obiecałem o wszystkiem pisać, gdzie tylko można będzie!“

Łebedyńcew pisze dalej bratu, by doniesiono o tem metropolicie kijowskiemu, cieszy się, że Bóg uczynił go świadkiem takiego ruchu, radzi jednak — by nie spieszono się z tą sprawą, a załatwiano ją powoli, w możliwej ciszy i bez wszelkiego hałasu. „Co mówiono między mną i księżmi, o tem wiemy tylko my jedni w Chełmie. Ruch całą masą niewygodny, a może być, nawet niemożliwy. Gołuchowski zanadto czujny... Jednak prosi się pierwszy Jasiński — przyjąć go; przejdzie, wtenczas brać drugiego, trzeciego i t. d. Jasiński lat około 50, włosy tylko podcięte i rozdzielone, zupełnie, jak u nas. Za grzech uważa on wdziać na siebie rewerendę i chodzi w kozaczce ze sznurami. Człowiek rozumny, energiczny, uczciwy, mówi ślicznie. Nie powtarzam tego, że wszyscy haliccy księża halickiego wykształcenia...“ (Kwiecień, str. 79—81).

O innych halickich duchownych wspomina Łebedyńcew kilku słowy. Tak pisze on 7 stycznia 1867 r., że Popiela, katechetę gimnazyalnego w Tarnopolu, wezwanego do Rosyi, rząd austryacki natychmiast uwolnił z posady, jednak trzeci miesiąc nie wydaje mu ani pensyi, ani paszportu. Żądają od emigrantów zwrotu pieniędzy za wykształcenie po 1000 guldenów, półtora lub więcej. Komisya (dla spraw unickich w Warszawie) oświadczyła, że zapłaci wszystkie guldeny“. (Maj, str. 171). Jak nikczemną rolę wobec Unii odegrał Popiel, w r. 1875 wyświęcony na prawosławnego biskupa w Lublinie, o tem wszyscy wiemy dokładnie.

W innym liście regestruje tylko Łebedyńcew krótkiemi słowy o przyjeździe do Rosyi Popiela, Ławrowskiego i t. d. (Maj, str. 183—184).

W oczach Łebedyńcewa, głównego agenta rosyjskiego rządu, ci ludzie byli uczciwi, energiczni, rozumni. Posłuchajmy jednak innego głosu, więcej objektywnego! Ustyanowicz, przebywał

w Chełmie w r. 1867, dokąd go wezwał ks. Czerkawski, by malował cerkwie. Podówczas jeszcze panslawista w duchu rosyjskim, opowiada nam o Galicyanach:

„W Chełmie spotkałem wielu znajomych, halickich Rusinów. Poznałem chełmskie duchowieństwo, profesorów Ukraińców, wysokich dostojników moskiewskich, w Chełmie poznałem tamtejszych Polaków. Wszyscy oni żyli w niezgodzie ze sobą i narzekali na halickich Rusinów. Bo i haniebnie prowadzili się tam moi ziomkowie. Poniżali się i intrygowali, kopali dołki jeden pod drugim i wszyscy z wyjątkiem Krynickiego (?), Ławrowskiego i dwóch profesorów: Fedyńskiego i Baczyńskiego, goniąc za pieniędzmi i zaszczytami, markowali się więcej prawosławiem, jak prawosławni, więcej Moskalami, jak Moskale sami". (*Rajewskij*... str. 22).

* * *

Na podstawie relacyj Łebedyńcewa, postanowiono Ruś halicką obdarzyć także czemś więcej realnem, jak książkami i obrazami... Łebedyńcew puka do kasy rządowej, która nie odmawia swego wsparcia, gdyż w lutym 1867 r. pisze Łebedyńcew, że subsydya dla halickich Rusinów już są wydawane i nadal będą wypłacane tak z kasy rządowej, jak i ze składek inteligencyi rosyjskiej. Oprócz tego poczęto składać ruble „na biednych Haliczanów" w Chełmie, Moskwie, Kijowie, Petersburgu, Lublinie. Składki szły raźno. W samym Kijowie złożono ponad cztery tysiące rubli. O składkach w innych miejscowościach mamy w listach Łebedyńcewa niewyraźne dane. Dla gospodarki temi pieniędzmi chce Łebedyńcew założyć bractwo, którego statut obiecał warszawski arcybiskup Joannikij zatwierdzić w porozumieniu z ministrem Tołstojem. (Maj, str. 173). Łebedyńcew był w kłopocie, jak rozdzielić pieniądze, gdyż haliccy unici emigranci niejednego byli w tym względzie zdania. Jedni radzili posłać zebrane pieniądze na bursy we Lwowie, Przemyślu i Kołomyi, inni wpadali na koncept, by rozdać je między niektórych księży i nauczycieli w Galicyi, inni projektowali zatrzymać pie-

niądze w Chełmie dla wydawania halickim młodzieńcom, którzy będą przyjeżdżać do gimnazyum i na pedagogiczne kursy, jako konieczną zapomogę w pierwszych chwilach, nim stypendyum będzie wyznaczone. (Maj, str. 175). Łebedyńcew postanowił nie zatrzymywać pieniędzy w Chełmie, lecz wysyłał je przez okazyę do Lwowa na ręce redaktora *Słowa,* członka narodowej, powiedzmy raczej, moskalofilskiej partyi, by zajął się rozdziałem tych pieniędzy według woli ofiarodawców. Raz przewoził te pieniądze unicki ksiądz, Sieńkiewicz. Zdaje się, że znaczną część tych pieniędzy przeznaczono na bursy, nie zapomniano jednak i o redaktorze Didyckim, czynnym i wpływowym przewodniku stronnictwa moskalofiskiego, któremu przysłano na wydawnictwo 3 lub 6 tysięcy rubli; i o Hołowackim, któremu dano na wyjazd do Rosyi tysiąc rubli, i o Naumowiczu, którego zadowolono kilkoma setkami. (Maj, str. 177).

Rosya poczęła więc pieniędzmi demoralizować Ruś halicką. Jak żyzne pole znalazła Rosya dla swych celów w Galicyi, możemy wnosić z następujących faktów.

W lipcu 1866 roku, po nieszczęsnej bitwie dla Austryi pod Sadową, przybył do Chełmu jeden z nauczycieli, Galicyan. Opowiada on Łebedyńcewowi, że w Austryi straszna panika. Tylko od Rosyi czekają zbawienia Niemcy a nawet Polacy (?). Złości ich nawet to, że Rosya nie miesza się. Haliczanie śpią i widzą siebie pod Rosyą. Takie w narodzie zrodziło się przekonanie. (Kwiecień, str, 65).

Pozwolimy sobie wątpić o wiarogodności tej relacyi, trudno jednak nie spostrzedz, że narodowa (?) partya z Didyckim na czele, pod wpływem obietnicy zapomogi pieniężnej z Rosyi, pracowała nad tem, by takie przekonanie wpoić w halickich Rusinów. Redaktor *Słowa* Didycki, który w swych wydaniach przed r. 1865 drukował utwory ukraińskich pisarzy, nawet pisownią fonetyczną, który w swej przedmowie do poezyj Fed'kowicza, narodowego, bukowińskiego poety, wskazywał potrzebę tak pisać, jak mówi lud, który w *Słowie* występował przeciw urzędowi rosyjskiemu i „niesytemu centralizmowi Moskwy", wstrzymującemu rozwój ukraińskiego piśmiennictwa, człowiek,

który nie przyjął orderu, ofiarowanego mu przez cara na pamiątkę tysiącznej rocznicy istnienia Rusi — ten sam Didycki wydrukował w *Słowie* dnia 8 sierpnia 1866 r., a więc w krótkim czasie po bitwie pod Sadową, artykuł p. t. „Pogląd w przyszłość", a w nim odrzuca nazwę Rusini, przyjmuje nazwę *russkij* i wypowiada myśl, że Rusini, związani są z wielkim narodem moskiewskim tysiącletnią historyą, obrzędem cerkiewnym, językiem i literaturą. Wkrótce potem wydał Didycki jako dodatek do *Słowa* broszurę p. t.: „W jednej godzinie nauczyć się Małorusinowi po wielkorusku", w której zapewniał, że jest tylko jeden język *russkij* a dwie wymowy, i starał się wykazać, że jest tylko siedm nieznacznych różnic leksykalnych, oddzielających język ruski od rosyjskiego *(jak, kak, szczo, czto, duże, occeń)* i t. d. Broszura ta, mimo swego idyotyzmu, podobała się Łebedyńcewowi, który w niej znalazł posiew swej pracy. Pisze on: „Jak daleko zaszli teraz haliccy Rusini, zobaczycie z broszurki Didyckiego, której 19 egzemplarzy posyłam wam. Dajcie jedną broszurkę Józefowiczowi i jedną Gogockiemu (profesorowi uniwersytetu kijowskiego). Bardzo ich ucieszy. (Kwiecień, str. 81).

Do pomocy Didyckiemu w wypełnianiu planów Łebedyńcewa, przystępuje Jakób Hołowacki. Przyjaciel niegdyś pierwszego halicko-ruskiego, narodowego poety, Markiana Szaszkiewicza, budził wraz z nim w r. 1837 Ruś halicką z ciężkiego duchowego snu. Wyświęcony na kapłana, idzie na wieś na kooperaturę i probostwo, skąd w r. 1848 powołano go dla jego wykształcenia na nowo otwartą katedrę języka ruskiego i literatury na uniwersytecie lwowskim. Entuzyasta dla Ukrainy i jej języka, w krótkim już czasie po objęciu katedry, zaczyna pod wpływem historyka Zubrzyckiego, pisać językiem martwym, a jednak sympatye jego dla Ukrainy nie gasną, gdy w r. 1862, w liście swym do ukraińskiego pisarza, Kulisza, woła: *Jeszcze ne wmerła kozaćkaja ruśkaja maty.* W r. 1864 wybrano go rektorem uniwersytetu. Pod wpływem przyjazdu Łebedyńcewa do Lwowa, Hołowacki przyjmuje na siebie rolę, która nie harmonizowała ani z jego dawnemi przekonaniami, ani z jego stanowiskiem na uniwersytecie, ani z tym faktem, że był unickim

bez dachu i chleba, a on w sejmie mowy wygłasza... Nie zapominajcie, że on prosty wiejski ksiądz i otrzymuje płacy tylko 80 złr. a. w. Dzieci podrosły. Do szkoły posyłać je nie miał za co przed pożarem, a teraz one i bose i gołe. Na Boga! Zmiłujcie się nad znakomitym biedakiem i urządźcie składkę dla niego w Kijowie, a co zbierzecie, przysyłajcie do mnie, a ja wyszlę przez okazyę. W pięciu minutach zebraliśmy i wysyłamy jutro dwieście rubli. Dalibyśmy więcej, ale już wyczerpaliśmy się, bo w tym roku już p o r a z s z ó s t y składamy się, a na mnie jednego wypadło już około 200 rs. (Kwiecień, str. 85—86). W kwietniu 1867 r. pisze Łebedyńcew o Naumowiczu, że oprócz 186 rubli z Chełmu otrzyma on jeszcze 150 rubli z Petersburga, chociaż jeszcze nie przysłanych, ale wkrótce oczekiwanych. Maj, str. 177).

Rzecz pewna, że Rosya nie zwróciłaby uwagi na Naumowicza i nie pospieszyłaby mu z pomocą, gdyby nie jego mowa, wygłoszona w sejmie w grudniu 1866 r., której według słów ks. Jasińskiego miała przyklaskiwać cała Europa. Jeszcze w kwietniu 1866 r., przemawiał Naumowicz w halickim sejmie w imieniu Rusinów: „że nie jesteśmy Wielkorusami, a byliśmy zawsze Małorusinami“, „że język wielkoruski nie będzie nigdy naszym, bo nie jest naszym rodzinnym i narodowym językiem“, „że były na Rusi starania za przyjęciem do literatury wielkoruskiego języka, ale nie wydały one pożądanych owoców“. W grudniu zaś tego samego roku, potrafił Naumowicz już tak dalece zmienić swe przekonania, że wygłosił w sejmie mowę, w której oświadczył, że „istnieje powinowactwo między językami wszystkich Słowian, że ruski język spokrewniony z językiem, którego dzisiaj używają w samej Moskwie, i że Rusini z tamtąd odbierają teraz to, co było i jest im rodzinnem“. Naumowicz powtórzył więc w sejmie to, co w sierpniu 1866 r. ogłosił Didycki w *Słowie*.

Remuneracya za tę mowę nie była zbyt szczodrą. Kto wie jednak, czy ta pierwsza zapomoga, jaką otrzymał Naumowicz z Rosyi w r. 1867, nie była dlań ponętą do dalszej podobnej działalności, która jednak na nim samym zemściła się strasznie, wiodąc go do sprawy hnilickiej, apostazyi, wyrzeczenia się swego

ludu i połączonych z tem moralnych udarów, jakich Naumowicz niejednokrotnie doświadczył w samej Rosyi?...

„Straszna czasy Gołuchowskiego!“, wołają jeszcze po dziś dzień niektórzy Rusini. Przykre one były bez wątpienia! Czy jednak moskalofilskie stronnictwo nie dało samo przyczyny do wszelkiego rodzaju represalij. Czy nie spełniał tutaj Gołuchowski swego obowiązku, jako namiestnik, gdy ostrzegał rząd przed tem stronnictwem, które w swoje nieszczęśliwe ręce wzięło przewodnictwo sprawy ruskiej?

Nie straszne były czasy Gołuchowskiego dla młodych studentów, żywiących gorącą miłość do swego ludu, którzy właśnie w czasach Gołuchowskiego założyli teatr ruski i sami występowali na scenie, którzy po ruskich domach zaprowadzili ruski język, jako konwersacyjny, którzy idąc za przewodnią gwiazdą T. Szewczenki, podnieśli ruską literaturę, rozniecili szersze narodowe życie i dali początek stronnictwu t. z. narodowców ruskich!

Na tem kończymy nasze uwagi o listach Łebedyńcewa. Listy te, chociaż nie pisane objektywnie, rzuciły nie mało ciekawego światła na życie chełmskich Unitów i halickich Rusinów. Nie mamy pod ręką ani relacyj Gołuchowskiego do ministerstwa spraw wewnętrznych, ani listów, skonfiskowanych u Hołowackiego, a przechowanych zapewne w archiwum namiestnictwa we Lwowie. Przyczyniłyby się one pewnie nie mało dla poznania najsmutniejszych chwil w historyi Unii i ruskiego narodu.

Można mieć nadzieję, że *Kijewskaja Staryna* zajmie się zebraniem i wydrukowaniem listów Łebedyńcewa z lat późniejszych. Możeby one oświetliły nam peryod rządów biskupa Kuziemskiego w chełmskiej dyecezyi, peryod bardzo ciemny a dla historyi Unii ogromnie ciekawy.

Dr. Cyryl Studziński.

„CZŁOWIEK“ ERNESTA HELLO.

I.

Niejednokrotnie w ostatnich czasach spotykaliśmy się w utworach „najmłodszych“ naszych literatów z uganianiem się za czemś na pozór nieuchwytnem i nieistniejącem, to jest za duszą, której nie przyprószył żaden pył tego świata, na której żadne wspomnienie z ludzkiej przeszłości, żaden wytwór ludzkiego rozumu, żaden przesąd, żadne utarte mniemanie, nie zostawiły śladu; której umysł wśród obcych myśli rozwijał się nietknięty ich wpływem i dosiągłszy dojrzałości zupełnej, pozostał tak samoistnym, jakim był wyszedł z rąk Stwórcy. Otóż marzenie to nie jest całkowicie czczą mrzonką. Takim bowiem dziewiczym duchem, lub przynajmniej bardzo zbliżonym do żądanego ideału, był niedawno zmarły pisarz francuski, Ernest Hello. Autor ten, mało u nas znany, nie był też popularnym we Francyi. P. Henryk Lasserre, jak zobaczymy poniżej, dobitnie wykazał dlaczego. Nie pisał on wiele na ilość; księgarnie posiadają dwa tylko jego dzieła: *Le siècle, Les hommes et les idées* i *Physionomies de Saints.* Prócz tego od czasu do czasu pojawiały się w dziennikach i przeglądach krótkie szkice, rozdzierające szare tło powszedniej, gazeciarskiej treści, jak błyskawica rozdziera jednostajność chmur. Błyski te rozświecające jasnością prawdy zarówno obszary światów, jak i dusz ludzkich zakątki, zostały przez samego autora zebrane i związane w jeden wielki pęk myśli luźnych, a przecież tworzących organiczną całość. Wogóle zgromadzone tak artykuły tracą na wzajemnem sąsiedztwie, to też i utworów

Ernesta Hello los ten nie minął. Mają wszakże w sobie bogactwo treści, którego im nic odjąć nie zdoła. Utworzył się z nich spory tom zatytułowany: *L'homme*, a podzielony na trzy główne odłamy: *La vie*, *La science*, *L'art*, tj. Życie, Wiedza, Sztuka. Dzieło to, o którem jednem tu mówić będziemy — wystarcza bowiem aby dać o tamtych pojęcie — wyszło w r. 1897 w czwartem wydaniu, obecnie zaś zgon autora czyni zeń rzecz aktualną. Henryk Lasserre, twórca słynnej swojego czasu książki o Lourdes, opatrzył je długą przedmową, zawierającą nietylko sprawozdanie z pism, ale i charakterystykę dziwnego zjawiska, jakim był w XIX w. Ernęst Hello. U wstępu opowiada własne, acz zda się już wtedy nie pierwsze spotkanie z nim.

...Było to podczas wielkiej wystawy paryskiej, za najświetniejszej epoki Cesarstwa, gdy cały świat biegł do stolicy Francyi, aby się nurzać w przysposobionej mu orgii rozkoszy, a Paryżanie śmiali się i dowcipkowali na widok wystawionej jakby na przestrogę, olbrzymiej pruskiej armaty... „Wtedy to — pisze Lasserre — błądząc raz z kolegą po międzynarodowych ogrodach wystawy, spotkałem człowieka. Tak jest, był to człowiek w całem słowa znaczeniu. Twarz jego dziwną i jakby płomienną, okoloną lekko rozwianym włosem, rozświecały oczy, które raz ujrzawszy niepodobna zapomnieć. Oczy te pełne były blasków zarazem łagodnych i groźnych, pełne owej wyższej światłości, którą ludzie zwą wzrokiem geniuszu. Czoło myślące było i szerokie, barki jak u Atlasa nieco pochylone, zdały się giąć pod brzemieniem niewidzialnego świata. Zbliżył się do mnie i z ruchem tragicznym zagadał: Mój drogi, dziwię się!

„A gdym nań patrzał chcąc zbadać powód zdumienia, malującego się na jego ruchomej twarzy, dodał: Otom przeszedł pod Tuileryami i jeszcze nie płoną!

„Teraz na mnie była kolej się dziwić. On spostrzegł to, ale nie okazał zmieszania. Podniósłszy zwolna rękę wskazał mi nią obszary olbrzymiego miasta, a potem jakby w głębi swej myśli, lub gdzieś za krańcem widnokręgu dostrzegał postępujące, jemu samemu widzialne zastępy, rzekł głosem, którego wyraz po dziś dzień brzmi w moich uszach:

„*Les Barbares tardent bien à venir?... Que fait donc Attila?*

„I zamilkłszy znowu opuścił mnie, lecz długo jeszcze widziałem postać jego snującą się wśród przechodniów, pogrążoną w zamyśleniu głębokiem. Człowiekiem tym był Hello.

„Waryat — zauważył mój towarzysz. — A jednak, Attyla przyszedł, i Tuilerye spłonęły. Słowo szaleńca było proroczem, i spełniło się co do joty...

„Hello rzuca nieraz podobne wejrzenia niemal straszne, bo sięgające do głębi, wejrzenia nagłe, któremi przeszywa grubą powierzchnię rzeczy, odsłaniając nam treść prawdziwą, ich niespodziewaną i niedomyślaną istotę. Jest w nim coś hrabiego de Maistre i coś Pascala, jest niby oddalone echo Izajasza, a jednak to nie jest de Maistre, ani Pascal, ani prorok Izajasz, tylko on sam, Hello, czyli jedna z najbardziej uderzających osobliwości naszego wieku". ...Lasserre zaznacza, że tak na nim, jak i na całem nielicznem lecz poważnem gronie pisarzy, utwory Ernesta Hello, wywierały w ciągu szeregu lat silny, a dodatni wpływ. Wahał się jednak długo, nim się odważył przedsięwziąść charakterystykę autora, o tak różnorodnym typie, i niespodziewanych zwrotach, o kolosalnych kształtach, i nieraz szorstkich, urywanych konturach, zanim spróbował wykazać co jest wielkiem, wytłumaczyć co niedopowiedzianem i niewykończonem.

„Pojąć to dorównać — powiedział Rafael, a za nim lubił powtarzać Hello. — Ale niestety — skarży się Lasserre — dorównać nie jest tak łatwo. U Ernesta Hello istnieją wyżyny, których wysokości zmierzyć nie zdołam, i głębie, nad któremi chwyta mnie wir. Czytając mam wrażenie, iż wędruję wśród gór. Podziwiam ich wspaniałość, przesuwając się nad brzegiem przepaści. Jestem w ojczyźnie orłów, w siedlisku gromów; dokoła siebie mam szczyty, niknące w obłokach, lub promieniejące w słońcu, otchłanie, które się zdają środka ziemi dosięgać, rozpadliny skał czarne, ostre, rzekłbyś przedwiecznym zrąbane toporem, olbrzymie drzewa, oblane niegdyś falami potopu, a u ich stóp cudne, misterne kwiateczki, jakich szukałbyś próżno po ludzkich ogrodach, kwitnące tu swobodnie, na blizkich nieba

pustkowiach; dalej głuche przestworza bezpłodne i dzikie, to znów jeziora stężałej lawy, palone żarem południa, lub żywe, świeże, bijące krynice. A ponad tem wszystkiem samotność, nieskończoność, milczenie. Taką jest dziedzina gór — takim jest Hello. Z owych sfer wzniosłych, wzrok panuje nad padołem ludzkości; widzi się go tem lepiej, że się patrzy z wysoka. Widzi się po jakich pochyłościach spływają jego strumyki, do jakiego morza wpadają jego rzeki, do jakiej granicy dążą jego gościńce. Jeden rzut oka obejmuje źródło i ujście, punkt wyjścia i metę, przyczynę i wynik. Toż przed dziesięciu laty Hello powiadał, że: Barbarzyńcy idą, Attyla się spóźnia, a Tuilerye runą w płomieniach!

„A jednak, wstyd się przyznawać, na tych wyżynach długo wytrzymać nie można. Wpośród podziwu ogarnia znużenie: męczą się stopy, zmuszone ciągle iść w górę po skalistych zrębach, pierś zmęczona falami zbyt czystego eteru, pragnie bardziej ziemskiego, choćby cięższego tchnienia, wzrok olśniony zasłania się przed potęgą kształtów i niekończonością widnokręgów“.

Istotnie Lasserre ma słuszność: umysł człowieka nie może zawsze w tak górnych sferach przebywać. Musi niestety zamieszkać niżej, lecz może często pomiędzy szczyty powracać, może je kochać i zwiedzać, unosząc z nich na całą wieczność skarby, wrażenia i myśli. Im zaś dusza dzielniejsza, bardziej męską obdarzona siłą, tem głębiej je kocha, tem częściej powraca i mniej skwapliwie je rzuca. Przeciwnie, natury słabe, piersi o lichym oddechu, oczy o lichym wzroku, istoty wyschłe, rozmiękłe, pospolite, z pewną odrazą stronią od tak wzniosłych piękności — po cóż bowiem się wspinać, gdy tak miło jest schodzić, a zwłaszcza nierównie wygodniej pozostać w domu? Po cóż szukać widnokręgów, gdy krótkość wzroku każdy widnokrąg sprowadza do rozmiaru kurnika? Mędrszy w tem od mędrca Biasa, który tylko swoją majętność nosił zawsze przy sobie, człowiek krótkowidzący nosi wszędzie swój widnokrąg ze sobą“.

Trzymanie się na wyżynach, jest zatem jedną z przyczyn niepopularności Ernesta Hello; każdy wprawdzie kto miał odwagę

do jego siedzib się dostać, powrócił lepszym, czystszym, rozświeconym na duszy; tylko że niewielu puszczało się w drogę, bo raz jeszcze, jak powiada Lasserre, „wygodniej jest iść w dół lub w domu pozostać". Drugą, równie przemożną przyczyną niepopularności, jest panujący na owych szczytach absolutny brak błota. A nietylko błota tam niema, ale żadnego pyłu, żadnego wyziewu z olbrzymiego kotła, kędy się warzą drobne i wielkie sprawy ludzkości; żaden atom ziemskiego brudu tam nie dosięga. Hello zbyt nad nim stoi wysoko. Oświecony blaskiem płynącym wprost z nieba, patrzy w dół i widzi wszystko w całości i w szczegółach, widzi tak, jak kiedyś na łożu śmierci widzieć będziemy, to jest samo jądro rzeczy, czy też uczucia, ogołocone z warstwy przesądu, złudzenia lub błędu, jaką dokoła nagromadziły wieki. Dlatego w mnóstwie sądów wydaje się przesadnym i jednostronnym. Zna tylko linie proste, wiodące od Boga do serca człowieka, i od tego serca nawzajem do Boga albo też wprost na dół, do piekła. Dlatego choć odczuwa wszelkie odcienia dobra i piękna, nie uznaje i nie znosi tysiącznych subtelności, w których dzisiejsi sofiści tak umieją dobro ze złem powikłać, iż nieraz trzeba bystrego wzroku, a raczej czystego sumienia, aby jedno od drugiego rozpoznać. O Ernesta Hello obawy niema, aby mógł dobro pomieszać ze złem. Jednym gwałtownym ruchem przecina jedwabną nić, wzgardliwą dłonią odrzuca jej kłęby, i stawia napowrót przed oczy dwa nagie, wrogie sobie pierwiastki. Zbyt kocha prawdę, aby jej nie pochwycić odrazu, a kocha ją namiętnie, porywczo, miłością zazdrosnego kochanka. W miarę zaś tej miłości nienawidzi wszelki fałsz, wszelkie zło, wszelką głupotę, a nienawidzi tak żywo, iż gniew jego nietylko grzech, ale nieraz i grzesznika dosięga. Rzekłbyś, duch z płomiennym mieczem stojący między niebem a ziemią, zbyt daleko od ziemi, aby go błoto grzechowe zbrudziło, a niedość blizko nieba, aby swój żar roztopić w morzu miłosierdzia Bożego. Należy wprawdzie mu przyznać, że jeśli wszelki grzech jest mu niemiłym, tak jak powinien być każdemu z nas, jeden tylko zostawia go bez litości: jest nim pierworodna zbrodnia szatana i tysięcy ludzkich, pokrewnych mu duchów, bunt stworzenia przeciwko

Stwórcy. Bunt ten wydaje mu się tak niesłychanie niedorzecznym w swej złości, tak przewrotnym w swej bezdennej głupocie, że wobec niego wszelkie inne winy blednieją. Smutno ale spokojnie patrzy na błędy pogaństwa, nie wspomina o szatańskich okrucieństwach Nerona: zda się mówić nad niemi: Przebacz im Panie, bo nie wiedzą co czynią! Natomiast dla zbuntowanych chrześcijan niema dość słów potępienia. O Lutrze powiada słusznie, że dziś zbyt zaniedbano czytanie jego dzieł, a przeto zapomniano o ich ciągłych sprzecznościach, stracono miarę do sprawdzenia, jak daleko protestanci od nauk jego odbiegli. Po Lutrze najsrożej może, choć kilku tylko słowami, skarconym jest Janseniusz; wszystkie nagany jednak bledną wobec wzgardliwej nienawiści, jaka spotyka ducha XVIII. w., i główny jego produkt — Woltera. Wszelkie błędy naszego stulecia, a raczej jego obłęd ogólny, z tego wielkiego wyprowadzone są źródła. Gdyby nie ta geneza, której niepodobna odmówić słuszności, możnaby powiedzieć, że ten gniew przychodzi nieco zapóźno, że przypuszcza szturm do zdobytej twierdzy, bo już chyba z naszych czasów mało kto ma odwagę czytać filozoficzne brednie encyklopedystów. Pozostała im jednak niejasna jakaś mglista aureola, z której warto obnażyć ich głowy. Co do XIX. wieku, znać, iż Hello w dzisiejszych prądach przeczuwa już drgania powracającej jutrzenki, widzi że ludzkość cierpi w powrozach fałszu, któremi ją zbuntowana jej pycha spowiła, że się miota i szarpie, ażeby zerwać swe pęta. Samo okiełznanie wielkich sił przyrody, jak para, elektryczność i światło, wydaje mu się tak olbrzymim krokiem ducha ludzkiego ku wyzwoleniu z nizkich, zaskorupiałych formułek materyalnej wiedzy, takiem zbliżeniem do prawdy, iż nie wątpi, że po tej drodze człowiek zbłąkany, musi powrócić do twórcy wszelkich sił stworzonych, do tego, który Jest.

II.

Hello, jak mówiliśmy, ułożył ze swych artykułów trzy wielkie działy: *La vie, La science, L'art.* W pierwszym umieścił ustępy dotyczące głównie moralnych właściwości człowieka,

w drugim uwagi nad umysłowemi prądami różnych wieków, w ostatnim zaś traktuje estetyczny czy też artystyczny odłam tychże prądów. Każdy dział zawiera kilkanaście poszczególnych ustępów, podział przedmiotów jednak ścisłym nie jest. Należy również przestrzedz, że tytuły nie zawsze odpowiadają treści a raczej, że myśl autora w zbyt gwałtownym biegu nie umie się trzymać wytkniętego koryta; czasem wezbrana wylewa się na brzegi, to znów gdzieś daleko odbiega, tak że ją trudno uchwycić, lub też urywa się i nawiązuje na nowo — zapewne Hello swemi wieszczemi oczyma widział łączność tam, gdzie dla zwykłego wzroku zanika.

Pierwszy dział rozpoczyna się traktatem o „Złotym cielcu“, którego autor mieni być najbardziej materyalnym wyrazem pogaństwa; zauważa przytem do jakiego stopnia ludzie przyzwyczaili się do potworności takiej, jaką jest pogaństwo, skoro nietylko patrzą spokojnie na miejsce, jakie zajmowała i zajmuje w świecie, ale zamiast odrazy, jaką wzbudzać powinna, ta cześć szatańska w niejednym wzbudza przeciwnie pewien rodzaj estetycznego podziwu. Od starożytnego cielca Hebreów przechodzi oczywiście do ogólno-ludzkiej czci złota. Szkoda trochę, że zamiast wściekle w naszych czasach grasującej chciwości, obrał za temat rzadkie już dzisiaj (przynajmniej u nas) skąpstwo. Uczynił to jednak z taką maestryą, iż Lasserre mówi, że gdy Plaucyusz i Molière naszkicowali tylko osobę skąpca, Hello scharakteryzował samą namiętność z odcieniami, których się nawet niejeden nie domyśla skąpiec. Drugi artykuł, może jeszcze lepszy, nosi tytuł: *Les associations d'idées.*

„Istnieją — pisze w nim Hello — kłamstwa jawne, obiegające świat, kłamstwa całkowite, sformułowane; ale istnieją również kłamstwa, których część niedopowiedziana, zostawia pole do dwuznacznego domysłu, kłamstwa bezwiedne wchodzące w obieg przez rozmowę, przez książki, przez zwyczaje tego, co ludzie zwą życiem a mogliby słuszniej zwać śmiercią. Kłamstwa te polegają na błędnem nawiązaniu pojęć i one to właśnie panują nad światem.

„Rzadko kiedy człowiek rządzi się własnem rozumowaniem

złem czy też dobrem — zazwyczaj pozostaje ono w jego umyśle w stanie formułek. Siłą żywotną, która nim włada, są assocyacye pojęć, rozumowanie mimowolne, bezwiedne, szybkie, kędy jedna myśl wywołuje drugą i za sobą pociąga. Kierują one nie właściwym umysłem, ale wyobraźnią, potęgą straszną, działającą zarówno w porządku życia jak i śmierci duchowej. Zapytajmy własnej pamięci, odnówmy w sobie obrazy osób i rzeczy a przyznamy, iż trwałość wspomnienia rzadko kiedy powodowaną jest prawami słuszności: ten człowiek np. działał źle a pomimo to zostawił nam piękne wrażenie, ów przeciwnie, działał dobrze a nie zostawił żadnego. Przyczyna błędu tkwi w wyobraźni. Przywykłeś do mniemania, że objawem wielkości może być zbrodnia, że niektóre kłamstwa są wzniosłe i piękne, że dobre uczynki są rzeczą pospolitą i płaską. Nikt cię wprawdzie tych zasad wyraźnie nie uczy, ale bywają na każdym kroku wpajane; nikt ich słuszności nie dowodzi twemu rozsądkowi, za to w tysiącznych powieściach przedstawiają się twej wyobraźni, która ich nie odpycha.

Do jakiego stopnia panuje nad nami wyobraźnia, wyrazić trudno. Niejeden porwany namiętnością gwałtowną a na pozór głęboką i trwałą, opierający się wszelkim prośbom, radom, groźbom i łzom, bywa nagle ze swego gorączkowego snu przebudzonym przez najdrobniejsze zdarzenie. Wystarczy czasem pierwsze lepsze słowo, wrażenie śmieszności, jeden żart, jeden ruch, jedno wspomnienie. A dzieje się to dla tego, że wyobraźnia, rozpalona poważną walką, jaką z nią toczono, nagle ostygła, ugaszona podmuchem przelotnego wietrzyka. Gdybyś w sposób poważny chciał młodemu udowodnić, że zbrodnia jest pięknym czynem — nie uwierzy ci, ale jeśli mu w dramatach ukażesz szereg bohaterskich zbrodniarzy a obok nich uczciwych ludzi, bezbarwnych i nudnych, w końcu przywyknie do myśli, że na to, aby się stać wielkim człowiekiem, trzeba dużo złego nabroić po świecie.

Mowa ludzka, wspólniczka wszystkiego dobrego i złego, posiada wyrażenia, które straszne świadectwo wydają przeciw ludzkości. Tak np. gdy młody człowiek narobił dużo długów

i głupstw, gdy jest zużyty, znudzony, płytki, nierozsądny i do niczego, powiada się o nim, że „dużo żył", *qu'il a beaucoup vécu.* Czyżby raczej nie należało powiedzieć, że „obumierał?" — To co robił było niczem — nie robił nic. Dozwolił w sobie fermentować żywiołowi nicości; nicość zrodziła próżnię, z próżni przyszedł niesmak, nuda — i koniec.

Nicość jest korzeniem, z którego rozkwita nuda, tej zaś owocem jest rozpacz. Rozpacz jest znudzeniem doprowadzonem do dojrzałości; to też ci, którzy „dużo żyli", chętnie kończą na stryczku, wisielcy zaś łatwo naśladowców znajdują. Samobójstwo przechodzi w zwyczaj, staje się epidemią. Tak z natury rzeczy być musi: nicość toczy się zwykłym swym torem.

Skąd więc to wyrażenie: on „dużo żył?"

Z błędnego zadzierzgnięcia myśli, z ubitego, „oklepanego" kłamstwa. Wylęgło się nie z rozumu ale z wyobraźni, która przywykła łączyć obraz życia z obrazem nierządu, a odwykła łączyć pojęcie piękna z pojęciem dobra... Gdy zaś raz człowiek od tego pojęcia odwyknie, dzieje się to, co widzimy: ludzie wystawiają sobie, że świetność i czystość są sprzecznościami niemogącemi przebywać w tej samej dziedzinie; myślą, że trzeba między niemi wybierać. Otumanionego tym błędem człowieka wyobraźnia przeciąga w stronę, gdzie mniema, że znajdzie piękno, pociągnięty, spada w dół i tam na dnie znajduje nie piękno lecz obrzydzenie...

Jedną z sił, na które i przez które wyobraźnia najbardziej działa, jest sztuka. Przyjąwszy raz pojęcie o odrębności dobra i piękna, a stąd o możliwości połączenia piękna ze złem, sztuka powoli, naturalnem nawiązaniem myśli doszła do przypuszczenia, że piękno może również złączyć się z brzydotą. Od tego zaś blizko już było do potwornej sprzeczności, że: b r z y d o t a j e s t p i ę k n e m. W ten sposób dowiedziono nam naocznie, iż pojęcie piękna, gdy jest oderwanem od pojęcia porządku, prawdy i dobra, zapiera się swej własnej istoty. Pokazano nam, że gdy człowiek chce pochwycić piękno połączone z nierządem, piękno z rąk jego bezpowrotnie ucieka, przedmiot podziwu blednie i tylko zimna mara brzydoty pozostaje w zawiedzionej dłoni.

Tak jest, zło i brzydota są tak identyczne, tak organicznie jednakie, że wszędzie szukają się wzajem, dążą ku sobie, aby się zlać w jedno, a człowiek, który zrazu uwierzył, że „pięknem jest zło“, w końcu powiedzieć musi, że „pięknem jest szpetność“. Sama siła rzeczy, która jedno pojęcie z drugiego wywodzi, zmusza go zastąpić wyraz „zło“ przez „szpetność“, zmusza go uznać pomiędzy brzydotą a grzechem pokrewieństwo, którego nie domyślał się wprzódy. Podobna sprzeczność, podobne skrzywienie pojęć wynikłe z wadliwego nawiązania myśli, nie objawia się w świecie odrazu. Przez pewien czas nurtuje bezwiednie, aż w końcu, gdy błąd stosownego stopnia dojrzałości dosięgnie, naraz zasłona pryska, błąd znajduje swój wyraz w słowach, a wtedy niedorzeczność jego wychodzi na jaw pod swojem własnem nazwiskiem.

Podobnie usiłowano w nas wmówić, że spokój i pogoda równają się śmierci, i że cechą życia jest zamęt. Tak mówiła słabość, chcąc żywotności swojej dowodzić. Nie mogąc się pozbyć gorączki, poczęła ją w sobie czcić i pokazała ją światu, mówiąc: Patrz to jest życie! — I świat uwierzył. Tacy, którzy nie mieli gorączki, poczęli ją udawać: małpowali gorączkę mniemając, że małpują zapał. Zapomnieli, że przy gorączce są dreszcze i że dreszcz jest zimnym.

Sztuka grecka nie znała tego rodzaju szaleństwa. Piękno jej polega całe w spokoju. Nie jest to wszakże spokój odpoczynku, lecz następstwa burzy, spokój istoty, która czuła gniew i odrzuciła go — jest to spokój człowieka, który się jeszcze nie gniewa.

Zadaniem sztuki jest wytwarzanie nieistniejącej jeszcze harmonii i ukazanie nam jej obrazu jakoby w zwierciedle. Sztuka zespala w myśli żywioły, które w rzeczywistości szarpią się jeszcze dążąc do zespolenia. Podczas gdy życie błąka się i męczy pracując nad porodem piękna i zazwyczaj pracując napróżno — sztuka dla zachęcenia i pokierowania niem w pracy, z życia samego wydziela ukryty jeszcze pierwiastek świetlany i przedstawia mu w nim własny jego ideał przyszłości. Jasnem jest więc, że istotną cechą sztuki musi być pogoda, spoczynek,

świadomość dokonanej zdobyczy, wygranej bitwy, pokój przeczuty i głoszony wśród walki. Głos fałszu zaś nie przestaje twierdzić, że dusza artysty winna być igraszką wszelkich niepokojów i błędów, że winna ustawicznie szarpać się i miotać...

Aby odnaleźć spokój, sztuka musi wprzód odnaleźć podniosłość i głębię. Spieniona powierzchnia wód nie przestaje się miotać, niespokojna i gniewna — ale piana nie jest oceanem. Ocean jest głęboki i w jego głębi tkwi jego majestat. Gdyby nie był głębokim, nie byłby wspaniałym pomimo swego obszaru. Jeśli wzrok może bez znużenia tak długo na nim utkwiony pozostać, to dlatego, że pod falami, które dostrzega, przeczuwa inne, niewidzialne fale. Patrząc na ogrom morza, domyśla się jego głębi i dlatego może nań spocząć. Widok samej powierzchni byłby dlań nużącym. Każda powierzchnia jest ruchomą; głębia jedna zawiera, posiada i udziela spokój...

Protestantyzm nie wziął w rachubę wyobraźni człowieka, nie dozwolił Bogu-Odkupicielowi wziąść ją w posiadanie. Zapomniał, że Bóg-Stwórca stworzył zachody słońca i polecił nocom gwiaździstym, aby ludziom o jego chwale szeptały. Wiek kłamstwa zaś, wiek XVIII., wywarł na ludzkość wpływ dziwny do zrozumienia. Utwory, które nam do czytania zostawił, są istnemi dziwami głupoty. Patrząc na tę zrazu chłodną a w końcu krwawą malignę, na te nudne, letniawe szaleństwa, przychodzi zapytać, jakim cudem mogły się stać zaraźliwemi?

Stały się zaraźliwemi tym razem znów przez nawiązanie pojęć. Wiek XVIII. nie przez rozumowanie, ale przez wywołanie błędnego powinowactwa myśli, wmówił w ludzi, że wiedza i wiara są sobie przeciwne, że dla zachowania wiary potrzebną jest ciemnota. Ta niby-myśl, która nie jest myślą ani pojęciem i dla której znaleźć nazwy nie zdołam, ta anti-myśl, ten czynnik negatywny wśliznął się w dziedziny wyobraźni i zatruł ją. Wtedy zaś widząc się panem sytuacyi, wiek XVIII. podał ludziom do wierzenia, że Bóg nie jest ojcem wszego stworzenia, że rady jego są dobre, ale chłodne i nudne, że kto w sobie czuje choć trochę zapału, powinien czynić źle... Wiek XVIII. konając zostawił nam w dziedzictwie zwyczaj zwania marzycie-

lem człowieka wierzącego i liczącego na świat niewidzialny, nadprzyrodzony. Nie zauważono przytem, iż pojęcie mrzonki lub marzenia jest raczej pokrewnem pojęciu złudzenia, złudzenie zaś jest istotnie udziałem człowieka zaprzeczającego świat nadprzyrodzony. Toż w zwykłem rozumieniu: być oszukanym, być omamionym, znaczy tyle, co wierzyć tylko świadectwu własnych zmysłów. Złudzenie polega na braniu mar za rzeczywistość a rzeczywistości za marę. Marzycielem zatem jest ten, który się nigdy nie budzi ze złudzenia zmysłów, który zamieszkując w dziedzinach ciemności nie zwraca się nigdy ku światłu. A jednak mowa ludzka sama zwiedziona i drugich zwodząca, od stu lat nie przestaje zwać marzycielem człowieka trzeźwego, który widzi i wie.

Jeżeli wiek XIX. się zbudzi, jeżeli pokrewne sobie z natury pojęcia pogodzą się znów w myśli człowieka i na jego ustach, to któż wie czy ludzkość zbliżona napowrót do przedwiecznej Jedności, nie zbliży się też do swego pierwotnego stanu człowieczeństwa; kto wie czy życie ludzkie równie jak i wiedza ludzka nie postąpią o krok naprzód na drodze spokoju?“

Podaliśmy rozdział niemal w całości. Niestety, Hello umierając przy końcu stulecia musiał przyznać, że pokładane nadzieje postępu w większej części chybiły. Natomiast opinia jego o wieku XVIII. musiała coraz czarniejszych nabierać barw, im dłużej widział przeciągające się skutki jego moralnego przewrotu. Tej znienawidzonej epoce poświęcił on, prócz licznych krótszych wycieczek, osobny rozdział zatytułowany: *Le mystère du XVIII. siècle* („Tajemnica XVIII. wieku“), mógłby on śmiało stanowić dalszy ciąg poprzedniego rozdziału. Podajemy zeń niektóre tylko ustępy 1) dla braku miejsca, 2) z powodu powtarzania się niekiedy w tekście tych samych myśli, powtarzania uderzającego zwłaszcza dziś, gdy artykuły wychodzące pierwotnie w poszczególnych dziennikach połączone są w całość. Początek jest istotnie piękny — słuchajmy.

„Jeśli na świecie coś jest oczywistem — to istnienie tajemnicy. Na stanowisku, jakie zajmuje w hierarchicznem stopnio-

waniu istot człowiek nie może otworzyć oczu, aby jej przed sobą nie ujrzeć. Mówię umyślnie — o t w o r z y ć oczu; trzeba je bowiem zamknąć i to zamknąć gwałtownie, aby tajemnicy nie dostrzedz. Gdy oczy zamknięte, tajemnica znika, bo znikło światło. Te dwa wyrazy: t a j e m n i c a i ś w i a t ł o, które ciemnota mieni być sobie wzajem sprzecznemi, te dwa wyrazy w oczach naszych i w oczach nauki w najbliższym ze sobą pozostają związku.

Im więcej światła człowiekowi przybywa — tem głębszą wobec niego staje się tajemnica. Każda wyłaniająca się prawda już ukazując się, częściowo się zasłania: im lepiej człowiek ją widzi, tem jaśniej dostrzega, że nie obejmuje wzrokiem jej całości. Im dalej kroczy, tem droga, która mu do przebycia zostaje, przed nim się wydłuża. Im szerzej wprost przed nami horyzont się rozsuwa, tem bardziej wszystko, co jest za nami, w tyle, tonie w coraz głębszej mgle oddalenia i coraz to ostrzej wyzywa naszą uwagę. A gdyśmy już daleko w okrąg światła wtargnęli, główną naszą zapłatą jest módz wzrok odwrócić od obszarów widzialnego świata i poza nim podziwiać niewidzialne i niedoścignione ogromy. Dlatego mowa ludzka, niejednej świadomości skarbnica, uważa niemal za synonimy słowa: t a j e m n i c a i p r a w d a.

Istnieje atoli w dziejach wiek, którego hasłem jest zaprzeczenie tajemnicy. Cóż wiek ten zdziałał? Jaką była jego racya bytu? Oto wziął prawdę, którą wyłożyłem przed chwilą i słuszność jej wykazał *per absurdum:* wykazał w jaką głębię ciemnoty może wpaść człowiek, który istnienie tajemnicy zaprzecza. Ten wiek wydaje się być przerwą w czasach historycznych...

Przesąd wielce pielęgnowany w dziedzinach, dokąd światło jeszcze nie doszło, przesąd z osobliwem zamiłowaniem szerzony przez nieuków, przedstawia wiek XVIII. jako epokę zapału, epokę duchowego polotu, śmiałości i hartu, jako namiętnego nowatora, który jeśli zbłądził, zbłądził szlachetnie, przez wielkoduszność, przez nadmiar, przez w e z b r a n i e m y ś l i. Przesąd ten jest niebezpiecznym, jest fatalnym, bo nadaje XVIII. stuleciu pozór wzniosłości, czyniący go w oczach nieświadomych

godnym podziwu i pożałowania. Nadaje mu w oczach tłumu powab podobny powabowi, jakim niektóre powieści otaczają zbrodniarzy.

Istnieją bowiem ludzie, którzyby chcieli w nas wpoić, że zbrodniarze to są dusze wielkie, płomienne, zbłąkane, które wkroczyły w dziedzinę złego, bo zbyt były potężne, aby pozostać uwięzionemi w dobrem. Nie trudno podobne rzeczy wmówić biednym ludziskom. Natomiast prawdą jest, że zbrodniarz bywa najczęściej człowiekiem miękkim, rozlazłym, zimnym, który się stacza w błoto, i z błota w krew.

Podobnie wiek XVIII. Jest to twór miękki, rozlazły, zimny, który się stoczył w błoto, i z błota w krew. Głupi, niedbały, uczynił co czynią zwierzęta.

I to jest, co nam każą podziwiać! Zorganizowano olbrzymią farsę, aby nam dowieść, że grzech jest wspaniałym, że jest rozkwitem wielkich dusz. Łatwowierność ludzi zaś jest tak ogromna, że nie jest bynajmniej niemożliwem, coś podobnego im wmówić. Łatwowierność ta przechodzi granice najśmielszej wyobraźni. Tak jest, gdy generacya jaka utraci wiarę, niemasz krańców, do którychby nie mogła dojść jej łatwowierność. Niema już zbroi na piersi, ni przepaski u bioder, każdy może z nią uczynić co zechce.

Gdy generacya jaka straciła wiarę, można nią obracać, popychać, przekręcać, podrzucać w górę na wełnianej derce, jak oberżyści hiszpańscy podrzucali Sanszę Pansa: wszystko da ze sobą zrobić bez najmniejszego oporu. Mówią jej o wielkich ideach XVIII wieku, o jego nadmiarze myśli, mówią jej o patryarsze z Ternay, i nie wybucha śmiechem i nie podnosi się gniewna, by znamię chrztu na swem czole pokazać mówiącym.

Otóż ów serwilizm, owo spłaszczenie czoła, owo umysłowe spodlenie, jest jedną z najmniej spodziewanych, najmniej znanych, a przecież najjaskrawszych cech nowoczesnego ducha. Zaprawdę trzeba być dumnym z Boga, albo się Go sromać, trzeba chwalić się w Nim, i chwalić Go w sobie, lub znosić straszną hańbę służenia Bogu, którego się nie uwielbia, i zginając kolana zazdrościć tym, którzy nie klękają. Należy wzgardzić fał-

szem całemi siłami naszej ubóstwionej duszy, odtrącić go nogą jak plugawe śmiecie, bo inaczej dochodzi się stopniowo do uznania w tym fałszu pewnych stron, a w końcu i całości godnej szacunku, do pożałowania go w niepowodzeniach, aż w końcu znajduje się go poniekąd pięknym, i niemal słusznym...

Określiwszy tak dosadnie całość Hello przechodzi do bardziej szczegółowego rozbioru działalności głównych przedstawicieli XVIII. wieku:

„Cóż czynią Rousseau w filozofii, Woltera w literaturze, Montesquieu w historyi, Buffon w historyi naturalnej? Pracują nad jednem i tem samem dziełem, usiłują znieść a raczej zasłonić tajemnicę.

Rousseau przyjąwszy za podstawę, że człowiek jest wszechwiedzącym, odpycha wszystko, co jego własny rozum przechodzi, odrzuca to, czego objąć nie zdoła. Swemi małemi rękami skleciwszy sobie nowe łoże Prokusta, rozciąga na niem Boga, człowieka i przyrodę. Gdy zaś urobił sobie tak maleńkiego Boga, tak maleńkiego człowieka, i tak maleńką naturę, że nic go już w nich nie dziwi, wtedy odpoczywa na dokonanej pracy, przypatrując się z zadowoleniem swej własnej osobie...

Woltera w literaturze (nie chcę wymieniać sztuki obok jego nazwiska) o jedno tylko się troszczy: o zgniecenie i usunięcie wszystkiego, co wzniosłe... W człowieku upadłym kryje się pewna żądza sromoty, pchająca go do wyśmiewania własnej chwały, własnej godności. Żądza ta dziwna, a przecież dobrze świadoma znającym ludzką naturę, stanowi to, co się nazywa duchem, czy też sprytem wolteryańskim, *l'esprit voltairien*. Owóż chęć poniżenia człowieka, ma źródło w głębokiej nienawiści do Boga, nienawiści, widzącej bardzo jasno i trafnie: niecierpi człowieka bo jest obrazem Boga, gardzi nim bo jest chwałą Boga, chce aby sam sobą wzgardził, iżby w sobie chwały Bożej się wyrzekł.

To zamiłowanie do hańby, do poniżenia drugich i siebie, ta wrodzona, rdzenna sromota stanowiąca duch wolteryanizmu, jest naturalnym owocem pychy. Pycha sprawia, że człowiek nie chce odnosić się do Boga, że zaś w Bogu jednym znaleźć może

chwałę, więc aby jej tam nie szukać, woli się jej zrzec i rzucić się w hańbę. Człowiek, który uwielbia, nie może drwić sam ze siebie, i dlatego Woltera każe mu drwić, iżby się stał do uwielbiania niezdolnym. Woltera ścina głowę człowieka, i zbezczeszcza przyrodę, aby zdruzgotać w nich obraz Boga i zatrzeć ślady stóp Jego. Atoli czas już wymierzyć sprawiedliwość jemu, i tym co go czczą. Ganić go z uszanowaniem byłoby stać się jego wspólnikiem. Należy wzgardzić nim, jak błotem rynsztoków, wzgardzić tak, iżby imię jego, jeśli z mowy ludzkiej nie zniknie, służyło do piętnowania niegodziwości bez nazwy, na które ani wyrazy ludzkie, ani gniew ludzki nie starczą“...

Opuszczamy dalszy ciąg nieubłaganej charakterystyki Woltera, nietylko bowiem na tem miejscu, ale wielekroć w biegu dzieła można z pokrewnemi przytoczonemi ustępami się spotkać. Nie wspomnimy też o pomniejszych filozofach i poetach XVIII. wieku, z którymi autor się krótko i niezbyt łaskawie rozprawia. „Montesquieu, zdaniem jego, usiłował w dziejach wytłumaczyć wszystko, nie biorąc w rachubę tego, co się wytłumaczyć nie da: z obawy odstraszenia czytelników, nie przekroczył granic rzeczy wiadomych. Historya jest dla niego dziedziną bez widnokręgu, bez gór ni dolin, bez szczytów ni głębi. Człowiek wydaje się w niej, jakoby ściśnięty między dwoma ścianami, poobrzynany, spłaszczony, bez wyższych dążeń, ani chwil słabości, samotny, zimny, oddalony od Boga i znoszący to oddalenie bez żadnego cierpienia. Historya jego podobną jest do prawdziwych dziejów, jak oficyalna prezentacya do dramatu życia ludzkiego.

„Buffon w historyi naturalnej postępuje absolutnie tak samo. Spogląda na przyrodę, przez sztuczną atmosferę, jaką wiek XVIII. wytworzył wkoło człowieka. Przyroda u niego przypomina dekoracye opery komicznej; sam pisał zapewne w stroju balowym, więc i zwierzęta przybrał w stroje balowe: wszystko z pod jego pióra wychodzi upudrowane i wyróżowane. Słowem Buffon obdziera stworzony świat ze wspaniałej prostoty, która zeń czyni niewyczerpane źródło nauki — niestety! jakże mało ludzi z niej czerpie!“

Sam Hello, pojmuje przyrodę w sposób bardzo wzniosły,

i mówi o niej niejednokrotnie z zachwytem. Wśród tych zachwytów uderza nas zwrot o symbolizmie, odsłaniający jeden z załamów tego płomiennego umysłu. „Symbolizm, pisze, wiążący świat widzialny z światem niewidzialnym, dozwala nam choć po części zajrzeć w głąb tajemnicy, stanowiącej łączność wszelkich łączności, i harmonię wszelkich harmonij. Widziana przez jej pryzmat dziwna prostota, istniejąca wszędzie w porządku stworzenia, wydaje się stokroć bardziej olbrzymią“... Nie dziw też, że w tem świetle widziana natura Buffona, wydaje się stokroć bardziej sztuczną i drobną. Hello zauważa słusznie ustawiczny, acz skrzywiony zwrot do natury, objawiający się na każdym kroku w drugiej zwłaszcza połowie XVIII. wieku. Tłumaczy go tem, iż każde stulecie ma w wielkiem dziele rozwoju świata przeznaczone sobie zadanie. Otóż zadaniem XVIII. w., było zbadanie głębin i wdzięków przyrody, zwrócenie umysłu ludzkiego ku uwielbieniu Boga w Jego utworach, ku oddaniu mu czci i chwały za każdą kroplę rosy, za każdą gwiazdę błyszczącą w przestworzach. Tymczasem oddalając się od Boga wiek XVIII. chybił swego posłannictwa. Zajął się wprawdzie naturą, ale z dzieła jego uleciał duch. Wraz z duchem uleciała istotna treść zadania, uleciało zrozumienie życia, i wytworzyła się rzecz martwa, śmieszna, skarłowaciała, wytworzyła się parodya natury.

III.

Niestety trzeba nam oszczędzać godziny czytelnika i swoje i ograniczyć się w wyciągach ze szkiców, z których każdy choćby jednym ustępem, choćby jednem zdaniem przynęca. Przepyszne są kawałki w rozdziałach *L'Unité* i *Le siècle et les siècles,* pięknym rozdział *L'Indifférence,* który wartoby każdemu chrześcijaninowi w sercu zapisać; tym razem więc jeszcze ulegając pokusie, podajemy go i to w całości.

„Naprzeciw siebie stoją dwie sprzeczności: t a k albo n i e.

„Wielu jest ludzi nieświadomych zresztą niczego, którzy zarzucają prawdzie brak tolerancyi.

„Trzeba się porozumieć nad znaczeniem tego wyrazu.

„Słuchając ich mogłoby się zdawać, że prawda i błąd są

istotami równemi sobie i mogącemi się „za pan-brat“ wzajemnie traktować, że to są niby dwaj prawi monarchowie, mogący żyć w zgodzie, każdy w swojem państwie, dwa bóstwa panujące nad dwoma połowami świata i niemające prawa wkroczyć sobie wzajemnie w granice. Stąd obojętność, która jest tryumfem szatana; nienawiść mu jest miłą, ale nie wystarcza: potrzeba mu obojętności.

„Obojętność jest nienawiścią osobnego gatunku: nienawiścią chłodną i trwałą, zasłaniającą się przed drugimi a czasem i przed sobą wygodną maską tolerancyi, — obojętność bowiem nigdy szczerą nie jest. Jest to nienawiść podszyta kłamstwem.

„Aby módz co dnia potok gorących obelg przeciwko prawdzie wyzionąć, potrzebaby ludziom zasobu męstwa, którego im brak. To też decydują się na to, aby się na nie nie decydować. A przecież zważywszy grzech pierworodny, nienawiść głośna daleko łatwiej da się zrozumieć, niż taka nienawiść cicha. Co mnie dziwi, to nie bluźnierstwo wychodzące z ust ludzkich — toć jest i grzech pierworodny i wolna wola człowieka: można pojąć i wytłumaczyć bluźnierstwo. Ale co mnie pogrąża w prawdziwą otchłań zdumienia — to neutralność.

„Chodzi tu o przyszłość ludzkości, o wieczną przyszłość wszystkiego na świecie, co posiada wolność i rozum. Chodzi oczywiście i na pewno o ciebie samego zarówno jak o każdą inną osobę i rzecz. Chodzi dla ciebie o sprawę żywotnej wagi, która cię zajmować musi, chyba że cię nie obchodzi ani twoja własna osoba, ani nikt, ani nic na świecie. Więc jeśliś żyw, wzbudź w sobie życie! Weź twoją duszę i przywiedź ją w bój! Weź twoje pragnienia, twoją myśl, twoją modlitwę, twoją miłość! Weź do rąk broń, jaką walczyć umiesz i rzuć się cały na szalę.

„Jeżeli śpisz — przebudź się. Jeżeliś umarły, zmartwychwstań. Wyszukaj w dawnem twem życiu, w twojem życiu zagasłem najlepsze z pomiędzy twych wspomnień. Przypomnij sobie woń rosy porannej, woń owej świeżości, którą ongi raz chociaż zaznać musiałeś, a potem śmiej jeszcze powiedzieć, że ci wszystko jedno.

„Stojąc pomiędzy dwoma ogniami — tych, co kochają i tych, co nienawidzą, trzeba jednym lub drugim pomagać. Wiedz zatem, że nie ogólnikowo dla ludzi, ale osobiście dla ciebie brzmi apel do boju, że wszystkie siły materyalne, umysłowe, moralne, jakie z łaski Boga posiadasz, to tyleż broni, któremi walczyć możesz przeciwko Niemu lub z Nim. Bić się musisz; bijesz się, czy chcesz czy nie chcesz — pozostaje ci tylko wybór obozu.

„Chrystus przychodząc na świat wszystkiego żądał od ludzi, stał się był bowiem od najuboższych uboższym. Prosił o miejsce, aby się narodzić i odmówiono mu: gospody były zajęte i stajnia tylko stanęła otworem. Prosił o miejsce, aby żyć i odmówiono Mu: Syn człowieczy nie miał gdzie skłonić głowy, a gdy Mu przyszło umierać, nie miał pięciu stóp ziemi, aby się na niej położyć. Ziemia wyrzuciła Go pomiędzy siebie a niebo — na krzyż.

„Owóż Ten, co żądał wówczas, żąda i teraz. Prosi o miejsce, aby się narodzić, a serca ludzkie zajęte są tysiącem nudnych marnostek, którym się co dnia w całopaleniu oddają, podobnie jak owe gospody, które przepełnione najpospolitszym tłumem, odesłały Jezusa do stajni między osła i wołu!...

„Człowiek piszący książkę lub mający na zawołanie drukarnię, rozporządza nieobliczalną potęgą. Nikt nie zliczył i nigdy nie zliczy wewnętrznych aktów i zewnętrznych czynów, jakie ten człowiek pobudza lub wstrzymuje. Zapytajcie wędrowca nieobeznanego ze zwyczajami ziemskiemi, nieobytego z ludzką głupotą, co sądzi, jaki robią użytek z powierzonej im siły ci ludzie, którym jest dano wobec świata i w imieniu świata przemawiać?

„Wyobraź sobie jego odpowiedź i wyobraź jego zdziwienie, gdyby otworzył pierwszą lepszą książkę lub dziennik. Ale jakichże rozmiarów dosięgłoby to zdumienie, gdyby autor tej książki oświadczył: „Prawda, że mówiłem dużo na to, aby nic nie powiedzieć, ale czyniłem to dla zabawienia moich czytelników, każdy z nas bowiem mógł się przekonać, że tylko rzeczy zupełnie obojętne, nie dotyczące Boga ani człowieka, są w stanie zająć publiczność. Prawda zaś — prawda jest nudną".

„Ze wszystkich najniedorzeczniejszych podszeptów szatana, ten chyba jest jego arcydziełem: prawda jest nudną. Prawda? Ależ to ona jest jasnością wesela! — Prawda? Ależ to ona jest źródłem zachwytów! Toć najwspanialsze świata tego piękności są tylko jej bladem odbiciem a każdy jej promień dostrzeżony w oddali wprawia duszę w szał nadziemskich uniesień. W niej to, na puszczy, rozpływał się od szczęścia promienny duch św. Atanazego, podczas gdy ci, którzy go na tę puszczę wygnali, schnęli od nudy w swoich pałacach złocistych!

„Dusza ludzka jest do strawy niebiańskiej stworzona, tak w czasie jak i w wieczności. Niema dwóch źródeł szczęścia, jest tylko jedno, ale niewyczerpane i wszyscy z niego pić mogą! Jeżeliś umiłował nudę — idź, szukaj nicości. Ale jeżeliś ukochał życie, ukochał piękno, ukochał miłość — idź do Istoty wszech istot, do Tego który jest.

„Czyż będziesz mi jeszcze śmiał mówić o obojętności, do której ma prawo błąd? Cóżbyś powiedział o lekarzu, któryby wezwany do twej chorej żony odmówił swych usług przez wzgląd dla choroby, która ma prawo do jego neutralności? „Bo przecież — powiedziałby ten lekarz — pomiędzy chorobą a zdrowiem jestem bezstronnym, jestem eklektykiem: dlaczegóżby choroba miała być gorszą od zdrowia? Cholera mogłaby ci dać poznać kurcze, których nie poznałbyś bez niej. Należy wszystkiego skosztować, wszystko przypuścić, wszystkiego spróbować. Dlaczegóż nie spróbować cholery? Sądzisz o niej według zdania drugich; jest to niegodnem filozofa! Należy ją ocenić samemu, jeśli twój sąd ma cośkolwiek znaczyć. Zapalenie gardła może krtań twoją przyozdobić w porosty, których zdrowie ci nie da. Jest to bogactwo i postęp. Co prawda, porost ten nie jest zupełnie prawidłowy, ale chcieć go potępić, byłoby może posunąć się zbyt daleko, byłoby niemal fanatyzmem“.

„Wszak prawda — odczuwasz dobrze okropność i śmieszność tam, gdzie chodzi o rzeczy widome?

„Wiedz zatem, że choroby ludzkiego ciała, narośle, raki, gangreny, są tylko wynikiem owych niewidzialnych okropności, które wewnątrz grzech wytwarza.

„Pomyśl, że zło fizyczne, którego szpetności zaprzeczyć nie możesz, jest konsekwencyą, odbiciem i ostrzeżeniem zła moralnego i błędu.

„Czemże więc jest błąd, skoro takie rodzi potomstwo? I czem jest obojętność, która chce, aby błąd na świecie pozostał? Osądź sam, bo ja się i pomyśleć nie ważę.

„Szatan jest panem nudy, rozpaczy i wszelkiej boleści.

„Bóg jest panem radości. Niech obojętność spojrzy w głąb siebie i niech się osądzi.

„Mówię tu o obojętności dogmatycznej i teoretycznej. Co do obojętności praktycznej, ta wyraża się mniej więcej w te słowa.

„Choruję na dżumę. Być może, iż dżuma jest wynikiem błędu i grzechu — powiadacie tak, a ja nie zaprzeczam. Rzeczą pewną jest, że idę ku śmierci, być może, iż idę ku piekłu i że to wszystko jest wynikiem błędu. Prawdą jest też, że się nudzę, że z wiekiem czucia moje tępieją i że kiedyś na mnie przyjdzie śmierć. Myśl ta jest nieprzyjemną. Jednakowoż, gdyby mi Bóg zaproponował, abym na chwilę porzucił te rzeczy nudne, jednostajne, kłamliwe, bezduszne i śmiertelne, które mnie wiodą do rozpaczy obecnej i do rozpaczy wieczystej, a następnie, abym je zamienił na życie, radość i szczęście — odmówiłbym, anibym chciał nawet głosu Jego słuchać. Poszedłbym sobie zagrać w grę, która mnie nie bawi, a Jemubym powiedział: Idź precz! Idź precz mistrzu zachwytów i właścicielu radości, idź precz! Idź precz słońce wstające w Twych blaskach purpury i złota! Idź precz majestacie! Idź precz jasności! Idź precz! — Idź precz Ty, któryś wylał pot krwawy w Ogrodzie Oliwnym! Idź precz Ty, któryś się przemienił na górze Tabor! Idź precz! Ja — idę do handelku, gdzie się będę nudził.

„Więc po cóż tam idziesz?

„Bo codzień chodzę".

Wszystko to ogromnie traci na przetłumaczeniu: język autora jest tak indywidualnym, myśli w tak górnej wypowiedziane formie, iż prawie niepodobna nie popsuć treści. Dlatego szkoda tykać tego, co najpiękniejsze; lepiej, aby sobie każdy

w oryginale przeczytał. Każdemu stąd zrobi się nieco jaśniej w duszy, bo choć dla czytającego jednym ciągiem częste wycieczki przeciw wrogom Kościoła są nieco nużące, zawsze to walka o prawdę, walka o cześć przedwiecznej Miłości prowadzona przez bardzo ją miłującego rycerza. Być może, iż ciosy jego są zbyt gwałtowne, ruchy niedość obrachowane i rządne, być może, iż więcejby zdziałał działając spokojniej — ale właśnie ten zapał taki młody, taki nieujęty światowym kodeksem „przyjętych“ zdań i „przyjętych“ idei, stanowi urok z jakim rzadko po stronie cnoty spotkać się można. Porządni ludzie smucą się nieraz powodzeniem rewolucyonistów lub niedowiarków; przypisują je niewytłumaczonym dopustom Bożym lub używaniu przez przeciwników niejednego środka, przed którym ich własna uczciwość się wzdraga. Zapominają o jednej przyczynie: to jest, że gdy po stronie wrogów porządku i wiary stoją zazwyczaj zapaleńcy lub przynajmniej ludzie zawzięci, to pomiędzy obrońcami prawdy są po większej części tylko ludzie umiarkowani, unikający starcia i już z góry zwalczeni przez to samo, że unikają walki. Na miliony katolików znajdzie się jeden duch tak gorący, jak Ernest Hello.

Miejscami widzimy w jego utworach rozstępujące się chmury i światłość niebios przezierającą miłośnie, a wtedy huk gromu zmienia się w hymn pochwalny, w hymn śpiewany z czułością dziecka i radością młodzieńczą. Ale chwil takich mało, bo „głos wołającego“ obiwszy się o szczyty, zwraca się znów do ludzi: onby ich chciał pociągnąć za sobą ku wiecznemu szczęściu, więc im raz wraz powtarza, że w grzechu jest niedola i smutek, że grzech jest brzydki, głupi, słaby i nudny, że jedynie w Bogu jest wesele, wiedza, rozum, spokój i siła. Niecierpliwi się, gdy go słuchać nie chcą i złorzeczy roznosicielom błędu, którzy fałszywem brząkadłem zagłuszają ich słuch na anielskie śpiewy. Niecierpliwi go również pewien rodzaj umyślnej niemal głupoty, zacięcia się w konwencyonalnych formułkach, wytworzenie na jasnym Bożym świecie atmosfery dusznej, migocącej a ckliwej od sztucznych pachnideł i świateł: antypatycznym mu typem

jest człowiek mierny — *L'Homme médiocre,* którego określeniu cały rozdział poświęca.

Według niego człowiek mierny, nie jest to głupiec a jeszcze mniej człowiek zachowujący miarę — ale istota sama z siebie pusta a nadęta, karmiąca się moralnie wynikami opinii tłumu, gotowa łasić się najgorszemu wrogowi, jeśli ten wróg posiędzie sławę, a mieć za nic najlepszego z przyjaciół, jeśli spostrzeże, iż go nikt nie chwali. U miernego człowieka podziw jest zawsze ostrożny, a zapał oficyalny; gardzi młodymi i ubogimi, którzy się jeszcze nie wybili na widownię świata. „Może sam mieć pewne zdolności, może mieć talent, ale mu brak intuicyi. Zgadza się nieraz na jaką zasadę, ale jeśli mu jej konsekwencye wykażesz, powie ci, że przesadzasz: wymyśliłby wyraz przesada, gdyby już w słowniku nie istniał... Człowiek mierny sądzi o chrystyanizmie, iż jest to bardzo pożyteczny środek ostrożności, którego byłoby niebezpiecznie się pozbyć. W głębi duszy nie lubi go, ma dlań jednak pewien respekt; taki np. jak dla książki używającej wziętości. Do katolicyzmu za to ma wstręt otwarty: znajduje go przesadnym, woli stokroć protestantyzm, który mniema być umiarkowanym. Zresztą jest zwolennikiem wszelkich najsprzeczniejszych ze sobą zasad...

„Człowiek mierny może mieć szacunek dla ludzi cnotliwych lub zdolnych — ma wstręt i pewną obawę przed człowiekiem genialnym lub świętym, znajduje, że tak jeden, jak drugi jest zawsze przesadnym.

„Zapytuje, na co się przydadzą zakony, zwłaszcza kontemplacyjne. Przypuszcza jeszcze Szarytki, bo ich działalność, przynajmniej częściowo, ma za pole świat widzialny. Ale — mówi — po co Karmelitanki?...

„Jeżeli człowiek, z natury mierny, staje się prawdziwym chrześcijaninem, przez to samo przestaje być miernym. Może nie być nigdy człowiekiem wyższym, ale jest już wyrwanym z mierności: ten który kocha nigdy miernym nie jest.

„Człowiek istotnie mierny, wszystko podziwia po trosze a nic z zapałem. Jeźli mu przedstawisz własne jego uczucia

i myśli oddane nieco goręcej, będzie niekontent, powie, że przesadzasz...

„Człowiek mierny w literaturze lubi autorów, którzy nic nie twierdzą i niczemu nie przeczą. Ceni równocześnie Woltera i Bossueta. Pozwala, aby zaprzeczano wierze chrześcijańskiej, ale żąda, aby to czyniono uprzejmie, z pewną skromnością w słowach... Chcąc uniknąć zarzutu nietolerancyi czynionego przezeń każdemu, kto nieco silniej myśli i czuje, należałoby się uciec do absolutnego zwątpienia, a i tak zwątpienia tego nie należałoby wyrazić wprost, ale mu nadać formę potulnej opinii, uznającej prawa opinii przeciwnej, udającej że mówi coś a w istocie nie mówiącej nic. Przy każdem zdaniu należy umieścić łagodzący dodatek: zdaje się, być może, jeźli śmiem powiedzieć, jeźli wolno się tak wyrazić i t. p...

„Człowiekowi miernemu, gdy działa lub urzęduje, cięży zawsze obawa skompromitowania się, to też wygłasza najbanalniejsze zdania ostrożnie i nieśmiało, jak gdyby się lękał, że od słów jego rozchwieje się świat...

„Pierwszy sąd, jaki z ust jego o nowej książce usłyszysz, będzie zawsze dotyczył jakiegoś szczegółu, przeważnie szczegółu stylu lub pisowni. „Dobrze napisane“ powiada, jeśli styl jest wodnisty, bezbarwny, letni i nieśmiały. „Źle napisane“ — jeźli dzieło twoje drga życiem, jeźli pisząc wytwarzasz własny twój język, jeźli wyrażasz myśl z tą prawdziwą jędrnością, która stanowi rycerską szczerość pisarza. Niecierpi książek, które zmuszają do myślenia; lubi te, które wchodzą w jego własne ramy, które się zna na pamięć, zanim się je otworzy, bo są podobne do wszystkiego, co się czytało, odkąd się umie czytać...

„Człowiek mierny jest zdania, iż Chrystus byłby powinien poprzestać na głoszeniu miłosierdzia nie robiąc cudów. Jeszcze bardziej nie lubi cudów czynionych przez świętych, zwłaszcza spółczesnych; gdy o takim posłyszy, mówi, że cuda mogły być na swojem miejscu w starych legendach, i że je tam należy zostawić, a jeźli zauważysz, że Pan Bóg jest równie wszechmogący dzisiaj, jak wonczas, odpowie ci, że przesadzasz.

„Człowiek mierny w ciągłej obawie przed rzeczami wyż-

szemi, lubi powtarzać, że przedewszystkiem ceni zdrowy rozsądek. Niema przytem pojęcia, co to jest zdrowy rozsądek: mieni go być jedynie zaprzeczeniem wszelkiej wielkości.

„Podczas co człowiek rozumny podnosi głowę, aby podziwiać i wielbić, mierny podnosi głowę, aby się natrząsać: wszystko co widzi ponad sobą uważa za śmieszne; nieskończoność wydaje mu się próżnią bez końca. Nie w smak mu jest, że religia chrześcijańska zawiera dogmata — radby aby nauczała czystej etyki a jeźli mu odpowiesz, że etyka sama wypływa z dogmatów jako wynik z przyczyny, powie ci znów, że przesadzasz.

„Nie umie rozeznać fałszywej skromności, która jest oficyalnem kłamstwem pyszałków, od pokory, która jest niebiańską cnotą świętych. Pomiędzy tą skromnością a prawdziwą pokorą różnica jest następująca:

„Fałszywa skromność mieni swój własny rozum wyższym i niezależnym od prawdy Bożej, równocześnie jednak niższym od rozumu Woltera. Chyli skroń przed filozofami XVIII. wieku a wyśmiewa się z św. Teresy. Człowiek pokorny zaś gardzi wszelkim, choćby przez cały świat sławionym fałszem, a klęka przed każdą prawdą.

„Człowiek mierny wydaje się zazwyczaj skromnym; pokornym jednak być nie może: gdyby się upokorzył, w tejże chwili przestałby być miernym...

„Jest on najzimniejszym a zarazem najzjadliwszym wrogiem geniuszu. Stawia mu opór najgorszy, opór inercyi. Przeciwstawia mu swą niezwyciężoną a machinalną siłę przyzwyczajeń, warownię swych zastarzałych przesądów, swą wrogą obojętność, złośliwy sceptycyzm, głębię nienawiści odzianą w bezstronności pozory; przeciwstawia mu broń ludzi bez serca: zatwardziałość głupoty... Nie zna entuzyazmu ani litości — te dwa uczucia zawsze idą społem"...

Opis walki miernoty z geniuszem i przyczyn częstej przewagi pierwszej nad drugim, ciągnie się jeszcze stron kilka; jakim jest, znając autora, domyślić się łatwo. Temu duchowi, w którym wszystkie myśli i czucia dosięgały zawsze zenitu, wstrętnym

był wszelki chłód, wszelka połowiczność i bezbarwność: „Miarę miłości brać można z miary nienawiści ku wszystkiemu, co jest wrogiem ukochanemu“ — powiada w rozdziale *La Charité*, który zda się być pobudką wojenną do walki i czynu. Dalej w szkicu zatytułowanym *L'Ignorance religieuse* słusznie zauważa, iż ludzie wstydzą się wszelkiego nieuctwa, krom nieświadomości religii, a równocześnie ciż sami ignoranci prawią o niej apodyktycznie, choćby nie śmieli np. mówić o chemii, gdyby nie byli w niej biegli. Bardzo wzniosłym i ciętym jest szkic dziejów filozofii p. t. *Babel*. Obrobiwszy czasy starożytne a potem z kolei Hegla i innych Niemców, Hello wyraża się dość smutno o ich kolegach francuskich.

„Ponieważ mistrzowie niemieccy — pisze — nie nachylili się dość nizko, aby głos ich doszedł wyraźnie do uczni francuskich posiadających wzrost niezbyt wysoki i słuch niezbyt bystry, przeto ci biedacy znaleźli się w okrutnym kłopocie: trzeba dosłyszeć lekcyę, aby ją módz powtórzyć. Tymczasem jeden był uchwycił w lot jedno słowo, inny zaś drugie, ten złapał rzeczownik, tamten jakiś przymiotnik — i niestety! cóż z tego powstało? Pozeszywali ze sobą te strzępy; poustawiali wyrazy jeden za drugim: wprawdzie całość tak złożona niema najmniejszego sensu, ale uczniowie tego nie spostrzegli. ...Uczniowie uczniów zaś — to jest publiczność francuska — zawołała jak w sztuce Molièra: To takie piękne, że aż nic nie rozumiem! *C'est si beau que je n'y comprends rien!*

„W istocie odgrywając komedyę w języku nieznanym widzom i sobie, aktorowie mogli bezpiecznie wydawać pierwsze lepsze dźwięki, jakie im przyszły na usta“...

Czyż może być bardziej ostra i dosadna ironia? Łatwo sobie wyobrazić, wiele powyższy ustęp ściągnął Ernestowi Hello cichych nieprzyjaciół, takich, którzy nawet gniewu okazać nie śmieli, aby się nie przyznać do solidarności z opisanym rodzajem.

„We Francyi — mówi dalej — charakterystyczną cechą wszystkich paplających o filozofii, jest ignoracya iście potworna. Podstawy, fundamentów brak tam zupełny, natomiast każdy na los szczęścia rzuca kamień i przekrzywia się, aby zobaczyć, czy

z tych kamieni przypadkiem utworzy się gmach. Ludziom tym nie podobna ani się zgodzić, ani się wzajemnie zbijać, nie mogą ani walczyć, ani żyć w spokoju.

„Sprobój ich zapytać, co to jest Bóg?

„Nie mają o tem żadnego pojęcia, ani zdrowego, ani fałszywego, a jeśli dotrzesz do głębi ich myśli, lub raczej tego, co nazywają myślą, dowiesz się, że dla nich Bóg jest abstrakcyą, ale oni i o tem nie wiedzą, bo sobie z niczego nie zdają dokładnej sprawy.

„Bóg, o jakim mówi katechizm i o jakim również naucza wiedza, spytajcie ich, czy przypuszczają jego istnienie?

„Niezupełnie — *Pas précisément...*

„Zapytaj, czy go odrzucają?

„Niezupełnie.

„Czy chcą mieć innego?

„Właściwie nie.

„Istota Boska, jaką sobie wyobrażają, jeśli wogóle jest do czegokolwiek podobna, to chyba do majestatycznej formy nicości. Ale czytajmy dalej, co mówi katechizm, który sobie wymyślili w miejsce prawdziwego katechizmu:

„Czy Jezus Chrystus jest Bogiem?

„Niezupełnie.

„A więc nie jest Bogiem?

„Nie mówię tego stanowczo. Zachodzisz pan trochę zbyt daleko. Jest czemś podobnem do Boga, że jednak nie wiem, co to jest Bóg, nie mogę wiedzieć, czy Chrystus jest całkowicie Bogiem, czy też czemś zbliżonem do Bóstwa.

„Czy Jezus Chrystus jest Bogiem, jak Kościół naucza?

„Niezupełnie; nie biorę tego wyrazu w tem samem znaczeniu co pan.

„Jakiego wyrazu?

„Że Jezus Chrystus jest Bogiem.

„Więc w jakiemże go pan bierzesz znaczeniu?

„W znaczeniu nowożytnem, w znaczeniu szerszem, filozoficznem.

„A jakież to jest znaczenie nowożytne, szerokie i filozoficzne.

„Pan zanadto napierasz. Jestem chrześcijaninem, ale nie katolikiem.

„A więc protestantem?

„Niezupełnie.

„Więc czemże pan jesteś? Człowiek mieniący się chrześcijaninem a nie katolikiem, miany jest zwykle za protestanta.

„Moja religia jest religią przyszłości.

„Więc pan mniemasz, że Pan Bóg się zmieni, lub że Go inny zastąpi?

„Niezupełnie. Pan idziesz za daleko.

„Podobny dyalog możesz sobie sprawić skoro tylko zechcesz, krom naiwności, jaką tu kładę w usta twego przeciwnika. W rzeczywistości prostota będzie zastąpiona solenną pedanteryą; grunt rzeczy jednak pozostanie ten sam. Przeciwnik twój będzie w ustawicznej sprzeczności tak z tobą, jak i ze sobą samym. Napróżno będziesz szukał zasad jego wiary, nie znajdziesz jej, a choć czasem będziesz myślał, że już ją trzymasz, wyśliźnie ci się z ręki, ulotni lub zmieni kształt, jeżeli *notabene* coś, co istnieje, zmienić się może. A chceszli wiedzieć, czem właściwie jest ta doktryna?

„Jest to zdawkowa moneta formułek Hegla, przeznaczona do użytku ludzi, którym brak odwagi, aby przyjąć w całej rozciągłości konsekwencye, jakie nauka za sobą pociąga. Jest to praktyka teoryi Hegla do użytku ludzi, którzy nie śmią spojrzeć wprost na żadną teoryę.

„‚Istota i nicość są rzeczą identyczną‘ — powiedział mistrz.

„‚Powiedzmy byle co na chybił-trafił‘ — odpowiadają uczniowie.

A nie myśl, że sobie przytem zdają sprawę ze spójni łączącej ich z Heglem: nie zdają sobie sprawy z niczego. Ulegają prawu, które ich pcha w dół nie rozumiejąc ani tego prawa, ani żadnego innego“...

Trzeci i ostatni dział w książce poświęcony jest sztuce. O niej też, podobnie jak o wiedzy, Hello wyprowadzając wszystko od pierwotnej jedności, mówi, że na początku istniała jedna tylko sztuka i różne tej sztuki objawy i że dopiero w miarę, jak ludzkość zrywała wielką łączność ze Stwórcą, zrywała się

i łączność sztuki. Duch jej rozkawałkował się na drobne części tak, że go już w niektórych zewnętrznych objawach mało co pozostało; w ślad za podziałem przyszły kaprysy mody, przyszedł fałsz.

...Znający Ernesta Hello odgadnie naprzód, że w dziedzinie sztuki, zarówno jak w innych, zapatrywania jego będą szczytne a sądy surowe, że go nie ujmie ani piękność kształtów, ani polot poezyi tam, gdzie pod tą formą nie znajdzie poezyi treści głębokiej i prawej. Nie dość mu na tem, aby wdzięk nie pokrywał nic złego: jeżeli tylko niema w niem nic więcej prócz samej piękności zewnętrznej, już dzieło jest osądzone i artysta wyklęty. Pod tym ostatnim względem, choćby nam przyszło narazić się na podstawienie pod pręgierz, pod jakim stoi *L'Homme médiocre*, musimy znów autorowi powiedzieć, że tutaj przesadza, że nawet taką przesadą w rzeczach podrzędnych szkodzi wielkim prawdom, o które walczy tak dzielnie. Widząc sąd jego zwichnięty w jednem, ludzie słabsi powiedzą sobie z radością, że nań bezwarunkowo polegać nie można, że zatem są uprawnieni do lekceważenia udzielanych im nauk.

Wina w tem jest raczej temperamentu niż ducha wielkiego szermierza. Jeżeli bowiem niewinni Boileau, Florian i Delille są mu tak wstrętni, to pono i niektórzy święci są mu mniej sympatyczni od drugich. W dziele *L'Homme* tego nie znać, Lasserre jednak czyni mu z tego zarzut względem książki jego: *Physionomies de Saints:* św. Wincenty a Paulo np. jest dla niego zbyt praktycznym umysłem; woli św. Hieronima, Atanazego lub Izajasza, ma szczególne zamiłowanie do Dyonizego Areopagity, w którego pismach rozkoszuje się. Podobno też byłby wolał, choć tego nie przyznaje, aby Chrystus Pan zamiast się pokornie narodzić w stajence, przyszedł był od razu wśród obłoków i gromów i zgniótł wszechmocą Boską głowy zwolenników szatana. Można mu dalej uczynić zarzut, że w sądzie o ludziach przypuszcza tylko świętość, albo złą wolę, nie zostawiając miejsca dla ludzkiej słabości, nieświadomości i nędzy, a tych Bóg widzi, jest jeszcze więcej niż umyślnej złości na świecie. Jako styliście można mu zarzucić, jak mówiliśmy, częste powtarzanie

się oraz niejakie rymowanie myśli na kształt psalmów, a raczej wyrażanie tejże samej myśli w dwóch odmiennych formach i to niekiedy bez wzmocnienia tonu przy drugiej.

Wszystko to prawda, ale któż się dziwi pochodni, jeśli prócz ognia rzuca nieco dymu w powietrze? Hello był gorejącą pochodnią, a że jej światło nie spłonęło daremnie, świadczy znów wyznanie Henryka Lasserre, że mimo wszelkich oryginalności, tak on jak i całe grono autorów byliby woleli wszystkie swoje manuskrypta wrzucić w piec, niż usłyszeć z ust Ernesta Hello nieubłagany wyrok: *C'est bas!*

T. W.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Z nowych powieści.

Stefan Żeromski: „Utwory powieściowe“. — Zofia Kowerska: „Bracia z wyboru“. — Marya Rodziewiczówna: „Kądziel“. — Adam Krechowiecki: „O tron“. — Gabryela Zapolska: „Antysemitnik“. — Wincenty hr. Łoś: „Intrygantka“. — Witold Gozdawa Godlewski: „Neron chrystyanizmu“. — Stanisław Rossowski: „Moja córka“. — Stanisław Graybner: „Pan Wyręba“. — Stańko: „W złocie“. — Aër: „Złudzenia“. — Fr. Rawita: „Z domu niewoli“. — Mieczysław Pawlikowski: „Baczmaha“.

Jeżeli w młodej literaturze naszej pokładamy wielkie na przyszłość nadzieje, to jednym z tych, którzy nadzieje te najbardziej wzbudzają, jest p. Żeromski. P. Żeromski w ostatnim swoim zbiorku [1], nie przedstawia jeszcze doskonałej artystycznie natury, ale widocznem jest, że taką kiedyś będzie. Twórczość obecna autora jest to lot krótki, urwany, czasem nawet chwiejny. Byłby to lot młodego sokoła, który próbuje skrzydeł — pełnego koła jeszcze nie zatoczy, jedną tylko, drugą śmiałą linię w powietrzu zakreśliwszy, wraca na dawne miejsce. Widnokręgi jego szerokie, tajemniczą mgłą i ciszą owiane, spoczywają jeszcze w oddali, ale czuć, przynajmniej przypuszczać można, że przyjdzie ranek, kiedy twórczość ta nad te widnokręgi wzniesie się i potężnym je rzutem obejmie.

Artysta nasz zbliża się do sztuki ze szlachetnem sercem. Jest w nim najpierw wielka miłość przyrody i serdeczne wczuwanie się we wszystkie jej szmery i blaski. Przyrodę tę odtwarza z wielkim wdziękiem, a w odtwarzaniu tem jest i subtelnym pejzażystą i kocha-

jącym lirykiem zarazem. W pojmowaniu życia ludzkiego niesie sztandar dość wysoko. Ludzie płascy, „pospolici młynarze codziennego chleba“, kierujący się „ordynarnemi, zgrzebnemi maksymami“, nic nie widzący poza wygodną egzystencyą, groszem i jakąś chwilową zabawką, stoją od niego daleko. Blizkimi mu są tylko istoty wyższe, noszące w duszy jakiś odłam ideału, którym w sercu jaśnieje wielkie piękno moralnej siły i silnego poczucia obowiązku. Niestety jednak, nie doszedł jeszcze autor do całkowitej syntezy życia ludzkiego. Niema w duszy tych ludzi pełnego światła, bo rozum nie zespala się u nich ze sercem. Jest ten rozum jakiś zimny, reflektujący chłodno nad każdem drgnięciem swej duszy i nad jej szlachetnością nawet, ścierpły smutnem doświadczeniem, niewidzący zwłaszcza żadnej gwiazdy przewodniej na idealnej swej drodze. Ludzie ci łamią się ze słabością, dokonują czynów szlachetnych, w takiem postępowaniu widzą jedyną racyę życia, ale dlaczego, niewiadomo. Chyba w imię godności ludzkiej natury. Wskutek tego szlachetność ta przedstawia się zimno i sztywnie, jest tylko jakiemś połowicznem pięknem, zanurzonem w półcieniu stoicyzmu, niema w sobie tych blasków, które kładą na czole ludzkiem aureolę wielkości i tego ciepła, które widzów rozgrzewa, pociąga i zapala. Żywić jednak trzeba nadzieję, że przenikliwy umysł i szlachetne serce pisarza odkryją wkrótce to światło, które nad horyzontem ludzkiego życia jaśnieje, a w którego promieniach niknie chłód, rozwiewają się pomroki i znaczy się wyraziście droga, zespalająca harmonijnie postulaty rozumu i serca.

Autor jest umysłem przeważająco refleksyjnym. Całość życia ze wszystkimi swoimi drobnostkami, jako jakaś bieżąca historya, mająca początek, środek i koniec, nie interesuje go wcale. Ale interesuje go to życie i każda jego drobnostka, o ile w niej głęboki sens życia się mieści. Zatrzymuje go przedewszystkiem i pociąga ku sobie głębia duszy i jej przejawów. W wir tej głębi zapuszcza się cały. Rozróżnia w tym wirze drobne sieci fal, króciuchne refleksy światła na nich, czasem nieomal dna tego wiru wzrokiem dosięga. Te najdelikatniejsze włókna myśli, najbardziej wiotkie i przelotne psychiczne odruchy odczuwa i odtwarza Żeromski z wielką siłą i z wielką potęgą obrazowania.

W zbiorku, który mamy przed sobą, nie wszystkie utwory są w tym charakterze utrzymane. Jest swobodna, kawalerska humoreska

[1] Stefan Żerowski, „Utwory powieściowe, str. 326. Warszawa 1898.

(„Kara“), gdzie jakiś młody człowiek jest sromotnie ukarany za niedyskretne zaglądanie przez szpary do kobiecej sypialni, jest obrazek z życia raubritterów, malowany na tle dzikich, zmysłowych instynktów tej epoki. „Legenda o bracie leśnym“) jest historyczny epizod z wojny francusko-austryackiej („O żołnierzu tułaczu“), które stoją poza tym charakterem, a stąd i poza właściwą sferą autora. Ten idealno-refleksyjny ton przebija się w opowieściach „Promień“, „Tabu“, „Cienie“ i w króciutkim urywku „Na pokładzie“. W opowieści „Tabu“ przesuwa się przed oczyma nieszczęśliwego młoda kobieta, żona nieuleczalnego waryata. W powrocie ze szpitala od męża, spotyka się w wagonie ze ścigającym ją delikatnie i z daleka, a tylko z widzenia znanym sobie wielbicielem. Rozmowy między sobą nie zamieniają, rozumieją się jednak wzrokiem. Mimo znękania olbrzymiego wskutek nieszczęścia męża, mimo pociągu serca ku nieznanemu wielbicielowi, pani Ewa zwycięża się i skrycie podsunięty przezeń bukiet pylaszczek rozwiązuje i gałązkami opuszcza na ziemię. W „Cieniach“ widzimy studyum psychologiczne na tle erotycznem. Młody Marek wobec nowej miłości ku swej narzeczonej wspomina wśród nocnych ciemności, na opuszczoną przez siebie kochankę. Jak kamień na spokojną taflę wody rzucony, tak wspomnienie to budzi w rozmarzonej duszy całą falę rozpryskujących się żywiołowo psychicznych przejawów i odsłania rąbek tajemniczego państwa instynktów. Obrazek ten pod względem psychologicznym znakomity, w jednym tylko drugim rysie erotycznym za wyrazisty, w zakończeniu swojem jest idealny. Kończy się ta emocya psychiczna Marka — łzami.

Najobszerniejszą w tym zbiorku i najbardziej charakterystyczną jest opowieść „Promień“. Chciałoby się poniewolnie w bohaterze tej opowieści, Janie Raduskim, widzieć portret samego autora. Gdzieś z wygnania wraca Raduski w wieku już dojrzałym do rodzinnych kątów, aby tam rozpocząć pracę dla dobra drugich. Pięknym jest rys charakteru Raduskiego, gdy zaraz wieczorem po przybyciu do miasteczka, zaczyna brnąć przez bagna i topiele małomiejskich uliczek, byle tylko dawne mury i kąty zobaczyć. W nowem miejscu zdaje się przez chwilę, że Raduski znajdzie szczęście osobiste w pożyciu z kochaną kobietą, ale gdy to szczęście znika bezpowrotnie, Raduski, po wielkich przejściach duchowych, zapomina o sobie i szczęście swoje upatruje w uszczęśliwianiu drugich. Bierze na wychowanie dwie sierotki i oddaje się im sercem całem, tak, jak już poprzednio oddał się na usługi społeczeństwa przez wydawanie dziennika.

W samej kompozycyi utworów widzi się często wielkie zaniedbanie. Taka naprzykład opowieść o żołnierzu tułaczu, jako opis wojennej kampanii bardzo udatna, w części malującej przejście wojska przez ciasny przesmyk alpejski, dwa tysiące metrów stromy, wprost znakomita — pod względem kompozycyi i harmonii szczegółów z całością jest okropną. Autor daje się zanadto porwać jakiemuś wybitnemu szczegółowi, wykończa go i cieniuje z całem natężeniem, a o perspektywę i jasną harmonię całości troszczy się mało. Myślimy jednak, że tak tę harmonię artystycznej faktury, jak też sharmonizowane pojęcia całokształtu życia przyniesie autorowi wkrótce ewolucya talentu i duszy.

Nowa powieść pani Kowerskiej: „Bracia z wyboru“ [1] jest utworem pisanym wedle wymagań najnowszego kursu literackiego. W formie jest to powieść psychologiczna, zapatrzona w głębie dusz, z treści zaś wychyla się typ dzisiejszego schyłkowca z końca wieku. Całość olśniona jest idealnem światłem, ale nie jest to światło, które po zielonej łące życia rozściela się, lub załamuje się w falach cichego strumienia. Światło to idzie z ramion krzyża, zatkniętego na szczycie stromej, szarej skały i oświeca wąziutkie i pnące się ponad przepaściami ku szczytowi ścieżyny.

Typem z końca wieku jest właściciel ziemski, potomek szlachetnego rodu, Jan Gosztyński. Człowiek ten nie kocha nikogo, ani niczego, żadna rzecz, której się dotyka, lub którą posiada nie daje mu spokoju duszy i szczęścia. Lubi tylko niespodzianki, szaleństwa, wybryki, wszystko, co daje silne wzruszenia, co jest hazardowne i zależne od kaprysów losu. Stąd albo jest w najpotworniejszej apatyi do wszystkiego, z której nic wyruszyć go nie zdoła, albo w samym wirze hulaszczego życia; innych stanów duszy nie zna. Charakter słaby, niedołężny, zdolny nawet do podłości, drwiący ze wszystkiego cynik, nie mający najmniejszego pojęcia o jakimkolwiek obowiązku. A przytem nad każdem drgnięciem swojej duszy rozumuje, wciąż przygląda się samemu sobie, z wielką jasnością usposobienie swoje widzi i z wielką szczerością je potępia. Ale to poznanie i potępienie samego siebie nie prowadzi wcale do zmiany i poprawy życia, jest to pewien rodzaj sybarytyzmu umysłowego; jak inni chodzą do teatru, tak on z własnej duszy urządza sobie bawiącą go widownię.

---

[1] Zofia Kowerska, „Bracia z wyboru“. Powieść. Tom I, str. 306 Tom II, str. 335. Warszawa 1899.

Otóż człowiek ten ma dodanych sobie do boku dwu aniołów-stróżów. Jednym jest młoda i piękna żona, Elżbieta, kobieta kochająca go i wierna mu, cnotliwa i gorliwa katoliczka; drugim jest wierny przyjaciel „brat z wyboru“ Jerzy Pomierski, któremu umierający ojciec Jana zlecił cały majątek syna utracyusza w zarząd. Ale mimo tego szczęśliwego otoczenia Jan Gosztyński pozostaje sobą, ani żona, ani przyjaciel nie wiele go interesują, staranie też ich i wysiłki, aby sprowadzić go na lepszą drogę, nie wywierają nań żadnego wpływu. Gdyby do Elżbiety musiał dostawać się po sznurze spuszczonym z balkonu i gdyby przytem musiał drżeć na myśl, że lada chwila przychwyci go na schadzce zazdrosny mąż, to wtedy kobieta ta przedstawiałaby dla niego pewien urok. Ale temsamem, że kochająca żona jest mu całem sercem oddaną, wierną, że do najmniejszych jego życzeń stara się zastosować, jest mu najzupełniej obojętną. Gosztyński stacza się po pochyłej drodze coraz niżej; cały majątek rozpada się mimo wysilonej pracy Pomierskiego na awanturnicze zachcianki, na konie wyścigowe i karty.

I tu zaczyna się pogłębiać charakter Elżbiety. Była zawsze szlachetną i dobrą, ale nie przeszła jeszcze przez szkołę życia. Długi czas zasłaniano przed nią występki męża, obojętność więc jego dla siebie, jego nienaturalne zachowanie się, ogólną apatyę do wszystkiego poczytywała sobie za winę, że nie dość go kocha, że nie potrafi się do niego zastosować. Ale gdy zasłona spada, gdy brudna awantura Gosztyńskiego z żoną ogrodniczka wychodzi na jaw, Elżbieta oryentuje się odrazu w sytuacyi, a że jest czystą i na wskróś szlachetną traci odrazu całe serce do brudnego egoisty. I tu zaczyna wchodzić na stromą ścieżkę bohaterstwa. Mąż po zrujnowaniu majątku, po zniszczeniu resztek rodzinnego szczęścia ucieka do Wiednia i nawiązuje stosunek z jakąś amerykanką, a równocześnie przysyła żonie żądanie rozwodu. Ale Elżbieta pamięta na swoje powołanie i choć dusza jej ścierpła, potęga obowiązku nie dozwala jej schodzić z raz obranej drogi. Tu piękno moralnej siły i wielkiej chrześcijańskiej duszy jaśnieje w całym blasku. Miłość dla męża znikła wprawdzie bezpowrotnie, w serce jej nawet wkradła się nieznacznie wielka, idealna miłość ku Pomierskiemu, który również ją czcił i wielbił, ale mimo to pomna na świętość małżeńskiej przysięgi, o rozwodzie słyszeć nie chce. I, gdy mąż w Wiedniu łamie nogę, jedzie z wysiłkiem woli do niego, czuwa u jego łoża, a wreszcie przywozi go napowrót do domu. Naturalnie na nową

swoją mękę, bo Gosztyński w swojem usposobieniu nie zmienił się ani odrobinę.

Gdy Pomierski czując, że bez schodzenia ze szlachetnej drogi dłużej w pobliżu tej kobiety zostawać nie powinien, przyszedł z cierpiącem i przygnębionem sercem na pożegnanie, rozegrała się krótka, ale rzewna i tragiczna scena:

— Niech mi pani powie, jakie dobre słowo przy rozstaniu! — rzekł Jerzy, którego poczynał ogarniać szał i który namiętnie pragnął przycisnąć ją do piersi.

— Czy my się w niebie nie zobaczymy? — zawołała z siłą rozpaczy, szukającej jakiegoś błysku nadziei.

Łkanie przerwało jej mowę.

Jerzy, nawpół przytomny, wybiegł do ogrodu. Czuł, że słabnie, a wiedział, że silnym być musi.

Temi słowami kończy się powieść szczytna, szlachetna, tem jaśniejsza, im czarniejsze były chmury, przez które musiało przedzierać się światło. Zestawienie dwu światów, epoki rozkiełznanego zwyrodnienia ze światem bohaterskiego zaparcia i ofiary jest pociągniętem tak silnie i jaskrawo, jak nigdzie dotąd nie czytaliśmy. We formie jest pewne przeciążenie, wskutek nadmiaru psychologicznej analizy, która swoją drogą jest bardzo trafną i bardzo subtelną. Innych usterek trudnoby się było dopytać. Wszystko jest harmonijne, równe, może aż zanadto równe. Jest to też jeden z najwybitniejszych utworów, jakie nam tegoroczne żniwo literackie dało.

Nowa powieść Maryi Rodziewiczówny „Kądziel“ [1] nasuwa nam mimowoli kilka uwag ogólniejszej natury. Właściwością powieści Rodziewiczówny jest to, że tendencya społeczna wystawia z nich rogi z poza każdej czcionki. Już kiedyindziej mieliśmy sposobność zaznaczyć i uzasadnić, że tendencya w sztuce, a więc i w powieści jest błędem i wykroczeniem przeciw właściwemu celowi sztuki. O powieściach Rodziewiczówny trzeba jednak coś więcej powiedzieć. Ostatecznie tendencyjność jakaś w jednym, drugim utworze, mogłaby się przydarzyć i najlepszemu artyście, jeżeli jednak artysta jest ustawicznie tendencyjnym, jeżeli sztukę zamienia zawsze na propagatorkę jakiejś społecznej idei, to świadczyć to może tylko, że brak mu artystycznego talentu. Przy takiej tendencyjnej pracy, uznaje tylko umysł pisarza słuszność propagowanej idei, ale idea ta najwidoczniej w świecie nie opa-

[1] Marya Rodziewiczówna, „Kądziel“. Powieść, str. 265. Warszawa 1899.

nowała całej jego duszy. Gdyby nietylko rozum, ale i serce opanowała, gdyby stanęła w duszy, jako jasny ideał, to poruszona dusza artysty, bez żadnych mostków i tendencyjnych przystawek przelałaby ją wprost na papier, jako ukochany przez się i zmuszający do kochania i naśladowania przejaw piękna. Może to być ideał nie uderzający oka i wyobraźni szerokiemi horyzontami swojej działalności, jakiś ziemianin pracujący w pocie czoła na jednym zagonie, może być nim każdy z tendencyjnych typów Rodziewiczówny, ale jeżeli tylko tkwi w nim głębsza myśl, głębsza jakaś choć niepokaźna cecha, to jest on już bohaterem jakiejś idei, nosi w swej piersi odblask piękna, jest dla sztuki porywającym za serce ideałem i jako taki serce i całą duszę artysty opanować powinien. Jeżeli zaś artysta robi z tego ideału jakiś szyld dla wabienia ciekawych ku swojej tendencyi, jeżeli spekuluje umysłem, w jaki sposób zrobić z tego ideału propagandę społeczną, to ideał ten krzywdzi i kaleczy, bo w tej chwili ma go tylko w umyśle, a nie w sercu i nie w wyobraźni twórczej, tem samem też przestaje być w tej chwili artystą, bo bez serca i wyobraźni artystą być nie można. Jak już powiedzieliśmy powyżej, takie zboczenie może się przydarzyć przez chwilę i najlepszemu artyście, ale jeżeli ktoś ciągle wedle tej recepty pisze, jeżeli nigdy poza cztery ściany tendencyi głowy wychylić nie potrafi, jeżeli zawsze przy tworzeniu ma mózg zaprzątnięty społeczną propagandą, to najlepszym chyba dowodem, że wyobraźnia i serce podrzędną tylko w jego duszy grają rolę, czyli, że brak mu artystycznego talentu. Wolno każdemu pisać tak, jak mu się żywnie podoba, może nawet komponować we formie powieści podręcznik kucharski, lub naukę volapüku, ale niech wtedy jasno sobie powie, że utwór jego jest tylko jakimś popularnym podręcznikiem, i niech na tytułowej karcie nie kładzie nazwy: „powieść“. Do propagandy różnych społecznych tendencyj ma społeczeństwo inne środki; sztuka ma także społeczny cel, ale swój odrębny.

Tyle co do tendencyi w sztuce. Teraz jeszcze słów kilka o właściwościach tendencyi społecznej Rodziewiczówny. Rodziewiczówna ma oczy wyłącznie zwrócone na dobrobyt doczesny. W powieściach swoich nawołuje ustawicznie do wytrwałej pracy przy roli, do zakładania różnych filantropijnych urządzeń, jednem słowem do cnót „mieszczańskich“. Tendencya taka, sama w sobie, o ile byłaby głoszoną poza powieścią, naprzykład, w towarzyskiej rozmowie, lub drogą agitacyi, jest w naszych warunkach bardzo rozumną. Charakterowi polskiemu zbywa właśnie na tych mieszczańskich cnotach i podniesienie naszego społeczeń-

stwa w wielkiej mierze od przyswojenia tych cnót zawisło. Potrzebną więc jest pewna ilość ludzi, którąby na te praktyczne cele zwracała uwagę naszego ogółu i ludzie ci mają wielką obywatelską zasługę. Ale szerzenie to tych praktycznych tendencyj nie powinno odbywać się kosztem innych szlachetniejszych celów; nie można przedstawiać tych mieszczańskich cnót tak, jakby w nich jedynie wartość człowieka spoczywała. Nie samym chlebem żyje człowiek. A skrajność taka przydarza się Rodziewiczównie. Bohaterami w jej powieściach są tylko ludzie praktycznego życia, ludzie zaś nauki, sztuki, albo są maniakami, albo do maniaków bardzo zbliżeni. Jest to skrajność wielka.

Zarzuty te stawiamy Rodziewiczównie głównie ze względu na jej poprzednie utwory. W ostatniej powieści „Kądziel", jest także tendencyjności sporo, ale wskutek szczęśliwego zbiegu okoliczności, nie jest ona tak bardzo rażąca. Terenem powieści jest kwestya emancypacyi kobiet. Młoda panna o charakterze męzkim i wytrwałym po pokonaniu wielu trudności zostaje doktorem medycyny, i rozpoczyna praktykę na prowincyi. Mimo pozornego braku uczuciowości zamienia i ona w końcu miecz na kądziel i wychodzi za mąż. To byłby szkielet powieści. Tendencyjność jest zatartą przez to, że tym razem obyła się autorka bez całego szeregu rusztowań i oblężniczych wież. Zmiana frontu w emancypantce dokonuje się sama przez się, i wypływa z samej istoty kobiecej natury. Swoją drogą ubocznych i rozrzuconych po kątach tendencyjek jest w tej powieści dosyć.

Typy męzkie w tej powieści są mgliste i ledwie zarysowane. Dobrze zato wykończonym jest typ obywatelki wiejskiej (Taida), zapobiegliwej gospodyni, kobiety wytrwałej, dzielnej, na zewnątrz milczącej i szorstkiej, a w sercu gorącej i do głębi uczuciowej. Ale jest to może jedyny typ, jaki Rodziewiczówna umie dobrze robić, i który ustawicznie w jej utworach powtarza się. Typ emancypantki (Stasia) jest trochę dziwaczny. Przez cały ciąg powieści robi ona wrażenie jakiejś sztucznej pozy; porywy jej do nauki nie wypływają z samego wnętrza duszy, taksamo i miłość jej jest jakaś sztywna i nienaturalna.

P. Adam Krechowiecki obdarzył nas nową, dwutomową powieścią „O tron" [1]. Na szerokiem tle historycznem występuje jak i w poprzednich powieściach, zamiłowanie autora do charakterów namiętnych,

[1] Adam Krechowiecki, „O tron". Powieść historyczna z XVII. w. Część pierwsza: Ostatni dynasta, str. 350. Część druga: „Piast", str. 357. Petersburg 1898.

gwałtownych, zapalnych, do sytuacyj zawikłanych i w wysokim stopniu intrygujących. Opowiadanie swobodne i potoczyste płynie szeroko, jak wzbierająca poza brzegi rzeka, rzeka ta jednak żadnych wyrw nie robi i nie żłobi nowych rozpadlin. Całym swoim pociągiem do szerokich widnokręgów i wielkich wydarzeń, całym swoim temperamentem lubującym się w wybitności zewnętrznych objawów, a nie wciskającym się do głębi rzeczy, stoi p. Krechowiecki w zupełnem przeciwieństwie do młodych naszych powieściopisarzy, którzy zadowalają się opisem najdrobniejszego wypadku, a całą siłę wkładają w głębokie wniknięcie we wszystkie jego szczegóły, w najdalsze tajniki i przepaści psychologiczne. Nie rozumiemy jednak przez tę zewnętrzność brak psychologicznej analizy w kreśleniu postaci ludzkich. Analiza taka w tej powieści istnieje, kilka charakterów nawet jest bardzo dobrze pogłębionych. Chcemy tylko powiedzieć, że pogłębienie to odbywa się głównie grubym rysunkiem momentów przełomowych, a nie sięga do głębszej warstwy drobniutkich psychicznych przejawów.

Staje przed nami w tej książce cała Polska w ostatnich latach Jana Kazimierza i w pierwszych Korybuta. Tło smutne, czarne: dokoła prywata, przekupstwo, zdrada, Rzeczpospolita rozbita na stronnictwa, rozdzierana przez najeźdców. Jana Kazimierza widzimy zrazu w ucieczce, potem w katedrze lwowskiej przy ślubach, wreszcie przy akcie abdykacyi. Następuje smutny obraz elekcyi jego następcy i początki panowania Korybuta. Z potentatów krajowych rysuje się bardzo wyraziście Bogusław Radziwiłł ze swojemi zdrożnemi miłostkami, a z zagranicznych elektor brandenburski. Pomiędzy temi słupami roi się całe mnóstwo postaci mniejszych i większych, jedni są całą twarzą ku nam zwróceni, innych profil widzimy tylko w przelocie. Najwięcej stosunkowo zajmuje miejsca młody szlachcic, Kazimierz Łyszczyński, główna postać powieści. W początkach opowiadania widzimy go jako kleryka w zakonie Jezuitów, i tu kreśli nam autor bardzo szczegółowo obraz duszy ambitnej i porywczej. W duszy młodzieńca rozpierają się silne namiętności, a te niekiełznane, biorą wreszcie górę i wyprowadzają go z zakonu. Proces ten psychiczny skreślony jest przez autora z wielkiem zrozumieniem rzeczy. Nieszczęśliwy eks-zakonnik błąka się jak ponury cień po całym obszarze ziem polskich, żeni się nieszczęśliwie z kochanką Bogusława Radziwiłła, a w końcu, kiedy go wszystko zawiodło i szczęścia nigdzie nie znalazł, puka zrozpaczony do tej furty, którą porzucił.

Wątek innych epizodów nie jest w tej powieści dosnuty do

końca i przeciąga się poza ostatnią kartkę. Ta okoliczność, jak też nierównomierna obszerność niektórych ubocznych epizodów, zwłaszcza to, że ogólna akcya historyczna nie zlewa się ściśle z akcyą poszczególnych działających osób, braki te umniejszają nieco z wartości tej barwnej i zajmującej opowieści.

Należy jeszcze zanotować kilka mniejszej wartości utworów. I tak pani Zapolska uszczęśliwiła znowu nasze społeczeństwo nowym produktem, pod napisem: „Antysemitnik“ [1]. Odkładając tę książkę po przeczytaniu, zrozumieliśmy jasno, że natura umie być czasem złośliwą, bo czyż może być większa ironia losu, jak ta, że p. Zapolska jeszcze dzisiaj przy przekwitłej wyobraźni bierze się do pisania powieści? Niniejsza powieść jest najpierw niezdarną klejonką. Jest to kilka szarych strzępów znalezionych na bruku krakowskim i grubym powrózkiem związanych w niezgrabną całość. A przytem nie jest to tyle powieść, ile raczej tendencyjny pamflet na krakowskie stosunki i wystarczy być dzień pod Wawelem, by wiedzieć, który to jest antysemicki dziennik, tak potwornie w tej powieści przedstawiony. Jeżeli p. Zapolska ma jakieś żale do kogoś, to może je przelać w pozwy sądowe, lub w dziennikarskie polemiki, ale powieść nie jest odpowiednim do tego środkiem.

Niewyczerpany w swej obfitości hr. Wincenty Łoś, zadowalniający się łatwym efektem intrygowania czytelników przez sklejenie kilku czy kilkunastu intryg w jedną całość, dał ostatniej swej powieści bardzo odpowiednią nazwę: „Intrygantka“ [2]. Jest to rzecz w rodzaju krążących przed szeregiem lat rozmaitych tajemnic królewskich, dworskich, zamkowych, pałacowych, które bardzo mogą być dobre, jeśli idzie o poruszenie ciekawości, ale ze sztuką wiele stycznych nie mają. A szkoda autora! Gdyby mniej chciał produkować, a więcej w sobie skupił się, gdyby nie chciał zbyt łatwo pisać, ale trochę zadał sobie trudu, to po jakimś czasie mógłby dość wysoko stanąć. Kilka ustępów w tej powieści bardzo dodatnio świadczy o talencie; taki opis zamku na początku jest wcale udatny. Ale ustępy takie nikną zupełnie wobec całości. Ta cała sieć czarnych intryg, które knują plenipotenci i kuzyni hrabiego, dążący do odziedziczenia fortuny po jego bezpotomnem zejściu, jest w najlepszym razie tylko jedną ze zewnętrznych, mechanicznych stron kompozycyi, poza którą rozciąga się jeszcze całe pań-

[1] Gabryela Zapolska, „Antysemitnik“. Powieść. Str. 138. Kraków 1899.
[2] Wincenty hr. Łoś, „Intrygantka“. Powieść. Str. 236. Lwów 1898.

stwo artystycznych przymiotów. Tymczasem powieść hr. Łosia poza tym mechanizmem zawikłań nic w sobie więcej nie mieści.

Powieści historyczne na tle dziejów zagranicznych zjawiają się u nas rzadko, z tem większem więc zaciekawieniem wzięliśmy w rękę powieść p. Witolda Godlewskiego napisaną na tle inkwizycyi hiszpańskiej, pod tytułem: „Neron chrystyanizmu“. Neron chrystyanizmu... któżby inny, jak nie Torquemada! Czytelnik, któremuby ta książka wpadła kiedyś w rękę, może najcałkowiciej zadowolnić się przeczytaniem kilku pierwszych kartek. W tych kilku pierwszych kartkach zawarty jest cały zakrój powieści, jej tendencya, a zarazem znaczy się charakterystycznie stopień, na jakim obecnie talent literacki pisarza stoi. Widzimy tam zakonnika Torquemadę w klasztornej celi w przed dzień publicznej jego działalności inkwizytorskiej. Zakonnik stoi u kraty okna i patrzy na ulice miasta, gdzie we wiosennem słońcu przechadzają się wesoło zakochane pary. Na ten widok powstaje w nim nawałnica pokus — „oczy mnicha... błysnęły ogniem dzikim“... „twarz mu pobladła, usta rozwarły się szeroko, ręce poczęły bić próżnię i opadłszy potem na wychudzoną pierś zakonnika, w rozpaczliwem skurczeniu rozdarły na niej habit mniszy“. Następują dalej emocye, jakich z pewnością jeszcze w żadnym cyrku nie produkowano. Mnich rzuca się naprzód i w tył, drze na sobie do reszty habit, upada na łóżko i z łóżka się zrywa, wreszcie „rzucił się na mur zwilgotniały, chłodny, obejmował go, darł, szarpał, rozkrwawił swe ręce, aż wreszcie raz jeszcze uderzywszy weń pięściami, jęknął: Swobody!“

Ten obraz odyńca, przebranego w suknie zakonne, na samym początku powieści wstawiony, wywołuje wrażenie wręcz przeciwne temu, jakie zamierzał wywołać autor — nie wywołuje wstrętu do Torquemady, ale wprawia w dobry humor czytelnika. Gdyby nasz początkujący powieściopisarz miał choć odrobinę psychologii i znajomości serca ludzkiego, to nie byłby popełnił takich psychologicznych niemożliwości. W tym tonie jest reszta powieści utrzymana i czytelnik znużony i nieszczęsny patrzy co chwila, czy daleko do końca i jęczy, jak Torquemada... swobody! W zakonnikach-inkwizytorach widzi autor albo idyotycznych fanatyków, albo grube, dobrze wypasione zwierzęta, zanurzone w rozpuście, dzikie, krwiożercze, z wszelkich ludzkich uczuć wyzute. Powieściopisarz nasz ma jeszcze wyobraźnię bardzo młodą, lu-

[1] Witold Gozdawa Godlewski, „Neron chrystyanizmu“. Powieść historyczna na tle XV. wieku. Str. 325. Kraków 1898.

bującą się w smugach czarnych i ponurych, w skrajnych rzutach i potwornych kształtach. A że zapewne dziecięctwo tej wyobraźni kołysały do snu antykościelne opowiadania, więc pierwszy jej owoc mimowoli z ich zawiązku powstał. Ale jak autor rozglądnie się szerzej po dzisiejszym świecie, jak rozpocznie iść drogą indywidualną, a nie ścieżkami już dawno zarosłemi, to zapewne i do takich oklepanych facecyj nie wróci i więcej artystyczne utwory z pod ręki jego zaczną wychodzić.

„Moja córka“ [1] p. Stanisława Rossowskiego jest to pamiętnik matki, która córkę swoją wydała za dziennikarza. Przesuwają się przed oczyma czytelnika codzienne, drobnostkowe zapiski i wrażenia mieszczki, spotykającej się po raz pierwszy z nowym dla siebie dziennikarskim światem. Już z samego założenia, że występuje na widownię jedynie tylko dusza kobiety średniej, nie bawiącej się ani w subtelne obserwacye, ani w poważne refleksye, ani w głębokie uczucia, musiała wyniknąć rzecz średnia, nużąco jednostajna, słodko nudna.

„Pan Wyręba“ [2], powieść p. Stanisława Graybnera, jest bardzo miłym, ciepłym i pociągającym serce obrazkiem. Opis sanockich okolic, cichego dworku wiejskiego wypłynął widocznie autorowi wprost z serca. Jedna jest tylko wada, że niema w niej ani jednego rysu nowego. Takie zawikłania małżeńskie, szczęśliwie się kończące, były już milion razy opisywane i w dodatku dużo lepiej. Powieść ta całym swoim stylem, zakrojem robi wrażenie, jakby przed trzydziestu laty była pisana.

Czy pod pseudonimem Stańko kryje się autor, czy autorka, nie można wiedzieć na pewno, przeczuwać jednak po pewnej miękkości stylu można, że Stańkiem jest kobieta. Stańko jest jeszcze widocznie w pierwszem stadyum swojej literackiej karyery, za czem przemawiają pewne braki w kompozycyi i wielka ilość reminiscencyj z innych powieściopisarzy, lekko tylko w umyśle i sercu przetrawionych. Powieść „W złocie“ [3] nie przynosi nowej myśli, przynosi jednak ze sobą szlachetny powiew duszy, brzydzącej się martwym blaskiem złota i łudzącym blichtrem ziemskich pozorów. Ta szlachetność w *idei*, a w *formie* lekkość stylu, niekiedy nawet, jak przy opisie budynku sądowego,

---

[1] Stanisław Rossowski, „Moja córka“. Str. 181. Lwów 1898.
[2] Stanisław Graybner, „Pan Wyręba“. Str. 182. Lwów 1898.
[3] Stańko, „W złocie“. Str. 307. Warszawa 1899.

prawdziwy talent opisowy, każą życzyć Stańkowi, czy Stańce, wytrwałości i doskonalenia się na obranej literackiej drodze.

„Złudzenia“ [1] p. Aëra, opowieść historyczna z czasów ks. Józefa Poniatowskiego, jest rzeczą ciężko i rozlaźle pisaną. Niesympatyczną stroną książki jest także to, że za wiele miejsca zajmują zdrożne miłostki Tyszkiewiczowej. Stają za to bardzo wyraziście czasy napoleońskie, życie towarzyskie na dworze księcia Józefa, cały początek obecnego stulecia, rodzący się wśród wrzawy wojennej i wśród wielkich oczekiwań i nadziei. Na tem tle przesuwają się dzieje sercowe majora Szumlańskiego najpierw w stosunku do pani Tyszkiewiczowej, a potem, gdy Tyszkiewiczowa oddała się Talleyrand'owi, cicha, serdeczna, rzewna miłość ku kochającej go pannie Ewie. Historya jednak nie splata się w tej opowieści w harmonijną całość z inwencyą pisarza, inwencya ta przytem jest uboga. Zdaje nam się, iż wogóle inwencya twórcza nie leży w talencie Aëra.

Dwutomowa powieść Fr. Rawity: „Z domu niewoli“ [2], jest smutnym obrazkiem z życia Polski rosyjskiej. Nauczyciel wiejski, człowiek najlepszych chęci, przez nieostrożne przestawanie z Moskalami, staje się powoli zdrajcą polskiej sprawy. Dodatnią stroną tej powieści jest wyraziste scharakteryzowanie całej chytrości i odrażającej płaskości czynowników rosyjskich. Książka, choć wysokiej wartości artystycznej niema, jest bardzo zajmującą. Jedno z pism galicyjskich, widziało w tej książce protest przeciw ugodowcom warszawskim.

Szkic powieściowy p. Pawlikowskiego, „Baczmaha“ [3], byłby miłą gawędą, gdyby gawęda ta nie była zepsutą przez niefortunne wtrącenie pewnego fantastycznego pomysłu. Autor opowiada bardzo mile o pobycie swoim w Tatrach, o swoich znajomościach tamże, wreszcie o nieszczęśliwym wypadku jednego ze swoich przyjaciół, gdy ten po usunięciu się ze skały, zostaje już przez całe życie kaleką pozbawionym przytomności umysłu i dogorywa powoli w szpitalu. Ten nieszczęśliwy wypadek stanowi główną oś opowiadania, a z powiązania z innemi, grupującemi się naokoło tego wypadku zdarzeniami, powstaje pewna, dość harmonijna całość. Ale cóż znaczy tytuł powieści: „Baczmaha“?

---

[1] Aër, „Złudzenia“. Opowieść z czasów ks. Józefa Poniatowskiego. Str. 362. Warszawa 1899.

[2] Fr. Rawita, „Z domu niewoli“. Powieść współczesna. Kartka z naszego życia pod zaborem Rosyi. Tom I. str. 252. Tom II. str. 260. Lwów 1898.

[3] Mieczysław Pawlikowski, „Baczmaha“. Szkic powieściowy. Illustrował Wł. Tetmajer, str. 255. Warszawa 1898.

Otóż tu właśnie jest pięta Achillesa. Opowiada autor, jak w czasie jednej ze swoich wycieczek w tatrzańskie szczyty wraz ze swoim nieszczęśliwym przyjacielem, późniejszym kaleką, odnajdują w jakiejś ukrytej skalnej jaskini puszkę, w której mieści się pożółkły pergamin. Już ten pomysł, dość niezgrabnie w opowieść wprowadzony, mógłby się komuś wydać zbyt fantastycznym, ale niczem to jeszcze w porównaniu z tem, co następuje. Dwaj turyści zaczynają odczytywać wybladłe zgłoski pożółkłego pergaminu i wtedy odsłania się przed nimi obraz z przeszłości, przechodzący grozą i fantastycznością, najfantastyczniejsze marzenia. Jakiś szlachcic Baczmaha w ucieczce przed nieprzyjacielem na Węgry przez tatrzańskie szczyty, wpada w jakąś ciemną szczelinę, z której już nie miał ujrzeć światła dziennego. W jaskini zagrzązł w gęstą glinę, z której nie mógł żadną miarą się wydobyć, i tak w przepaści i w ciemności żywcem pogrzebany powoli dogorywa. Po długich chwilach rozpaczy, odchodzenia od przytomności, znajduje obok siebie własną tajstrę, którą wpadając w przepaść, postradał. W tajstrze znalazł rozmaite przedmioty, chleba kawał, gromnicę, którą zaraz zaświecił, między innymi i pergamin ze szlachectwem, na którego odwrotnej stronie krwią własną ostatnie dni swego życia opisał. Trudno nawet streszczać te wszystkie okropne przejścia dogorywającego człowieka, jak zaczyna mu odpadać ciało, jak próchnieją i rozsypują się kości, wszystkie rozpacze, przerażenia i gorączkowania. Otóż ten cały epizod, dużo miejsca w książce zajmujący, mógłby być bardzo dobrą rzeczą, gdyby był traktowany osobno w jakimś oddzielnym utworze, albo gdyby autor był mu dał za ramy jakiś rodzaj dantejskiego „Piekła“. W miłej, pogodnej, spokojnej gawędzie, jaką jest omawiana książka, epizod ten absolutnie razi niedostosowaniem swojem do całości. Baczmaha ma być z intencyi autora symbolem nieszczęśliwego przyjaciela Antoniego, który w chwilę po znalezieniu tego pergaminu usunął się w przepaść. Tak, ale epizod ten, jest jak na alegoryę stanowczo za obszerny, a nadto tak silny, że i cała książka wobec niego jest strasznie blada, i przedstawienie cierpień Antoniego jest w zestawieniu z nim wprost bezbarwne. Zresztą dzieją się w tym epizodzie rzeczy, w które trudno uwierzyć. Baczmaha po długich mękach, próbuje rozkopać kordelasem otaczającą go glinę, i wtedy natrafia na coś twardego. Sięga ręką i wyciąga przepróchniałą kość własnej goleni. Maluczko, a Baczmaha gotów wykopać z gliny swoją własną oderwaną głowę i ujrzeć z przerażeniem, jak tylna część czaszki próchnieje.

Ks. Jan Pawelski.

Pod prawem. Nowela. *Marya Konopnicka.* Warszawa 1899, str. 156.

Niewielki ten tomik wyszedł świeżo nakładem redakcyi *Gazety Polskiej*, która go jako jeden ze swych tygodniowych dodatków w marcu b. r. rozesłała po świecie. Szczęściem, że dużo słońca mamy tej wiosny, inaczej ukazanie się tej noweli na horyzoncie byłoby do reszty zasępiło już i tak niewesołą atmosferę naszego kraju. Zaprawdę mniej smutno jest wraz z Dantem zwiedzać otchłanie piekielne, niż za przewodnictwem p. Konopnickiej zanurzyć się w bezdenne przepaście nieszczęścia, jakiego tu opowiada dzieje. Jestto historya dziewczyny skazanej po wyjściu z więzienia na dwuletni „pobyt“, to jest internowanie w oznaczonej miejscowości pod ścisłym dozorem policyi. Autorka wybiera z umysłu istotę winną wprawdzie ale nie zepsutą: Hanka Blacharzówna, rodem ze wsi, ale służąca w Warszawie, uległa namowom swego konkurenta, Piotrka, i dała mu, w nieobecności państwa, powierzony sobie klucz od mieszkania. Piotrek wyszedł, wynosząc szkatułkę z klejnotami i część sreber stołowych, a gdy Hanka ostrzeżona o kradzieży przez upuszczoną na bruk łyżeczkę biegnie za nim, zaklinając go o zwrot zdobytego łupu, łajdak odgania ją jak psa i zdobycz unosi. Po tej łyżeczce, którą w zmieszaniu do kieszeni schowała, policya wpada na trop wspólnictwa Hanki ze sprawcą kradzieży; ona jednak w śledztwie odpowiedzi odmawia i idzie pod klucz na trzy lata. Po upływie ich posłaną jest „w pobyt“ do Grojca, gdzie zaczyna się dla niej męka sroższa od kary więziennej; o przyjęcie do stałej służby stara się zrazu nieśmiało; zewsząd odtrącona, chwyta się najcięższej roboty w polu pod miastem, sypia między zagonami na gołej ziemi, żywi się garścią pieczonych ziemniaków, przyjmuje zniżoną zapłatę, na jaką wyzyskując jej położenie właściciel pola, ją zgodził. Gorsze jednak od wyzyskiwania zagraża jej niebezpieczeństwo; biedaczka broni się jak może, a wzięta do kozy pod pozorem, że się zapomniała na czas meldować u władzy, odwala w nocy na wpół zbutwiałą deskę więziennej budy i tym otworem ucieka. Po długiem kryciu się wśród szuwarów i krzaków, o chłodzie i głodzie, dostaje się do Warszawy, gdzie poczciwa praczka, dawna znajoma, przyjmuje ją i odżywia. Po trzech dniach atoli stróż przychodzi żądać meldunku. Wtedy praczka wynajduje jej służbę u młodego zarządcy domu, który jakoś umie sobie zręcznie z meldunkami radzić a świeżo ożeniony, potrzebuje taniej służącej. I tu jednak niedługo Hance przebywać; pewnego dnia, wracając z targu, spotyka dawną towarzyszkę więzienia a ta, dostatnio teraz i z pańska przybrana, wskazuje ją chudemu jegomościowi, który przy

niej chodzi. Jestto tak zwany „łapacz“, dostawca więzień, pierwej jednak wyduszający na własne conto ostatni grosz z odkrytej zwierzyny. Po trzykroć Hanka zdoła mu się opłacić; miarkując jednak, że już wszystkie pozastawiała rzeczy, łapacz chwyta ją i prowadzi do kryminału. Tu, jako zbiegła z „pobytu“, przepędza dwa piekielne miesiące we wspólnym, pełnym moralnego i fizycznego brudu areszcie, poczem wraz z całą partyą więźniów odprowadzoną zostaje do Grojca. Ucieka znowu w sam wieczór przybycia; tym razem ucieka wprost do Warszawy, do starej praczki, ale tej już nie zastaje w mieszkaniu — przed czterema dniami umarła. W rozpaczy, idzie pod wskazany przez jedną z towarzyszek niedoli adres, do kobiety, która rzekomo przyjmuje dzieci i dziewczęta i rozsyła na robotę na miasto. W istocie — wysyła je kraść. Hanka o tem nie wie, ale jakiś instynkt długo wstrzymuje ją u drzwi, a dzwon bijący na „Anioł Pański“ z poblizkiego kościoła, zda się ją o niebezpieczeństwie ostrzegać. Za to wiatr niosący od Wisły tumany śniegu pcha ją do wejścia i w końcu wchodzi. Aliści jeszcze nie zdołała się rozmówić z właścicielką „zakładu“, gdy naraz wszczyna się zgiełk a w izbie ukazują się mundury — rewizya policyi. Hankę porywa strach; z krzykiem wyzwala się z rąk policyanta i pędzi na oślep po nocy, aż naraz wpada w głąb i czuje mroźny nurt Wisły, zamykający się nad jej biedną głową... Zdawałoby się, że na tem koniec — ale gdzie tam! Odnajdujemy Hankę w szpitalu więziennem, następnie widzimy ją znów zapędzoną do Grojca, wplątaną niewinnie w sprawę biednej kobiety, która zewsząd odpychana od służby, utopiła chore dziecko, którego nie mogła wyżywić. Tym razem Hanka znów zamknięta, usiłuje ratować się od hańby podpalając budę więzienną — ale napróżno; wyciągnięta żywcem z płomieni, zostaje skazaną na Sybir. Czytelnik traci ją z oczu w chwili, gdy policzona w długi szereg skazańców wychodzi z murów Warszawy. Przed wyjściem, na „Punkcie Zbornym“, gdzie okuwano mężczyzn i zapisywano kobiety, poznała pod ubiorem urzędowego pisarza dawnego narzeczonego — Piotrka...

Oto główne linie obrazu, a jak okropnem jest tło, odgadnąć łatwo. Jeżeli celem autorki było zachęcenie do zawiązania „Towarzystwa Opieki nad więźniami“ — mogła tego dokonać, oszczędzając choćby połowy czarnych farb, które na płótno wylała. Dość powiedzieć, że „Szkice węglem“ Sienkiewicza są w porównaniu z tą nowelą wesołem czytaniem. Że w opowiedzianych faktach, w opisach i wrażeniach może być dużo bardzo prawdy — o tem niestety wątpić niepodobna. Ale, żeby

tak nieubłagane fatum ścigało bezbronną istotę, która się ani poskarżyć ani wyjawić powodów swej ucieczki nie umie, a przecież cierpi i odczuwa wszystkie odcienia katuszy — to już zakrawa na hołdowanie owej *Passion du malheur*, owej „żądzy łez“, którą jeden z pisarzy francuskich wytykał jako jedną z wybitnych cech naszego wieku. Hanka często się modli, ale ponad nią niebo zda się zamknięte, zamurowane lub zamieszkałe przez jakąś bezlitosną istotę, coś w rodzaju owej zaspanej twarzy, do której na jednym z tegoczesnych obrazów Wystawy wiedeńskiej, wznosi się od ziemi tysiące błagalnych rąk. Cel p. Konopnickiej jest bardzo szlachetny, nawoływanie do miłosierdzia bardzo potrzebnem, ale chyba już serce ludzkości do reszty stępiało, jeśli tak silnych potrzeba ciosów, aby je ze snu obudzić. Bodaj czytanie tych ponurych dziejów miało u wielu inną pobudkę, niż szukanie wrażeń, podrażnienie nerwów i wyobraźni! Zazwyczaj ludzie nie z miłosierdzia idą „na gapia“ na plac egzekucyi... Boże daj, aby struna trącona tak groźnie, znalazła oddźwięk w duszach skorych do czynu — w takim razie nie byłoby żal przykrych chwil nad nowelą p. Konopnickiej strawionych. *T. W.*

Z Sybiru. Obrazki powieściowe. *Włodzimierz Korolenko.* Przekład *Stanisława Miłkowskiego.* W Krakowie. Spółka Wydawnicza Polska. 1898. (Str. 265).

Może nie do najwybitniejszych, w każdym jednak razie do najoryginalniejszych postaci nowoczesnej literatury rosyjskiej należy Włodzimierz Korolenko, którego wiązankę nowel wydała pod powyższym tytułem Spółka Wydawnicza Polska. Obrazki te, odznaczające się, jak i inne prace Korolenki, trafną i głęboką charakterystyką opisywanego przez siebie ludu, psychologicznem wykończeniem i plastyką typów, pełnemi poetycznego marzenia opisami przyrody małoruskiej i sybirskiej, wiodą po największej części czytelnika w świat mu nieznany i tajemniczy; przedstawiają mu zawikłania, o których nigdy może nie myślał, charaktery, z któremi się nigdy nie spotkał i sytuacye, o którychby sam nie marzył. Przesuwają się przed oczyma uroczyska i tajgi tej krainy wieczystego śniegu, a wśród zapadłych chat i jurtów widzimy jamszczyków, mieszczan i chłopów, lud na pół dziki i odrębny świat stanowiący. Cały ten świat rysuje się na tych kartkach żywo, wyraziście. Autor wżył się weń i odczuł wszystkie szare i jaskrawe jego strony i z całą siłą realizmu odtworzył. Wystarczy przeczytać w udatnem tłumaczeniu p. St. Miłkowskiego pierwszy np. obrazek:

„Z dziennika turysty po Syberyi“, „Las szumi“ lub „Zbiegi z Sachalinu“, aby się przekonać, że niema przesady w naszych twierdzeniach i że rzeczywiście nowego świata podwoje przed nami się otwierają.

Ks. Wiktor Wiecki.

Sny przedostatnie. *Edmund S. Naganowski.* Poznań. Nakład księgarni św. Wojciecha. 1899. (W 8-ce, str. 55).

Odważył się autor na *genre* trudny, z dzisiejszym nastrojem umysłów mało zgodny: na prozę poetyczną, pełną symbolizmu, przypominającą Niedokończone Poematy, od których zdaje się, że nas wieki dzielą. Mimo tej trudności, nie można powiedzieć, że się autorowi nie udało. A to dlatego, że ujął treść dziś najżywiej obchodzącą, dotknął głębokiego bólu ludzkości.

Pomysł jest oryginalny. Śni się autorowi, że świat jest wypróżniony z Chrystusa. Uczeni znaleźli dowody, że Chrystusa nie było, cała ludzkość im dała wiarę. I teraz dopiero pokazuje się jaskrawo, czuje się głęboko, jak bezdennie smutny i rozpaczliwy jest stan tej ludzkości bez Chrystusa. Obraz ten nakreślony jest z siłą i prawdą.

W drugiej części tego utworu, odzywa się to, co szczególnie duszę polską boli, to barbarzyńskie gnębienie języka i wszystkiego, co szlachetne serce czcić musi. Ta druga część jest też piękną, ale nie dorównuje pierwszej, zanadto rozpływa się w symbolach, które dziś nam nie dość trafiają do umysłu i do serca. Z tem wszystkiem całość jest śmiałą a szczęśliwą próbą, nie ochrzczenia dzisiejszych symbolistów — bo z nimi nic wspólnego nie ma — ale raczej wskrzeszenia rodzaju pokrewnego Krasińskiemu i za jego pomocą przemówienia silnie do dusz chrześcijańskich i polskich.

Ks. M. Morawski.

Nasze rolnictwo i przemysł. *Franciszek Mycielski.* Kraków 1899. (Odbitka z *Przeglądu Polskiego* za marzec, str. 20).

Przedmiotem niniejszej broszurki byłego prezesa Krakowskiego Towarzystwa Rolniczego jest najpierw roztrząsanie stanu rolnictwa krajowego a właściwie t. zw. większej własności ziemskiej.

Zdaniem autora, którego kompetencya w tej sprawie nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, jest on więcej niż smutny, bo na dnie wszystkich szkodliwych przyczyn leży najgorsza: gospodarstwa nasze nie przynoszą dostatecznego dochodu, bo nie umiemy gospodarować i w gospodarstwo nie wierzymy. Według obliczenia autora

rocznie zaledwie 18 młodych rolników kończy zakłady naukowe rolnicze w kraju! Tylko 18 teoretycznie przygotowanych rolników rocznie na $5^1/_2$ miliona morgów większej własności ziemskiej, to za mało na pokrycie całego zapotrzebowania tak właścicieli dóbr jak i urzędników gospodarczych. Słusznie zaś podnosi autor, że zawód rolniczy niemniej od innych potrzebuje sumiennego przygotowania specyalnego. A u nas gospodarzy każdy pod hasłem: „jakoś to będzie!“ Smutnie bardzo być musi także z ekonomicznem uzdolnieniem naszych ziemian, skoro autorowi wyrywa się pesymistyczny wykrzyk, że dla naszych gospodarzy pożyczki wekslowe powinny być prawnie wzbronione, niby nóż w rękach dziecka!!

Nie cofa się dalej autor przed wytknięciem „bezdennej często ignorancyi rolniczej“ wśród gospodarzy większej własności, gdzie elementarne zagadnienia rolnicze „po prostu całkiem są nieznane“, a już najsłabszą stroną jest zawsze dotąd rachunkowość, w której chyba żaden z naszych gospodarzy nie szuka wskazówki, czy dobrze lub źle gospodarzył, które gałęzie gospodarstwa opłaciły się a które zawiodły! A czy w ten sposób może być mowa o racyonalnej, czysty przychód dającej gospodarce?

Intenzywność w gospodarstwie jest dla gospodarzy naszych największym postrachem! — smokiem pożerającym gotówkę. Bo i jakże wierzyć w nakład, jeżeli się nie wie, jakie nakłady poczynić należy. Przyznaje autor, że trudno jest właścicielom znaleźć rządców i urzędników gospodarskich, którzyby racyonalnie a postępowo gospodarstwem pokierować potrafili — lecz do tego potrzeba dobrego przykładu z góry, u właścicieli. Z dołu od rządców i ekonomów przecież przykład do góry pójść nie może!

Główną chorobą, to „wstręt do druku“, niechęć do nauki i do ciągłego informowania się o postępach w rolnictwie, wypływająca z głębokiego przekonania, „że co drukowane, to głupie“. Wszakże *Tygodnik Rolniczy*, organ Towarzystwa Rolniczego Krakowskiego, pełen wszelakich wiadomości — miał ledwie 130 abonentów w r. z. — na całą Zachodnią Galicyę!

Nie w lepszych barwach przedstawia się autorowi stan naszego przemysłu krajowego. Główny powód tego — to brak zmysłu kupieckiego w naszym narodzie, tak że u nas w przeciwieństwie do całego świata — odbiorca musi producenta błagać o towar, który często jeszcze w lichym dostaje gatunku, a „punktualność, to już z naszego słownika kupieckiego jest wykluczona“. Trzeba, zdaniem czcigo-

dnego autora, stworzyć, wychować nową generacyę, któraby ze świadomością sprawy, z energią i z kapitałem stanęła do uporczywej walki, z obcym żywiołem niepodzielnie dotąd naszym handlem władającym.

Drugim wrogiem krajowego przemysłu jest konkurencya zagraniczna. Tylko usunięcie jej przez zamknięcie granic cłowych Galicyi dałoby możność podniesienia przemysłu i dobrobytu krajowego. To jednak cel daleki!

Jeżeli jednak stan przemysłu zdaje się autorowi beznadziejny, to sądzi, że gospodarstwo rolne może się podnieść, jeżeli młodzi ziemianie wychowywać się będą na tęgich gospodarzy. Inaczej grozi większej (tj. właściwie średniej) własności ziemskiej zagłada. Utrzymanie zaś dworu polskiego jest, zdaniem autora, ściśle złączone z interesem narodowym.

Wobec szczupłych ogółem wiadomości o stosunkach rolniczych naszego kraju, nie można polemizować z autorem, co do wiarygodności nakreślonego przezeń obrazu większej własności ziemskiej. Zdawać się jednak może, że nie jest on przesadzony. Możnaby tylko zwrócić uwagę, że podniesienie rolnictwa bez równoczesnego rozwoju przemysłu jest wątpliwe. Rolnictwo mające zakwitnąć, nie może produkować wyłącznie na wywóz zagranicę, ono musi mieć odbiorców miejscowych tj. ludność przemysłowo-handlową, należącą do tego samego organizmu społeczno-państwowego. Tak przynajmniej mają się rzeczy w krajach, gdzie rolnictwo kwitnie. Atoli nie ulega wątpliwości, że gdy jedna z tych gałęzi gospodarstwa społecznego postąpi naprzód, to i druga niezwłocznie za nią podąży. Niech tylko każda robi, co do niej należy, a usiłowania obustronne uwieńczy pomyślny skutek.

Oby więc broszurka szanownego autora dotarła jak najdalej w dwory polskie i zachęciła młodych ziemian naszych do kształcenia się w rolnictwie i do lepszej gospodarki rolnej. Życzyć sobie tego należy także z ogólno-narodowego punktu widzenia, bo gospodarstwa większe są u nas żywym przykładem dla włościan. Z ich więc postępem — rozszerza się postęp rolniczy po całym kraju, torując drogę do lepszej przyszłości. Bo i dzisiaj ma jeszcze słuszność stare przysłowie niemieckie:

Hat der Bauer Geld, so hat's die ganze Welt.

Dr. Tadeusz Kudelka.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Die skandinavische Litteratur und ihre Tendenzen nebst anderen Essays. Von *Marie Herzfeld.* Verlegt bei Schuster und Loeffler. Berlin und Leipzig. 1898. (8-o, VIII i 225).

Skandynawska literatura dziś już niewątpliwie nie zajmuje w umysłowem i literackiem życiu innych narodów — a z niemi i naszego — tego wyjątkowego stanowiska, jakie jeszcze przed kilkoma laty było jej udziałem. Wówczas ktokolwiek był spragniony „nowoczesnych“ idei, nastrojów, tematów, zwracał ku północy wzrok, który w naszym kraju nie wiele znajdywał punktów oparcia. Od niedawna mamy i my już nie sporadyczne tylko objawy „modernizmu“, lecz mamy swoją „nową sztukę“. Młoda Polska, obudzająca bądźcobądź u nas tak wielkie zainteresowanie, jakiego od czasu początków romantyzmu w naszem życiu umysłowem nie widzieliśmy, równocześnie spycha na drugi plan „młodą Skandynawię“, o której nie dalej jak wczoraj tak głośno i powszechnie mówiono. Kto wie, czy w tem zapomnieniu nie ma i umyślnego zamiaru. Nasi moderniści chcą uchodzić za zupełnie oryginalnych, ruch swój podawać za elementarny wybuch ludzkiej duszy niezależny od ubocznych wpływów; pocóż więc naprowadzać ogół na myśl, że na kilka, kilkanaście lat przed nimi, inna literatura, doskonale im znana, żyła już temsamem życiem, poco pozbawiać się aureoli bezwzględnej samodzielności. Takie zapomnienie może być dogodnem dla niektórych pisarzy, lecz byłoby wprost szkodliwem dla ogółu chcącego sądzić a nie ulegać suggestyi. Zwolennik czy przeciwnik „modernizmu“ ma literacki obowiązek zapoznać się z innemi, co do treści pokrewnemi, co do czasu niejednokrotnie wcześniejszemi, co do wewnętrznego związku nieraz przyczynowemi objawami. To dążenie wraz z ową ogólną ciekawością obcych rzeczy, właściwą każdemu wykształconemu osobnikowi, sprawia, że książka o „Literaturze skandynawskiej i jej tendencyach“ zasługuje na obszerniejsze sprawozdanie.

Tytuł wybrany jest niezbyt szczęśliwie. Wyraz „tendencya“ w literaturze wogóle za często nadużywany, w odniesieniu do współczesnej literatury, może wywołać fałszywe o niej wyobrażenie, bo stawia przed oczy jakiś z góry powzięty logicznie i systematycznie przeprowadzony zamiar. To też autorka pani Marya Herzfeld zmuszoną jest dodać do tych słów komentarz. Nie o literaturze tendencyjnej ma tu być mowa, lecz o tendencyach w literaturze, o kierunkach ludzkiego

ducha. Każde dzieło sztuki ma swój pewny kierunek; świadomie czy nieświadomie pokazuje w niem twórca, co myśli i czuje, czem jest i czego chce, składa w niem sąd, sąd swej duszy i swoich zmysłów. Jakość tego sądu, zależna od jakości indywidualności autora rozstrzyga o wartości dzieła.

Po tej przedmowie usiłuje autorka na kilkudziesięciu stronicach dać obraz „skandynawskiej literatury i jej tendencyi". Czy przedsięwzięcie w tych rozmiarach może się powieść? Pani Herzfeld, która jak z innych rozdziałów tej książki widać, bynajmniej nie jest umysłem szablonowym, tu chcąc zwyczajem „porządnych" podręczników szkolnych przeprowadzić systematyczny zewnętrzny podział wywołać musi żywy protest. Według niej skandynawska literatura odnośnie do swej wewnętrznej treści rozpada się na dwie grupy. „Pierwsza jest w swych ideach bezpośrednią spadkobierczynią ośmnastego wieku a jej hasłem jest rozsądek i wolność", w religijnych przekonaniach rządzi się racyonalizmem, agnostycyzmem, w etyce jest utylitarną, w metodzie zapożycza się u umiejętności ścisłych, analizuje i upraszcza świat, sprowadzając wszystko do kilku zasadniczych linii. Jej ogniskiem i przewodnikiem jest Duńczyk Brandes. Druga grupa sprzeciwia się poprzedniej, szuka w człowieku nietylko inteligencyi, lecz i działania tajemniczych sił wszech natury, obok świadomości mózgowej zaznacza inną świadomość, podrzędniejszą: instynkt, który jest właściwem życiem. Szwed Ola Hansson po raz pierwszy sformułował to *credo*. A dalej mówi się z matematyczną dokładnością: „Epoka modernistycznej skandynawskiej literatury rozpoczyna się z początkiem ósmego dziesiątka lat i wystąpieniem Jerzego Brandesa jako docenta uniwersytetu w Kopenhadze" w jesieni r. 1871. Określenie racyonalizmu Brandesa i senzybilizmu Hanssona jest trafne, niemniej jednak ten wstęp chcąc być krótkim i chronologicznie dokładnym, zapomina o wielu wybitnych objawach literackich i umysłowych. Przeciwstawiając Brandesowi Hanssona i uważając obu za przedstawicieli i wcielenie dwóch odrębnych epok p. Herzfeld zapomina, że i wówczas żyli i dziś jeszcze żyją dwaj inni pisarze, co do znaczenia dorównywujący co najmniej tamtym: Ibsen i Björson. Do jakiej kategoryi ich zaliczyć? Czy wbrew historyi przydzielić ich do dawniejszej literatury, poprzedzającej dzisiejszą „nowoczesność?" Czy w obecnym modernizmie wyznaczyć im osobne, od nikogo niezależne miejsce? a w takim razie, czemu autorka tego wyraźnie nie podkreśliła? W jej przedstawieniu, przesadnie Brandesa i Hanssona na czoło wysuwającem, Ibsen i Björnson schodzą do

rzędu umysłów i pisarzy niższych, trabantów słońca — Brandesa. Początek nowoczesnej literatury skandynawskiej ma przypadać na r. 1871, bo wtedy Brandes wykładał o „Głównych prądach piśmiennictwa XIX wieku". Lecz przecież na kilka lat przed nim Ibsen wystąpił jako nawskróś nowoczesny dramaturg: w r. 1862 ogłosił satyryczną „Komedyę miłości", potem „Brand'a", „Perr Gynt'a" i „Związek młodości"; wszystko jeszcze przed r. 1871, pomijając jeszcze dawniejsze dramaty. Naszem zdaniem, Brandes pierwszy jasno sformułował i do pewnego stopnia w całokształt ułożył te „nowoczesne" idee w odniesieniu do literatury, lecz już na jakiś czas przed nim one nurtowały i skandynawskie społeczeństwo i tamtejszą literaturę; odkąd? w dziejach umysłu ludzkiego początku ani końca pewnego ruchu ścisłą datą oznaczyć nie można. I tu należało nie poprzestać tylko na rozgraniczeniu dwóch epok i określeniu cech każdej z osobna. Brak odpowiedzi na pytanie: czemu tak się stało, czemu po Brandesie przyszedł Hansson, po racyonalizmie senzybilizm. Reakcyę fantazyi, uczucia i instynktu, tej „drugorzędnej świadomości" należało wytłumaczyć nietylko ogólnemi skłonnościami właściwemi dzisiejszej ludzkości, lecz i specyalnie skandynawskiemi właściwościami, wpływem skandynawskiej krainy, zwłaszcza skandynawskiej historyi, która na szerokiem tle dziejów współczesnego świata odbierała wiarę w polityczne i społeczne hasła, budziła nieufność i pogardę dla ludzkiego rozumu, popychała nadczułe jednostki do zamknięcia się w sobie, życia egotycznem życiem.

W szczegółach ten wstępny rozdział ucierpiał niemało wskutek zbytniej krótkości a ogromnego materyału; pełnych charakterystyk znajdzie się niewiele, w drugiej części jest już prawie tylko nalepianie etykiet, przy końcu nic nie mówiące wyliczanie nazwisk. Najpiękniej powiodła się sylwetka J. P. Jacobsen'a, chociaż stoi za blizko Brandes'a; jego natura pokrewniejszą jest raczej Oli Hanssonowi. Autorka charakteryzuje autora znanej już i u nas powieści *Niels Lyhn* jako romantyka w rodzaju Edgara Poë, w którym duńska fantastyka łączy się jednak dziwacznie z europejskim pozytywizmem; jest to chora dusza, pełna wiecznej tęsknoty i wiecznego rozczarowywania się; jako artysta indywidualizuje i lubuje się w oddawaniu najdrobniejszych odcieni, a nie znajdując dostatecznego zasobu wyrażeń w literackim i powszechnie używanym języku swego narodu sięga do dyalektów, lub wprost tworzy nowe wyrazy, dochodząc w tem wirtuostwie językowem aż do Gongoryzmu Hiszpanów i przesady Marivaux. W drugiej części

tej rozprawy jest mowa o kilku wybitniejszych talentach z „najmłodszych"; pisarzy tych pozna się jednak dokładniej z następnych rozdziałów. Natomiast już tu należy zwrócić uwagę na doskonałą charakterystykę Oli Hanssona. Przedstawia on przedewszystkiem ciemne objawy życia duszy, których nie zbada najuczeńszy filozof, bo ich korzenie tkwią w głębokościach nieświadomości. U niego znajdzie się tę *Weltflucht*, charakteryzującą dzisiejszych modernistów a napotykaną już kilkadziesiąt lat temu u romantyków niemieckich i przerafinowane lubowanie się w przedstawianiu najsubtelniejszych przejawów duszy i nadmierną wrażliwość i nietzsche'anizm i böcklinowski koloryt wraz z antromorfizowaniem natury.

Po tym wstępie następuje szereg studyów o poszczególnych pisarzach skandynawskich z grupy „najmłodszych". Metoda autorki jest taka, jaką spotyka się u wszystkich „modernistycznych" krytyków literackich: cechuje ją właśnie unikanie wszelkiego najlżejszego pozoru krytykowania, oceniania danego utworu czy pisarza, oznaczania jego wartości artystycznej, moralnej, społecznej. Zamiast tego zupełne poddanie się omawianemu dziełu, nastrojenie duszy własnej na ton jego utworu, stan bezwzględnej suggestyi. Tę zdolność posiada p. Herzfeld w niebywałym stopniu, wrażliwa jej dusza nagina się pochopnie, bez oporu i bez wątpliwości. Stąd p. Herzfeld potrafi wybornie oddać nastrój dzieł danego pisarza, niemniej jednak czytelnik przywykły do obejmowania okiem stosunku tworów literackich do piękna, w tej książce nie znajdzie żadnych punktów oparcia. Najchorobliwsze hallucynacye, najdziwaczniejsza fantastyczność, najskrajniejsza romantyczność przyjmowane są przez autorkę z tą samą wrażliwością, z jaką wita najpiękniejsze przejawy wiecznie dziwnej ludzkiej duszy.

Otwierają szereg tych studyów dwie rozprawki o Tomaszu i Wilhelmie Krag. Już tu jednak autorka podobnie jak i w następnych rozdziałach nie zajmuje się całem dotychczas znanem „dziełem" pisarza, lecz odtwarza — to jest najwłaściwsze wyrażenie — jeden z jego utworów. Dzieje się to w zakreślonych powyżej granicach z nadzwyczajną sztuką, a jednak mimo to postaci poety nie widzi się wszechstronnie a pytać się przychodzi: może on w innych dziełach jest od mienny? Tak i tu poznaje się Tomasza Krag'a jako autora utworu „Wąż miedziany". Śmiało parafrazując biblijne opowiadanie o wężu miedzianym, któremu kłaniali się Żydzi w pochodzie przez pustynię Krag wyraża w dziejach rodziny Gröben'ów myśl, że wpatrywanie się

w cierpienie, rozpamiętywanie i odczuwanie nędzy ludzkiej jest właśnie najwyższą rozkoszą; największa rozkosz jest w cierpieniu. Jego ludzie to eteryczne, tajemnicze postacie, nawpół wolni, nawpół podlegli jakimś tajemniczym potęgom. Innym jest jego brat, Wilhelm Krag. Jego wesołość płynie z przymusu człowieka zrozpaczonego, który tej rozpaczy przed światem nie chce okazać, jego utwory, to delirya, hallucynacye gorączki, wieczna kłótnia pomiędzy pragnieniem spokoju, ciszy a umyślnem upajaniem się natłokiem barw i dźwięków. Z życiem walczyć nie można, żyć wogóle nie można, kwietyzm i wegetowanie, oto ideały tego skandynawskiego dekadenta.

Rozwielmożnienie się fantazyi i fantastyczności, jakiego świadkami jesteśmy w obecnej dobie, p. Herzfeld nie tłumaczy artystyczną i uczuciową reakcyą przeciw racyonalizmowi i naturalizmowi niedawnych czasów, lecz widzi w tem szał pokolenia, które patrzy na walenia się świata z jego dawną kulturą. „Jutro jest koniec. A więc, mówią oni, korzystajmy szybko z dnia dzisiejszego; pogłębiajmy to jeszcze wspomnieniami z wczoraj a wizyami pojutrza; przeżyjmy jeszcze raz w fantazyi całą upajającą piękność, jaką wydały z siebie ubiegłe pokolenia, Wschód i Zachód, świat starożytny, wieki średnie i rozmaite Odrodzenia; napełnijmy nasze dusze aż do brzegu temi wspaniałościami, które chcielibyśmy uratować i wołajmy: *Evoë Bacchos!* jutro śmierć! *Evoë, Evoë!* Z tego nastroju wykwita symptomatyczna sztuka naszych czasów, sztuka dekadentyzmu ze swojemi snami rajskiemi, ekstazami piękności, kultem życia i wizyami trwogi. Ona dekoruje pustkę". Piękny ustęp wymaga jednak zastrzeżeń. Może nie tyle świadomość blizkiego upadku dzisiejszej kultury wywołuje ten taniec rozbujałej fantazyi, może to nie tyle odruch tonącego — ile raczej właśnie niezadowolenie z tego, co jest, czczość i pustka obecnych dni, nieświadomość przyszłości. Wszak my wszyscy, jakiekolwiek są nasze indywidualne popędy czy przekonania, czujemy marność dzisiejszego życia, przeczuwamy inną epokę, jedni z otuchą, inni z martwą obojętnością, inni wreszcie z namiętnym niepokojem. Dekadentyzm — powtarzamy — wyrósł nie z chęci ratowania przeżywającej się kultury, lecz z niezadowolenia z niej. Jako ilustracyę tego zagłębiania się w przeszłości podaje autorka dwa przykłady współczesnego duńskiego romansu rycerskiego: Holgera Drachmanna *Kitzwalde* i Sophus'a Michaëlis'a *Aebelö*. Pierwszy (wybitny również jako autor dramatyczny, o czem jednak p. Herzfeld według znanej już metody tylko w dwóch słowach mówi) zapełnia swą opowieść masa okropności ultra-romantycznych, przy-

głuszających głos szczerej poezyi; drugi rozkoszuje się również nadmiarem żywotnej siły, ujawniającym się w gigantycznych zbrodniach i potężnych namiętnościach, lecz częściej odczuje się pod tą powłoką prawdziwe życie i krew; obaj łączą zdolność przenoszenia się w epokę Renesansu z dekadencką senzytywnością. Autorka tego oczywiście nie powiada, że przez to właśnie ich rycerskie romanse często przekraczają granicę dzielącą grozę od wstrętu. Szkoda, że p. Herzfeld nie objęła w tym rozdziale rycerskiego romansu u innych skandynawskich narodów. Piękna postać Verner'a Heidenstam'a dowiodłaby, że można połączyć „wspomnienia przeszłości", bujną fantastyczność z szczerą poezyą!

Średniowieczne i renesansowe motywa znajdzie się również w twórczości Selmy Lagerlöf. Ze Szwecyi rodem, ogłosiła w r. 1896 utwór *Goesta Berling* a tem jednem dziełem zapewniła sobie na długo pamięć. Faust i Don Juan przenoszą się tu na skandynawski grunt. Goesta Berling był pastorem na wsi, zamieszkałej przez pijaków. Od nich zarażony opuszcza wieś, bo czuje, że sprzeniewierzył się swemu powołaniu, że Bóg go opuścił. Widzi się go na dworze majorowej Samzelius, najbogatszej dziedziczki w okolicy. Dziwny to dwór: dwunastu wesołych, lekkomyślnych „kawalerów" otacza panią domu, jak niegdyś rycerze „okrągłego stołu" króla Artura. Wszyscy mają za sobą burzliwą przeszłość, często wprost awanturniczą i tu w Ekeby dalej prowadzą hulaszcze, butne życie. Na wspaniałem tle cudownej natury, zawadzając niejednokrotnie o średniowieczne legendy, autorka opowiada o tych ludziach, w których żyłach płynie burzliwsza, czerwieńsza krew, niż w skarłowaciałem pokoleniu dzisiejszem. Mnóstwo awanturniczych przygód wypełnia zrazu życie Goesty, lecz wciąż śledzić można powolnej w nim przemiany. I przez ciemności błędów przedziera się jasny promień: w pracy znajduje Goesta Berling odrodzenie; *labor et amor*, praca i miłość dają mu wybawienie jak legendarnemu Faustowi. P. Herzfeld, unosząc się nad tym utworem, podziwiając zwłaszcza jego fantastyczną stronę, nie może oczywiście zaprzyjaźnić się z tem „filisterskiem" zakończeniem. Tłumaczy je i usprawiedliwia tem, że u kolebki Selmy Lagerlöf stały dwie postacie: Almqvist i Fryderyka Bremer, ultra-romantyczny subjektywista i sentymentalna „filisterska" powieściopisarka. Nie wiemy, czy wywód jest trafny, lecz w zakończeniu widzimy właśnie reakcyę etycznych pojęć przeciw estetycznym: życie nie jest romantycznym cyklem szalonych awantur, ma

ono cele wyższe a Goesta Berling z zakończenia wart tysiąc razy więcej, niż tuzin świetnych „kawalerów".

Pokrewne idee znajdzie się w „Głowie Medusy" Gustaf'a af Geijerstam'a. Znakomicie są pochwycone dwa typy ludzi, którzy w powieści są serdecznymi przyjaciółmi. Sixten Ebeling jest naturą krańcowo egotyczną. „Życie z innymi, w innych, dla innych odstrasza go; czuje się niezdolnym do brania udziału w cierpieniach i walkach świata; nie znosi nawet wstrząśnień wewnętrznych, jakie sprowadzają na nas stosunki z ludźmi; sztucznie przyzwyczaił się do tego, że widzi, słyszy a nie czuje; otoczył się wkoło wysokiemi szańcami i zamknął się w nich przed światem". Żyje tylko w starych książkach i dawnych czasach. Po raz pierwszy z taką plastyką odtworzony został ten typ dziś tak powszechny, drapujący się w płaszcz arystokraty ducha i uczucia, w gruncie rzeczy tak szkodliwy, zwłaszcza w krajach i narodach ubogich i ilościowo i materyalnie, jakim jest Dania i — Polska. I tego człowieka łączy przyjaźń z istotą stojącą na przeciwnym biegunie przekonań, temperamentu, uczucia, intelektu. Tore Gam ma temperament ognisty, rzucający się na oślep w wir tego świata, pochłaniający lubieżnie wrażenia najrozmaitsze, podejmujący walkę ze wszystkimi. Obaj bankrutują. Tore Gam zrozpaczony zawodami w życiu, które w puch rozbijają jego entuzyazm, rzuca się pod koła nadjeżdżającego pociągu i marnie ginie — Sixten Ebeling jest tego samobójstwa współwinnym, bo przyjaciela w rozstrzygającej godzinie opuścił, zdradził. Odtąd choćby się zamknął przed światem, spokoju nie zazna. Jak patrzący się w głowę Medusy czuł krew marznącą mu w żyłach, tak nad nim odtąd ciężyć będzie to wspomnienie. Każdy człowiek ma taką głowę Medusy; organizacye zdrowsze, jak mówią jedni, brutalniejsze, jak mówią inni, mogą z tym upiorem wygodnie żyć; organizacye delikatniejsze, wyższe nie zaznają z nim ani chwili pogody.

W trzech końcowych studyach przesuwają się sylwetki Jonasza Sie, Per Hallström'a i Arne Garborg'a. Najciekawszem jest właśnie przedstawienie ewolucyi, jakiej uległ sławny autor „Znużonych dusz". Był racyonalistą i wyznawał „brandezyanizm", był naturalistą. Nie długo. Dziś i on stał się „młodym", świat pół tonów, pół świadomości, fantastyczności jest i jego światem, wreszcie jak to jest modnem u „najmłodszych" i on „zwraca się ku chrześcijaństwu". Można jednak poczekać jeszcze, zanim się go „nawróconym" nazwie. Bohater jego opowiadania „Nauczyciel" doprowadza żonę do samobójstwa dlatego, że fał-

szywie pojąwszy naukę Mistrza, żyje w Bogu i dla Boga, poświęcając to, co mu na świecie powinno być najdroższem.

Książka p. Herzfeld, którą już powyżej się scharakteryzowało, nie wyczerpuje całego obrazu współczesnego piśmiennictwa skandynawskiego, nie daje nawet pełnych postaci tych kilku pisarzów, których szczegółowiej omawia. Takiego zadania autorka zapewne sobie nawet nie postawiła. Lecz jeżeli pragnęła być pośrednikiem pomiędzy utworami pisarzów a mniej „czułymi“ słuchaczami — to celu dopięła. Kto literatury tej nie zna zupełnie, ten nabierze z książki p. Herzfeld ogólnego wyobrażenia o jej nastroju i charakterystycznych cechach; szczegółów pozna nie wiele, lecz o tych łatwo dowiedzieć się z pierwszego lepszego artykułu. Natomiast obznajomiony z dzisiejszą „młodą Skandynawią“ przeczyta tę książkę z przyjemnością i korzyścią, chociaż niejednokrotnie razić go będzie bądź fałszywy i nieco przesadny entuzyazm, bądź brak krytycyzmu.

J. Flach.

Strandgut des Lebens. Gesammelte Novellen von *A. Jüngst.* Erster Band. Allerheiligensommer. Incognito. Leben um Leben. Paderborn. Druck und Verlag von Ferdinand Schönigh. 1898 (str. 291).

Trzy opowiadania, które najtrafniej można nazwać miłemi. Nie znajdzie się tu ani niebotycznych wysokości, ani bezdennych przepaści ludzkiej duszy. Miłość jako uczucie ciepłe, dążące do połączenia się z ukochaną istotą, lecz nie cofające się przed poświęceniem osobistych pragnień, bądź dla dobra tej drogiej osoby, bądź dla wyższej idei: oto zasadniczy motyw tych nowel. Ci ludzie są albo dobrzy, czasem aż za dobrzy, albo źli, ale w miarę i nie bez nadziei poprawy, która się często dokonywa; tu i ówdzie są śmieszni, mają zwykłe ludzkie słabości, a wtedy są może artystycznie najlepiej przedstawieni. Dużo optymizmu i poczciwej tendencyi graniczy często z pospolitem płaskiem zadowoleniem z siebie i ze świata, lecz nieraz wśród tego odnajdzie się to jakiś ciekawszy szczegół dobrze zaobserwowany, to jakąś głębszą myśl, to jakieś silniejsze uczucie. Zresztą kilka słów o treści tych opowiadań, pouczy najlepiej o ich charakterze i wartości. A więc jest najprzód podstarzały już nieco bardzo uczony profesor. Za młodu kochał się w pannie, lecz nieśmiały, jak zwykle „filozofowie“, dał się zaćmić młodemu lejtnantowi; panna zaręczyła się z szczęśliwszym z rywalów, ale nadeszła wojna i oficer poszedł na nią, został rannym i przepadł bez wieści. Teraz po latach, gdy panna

pozostała wierną narzeczonemu, profesor stęskniony za ogniskiem domowem, powtórnie się jej oświadcza i znowu dostaje kosza. Szlachetny nie mści się tej odprawy, owszem ułatwia połączenie się kochanków; oficer bowiem żyje we Włoszech jako skrzypek uliczny; raniony przed laty, kaleka ubogi, nie śmiał się przypominać pannie. To *Allerheiligensommer*. W *Incognito* intryga jest najsłabsza, bo polega na szablonowym motywie przebrania się księżniczki w zwykłą pannę; historya miłości dość banalna, nie może naprawić tych wad, a rzecz cała byłaby marną, gdyby nie wyborna postać damy dworskiej, towarzyszącej owej księżniczce. *Leben um Leben* ma najwięcej charakteru katolickiego i niezależnie od tego najwięcej pogłębienia. Malarz, wyznawca *plein air'u*, poza tem cynik drwiący sobie z religii, kocha pannę z silnie rozwiniętem uczuciem religijnem, wolnem jednak od bigoteryi. Zrażony jej pobożnością, zrywa nagle. Ona odrzuca konkurentów i zostaje siostrą miłosierdzia. Podejmuje się leczenia chorych w Hamburgu, podczas grasującej tam cholery. Tu los powołuje ją do łoża malarza, zapadłego na straszliwą chorobę, zrujnowanego hulaszczem życiem. Dawna narzeczona, dziś zakonnica, ratuje go od śmierci, umiera sama na zarazę, malarz zaś odtąd odzyskuje wiarę i poświęca się sztuce religijnej. Kilka lat temu, takie „naiwne" opowiadania nie miałyby w oczach czytelników wykształceńszych żadnej wagi; dziś czyta się je i doznaje się uczucia orzeźwiającego, tak nam parno i duszno.

J. F.

Judith's Ehe. Ein Roman in Gesprächen. *Peter Nansen*. Berlin. S. Fischer. 1899. (Str. 183).

Jeżeli Nansen, Norwegczyk, porywa nas w kraje martwych lodów i śniegów, to Nansen, Duńczyk, przeciwnie więzi swych czytelników w płonących sferach ludzkiego uczucia. Jego poprzednie utwory, jak *Eine glückliche Ehe, Maria ein Buch der Liebe, Julie's Tagebuch, Aus dem Tagebuch eines Verliebten* i t. p. samemi tytułami wskazują, że istnieją temata stare jak świat, oklepane jak kamień miejskiego bruku a wkoło których przecież myśl ludzka nigdy krążyć nie przestaje. Każda generacya odbywa w te sfery sercowe osobną podróż eksploracyjną, każdej zdaje się, że odkrywa nieznane lądy i morza, że pierwsza zmierza wysokość szczytów i głębie otchłani, przyczem zapominają a raczej nie chcą wiedzieć, że temi szlakami począwszy od pierwszych

rodziców przeciągała ludzkość cała, pojąc się u tych samych źródeł, raniąc się temi samemi cierniami. Nie dziw, że utwory Piotra Nansena doczekały się wszystkie po dwa, albo i trzy wydania. Ten, który obecnie mamy pod ręką: *Judith's Ehe,* romans w formie dyalogu, wydany równocześnie po duńsku i po niemiecku, charakterystycznym jest nietylko co do autora, ale i co do usposobienia naszego wieku. Jak P. Nansen pojmuje szczęście w małżeństwie, to zapewne wyraził w powieści, zatytułowanej: *Eine glückliche Ehe;* jak rozumie nieszczęście w niedobranym związku, o tem możemy się przekonać w tym dyalogu, malującym nam opłakane losy dwojga ludzi, którzyby powinni byli w życiu przejść obok siebie, nawet nie potrącając się wzajem. Paweł Palmer, człowiek niezłomnych zasad, rozpoczynający świetnie karyerę urzędową, czy polityczną, w atmosferze ludzkiego szacunku i ludzkiej sympatyi, daje się uwieść wdziękom płochej i nieco narwanej dziewczyny, od której niejasna przeszłość, równie jak i niezupełnie prawidłowe stanowisko w świecie, powinny go były oddalić. List anonimowy, ostrzegający go przed tem małżeństwem w imieniu jego stosunków światowych — skłania go przeciwnie do zażądania — wbrew całemu światu — ręki opuszczonej i w jego mniemaniu oczernionej sieroty. Jaką była poprzednio — ani pamiętać ani wiedzieć nie chce; ludzi się nadzieją przyswojenia dzikiego ptaszęcia, nadzieją rozpoczęcia nowego życia. Oczywiście po roku próba okazuje się chybioną. Po stracie dziecięcia, które jedno mogło było zapełnić przepaść, dzielącą te dwie istoty, Judyta zapada w rodzaj melancholii, której mąż nie rozumie; odkrycie całej sieci kłamstw, w którą stopniowo, zrazu z miłości, chcąc mu oszczędzić strapienia, a potem z obawy przed jego gniewem, uwikłała jego i siebie, dokonywa rozdarcia. Przez pewien czas autor każe nam patrzeć na wspólne pożycie, w którem ze strony męża istnieje już tylko to litosna, to ironiczna, aż do okrucieństwa posunięta pogarda a ze strony kobiety brak świadomości sumienia, straszliwa pustka w duszy, spotęgowana absolutnym brakiem zajęcia, resztki tęsknej miłości urażonej zimnem i nieraz obelżywem obejściem, którego niejasno rozumie powody — aż wreszcie przychodzi zupełne zerwanie. Mąż powraca do dawnego życia i dawnego świata, Judyta również do dawnego, pospolitego kółka przyjaciół. Ona smutna, on zgorzkniały — chyba na zawsze.

Żeby to było do czytania miłe, albo budujące — powiedzieć trudno. Nie jest i pouczającem, boć żadnego młodzieńca mającego popełnić szaleństwo, przykład z bohaterów powieści od moralnego samo-

bójstwa nie wstrzyma. Jest jednak napisane z talentem, charakter uwydatnione wybornie, koloryt nie wyłącznie czarny, rozmowy ożywione i naturalne, przy końcu niektóre sceny przykre i brzydkie. Temat z daleka przypomina również przykrą choć bardziej podniosłą powieść Elizy Orzeszkowej: „Cham“. I tu uczciwy człowiek chciał przyswoić latawca i tylko ręce i serce zakrwawił. Tylko że w polskiej powieści ów uczciwy człowiek wyrasta w swojej prostocie na bohatera niemal na świętego, a w duńskiej wychodzi z próby gorszym, niż wyszedł. Przyczyna tej różnicy polega zapewne na tem, iż Paweł Narsena ma tylko zasady, a „Cham“ Orzeszkowej głęboką i czynną wiarę.

T. W.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

WIEC KATOLICKI W FERRARZE.

Stosunki katolickie pod włoskim rządem, niewiele się w ostatnich czasach zmieniły. Rząd trwa dalej w rozpoczętej po zeszłorocznych krwawych zajściach majowych walce, tylko że ta walka jest teraz głuchą, podziemną, chociaż niemniej zaciętą. Tak mimo próśb i niezliczonych, prawie groźnych manifestacyj, na korzyść uwięzionych dziennikarzy, król pod presyą rządu nie uwolnił tego, o którego katolikom najbardziej chodziło: dzielnego redaktora *Osservatore cattolico,* ks. Don Albertario; częste zakazy zgromadzeń katolickich, ciągłe szykany tamowały i tamują aż do tej chwili swobodny rozwój akcyi katolickiej.

Zdawałoby się, że w takich warunkach o zwołaniu wiecu katolickiego ani mowy być nie może. Rząd jest w naszych czasach taką potęgą, że trudno wprost przeciw niemu walczyć, przedewszystkiem, jeżeli się nie chce używać środków gwałtownych i teroryzmu. Niektórzy katolicy uważali też rzeczywiście urządzenie wiecu za rzecz niemożliwą, co więcej, za rzecz dla dobrej sprawy szkodliwą. Byłoby to tylko, powiadali oni, narażeniem się na oczywiste *fiasco,* któreby bądź co bądź świadczyło o bezsilności katolików wobec wrogiego rządu.

Dzięki Bogu, głosy tych małodusznych katolików pozostały w mniejszości, a górę wzięli ci, którzy wprost przeciwnie twierdzili, iż właśnie w tak ciężkich warunkach publicznie i gromadnie zbierać się trzeba, aby pokazać, że katolicy żadnemi trudnościami nie zrażeni z pola walki nie ustępują. Dlatego postanowiono z końcem przeszłego roku nie czekać z kongresem katolickim do jesieni, ale zwołać go zaraz z końcem kwietnia mimo to, że czas ten mniej jest dla wieców odpowiednim. Jako miejsce wybrano Ferrarę, miasto nie duże, ale posiadające obok żydowsko-masońskiej mniejszości, kilku wybitnie czynnych i hojnych katolików, między którymi młody hr. Grosoli się odznaczał.

Równocześnie z rozpoczęciem prac komitetu lokalnego, rozpoczęła się też teroryzacya katolików ze strony rządu. Pierwszym wrogim jego aktem, było przeniesienie prefekta Ruspaggieri, przychylnego wiecowi. Katolicy nie dali się jednak przestraszyć tak złowrogim początkiem. Pracowali spokojnie dalej i nieustraszoną swą pracą celu swego dopięli. Mimo tego, że nawet koleje odmówiły z polecenia rządu, zwyczajnego przy takich akcyach zniżenia cen, wiec we Ferrarze był niemniej uczęszczany jak poprzedzające wielkie katolickie wiece: oprócz dwóch kardynałów, 30 biskupów, 60 przedstawicieli prasy, delegatów prawie wszystkich stowarzyszeń katolickich, od Sycylii do Turynu, przedstawicieli wszystkich uniwersytetów włoskich, 4—5 tysięcy wiecowników napełniło wielki kościół św. Dominika, wybrany na miejsce obrad, wobec braku odpowiedniej na takie zebranie sali. „Zwołaliśmy, mówił na zakończenie prezydent Filip Crispolti, kongres w tym celu, aby nasze milczenie nie było powodem do preskrypcyi, aby życia naszego publicznego nie pokryły pajęczyny tak trudne później do usunięcia... tłumny udział, zgoda, znaki żywotności, przeszły wszystkie nasze oczekiwania".

Dziwnym trafem zebrali się w tym samym czasie w Medyolanie przedstawiciele umiarkowanego liberalizmu, cieszący się opieką rządu. A przecież zmuszeni oni byli wyznać, że „masy są albo rewolucyjnym duchem przejęte, albo w zwartych szeregach cisną się pod sztandar klerykalizmu". Fakt ten jest tak

oczywisty, że nikt zaprzeczyć go nie może, a węzły, które praca niestrudzona katolików zadzierzgnęła między ludem i sprawami partyi katolickiej, są nietylko idealne, ale też i materyalne tak, że żadna siła prędko ich nie zerwie [1].

Ojciec święty nie szczędził też w osobnym liście katolikom szczególniejszej swej pochwały za to, że z taką śmiałością (*gagliardia)* i roztropnością w pracach swych wytrwali.

Przeczyć, rozumie się, nie można, że ciężkie warunki, wśród których obecnie katolicy we Włoszech żyją, odbijały się też na pracach wiecu katolickiego. O wielu rzeczach na publicznych posiedzeniach nie można było zupełnie mówić, aby nie narażać się na natychmiastowe zamknięcie wszystkich obrad; o innych sprawach, jak o wyborach municypalnych mówiono tylko z wielką ostrożnością, nie zapuszczając się w dyskusyę i bliższe szczegóły. Stąd jedną z cech charakterystycznych tego wiecu było pewne przygnębienie. „Nie jesteśmy w stanie — powiedział hr. Paganuzzi — wyzuć się uczucia niezwyciężalnego smutku, który dusze nasze do głębi przejmuje, ale nic dziwnego, że w tych czasach nie możemy być ani weseli, ani swobodni".

Zupełnie jednak niezasłużone były ironiczne pochwały, któremi prasa antikatolicka obdarzała wiec za swą lojalność. Katolicy oświadczyli tym razem, jak na poprzedzających 15 wiecach, że walczyć będą nieustannie za wolność Kościoła i religii i wiernie trwać przy wskazanej przez Leona XIII. taktyce. Nie było żadnego cofnięcia się, owszem właśnie pod tym względem prześladowanie rządowe powodowało katolików włoskich do większej jeszcze stanowczości. Wyrazem tego nowego, intenzywniejszego prądu, była mowa p. Sacchetti'ego o demokracyi chrześcijańskiej, powszechnem uznaniem przez wiec przyjęta. Oświadczenia w tej mowie zawarte i przez ogół przyjęte, nadały całemu wiecowi, jak *Civiltà* [2] słusznie uważa, nową, charakterystyczną cechę i dlatego podajemy tu dosłownie najważniejszy ustęp: „Między katolikami włoskimi nie ma różnicy zasad; jeżeli istnieją katolicy

[1] O ekonomicznej działalności katolików porównaj: Micheli Giuseppe, *Le casse rurali italiane.* Parma 1898.

[2] 20 maja, 1899, str. 400.

liberalni, albo konserwatyści, albo z innym jakimś tytułem, to oni nie są z nami. Kongres jest katolicki, ale nic więcej. Jest tu wprawdzie i demokracya chrześcijańska, ale ona nie jest szkołą religijną, którąby chciała zmniejszać, albo dopełniać epitetem naukę katolicyzmu. Od chwili, kiedy imię demokracyi chrześcijańskiej brzmi na ustach Ojca św., nikt nie będzie śmiał niem gardzić, albo je potępić... Na polu naukowem demokracya chrześcijańska, jest to studyum zagadek społecznych, celem rozwiązania ich według nauki Ewangelii i historycznych tradycyj Kościoła; na polu praktycznem jest ona akcyą katolicką, skierowaną szczególniejszym sposobem ku temu, aby zaradzić potrzebom religijnym i ekonomicznym ludu, jego wychowaniu religijnemu i społecznemu, aby zorganizować lud chrześcijański z taką siłą żywotną, by był w stanie obronić siebie i całe społeczeństwo od zasadzek i napaści socyalizmu i niedowiarstwa.

Jeżeli takim jest program demokracyi chrześcijańskiej we Włoszech, to z pewnością nie wyrzekną się go kongresy katolickie, uznające w nim słusznie własny swój program, który powoli, tak, ale z ciągłym postępem starały się w czyn wprowadzić w przeciągu piętnastu kongresów".

Jak wszędzie tak i we Włoszech, demokracya chrześcijańska, trafiła w niektórych kołach katolickich na niezrozumienie swych zasad, a skutkiem tego, na nieprzychylność niektórych katolików. Groziło to rozdarciem katolików na dwa obozy, jakie już się dokonało w innych krajach, ku wielkiej szkodzie wspólnej sprawy. Oświadczenie się wiecu, na którym obecni byli wszyscy najwybitniejsi przedstawiciele katolicyzmu, za programem demokracyi chrześcijańskiej, daje nadzieję, że we Włoszech do rozdwojenia nie przyjdzie. Zawdzięczają Włosi swą jedność mądremu, bezpośredniemu kierownictwu Ojca św., które, mamy nadzieję, i w przyszłości zdoła utrzymać między nimi powszechną zgodę, ale zawdzięczają oni ją także ciężkim prześladowaniom, które nauczyły ich skupiać się i jednoczyć. Pierwszy raz, o ile nam wiadomo, mówiono na p o w s z e c h n y m wiecu katolickim z taką otwartością o demokracyi chrześcijańskiej; jest to rzeczą

wielkiej doniosłości, tembardziej, że to się działo we Włoszech, pod okiem Ojca św., w obecności tylu książąt Kościoła.

Jedynym faktem wybitniejszym po wiecu katolickim jest świeża rekonstrukcya ministerstwa Pelloux, a mianowicie objęcie teki spraw zagranicznych przez margr. Visconti-Venosta, znanego powszechnie z bardzo przychylnego usposobienia dla Watykanu. Dopóki on będzie w ministerstwie, można być bezpiecznym, że żadnych nowych prześladowań katolików nie będzie, ale dobrej inicyatywy ze strony rządu spodziewać się trudno. Zbyt silne jeszcze wpływy masońskie.

NOWE RZĄDY WĘGIERSKIE.

Węgrom udało się prędzej i szczęśliwiej zakończyć prześladowanie wewnętrzne, i uwolnić się od obstrukcyi, aniżeli parlamentowi wiedeńskiemu. Banffy musiał wprawdzie ustąpić skutkiem obstrukcyi; ale następca jego, Szell, z zadziwiającą szybkością koniec położył wszystkim zatargom parlamentarnym tak, że po najgwałtowniejszych scenach, po krótkiej ledwie przerwie, izba z największym spokojem i powagą, znowu załatwiała bieżące sprawy państwowe. I w Wiedniu i w Peszcie mówiono i pisano dużo — we Wiedniu nie bez zazdrości — o „idealnym prezydencie ministrów", który w mgnieniu oka zdołał utworzyć sobie silną partyę rządową, (przez połączenie partyi narodowej Aponny'ego z starymi liberałami) i uspokoić najburzliwsze żywioły parlamentu: partyę Kossutha.

Zdawało się, że zmiana prezydenta ministrów, będzie i dla katolików korzystną. Od kilkudziesięciu prawie lat kalwini i masoni rządzili krajem, a teraz nareszcie powołano na stanowisko prezydenta ministrów katolika, a podobno nawet dobrego katolika. Nowy prezydent oświadczył w programie, że chce dążyć do spokoju, i stąd nawet ci, którzy sobie nie robili illuzyi o jego katolicyzmie, sądzili, że się utworzą między kościołem a państwem stosunki przynajmniej nieco znośniejsze, aniżeli były za dawnych rządów. Mówiono też od razu o kompromisach między nowym prezydentem, a partyą katolicko-narodową, dążących do tego, by wciągnąć i tych ostatnich do większości rządowej. Równocześnie z wieściami o tych kompromisach, odezwały się

głosy ostrzegające przed taką koalicyą, jako przed największym niebezpieczeństwem dla młodej katolickiej partyi, a wkrótce się pokazało, że ostrzeżenia te były najsłuszniejsze.

Z końcem przeszłego miesiąca Szell wniósł ustawę o sądownictwie kuryalnem w sprawach wyborczych, zawierającą kilka ustępów, wprost zwróconych przeciwko duchowieństwu katolickiemu. Najbardziej krzywdzącemi są osławione paragrafy 3 i 170, wkraczające wprost w zakres władzy kościelnej, i dające rządowi do rąk straszną broń przeciwko partyi katolicko-narodowej. Według nich np. wybór ma być nieważny, jeżeli ksiądz w przeciągu 3 miesięcy przed wyborami, z ambony używał wyrażenia, któreby miało na celu wpłynąć na wynik wyborów.

Na pierwszy rzut oka każdy widzi, że prawo to grzeszy niesłychaną elastycznością. Cóż to znaczy, powiedział ks. Molnar, używać wyrażenia, którego celem jest wpłynąć na wybory? Czyż to prawo nie wystawia księży bez wszelkiej obrony na samowolę sędziów, którzy mogą włożyć w słowa przez się obojętne jakąś dążność do politycznych celów? Sam prezydent ministrów przyparty do ściany, przyznał w parlamencie, że możnaby było dla tego paragrafu znaleźć jaśniejszą prawniczą formę, że „stylizacya nie jest szczęśliwą", ale mimo to sprzeciwiał się wnioskom katolickim, aby paragraf raz jeszcze przekazano wydziałowi prawniczemu parlamentu. Wogóle prezydent ministrów okazał się w tej sprawie nadzwyczaj twardym; nie zadowolnił się przedstawieniem tak antikościelnego prawa, ale oświadczył wprost, że bez paragrafu zwróconego przeciwko katolickiemu duchowieństwu, nie chce słyszeć o sądownictwie kuryalnem w sprawach wyborczych, które przecież wszystkie partye węgierskie uważały za koniecznie potrzebne.

W parlamencie prawo przeszło głosami wszystkich partyj, przeciwko szczupłej garstce partyi katolicko-narodowej. Mowy ks. Molnara i innych, wykazały wprawdzie najdobitniej krzyczącą niesprawiedliwość i niedorzeczność tego paragrafu, ale nadarmo. We Węgrzech katolicy muszą być gnębieni, tego przecież żądają ci, co są panami kraju: żydzi i masoni.

Żywiono jeszcze małą nadzieję, że prawo może nie przej-

dzie w izbie panów; nadzieje te rosły, gdy przed rozpoczęciem sesyi kardynał prymas zwołał wszystkich biskupów na wspólną w tej sprawie obradę. Rzadkim to zjawiskiem jednomyślne wystąpienie biskupów węgierskich w obronie Kościoła! Od r. 1890 nie widziano ich jeszcze wspólnie zebranych. Mimo lojalnych zastrzeżeń przeważyło zdanie, że trzeba energicznie żądać usunięcia paragrafów antikościelnych, i w tej myśli przemawiali też w izbie panów prymas Vassary i arcybiskup Samassa. Nie wiemy, o ile wiarogodną jest wiadomość podana we *Vaterlandzie* w numerze z 28 kwietnia, że niektórzy duchowni członkowie izby panów oświadczyli prezydentowi ministrów, iż stanowisko ich nie pozwala głosować im za ustawą, i dlatego wstrzymają się od głosowania.

Niesłychanie zgrabną, pod pewnym względem nawet znakomitą była odpowiedź Szella, dana w izbie panów książętom Kościoła. Zaraz z początku oświadcza minister, że się znajduje w bardzo ciężkiem położeniu, będąc zmuszonym do zabrania głosu po takich mowcach. Przez całą jego mowę, przebija się nadzwyczajna oględność i nawet uległość wobec zdania książąt Kościoła, ale niestety ich wywody nie mogły go jeszcze zupełnie przekonać, że ustawa ta zakłóca spokój między Kościołem a państwem, że wkracza w prawa Kościoła, że krzywdę wyrządza religii katolickiej! Przyznać też trzeba, że się udało Szellowi przedstawić to prawo w ten sposób, że na pozór mogło się wydawać dość niewinne, a komentarze p. Szella zawierały nawet istotne złagodzenia. Tak np. prezydent oświadczył, że ustawa nie zabrania księżom, by z ambony przypominali wiernym obowiązek głosowania wedle sumienia, i opierania się wszelkim złym wpływom i przymusom. Ale cóż, kiedy to tylko były gołosłowne oświadczenia ministra w ustawie wcale nie zawarte, oświadczenia widocznie skierowane ku temu, by izbę przychylnie usposobić. Znakomita mowa osiągnęła też swój cel, ustawa przeszła i w izbie panów prawie $^2/_3$ większością głosów.

Smutna ta i nowa klęska katolików węgierskich ma przynajmniej tę dobrą stronę, że teraz wszyscy jasno wiedzą, czego się spodziewać mogą od „katolickiego“ prezydenta ministrów.

Ks. Wł. Ledóchowski.

W sprawie Kółek rolniczych w Galicyi.

Mamy przed sobą świeżo wydaną broszurkę d-ra Adama Krzyżanowskiego pod tytułem: „Kółka rolnicze w Galicyi". Autorowi chodzi w tej broszurce o odpowiedź na pytanie, czy instytucya Towarzystwa Kółek rolniczych ma charakter stowarzyszenia i to stowarzyszenia zawodowo-rolniczego, za jakie jest powszechnie uważana i uznawana. Zapytuje więc, czem Towarzystwo Kółek rolniczych być miało według zamiarów założycieli, czem jest obecnie i czem być może i być powinno w przyszłości. Zaznaczając z góry różnicę swoich zapatrywań w tej mierze od dotychczasowych poglądów, zastrzega się dr. Krzyżanowski (sekretarz Tow. rolniczego krakowskiego i członek zarządu głównego Tow. Kółek rolniczych), że są one jego czysto osobistemi poglądami, sformułowanemi dla wykazania potrzeby reformy i to *a membris*, wina bowiem — zdaniem autora — leży u dołu, w braku zrozumienia rzeczy w poszczególnych Kółkach, oraz w tem, że zarządy powiatowe nie utrzymują należytej łączności między Kółkami a zarządem głównym. We wstępie zamieszcza autor mimochodem sumienny przegląd literatury o Kółkach rolniczych, za co mu się wdzięczność żywa należy.

Rozpatruje więc dr. K. najpierw program założycieli Kółek rolniczych w Galicyi, aby z nim porównać rzeczywistość. Za przykładem Kółek rolniczo-włościańskich w Poznańskiem, założyli w r. 1882 ludzie dobrej woli Towarzystwo Kółek rolniczych we Lwowie, którego celem miała być praca nad podniesieniem dobrobytu, moralności i oświaty ludu wiejskiego (i miejskiego, który jednakże w dalszym ciągu pominięto). Otóż zdaniem d-ra K. program ten wskazując zanadto różnorodny zakres pracy, przyczynił się do zbytniego rozstrzelenia sił a przeto i do uszczuplenia wyników pracy. Zdaniem podpisanego, może to wina nie tyle założycieli, ile późniejszych pracowników; zresztą program miał mieć zdolność zastósowania się do najróżnorodniejszych warunków miejscowych — szerokość jego byłaby chyba najmniejszą wadą. W każdym razie uwagi do tego nawiązane, można było pominąć — z korzyścią dla broszurki i dla sprawy. Natomiast przypomina autor słuszne zdanie z programu, że trzeba zawiązywać Kółka tam, gdzie są dla nich warunki bytu — lepiej mało a dobrych, niż marnować siły na bezużyteczne próby. Właściwie jednak odnosi

się to raczej do przedsiębiorstw większych; samo Kółko przecież powstać i utrzymać się może przy małym wysiłku.

Co do liczby istniejących Kółek podnosi dr. K. z naciskiem, że sprawozdania Towarzystw podają liczbę Kółek zawiązanych; ile ich rzeczywiście jest czynnych, tego nawet w przybliżeniu oznaczyć nie można. Również ilość sklepików, obliczona przez Zarząd główny na 911, nie może stanowić dowodu istnienia Kółka, gdyż zestawiono ją po części według liczby wydanych kart przemysłowych, z których wiele zapewne już wygasło. Nieznaną jest również liczba zwyczajnych członków Kółek czynnych, ani nawet członków wspierających, których w r. 1892 było przecież 316 a w r. 1897 z pewnością mniej niż 100, coby wskazywało na smutny objaw malejącego zainteresowania się sprawą Towarzystwa. Od pewnego czasu nie wymieniają sprawozdania członków założycieli; tak samo nie znajdujemy szczegółów o składzie zarządu poszczególnych Kółek, tak, iż nie wiemy kto właściwie Kółkami kieruje: sami włościanie, czy inteligencya wiejska. Tak samo nic nie wiemy o zarządach powiatowych. Omawiając nowy statut z r. 1898, ostro uderza autor na brak wkładek ze strony Kółek do kasy zarządów powiatowych, bo postanowienie statutu, by Kółka same naznaczały wysokość swej wkładki bez pewnego przymusu jest życzeniem platonicznem, nawet anomalią, ponieważ Kółka biorą udział w wyborach zarządów a nie przyczyniają się do ponoszenia ich kosztów, przez co cały stosunek przybiera luźny charakter dobroczynności. Drobna choćby wkładka, postawiłaby instytucyę na innych moralnych podstawach; choćby się liczba Kółek zmniejszyła, pozostałe byłyby więcej warte. Tak samo rzecz się ma odnośnie do głównego zarządu; opiera on się na subwencyach rządowych i krajowych, zatracając charakter stowarzyszenia na pomocy własnej zasadzać się mającego.

O stanie finansowym zarządów powiatowych i Kółek poszczególnych, zgoła nic nie wiemy.

Słusznie kładzie dr. K. nacisk na to, że działalność Towarzystwa powinna się objawiać głównie w Kółkach samych. Podczas gdy Kółka poznańskie szerzenie wiadomości rolniczych przez pogadanki i zwiedzanie gospodarstw mają za główny cel, w Galicyi urządziło Tow. Kółek rolniczych lustrowanie gospodarstw włościańskich przy pomocy funduszów wyznaczonych na to przez ministeryum rolnictwa. Jak wiadomo ten sposób wędrownej nauki, nie przynosi wielkiego pożytku, to też zarząd główny dąży do przekształcenia tej instytucyi, umiejscowiając

tych lustratorów gospodarskich. Gdyby i to nie okazało się stósownem, radzi autor fundusze te zużyć na założenie zimowych szkół rolniczych.

Omawiając działalność zarządu głównego w sprawie ułatwienia nabywania środków gospodarskich (nasion, nawozów, narzędzi i t. p.) dla Kółek podnosi dr. K. brak obszerniejszych o niej wiadomości, oraz nieznaczne dotąd rezultaty. Nic zaś zupełnie nie wiemy o działalności poszczególnych Kółek na tem polu — nie wiemy więc, czy prowadzoną jest ona racyonalnie, ani też jakie ma rozmiary (a bez tego trudno marzyć o postępie).

Przechodząc do sprawy sklepików Kółek rolniczych (które w programie założycieli nie leżały), wykazuje autor, że prowadzą one handel kolonialny, kramarski i t. p. i odmawia im charakteru asocyacyi rolniczej. O ile atoli handel ten prowadzony jest na rzecz członków Kółka (co niestety nie zawsze ma miejsce), są — naszem zdaniem — sklepiki te spółkami spożywczemi.

Słusznie podnosi dr. K. znowu brak wszelkich wiadomości o charakterze tego handlu, o wpływie tegoż na ceny, jakoteż nadzwyczaj wątłą ich organizacyę, która nie wykazuje bynajmniej charakteru spółkowego [1].

Następnie omawia autor ważną sprawę zcentralizowania dostawy towarów dla Kółek, czem zajmuje się kilka związków handlowych Kółek rolniczych, o których znowu brak bliższych wiadomości. Słusznie wykazuje, że zanadto małe związki nie mogą podołać temu zadaniu.

Omawiając następnie sprawę zasilania Kółek pożyczkami z krajowego funduszu pożyczkowego dla popierania działalności handlowej Kółek rolniczych — całkiem słusznie wskazuje znowu autor na brak wszelkich sprawozdań Kółek subwencyonowanych, przez co nie można ocenić, czy pożyczka właściwie użytą została, oraz występuje przeciw bezprocentowości tych pożyczek, podczas gdy spółki mleczarskie — *par excellence* rolnicze — muszą płacić odsetki.

Na podstawie tych roztrząsań dochodzi autor do takiego *résumé:* „brak zupełny materyału nie pozwala na wyrobienie sobie jasnego, a dokładnego pojęcia o istocie i działalności Towarzystwa. Nie znamy

---

[1] Ustęp ten (VI) zasługuje na uwagę wszystkich, co w ruchu sklepików Kółek biorą żywy udział. Szkoda tylko, że autor pomija zupełnie naglącą potrzebę podniesienia wykształcenia handlowego naszej ludności wiejskiej (no i miejskiej).

liczby Kółek; ich struktura prawnicza i ekonomiczna nastręcza otwarte pole do domysłów". Towarzystwo Kółek roln. robi wrażenie kolosu na glinianych nogach. Wyraźnie widać tylko szczyty: zarząd główny; nie wiadomo atoli na kim się on opiera, kogo reprezentuje. Połowa członków składa się z przedstawicieli najrozmaitszych korporacyi, którzy w zarządzie są wyrazem interesów i zapatrywań swych mocodawców a nie Towarzystwa Kółek rolniczych. Drugą połowę mają wybierać delegaci Kółek, w przeważnej większości nieopłacających wkładek na rzecz głównego zarządu, nie związanych zatem z nim rzeczywistą wspólnością interesów".

Dalej „działalność Kółek w kierunku zawodowym, jak również ich charakter spółkowy jest hipotezą bez dowodów. Są one poprostu przeważnie li tylko formą organizacyi chrześcijańskiego, kramarskiego handlu po wsiach".

„Jeżeli mowa o rozwoju associacyi rolniczej w kraju, byłoby szkodliwem w skutkach złudzeniem, uważać Kółka za pozycyę zdobytą w tej walce z niezrozumieniem własnych potrzeb wśród sfer interesowanych. Przeciwne zapatrywanie jest opinią władz państwowych i krajowych, cieszy się powszechnem uznaniem... Czy taki drogowskaz może okazać się pożytecznym dla dalszego rozwoju Towarzystwa?"

Wygłaszając taki sąd, który dla niejednego, zwłaszcza z działaczy Towarzystwa — nie mówiąc już o ogóle — przykrą będzie niespodzianką, wskazuje jednak dr. K. na broń, którą jego pesymizm zwalczyć można. Jestto reforma sprawozdań, które powinny koniecznie stać się obrachunkiem z dorocznej działalności Towarzystwa a nie zarządu głównego tylko jak dotychczas.

Sprawozdania Kółek trzeba ogłosić w opracowaniu syntetycznem, w formie tablic statystycznych, aby umożliwić porównanie i ocenę rozwoju, o czem dotychczas mowy być nie mogło [1].

Dalej postulatem autora jest wzmocnienie łączności między poszczególnymi organami Towarzystwa, głównie zapomocą zarządów powiatowych. Ponieważ członkowie ich jednak nie zawsze mogą podołać

---

[1] Zauważyć tu trzeba, że autor czerpał tylko z drukowanych materyałów archiwum zarządu głównego; prawdopodobnie istnieją jeszcze materyały niedrukowane (księgi rachunkowe — sprawozdania i t. d.), których wykorzystanie, acz mozolne byłoby bardzo pożądanem i może już dziś rozjaśniłoby niejedną kwestyę przez d-ra K. poruszoną.

obowiązkom, radzi autor uciec się do systemu poznańskiego t. j. do mianowania delegatów. Na to samo — naszem zdaniem — wyszłoby, gdyby jeden z członków zarządu objął pewien dział spraw n. p. rolniczych, lub handlowych na siebie. Z całą usilnością przemawia następnie autor za koniecznością nałożenia na Kółka opłaty na rzecz zarządu głównego i powiatowego oraz ścisłego przestrzegania płacenia wkładek do Kółka ze strony członków przez wykreślanie zalegających, co rzeczywiście należy uważać za sprawę pierwszorzędnej wagi w ustroju Towarzystwa.

Dalej porusza autor kwestyę ograniczenia działalności Towarzystwa dotąd tak różnorodnej, na pewne tylko zakresy, w którychby przez to intenzywniejszą można rozwinąć pracę. Zarząd główny odczuwając potrzebę takiej reformy, wdrożył już rokowania z krak. Tow. oświaty ludowej o przejęcie odnośnego działu (jak to jest w Poznańskiem).

Główną jednak jest kwestyą, czy można pogodzić akcyę rolniczą z handlową? Zdaniem autora, siły zarządu głównego nie mogą podołać temu zadaniu — więc trzeba się zrzec rolnictwa, a oddać sprawie handlu, bo nim się Kółka naprawdę zajmują i zarząd główny dobrze się już w tej mierze zasłużył.

Co do rolnictwa, proponuje autor, by Kółka przystępowały w charakterze członka do Towarzystw rolniczych okręgowych.

Zarząd główny zaś niech tylko zachęcająco w tym kierunku działa — a prócz tego zajmie się wspieraniem Wydziału krajowego w organizacyi Raiffeisenek — właściwą swą działalność niech poświęci sprawie handlu wiejskiego. Uniknie się przytem przeciwstawienia włościańskiej organizacyi rolniczej Towarzystwom rolniczym większej własności, co wywołuje mylne — zdaniem autora — mniemanie, jakoby Towarzystwa te nie były zdolne skupić w sobie ogółu ludności rolniczej.

Zgadzamy się zupełnie na pogłębienie akcyi zarządu głównego na polu handlu wiejskiego, w zreorganizowanie go w formie spółek handlowych, tak co do istoty prawnej i ekonomicznej, jak co do ducha spółdzielczego, należycie rozwiniętych.

Przyznajemy atoli sprawie handlu wiejskiego ściślejszy związek z rolnictwem, niż to czyni szan. autor. W naszych warunkach, kwestya taniego bytu (a to jest *spiritus movens* sklepików kółkowych) jest dla chłopa naszego sprawą jednego z zasadniczych czynników produkcyi rolnej, t. j. własnej jego siły roboczej, pomijając już wychowawczy wpływ (nb. dobrze w duchu spółdzielczym prowadzonych)

sklepików, który podnosząc inteligencyę i ducha solidarności między włościaństwem nie omieszka korzystnie odbić się na rozwoju naszego rolnictwa. Zresztą spodziewać się można, że dzięki niedawno założonemu oddziałowi rolniczemu krak. związku handlowego Kółek rolniczych i przy pomocy energicznych zarządów powiatowych — handel sklepików przyjmować będzie coraz więcej charakter rolniczy.

Natomiast trudno zgodzić się z szan. autorem, by Tow. rolnicze miały wystarczyć na ogarnięcie wszystkich interesów rolniczych naszego chłopa. Pomimo wszystkich zapewnień o wspólności interesów większej i mniejszej własności ziemskiej, chłop a większy właściciel ziemski z powodu swego położenia społecznego, ekonomicznego intellektualnego i t. d. te wspólne interesa swoje w odmienny muszą załatwiać sposób. Dowodem tego istnienie związków chłopskich obok Towarzystw rolniczych nawet w krajach, gdzie pomienione różnice mniej są niż u nas wybitne. Na dobitek nasze Towarzystwa rolnicze — chłopu nie wiele mają do zaofiarowania dla podniesienia jego poziomu oświaty rolniczej. Choćby mu nawet pogadanki w Towarzystwach okręgowych urządzano, to on na to — jak to mówią — „wziąć się“ nie da.

Dlatego nie możemy zgodzić się z zapatrywaniem szan. autora, by sprawę handlu wiejskiego w naszych stosunkach można oddzielić od sprawy podniesienia rolnictwa chłopskiego. To jest możebnem w Poznańskiem (co zdaje się autora na tę myśl naprowadziło), gdzie sprawa handlu wiejskiego nie jest taką palącą raną jak u nas i gdzie podniesienie gospodarstw chłopskich zawdzięczać należy przeważnie przykładowi wysoce rozwiniętych gospodarstw większych właścicieli ziemskich. A czy u nas większe gospodarstwa odpowiadają temu zadaniu? Prezes krakowskiego Towarzystwa rolniczego chyba dostateczna w tej mierze powaga — nie tęgie im wystawia świadectwo [1].

Sądzimy więc, że Towarzystwo Kółek rolniczych powinno i nadal zajmować się podniesieniem gospodarstwa rolnego włościan, a dla osiągnięcia szybszego skutku — powinien zarząd główny zastosować podział pracy t. j. podzielić się na wydział rolniczy i wydział handlowy. Przytem oczywiście główna praca w kierunku rolniczym winna się odbywać w związkach powiatowych i w Kółkach. Zarząd rolniczy

[1] Por. Fr. Mycielski, „Nasze rolnictwo i przemysł“, Kraków 1899 (str. 9, 13, 14 i t. d.).

ma tylko wskazywać drogi działania i utrzymywać łączność między usiłowaniami zarządów miejscowych.

Ale przekroczyliśmy już niemal ramy omówienia broszurki d-ra Krzyżanowskiego. Życzymy jej, by jak najprędzej wywołała szeroką a rzeczową dyskusyę nad tą ważną sprawą, i przyczyniła się do rychłego i energicznego urzeczywistnienia reformy prawdziwej t. j. zmiany treści, do czego reforma statutu była tylko krokiem przygotowawczym, jak to słusznie zaznacza autor w ostatnich wierszach broszury.

Bo wśród postulatów wymienionych przez d-ra Krzyżanowskiego jest wiele, które dla rozwoju instytucyi koniecznie prędzej czy później muszą wejść w życie. A im wcześniej, tem lepiej!

Dr. Tadeusz Kudelka.

Stenografistki w Berlinie i ich położenie socyalne.

Mimo wielorakich przeszkód rozwój sztuki stenograficznej idzie szybkim krokiem naprzód. Nietylko że doskonali się technika stenografii, ale używanie jej w różnych zawodach gospodarczych i w różnych stosunkach, staje się coraz to szerszem i coraz bardziej powszechnem. Wobec tego, że nauka stenografii nie jest udzielaną we wszystkich szkołach, w każdym zaś razie nie posiada cechy przymusowej, wytwarza się obecnie osobny zawód gospodarczy, osobny cech stenografów i stenografistek. Liczba ich, zwłaszcza w wielkich miastach, jak np. w Berlinie, dosięga już znacznej wysokości, a z liczbą tą znaczną kwestya socyalna i tutaj podnosi swą głowę. Cech stenografów, z natury rzeczy, skazany prawie wyłącznie na pracę zawisłą, żąda i dla siebie polepszenia warunków bytu.

W cechu stenografów, kobiety zajęły od niedawna wcale poważne stanowisko. W niektórych krajach, jak np. w Szwecyi, są one zajęte nawet w parlamencie. W innych krajach są one głównie zajęte w przedsiębiorstwach przemysłowych i handlowych.

Dla zbadania dokładnego stosunków społecznych stenografistek rozrzucił dr. F. Specht [1] między berlińskie stenografistki w kilku tysiącach egzemplarzy kwestyonaryusz, zawierający następujące rubryki:

---

[1] Dr. Fritz Specht, *Die weiblichen Stenographen und Maschinenschreiber.* Berlin. *(Zeitschrift für die gesammte Staatswissenschaft,* t. L, str. 270—291).

1) Nazwisko; 2) Rok urodzenia; 3) Stan (wolny lub nie); 4) Pracodawca (rzecznik patentowy lub prawny, literat, kupiec, bankier i t. p.); 5) Tytuł (stenografistka, korespondująca, buchalterka, kasyerka, kontuarzystka lub?); 6) Zajęcie główne (pisanie na maszynie, stenografowanie lub?); 7) Płaca (miesięczna, tygodniowa, marek?); 8) Czas pracy dziennej; 9) Przerwa obiadowa lub i inne przerwy; 10) Czas wypowiedzenia; 11) Czy można uzyskać urlop w porze letniej? na jak długo? czy wypłaca się pensya za czas urlopu? 12) Czy z posadą jest połączone prawo do emerytury, pod jakiemi warunkami, 13) Czas dotychczasowego zajęcia wogóle; 14) W danem przedsiębiorstwie.

Na kwestyonaryusz ten otrzymał dr. Specht 188 odpowiedzi, zawierających daty nader ciekawe. I tak 124 kobiet nosi tytuł stenografistek, 16 pisarek maszynowych; reszta zajęta jest stenografowaniem ubocznie obok prowadzenia ksiąg i t. p. Co się tyczy pracodawcy, to jest nim w 41 wypadkach kupiec, w 38 rzecznik patentowy, w 22 fabrykant, w 19 zastępca prawny. 2 kobiety pracują w bankach, 5 w redakcyach, 8 w przedsiębiorstwach wywozowych, 6 samoistnie tj. w domu dla różnych pracodawców. Co się tyczy płacy, to jest to z reguły płaca miesięczna (wyjąwszy nieliczne wypadki płacy tygodniowej po 20 mk. i płacy akordowej). Wynosi ona mianowicie w 1 wypadku 12 mk, w 3, 30—39 mk, w 9, 40—49 mk, w 15, 50—59 mk, w 32, 60—69 mk, w 33, 70—79 mk, w 21, 80—89 mk, w 23, 90—99 mk, w 16, 100—109, w 4, 100—119 mk, w 3, 120—129 mk i t. d. Najwyższą klasę stanowi płaca 160—165 mk, którą otrzymują jednakże tylko 3 stenografistki. Jak widzimy więc w większej części wypadków, płaca jest dość nizka i nie zawsze sama przez się wystarczy na utrzymanie. Zważyć jednak należy, że w zawodzie tym pracują bardzo często panny, mieszkające przy rodzicach, więc także przez nich częściowo utrzymywane. Obok tego, zdarza się często, że tej czynności zarobkowej oddają się często te dziewczęta, *welche es nicht durchaus nötig haben,* wskutek czego, nie stawiając zbyt wysokich wymagań, sprowadzają pewnego rodzaju obniżkę pracy.

Wysokość płacy zależy z reguły oczywiście od zręczności i szybkości w stenografowaniu; ta znów stoi w prostym stosunku do czasu, przez który dana osoba tej sztuce się oddaje. Wogólności zauważyć należy, że przeciętnie już po roku można uzyskać 100 mk, więc w stosunku niewątpliwie wcale korzystnym.

Czas pracy wynosi z reguły 8—9 godzin. Zdarzają się jednakże także wypadki (choć rzadkie), że czas pracy wynosi 10—13 godzin

dziennie. Praca jest bardzo wytężająca. Ma to miejsce zwłaszcza w biurach rzeczników patentowych, ze względu na jakość pracy tamże dokonywanej. Przerwa obiadowa wynosi w 94 wypadkach 2 lub więcej godzin. Co się tyczy urlopu letniego, to żadnego urlopu nie otrzymało 54 kobiet, urlop z płacą 60, urlop bez płacy 4. Urlop wynosił w 1 wypadku 3 dni, w 10 wypadkach 1 tydzień, w 2 wypadkach 1—2 tygodni, w 35 wypadkach 2 tygodnie, w 3 wypadkach 2—3 tygodni, w 2 wypadkach 2—4 tygodni, w 5 wypadkach 3 tygodnie, w 3 wypadkach 3—4 tygodnie, w 1 wyp. 4 tyg., w 2 wyp. 5 tyg.

Czas wypowiedzenia wynosił w 7 wypadkach 8 dni, w 48 wypadkach 14 dni, w 36 wypadkach 4 tygodnie, w 1 wyp. 4—6 tyg., w 52 wyp. 6 tyg., w 1 wyp. 12 tyg., w 2 wyp. ćwierć roku, w 9 wypadkach oznaczono go wedle norm ustawowych, (z reguły 6 tygodni przed zamknięciem kwartału). Na zapytanie, czy z posadą jest połączone prawo do emerytury, nie otrzymał dr. Specht żadnych odpowiedzi. Wytłumaczyć to można tem, że prawie wszystkie stenografistki uważają swój zawód za prowizoryczny, gdyż są zazwyczaj kandydatkami do stanu małżeńskiego. Temu też przypisać należy fakt, że nie kształcą się one dalej w swym zawodzie. Zmiana posad odbywała się wcale często, a miało to swą przyczynę w tem, że w ten sposób następowała coraz to większa podwyżka płac.

Oto wyniki tego ciekawego badania. Dowodzą one, że i wśród tego zupełnie nowego zawodu objawiają się w niektórych kierunkach niewłaściwości, które należałoby w interesie zdrowego rozwoju tego nowego cechu co rychlej usunąć.

Z. Gargas.

Druk ukończono 30 maja 1899 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Stronica
Małżeństwo w dawnych chrześcijańskich pomnikach. Studyum dogmatyczno-historyczne. Przez *ks. d-ra Józefa Bilczewskiego*	1
Książka Klaczki o Renesansie. (Dok.) Przez *T. W.* .	20
Obrazki z nowej polski. I. W puszczy. Przez *d-ra Józefa Siemiradzkiego*	38
Kaznodziejstwo Drużbickiego. Rzecz oparta na rękopisach. (Dok.). Przez *Jarosława Rejowicza T. J.* .	62
Promienie Becquerela i nowe pierwiastki. Przez *ks. F. Hortyńskiego T. J.*	82
Zasadniczy punkt wyjścia w badaniu filozoficznem. Przez *ks. Jana Nuckowskiego T. J.*	149 337
Szczerbiec w świetle ostatnich badań. Przez *J. Bryla*	172
Z estetyki krakowskiego dekadentyzmu. Przez *ks. Jana Pawelskiego T. J.*	186
Lud wesołków w dawnej Polsce. (Dokończ.). Przez *Leonarda Lepszego.*	211
Z za kulisów schizmatyckiej propagandy. Przez *d-ra Cyryla Studzińskiego*	239 368
U stóp sfinksa. Przez *ks. M. Morawskiego T. J.* . . .	309
Mickiewicz i Puszkin jako bajroniści. Przez *d-ra Józefa Tretiaka*	313
„Człowiek“ Ernesta Hello. Przez *T. W.*	392

Przegląd piśmiennictwa.

Stronica

Z piśmiennictwa krajowego:

System filozofii. Ks. dr. Franciszek Gabryl. Tom I. Logika formalna. *(J. Nuckowski T. J.)* 97

Misa brązowa z epoki romańskiej znaleziona w Dąbrowie koło Wielunia. Prof. dr. Maryan Sokołowski. Pasy metalowe polskie tak zwane lwowskie albo przeworskie. Prof. dr. Maryan Sokołowski. *(Leonard Lepszy)* . . 103

Jan Amos Komeński. Przyczynek do jego działalności w Polsce. Napisał dr. Antoni Danysz. Kartka z dziejów wychowania w Polsce. Jana Rybińskiego podróż naukowa za granicę w latach 1616—1623. Przez Tegoż. *(Ks. dr. A. Pechnik)* 107

Kronika rewolucyi krakowskiej r. 1846. Spisana przez Józefa Wawel-Louis. *(J. R.)* 109

Książe Józef Poniatowski, jego życie i działalność. Franciszek Paszkowski. *(J. R.)* 110

Święci Pańscy czyli dzieje Kościoła katolickiego w żywotach świętych. I. Psychologia Świętych. Przez prof. Henryka Joly. *(J. Nuckowski T. J.)* 111

W starym dworze. Powieść. Artur Gruszecki. *(Ks. Jan Pawelski T. J.)*. 257

Dary z Polski dla Erazma z Rotterdamu w historycznem muzeum bazylejskiem. Dr. Feliks Kopera. Sprawozdanie komisyi do badania historyi sztuki w Polsce. *(Leonard Lepszy)* 260

Kodeń Sapiehów. Z dawnych i nowych źródeł napisał P. I. K. Podlasiak. Historya cudownego obrazu Matki Boskiej w Leśny. Napisał Tenże. *(M.)* 265

Słownik języka polskiego pod redakcyą Jana Karłowicza, Adama Kryńskiego i Władysława Niedźwiedzkiego. Zeszyt 1 i 2. *(H. Ułaszyn)* 269

Z nowych powieści, Stefan Żeromski: „Utwory powieściowe“.— Zofia Kowerska: „Bracia z wyboru“. — Marya Rodziewiczówna: „Kądziel“. — Adam Krechowiecki: „O tron“.— Gabryela Zapolska: „Antysemitnik“. — Wincenty hr. Łoś: „Intrygantka“. — Witołd Gozdawa Godlewski: „Neron chrystyanizmu“, — Stanisław Rossowski: „Moja córka“.— Stanisław Graybner: „Pan Wyręba“. — Stańko: „W złocie“. — Aër: „Złudzenia“. — Fr. Rawita: „Z domu niewoli“. — Mieczysław Pawlikowski: „Baczmaha“. *(Ks. Jan Pawelski T. J.)*. 422

Pod prawem. Nowela. Marya Konopnicka. *(T. W.)* 436

Z Sybiru. Obrazki powieściowe. Włodzimierz Korolenko. Przekład Stanisława Miłkowskiego. *(Ks. Wiktor Wiecki T. J.)* 438

Sny przedostatnie. Edmund S. Naganowski. *(Ks. M. Morawski T. J.)* 439

Nasze rolnictwo i przemysł. Franciszek Mycielski. *(Dr. Tadeusz Kudelka)*. 430

Stronica

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Un capitolo di storia del vestiario. Tre studii sul vestiario dei tempi poscostantiniani. Giuseppe Wilpert. *(Ks. dr. Józef Bilczewski)* 115
Autobiografia di un veterano. Ricordi storici e aneddotici del g-le Enrico della Rocca. Tom II. *(J. R.)* 119
Der Stechlin. Roman. Theodor Fontane. *(Ks, Maksymilian Kohlsdorfer T. J.)* 129
Die Agrarfrage. Eine Uebersicht über die Tendenzen der modernen Ladwirthschaft und die Agrarpolitik der Socialdemokratie. Karl Kautsky. *(Dr. Tadeusz Kudelka)* . . . 275
Lebrecht Dreves. Ein Lebensbild. Als Beitrag zur Literatur- und Kirchengeschichte nach dem handschriftlichen Nachlass u. den gedruckten Quellen entworfen von Wilhelm Kreiten S. I. *(Ks. Maksymilian Kohlsdorfer S. I.)* 287
Die skandinavische Litteratur und ihre Tendenzen nebst anderen Essays. Von Marie Herzfeld. *(J. Flach)*. . . . 442
Strandgut des Lebens. Gesammelte Novellen von A. Jüngst. Erster Band. Allerheiligensommer. Incognito. Leben um Leben. *(J. F.)*. 449
Judith's Ehe. Ein Roman in Gesprächen. Peter Nansen. *(T. W.)* 450

Z pism czasowych:

Nowa Biblioteka uniwersalna. *(Ks. Jan Pawelski T. J.)* . . . 289

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

KWIECIEŃ.

Sprawy Kościoła: O Amerykanizmie. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* 131
Nowiny historyczne. Czasy nowożytne. Przez *d-ra K. Krotoskiego*. 140

MAJ.

Sprawy Kościoła: Los von Rom. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* 291
Nowiny historyczne: Dzieje Polski. Przez *d-ra K. Krotoskiego* 299
Korespondencya Redakcyi: Odpowiedź na krytykę książki: „System filozofii. T. I. Logika". Przez *ks. d-ra Franciszka Gabryla*. 306

CZERWIEC.

Stronica

Sprawy Kościoła: Wiec katolicki w Ferrarze. — Nowe rządy węgierskie. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* 453

W sprawie Kółek rolniczych w Galicyi. Przez *d-ra Tadeusza Kudelkę* 460

Stenografistki w Berlinie i ich położenie socyalne. Przez *Z. Gargasa* 466

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.